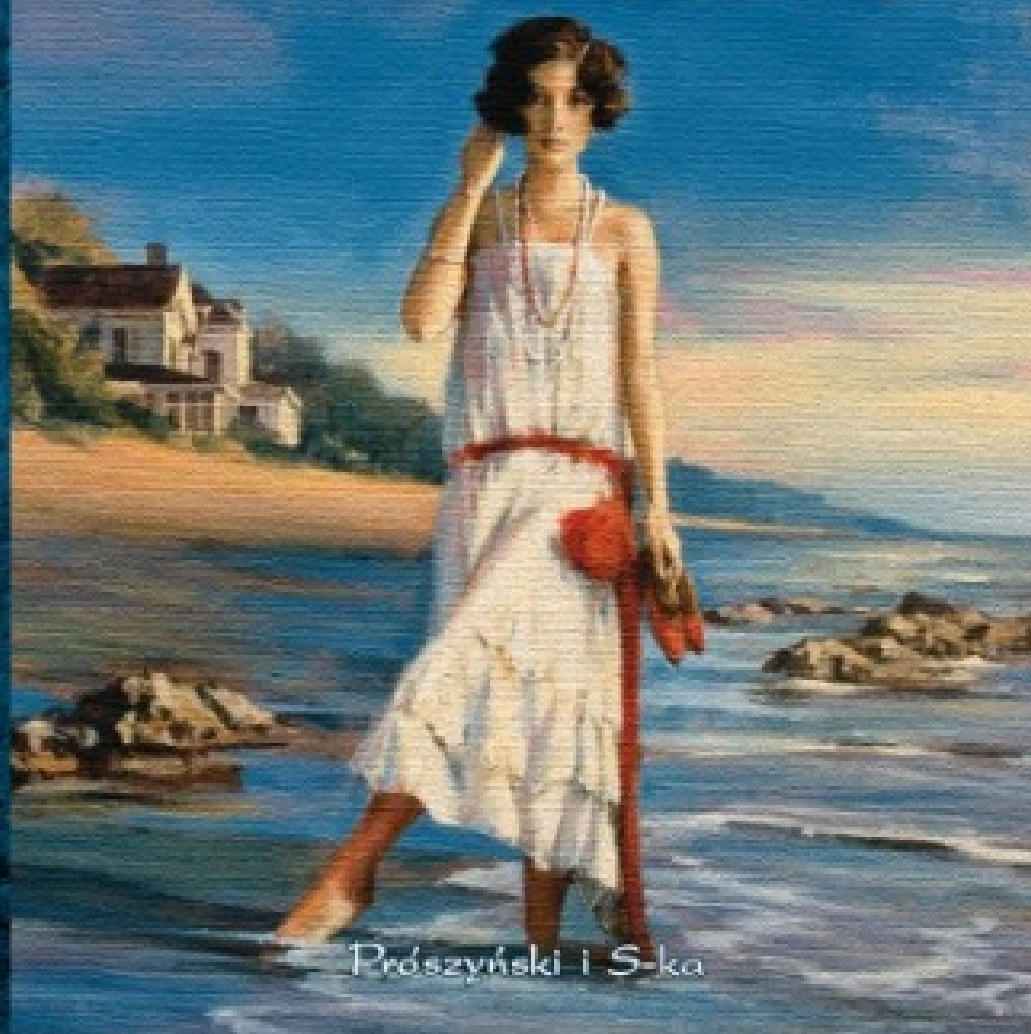


JUDITH LENNOX

ŚLADY  
NA PIASKU



Prószyński i S-ka

# Lennox Judith

## Ślady na piasku

Poppy Vanburgh, młoda Angielka spędzająca wiosnę w Deauville, spotyka na plaży pełnego uroku, lekkomyślnego wagabundę Ralpa Mulgrave'a i porzuca rodzinę, by wyjść za niego za mąż. Wkrótce przychodzą na świat ich dzieci: Faith, Jake i Nicole. Niekonwencjonalna, beztroska rodzina Mulgrave'ów przez wiele lat wędruje po Europie, łudząc się nadzieją na zrobienie majątku i nigdzie nie zagrzewając na dłużej miejsca. Wybuch drugiej wojny światowej zmusza ich do powrotu do Anglii. Dorastające dzieci Poppy i Ralpa próbują się odnaleźć w obcym dla nich środowisku i poszukują własnej drogi, przeżywając kolejne wzloty i upadki, a przede wszystkim wielkie miłości.



ZAMEK Z PIASKU  
1920 - 1940

## *Rozdział pierwszy*

Kiedy zobaczyła go pierwszy raz, rzucał patyk psu. Łuk jego ramienia na tle stalowoszarego nieba, pies wskakujący w lodowate fale, by przynieść ów patyk... Czerwony szalik nieznajomego był jedynym barwnym akcentem w tym monochromatycznym obrazie. Zauważyła, jak się pochylił i głaskał kundla, nie bacząc na krople wody z otrząsającego się zwierzaka. Gdy rzucił patyk ponownie, jeszcze dalej w morze, zamknęła oczy i powiedziała sobie: Jeśli tym razem także go przyniesie, wyuczę się stenografii. Podnosząc wzrok, tuż nad falami ujrzała psi pysk ze szczękami zaciśniętymi na kawałku drewna. Odwróciła się więc i poszła z powrotem do hotelu.

Był kwiecień, chłodny, pochmurny kwiecień, i Poppy wraz z matką i siostrami spędzała wakacje w Deauville. Z powodu wojny Vanburghowie od przeszło pięciu lat - od lata 1914 roku - nie wyjeżdżali zagranicę. Deauville było jednak dokładnie takie, jak Poppy je zapamiętała: rozległe piaszczyste plaże, bulwar, kasyno, restauracja i sklepy. Gdyby nie widywała tu ciągle młodych mężczyzn na wózkach, którzy niczym okaleczone słoneczniki obracali się ku niewidocznemu słońcu, otumaniona nudą i zniecierpliwieniem, mogłaby wyobrażać sobie, że wciąż tkwi w swym nieciekawym edwardiańskim dzieciństwie.

Hotelowe śniadania przerywane były narzekaniami mamy: „Ta kawa jest wręcz straszna... Po wszystkim, co przeszliśmy... A chleb, cóż za przerażający kolor... I te pokoje, takie zimne...”. Każdego ranka Poppy, myśląc o owych okaleczonych młodych ludziach na bulwarze, miała ochotę powiedzieć: „Tak, mamo, ale przynajmniej nie masz synów!”, lecz zawsze zachowywała milczenie i zaciskając wargi, pozwalała, by Rose i Iris kołysły stargane nerwy matki.

Zasmakowała w samotnych spacerach po śniadaniu; otulona w futro z lisów, które przed rokiem dostała na urodziny, żwawo maszerowała wzdłuż morskiego brzegu, a wiatr ciskał jej w twarz jasne włosy, gdy próbowała się zdecydować, co zrobić z resztą życia. Za dwa tygodnie skończy dwadzieścia jeden lat. Od chwili ukończenia szkoły minęły już trzy lata; trzy lata, które wydawały się Poppy godne zapamiętania jedynie z braku wydarzeń. Nawet gdyby wysiliła pamięć, zdołałaby sobie przypomnieć niewiele z tego, co wydarzyło się w owych latach. Nie była zaręczona ani zamężna, a grono młodzieńców odwiedzających londyński dom Vanburghów wyraźnie się zmniejszyło podczas wojny. Nie miała żadnego płatnego zajęcia i nie potrafiła wymyślić sobie nic szczególnie pociągającego. Dożywotnie zabezpieczenie materialne, pozostawione przez ojca, oznaczało, że nie musi zarabiać na utrzymanie, a ilekroć zastanawiała się nad pracującymi dziewczętami w jej wieku, które były pielęgniarkami, nauczycielkami lub maszynistkami, stwierdzała, że trudno jej widzieć siebie w podobnej profesji. Wiedziała jednak, że musi coś robić. Starsze siostry Poppy były aż nazbyt wyrazistym przykładem tego, co się z nią stanie, jeśli nie znajdzie sobie jakiegoś zajęcia. Dwudziestosiedmioletnia Rose już miała staropanieńskie nawyki, a dwudziestoczteroletnia Iris oddawała się spirytyzmowi.

Niskie, szare chmury, które zasnuwały horyzont, i strugi deszczu niesione przez wiatr wprawiały Poppy w przygnębienie. Nienawidziła Deamdlle; to miejsce wydawało jej się równie niezwruszone, niezmiennie i zadowolone z siebie jak dom. Spacerując wzdłuż plaży trzy razy dziennie - przed śniadaniem, po lunchu i o zachodzie słońca - Poppy wbijała obcasy pantofli głęboko w wilgotny piasek, czyniąc to tak, jak gdyby dzięki owemu drobnemu naruszeniu topografii terenu mogła zmienić monotony rytym własnego życia.

Pewnego chłodnego piątkowego poranka ujrzała go ponownie. Budował zamek z piasku. Z powodu nietypowej dla tej pory roku pogody i wczesnej godziny plaża była pusta; nikogo oprócz ich dwojga i psa hasającego na samym brzegu... Pyszniący się przed nim piaskowy zamek był niezwykle budowlą wyposażoną w wieżyczki, zwodzone mosty oraz krenelaże, inkrustowane muszelkami i dla ozdoby oplecione wodorostami, toteż Poppy natychmiast uznała go za na jpiękniejszy, jaki kie-

dykolwiek widziała. Zdumiewała się, że ktoś mógł włożyć tyle energii w coś tak nieuchronnie krótkotrwałego.

Był wysokim mężczyzną o jasnych włosach, które wydawały się kilka odcieni ciemniejsze niż jej własne, i dużych dłoniach, delikatnie modelujących teraz piasek. Nosił długi, ciężki płaszcz z kołnierzem z perskiego jagnięcia. Szkarłatny szal owijał mu szyję, głowę zaś okrywał nieco pozieleniały ze starości czarny kapelusz z szerokim rondem. Pewna, że mężczyzna, zaabsorbowany swą pracą, nie zauważył jej, przyglądała się, jak wciska płaskie muszelki w ochrowe ściany budowli. Jego skupienie na tak dziecinnym zajęciu wręcz zafascynowało Poppy; przypuszczała, że jest co najmniej dziesięć lat starszy od niej. W głębi duszy niemal się zeń wyśmiewała, prawie szydząc bezgłośnie, ale wtedy nagle smuga światła przekłuła welon szarej chmury i pierwszy od dwóch tygodni promień słońca, muskając złotem miniaturowe wieże, baszty i dachy, tchnął w zamek ulotne, bajkowe życie. Poppy odwróciła się, zaskoczona łzami napływającymi jej do oczu, jednak gdy ruszyła już z powrotem do hotelu, usłyszała za sobą głos:

- Przydałoby się jeszcze kilka flag, nie sądzi pani?

Obejrzawszy się, zobaczyła, że budowniczy stoi wyprostowany z rękami w kieszeniach i patrzy na nią. Przywyczała się do mężczyzn spoglądających na nią w taki sposób, podniosła więc kołnierz płaszcza i dumnie poszła dalej.

Jednak potem, siedząc samotnie w sypialni, którą dzieliła ze starszą siostrą, Poppy przyłapała się na leniwym bazgraniu w hotelowym listowniku. Flagi, proporce, wieżyczki. Później zaś, przed kolacją, wsunęła w rękawiczkę dwa koktajlowe patyczki ze szklanek. Jakież to niemądre, powiedziała sama do siebie. Jutro zamek z piasku zniknie, pochłonięty falami przyływu.

Kiedy obudziła się następnego ranka, natychmiast zdała sobie sprawę, że coś się zmieniło. Szare chmury zniknęły w słońcu, które wlewało się do pokoju szczelinami w okiennicach. Wstęga blasku rozciągała się na wypolerowanej podłodze. Poppy wstała, ubrała się i wyszła z hotelu. Biegając wzdłuż morskiego brzegu, czuła ciepło na odsłoniętych ramionach.

Był tam, na plaży. Na piasku stał już nowy, większy i jeszcze bardziej wymyślny zamek. Wyjęła z kieszeni patyczki z papierowymi ozdobami przypominającymi proporce.

- Proszę - powiedziała. Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Musi pani zdecydować, gdzie je umieścić.

Jedną koktajlową pałeczkę wkłuła w basztę, a drugą w wieżyczkę obronnego muru, potem zaś wróciła do hotelu, do wiecznych ustyskiwań mamy i nudnej ospałości sióstr.

Oficjalnie przyjechały do Deauville dla podreperowania maminego zdrowia, w rzeczywistości zaś, jak przypuszczała Poppy, z powodu tłących się w sercu matki nadziei na znalezienie trzem niezamężnym córkom narzeczonych wśród wielu spędzających tu urlop Anglików. Iris była już niegdyś zaręczona, lecz jej wybrany zginął w roku 1916 w bitwie nad Sommą.

- Ma jakąś podobiznę Arthura, ale zdjęcie nie oddaje zbyt dobrze podobieństwa i Iris naprawdę nie może sobie przypomnieć, jak on wyglądał - tłumaczyła pewnego dnia Poppy Ralphowi. Teraz jednak nie był on jeszcze Ralphem, tylko panem Mulgrave'em.

Przechadzali się brzegiem morza. Był tam zawsze, ilekroć wychodziła na swój poranny spacer, i całkiem naturalnie nabrali zwyczaju rozmawiania ze sobą. W ciepłe wiosenne dni rezygnował z płaszcza oraz szala i nosił marynarkę z łatkami na łokciach.

- A pan, panie Mulgrave? Czy pan...? - zapytała Poppy niezobowiązująco.

Najpierw był zakłopotany, a potem rozbawiony.

- Czy walczyłem za króla i ojczyznę? Dobry Boże, nie! Cóż za przerażająca idea!

- Och - westchnęła Poppy, przypominając sobie plakaty („Ojczyzna cię potrzebuje!”), opinie o tchórzach i niektóre artykuły prasowe. - Uwolnił się pan od służby wojskowej z powodów religijnych, przez wzgląd na swoje sumienie?

Wybuchnął śmiechem.

- Jedyną rzeczą gorszą od siedzenia w okopach i śmierci od kuli byłby pobyt w więziennej celi o głodzie i chłodzie przez wzgląd na sumienie. Miło mi powiedzieć, że nigdy nie robię nic przez wzgląd na sumienie.

Zatrzymali się przy małej kawiarni.

- Okropnie boli mnie głowa - powiedział. - Napijemy się kawy?

Poppy rozumiała, że jeśli się zgodzi, aby Ralph Mulgrave zaprosił ją na kawę, pozwoli tym samym, by ich delikatna przyjaźń rozwinęła się z czegoś, co można było zaakceptować, w coś, co nie wydawało się możliwe do przyjęcia. Nie wspomniała o nowym znajomym mamie; to tylko ktoś, mówiła sobie, z kim spędzała drobną część dnia. Mała, mroczna, zadymiona, bardzo francuska kawiarnia nie była miejscem, w którym mama pozwoliłaby bywać swoim córkom. Pan Mulgrave otworzył jednak drzwi, a Poppy weszła do środka.

Ralph zamówił kawę dla nich obojga i kieliszek brandy dla siebie.

- Klin - powiedział, a Poppy uśmiechnęła się, nie rozumiejąc, o co chodzi. Pan Mulgrave mówił dalej: - Przez kilka ostatnich lat istotnie wiele podróżowałem. Meksyk, Brazylia, Pacyfik...

- Jakie to fascynujące! - zawołała i już w następnej chwili zniechęciła samą siebie za ów pensjonarski okrzyk. - Zawsze chciałam podróżować, ale nigdy nie byłam dalej niż w Deamdlle.

- Piekielne miejsce - odrzekł. - Nie znoszę tę cholerną północy, przyprawia mnie o astmę.

Poppy zdołała ukryć wstrząs wywołany faktem, iż zaklął w jej obecności.

- W Brazylii parałem się trochę wydobywaniem cynku - wyjaśnił Ralph. - Można na nim zrobić majątek, ale nie służyło to moim płuciom. I napisałem powieść.

- Jaką?

- „Nimfę z twoich marzeń” - odparł, słodząc kawę.

Oczy jej zrobiły się wielkie ze zdumienia. Vanburghowie nie byli ani odcytani, ani też nie podążali za modą, ale nawet Poppy słyszała o „Nimfie z twoich marzeń”. Przypomniała sobie, jak gniewne pomruki wydawał wuj Simon, gdy mówił o tej książce.

- Jakiż pan jest zdolny! Ralph wzruszył ramionami.

- Ta powieść przyniosła mi trochę pieniędzy, ale, prawdę mówiąc, nie jestem wielkim pisarzem. Wolę malować.

- Jest pan malarzem?

- Lubię rysować. - Wsunął rękę do kieszeni i wyjął ogryzek ołówka, a potem, patrząc na Poppy, zaczął szkicować coś



na brzegu menu. Jego niebieskie oczy pociemniały, gdy się skupiał.

Poppy, nagle zdenerwowana, poczuła się w obowiązku przerwać ciszę.

- Rose chciała pracować podczas wojny w kobiecej służbie rolnej, lecz mama jej na to nie pozwoliła, Iris zaś pracowała przez jakiś czas w szpitalu, stwierdziła jednak, iż to bardzo męczące. Pomyślałam, że i ja powinnam coś robić, więc kiedy skończyłam szkołę, pomagałam przy zwijaniu bandaży, lecz nie byłam w tym dobra. Wciąż nie chciały się zwijać. A teraz nie jestem pewna, co dalej robić. Chodzi mi o to, że dziewczęta nie pracują już jako konduktorki w autobusach ani tym bardziej traktorzystki, nieprawdaż? Przypuszczam, że mogłabym być nauczycielką albo pielęgniarką, lecz prawdopodobnie nie jestem wystarczająco zdolna, zresztą mamie by się to nie spodobało. Powinnam wyjść za mąż, ale zdaje się, że nie zostało już wielu młodzińców i... - Poppy bezwiednie uniosła rękę do ust, jakby chciała zatrzymać ów potok słów.

- Oczywiście, że wyjdzie pani za mąż - odrzekł mężczyzna spokojnie, podnosząc ku niej wzrok - Piękne dziewczęta zawsze znajdują mężów.

Po tych słowach odwrócił menu, by mogła zobaczyć szkic narysowany ołówkiem, przedstawiający jej twarz w kształcie serca, okoloną jasnymi lokami, fiołkowobłękitne oczy i niemodnie pełne usta. Poruszające i ekscytujące zarazem było oglądanie siebie widzianej czyimiś oczami.

- Och... - westchnęła. - Pan jest artystą! Ralph potrząsnął przecząco głową.

- Kiedyś pomyślałem, że mógłbym nim być, ale się nie udało - oddał róg menu ze sporządzonym przez siebie szkicem i wręczył go Poppy. - Pani portret, panno Vanburgh.

W tych rzadkich chwilach, kiedy Poppy była w stanie myśleć jasno (gdy nie przywoływała z pamięci jego rysów lub nie wspominała tego, co jej powiedział, odtwarzając słowo po słowie), alarmowała ją myśl, że tak łatwo pożegłowała ku rzeczom zakazanym. Wizyty w kawiarni weszły w zwyczaj, a pewnego dnia Ralph zwrócił się do niej po prostu: „Poppy”, zamiast „panno Vanburgh”, ona zaś nazwała go „Ralphem”. Zabrał ją do innej kawiarni, położonej jeszcze dalej w bocz-

nych uliczkach miasta i pełnej jego przyjaciół, którzy obejmowali go, a ją powitali uściskami i komplementami. Opowiadał jej o sobie; że jako szesnastolatek uciekł ze szkoły i od tamtej chwili nie był w Anglii. Wędrował po Europie, sypiając w stodołach i przydrożnych rowach, a potem wyjechał jeszcze dalej - do Afryki i na wyspy Pacyfiku.

Ralph nienawidził Anglii i wszystkiego, co się z nią wiązało. Nienawidził szarej angielskiej mżawki, purytańskiego poczucia winy, z jakim Anglicy zażywali wszelkich przyjemności i drobnomieszczańskiego przekonania rodaków o własnej wyższości. Chciał zaoszczędzić tyle pieniędzy, by móc kupić szkuner i żeglować nim po Morzu Śródziemnym, handlując winem. Łatwo zdobywał przyjaciół, o czym Poppy szybko się przekonała: ilekroć szła z Ralphem przez Deauville, wiele osób machało ku niemu z uśmiechem. Był wesoły, inteligentny, spostrzegawczy i oryginalny, a ona wiedziała również i to, że zakochała się w tym mężczyźnie od pierwszej chwili; właśnie wtedy, gdy rzucał patyk psu. Fakt, że wszyscy wokół także zdawali się go kochać, zarówno ją zachwycał, jak i trwożył; z jednej strony potwierdzał słuszność owego wyboru, z drugiej zaś kazał przypuszczać, że owo uczucie, które jej samej wydawało się takie wyjątkowe, może wcale takie nie było.

Pewnego dnia po lunchu Poppy uciekła od matki i siostr, umówiwszy się z Ralphem przed hotelem. Wypożyczył samochód, lśniący kremowo-kasztanowy kabriolet, i powiózł ją wzdłuż wybrzeża, by rozkoszować się uciechami Trouville. Zabrał ją z wizytą do pewnej znajomej, jak wyjaśnił; „białej” rosyjskiej hrabiny. Elena mieszkała w wysokim, wałącym się domu przy jednej z bocznych ulic miasta. Ralph przedstawił Poppy gospodyni, która okazała się smętną, egzotyczną, wiecznie młodą kobietą, dokładnie taką, jaka powinna być biała rosyjska hrabina. Przyjęcie, trwające już dzień i noc, nie przypominało żadnego z tych, na jakich bywała przedtem. Tamte, znane Poppy z doświadczenia, wspominała jako chłodne, okropne spotkania, na których można było zasłużyć na dożywotni ostracyzm towarzyski, jeśli wytrąciło się komuś z ręki szklankę lemoniady, powiedziało coś niestosownego lub zbyt często tańczyło z tym samym partnerem. Tutaj podano jej nie lemoniadę, lecz szampana; tu - pomyliwszy drzwi do łazienki - weszła do pokoju, gdzie jakaś para obejmowała się w milcze-

niu na purpurowej, brokatowej kanapie; tutaj wreszcie tańczyła przez całe popołudnie tylko z Ralphem, opierając głowę na jego ramieniu, podczas gdy duże, delikatne dłonie mężczyzny gładziły jej plecy.

W drodze powrotnej do Deauville powiedziała:

- Jutro nie będę mogła spotkać się z tobą, Ralph. To dzień moich dwudziestych pierwszych urodzin i muszę spędzić go z mamą i siostrami...

Zmarszczył brwi, lecz nie powiedział ani słowa.

- ...a za kilka dni wracamy do domu - dodała niemal z rozpaczą w głosie.

- Chcesz wracać?

- Oczywiście, że nie! Ale muszę.

- Musisz?

Szampański zawrót głowy zaczynał mijać, pozostawiając ból i zmęczenie.

- A cóż innego mogłabym zrobić? - spytała ze smutkiem.

- Mogłabyś zostać tutaj. Ze mną. Serce zaczęło jej bić bardzo szybko.

- Jak to?

- Po prostu zostań. Nie wracaj. Właśnie to sam kiedyś zrobiłem.

Chciała powiedzieć: „Dla ciebie to takie łatwe. Jesteś mężczyzną”, ale nic nie odrzekła, bo właśnie skręcili w ulicę, która prowadziła do hotelu, a tam u wejścia, niczym trzy anioły przeznaczenia, stały mama, Rose i Iris.

Nie było ucieczki. Poppy wpadła na szaleńczy pomysł ukrycia się pod deską rozdzielczą, Ralph jednak powstrzymał ją od tego.

- Przedstawię się im - powiedział z pewnością siebie i wyrzuciwszy przez okno niedopałek papierosa, zatrzymał auto obok pani Vanburgh i jej córek.

Dla Poppy był to koszmar. Ralph okazał się uroczy, mówił nieskazitelnym akcentem i ani razu nie zaklął, ale mama, chociaż uprzejma, nie dała się zwieść. Później, w hotelu, wzajemne pretensje trwały przez kilka godzin. Poppy chwilami mówiła prawdę (Ralph pochodził z szanowanej angielskiej rodziny), częściej zaś kłamała (spotkali się raz czy dwa i właśnie byli na krótkiej przejażdżce po Deauville), ale matka wietrzyła najgorsze. Przepytwana dokładnie o zajęcie Ralpa,

miejsce jego zamieszkania i perspektywy na przyszłość, Poppy musiała z siebie wydusić, że nie miał żadnego stałego adresu, a w różnych okresach swej przeszłości bywał przewodnikiem turystów, pilotem i skutnikiem. „Klasa pracująca”, orzekła wtedy pani Vanburgh, wyginając usta w wyrazie potępienia. Poppy zdołała się powstrzymać od napomknienia o tym, że Ralph tańczył w Mentonie dla pieniędzy z bogatymi damami, lub o owej zimie, gdy uniknął śmierci głodowej, podkradając komuś buraki cukrowe.

Gdyby następny dzień nie był dniem urodzin Poppy, jeszcze tego samego wieczoru wyjechałyby do Calais, by tam wsiąść na prom płynący do Anglii. Z powodu owych urodzin jednak urządzono sztywną, niewesołą uroczystość, składającą się z nudnego śniadania, lunchu i „herbatki” z obowiązkową wizytą dwóch dam, które mama знаła ze szkoły. Chociaż wszyscy udawali, że wstydlive wydarzenia wczorajszego dnia w ogóle nie miały miejsca, urodziny wszakże odbywały się w atmosferze dezaprobaty. Poppy miała nadzieję na list, a może kwiaty od Ralpa, lecz nic nie nadeszło. Wiedział, że to jej święto, a jednak nic... Szczęki bolały ją z wysiłku, gdy się uśmiechała, a kiedy poszła do hotelowej recepcji, gdzie usłyszała ponownie, że nie ma dla niej żadnej wiadomości, czuła się tak, jakby wbito jej nóż w serce.

Nim kolacja dobiegła końca, Poppy była przekonana, że albo mama zniechęciła Ralpa, albo nigdy nie miał uczciwych zamiarów, bądź też ona sama się pomyliła, wierząc, iż temu mężczyźnie zależy na niej choć odrobinę bardziej niż na owych kilkunastu kobietach, które były jego przyjaciółkami. Cóż miałby dostrzec atrakcyjny i doświadczony Ralph Mulgrave w głupiutkiej, niedoświadczonej Poppy Vanburgh? Jutro wracają do Anglii. Z wielkim trudem mogła sobie przypomnieć tamtejsze życie - wydawało się odległym snem - ale doskonale potrafiła wyobrazić sobie jego pustkę. Łzy napłynęły jej do oczu, zdołała jednak nad nimi zapanować. Gdy kolacja dobiegła końca, a mama stłumiła ziewnięcie, Iris i Rose zaś niecierpliwiły się, pragnąc zagrać w brydża z pułkownikiem i jego bratem, Poppy uniosła się z krzesła.

- Idę popatrzeć na morze, mamó. Chcę ostatni raz obejrzeć zachód słońca.  
Wyszła, zanim matka zdołała ją powstrzymać.

Podniosła się lekka bryza, więc Poppy zaczęła rozcierać zziębnięte ramiona. Zachodzące słońce wydawało się plamą złocistego różu schwytanego przez pluskające fale i pierzaste chmury. Poppy długo spoglądała ku wodzie, śląc jej w myślach słowa pożegnania, a potem odwróciła się i zobaczyła Ralpha.

- Myślałam, że nie przyjdiesz.

- Dziś są twoje urodziny. Przyniosłem ci prezent - odparł, wręczając jej kawałek papieru.

Pomyślała, że to kolejny szkic, ale ujrzała jakieś oficjalnie wyglądający dokument po francusku. Z zakłopotania nie mogła zrozumieć ani słowa.

- To specjalne zezwolenie na zawarcie małżeństwa - wyjaśnił. - Pojechałem po nie dzisiaj do Paryża.

Oniemiała, patrzyła na niego z otwartymi ustami.

- Udzielę nam ślubu jutro przed wieczorem, a potem możemy pojechać na południe. Mam wspaniały pomysł: saturator, urządzenie do dozowania napojów chłodzących. Na saturatorze z pewnością da się zrobić majątek.

- Ralph - wyszeptała - ja nie mogę...

- Możesz - powiedział i położywszy dłonie na jej policzkach, uniósł jej twarz ku swojej. - Mówiłem ci, najdroższa Poppy. Po prostu wyjdź. Zabierz swoje rzeczy, paszport i wyjdź.

- Mama nigdy nie da mi pozwolenia...

- Nie musisz go mieć. Masz dwadzieścia jeden lat - tłumacząc to, pocałował ją w czoło - i wszystko zależy od ciebie, Poppy. Jeśli chcesz, możesz kazać mi odejść, a wtedy zniknę i już nigdy mnie nie zobaczysz. Ale możesz także pojechać ze mną. Proszę, pojedź ze mną. Zabiorę cię do najpiękniejszych miejsc na ziemi. Już nigdy nie będzie ci zimno, nigdy nie będziesz się nudzić i nigdy nie poczujesz się samotna. Proszę, powiedz, że ze mną pojedziesz.

Kawałek papieru drżał w rękach Poppy jak liść.

- Och, Ralph... - wyszeptała, a potem pobiegła do hotelu.

Poppy straciła dziewictwo jeszcze tej samej nocy w jakimś hotelu między Deauville a Paryżem. Pobrali się następnego dnia, a potem powędrowali na południe. Kochali się w pokojach, gdzie zamykano okiennice, chroniąc wnętrza przed palącym słońcem. Ich ciała nigdy nie były sobie syte, a ich wzajemny zachwyty wyrażał się nie w słowach, lecz w pieszczotach i uściskach.

Ralph dotrzymał obietnic: Poppy ujrzała wzgórza Prowansji i wspaniałe plaże Lazurowego Wybrzeża. Nigdy się nie nudziła i nigdy nie była samotna. Narodziny córki, Faith, która przyszła na świat mniej więcej dziewięć miesięcy później, w grudniu, przypieczętowały szczęście obojga. Wcześniej mieszkali też we Włoszech, w wielkim umbryjskim domu. Dożywocie Poppy i taniemy z „Nimfy z twoich marzeń” zapewniały im utrzymanie podczas chudych miesięcy. Ralph udoskonalał konstrukcję saturatora, mającego przynieść fundusze na szkuner, jaki zamierzał kupić. Poppy wyobrażała sobie żeglowanie po lazurowych wodach, z dzieckiem osłoniętym parasolem przeciwsłonecznym w koszu na pokładzie. Gdy wczesnym rankiem leżeli jeszcze w łóżku, a słońce migotało w białych szczelinach okiennic, Ralph, oplatając Poppy ramionami, opisywał drogę, którą ich szkuner pożegluje wokół Morza Śródziemnego.

- Neapol, Sycylia... a potem Zante... Zante to najpiękniejsza wyspa, jaka tylko istnieje, Poppy...

Oczami wyobraźni widziała białe piaski i turkusowe fale. Nieustannie odwiedzali ich przyjaciele Ralpa, zostając czasami kilka dni, a często kilka miesięcy. Szczodrze darzył ich swoim czasem, towarzystwem i gościnnością, a dom zawsze rozbrzmiewał dyskusjami, rozmowami i muzyką. W kwietniu, gdy wyruszyli do Grecji, przyjaciele Ralpa udali się tam również całą karawaną, by dzielić z nimi burzliwą podróż przez Adriatyk, a potem śmiać się i gawędzić, jadąc na mułach przez kamieniste wzgórza międzymorza. Do tego czasu Poppy, której w Londynie rzadko pozwalano wchodzić do kuchni, nauczyła się przyrządzać paellę, omlety i pieczeń oraz piec ciasta. Lubiła gotować, ale nienawidziła sprzątanina, więc dobrze jedząc, żyli w miłym nieporządku.

Rok później wydała na świat Jake'a, który był żywym, męczącym dzieckiem i chyba wręcz nie znosił spania. Wrócili do Włoch, do Neapolu. Saturator nie przyniósł im pieniędzy, musieli więc odłożyć kupno szkunera. Tymczasem zamieszkali w czynszowym domu z dwoma garncarzami. W dużych, mrocznych pokojach czuło się zapach farb i gliny. Ralph miał się zajmować finansową stroną garncarskiego interesu. Jego przyjaciele, których Poppy nazywała „lokatorami”, lub też - zależnie od nastroju - „domownikami”, zjechali także do Neapolu. Do

tego czasu Poppy zdążyła się już dowiedzieć, że Ralph, uznający jedynie skrajne uczucia, nie miał znajomych - gdyż albo kochał kogoś z całego serca, albo nabierał doń natychmiastowej i nieodwracalnej antypatii. Dla tych, których lubił, był bezgranicznie szczodry. Umiał sprawić, by wszyscy przyjaciele uważali, że są najważniejsi w jego życiu. Poppy zdawała sobie sprawę, że obdarzał ich sympatią, tak jak czyni to dziecko: bezkrytycznie i bez zastrzeżeń. Zrozumiała też, iż jej własna mieszczańska zazdrość o wzajemne uczucia „lokatorów” i Ralpa była nierozsądną, pożałowania godną małostkowością. Wszak owi ludzie pielęgnowali jedynie to, co sama kochała.

Nicole przysła na świat w 1923 roku po bolesnym i trudnym porodzie, podczas którego Poppy, pierwszy raz od dnia ślubu, wzywała matkę. Potem dość długo źle się czuła, więc Ralph karmił i kąpał nowo narodzoną córeczkę. Uwielbiał Nicole, którą natychmiast uznał za najładniejszą i najzdolniejszą z trojga swoich dzieci.

Gdy Poppy wróciła do zdrowia, cała rodzina Mulgrave'ów wyruszyła do Francji, gdzie Ralph wydzierżawił bar, gdyż garncarze zniknęli wraz z zyskami z przeprowadzonych przezeń transakcji. Z powodu dotkliwego braku pieniędzy nie mogli sobie pozwolić ani na kucharkę, ani na nianię do dzieci. Poppy nauczyła się, jak przyrządzać gulasz z resztek jagnięcego mięsa i gotowanego drobiu, a dzieci dziczały. Czasami była tak zmęczona, że zasypiała nad kuchennym piecem. Zaczęła też oburzać się na „lokatorów”, którzy przepijali zyski z baru. Gdy poskarżyła się Ralphowi, powiedział skonsternowany: „Ależ oni są moimi przyjaciółmi, Poppy”. Tego dnia pokłócili się zawzięcie.

Uratowała ich Genya de Baimdille, stara przyjaciółka Ralpa, która usłyszawszy o ich osiedleniu się w okolicy, odwiedziła pewnego dnia bar i dostrzegła poszarzałą twarz Poppy oraz posepny nastrój Ralpa. Genya zaprosiła całą rodzinę do swego zamku. Posiadłość La Rouilly leżała w pobliżu Royan na wybrzeżu Atlantyku, właścicielka zaś była polską emigrantką, która niegdyś poślubiła bogatego Francuza. Na twarzy Genyi wciąż widać było ślady urody, ale gorący klimat tak spalił delikatną cerę kobiety, że teraz jej twarz wydawała się spękana i pobrużdżona niczym pola i winnice wokół posiadłości. Lata, które pozabawiły Genyę urody, uszczupliły też znacznie jej majątek. Włości La Rouilly były w znacznej części zaniedbane i właścicielka,

choć przekroczyła już sześćdziesiątkę, pomagała przy zbiorach winogron, co teraz czynili również Mulgrave'owie.

Liczne okna kwadratowego zamku La Rouilly przysłonięte były zielonymi okiennicami z łuszczącą się farbą. Trawniki pożółkły i wyschły, a ogrody porastała płatanina schorowanych begonii i róż, które miały ogromną ilość liści i bardzo mało kwiatów. Z tyłu zamku rozciągało się zielone jezioro, za nim zaś akry lasu. Łagodnie opadające wzgórza miękko otulały winnice. Poppy uwielbiała La Rouilly. Mogłaby tam pozostać na zawsze, pomagając dawnej pokojówce Genyi, Sarze, oraz kucharce w obszernej kuchni, a także wyczarowując owoce i kwiaty z wysuszonej ziemi. Dzieci oraz „lokatorzy” zamieszkaliby w licznych pokojach La Rouilly, bo pani domu, podobnie jak Ralph, lubiła towarzystwo.

Jednak z nadejściem jesieni mąż zrobił się niespokojny; nowe pomysły wymagały jego czasu i pieniędzy, więc znów zostali nomadami, podążając za marzeniami Ralpha - za jego snami o idealnym kraju, najwspanialej usytuowanym domu i projekcie, który przyniesie rodzinie fortunę. Najpierw więc udali się na Tahiti i Goa, a po roku pożeglowali do Szanghaju. W Szanghaju wszyscy nabawili się gorączki tropikalnej i przez krótki czas myślano, że Nicole nie wyzdrowieje. Po tym doświadczeniu Poppy uparła się, że wrócą do Europy i tam już zostaną.

Każdego lata, gdy sprawy nie układały się zgodnie z nadziejami, jakie wcześniej żywił Ralph, wracali do La Rouilly, by cieszyć się gościnnością Genyi i pomagać przy winobraniu. Poppy odmierzała mijający czas wysokością splątanych gałęzi winorośli, do jakiej sięgały główki jej dzieci. W 1932 roku Jake, wówczas dziesięcioletni, ku oburzeniu i wściekłości Faith, dogonił starszą siostrę.

W tym samym roku poznali Guya.

Ralph przyprowadził Guya Neville'a do La Rouilly pewnego sierpniowego wieczoru. Poppy akurat skubała w kuchni drób i właśnie tam usłyszała głos męża, wołającego ku niej od tylnych drzwi:

- Gdzie jest ten cholerny klucz do piwnicy, Poppy?

- Zdaje się, że ma go Nicole. Mogła go zakopać - odchrzyknęła, a słysząc, że Ralph klnie, dodała: - Nicole jest z Felixem w pokoju muzycznym.



Felix, kompozytor i częsty gość w La Rouilly, był jednym z najbardziej lubianych przez nią „lokatorów”.

- Wielki Boże... - Ralph znowu podniósł głos. - Przeprowadziłem kogoś.

Z mroku wyłonił się nieznajomy młodzieniec i stanął w drzwiach kuchni.

- Przepraszam, że tak się tu wdarłem, pani Mulgrave. Przyniosłem to dla pani.

„To” okazało się pękiem maków, złocieni i stokrotek.

- To tylko polne kwiaty - dodał przepraszającym tonem gość.

- Są prześliczne - Poppy wzięła od niego bukiet i uśmiechnęła się - zaraz znajdę jakiś wazon, panie...

- Jestem Guy Neville - powiedział, wyciągając rękę.

Był wysoki i szczupły, a jego jedwabiste włosy połyskiwały kolorem miedzi. Przypuszczała, że miał dziewiętnaście, może dwadzieścia lat. Patrzył na nią najbardziej niezwykłymi oczami, jakie w życiu widziała: intensywnie niebieskozielonymi, osadzonymi nieprawdopodobnie głęboko, z ciężkimi powiekami, które marszczyły się przy każdym uśmiechu. Mówił z poprawnym akcentem angielskiej klasy średniej, akcentem dzieciństwa Poppy, która słysząc go, poczuła nieoczekiwany przypływ nostalgii. Pośpiesznie obliczała w myślach, czy kolacja zdoła się rozciągnąć na następnego gościa, doszła do wniosku, że tak, i wytarła zakrwawione ręce w fartuch.

- Jestem Poppy Mulgrave. Musi mi pan wybaczyć. Nienawidzę tej pracy, pióra są wystarczająco okropne, ale... - zawiesiła głos, miną wyrażając niechęć do patroszenia drobiu.

- Zrobię to, jeśli pani pozwoli. To zajęcie jest niemal równie okropne jak resekcja płuca - mówiąc to, gość sięgnął po nóż i usiadł.

- Pan jest lekarzem?

- Studentem medycyny. W czerwcu skończyłem pierwszy rok studiów, więc pomyślałem, że należy mi się niewielka podróż.

Drzwi się otworzyły i weszła Faith.

- Nicole płacze, bo tata kazał jej wykopać klucz, ale ja się cieszę, ponieważ to i tak lepsze niż tamte straszne wrzaski.

Niespełna dwunastoletnia, drobna i chuda Faith była największą pociechą Poppy. Miała racjonalne usposobienie i wiele zdrowego rozsądku, którego - jak obawiała się matka - brakowało zarówno jej bratu, jak i młodszej siostrze. Teraz

przyszła ubrana w długą koronkową halkę, którą zamiatała podłogę, i stary sweter Poppy, z dziurami na łokciach. Rozejrzała się po kuchni.

- Jedno z tatusiowych bezdomnych dzieci? - zapytała szeptem.

- Chyba tak - odrzekła również szeptem matka. - Ale ten przynajmniej jest dobry w patroszeniu drobiu.

Dziewczynka okrążyła stół, by przyjrzeć się lepiej gościowi.

- Cześć.

Guy podniósł wzrok.

- Cześć.

Patrzyła na niego przez dobrą chwilę.

- Zawsze się wydaje, że jest tego znacznie więcej, niż można by przypuszczać, prawda? - zauważyła, wskazując masę wnętrzości.

- Chyba tak - roześmiał się Guy.

- Felix uczy Nicole śpiewać, a Jake'a grać na fortepianie, ale mówi, że ćwiczenie czegokolwiek ze mną jest bezsensowne, ponieważ nie mam słuchu - wyjaśniła.

- Ja też - odpowiedział przyjaźnie Guy. - Zdarza mi się trafić we właściwy ton tylko przez przypadek.

Faith odciągnęła matkę na bok.

- Wygląda, jakby był okropnie głodny, nie sądzisz?

Poppy rzuciła okiem na młodzieńca. Wygląda niemal na zagłodzonego, pomyślała, jakby od tygodni nie jadł porządnego posiłku.

-Miną wieki, zanim te kury się ugotują, są dość stare i twarde. Znajdziemy trochę chleba i sera, prawda, kochanie?

Ponieważ w La Rouilly mieszkało dziesięciu innych gości, a każdy wymagał czasu i uwagi Ralpa, Faith postanowiła zaanektować Guya. Zaintrygował ją - wypatroszył kury z niezwykłą starannością i precyzją. Każdy Mulgrave uporałby się z tym szybko i gwałtownie, osiągając niemal identyczny rezultat, ale zrobiłby znacznie większy bałagan. Podczas kolacji młodzieniec spierał się z Ralphem, czynił to jednak z taką uprzejmością i opanowaniem, jakich nigdy przedtem nie widziano w La Rouilly. Nie uderzał w stół szklanką wina, by podkreślić swój punkt widzenia, ani nie wpadł w gniewną irytację, gdy Ralph oświadczył, że jego poglądy są idiotyczne. Ilekroć Poppy wsta-

wała od stołu, Guy zrywał się także, by pomóc jej pozbierać talerze i otworzyć drzwi.

Popijanie i rozmowy zakończyły się nad ranem. Poppy poszła do łóżka znacznie wcześniej, a Ralph zapadł w sen w swoim fotelu. Guy rzucił okiem na zegarek.

- Doprawdy nie zdawałem sobie sprawy... jakież jestem niegrzeczny. Muszę już iść - powiedział i zabrawszy z kuchni swój plecak, ruszył w mrok.

Faith poszła za nim. Guy przystanął na zwirowym dziedzińcu i rozglądał się niepewnie wokół siebie.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

- Chyba straciłem orientację. Nie mogę sobie przypomnieć, jak dojść z powrotem do wioski.

- Nie chcesz zostać tutaj na noc?

- Nie chciałbym się narzucać...

- Mógłbyś spać w jednym z tych pokoi na strychu, ale prawdę mówiąc, nie są zbyt przyjemne... sufit odpada tam kawałkami. Prawdopodobnie o wiele przyjemniej spałoby ci się w stodole.

- Mógłbym? Jeśli nie jest to zbyt kłopotliwe...

- To żaden kłopot - odrzekła uprzejmie. - Przyniosę ci koc. Po chwili wróciła z kocem oraz poduszką i pokazała mu stodołę.

- Ułóżysz się na sianie i zawiniesz w koc. Nicole i ja śpimy tu czasem, kiedy jest bardzo gorąco. Najlepiej, jeśli wejdiesz na górę, bo na dole są szczury.

Opróżnił plecak, wyrzucając jego zawartość na siano. Faith przyglądała mu się z uwagą.

- Wszystko jest poskładane!

- To nawyk. Szkoła z internatem, rozumiesz...

Ułożyła mu poduszkę i wyjęła z kieszeni kawałek świecy.

- Możesz ją zapalić, gdybyś chciał czytać.

- Dziękuję, ale mam latarkę. Nie chciałbym spalić tego domu, a mógłbym, zważywszy, ile wypilem.

Następnego ranka Faith przyniosła Guyowi śniadanie: dwie brzoskwinie i rogalik zawinięty w niezbyt świeżą serwetkę oraz dzbanek czarnej kawy. Gość jeszcze spał, okutany w koc, spod którego wystawała tylko głowa i jedna wyciągnięta ręka. Przyglądała mu się przez chwilę, myśląc, jaki jest spokoj-

ny i jak różni się od Jake'a, który zawsze chrapał i pochrząkiwał przez sen. Później wymówiła miękko jego imię. Mruknął coś i otworzył jedno niebieskozielone oko.

- Okropnie boli mnie głowa - jęknął.

- Wiem, że goście taty często cierpią na tę przypadłość. Przyniosłam ci coś do zjedzenia.

Usiadł.

- Nie jestem głodny.

Siadając obok Guya na sianie, wsunęła mu w dłoń dzbanek z kawą.

- Wypijesz później, sama ją zrobiłam. Młodzieniec spojrzał na zegarek.

- Jedenasta... Wielkie nieba... - jęknął znowu, przecierając oczy.

- Tylko Genya i ja już wstałyśmy. Nie jestem pewna, gdzie jest Jake. To mój brat - wyjaśniła Faith. - Nie widzieliśmy go... od wtorku.

Była niedziela.

- Rodzice się niepokoją? - zapytał Guy. Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Czasami znika na całe tygodnie. Mama trochę się denerwuje - tłumaczyła, a potem dodała uprzejmie: - Wypij tę kawę, Guy, od razu poczujesz się lepiej.

Gdy wypił, Faith nakarmiła go kawałkami rogalika.

- Muszę iść - powiedział po chwili.

- Dlaczego?

- Nie chcę nadużywać państwa gościnności.

Patrzyła na niego urzeczona. Nie przypominała sobie, by któryś z „lokatorów” powiedział kiedyś coś takiego.

- Tata nie będzie mieć nic przeciwko temu, a faktycznie wścieknie się, jeśli odejdziesz dzisiaj, bo są jego urodziny. Mamy oglądać łódź, którą chce kupić, a później będzie piknik na plaży. W dniu jego urodzin zawsze urządzamy piknik na plaży. Będzie tam cię oczekiwać.

- Naprawdę?

- Naprawdę - odrzekła zdecydowanie. - Gdzie tata cię spotkał, Guy?

- Próbowałem dostać się jakoś do Calais - wyjaśnił ponuro. - Jakiś bękart... przepraszam, jakiś nicpoń... w Bordeaux... ukradł mi portfel i paszport. Chyba będę musiał pojechać do konsulatu.

Znowu przyglądała mu się uważnie. Miał dłuższe rzęsy niż ona, co wydawało się Faith niesprawiedliwe.

- Gdzie mieszkasz?

- W Anglii. W Londynie.

- Jak wygląda twój dom?

- Zwyczajnie: typowy jednorodzinny londyński dom z czerwonej cegły.

Znasz ten rodzaj domów.

Nie znała, ale skinęła głową.

- A twoja rodzina?

- Składa się jedynie z mojego ojca i mnie.

- Nie masz matki?

- Zmarła, kiedy byłem mały.

- Twój ojciec został całkiem sam i nie czuje się samotny?

- Mówi, że nie - odrzekł, krzywiąc się Guy. - Kazał mi podróżować. Wierzy, że podróże poszerzają horyzonty umysłowe.

- A zatem rodzina Mulgrave'ow musi mieć ogromnie szerokie horyzonty, bo my stale podróżujemy.

Rzucił jej szybkie spojrzenie.

- A szkoła? Masz guwernantkę?

- Mama od czasu do czasu ściąga tu jakąś, ale zawsze odchodzą. Ostatnia nie znosiła pajaków, więc możesz sobie wyobrazić, co myślała o La Rouilly. Czasami Jake chodzi do wiejskiej szkoły, ale często wdaje się tam w bójki. Felix uczy tamtych dwoje muzyki, a jeden z „lokatorów” ćwiczy nas w strzelaniu i jeździe konnej. Tata mówi, że to najważniejsze.

Przez kilka następnych dni Guy kilkakrotnie powtarzał: „Doprawdy, powinienem już jechać...”, ale Faith zatrzymywała go, a La Rouilly działało swoją magią i po pewnym czasie on także, jak wszyscy inni, niepostrzeżenie wszedł w inny rytm: wstawał późno i niespiesznie jadł ciągnące się długo posiłki, dyskutując i pijąc z Ralphem do późnej nocy, dni zaś spędzał w towarzystwie Poppy lub Felixa albo dzieci.

Wiosłując po wąskim, pełnym żab jeziorze na tyłach zamku, Jake zadreślał nowego przyjaciela prośbami o opowieści o szkole.

- Każdego ranka zimna kąpiel? Nawet wtedy, kiedy nie byliście brudni? Dlaczego?

- Chodziło o pobożność, jak sądzę - tłumaczył Guy, machając wiosłami.

Cała trójka patrzyła na niego, nie rozumiejąc.

- Będąc starannie umyтым, jest się bliżej Boga - wyjaśnił Guy, wzruszając ramionami. - To oczywiście śmieszne.

- Opowiedz o śniadaniach - poprosiła Nicole.

- Angielska owsianka i szproty. Owsianka to rodzaj puddin-gu z owsianej mąki, a szproty to wędzone ryby z mnóstwem małych ości.

- Brzmi niezbyt...

- I było absolutnie okropne. Ale należało to jeść.

- Dlaczego?

- Zasady...

- Jak zasady rodziny Mulgrave'ów - zauważyła Faith.

- Jakie są zasady rodziny Mulgrave'ów? - zapytał zaciekawiony Guy.

Spojrzała szybko na brata i siostrę.

- „Trzymać się z dala od taty, kiedy jest w złym humorze -recytowała. - Próbować przekonać tatę, by pozwolił mamie wybrać dom”.

- „Jeśli mieszkańcy jakiejś okolicy są do nas nastawieni wrogo - uzupełnił Jake - wtedy mówić w obcym języku, żeby ich wprawić w zakłopotanie”...

- „...,a jeśli są naprawdę okropni i rzucają w ciebie kamieniami, nigdy, przenigdy nie pozwól im zobaczyć, że masz coś przeciwko temu” - dokończyła Nicole. - Ponadto: „Trzymać się razem bez względu na wszystko” - dodała i wpatrując się w Guya, zapytała: - Czy twoja szkoła zawsze była w tym samym miejscu?

- Tak, odkąd ukończyłem dwanaście lat. Faith wzięła od niego wiosła.

- Widzisz, Guy, my nigdy nie mieszkaliśmy w tym samym miejscu dłużej niż rok. Oprócz La Rouilly, oczywiście, ale spędzamy tu tylko kilka miesięcy w roku. Okropnie ci zazdrościmy. Szczęściarz z ciebie!

- Prawdę mówiąc, szkoła jest ogromnie nudna. Nie ma czego zazdrościć.

Faith utkwiała w nim smutne szarozielone oczy.

- Jednak twoje rzeczy zawsze są w tym samym miejscu. Masz swoje własne, a nie cudze talerze i krzesła. Mogłeś mieć różne miłe drobiazgi, które się nie gubiły, i nie musiałeś ich zostawiać, bo nie zmieściłyby się w walizce. Jadłeś obiady i kolacje codziennie o tej samej porze - w jej głosie słychać było lęk - i nie masz dziurawych skarpetek.

- Nie myślałem o tym w taki sposób.

Faith skierowała łódź w poprzek jeziora, wprawiając wiosła w ruch szczupłymi ramionami i nachylając ją, gdy wplątali się w sitowie.

- Masz szczęście - powtórzyła.

Wrócił do La Rouilly następnego lata. Faith, opalając się na dachu, ujrzała z daleka najpierw postać tak niewielką jak figurka szachowa, a potem - nie mogło być pomyłki - Guya zbliżającego się długą, krętą drogą do *chateau*. Odwiedził ich także kolejnego lata i następnego... Zawsze myślała o Guyu jako o swoim gościu. Ona jedna spośród wszystkich członków rodziny wyczuwała w nim pewną bezbronność i wrażliwość na ciosy, dostrzegła też poważniejszą stronę jego niefrasobliwej natury oraz gotowość wzięcia na własne barki wszystkich kłopotów świata. Jeśli zdarzało się, że wyglądał smutno, proponowała kolejne rozrywki lub po prostu żartowała, dopóki się nie rozchmurzył. Najprzyjemniejsza chwila całego roku, twierdziła w głębi duszy, chwila, którą chętnie utrwaliby na zawsze w bursztynie, to ta, gdy Guy Neville wracał do La Rouilly.

Każdego lata pływali w jeziorze, pokrytym grubą warstwą przejrzystej zieloności. Każdego lata jadali poziomki zbierane z obrzeży pól i popijali je wytrawnym białym winem „Chateau La Rouilly”. Każdego lata cała rodzina, „lokatorzy” i pracownicy posiadłości ustawiali się na frontowych schodach zamku, gdy Guy robił im zdjęcie swoim aparatem fotograficznym.

Latem 1935 roku zbierali w lesie trufle. Nicole chaotycznie uderzała kijem w ściółkę.

- Jak one wyglądają?

- Jak brudne kamienie.

- Potrzebne nam wężące zwierzę.

- Jake ma prosić Genyi.

- Tak czy inaczej nienawidzę trufli. Poza tym jest zbyt gorąco, żeby chodzić po lesie - stwierdziła Nicole, osuwając się na mech i wyciągnawszy przed siebie gołe nogi, plecami oparła się o pień drzewa. - Bawmy się w szarady.

- Do tego jest nas za mało. - Faith rozglądała się wokoło po mrocznej, leśnej gęstwinie. - Nie widzę Jake'a ani Guya.

- Ani prosięcia - zachichotała Nicole. - Zagrajmy więc w skojarzenia.

Była to przeraźliwie skomplikowana gra Ralpa. Faith usadowiła się na gałęzi nad siostrą.

- Jest za gorąco i już boli mnie głowa - zaprotestowała.

- To grajmy w „ulubione rzeczy”.

- Jeśli masz ochotę. Tylko nie pytaj mnie o muzykę, bo nie pamiętam.

Nicole podniosła wzrok ku Faith.

- Musisz mówić prawdę, pamiętaj.

- Obiecuję.

- Twoja ulubiona plaża?

- Zante.

- A ja wolałam Capri. Ulubiony dom?

- La Rouilly, oczywiście.

- Oczywiście.

- Teraz moja kolej. Twoja ulubiona książka?

- „Wichrowe wzgórza”, a mój najulubieńszy bohater to Heath-cliff, naturalnie.

- Byłby trudny do współżycia - zauważyła starsza siostra. -Awanturowałby się, gdyby grzanki okazały się przypalone, a jego kawa nie była dość słodka.

- A twój, Faith?

- Co: mój?

- Twój najulubieńszy bohater?

Faith siedziała na gałęzi, machając nogami. Co jakiś czas promień słońca przedzierał się przez gęstwinę konarów i oślepił ją na moment.

- Mów prawdę! - zawołała Nicole.

- To niemądra gra. - Siostra zeskoczyła z gałęzi, obsypując Nicole liśćmi.

- To nie fair! - zezłościła się tamta. - Obiecałaś! Musisz mi przynajmniej powiedzieć, jak on wygląda. Ma ciemne włosy czy jasne?

- Ciemne.

- A oczy? Niebieskie czy brązowe.

Są ciemnobłękitnozielone, pomyślała Faith, barwy Morza Śródziemnego, gdy pada na nie cień. Poczowała się niewyraźalnie nieszczęśliwa i zaczęła uciekać od Nicole, przedzierając się przez gęstwinę dzikiego czosnku.

- To nie fair! Proszę! - Głos siostry podążał za nią, gdy odbiegała coraz dalej.



Blżej brzegu jeziora leśne poszycie stawało się gęstsze i bardziej bujne. Gruba ściana traw i jeżyn sięgała Faith do pasa, a rzepy czepiały się jej spódnicy, więc uniosła ją do góry i wsunęła rąbek w sięgające do kolan granatowe majtki. Wysokie łodygi traw uderzały ją w biodra; korony drzew utworzyły mroczny baldachim przeszywany smugami złotego światła. Gdy wbiegła w dolinę, żar niemal przygniótł ją swoim ciężarem. Drzewa się przeredziły, a słoneczny blask rozjaśnił płatanię krzaków. Zobaczyła, że na kwiatach i liściach przysiadły stada motyli o delikatnych błękitno-purpurowych skrzydłach obwiedzionych wąskim paskiem czerni. Gdy Faith podeszła bliżej, uniosły się w powietrzu niczym kruche skrawki błękitnego jedwabiu, porwane przez wiatr i połyskujące w słońcu.

Żmija - zwinięta wśród opadłych liści i traw - była niewidoczna. Przez chwilę Faith wydawało się, że to ziemia skręciła się pod jej stopą, a potem coś ukłuło ją w kostkę. Zobaczyła prześlizgujący się wśród roślin smukły kształt, a potem spojrzała w dół na dwa niewielkie punkciki, które zostały na jej nodze. To dziwne, pomyślała, jak w jednej chwili dzień może się zmienić z miłego i zwyczajnego w absolutnie przerażający. Oczami wyobraźni widziała jad wsączający się przez żyły, zatruwający jej krew i mrozący serce. Rozejrzała się wokół, ale początkowo nikogo nie dostrzegła. Las wydawał się zimny, opustoszały i groźny. Potem na wysokim zboczu przed sobą ujrzała jakiś poruszający się cień i z krzykiem zaczęła pięć się ku górze.

- Faith?

Usłyszawszy głos Guya, podniosła wzrok.

- Żmija mnie ukąsiła!

- Nie ruszaj się. Spokojnie - powiedział szybko i zbiegł ze zbocza, przedzierając się przez poszycie i rozsuwając kijem pokrzywy i krzaki, a gdy dotarł do Faith, uklęknął na ziemi, ściągnął jej sandał, przyłożył usta do kostki i ssał ranę, co jakiś czas robiąc przerwy, by wypluć jad. Kiedy zaś po chwili Faith poczuła chłód i dreszcze, Guy wstał i otulił ją swoją marynarką, a potem wziął dziewczynę na ręce. Czowała się tak, jakby ktoś uderzył ją w stopę drewnianym młotkiem. Słońce połyskujące przez ciemne gałęzie drzew wydawało się twardym jaskrawym werblem, który pulsował w jednym rytmie z bolącą stopą. Guy niósł Faith, szybko przedzierając się przez las i roztrącając ramionami gałęzie. Kiedy wynurzyli się z osłony drzew, żar słoń-

ca runął na nich z całą siłą. Upał i susza zmieniły trawnik w kwadrat spieczonej ziemi: sama trawa zaś była szczecina wyschniętej, zbrązowiałej rafii. Niebo raziło oślepiającym blaskiem. Wyrwijająca chwasty z warzywnej grządki Poppy krzyknęła na ich widok i zaczęła biec przez ogródek.

Kilka następnych dni Faith spędziła w kuchni na zniszczonej sofie, opierając spuchniętą stopę na stercie poduszek. Zabawiał ją niekończący się strumień gości.

- Felix mi śpiewa - opowiadała Guyowi - Luc i Philippe grają ze mną w pokera, a wszystkie dzieci przychodzą, by zobaczyć ślady, jakie pozostawiły zęby żmii. Doprawdy nie jestem do tego przyzwyczajona, Guy. Zwykle to Nicole i Jake cieszą się największą uwagą wszystkich, bo są ładniejsi, bardziej utalentowani i w ogóle godni podziwu.

W wyglądzie Faith cechy rodziny Mulgrave'ow połączyły się, tworząc coś niekonwencjonalnie pięknego. Ona sama jednak rozpacziała z powodu swego wysokiego czoła, jasnych włosów, które ani się nie kręciły, ani nie były proste, i onyksowozielonych oczu, zawsze jak gdyby pełnych żalu, niezależnie od jej samopoczucia.

Guy potargał jej czuprynę.

- Nie będziesz mieć dla mnie czasu. Podniosła ku niemu wzrok.

- Dla ciebie zawsze będę miała czas, Guy. Ocaliłeś mi życie, a to znaczy, że zawsze będę twoją dłużniczką. Teraz jestem twoja na zawsze, czyż nie?

Jesienią pojechali do Hiszpanii. Trzej przyjaciele Ralpha kupili tam gospodarstwo i zamierzali zrobić fortunę na uprawie szafranu.

- Szafran wart jest tyle złota, ile waży, Poppy - wyjaśniał jej mąż.

Mieszkali już wcześniej w Hiszpanii, dokładnie zaś w Barcelonie i Sewilli, więc Poppy spodziewała się błękitnych morskich wód oraz cytrynowych drzew i fontann na marmurowych dziedzińcach.

Szafranowe gospodarstwo ją zaszokowało. Przylegający do krańca wioski na rozległej i nieciekawej równinie dom, który dzielili z przyjaciółmi Ralpha, znajdował się w opłakanym stanie. Małe okna wychodziły na ziemię tak wypaloną i jałową,

że Poppy nie wierzyła, by cokolwiek mogło tam urosnąć. Jedyne barwy wokół były czerwień, ochra i brąz. Wioskę zamieszkiwały chude osły i udęczeni chłopcy, których życie, jak sądziła Poppy, chyba niewiele się zmieniło od czasów Czarnej Śmierci. Kiedy padał deszcz, suchy pył zamieniał się w błoto tak głębokie, że sięgało Nicole po kolana. Rozciągało się wszędzie, nawet chłopskie chaty zdawały się z niego ulepione. Dom nie miał ani bieżącej wody, ani kuchennego pieca. Wodę trzeba było przynosić z wiejskiej studni, a jedzenie gotowano na otwartym ogniu. Uprawiający szafran mężczyźni zdawali się żywić wyłącznie przasnym chlebem i oliwkami; cały dom zaśmiewał się skórki i pestki.

- Cieszę się, że przyjechaliście. Z pewnością potrafisz ugotować nam przyzwoite posiłki - powiedział jeden z przyjaciół Ralpa, pokazując Poppy prymitywne palenisko.

Ona zaś, patrząc na tę kuchnię, miała ochotę się rozplakać.

Pod koniec tygodnia odciągnęła męża na bok i oznajmiła mu, że to niemożliwe. Spojrzał zdziwiony, niczego nie rozumiejąc. Ten dom, wyjaśniła. Ta wioska. Przygnębiająca, dotknięta ubóstwem okolica. Muszą stąd wyjechać i wrócić do cywilizacji.

Mąż był zaskoczony. Wszak dom jest wspaniały, towarzystwo dobre, więc czemuż u licha, mieliby wyjeżdżać?

Poppy przekonywała, Ralph stawał się wojowniczy. Ich głosy podnosiły się i odbijały echem od okopconego sufitu. Mąż pozostał nieugięty: z pewnością zbija tu fortunę, jeśli tylko Poppy będzie cierpliwa, a poza tym zainwestował dochody ze swoich tantiem i jej dożywocia w bulwy szafranu oraz wszystko, czego potrzeba do ich uprawy. Prawdopodobnie nawet nie mogliby więc teraz wyjechać. Kiedy żona, tracąc panowanie nad sobą, rzuciła w niego talerzem, Ralph umknął na swe szafranowe pola, by topić smutek w butelce kwaśnego czerwonego wina. Gniew pozostawionej w samotności Poppy przeszedł w żal; osunęła się na krzesło i zapłakała. Przez kilka następnych tygodni starała się przysposobić ten dom do zamieszkania, ale nieustannie ponosiła porażki. Przyjaciele Ralpa w każdej izbie pozostawiali ścieżkę zabłoconych śladów; ogień pod kuchnią, tłumiony wilgocią i chłodem z równiny, zamierał i gasł w najbardziej nieodpowiednich momentach, świeżo wyprane prześcieradła i ręczniki pokrywały się pleśnią, zanim

zdążyły wyschnąć. Brak jakiegokolwiek dorosłego kobiecego towarzystwa wprawiał Poppy w przygnębienie.

Kiedy zima w końcu minęła i nadeszła wątpa wiosna, Poppy zaczęła czuć się niedobrze. Ponieważ przez dwanaście lat, które minęły od przyjścia na świat Nicole, nie zachodziła w ciążę, więc aż do siódmego miesiąca nie uświadomiła sobie, że oczekuje czwartego dziecka. Mdłości i ospałość złożyła na karb wilgotnego domu i wstrętnej, znienawidzonej okolicy. Odwiedziwszy jednak lekarza w Madrycie, dowiedziała się, że jest w ciąży, a dziecko urodzi się we wrześnie. Na tę wieść wydała z siebie westchnienie ulgi: odbędzie poród w La Rouilly z pomocą drogiego, godnego zaufania starego doktora Lepage'a.

Jeśli niektóre elementy jej życia z Ralphem nie wyglądały dokładnie tak, jak oczekiwała (a czego oczekiwała, wyjeżdżając z nim do Paryża tamtego odległego wieczoru w Deamdle?), to przecież zawsze zachwycała się dziećmi, a posiadanie czwartego byłoby rozkoszą. Troje pierwszych urodziło się w tak krótkich odstępach czasu, że gdy pojawiła się Nicole, Poppy była właściwie zbyt wyczerpana, by się nią cieszyć. Robiła więc teraz na drutach małe sweterki, szyła nocne koszulki, marzyła o Francji i o tym, że wychylając się ze swego *bateau-lit* będzie spoglądać na synka w kołysce obok niej. Była pewna, że urodzi chłopca.

Wydała na świat synka, ale w Hiszpanii, nie we Francji. Dziecko urodziło się dwa miesiące przed terminem, w sypialni, którą dzieliła z Ralphem. W promieniu osiemdziesięciu kilometrów nie było lekarza, więc przy porodzie pomagała jakaś spowita w czarny szal kobieta z wioski. Poppy nie miała kołyski, tym razem wszakże jej nie potrzebowała, bo dziecko żyło tylko kilka godzin. Leżała w łóżku z synkiem w ramionach, pragnąc jedynie, aby żył. Był zbyt słaby i nie mógł ssać jej piersi. Wiejska akuszerka nalegała, by posłać po księdza, który ochrzcił dziecko imieniem Philip, na cześć ukochanego wujka Poppy. Gdy słaba praca płuc noworodka ostatecznie ustała, Ralph zapłakał, zabierając synka z ramion Poppy.

Po tygodniu zaproponował, by wcześniej wyjechali do Francji, Poppy jednak odmówiła. Niewiele się odzywała od czasu narodzin i śmierci Philipa, lecz teraz wypowiedziała krótkie, ale zdecydowane „nie”. Kiedy Ralph wyjaśnił jej, że ziemia okazała się nieodpowiednia dla szafranu, a ten dom leży zbyt

daleko, by mogli ich tu odwiedzać przyjaciele, i że właśnie obmyślił cudowny plan odzyskania straconych pieniędzy, spokojnie potrząsnęła głową. Przez cały dzień siedziała w cieniu werandy z oczami utkwionymi w resztkach roślin na polu i odległym, przykościelnym cmentarzu.

W połowie lipca, gdy w Madrycie wybuchła wojna domowa, Ralph znowu namawiał żonę do wyjazdu, a Poppy jeszcze raz potrząsnęła głową. I dopiero wtedy, gdy jeden z przyjaciół męża powiedział, że chaos, który ogarnia Hiszpanię, stanowi zagrożenie dla pozostałych dzieci, Poppy zgodziła się w końcu, by Faith spakowała bagaże.

Dwa dni później opuścili Hiszpanię, udając się łądem do Barcelony, a stamtąd - statkiem pełnym uchodźców, żołnierzy i zakonnic - popłynęli do Nicei. Siedząc na pokładzie, wpatrzona w znikający brzeg, Poppy miała wrażenie, że serce wyrywa jej się z piersi.

W La Rouilly próbowała wytłumaczyć Genyi, jak się czuje.

- Musiałam go zostawić, w tym okropnym miejscu, samego... Jakie to straszne: wyjechać stamtąd, opuścić go, porzucić!

- Poppy wyrzucała z siebie pojedyncze słowa. - To przerażające miejsce i myślałam, że oszaleję. Odludne i ohydne; miejsce, gdzie wszyscy wydają się nieszczęśliwi. A teraz czytam w gazetach, że oni palą kościoły i zabijają księży. Wciąż myślę... wciąż myślę, co będzie, jeśli zbezczeszczą groby? Co będzie, jeśli... -Dłoń Poppy zacisnęła się na kruchym nadgarstku starszej kobiety.

Przyjaciółka objęła ją ramieniem. Poppy trzęsła się od płaczu. Po chwili Genya naląła do szklaneczki brandy i wsunęła w drżące dłonie tamtej.

- Wypij, kochana Poppy, to sprawi, że poczujesz się lepiej. Mam kuzynkę w Madrycie. Jeśli mi powiesz, jak się nazywa wioska, w której mieszkaliście, Maria będzie mogła sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Poppy wpatrywała się w nią z nadzieją.

- Och, Genyu, naprawdę zechciałabyś ją o to poprosić?

- To może trochę potrwać. Dokąd Ralph zamierza się udać tej jesieni?

- Nie wiem - odpowiedziała Poppy, wzruszając ramionami.

- Znasz go przecież. Nie dowiem się tego aż do dnia, gdy każe

mi pakować bagaże. - W jej głosie brzmiała gorycz. - Moze na Riwierę? Ralph lubi Riwierę zimą.

- A zatem napiszę na poste restante w Nicei, kiedy będę miała jakieś wiadomości.

Poppy wstała i podeszła do okna.

- Wiesz, Genyu - mówiła powoli - gdy kilka dni temu podeszłam rano' do okna i otworzyłam okiennice, przez chwilę nie mogłam sobie uprzytomnić, w jakim kraju jestem. Po pewnym czasie wszędzie wszystko zaczyna wyglądać tak samo. Drzewa z żółknącymi liśćmi, pola, gdzie nic już nie może urosnąć, i ponure, zaniedbane domy. Wszystko zaczyna wyglądać tak samo...

Nie powiedziała jednak tamtej, jak wielki gniew czuła do męża- tego nie mogła powiedzieć nikomu. Ow gniew przypominał coś żywego, był niszczącą ją pasją, silniejszą nawet od zawsze obecnego smutku. Chociaż wiedziała, iż jest niesprawiedliwa oskarżając męża o śmierć Philipa - wszak to ona sama zbyt wczesnie wydała dziecko na świat - to jednak owo uczucie nie ustępowało. Gdyby nie zabrał ich do tego okropnego miejsca; gdyby nie obstawał przy pozostaniu tam mimo jej próśb, żeby wyjechać... , .

Zrobiła to, czego nie uczyniła nigdy przedtem: odwróciła się od niego w łóżku, mówiąc, że nie wróciła jeszcze do zdrowia po przedwczesnym porodzie. Z przyjemnością patrzyła na boi, jaki odmalował się na twarzy męża, gdy odrzuciła jego pieśczoły.

Tej zimy osiedli w Marsylii, w mieszkaniu przy jednej z bocznych ulic miasta. Ralph realizował swoje najnowsze przedsięwzięcie, sprzedając dywany sprowadzane z Maroka. Poppy co miesiąc udawała się do Nicei i szła na tamtejszą pocztę List nadszedł w lutym. Genya pisała: „Moja kuzynka Maria zdołała odnaleźć wioskę, w której mieszkaliście po Bożym Narodzeniu. Kościół i cmentarz są nietknięte. Maria położyła kwiaty na grobie, tak jak ją o to prosiłam...”.

Stojąc samotnie nad brzegiem morza i spoglądając na kamienistą plażę, Poppy zapłakała. Po pewnej chwili uświadomiła sobie, że szare fale i pokryte chmurami niebo przypominają jej owe dawne wakacje: tamte, które spędzała w Deauville w 1920 roku. Wiedziała już od kilku tygodni, że mąż, dotknięty jej chłodem, wdał się we flirt z jedną z „lokatorek”, niejaką Louise. Ta wyjątkowo głupia dziewczyna darzyła Ralpha bez

krytycznym uwielbieniem, które było balsamem na jego zranioną dumę. Poppy wiedziała, że stoi wobec wyboru: mogła bądź karać męża nadal, a zatem oddać go Louise albo jakiejś jej następczyni i tym samym usankcjonować rozpad małżeństwa, bądź też sprawić, by wrócił, pokazując, że - choć tyle się zmieniło - wciąż go kocha. Pomyślała o dzieciach i przypomniała sobie mężczyznę stawiającego na plaży zamek z piasku; budowlę kruchą, lecz tak piękną, że doprowadziła ją do płaczu. Ocierając łzy, Poppy ruszyła na dworzec.

W domu pokazała Ralphowi list od przyjaciółki. Nie powiedział ani słowa, tylko odwrócony plecami stanął przy oknie, ale Poppy widziała, jak cienka kartka drży mu w dłoniach, więc podeszła, objęła pochylone mężowskie ramiona i pocałowała go. Zauważyła, że przytył, a jego włosy wydawały się teraz raczej srebrne niż złociste. Chociaż była trzynaście lat młodsza od Ralpha, czuła się znacznie starsza. Długo stali objęci, a potem poszli do łóżka i kochali się jak dawniej.

A jednak niektóre z owych zmian, jakie się w Poppy dokonały, były trwałe. Gdy Ralph, pokazując jej jakiś skrawek papieru, na którym wcześniej nabazgrał kilka cyfr, powiedział: „Poppy, jestem przekonany, że za sześć miesięcy będziemy mieć dość pieniędzy, aby kupić szkuner. Interes z dywanami się rozkręca, ludzie tutaj płacą za nie dziesięć razy więcej, niż kosztują w Afryce”, uśmiechnęła się, lecz nie powiedziała arii słowa, wiedząc, że żaden z jego poprzednich pomysłów nie przetrwał dłużej niż rok. Pierwszy raz założyła konto bankowe na własne nazwisko i wpłacała na ten rachunek odsetki z dożywocia po ojcu, zamiast oddawać je mężowi. Mieszkanie, w którym się zatrzymali, było ciasne i nędzne - Poppy czuła, że nadchodzą cięższe czasy.

Zaczęła tęsknić za pochmurnymi angielskimi wiosnami, za strzyżonymi żywopłotami pokrytymi srebrem szronu i za bladym słońcem wczesnego poranka, prześwitującym przez bezlistne dęby i buki. Utraciwszy syna, straciła też zdolność dzielenia z Ralphem wiary w różową przyszłość. Dostrzegła pułapki i niebezpieczeństwa ich dotychczasowego życia. W wieku trzydziestu ośmiu lat zaczęła, jak sądziła, w końcu dorastać.

Gdy nadszedł, a potem minął pierwszy tydzień sierpnia 1937 roku i Guy nie przybył do La Rouilly, Faith zaszywała się

na rozległych zamkowych mansardach, gdzie mogła być sama z letnim żarem i muchami i skąd przez małe zakurzone okienka spoglądała na ścieżkę wijącą się przez las od strony drogi.

Zamkowe poddasza były pełne skarbów. Znalazła tam szkaradne abażury, niemożliwie nudne, inkrustowane pleśnią książki oraz cały pęk rdzewiejących szpad. A także niezliczone pudła strojów. Faith rozkładała je z pełną czci ostrożnością. Bibułki szeleściły niczym motyle skrzydła, guziki migotały, wstążki połyskiwały, a nazwy wyhaftowane na metkach - „Poiret”, „Vionnet” czy „Doucet” - wydawały się poezją. W przyćmionym świetle mansardy zamieniała swoje wyblakłe bawełny na delikatne barwy szyfonu i chłód jedwabiu, a potem w lustrze oprawnym w pozłacane ramy oglądała własne odbicie. Miniony rok ją odmienił. Urosła, kości policzkowe wymodelowały jej twarz, a świeżo ukształtowane piersi i biodra sprawiały, że owe suknie leżały właściwie.

Zewnętrzny rozwój Faith jak gdyby startł również jakąś warstwę z powierzchni jej serca. Chociaż wcześniej zawsze cieszyła się na przyjazd Guya Neville'a do La Rouilly, tego lata jego spóźnienie wprawiło ją w zdenerwowanie i niepewność. Z obawy, że zostanie wyśmiana, nie wyznała swego cierpienia nikomu. Chociaż wszyscy czekali na gościa, choć Poppy niecierpliwie spoglądała na kalendarz, a Ralph i Jake sprzeczali się żywo, Faith nie potrafiła głośno wyrazić ogarniających ją obaw: że Guy już nie przyjedzie do La Rouilly, że o nich zapomniał i znalazł sobie jakieś lepsze zajęcie.

Jeszcze rok temu burknęłyby na Nicole; rok temu uciszyłyby brata - teraz jednak nie mogła tego zrobić. Tkwiła w sieci równie gęstej jak owe pajęczyny zwieszające się z krokwi poddasza; w sidłach nudy, irytacji i tęsknoty. Zastanawiała się, czy jest zakochana w Guyu, i stwierdziła, że jeśli go kocha, to miłość nie jest tak cudowna, jak każą ją widzieć powieści. Straciła ochotę na wszelkie przyjemności i rozrywki, jakie oferowała posiadłość La Rouilly. Bez Guya nie chciała wiosłować ani bawić się na piknikach. Nie wiedziała, czym wypełnić kolejne dni. Stąd owe mansardy, które były jej królestwem; mansardy, gdzie nie pozostawiła własnych pamiątek i wspomnień.

Ujrzała go najpierw przez oczko pajęczyny, startej z brudnej szyby. Niewielka ciemna postać, zgarbiona pod plecakiem, szła wijącą się ścieżką, która wiodła od drogi do zamku. W jed-



nej chwili Faith zapomniała o nudzie i długim oczekiwaniu. Wykrzykując jego imię, zbiegła na dół.

Pięćdziesiąte drugie urodziny Ralpha uczcili piknikiem na plaży w Royan. Dym z piramidy drewna wyrzuconego przez morze rozsnuwał się leniwie, a opadające za horyzont słońce obmywało fale migotliwie jedwabistym blaskiem.

Rozmawiali o Hiszpanii. Faith, obserwując zachód słońca, ledwie przysłuchiwała się tej konwersacji.

- Republikanie zwyciężą - stwierdził Jake.

- Chyba nie, drogi chłopcze - odparł Felix, potrząsając głową.

- Ależ muszą...

- Z pomocą Stalina... - zaczął Guy.

- Stalin jest niezdecydowany - twierdził Felix. - Obawia się, że gdyby zobaczono, iż wspiera Republikę, Niemcy miałyby pretekst do zaatakowania Rosji.

Na tle złotego nieba rysowały się ostatnie kutry rybackie wpływające do portu. Faith patrzyła, jak Guy wysącza ostatnią kroplę wina ze swego kieliszka.

- Tak czy inaczej nas to nie dotyczy - powiedział Ralph, otwierając następną butelkę. - Ta cała krwawa awantura nie dotyczy nikogo oprócz Hiszpanów.

- Chyba się mylisz. Jeśli pozwolimy, by zwyciężył Franco, wcześniej czy później wszyscy zostaniemy w nią wciągnięci.

- W jakąś wojnę domową? Nonsens. Całkowity nonsens. Słońce zaszkodziło ci na rozum, Feliksie - bagatelizował sprawę Ralph, dolewając przyjacielowi wina.

Do rozmowy włączył się jeden z „lokatorów”, francuski poeta zaprzyjaźniony z Mulgrave'ami.

- W Hiszpanii toczy się ostatnia romantyczna wojna, nie sądzicie? Gdyby nie moja wątroba, sam wstąpiłbym do Międzynarodowych Brygad.

- Romantyczna?! - ryknął Ralph. - Od kiedyż to wojna jest romantyczna?! Wojna to obrzydliwy, krwawy interes.

- Ralph, kochanie... - Poppy pogłaskała dłoń męża.

Sieci do łowienia ostryg i maszty kutrów rybackich wydawały się czarną koronką na falującym jedwabiu morza. Felix wrzucił do ognia kolejny kawałek drewna i odkaszlnął.

- Muszę ci powiedzieć, Ralphie... i tobie, droga Poppy... że pod koniec września płynę do Ameryki. W końcu dostałem wi-

zę - powiedział, kładąc rękę na ramieniu przyjaciela, po czym dodał łagodnie: - Musisz zrozumieć, że tak będzie dla mnie bezpieczniej.

- Dobry Boże, człowieku, o czym ty mówisz?!

- Jestem Żydem, Ralphie.

Do siedzącej na piasku Faith dopiero teraz dotarły te ciche słowa. Oczy Felixa miały jakiś cierpliwy, niemal współczujący wyraz. Ostatnio Faith widywała czasami matkę, gdy spoglądała w ten sposób na ojca.

- Ralph, kto wie, co może stać się Francji za rok czy dwa? Dokąd udacie się tej jesieni po wyjeździe z La Rouilly? W Hiszpanii jest wojna, Włochy mają własną odmianę faszyzmu - mówił dalej Felix, potrząsając głową - Nie mogę zostać.

Zapadła cisza. Słońce dotknęło horyzontu, rozlewając połyskliwe blaski na spokojnym morzu.

- Na miłość boską, wszyscy przyjaciele mnie porzucają - odezwał się zaczepnym tonem Ralph. - Richard Deschamps został bankierem, a Michael i Ruth wracają do Anglii, gdyż chcą posłać swoje latorośle do jakiejś piekielnej szkoły. Lulu zaś przysłała mi wiadomość, że opiekuje się chorą matką. Lulu, ocierająca rozpalone gorączką czoło! A Jules'a nie widziałem, od kiedy zapalał miłością do tego chłopca w Tunisie! Jeśli zaś chodzi o ciebie, Feliksie, jesteś żądnym pieniędzy Żydkim, który prawdopodobnie zostanie milionerem, komponując muzykę do przerażających hollywoodzkich filmów.

Ten wcale się nie obraził.

- Cóż za wspaniała perspektywa! - odrzekł. - Przyślę ci fotografię mojego daimlera z kierowcą.

Faith, widząc, że Guy wstał i opuściwszy towarzystwo na plaży, ruszył ku wydmom, poszła za nim, stawiając boscie stopy na śladach jego kroków odcisniętych w piasku. Dogoniła go, gdy wspiał się na wierzchołek wydmy. Zachodzące słońce kładło u jej wklęsłego podnóża atramentowe cienie.

- Masz śliczną sukienkę, Faith. - Uśmiechnął się miło do dziewczyny.

Guy rzadko zauważał, jak jest ubrana. Poczwała, że otacza ją fala przyjemności.

- Nazywam ją „motylą”, bo ma taki sam kolor jak ten piękny motyl, wiesz... - Jedwabna satyna miała delikatną barwę fiołkowego błękitu, a rękawy sukienki ozdobione były wąską

czarną aksamitką. - Należała kiedyś do Genyi, ale już na nią nie pasuje, więc mi ją podarowała. Tę sukienkę uszyto w domu mody „Paquin”.

Młodzieniec wydawał się zakłopotany.

- Och, nic nie rozumiesz, Guy. Madame Paquin jest bardzo znana projektantką strojów.

- Ładnie ci w tej sukience - powiedział, dotykając cienkiej tkaniny.

Zachwyty Faith powiększył się w dwójnasób.

- Naprawdę tak myślisz?

Guy spoważniał i spojrzał ku morzu.

- Zamierzałem powiedzieć Ralphowi, że będę musiał wyjechać za dzień lub dwa, ale zdaje się, że to nie jest odpowiednia chwila...

Jej szczęście zgasło niczym nikły płomyk świecy zduszony palcami.

- Jesteś tutaj dopiero kilka dni - zauważyła. Sięgnął do kieszeni po papierosa.

- Niepokoję się o ojca. On tego nie powie, ale obawiam się, że jest chory. - Guy potarł zapalnik, lecz podmuch wiatru zgasił wąty płomyk. - Do diabła! - zaklął, a potem spojrzał na Faith, uśmiechnął się i wziął ją za rękę. - Chodźmy stąd.

Zbiegli na dół po stromym zboczu wydmy, opadając ze śmiechem w jej piaszczystą wklęsłość. Guy rzucił marynarkę na porośniętą ostrą trawą piaskownicę.

- Proszę, Faith.

Usiadła obok niego, a wydmy odgrodziły ich od towarzystwa przy ognisku. Piasek chrzęścił między palcami. Guy poczęstował Faith papierosem; nauczyła się palić od brata. Trzymała teraz niesforne włosy z dala od ognia, gdy jej towarzysz podsuwał zapalnik.

- Opowiedz mi o Londynie. Wydaje się taki cudowny - poprosiła po chwili.

Poppy opowiedziała kiedyś córce o popołudniowych herbatkach w cukierni „Fortnum & Mason” oraz zakupach w „Liberty” i domu towarowym „Army & Navy”.

- Prawdę mówiąc, niektóre dzielnice są okropne. Na przykład Hackney... Straszna bieda, ojcowie bez pracy, dzieci bez butów. Większość ludzi nie ma ubezpieczenia, co oznacza, że muszą płacić za lekarza. A domy, w których mieszkają... Ohyd-

ne piwnice, zawilgocone izby, gdzie się roi od karaluchów... -Zawiesił głos, w którym Faith słyszała gniew. - Rozumiesz więc, że potrzeba tam dobrych lekarzy.

- A twój ojciec jest dobrym lekarzem?

- Jednym z najlepszych. Tylko... - Zgasił papierosa, wciskając go w piasek.

- Tylko co, Guy?

- Zamierzałem być chirurgiem - tłumaczył - co teraz wydaje się raczej niemożliwe, bo ojciec potrzebuje pomocy, a jego praktyka nie jest finansowo korzystna. Zresztą to nie ma znaczenia. Czynić dobro - oto ważna rzecz, czyż nie? Sprawiać, by ludzie żyli lepiej, dawać im szansę, nie pozwalać, by umierali na uleczalne choroby tylko dlatego, że los sprawił, iż są ubodzy...

Położył się na piasku, podkładając ręce pod głowę. Faith zadrżała. Słońce już prawie całkiem zaszło i robiło się coraz chłodniej. „Motyla” sukienka była cienka.

- Oprzyj się o mnie. - Guy otoczył ją ramieniem i przyciągnął ku sobie. - Ogrzeję cię, Faith.

Położyła głowę na jego piersi. Obejmował ją kiedyś, gdy była dzieckiem, i gdy się przewróciła, to on ją pocieszał, ale teraz dotyk rąk przyjaciela wydawał się inny. Dziwny, niezwykły, bardziej cudowny...

- A ty, Faith... co zamierzasz robić?

Spojrzała w niebo, na którym migotały już pierwsze gwiazdy, i uśmiechnęła się lekko.

- Chciałabym być jedną z tych dziewcząt, które pracują w kasynie...

- Chcesz być krupierką?

- ...wtedy mogłabym nosić wspaniałe suknie z cekinami i strusimi piórami. Albo chciałabym grać w filmie, ale tata mówi, że mam głos jak rozbity garnek. A może mogłabym zostać fryzjerką pudli...

- To pudle mają własnych fryzjerów?

- W Nicei są piękne salony fryzjerskie dla pudli, Guy. Wszystkie psy mnie lubią, więc jestem pewna, że poradziłabym sobie z układaniem im loków.

Wiedziała, że Guy się śmieje, bo czuła, jak drgają mu żebra.

- Jesteś absolutnie wspaniała, Faith - powiedział. - Będę za tobą okropnie tęsknił.

Serce jej zabiło.

- Och, przypuszczam, że zapomnisz o mnie, gdy tylko staniesz na angielskiej ziemi - odrzekła lekko. - Te wszystkie wspaniałe miejsca i eleganckie kobiety... Natychmiast zakochasz się w jednej z nich. Spójrz tylko na Jake'a; co miesiąc zakochuje się w innej. Ostatnia miała dwadzieścia pięć lat i futro z lisów.

- Obawiam się, że los wybrał dla niego rolę uwodziciela - odrzekł ze śmiechem Guy, przeczesując dłonią włosy Faith i owijając sobie jej loki wokół palców. - Tak czy inaczej, ja nie mam dość pieniędzy, by myśleć o małżeństwie.

- Nicole wierzy, że gdzieś czeka już na nią jakiś wspaniały mężczyzna. Jest pewna, że gdy tylko go spotka, będzie wiedziała, że to on. Jak myślisz, Guy, czy ma rację?

- Twoja siostra jest romantyczką - odpowiedział, chcąc zmienić temat, ale jeszcze dodał: - lecz ja chyba wierzę, że należy czekać, dopóki się nie spotka swego ideału. Małżeństwo powinno trwać całe życie... powinno być pasją... żywym spotkaniem serc i umysłów...

Trwali w milczeniu. Wydawało się, że owa chwila zamarła w bezruchu, rozważając, w którą przechylić się stronę.

- ...w każdym razie - mówił dalej Guy - ja nie zamierzam się zakochać. Mam ważniejsze rzeczy do zrobienia.

Faith jednak wiedziała, że miłość nie jest czymś, co się postanawia i wybiera spośród innych ważnych spraw. To miłość dokonuje wyboru.

Zamknęła oczy, ciesząc się, że zapadła ciemność. Zasady rodziny Mulgrave'ów, powiedziała sobie w duchu. „Nie pozwól, aby widziano, że myślisz inaczej”.

## *Rozdział drugi*

Następnego dnia po wyjeździe Guya z La Rouilly Faith, wszedłszy przed południem do sypialni Jake'a, znalazła na jego poduszce krótki list.

*Pojechałem do Hiszpanii, aby wstąpić do Brygad. Powiedz mamie, żeby się nie martwiła. Przyślę pocztówkę.*

Ralph krzyknął, zaklął i pośpieszył na granicę hiszpańską, by szukać syna. Po kilku dniach wrócił do La Rouilly sam, wciąż przeklinając. Nicole ukryła się w ogrodzie ze stertą powieści i torbą czekoladek, a Faith przetrwała burzę i starała się pocieszać matkę.

- Jestem pewna, że Jake'owi nic się nie stanie. On potrafi o siebie zadbać. Nie pamiętasz, jak spadł z dachu i myśleliśmy, że nie żyje, a wyszedł z tego tylko z niewielkim siniakiem?

Poppy uśmiechnęła się, w głębi duszy jednak czuła się okropnie. Wizja jedyne go syna, zastrzelonego z karabinem w dłoni, była wprost przerażająca. Przecież on ma dopiero szesnaście lat, myślała, przecież to jeszcze dziecko...

Ralph trwał w bólu i gniewie.

- Ten chłopak nigdy nie miał ani odrobiny rozumu. Całymi latami próbowałam wbić mu trochę rozsądku do głowy, i patrzcie, co on robi! Zostawia nas i wyjeżdża!

- Ty zrobiłeś to samo, mój drogi - zauważyła rozsądnie Poppy. - Opuściłeś dom, kiedy miałeś szesnaście lat.

- To wcale nie jest to samo! Ja byłem w okropnej szkole, w okropnym kraju. I nie opuściłem domu tylko po to, żeby dać się zabić, walcząc w jakiejś cudzej wojnie.

Poppy zadrżała, a Ralph pobiegł do baru w miasteczku, żeby się upić.

Na górze, w pokoju syna, Poppy, starając się nie płakać, przejrzała szuflady komody, a potem wyjęła ciepłe swetry i podkoszulki (zimą w Hiszpanii bywało tak chłodno...), napisała długi list i za pośrednictwem Czerwonego Krzyża wysłała wszystko do Jake'a.

Wciąż jednak miała w uszach słowa męża. Pierwszy raz bała się o dzieci. Nie tylko o Jake'a, lecz także o Faith i Nicole. Wiedziała, że przecież także i na dziewczęta czyhały różne pokusy, chociaż inne niż obrona Republiki. Żałowała, iż nie dała dzieciom należytego wykształcenia. Faith była inteligentna i wrażliwa, ale nieśmiała; brakowało jej pewności siebie i wytyczonej drogi, którą pewnie podążałaby przez życie. Na Nicole zaś, choć miała dopiero czternaście lat, przy bramie La Rouilly czyhali już miejscowi chłopcy, żywiąc nadzieję, że uda im się na nią spojrzeć. Co prawda teraz dziewczynka bardziej interesowała się okaleczonym ptakiem czy zagubioną kotką, ale przecież nie zawsze tak będzie.

Jesienią powędrowali na południe i zatrzymali się w Mentonie, gdzie Poppy pobrała pieniądze ze swego konta i poszła na spotkanie z matką przełożoną tamtejszego klasztoru. Po powrocie do domu wzięła dziewczęta na bok, wzięła głęboki oddech i powiedziała, że od przyszłego tygodnia idą do klasztornej szkoły.

- Zakonnice wydają się bardzo miłe. Pokazały mi też różne umiejętności, w jakich kształcą dziewczęta... haft, rysowanie, szycie... Będziecie też uprawiać różne sporty i mieć liczne zabawy, a także śpiewać w chórze. Jestem pewna, że zawrzecie tam wiele przyjaciół... - mówiła coraz ciszej Poppy, patrząc na twarze córek.

Nicole podała swoją cenę: spaniel, którego widziała w miejscowym sklepie ze zwierzętami. Faith zaś kategorycznie odmówiła pójścia do szkoły.

- To nie ma sensu, mamo. Mam już prawie siedemnaście lat; o wiele za dużo, by siedzieć w ławce. Zresztą znalazłam pracę w magazynie z bielizną. To wspaniała posada, bo muszę nosić jedwabne pończochy, żeby panowie przychodzący do sklepu widzieli, jak ślicznie wyglądają, i kupowali je dla swoich żon i kochanek.

- Ale arytmetyka... i geografia... - nalegała słabo Poppy. Dziewczyna była jednak niewzruszona.

- W sklepie muszę wydawać resztę, co doskonale zastępuje arytmetykę. Poza tym odbywamy tak wiele podróży, nieprawdaż? To przecież znacznie lepsze niż oglądanie atlasu.

Poppy uległa starszej córce. Młodsza zaś, w poniedziałek, ubrana w ciemnobrązowy mundur, o którym Ralph wyrażał się nader obraźliwie, wyruszyła do klasztoru. Poppy niemal przez cały dzień wstrzymywała oddech, ale o czwartej Nicole wróciła do domu najwyraźniej zadowolona z siebie.

- Inne dziewczynki nie są takie straszne, a siostra Helena mówi, że mój głos musiał być kształcony.

Faith, która tego dnia miała wolne popołudnie, wydała z siebie jęk obrzydzenia, a Poppy z głębokim westchnieniem wielkiej ulgi wróciła do stołu, żeby skończyć list do Jake'a. Pisała co drugi dzień, nie otrzymując żadnej odpowiedzi ani nie wiedząc, czy jej syn jest żywy czy martwy.

W dniu śmierci ojca Guy Neville porzucił ambitny zamiar zostania chirurgiem. Po pogrzebie - na którym pacjenci ojca kulili się w deszczu pod cienkimi płaszczami, stojąc w pełnej szacunku odległości od grobu - wrócił do rodzinnego domu przy Malt Street. W pustych pomieszczeniach niesło się echo. Już wcześniej dał wolne popołudnie służącej, wciąż rumieniącej się dziewczynie o imieniu Biddy. Sam więc zrobił sobie kanapkę i zaczął przeglądać księgi rachunkowe praktyki. To zadanie już po chwili tak go przeraziło, że nalał sobie whisky i usiadł przy kominku, na którego gzymsie stały trzy fotografie: matki, ojca i ostatnie zdjęcie rodziny Mulgrave'ów, zrobione w La Rouilly. Powoli sączył szkocką, a serce ścisnęło mu się z bólu, że ich tu nie ma.

Następnego dnia w gabinecie na tyłach domu odbył stałe przedpołudniowe przyjęcia pacjentów, które trwały aż do pierwszej po południu, a potem zrobił przerwę wystarczającą jedynie na to, by przed rozpoczęciem domowych wizyt zjeść zupę ugotowaną przez Biddy. Deszcz padał nieprzerwanie. Guy nie pamiętał, kiedy ostatni raz widział słońce. W lutym zawsze było najwięcej pracy. Bronchit, dyfteryt, świerzb... Jednego z chorych, u którego rozpoznał przypadek wczesnej gruźlicy, posłał do szpitala zakaźnego. Zakończywszy domowe wizyty, znów



zasiadł do ksiąg. Położywszy się do łóżka o północy, pierwszy raz od śmierci ojca zasnął głębokim snem.

Praca pochłonęła go całkowicie. Niewiele miał czasu na żal bądź rozpamiętywanie tego, że odsunął na bok wcześniejsze ambicje. Pewnego dnia wezwano go do domu w Rickett Lane, jednej z najuboższych części dzielnicy zwanej Hackney. Znał dobrze rodzinę Robertsonów. Joe Robertson cierpiał na chroniczną astmę i w związku z tym albo pracował, albo też pozostawał bez zajęcia. Jego żona, silna i tęga kobieta, była czułą - mimo trywialnego języka - matką pięciorga dzieci i tak dobrą gospodynią, jak na to pozwalał ich zawilgocony i pełen robactwa mały dom.

Tym razem pacjentem okazał się Frank, sześciolatek syn Robertsonów. Po zbadaniu chłopca Guy zwrócił się do pani Robertson:

- Postaram się umieścić Franka w szpitalu Świętej Anny. To chyba nic poważnego, ale chłopiec będzie miał tam stałą opiekę.

Szpital Świętej Anny w Islington był najbliższą położoną kliniką akademicką. Pani Robertson owinęła Franka w kocyk i Guy zawiózł tam ich oboje. W izbie przyjęć lekarz dyżurny zbadał Franka, a potem wziął Guya na bok.

- Nie sądzę, by trzeba było go hospitalizować. Przypuszczam, że to tylko niezbyt żołądka.

- A ja myślę, że to może być zapalenie wyrostka robaczkowego.

- Pan myśli? - W głosie dyżurnego lekarza szpitalnej izby przyjęć brzmiało szyderstwo. - Nie zgodziłbym się z takim wnioskiem, doktorze Neville.

- A jeśli to ja mam rację? - Guy z trudem panował nad sobą.

- Zabiegi usunięcia wyrostka robaczkowego wykonujemy jedynie naszym prywatnym pacjentom. Ten chłopiec musiałby się udać do szpitala miejskiego.

Szpital miejski przyjmował mniej interesujące przypadki, których nie chciano leczyć w klinice Świętej Anny. Usytuowany w tak biednej dzielnicy, zatrudniał gorzej wykształcony i mający mniej doświadczenia personel.

- Frank jest wątlý od urodzenia - powiedział Guy. - Byłbym znacznie bardziej zadowolony, gdyby zaopiekowano się nim tutaj.

- Nie prowadzimy kliniki dla pańskiej przyjemności, doktorze. Ów protekcyjny ton przyprawił Guya o irytację. Wrócił

do pomieszczenia dla pacjentów, a później, gdy w ciągu dnia Frankowi nie przestawała rosnać gorączka, umieścił dziecko w szpitalu miejskim, gdzie poddano je operacji usunięcia wyrostka robaczkowego.

Dziesięć dni później najstarsza córka Robertsonów przyniosła do gabinetu Guya przy Malt Street list z prośbą o wizytę. Mały Frank został zwolniony ze szpitala poprzedniego dnia.

- Nie jest z nim dobrze, panie doktorze - wyszeptła z lękiem pani Robertson, gdy szli po schodach do pokoju, który chłopiec dzielił z młodszym bratem.

Stan dziecka przeraził Guya. Wysoka temperatura i jątrząca się rana wskazywały na infekcję pooperacyjną. Najszybciej jak mógł, z Frankiem opatulonym w koce, pojechał do kliniki Świętej Anny. W izbie przyjęć zobaczył owego butnego lekarza, z którym rozmawiał poprzednio, lecz go wyminął i po chwili, cały czas trzymając małego na rękach, znalazł konsultanta. Konsultantów zawsze dało się bez trudu rozpoznać: byli gładko wygoleni, nienagannie ubrani i stale otoczeni gromadą wystraszonych lekarzy stażystów oraz załęczonych pielęgniarek w wykrochmalonych czepkach.

Guy, torując sobie drogę przez ową świętą, dotknął osłoniętego fartuchem ramienia Wielkiego Lekarza.

- Proszę mi wybaczyć, ale mam tu pacjenta, którego powinien pan obejrzeć. Mniej więcej tydzień temu zabiegałem

o umieszczenie tego chłopca w klinice Świętej Anny, podejrzewając zapalenie wyrostka robaczkowego, lecz jeden z pańskich zarozumiałców zdiagnozował ten przypadek jako ból brzucha

i oświadczył, że tak czy inaczej nie operuje się tutaj ubogich dzieci. Chłopiec został odesłany do jakiegoś rzeźnika w szpitalu miejskim, skąd wypisano go do domu z zainfekowaną raną pooperacyjną.

- Doprawdy, doktorze, nie wolno absorbować profesora Stephensa... - powiedziała z naganą jakaś pielęgniarzka szczególnie poddańczym tonem.

- Ależ bynajmniej, siostrze - przerwał jej konsultant. - Proszę pokazać mi tego chłopca - polecił, a potem, zbadawszy Franka, oświadczył: - Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Proszę mi wierzyć, uczynimy wszystko, co możliwe.

Tydzień później Guy znalazł w poczcie list, w którym profesor Selwyn Stephens i jego córka, panna Eleanor Stephens, zapraszali go na kolację w następny piątek. W postscriptum owego zaproszenia znalazło się jeszcze kilka słów: „Z pewnością ucieszy się pan, doktorze Neville, słysząc, że Frank Robertson wraca do zdrowia. Pielęgniarka mówi mi, że malec uczy swego bogatego słownictwa pozostałych pacjentów oddziału dziecięcego”.

Ponieważ jedyne spotkanie z Selwynem Stephensem było krótkie i nie całkiem serdeczne, Guy, spodziewając się koszmarne wieczoru w towarzystwie nudziarzy, zamierzał poszukać jakiejś wymówki; zdając sobie jednak sprawę, że ów elegancki gest stanowi propozycję zawarcia pokoju, zmusił się do odpowiedzi potwierdzającej przyjęcie zaproszenia.

Piątkowy wieczór był w każdym szczególe tak nieznośny, jak się tego obawiał doktor Neville. Ubierając się, zauważył, że wizytowa marynarka jest nadgryziona przez mole i że Biddy przypaliła kołnierzyk nakrochmalonej koszuli. W ponurym nastroju wbił się w obcy sobie i niewygodny strój tylko po to, by odkryć, że jego samochód nie ruszy, a kiedy w lodowatym deszczu dobiegł do najbliższej stacji, metro właśnie odjechało i musiał czekać dziesięć minut na następne. Wszystkie wagony były zatłoczone, więc podróżował z twarzą wciśniętą w czyjś zatechły przeciwdeszczowy płaszcz oraz z cudzą parasolką kłującą go w palec, a potem - chociaż odległość między stacją a domem państwa Stephensów pokonał biegiem - i tak spóźnił się dwadzieścia minut.

Pozostali goście nie przypadli mu do gustu. Byli tam trzech lekarze; jeden w średnim wieku, z wydatnym brzuchem i gładkimi dłońmi, oraz dwaj stażyści z kliniki Świętej Anny. Tego wieczoru państwo Stephensowie gościli też pisarza, Piersa Peacocka, którego nazwisko Guy pamiętał z okładki jakiejś powieści znalezionej niegdyś w pociągu; próbował ją wówczas przeczytać, ale tak go zirytowała i znudziła, że wyrzucił książkę przez okno i zamiast lekturze, oddał się podziwianiu krajobrazu.

W kolacji uczestniczyła też Eleanor, córka profesora Stephensa, ciemnooka i ciemnowłosa młoda dama posągowych kształtów, w sukni z niebieskiego jedwabiu; osoba, której witalność i energię Guy zauważył natychmiast, gdyż zdawała się

nimi promieniować. Panna Stephens sprawiała wrażenie istoty całkowicie odmiennej od owych bladych, zniszczonych kobiet, jakie każdego dnia widywał w swoim gabinecie. Nadzorowała serwowanie kolejnych dań i z dyskretną, nierzucającą się w oczy wprawą skutecznie kierowała konwersacją toczącą się przy stole. Samo patrzenie na nią było przyjemnością i nagrodą za wieczór skądinąd boleśnie nudny.

Byli przy serach, gdy doktor Humphreys wniósł do rozmowy nowy temat.

- Właśnie pomogłem memu siostrzeńcowi kupić gabinet w Kensington, Selwynie. Przed kilkoma laty zrobił specjalizację, jeśli sobie przypominasz. Kensington to dobre miejsce na rozpoczęcie prywatnej praktyki lekarskiej...

- ...choć większy pożytek dla pacjentów przyniosłoby kupienie mu gabinetu w Poplar lub w Bethnal Green. - Guy nieoczekiwanie usłyszał sam siebie.

Zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na młodzieńca, który buntowniczym wzrokiem odwzajemniał owe zdumione spojrzenia.

- To doprawdy niezwykle!

Guy stawiał czoło doktorowi Humphreysowi.

- Czyżby? W Kensington jest trzy razy więcej prywatnych gabinetów lekarskich niż w Hackney.

Do rozmowy włączyła się panna Stephens.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Ponieważ w Kensington zarabia się lepiej niż w Hackney - stwierdził otwarcie Guy.

Doktor Humphreys otarł wargi serwetką.

- Wszyscy musimy żyć, doktorze Neville.

Na stole połyskiwały srebrne sztuce i cienka porcelana.

- My żyjemy wyjątkowo dobrze, a w konsekwencji nasi ubodzy pacjenci muszą pozostawać na utrzymaniu instytucji charytatywnych.

- Pacjenci powinni być wdzięczni lekarzom takim jak Selwyn, którzy bezpłatnie świadczą swoje usługi szpitalom.

Słabe wodze, na jakich Guy trzymał swoje emocje, wymykały mu się z rąk.

- Nikt nie powinien zależeć od czyjejś łaski czy szczodrości, los dzieci zaś...

- Moim zdaniem...

Nagle w tę wymianę zdań gości wkroczył Selwyn Stephens.

- Moja córka pracuje w komisji charytatywnej kliniki Świętej Anny. Czy i taką ochotniczą działalność pan kwestionuje doktorze Neville?

Guy poczuł, że się czerwieni.

- Nie. Oczywiście, że nie - próbował wyjaśnić. - Chodzi mi o to, że dobroczynność powinna być zbędna. Dobrą opiekę zdrowotną należy zapewnić wszystkim na mocy prawa.

- Czy pan jest socjalistą, doktorze Neville? - zapytał po-wiesciopisarz, uśmiechając się protekcjonalnie.

- System, jaki mamy obecnie, jeśli taki bałagan można w ogóle nazwać systemem - mówił dalej Guy, pomijając milczeniem uwagę Peacocka - jest niesprawiedliwy. Pacjenci chodzą z chorobami, które można wyleczyć, ponieważ nie mają pieniędzy na opłacenie lekarzy. Każdego dnia spotykam kobiety z zaawansowaną nadczynnością tarczycy, wypadającymi macicami, wrzodami lub żylakami...

- Nie przy stole, chłopcze - zmiłgował go lekarz przybyły z Cambridge. - Damy...

- Przepraszam - mruknął Guy.

- A co pan proponuje, doktorze Neville? - zapytał Piers Peacock, zapalając cygaro. - Kto, pańskim zdaniem, powinien płacić za leczenie owych nieszczęśników?

- Sądzę, że my wszyscy.

- Wychowano mnie w przekonaniu, że nie jestem stróżem bliźniego.

Uśmiech samozadowolenia towarzyszący tym słowom na nowo rozpałił wściekłość młodzieńca.

- Mnie zaś uczono, by nie mijać go obojętnie, przechodząc na drugą stronę ulicy.

- I oddawać mu wdowi grosz, jeśli tylko tyle nam pozostało - wtrąciła nieoczekiwanie Eleanor Stephens. - Czy mają państwo ochotę na jeszcze trochę sera? Nie? Może więc napiemv się kawy w salonie?

Guy wymknął się do łazienki, gdzie otworzył okno i głęboko wdychał lodowate powietrze. Rzuciwszy okiem na własne odbicie w lustrze, zrozumiał, że zrobił z siebie głupca Zbyt długo żył samotnie i stracił posiadaną niegdyś ogładę towa-

Musiał się zdobyć na znaczny wysiłek woli, by wrócić do salonu, i gdy panna Stephens grała na fortepianie jakąś sonatę

Beethovena, siedział w kącie, pozwalając, by muzyka opływała go i uspokajała. O północy stwierdził, że może już wyjść, więc pożegnał się uprzejmie, po czym wzięwszy od służącej kapelusz i płaszcz, wyszedł w noc. Deszcz przestał już padać, lecz mokre jezdnie i chodniki połyskiwały niczym czarny jedwab. Zanim dotarł do skrzyżowania, usłyszał, że ktoś biegnie chodnikiem w jego stronę, a gdy się odwrócił, zobaczył pannę Stephens.

- Pański parasol, doktorze Neville!

Pośpiech zaróżowił jej policzki. Guy wziął pozostawiony przez zapomnienie parasol i podziękował.

- Cieszę się, że mam okazję porozmawiać z panią sam na sam. Muszę przeprosić za moje dzisiejsze zachowanie. Było niewybaczalne.

- Ależ nie! - roześmiała się młoda dama. - To ja powinnam przeprosić pana. Nie zdawałam sobie sprawy, że ci ludzie są takimi nadętymi nudziarzami.

- Sądziłem...

- ...że to moi przyjaciele? - Panna Stephens przecząco potrząsnęła głową. - Ojciec nie znosi Edmunda Humphreysa, ale z powodów zawodowych musi utrzymywać z nim dobre stosunki. Poza tym byliśmy mu winni to zaproszenie. Mogłam też przypuszczać, że Piers Peacock będzie interesujący, nieprawdaż? Obawiam się jednak, iż okazał się nieciekawym. Chwała Bogu, że pan tam był, doktorze Neville, inaczej prawdopodobnie zasnąłabym nad puddingiem.

Guy poczuł zdumienie.

- Chyba nie powinienem o to pytać, ale dlaczego, u licha, państwo mnie zaprosili?

Uśmiechnęła się figlarnie.

- Ojciec opowiedział mi o waszym... spotkaniu w klinice. Pomyślałam, że to zabawne - odpowiedziała, po czym dodała już bez owego uśmiechu: - Nie mówię tu oczywiście o owym biednym chłopczyku. Byłam pana ciekawa. Większość młodych lekarzy lęka się mojego ojca. Nie mam pojęcia dlaczego; przecież jest taki miły.

- Tym bardziej mi przykro - Guy podjął kolejną próbę przeprosin - że pewne rzeczy, które powiedziałem, były nie na miejscu.

- Doprawdy? Które? Czyż nie miał pan na myśli tego, co wyraził pan słowami, doktorze Neville?

- Powiedziałem dokładnie to, co myślę - przyznał się szczerze.

- To dobrze - odrzekła. - Wzbudził pan mój szacunek. Trzeba być uczciwym wobec siebie. - Wyciągnęła rękę. - Dobranoc, doktorze Neville. Mam nadzieję, że spotkamy się ponownie.

Eleanor Stephens przez całe życie mieszkała w domu przy Holland Square. Od czasu gdy miała dziewięć lat, ten obszerny budynek zamieszkiwany był jedynie przez nią, ojca i służącą. Po śmierci matki ojciec sugerował zatrudnienie jakiejś gospodyni, lecz córka przekonała go, by tego nie robił. Powiedziała, że nie mogłaby znieść widoku innej kobiety zajmującej miejsce mamy, co było prawdziwym, lecz nie jedynym powodem. Chciała sama prowadzić gospodarstwo. Już wtedy wiedziała, że potrafi to robić. Lubiła wszystko organizować. Rodzinny dom był tylko większą wersją domku dla lalek stojącego w jej dzieciennym pokoju. Dziewczynkę bawiło codzienne ustalanie obiadowego menu. Pamiętała także to, jak matka, przesuwając palcem po półkach, kontrolowała pracę służącej. Ambicja nie pozwoliła jej, by owe domowe obowiązki negatywnie odbiły się na nauce, i jako siedemnastoletnia panna opuściła szkołę z dobrym świadectwem. Wiedziała jednak, że nie pociąga jej dalsza nauka, i nie zamierzała pójść na uniwersytet.

Przez pierwsze lata po opuszczeniu szkoły była szczęśliwa i zadowolona ze swego obecnego życia. Grała na fortepianie w amatorskim trio i chodziła na lekcje malowania akwarelami. Zapoczątkowała też tradycję niewielkich przyjęć, na które zapraszała studentów medycyny i lekarzy stażystów z kliniki Świętej Anny. Była bardzo uprzejma dla nazbyt nieśmiałych młodzieńców, pomagając im wejść w świat, ale delikatnie zniechęcała tych, którzy mieli ochotę na flirt. Zaproszenie na jedną z kolacji panny Stephens uważane było za zaszczyt wśród młodych lekarzy ze Świętej Anny. Z czasem Eleanor zaczęła też pomagać w klinice i niebawem zaoferowano jej miejsce w Komitecie Dobroczynnym.

A jednak ukończywszy z początkiem roku dwadzieścia cztery lata, poczuła się znużona. Jej urodzinowe przyjęcie - pięcio-daniowy obiad dla tuzina gości - przebiegło gładko, ale komplementy („Droga Eleanor, jakaż cudowna z ciebie gospodyni! Jesteś szczęściarzem, Selwynie!”) były pustymi słowami. Takie same uprzejmości prawiono jej przez siedem minionych lat.

Rzecz nie w tym, by uważała je za nieszczerze, lecz w tym, że patrząc w przyszłość, ich niezmienna powtarzalność nabrała smaku przerażającej przepowiedni.

To właśnie wtedy, gdy pewnego popołudnia spotkała w hali targowej Hilary Taylor, zaczęła wątpić w swoją przyszłość. Eleanor znała Hilary ze szkoły.

- Jak miło cię widzieć, kochanie - przywitała się, całując ją w policzek. W szkole patrzono z góry na Hilary, bo miała skłonność do pryszczy, a jej matka utrzymywała się z wynajmowania pokoi. Teraz, zauważyła Eleanor, cera Hilary była aksamitna i nieskalana ani jedna krostką. - Pieczesz ciasto? - zapytała, dostrzegając w koszyku dawnej koleżanki słój wiśni.

Tamta wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Dobry Boże, nie! Nie wiedziałabym nawet, jak to się robi. Jem te wiśnie, gdy wisi nade mną jakiś nieprzekraczalny termin. Wtedy nie zasypiam. Nawet nie wiem, czy to cukier czy maraschino.

Potem, przy herbacie i ciasteczkach, Hilary wyjaśniła Eleanor, że jest teraz redaktorką eleganckiego czasopisma noszącego nazwę „Chantilly”. Panna Stephens zapytała o pierścionek z brylantem na serdecznym palcu koleżanki.

- Jules jest kierowcą wyścigowym - wyjaśniła Hilary. - Nie wiem jeszcze, czy go poślubię, bo chce, żebym pojechała z nim do Argentyny, a ja naprawdę uwielbiam swoją pracę.

Później zapytała, czym teraz zajmuje się Eleanor.

- Och, tym, czym zawsze: szpitalną działalnością charytatywną, opieką nad ojcem, prowadzeniem domu - odpowiedziała tak, jak czyniła to zazwyczaj, ale pierwszy raz poczuła się nudna i wręcz nieatrakcyjna, a nie wzruszająco szlachetna.

- Biedna staruszko - odezwała się ze współczuciem koleżanka po chwili milczenia - skończyłaś więc, zdaje się, jako kura domowa, czyż nie?

Piekące słowa Hilary pozostawiły bliznę. Spoglądając tamtego wieczoru w lustro, Eleanor ujrzała w nim swoje kosztowne tweedy oraz praktycznie ostrzyżone na krótko włosy i przypomniała sobie gładką, sięgającą do ramion fryzurę na pazia i wyrafinowanie elegancki strój Hilary. Zrozumiała też, że w ciągu zaledwie kilku lat przeistoczyła się ze zdolnej małej panienki Eleanor, która tak doskonale radziła sobie po śmierci matki, w drogą Eleanor, która zawsze wszystko robi jak nale-



ży. W niezbyt odległej przyszłości mogła zostać tą biedną, nieszczęsną Eleanor, którą okoliczności pozbawiły szans.

Pomyślała, że będzie podróżować, i tego lata wybrała się na południe Francji oraz do północnych Włoch, lecz owo przedsięwzięcie, choć ciekawe, nie sprawiło jej przyjemności. Zastanawiała się też nad znalezieniem jakiejś pracy, ale nie przychodziło jej do głowy nic, co lubiłaby bardziej od domu przy Holland Square i szpitala. Wiedziała, że nie ma żadnych szczególnych uzdolnień, i ogarnęło ją przerażające podejrzenie, iż właśnie to było wszystkim, co życie miało jej do zaoferowania, i że jej energia oraz umiejętność skutecznego działania mogą się rozpląnąć w porannych kawach, wieczornych przyjęciach i na posiedzeniach niezliczonych a niezdecydowanych komitetów. Wtedy właśnie pomyślała o małżeństwie.

Do teatru i na przyjęcia chodziła, oczywiście, z mężczyznami, lecz żaden z tych związków nie trwał dłużej niż kilka miesięcy. Lekarze stażyści, których zapraszała na kolacje, wydawali się zbyt młodzi i pozbawieni ognia... Wstąpiła do klubu brydżowego i - ku rozbawieniu ojca - do Klubu Książki Lewicowej. Straciła dziewictwo, było to jednak przykre doświadczenie. Przypuszczała, że kobiety wychodzą za męża, aby móc rodzić dzieci, ale odwiedzając przyjaciółkę w szpitalu położniczym, stwierdziła, że noworodek z jego pomarszczoną twarzą i luźną skórą jest wyłącznie odrażający. Prawdopodobnie, powiedziała sobie, innymi uczuciami darzy się własne dziecko.

Była wystarczająco spostrzegawcza, by zdawać sobie sprawę, iż niektórych mężczyzn zniechęca otaczająca ją aura skutecznej praktyczności. Próbowwała udawać trzpiotowatą i frywolną, wydało jej się to wszakże irytujące. Wiedziała też, że każdego poznanego mężczyznę porównuje z ojcem i że żaden nie wytrzymuje tego zestawienia.

Ostre zachodzące słońce oślepiło Guya wychodzącego ze szpitalnego holu. Mrużąc oczy, usłyszał jakiś głos:

- Czy zechce pan kupić stokrotkę dla Świętej Anny?

Odwróciwszy się, zobaczył stojącą na schodach pannę Stephens z puszką na datki w ręku. Poznała go i uśmiechnęła się serdecznie.

- Przepraszam, nie wiedziałam, że to pan, doktorze Neville. Dzisiaj jest dzień naszego szpitala - wyjaśniła, wskazując na

tacę pełną białych papierowych kwiatków. - Prosimy wszystkich, by kupowali te stokrotki na wsparcie dla kliniki.

Guy sięgnął do kieszeni po drobne, Eleanor zaś wpięła mu kwiat w klapę marynarki.

- Proszę - powiedziała. - To będzie mój ostatni. Muszę już iść do domu, ojciec będzie czekać na kolację. - Spojrzała na Guya. - Gdzie pan mieszka? Może pójdziemy razem?

- Przy Malt Street, w Hackney. Obawiam się, że nie będzie pani po drodze, panno Stephens.

- Taki ładny dzień... a ja muszę rozprostować nogi. Chyba mogłabym zatelefonować od pana po taksówkę, doktorze Neville.

- Będę wdzięczny za towarzysztwo - zapewnił ją z uśmiechem.

Godziny największego ruchu już minęły i ulice zaczynały pustoszeć. Przez chwilę szli w milczeniu.

- Zły dzień, doktorze Neville? - zapytała w końcu panna Stephens.

- Pacjentka z powikłaniami ciążowymi. Nie wezwali lekarza z powodu kosztów. Klinika Świętej Anny nie daje nadziei. Taka strata... A tam jest jeszcze troje dzieci. Bóg wie, co się z nimi stanie...

Eleanor wyszeptała ciche słowa współczucia i poszli dalej. Tylko kilka pasm wełnistych obłoków plamiło szafirowe niebo. Guy uświadomił sobie, że milczenie trwa zbyt długo, a on sam wyda się pannie Stephens nietowarzyski. Dawny Guy Neville, ten, który niegdyś w La Rouilly rozmawiał i śmiał się od wczesnych godzin poranka, najwyraźniej ostatnio gdzieś się zawieruszył.

Skręcili w Malt Street i Eleanor weszła za nim do domu. To właśnie wtedy po raz pierwszy Guy zobaczył swój dom takim, jakim musieli widzieć go inni: sterta ubrań w przedpokoju, zakurzone poręcze schodów - zimna i odstraszać karykatura kawalerskiego gospodarstwa.

Przypomniał sobie uporządkowane, lśniące czystością salony państwa Stephensów.

- Nie jestem dobry w prowadzeniu domu - przeproszał swego gościa.

- Nie ma pan służącej, doktorze Neville?

- Mam, ale w najlepszym razie jest nieco niesystematyczna.

- Wiem, że w dzisiejszych czasach trudno o dobrą służbę, ale moja babcia, która mieszka w Derbyshire, zawsze potrafi mi znaleźć jakąś roztropną wiejską dziewczynę. Mogę z nią porozmawiać, jeśli pan chce.

Guy pomyślał, że owa „roztropna wiejska dziewczyna” doprowadziłaby tylko nieszczęsną Biddy do hysterii. Przypuszczał, że jadalnia „ozdobiona” jest jeszcze pozostałościami ze śniadania, więc wprowadził Eleanor do frontowego pokoju, którego używał jako biblioteki, lecz kiedy tam się znaleźli, jęknął. Biurko zavalone było kwitami i księgami rachunkowymi. Poprzedniego wieczoru Guy bez entuzjazmu podjął kolejną próbę ich uporządkowania, zasnął jednak po dziesięciu minutach.

- Wyniosę to... - wymamrotał.

- Czy mogłabym panu pomóc, doktorze Neville? - Eleanor rzuciła okiem na rachunki i księgi. - Jestem w tym bardzo dobra. To ja wykonuję całą papierkową pracę za ojca. Czemu nie pozwoli mi pan zobaczyć, co mogę zrobić?

- Bo nie chciałbym pani wykorzystywać, panno Stephens.

- Nie mam nic przeciwko temu... a gdyby zechciał pan otworzyć okno, aby wpuścić trochę świeżego powietrza, a potem zrobić mi filiżankę herbaty... O Boże, znowu zaczynam się rządzić, prawda? Mój papa zawsze mówi, że dyryguję nawet wędrownymi druciarzami, którzy pukają do drzwi.

- Od śmierci ojca próbuję się zmusić do uporządkowania tego wszystkiego, ale brakuje mi czasu. Zakładam przychodnię dla matek i dzieci. Widzi pani, tak wielu zachorowań można by uniknąć, gdyby stosować odpowiednią profilaktykę... a jeśli pacjenci nie będą przychodzić do gabinetu, to my musimy chodzić do nich. Myślę o zaangażowaniu pielęgniarki, która ważyłaby dzieci i dokonywała rutynowych kontroli... - Przerwał, spoglądając na Eleanor. - Przepraszam... To jedna z moich obsesji.

- Wspaniały pomysł, doktorze Neville. Ale musi pan się z tym uporać, bo inaczej wszystko się popłącze.

Uśmiechnął się krzywo.

- Rzecz w tym, że chyba nienawidzę papierkowej roboty.

- A ja nie - odparła, siadając przy biurku.

Guy otworzył szeroko okno, a potem poszedł do kuchni po herbatę dla panny Stephens oraz szkocką i wodę dla siebie. Gdy wrócił, Eleanor miała zmarszczone brwi.

- Niektóre z rachunków oznaczone są symbolem „o/s”. Co to oznacza?

- „Opłata symboliczna” - wyjaśnił. - Ci ludzie są zbyt ambitni, by przyjąć darmową pomoc z litości, ale nie mogą pozwolić sobie na pokrycie pełnych kosztów wizyty i lekarstw. Mamy tu jednak kilku zamożnych pacjentów, na przykład pułkownika Walkera i panią Crawford, więc liczymy im po sześć gwinei za kwartał, co oznacza, że od uboższych możemy brać po pięć szylingów, choćby nawet odbyli kilkanaście wizyt.

- Chce pan przez to powiedzieć - spytała panna Stephens powoli - że ów pułkownik Walker i pani Crawford subsydiują uboższych pacjentów?

- No właśnie. Nie myślałem o tym w taki sposób; zdaje się, że to pachnie socjalizmem. Pani Crawford byłaby przerażona. Uważa, że wszyscy socjaliści są w zмовie z diabłem.

Eleanor jeszcze raz spojrzała na papiery. Jej włosy były tak ciemne, że wydawały się niemal czarne, i miały zdrowy połysk. Błyszczą, pomyślał Guy, jak smoła... lub melasa. Nie, to nie było odpowiednie słowo. Brakowało mu jednak talentu do poetyckich porównań. Wszak nikt nie chciałby dotykać smoły ani melasy!

- Oczywiście musiałem kupić tę praktykę po śmierci ojca - dodał. - Tak więc obecnie rzeczy mają się dość kiepsko.

Podniosła wzrok.

- Biedny doktor Neville. - Jej brązowe oczy były pełne zrozumienia.

- Jeśli ma pani zostać moim buchalterem, panno Stephens, proszę nazywać mnie Guyem.

- Pod dwoma warunkami - odpowiedziała z uśmiechem.

- Cóż to za warunki?

- Pierwszy: że pan będzie mnie nazywał Eleanor, drugi: że poczęstuje mnie pan szkocką z wodą. Herbata nie jest wystarczająco mocna, by pomogła mi poradzić sobie z tym bałaganem.

Eleanor wpadała do domu przy Malt Street dwa razy w tygodniu, by doprowadzić do porządku rachunki Guya. Gdy zaś przepisała wszystkie skrawki papieru do porządnie oprawionego zeszytu, zabrał ją na koncert, chcąc w ten sposób wyrazić swoją wdzięczność. W tym czasie zdobył się na wysiłek i doprowadził do uporządkowania domu, angażując czyściciela

okien oraz skłaniając pochlebstwami Bidy do wyszorowania podłóg, a także choćby niewielkiego sprzątania.

Uświadomił też sobie niebawem, że bez najmniejszego zamiaru z jego strony popadli w pewną rutynę. Eleanor pracowała w piątkowe popołudnia, zamykając tygodniowe sprawozdania, a potem pili razem herbatę lub szli do jakiegoś pubu. Kiedy zaś uporządkowała wszystkie księgi rachunkowe, skierowała swą energię na inne sprawy, znajdując dostawcę, który przywoził warzywa do domu, sprowadzając rzemieślnika, który naprawił okna i pomalował drzwi wejściowe, a nawet wskazując godną zaufania pralnię. Wróciwszy pewnego piątkowego wieczoru z domowych wizyt u chorych, Guy zastał Eleanor na kolanach w niszy pod schodami.

- Szukałam jakiejś ścierki do kurzu, Guy, bo pomyślałam, że wezmę się do kartotek przychodni, ale ta jest bardzo brudna, a ponieważ nic nie znalazłam w kuchni ani w spiżarni, więc zajrzałam tutaj - tłumaczyła, wyczołgując się z owej niszy i wstając.

Z podwiniętymi rękawami i w eleganckiej sukience osłoniętej zakurzonym fartuchem wydawała się znacznie młodsza i bardziej bezbronna.

- Cóż za niezwykła kolekcja przedmiotów! Stare radio, kandelabr, pudła pełne czasopism i to najpiękniejsze krzeselko, które, jestem pewna, pochodzi z czasów Jerzego IV.

- Pajęczyna... - dodał Guy i otarł jej czoło opuszką palca. Skóra dziewczyny była chłodna i gładka. - W nagrodę zrobię ci kolację, Eleanor. Nie sądzę, by przez ostatnie dziesięciolecia ktokolwiek zaglądał pod schody. Będzie jajecznicą, dobrze?

Zjedli ową kolację w jadalni, otoczeni ciężkimi, ciemnymi meblami, które matka Guya otrzymała w prezencie ślubnym. Eleanor oglądała zdjęcia rodzinne w srebrnych ramkach.

- To twoja matka? Bardzo piękna. Masz jej oczy, Guy. To zaś musi być twój ojciec. - Odstawiła na miejsce drugą fotografię i wzięła następną. - A ta? Kogo przedstawia? Kuzynostwo?

Guy potrząsnął przecząco głową.

- To moi przyjaciele, państwo Mulgrave.

- Gdzie zrobiono to zdjęcie? Dom wygląda bardzo okazale.

- We Francji. Ta dama - wskazał Genyę - jest właścicielką owego *chateau* - uśmiechnął się, wspominając przyjaciół. - To najbardziej niezwykli ludzie, jakich spotkałem w życiu. Bar-

dzo chciałbym ci przedstawić państwa Mulgrave'ow, z pewnością byś ich polubiła, jestem tego pewny. Sa tacy oryginalni i inni. Nie przestrzegają żadnych zasad oprócz swoich własnych. Ich dzieci nie boją się niczego...

Jednak nawet teraz, gdy o nich opowiadał, był przekonany, że nie jest to prawda, gdy chodzi o Faith; że ta w przeciwieństwie do Jake'a i Nicole poprzedzała każdą ewentualną lekkomyślność i brawurę zdecydowanym nabraniem oddechu.

Opowiedział dziewczynie o tym, jak Ralph znalazł go nieopodal Bordeaux i zaprosił do La Rouilly, i jak nieoczekiwanie został tam cały miesiąc.

- ...a Poppy, żona Ralpa jest najcudowniejszą kobietą na świecie. Nigdy się nie załamuje i zawsze radzi sobie ze wszystkim. Dzieci mówią kilkoma językami, lecz nie jestem pewien, czy w całym swoim życiu spędziły chociaż jeden dzień w szkole.

- To może sprawić im kiedyś wiele trudności - zauważyła Eleanor.

- Jakoś nie zwraca się na to uwagi. Faith... najstarsza... wydaje mi się doskonała taka, jaka jest.

- Ile ma lat? Musiał się zastanowić.

- Chyba siedemnaście.

- Jest ładna? Na tym zdjęciu prawie jej nie widać.

Guy nigdy się nie zastanawiał, czy Faith jest ładna, czy też nie.

- Doprawdy nie mam pojęcia - przyznał się ze śmiechem. -Nosi najbardziej niezwykle stroje: rzeczy swojej matki oraz Genyi; edwardiańskie suknie południowe i boa z piór.

- Mówisz tak, jakbyś był w niej zakochany, Guy - zauważyła Eleanor, lecz tylko spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Oczywiście, że nie jestem w niej zakochany. Faith jest dla mnie jak siostra. Nie mam zbyt dużej własnej rodziny... Przypuszczam, że państwo Mulgrave są dla mnie kimś w rodzaju przybranych krewnych.

- Nie obruszaj się, Guy, jesteśmy dorośli i nie chodzi o to, by żadne z nas nie miało przedtem bliskich przyjaźni.

Z Eleanor Stephens emanowało coś tak nieskazitelnego, tak czystego i - rzecz by można - doskonale „wyszorowanego”, że Guyowi nie przychodziło nawet do głowy, by się zastanawiać, czy miała kochanków. Teraz stanął mu przed oczami obraz tej

kobiety w łóżku z innym mężczyzną; obraz Eleanor o ciele gładkim, jędrnym i zmysłowym... Roześmiała się nagle.

- Ojciec mówi, że lekarze powinni zenić się młodo, by mieć kogoś, kto robiłby im śniadanie, zanim wyjdą do swych porannych obowiązków, i kto ogrzeje im łóżko, gdy późną nocą wracają do domu. O Boże... - przerwała zarumieniona - nie chciałam przez to powiedzieć... Jestem pewna, że nie myślisz o mnie w ten sposób... - plątała się, wyraźnie zażenowana.

Fakt, że teraz straciła kontenans, był wzruszająco sprzeczny z jej zwykłym spokojem i opanowaniem. Przygnębiony śmiercią ojca i zaabsorbowany pracą Guy stwierdził, iż trudno mu sobie przypomnieć, kiedy ostatnio zainteresowała go jakaś kobieta. Ponadto rzucające się w oczy zdrowie i energia panny Stephens ostro i zdecydowanie kontrastowały ze zniszczonymi, chorymi kobietami, które widywał każdego dnia w swym gabinecie, i nieoczekiwanie ogarnęło go nagłe pożądanie.

- A jak, twoim zdaniem, myślę o tobie?

Potrząsnęła głową, zagryzając wargę. Zrozumiał teraz, jak mogli widzieć ją inni: wyłącznie jako poważną, rozsądną, praktyczną Eleanor, a więc w sposób umniejszający jej zalety.

- W istocie myślę o tobie jako o bardzo atrakcyjnej młodej kobiecie - odpowiedział łagodnie. - Tak naprawdę myślę o tobie jako o kimś, kogo bardzo chciałbym pocałować.

I uczynił to.

Była północ, gdy Eleanor wróciła do domu przy Holland Square.

- Kieliszek brandy przed pójściem spać? - zawołał ojciec, gdy weszła do holu.

Poszła za nim do salonu i gdy napełnił dwa kieliszki, zwinęła się u stóp ulubionego ojcowskiego fotela przy kominku.

- Jakże się miewa twój impulsywny doktor Neville, moja droga? - zapytał ojciec.

- Guy miewa się doskonale, ale nie jest moim doktorem Neville'em - odrzekła, uśmiechając się jednak przy tym do siebie.

- Doprawdy? Ostatnio często się spotykacie.

Twarz jej pokryła się rumieńcem na wspomnienie pocałunków Guy a.

- Nie sprzeciwiasz się, tatusiu? Lubisz go? - spytała, natychmiast zdając sobie sprawę, że z zapartym tchem oczekuje na werdykt.

Ojciec chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Doktor Neville ma dobrą opinię jako lekarz. Oczywiście jest jeszcze młody, ale... tak, pochwalam jego postępowanie. W młodości pewna doza idealizmu jest niezbędna. Zawsze twierdziłem, że bez owego idealizmu lekarz nie mógłby wytrzymać pierwszych kilku lat praktyki. Miejmy jednak nadzieję, że z czasem stanie się bardziej pragmatyczny. - Po tych słowach ojciec Eleanor zrobił przerwę, a potem zapytał niezobowiązująco: - Lubisz go, kochanie?

- My... jesteśmy przyjaciółmi - odrzekła.

A jednak kiedy myślała o Guyu, serce jej waliło i czuła ogarniające ją podniecenie. Przyszło jej na myśl, że chyba zakochała się w tym mężczyźnie. Nigdy przedtem nie przeżywała romantycznej miłości, więc dotychczas przypuszczała, że to tylko jakieś wymysły.

- Doktor Neville nie wydaje się zamożny - ostrzegł ją ojciec. - Bądź ostrożna, moja droga, z ideałów nie da się kupić domu ani utrzymać rodziny.

- Guy ma całkiem miły dom.

- W Hackney? - W głosie Selwyna Stephensa brzmiało niedowierzanie.

- Upiększając go nieco... Frontowe pokoje są przestronne, a dzięki kilku muśnięciom koloru i paru tkaninom mogłyby być urocze.

- Biedny doktor Neville może nie chce zmieniać swego domu, córeczko - powiedział ojciec, głaszcząc ją po ramieniu. - Bądź ostrożna, moja droga. Czasami wydaje mi się, że masz dość apodyktyczny charakter. Mówiąc jednak poważnie... - jego głos brzmiał łagodnie - Hackney to zupełnie inna dzielnica niż Bloomsbury, kochanie. A życie żony borykającego się z trudnościami finansowymi zwykłego lekarza z praktyką ogólną, bez specjalizacji... nie byłoby takie, do jakiego się przyzwyczaiłaś, Eleanor.

Ależ ja nie chcę tego, do czego jestem przyzwyczajona! -myślała. To wszystko męczy mnie i nudzi! Nie ma w tym już dla mnie żadnego wyzwania! A tak wiele mogłabym zrobić dla Guya. Z moją pomocą nie będzie musiał na zawsze pozostać



borykającym się z trudnościami finansowymi lekarzem ogólnym i nie będzie musiał wciąż mieszkać przy Malt Street.

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi, ojciec - powtórzyła.

- Oczywiście. Gdyby jednak twoje zainteresowanie stało się poważne, wtedy ja, naturalnie, gotów byłbym wam pomóc. Jak wiesz, nie jestem bogaty, ale prawdopodobnie mógłbym zaproponować doktorowi Neville'owi współudział w mojej praktyce - mówiąc to, profesor Selwyn Stephens uśmiechnął się - jeśli tylko złagodzi swe zasady na tyle, by go przyjąć.

- Jesteś dla mnie taki dobry! - odrzekła, ściskając dłoń ojca. - Ale nie zamierzam poślubić Guya. Poza tym, kto by się troszczył o ciebie?

- Dałbym sobie radę. Nie chciałbym, żebyś przez wzgląd na mnie zrezygnowała z tego, czego naprawdę pragniesz.

Eleanor zamknęła oczy. Mimo ogarniającej ją senności wciąż słyszała głos Guya: „Faith wydaje mi się doskonała...”.

Zanim ojciec przypomniał jej, że jest zmęczona i powinna iść już spać, miała jeszcze dość czasu, by pomyśleć, że Faith należała do dziewcząt, które podobały się raczej mężczyznom niż kobietom, i że się cieszy, iż owa panna Mulgrave mieszka daleko, we Francji.

Ponad rok Mulgrave'owie nie mieli wiadomości od Jake'a. Zimą na przełomie lat 1938-1939 spędzili w Marsylii. Faith lubiła to miasto. Wyszukała na ulicznym targu dwie sukienki, zwinięte w rulon niczym kielbaski, znalazła też posadę w kawiarni nieopodal portu. Pracując, mogła oglądać las masztów kołyszących się na wodzie. Po jednej stronie owej kawiarni miał swój zakład rzemieślnik szyjący żagle, po drugiej zaś znajdował się sklep z towarami niezbędnymi w gospodarstwie domowym. Na zewnątrz zawsze coś się działo; dochodziło do bijatyk albo awantur między kochankami, pewnego razu zaś przed kawiarnią pchnięto nożem jakiegoś mężczyznę i Faith musiała obrusem tamować mu krew, podczas gdy patron pobiegł po lekarza.

Podawała śniadania oraz obiady i pracowała za barem. Grał tam również pianista, a wieczorami odbywał się dancing. Klientela była mieszaniną marynarzy i kupców. Jeden z owych kupców, niejaki Gilles, nosił eleganckie garnitury, miał miedzianą cerę, lśniąco czarne włosy i niewielki wąsik. Przyjeź-

dział wielkim szarym samochodem ze skórzanymi siedzeniami i upierał się, by tylko Faith, nie zaś żadna inna kelnerka, podawała mu kawę. Nicole, która wieczorami śpiewała w tym lokalu, była pod wrażeniem owego niezwyklego klienta.

- Przypuszczam, że on sprzedaje opium albo trudni się handlem kobietami. Pomyśl tylko, Faith, mogłabyś znaleźć się w jego haremie.

Gilles pozwalał, by Faith czytała jego poranną gazetę.

- Muszę wiedzieć co się dzieje - wyjaśniła mu. - Może wybuchnąć wojna, a ponieważ nie mamy prawdziwego domu, musielibyśmy się zastanowić, dokąd najlepiej byłoby wtedy wyjechać.

- Jeśli wybuchnie wojna, śliczna Faith, to będziesz musiała pojechać ze mną do Afryki Północnej. Mam piękną willę w Algierii. Tam obsługiwaliby cię moi służący i już nigdy nie musiałabyś podawać do stołu jako kelnerka.

Gilles powtarzał to wielokrotnie, a Faith zawsze się uśmiechała.

- Nie, dziękuję - mówiła bardzo uprzejmie, chichocząc w duchu na myśl o haremowych pantalonach i zasłonie, jaką noszą na twarzy muzułmanki.

Ralph i Poppy pojechali na tydzień do Nicei, by spotkać się z przyjaciółmi, i pewnego ranka, akurat w chwili gdy Faith wychodziła z domu, listonosz wręczył jej jakiś list przesłany przez Genyę. Przeczytała go w labiryncie zaułków, którymi zmierzała do pracy. List nadszedł z Francji, nadawca miał na imię Luis, i okazało się, że chory Jake przebywa w obozie dla uchodźców niedaleko Perpignan.

Gilles był już kawiarni. Faith podała mu kawę, pożyczyła sobie jego gazetę, przeczytała informacje dotyczące Hiszpanii i zamyśliła się na chwilę.

- Gilles, czy mogłabym pożyczyć twój samochód? - zapytała po chwili, nalewając mu drugą filiżankę kawy.

Zauważyła, że się wzdrygnął, ale nie przestając być dżentelmenem, szybko ukrył zmieszanie.

- Oczywiście. Można wiedzieć, po co?

- Mój brat jest w obozie uchodźców w Argeles. Najwyraźniej nie ma żadnych dokumentów, więc strażnicy nie wierzą, że jest Anglikiem. Pomyślałam, że mnie mogliby uwierzyć, jeśli przyjechałabym tam twoim wspaniałym samochodem, otulona w jakieś futro.

- Pieniądze zawsze robią wrażenie - przyznał Gilles i wyjął z kieszeni kluczyki. - Oczywiście, że możesz pożyczyć mój samochód, *ma chere* Faith. Umiesz prowadzić, jak przypuszczam?

Jeździła niegdyś starym citroenem furgonetką po polach wokół La Rouilly i miała nadzieję, że samochód Gilles'a prowadzi się tak samo. Ucałowała mężczyznę w obydwie policzki i poszła szukać patrona, żeby poprosić go o dwa wolne dni. W domu przebrała się w świąteczną niebieską sukienkę oraz stare futro Poppy, po czym ozdobiła uszy diamentowymi kolczykami, na twarz zaś nałożyła kilka warstw szminki i pudru. Spoglądając na siebie w lustrze, stwierdziła, że wygląda na kobietę co najmniej dwudziestopięcioletnią i ogromnie bogatą.

Samochód Gilles'a nie był tak łatwy do prowadzenia, jak oczekiwała. Raz czy dwa otarła go, biorąc zakręty w wąskich ulicach, którymi wyjeżdżało się z Marsylii, lecz na szczęście lakier nie wydawał się zbyt głęboko zdarty. Z większą łatwością jechała później na zachód wzdłuż wybrzeża ku Argeles. Ruchomy dach auta chronił ją przed podmuchami wiatru i deszczu ze śniegiem, więc mogła spokojnie planować, co zrobi, gdy dotrze do obozu.

Pod koniec lutego 1939 roku, gdy wojska generała Franco posuwały się naprzód przez Katalonię, Jake maszerował wraz z dziesiątkami tysięcy innych uchodźców z Barcelony do granicy francuskiej. Szedł wolno, bo zaraziwszy się wcześniej grypą, ledwie powłóczył nogami po kamienistych drogach, a kaszel męczył go nawet bardziej niż samoloty niemieckiego legionu Kondor, które ostrzeliwały kolumny pieszych. Chociaż z nieba lała się wciąż okropna mieszanina lodowatego deszczu i śniegu - właściwe tło dla śmierci Republiki, myślał Jack - jego ciało dręczyły skrajne skoki temperatury. Czasami z okolicy serca zdawał się emanować jakiś chłód, kiedy indziej zaś bolesny żar sprawiał, że po twarzy chłopaka spływały strumienie potu. Podejrzewał, że ma gorączkę, i najbardziej pragnął zwinąć się w jakimś rowie i leżeć tam, dopóki nie przestanie kaszleć i się pocić, lecz podążał dalej po prostu dlatego, że wszyscy jego przyjaciele szli. Odkrył bowiem podczas tej strasznej i niemożliwej do zrozumienia wojny, że lojalność wobec walczących obok przyjaciół, była jedynym uczuciem, jakie mu pozostało. Kiedy tracił siły, gdy zatrzymywał się na kilka chwil na

poboczu i cała zmaltretowana, udreńczona, torturowana Hiszpania - matki z niemowlętami na rękach, dzieci kurczowo ściskające lalki lub piłki będące pamiątkami niegdyś szczęśliwego dzieciństwa - kroczyła z wolna obok, wtedy czekał też Luis, więc przez wzgląd na przyjaciela Jake wstawał i szedł dalej, zmuszając się do wysuwania jednej nogi przed drugą.

Granica ucieszyła uchodźców, dając im poczucie bezpieczeństwa. Jake widział wokół wielu, którzy sięgali po garść hiszpańskiej ziemi, by wnieść ją ze sobą do Francji. Francuzi najpierw pozwolili przekroczyć granicę jedynie kobietom, dzieciom i rannym, kilka dni później wpuścili również mężczyzn. W obozie w Argeles, będącym po prostu kawałkiem piaszczystych wydm otoczonych drutem kolczastym, Jake zapadł w sen. Przyśnił mu się pewien chłopak, który odmówił dalszej walki i którego jacyś ludzie w czarnych skórzanych płaszczach wzięli na bok i zabili strzałem w tył głowy; śniły mu się leżące w błocie dzieci, pozabijane przez strzelców z samolotów legionu Kondor; śnił mu się więzień, którego żywcem zakopano w rowie na poboczu drogi, co jak przypuszczał Jake, było wyrównaniem starych porachunków. Między owymi koszmarami pojawiały się też inne wizje. La Rouilly... piknik w lesie na tyłach zamku... Byli tam wszyscy: rodzice, Faith, Nicole, Guy, Felix... Świeciło słońce i Jake doznał uczucia niedającej się znieść tęsknoty.

W Argeles nie było się gdzie schronić przed deszczem i zimnem i początkowo nie mieli też żywności ani wody. Luis wykopał w piasku dół i otulony płaszczem Jake zwinął się w nim niczym zwierzę zapadające w zimowy sen. Całymi długimi, zimnymi i ciągnącymi się w nieskończoność godzinami rozmawiali o przyszłości. Luis miał w Paryżu przyjaciół, którzy wydawali lewicową gazetę; uda się tam, gdy tylko będzie mógł. Jake także musi przyjechać do Paryża; paryżanki są śliczne, opowiadał przyjaciel, wykonując przy tym okrągłe gesty. Jake zakaszłał i próbował się uśmiechnąć. Luis, zaniepokojony jego stanem, powiedział uzbrojonemu francuskiemu strażnikowi, że Jake jest Anglikiem, lecz tamten mu nie uwierzył. Chłopak nie miał żadnego dowodu tożsamości; paszportu ani jakichkolwiek dokumentów, a kiedy gorączka rosła, mówił kilkoma różnymi językami. Większość obcokrajowców opuściła Hiszpanię w październiku, gdy rozwiązano Brygady Międzynarodowe. Luisowi udało się wysłać list do Faith, do La Rouilly; Jake, który nie

wiedział wówczas, gdzie przebywa jego rodzina, czuł się niekiedy rozpaczliwie samotny.

Śnił mu się właśnie ponownie ów koszmar o mężczyźnie zakopanym żywcem, gdy przyszedł po niego strażnik. Z powodu owego snu Jake szarpał się trochę, dopóki Luis nie powiedział mu, żeby się uspokoił, bo czeka na niego siostra. Przez chwilę Jake nic nie rozumiał, nie potrafił sobie wyobrazić Faith w brudzie, smrodzie i chłódzie obozu w Argeles, ale nie mógł też się powstrzymać od szlochów ulgi. Potem uściśnął Luisa, wyszeptał: „Spotkamy się w Paryżu”, i podążył przez wydmy za strażnikiem.

Początkowo nie poznał Faith. Miała na sobie starą niebieską sukienkę oraz znoszone futro mamy i wyglądała, co musiał przyznać z niechęcią, w pewien szczególny sposób dość niezwykle. Strażnicy najwyraźniej również tak myśleli; częstowali dziewczynę papierosami i kawą, zalecając się do niej wręcz obrzydliwie. Śmiała się i wdzięczyła zupełnie nie w swoim stylu, ale potem odwróciła się i ujrzała brata, a wtedy wyraz jej twarzy uległ zmianie. „Och, Jake!”, zawołała, podbiegła i objęła go mocno. On zaś dopiero wtedy zrozumiał, że siostra płacze, gdy poczuł jej łzy na szyi.

Zobaczywszy Jake'a w tak okropnym stanie, Faith początkowo nie zadawała żadnych pytań, tylko sama mówiła do niego, czując, że brat pragnie słyszeć jej głos, aby się nie załamać.

- Powiedziałam, że jestem córką angielskiego księcia, a ty jesteś moim bratem. Wiesz, musiałam ich przekupić. Dobrze, że w samochodzie znalazły się jakieś pieniądze.

Na widok samochodu Jake westchnął: „Wielki Boże, to phantom”, więc opowiedziała mu o Gilles'u.

- Jesteś jego kochanką? - zapytał.

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała stanowczym tonem i przeszukawszy schowek przy kierownicy, znalazła w nim butelkę brandy Gilles'a. - To tylko klient kawiarni, w której pracuję. Strasznie sympatyczny. Myślę, że jest przemysłowcem.

Dała Jake'owi brandy i czekoladę, a potem owinęła go kocami, żeby nie czuł zimna. Jechali w milczeniu i widziała, jak się rozluźniał, jak gdyby zostawiał za sobą Hiszpanię i obóz.

- Dlaczego wyjechałeś, Jake? - zapytała po chwili.

- Z powodu tego, co powiedział Felix o przegrywającej Republice - roześmiał się sucho. - Myślałem, że walczę o wol-

ność. Jednak nie udało mi się przeciwstawić fali faszyzmu, prawda?

Faith spojrzała na brata. Bardzo się zmienił od chwili, gdy przed osiemnastoma miesiącami wyjechał z La Rouilly. Pomijając jego zapadnięte policzki oraz brud i wielodniowy zarost, czuła, że zmiany, jakie w nim zaszły, są głębokie i trwałe.

- Zawsze miałeś obrzydliwie wygórowane ambicje, Jake - odrzekła lekko, ale mówiąc to, ścisnęła jego dłoń.

Mokry śnieg powoli ześlizgiwał się z przedniej szyby.

- Wciąż padało, a ja miałem dziurę w bucie, więc zrobił mi się pęcherz. Niemal przez cały czas cierpiałem na biegunkę i dość dużo straciłem na wadze. Wydawało mi się, że większość czasu spędzam na maszerowaniu do jakichś miejsc, a gdy tylko do nich dotarłem, musiałem znowu iść gdzie indziej. Było to wyczerpujące, a karabin wciąż się zacinał - mówił Jake, potem zas wyjął z kieszeni woreczek z tytoniem i podał go Faith. - Skręcisz mi jednego, prawda? Mnie za bardzo trzęsą się ręce. - Kaszłał ale skręciła mu papierosa. Przez chwilę palił, a pozniej ciągnął dalej - Nigdy nie wiedziałem dokładnie, czego się po mnie oczekuje. Sądziłem, że wszystko stanie się... jasne. Dobro i zło wszystko... Ale nie było. - Znow zaczął kaszleć, a kiedy kaszel się uspokoił, z goryczą przyznał: - W pewnym sensie oczywiście tak. I okropne jest to, że faszyzm zwycięża. Widziałem jednak najokropniejsze rzeczy dokonywane przez ludzi, którzy mieli być po tej samej stronie co ja, i to kazało mi myśleć... - Zmrużył oczy i długo wyglądał przez okno w milczeniu.

- Co chcesz teraz zrobić, Jake? - zapytała delikatnie po chwili.

- Chcę się pozbyć tego cholernego kaszlu - odrzekł, zastępując poprzedni gorzki wyraz twarzy dawnym, znanym jej, czarującym uśmiechem. - Potem pojedę do Paryża. Jeden z moich przyjaciół zna w Paryżu kogoś, kto jest właścicielem gazety. Ty również powinnaś tam się wybrać, Faith.

### *Rozdział trzeci*

W Paryżu Jake zamieszkał przy rue des Sts-Peres na lewym brzegu Sekwany z Luisem i pewnym angielskim malarzem o nazwisku Rufus Foxwell. Rufus szydził z gazety, dla której pracowali Luis i Jake. „UEspoir? Raczej Le Desespoir!” - powtarzał, a Jake był skłonny z nim się zgodzić. Cała jego dawna namiętność do polityki wypaliła się w ogniu hiszpańskiej wojny domowej, a poza tym praca dla „UEspoir” zdawała się sprowadzać głównie do wystawiania w deszczu i wciskania tego paskudztwa kompletnie niezainteresowanym przechodniom. Po miesiącu rzucił więc gazetę i zaczął pracować w barze, gdzie płacono mu lepiej i gdzie przynajmniej było sucho.

Jake uwielbiał Paryż. Uwielbiał szerokie ulice, jasne, pełne wdzięku budowle i wczesne, poranne słońce nad Sekwaną. Po ciężkim upale ujścia Garonny, klimat Paryża zdawał się przypominać doskonałe wino. Paryżanki zaś - ze swymi smukłymi nogami w jedwabnych pończochach i szykownymi kapelusikami na lśniących włosach - były tak piękne i eleganckie, jak wcześniej zapewniał go Luis. W jednej z nich zakochał się już pierwszego dnia po przyjeździe, ale nim minął tydzień, przeniósł uczucia na inną. Nauczył się, w jaki sposób jednym spojrzeniem i uśmiechem okazać kobiecie swoje zainteresowanie. Do zdobycia obiektu pożądania dążył z nieustępliwością, a fakt, iż była to kobieta zamężna lub głęboko wierząca, albo związana już słowem z jakim *poilu* zamkniętym w fortach nad Marną, jedynie potęgował ekscytację Jake'a. Nabył też biegłości w pisaniu zgrabnych liścików pożegnalnych, które we właściwych proporcjach łączyły nieodwołalność rozstania z żalem - gdy po dokonaniu podboju ogarniało go znużenie.

W dniu, w którym Francja wypowiedziała wojnę Niemcom, Jake, Luis i Rufus Foxwell od wczesnych godzin pili brandy. Tydzień później Rufus ponownie przyprowadził do ich mieszkania swoją dawną kochankę, Niemkę Anni. Anni była niską, hożą dziewczyną o krótko ostrzyżonych, czarnych włosach i czarnych jak węgiel oczach. Nosiła sportowe spodnie oraz pasiaste, robione na drutach swetry i wyglądała, jak uważał Jake, niczym sprytny, złośliwy uczeń. Jake'owi - który zaprosił na kolację swą najnowszą dziewczynę, długonogą blondynkę o imieniu Marie-Joseph - Anni wydała się niesympatyczna. Wyrażała zdecydowane i niepokojąco przykre sądy o wszystkim i nie miała żadnych skrpułów co do prezentowania swych poglądów innym. Gdy zjedli przygotowaną przez Luisa wołowinę w czerwonym winie, rozmowa zeszła na wojnę. Georges, wydawca gazety, wyraził przekonanie, że batalia skończy się w niespełna kilka miesięcy. Wtedy Anni włączyła się do rozmowy gardłowym głosem o twardym akcencie.

- Dokąd się udasz, Luis? - zapytała. - Wszak jesteś hiszpańskim komunistą, więc nie będziesz w Paryżu bardziej bezpieczny niż ja.

Wszyscy popatrzyli na nią z uwagą.

- Co masz na myśli, Anni? - zapytał Rufus. Zapaliła papierosa i spokojnie odpowiedziała:

- Myślę oczywiście o chwili, kiedy faszyci zajmą Paryż. Ktoś się roześmiał.

- Faszyci nigdy nie zajmą Paryża. To niedorzeczne - oświadczył Jake.

- Czyżby?

Nieprzeniknione czarne oczy dziewczyny przeszły go na wylot; poczuł się jak na cenzurowanym i nie wytrzymał tej próby.

- Chyba myślisz zbyt pesymistycznie, kochanie - załagodził całe zajście Rufus, ponownie napełniając wszystkie kieliszki. - W czasie ostatniej wojny Niemcy próbowali zdobyć Paryż, lecz im się to nie udało. Dlaczego teraz miałyby być inaczej?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Ponieważ ludzie są inni, sytuacja jest inna. Wszystko się zmienia.

- Narody się nie zmieniają - zauważył Jake. Spojrzała na niego chłodno.



- Dziewięć lat temu mieszkałam z rodziną w eleganckiej kamienicy w Berlinie. Mój ojciec był przywódcą związku zawodowego. W domu zawsze mieliśmy co jeść, a ja zamierzałam studiować malarstwo - mówiła Anni, wyliczając to wszystko na palcach - teraz zaś mój ojciec nie żyje, ja nie mogę dłużej mieszkać w Berlinie, a moja rodzina nie posiada nic.

- Mówisz o Niemczech - odparł gniewnie Jake. - Tutaj jest Francja, a to wcale nie to samo.

Słowa dziewczyny wywołały w jego wyobraźni przerażającą wizję Paryża ze swastykami i dudniącymi żołnierskimi butami, a co gorsza, także obraz La Rouilly, które nie będzie już takim rajem, za jaki zawsze uważała je rodzina Mulgrave'ów.

Odwrócił się i resztę wieczoru poświęcił Marie-Joseph. A jednak niepokój go nie opuszczał i gdy wczesnym rankiem dziewczyna pieszczotami przymilała się, by pozwolił jej zostać, potrząsnął przecząco głową, mówiąc szorstko, że musi wyjść na dworzec po siostrę, która nocnym pociągiem jedzie do Paryża.

Faith pomyślała, że wagon sypialny jest cudowny. Znajdowały się w nim rozkładane łóżka, niewielka umywalka i mała kotara pozwalająca zasłonić okno. Dzieliła przedział z drugą pasażerką, zakonnicą w starszym wieku, która nosiła szeleszczący gorset i modliła się - jak później Faith opowiedziała Jake'owi, gdy spotkali się na Dworcu Austerlitz - chyba z parę godzin.

- Już myślałam, że zapadła w sen na klęczkach i chciałam ją szturchnąć, ale wtedy odmówiła ostatnią zdrowaśkę i wskoczyła do łóżka.

Jake zabrał siostrę do mieszkania przy rue Sts-Peres.

- Tamci akurat wyszli - wyjaśnił. - Wrócą później. Wysprzątałem dla ciebie jeden pokój.

Pokój był mały, ale niewielkie okno wychodziło na labirynt kafejek i straganów.

- Och, Jake! - rozpromieniła się Faith. - Jak cudownie! Rzucił okiem na zegarek.

- Będzie ci tu dobrze? Możesz się rozpakować lub przygotować sobie coś do zjedzenia. Czuj się jak w domu.

Gdy wyszedł, rozejrzała się po mieszkaniu. Nie miało sensu rozpakowywanie się, skoro nigdzie nie było szafy, w której mogłaby umieścić swoje rzeczy. W kuchennym zlewie spiętrzyła

się niebezpiecznie sterta naczyń, a każde z nich „ozdobione” było czymś nierozpoznawalnym lub wypełnione mętną, szarą wodą. Jedną z filiżanek stojących na stole po brzegi wypełniały niedopałki papierosów. W sąsiadującej z kuchnią pracowni stały oparte o ścianę wielkie płótna. Faith zaczęła je studiować z uwagą. Obejrzała właśnie z połowę, gdy za jej plecami rozległ się jakiś głos.

- To nie są moje najlepsze obrazy. Wiele z nich zamierzam przemaalować.

W drzwiach stał jakiś mężczyzna. Wydawał się trochę starszy od Jake'a. Był też nieco niższy i mocniejszy. Miał potargane rudobrazowe włosy i bardzo ciemne oczy. Nosił workowate, poplamione farbami sztruksowe spodnie i marynarkę z łatkami na łokciach - za to bez kilku guzików.

- Ten mi się podoba - powiedziała dziewczyna, wskazując jeden z obrazów.

Malarz wszedł do pracowni i przyglądał się własnemu dziełu.

- Nieco wtórny. Chyba zbyt wyraźnie nawiązuje do Marca Chagalla - stwierdził, wyciągając rękę. - Nazywam się Rufus Foxwell, a ty musisz być Faith.

- Jake poszedł do pracy - wyjaśniła. - Powiedział, że byłoby najlepiej, abym tu poczekała, aż wróci.

- Myślę, że wcale nie byłoby najlepiej - odrzekł z uśmiechem Rufus. - Nie możesz spędzić pierwszego przedpołudnia w Paryżu zamknięta w takiej norze. Weź zakieciak, panno Mulgrave, wychodzimy do miasta.

Najpierw zabrał ją do kawiarni na kawę i croissanta, a potem na przejażdżkę łodzią po Sekwanie. Po południu, po długim, spokojnym lunchu, poszli do Luwru, gdzie bez przerwy rozmawiali i śmiali się bez końca. Gdy byli w Tuileries, Rufus objął ją ramieniem. Po powrocie do mieszkania przy rue Sts-Peres Faith drzemała w swoim pokoju, a Rufus malował w pracowni. Gdy się obudziła, Jake był już w domu. Przedstawił ją Luisowi, który właśnie gotował; kusząca woń czosnku i pomidorów stłumiła zapachy farb i lnianego oleju.

Gdy zjedli, do mieszkania zaczęli nadciągać różni goście. Najpierw pustogłowa blondynka o imieniu Marie-Joseph, w której Faith domyśliła się najnowszej kochanki brata (Jake zawsze miał okropny gust...), potem jakiś wysoki szczupły mężczyzna, którego nazywano Georges'em; po nim niemiecka

dziewczyna w spodniach, aż wreszcie Faith zaczęła się gubić w imionach i twarzach. W mieszkaniu zrobiło się gęsto od dymu tytoniowego i gorących dyskusji. Ktoś zaczął śpiewać, ale narzekał, że nie ma pianina, więc kilku mężczyzn zbiegło na ulicę, wyciągnęło instrument z najbliższego baru i wtaszczyło na górę ku niezadowoleniu większości pozostałych mieszkańców kamienicy. Faith tańczyła z niezliczonymi partnerami, a jeden z nich wycisnął na jej szyi głośnego całusa. Jakiś malarz zaproponował, że ją sportretuje, a nieznajoma kobieta dała jej adres costumiera, dla którego pracuje. „Znajdę ci coś ładnego na wyprzedazy, *cherie*”, obiecała również. Wszystko to przypominało Faith wieczory w La Rouilly, gdy ona i Jake byli młodszy.

Trochę rozboleła ją głowa, więc wymknęła się do kuchni, żeby zrobić sobie kawę. Obok brudnych naczyń nagromadziło się tam również wiele pustych butelek. Szukając czystej filiżanki, usłyszała za sobą odgłos zamykanych drzwi, a kiedy się odwróciła, ujrzała Rufusa.

- Ten stary Jake tak długo trzymał cię w ukryciu - wymamrotał. - Myślę, że to cholernie nieładnie z jego strony. Masz najpiękniejszą suknię...

- Podoba ci się?

Znalezisko ze strychów La Rouilly z falbanami pajęczosza-rej koronki datowało się, jak sądziła Faith, z pierwszej dekady stulecia.

- *La belle dame sans merci*\* - szepnął Rufus - samotna i zjawiskowa...

Pozwoliła mu na pocałunek, a potem się odsunęła.

- Bardzo cię lubię, Rufusie, ale...

- Za szybko? - Uśmiechnął się wyrozumiale. - Myślałem, że nie zważasz na konwenanse, tak jak Jake. Ale jestem gotów poczekać, jeśli właśnie tego pragniesz, Faith. Przynajmniej do jutra. - Próbował zamknąć ją w ramionach.

- Nie w tym rzecz - odpowiedziała.

- Niech to diabli! A zatem po prostu nie jestem w twoim typie.

Roześmiała się beztrąsko.

- Nie wiem jeszcze, jaki jest mój typ.

\* Tytuł wiersza Johna Keatsa (przyp. red.).

- A może to ktoś inny? - zapytał, najwyraźniej dostrzegając zmianę w wyrazie jej twarzy. - Ach tak... Jake nie wspominał...

- Nie - Faith potrząsnęła głową, myśląc o Guyu.

- Jestem wytrwała i tak łatwo nie rezygnuję - zapewnił ją Rufus.

Właśnie wtedy otworzyły się drzwi i stanął w nich Jake.

- Trzymaj ręce z dala od mojej siostry, Foxwell - powiedział pogodnym tonem - albo cię uduszę.

- Nie zamierzałem jej obrazić - odrzekł Rufus, odskakując do tyłu.

- Nic się nie stało.

- Nie mogę znaleźć filiżanki do kawy. - Faith przeglądała kredens.

- W szafce pod zlewem są słoiki po dżemie. Rufus używa ich czasem do terpentyny - prawda, stary? - ale nie przejmuj się tym.

Usadowieni na krawędzi kuchennego stołu pili kawę, wyglądając przez okno na gładkie, czarne wody Sekwany, w której odbijały się gwiazdy.

- Dobrze się bawisz? - zapytał Jake, a Faith skinęła głową. - Zostaniesz tu kilka tygodni, prawda? Chciałbym ci przedstawić wielu ludzi.

- Zostanę jakiś czas - obiecała, wsuwając rękę pod jego ramię. - Jake, czy nie sądzisz, że powinniśmy pojechać do Anglii?

- Do Anglii?! A po cóż, u licha? Myślałem, że podoba ci się Paryż.

- Uwielbiam go. Chciałam jednak powiedzieć, że wszyscy powinniśmy wyjechać do Anglii. Z powodu wojny.

- Jakbym słyszał tę okropną Anni - odrzekł, wyrzucając fusy z kawy do zlewu.

- Nie złość się, Jake. Wiesz, nasi angielscy „lokatorzy” wrócili już do domu. Odwrócił się od niej plecami.

- Do domu? - powtórzył po chwili. - A gdzie jest nasz dom, Faith?

- Chyba w La Rouilly. Ale jesteśmy Anglikami, mamy brytyjskie paszporty - mówiła, dotykając jego ramienia. - Gdyby zdarzyło się coś złego... gdyby... Jake, wrócisz do nas, prawda?

- Nigdy nie skłonicie ojca do powrotu do Anglii.

- To nie będzie łatwe, wiem. Ale myślę, że mama chciałaby tego.

- Czy pragniesz tam pojechać z powodu Guya? - zapytał z ciekawością w głosie.

Nie widziała Guya przeszło dwa lata, więc zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie, naprawdę nie. Do tego czasu prawdopodobnie już o mnie zapomniał.

- Nonsens. Guy nie należy do tych, którzy zapominają. Faith pomyślała, że trudno jej wyobrazić sobie Anglię.

Z jeszcze większym trudem widziała w sobie w tym kraju, gdzie zawsze jest mokro, mgliście lub zimno. A jednak właśnie owa izolacja twierdzy otoczonej wodami mogła zapewnić im bezpieczeństwo.

- Wrócisz do domu, prawda, Jake? - zapytała ponownie.

- Oczywiście, że wrócę - odpowiedział, by ją udobruchać. -Przyrzekam ci, Faith.

Na Boże Narodzenie Jake odwiedził rodzinę w Marsylii, podyskutował z ojcem i szybko wrócił do Paryża. Mieszkanie przy rue Sts-Peres było opustoszałe, nie zastał w nim nikogo oprócz Anni, która siedząc przy stole, wyjadała palcami kiszoną kapustę ze słoika.

- Co ty tu robisz? - zapytał, rzucając na podłogę swój plecak.

- Jakiś ty czarujący, Jake - odrzekła, nie przerywając jedzenia. - Jak widzisz Rufus pozwolił mi korzystać ze swojej pracowni. U mnie są szczury i wszystko mi wyjadają. Rufus nie przypuszczał, by ktokolwiek pojawił się tu w przeddzień Nowego Roku - spojrzała na Jake'a - ale okazuje się, że był w błędzie. Przepraszam, zaraz sobie pójdę.

Wiedział, że okazał się gburem, więc zdobył się na pewien wysiłek.

- Nie musisz nigdzie iść. Wróciłem wcześniej.

- Święta w rodzinnym gronie nie są tym, co lubisz najbardziej?

- Coś w tym rodzaju - odparł, spoglądając z niesmakiem na kapustę. - Nie masz łyżki?

Gestem ręki wskazała stan kuchni.

- Nie jestem przyzwyczajona do zmywania po innych.

W zlewie piętrzyła się wyższa niż zwykle sterta. Jake jęknął, sięgnął do kieszeni po zapalki i po krótkiej walce udało

mu się włączyć gazowy piecyk do podgrzewania wody, a potem zaczął sortować brudne naczynia. Przeklinając nieobecnego Luisa, który spędzał Nowy Rok w Le Touquet z jakimiś bogatymi przyjaciółmi Rufusa, z irytacją wziął się do zmywania. Pamiętał, że za nim, przy stole siedzi Anni, która po chwili zaczęła mówić.

- Zamierzam pracować, rozumiesz, nie musisz się więc martwić, że będę ci przeszkadzała w twoich amorach.

Coś w brzmieniu głosu dziewczyny sprawiło, że irytacja Jake<sup>^</sup> przemieniła się we wściekłość.

- Nie twój interes, co robię! - warknął.

- Oczywiście, że nie. Właśnie to powiedziałam. - Wstała i nie śpiesząc się, wyszła do pracowni Rufusa.

Jake znalazł ujście dla swej wściekłości, sprzątając kuchnię, dopóki podłogi i blat kuchennego stołu nie lśniły zgołą nienaturalnym blaskiem, a w całym mieszkaniu nie znalazł już ani jednego brudnego talerza. Potem wyjął z plecaka notes z adresami i zaczął przeglądać długą listę nazwisk. Marie-Joseph już dawno zastąpiła Suzanne, potem Martine, a jeszcze później Pepita, ale wszystkie - co stwierdził, przebiegłszy w ów sylwestrowy wieczór cały Paryż - już wcześniej były z kimś umówione. Powoli zaczynał sam sobie współczuć i niemal żałował, że tak nagle wyjechał z Marsylii. Wróciwszy do mieszkania przy rue Sts-Peres, znalazł przed drzwiami bukiet kwiatów zaadresowany do *mademoiselle* Anni Schwartz. Z wnętrza dobiegły go dźwięki gramofonu; przypuszczał, że dziewczyna nie słyszała dzwonka.

Podniósł bukiet, wszedł do środka i zapukał do drzwi pracowni. Gramofon grał bardzo głośno. Anni siedziała przy stole z głową opartą na arkuszu papieru. Podniosła wzrok.

- Jake, nie sądziłam, że pomyślisz... Spojrzał na kwiaty i zaczerwienił się nagle.

- To nie ode mnie... były przed drzwiami... gramofon...

- Wiem, *liebchen*, wiem. - Ściszyła głośnik, tak że piosenka wydawała się teraz szeptem, a potem potargała Jake'owi włosy i wzięła kwiaty. Jakimś dziwnym sposobem sprawiła, że poczuł się głupio. - Chryzantemy... - Rzuciła okiem na bilecik dołączony do kwiatów. - Od Christiana. - Skrzywiła się lekko. - Christian jest okropnie nudny. Dam je konsjerżce. Dlaczego najczęściej otrzymuje się kwiaty od mężczyzn, od których nie chce się ich dostawać?

Nagle dostrzegł leżący na stole drzeworyt.

- Jakie to ładne - pochwalił pracę Anni. Nie zamierzał zostawać, a już z pewnością nie miał zamiaru jej komplementować, ale nie mógł się oprzeć. Niewielki szkic przedstawiał zamek otoczony lasem. - Gdzie to jest?

- To nie jest żaden konkretny zamek. Ma w sobie trochę z każdego z moich ulubionych miejsc.

- Coś mi przypomina - zastanowił się Jake, ale drzeworyt Anni przedstawiał budowlę znacznie starszą niż La Rouilly, *chateau* z wieżyczkami, wykuszami i ogrodami. Próbował to wyjaśnić. - Wygląda tak... spokojnie.

- A zatem zrobiłam coś dobrego. Ale ty, Jake... Nie sądziłam, że się dzisiaj zobaczymy. Wszystkie damy cię opuściły?

- Wszystkie już się poumawiały - powiedział ponuro.

- Biedny! I masz złamane serce?

- Oczywiście. Uwielbiam je wszystkie. Anni zaczęła układać swoje narzędzia pracy.

- Sądziłam raczej, że nimi gardzisz.

- Cóż za nedorzecznosc.

Starła ściereczką farbę ze stołu. Miała na sobie poplamione spodnie, starą, podniszczoną koszulę i wyglądała, pomyślał Jake, jeszcze okropniej niż zwykle.

Usłyszał, jak dziewczyna mówi cicho:

- Uwodzicie piękne kobiety, sądząc, że są nieosiągalne, ale kiedy odwzajemniają wasze zainteresowanie, już ich nie chcecie. Pragniecie tylko tego, czego nie możecie mieć.

- Wielki Boże! - powiedział. - Myślałem że jesteś malarką, a nie psychoanalitykiem.

- A teraz, biedny chłopcze, wszystkie twoje ukochane doskonale spędzają czas bez ciebie. Obawiam się, że w tej sytuacji pozostaje tylko jedno: będziemy musieli powitać ten Nowy Rok razem!

Początkowo przypuszczał, że dziewczyna wciąż się z niego wyśmiewa. Ale kiedy zaczęła przeszukiwać jakieś pudło i wyciągnęła w końcu trochę czystszej szą koszulę, a potem obróciła się ku niemu i spytała:

- Nie sądzisz, że powinieneś wyjść, kiedy się przebieram? - zrozumiał, że mówiła poważnie.

Zaczerwienił się, mruknął coś i wyszedł z pokoju.

Poszli do zadymionej piwnicznej kawiarni przy jednej z małych uliczek, gdzie salki wypełnione były dźwiękami jazzu i słodkim zapachem haszyszu. Zawarł sto nowych przyjaźni, ale nie zdołał zapamiętać żadnego imienia. O północy wziął Anni na bok i pocałował ją. Wargi dziewczyny były chłodne. Potem ze zdumieniem stwierdził, że ją obserwuje, że jej szuka, gdy roześmiana przeciskała się przez tłum, obejmując przyjaciół. Wszystko to, co kiedyś wydawało mu się niemiłe i odpychające - krótko ostrzyżone włosy i drobne, lecz silne ciało - stało się teraz pociągające.

O świcie wrócili do mieszkania. Jake, mocno wstawiony, był na tym etapie znużenia, gdy wszystko wydaje się nierzeczywiste. W kieszeni miał jeszcze butelkę szampana - nie pamiętał, skąd ją wziął - w ustach zaś czuł nieświeży smak tytoniowego dymu. Anni szła obok niego z rękami w kieszeniach zakietu. Nie okazując zmęczenia, podążała krokiem równie szybkim i sprężystym jak zawsze. W mieszkaniu Rufusa Jake otworzył butelkę szampana, a dziewczyna znalazła kieliszki i włączyła gramofon.

- Za nowy, 1940 rok! - Wzniósł toast. - Za miłość, sławę, pieniądze i... - Chciał jeszcze coś dodać, ale położyła mu palec na ustach.

- Nie myśl o przyszłości - powiedziała i zaczęła rozpinać mu koszulę.

Uwiodła go, co się nie zdarzyło od chwili, gdy stracił niewinność jako szesnastolatek. Zrobiła z nim to, czego wcześniej nie uczyniła żadna kobieta. Rzecz jednak nie w owych pieścizotach i pocałunkach całego arsenału miłości, które odebrały oddech Jake'owi, pozostawiając go w stanie takiego wyczerpania, jakby przebiegł wiele mil poprzez mroczny, gęsty las, lecz w tym, że pierwszy raz w życiu zatracił się tak całkowicie; że żadna jego cząstka już się nie wahała, każąc mu drwić z samego siebie, a ją obserwować i oceniać w poszukiwaniu jakichś niedostatków. Kiedy w końcu opadł na poduszkę, nie wiedział, czy kochali się przez kilka zaledwie chwil czy cały dzień. Stracił poczucie czasu i wszelką zdolność dzielenia go na godziny, minuty, sekundy. Była tylko Anni; jej skóra dotykająca jego skóry, jej zapach wypełniający jego płuca, jej serce odbijające echem uderzenia jego serca.

Obudził go odgłos zamykanych drzwi w mieszkaniu piętro niżej. Był sam. Wstał i wciąż nagi wędrował z jednego pokoju



do następnego. Nie znalazł Anni i gdyby nie owa mała wstęga czerwieni pozostawiona przez paznokcie dziewczyny na jego ramieniu, zastanawiałby się, czy aby nie wyobraził sobie wydarzeń owej nocy.

Mulgrave'owie spędzili tę zimę na ciągłych podróżach, a Faith miała wrażenie, że wędrowali coraz szybciej i szybciej w jakimś nieustannym wirze. Śnieg i mróz dokuczał im, gdy przenosili się z Mentony do Antibes, a potem z Antibes do St-Jean-de-Luz. Nigdzie nie pozostawali dłużej niż kilka tygodni. Wchodząc do każdego kolejnego hotelu, pensjonatu czy wynajmowanego mieszkania, Ralph rozglądał się i mówił: „Tak, to jest to miejsce”, ale już po miesiącu, a czasem wcześniej, jego zadowolenie zniknęło i znów pakował rodzinę do samochodu, przygniatając wszystkich walizkami, klatkami na ptaki i pudłami książek.

Pieniądze przeznaczone na szkuner wydał na starego, ogromnego citroena, który psuł się w najbardziej nieodpowiednich momentach. Poppy znosiła owe ciągle awarie i chłód oraz coraz mniejsze i uboższe domy z ustami ściśniętymi grymasem rozpaczliwej, nieugiętej wytrzymałości. Nicole, siedząc na tylnym siedzeniu wraz ze spanielką Minette, kocieciami, królikiem i klatką pełną kanarków, trzęsła się z zimna w lichym paletku, kupionym na rynku w Tulonie. W każdym z miasteczek Faith znajdowała pracę w sklepie albo w restauracji i odkładała swoje zarobki; połowę we francuskich frankach, połowę w funtach szterlingach, po prostu na wszelki wypadek.

Pewnej nocy, gdy wędrowali przez północne Włochy, siedząca na przednim siedzeniu Poppy zasnęła. Nicole wyglądała przez okno, za którym płatki śniegu podobne do niewielkich monet skrzyły się w świetle samochodowych reflektorów.

- Dojeżdżamy - powiedział ojciec, rzuciwszy okiem na mapę. Dokąd? - pomyślała Faith. Do czyjego domu? Do jakiego

kraju? Nie pamiętała nazwisk znajomych, u których mieli się zatrzymać.

- Lovattowie zawsze spędzają zimę we Włoszech - oświadczył Ralph z całkowitą pewnością siebie.

Nad ranem dojechali do jakiegoś domu wciśniętego w górskie zbocze. Budynek jeszcze był pogrążony w ciemności. Faith zdołała jedynie dostrzec bramę i uginające się pod śniegiem

cyprysy. Ralph potrząsnął Poppy, żeby ją obudzić, i zaczął wyladowywać bagaże. Nicole wygramoliła się z samochodu. Skrzydła bramy ścisnęła kłódka. Śnieg padał pod ostrym kątem. Nicole, ciasno otuliwszy się płaszczem, przecisnęła się przez szczelinę między filarem bramy a ogrodzeniem. Faith podążyła za nią. Buty skrzypiały na śniegu, gdy dziewczęta brnęły przez podjazd prowadzący do domu. Na miękkim śnieżnym kobiercu nie było żadnych innych śladów. U drzwi nie paliła się lampa, a przed domem nie parkował ani jeden samochód. Od czasu do czasu księżyc ukazywał zza chmur swe oblicze, oświetlając zamknięte okiennice i drzwi. Siostry okrążyły dom ścieżką wiodącą przez ogród. Śnieg przykrywał klomby i deformował kształty kamiennych rzeźb.

- Tutaj nikogo nie ma, prawda, Faith? - spytała po chwili drżąca z zimna Nicole.

- Z pewnością zostali tej zimy w Anglii.

- Tu jest zbyt spokojnie, zbyt cicho. Nie podoba mi się to miejsce.

Faith nie odpowiedziała. Patrząc na zamknięty dom, zdawała sobie sprawę z ogarniającego ją uczucia żalu i opuszczenia. Jakby zostali wyrzuceni na obrzeża wiru i nie mogli już wrócić do środka, tkwiąc teraz na owej krawędzi, jakby znaleźli się w lamusie lub w zamknięciu albo w więzieniu dla włóczęgów.

Nicole ciskała śnieżnymi kulami w jakiś ogrodowy posąg. Zdecydowany, mocny ruch jej ramienia rozbijał zakrzepły bezruch krajobrazu. Płaty śniegu sypką mgłą opadały na ziemię.

- Nie znoszę, gdy wszystko wokół stoi w miejscu - powiedziała.

Jake nie zauważał ani chłodu, ani coraz bardziej ponurych wiadomości. Kiedy, ciągle zbyt rzadko, przebywał z Anni, nie potrafił myśleć o niczym innym, tylko o niej; kiedy zaś jej nie było, zżerał go niepokój, gdzie jest i z kim, i co robi. Podobnie jak obecnie racjonowano w Paryżu niektóre artykuły spożywcze, tak i Anni zdawała się wydzielać mu samą siebie. Czasami nie widział jej całymi tygodniami i wtedy ogarniał go rosnący, niemal morderczy gniew, ale wtedy nagle pukała do drzwi lub pojawiała się w barze i cała uraza Jake'a gdzieś zniknęła. Niekiedy, zgnębiony jej nieobecnością, uporem i nieustępliwym trzymaniem się własnych reguł postępowania, próbował się wy-

zwolnić, jednak owe próby uwolnienia się od dziewczyny trwały jedynie do jej następnego telefonu lub listu.

Pewnego razu zaprosiła go do pokoju, który wynajmowała w pobliżu cmentarza Pere-Lachaise. W kącie owego pokoju stała prasa. Był tam również stół zawalony farbami oraz narzędziami drzeworytniczymi, materac i niewiele więcej. Kochali się na tym materacu, a potem zapalili papierosy i leżeli w milczeniu senni z rozkoszy, ledwie mogąc się ruszyć, i obserwowali kręgi dymu płynące ku sufitowi.

- Może powinniśmy się pobrać - rzuciła nagle głosem tak stłumionym i zwyczajnym, że Jake pomyślał, iż źle ją zrozumiał.

- Słucham?

- Powiedziała, że może powinniśmy się pobrać. Jake roześmiał się tylko.

- Młodzi państwo Mulgrave'owie kroczą kościelną nawą. Potrafisz to sobie wyobrazić? W co byś się ubrała, Anni? W biały jedwab czy w twój malarski fartuch z plamami farby?

Nie odpowiedziała. Nie widział jej twarzy i tylko ciemne włosy poruszały się w zgięciu jego ramienia. Słowa Jake'a odbijały się echem w małym, obskurnym pokoju.

Na początku maja, gdy Niemcy zdobyli Norwegię, Rufus wrócił do Londynu, pozostawiając swoje mieszkanie Jake'owi i Luisowi. W połowie maja skapitulowała Holandia, a armia niemiecka nieustępliwie posuwała się naprzód. Jake, widząc strach w oczach Luisa, wyciągnął go do baru, gdzie wypili dużo brandy. Próbował rozweselić przyjaciela, ale tamten patrzył tylko na niego ponurym wzrokiem i niewiele mówił. Kilka dni później Jake po powrocie z pracy do domu znalazł tylko krótki list podpisany przez Luisa: „Jadę do Meksyku przez Afrykę Północną. Pamiętaj o mnie. *No pasaran!*”. Zmiał kartkę i cisnął ją przez okno. Niemieckie wojska dotarły do Kanału La Manche. Paryskie mieszkanie nagle wydało mu się za duże, puste i głucho.

Jake próbował przekonać Anni, żeby teraz, gdy Rufusa i Luisa nie było, zamieszkała razem z nim, ale dziewczyna uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Och, nie, Jake. Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł. Ty nie masz zamiłowania do porządku, a ja muszę być sama, aby pracować.

Miał wrażenie, iż coś się kończy, że sprawy wymykają mu się z rąk, a wszystko przecieka przez palce. Chciał zatrzymać to, co znalazł: Paryż i to swoje dziwne, niepewne i chwiejne szczęście z Anni. Jednak pod koniec maja, gdy dostał list od Faith, wielu jego przyjaciół opuściło już miasto. Rzucił okiem na kartkę, a potem wsunął ją do kieszeni. Nie mógł wrócić do domu, o co prosiła go Faith, bo od dwóch tygodni nie widział Anni. Jake wiedział, że dziewczyna, w przeciwieństwie do Luisa i Rufusa, nie wyjechała z Francji, ponieważ wielokrotnie chodził do jej mieszkania zaglądał przez okno, widział ubrania, starannie poustawiane filiżanki i spodeczki, a także farby, narzędzia i prasę. Uciekając z tego kraju, mogłaby zostawić znoszone koszule i wyszczerbione filiżanki, ale nie zostawiłaby, Jake był o tym przekonany, swoich cennych narzędzi drzeworytniczych.

Obecnie czytał już gazety, a komunikaty radiowe rozbrzmiewały teraz zarówno w barze, jak i w jego mieszkaniu. Gdy niemieckie czołgi bezlitośnie posuwały się na południe, armia francuska została rozbita nad Mozą, a resztki Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego czekały na ratunek na plażach Dunkierki, zgłębieni uchodźcy z północy napływali do Paryża. Niektóre z widzianych przez Jake'a obrazów wydawały się nierealne: holenderski farmer ze swoim bydłem odpoczywający na placu Inwalidów, krowy pasące się na trawnikach, a na obrzeżach miasta bezkresne rzeki rozklekotanych samochodów wypełnionych babkami i dziećmi, z materacem na dachu każdego pojazdu. Krążące nad nimi niemieckie samoloty bombardowały przedmieścia. Jake, przypominając sobie Hiszpanię, rozważał wszystkie możliwości i zastanawiał się nad wyborem.

A jednak kawiarnie wciąż pełne były kobiet w eleganckich sukniach, zniecierpliwionych mężczyzn dopominających się o piwo i studentów spokojnie wertujących skarby od bukinistów z lewego brzegu Sekwany. Plakaty na murach wołały do mieszkańców stolicy: *Chantons quand même Citoyens! Aux armes!*

10 czerwca Paryż wydał się Jake'owi miastem duchów. Pola Elizejskie pogrążone były w milczeniu; bogaci, wraz ze swymi samochodami, opuścili miasto. Pozostała jedynie garstka ciekawych Amerykanów, odpornych na strach dzięki swej narodowości i obywatelstwu. Pałace słońce wisiało na niebie jak lśniący, odlany w brązie dysk. Jake nie poszedł do pracy, lecz

chodził od baru do baru i od kawiarni do kawiarni, ponownie odwiedzając wszystkie miejsca, jakie zapamiętał z nocy sylwestrowej, i szukając wszędzie Anni.

Tuż po obiedzie jego trud został nagrodzony.

- Anni? - powiedział jakiś saksofonista z Cejlonu. - Widziałem ją przed kilkoma godzinami, *mon brave*. Szła na Dworzec Austerlitz.

Jake pognął tam brzegiem Sekwany, a koszula przyklejała mu się do spoconych pleców. Gdy dotarł do celu, tłum otaczający budynek zmusił go, aby zwolnił bieg. Choć się przepychał, choć był młodszy, silniejszy i wyższy niż większość zgromadzonych tu ludzi, z trudem posuwał się naprzód. Owładnięty upiornym poczuciem bezsilności i okropnym strachem, że już nigdy jej nie zobaczy, płynął pod prąd wielkiej fali ludzi. Należało się zmusić, aby myśleć racjonalnie. Torując sobie drogę przez napierający tłum, znalazł w końcu wejście do właściwej części dworca. Wspinając się po ogrodzeniu, przeskoczył nad bramą, uważając na ostre końce metalowych żerdzi. Potem, przeciskając się wśród pak i kufrów, ruszył na perony pasażerskie. Stojący tam ludzie wydawali mu się jedną zbitą, gęstą masą. Dzieci nie płakały, lecz ich twarzyczki były pomarszczone i postarzałe. Ich upodlenie wyrwało go z własnej udręki, ale wtedy pomyślał o Anni i znów zaczął się przepychać przez tłum. Był zaszokowany widokiem ludzi, podających sobie dzieci nad głowami, aby je uchronić przed stratowaniem. Pociągi wydawały się rozciągnięte wzdłuż całej stacji, a ich pasażerowie przyciskali ręce i twarze do szyb. Panował nieznośny upał. Jake widział zasłabnięcie jakiejś leciwej kobiety; zobaczył, jak nagle zbladła i przymknęła oczy, ale mimo omdlenia pozostała wyprostowana, trzymając się na nogach z powodu naporu tłumy. Starając się dotrzeć do pociągu, wciąż szukał Anni, przebiegając spojrzeniem od jednej ciemnowłosej kobiety do drugiej.

I wtedy ją zobaczył. Siedziała na miejscu przy oknie, w jednym z wagonów, zaledwie kilka kroków od niego. Lokomotywa buchnęła kłębem pary, a Jake, podjąwszy ostatni wysiłek, zamachał nad głową rękami i wykrzykując imię dziewczyny, całym ciężarem ciała rzucił się do przodu, nie dbając o ludzi, których odpychał na boki. Powoli odwróciła się ku peronowi, a jej oczy, zza ściany szkła, spoczęły na chłopaku.

Opuściła szybę wagonowego okna.

- Jake! - zawołała. - Co ty tu robisz?

- Szukałem cię! - odkrzyknął, próbując przedostać się bliżej. - Musiałem cię zobaczyć. Dokąd jedziesz?

- Do Nicei. Spotykam się tam z Christianem.

Jake przypomniał sobie chryzantemy, które otrzymała w przeddzień Nowego Roku. Przysłał jej mężczyzna o imieniu Christian.

- Zamierzamy się pobrać - dodała Anni.

Umilkł nagle, przygnieciony zarówno jej słowami, jak i przez napierający tłum.

- Musisz odszukać rodzinę, Jake! - wołała. - Nie martw się o mnie!

W końcu udało mu się odzyskać głos.

- Mówiłaś, że jest nudny... Nie możesz wyjść za mego...

- Christian ma farmę w Kenii. Tam będę bezpieczna.

Jake rzucił się do przodu z wyciągniętą ręką. Był przekonany że gdyby tylko mógł dotknąć Anni, przypomniałaby sobie jak wiele dla siebie znaczyli, i porzuciłaby ów idiotyczny pomysł wychodzenia za jakiegoś nudnego Christiana. Gwizdek kierownika pociągu rozległ się akurat wtedy, gdy wykrztusił z siebie ostatnie słowa:

- Powinnaś wyjść za mnie. Uśmiechnęła się łagodnie.

- Myślałam, że już to omówiliśmy, *hebchen*.

Wróciła doń owa chwila, gdy leżał w łóżku z Anni i przypomniał sobie, że zapytała wtedy: „Może powinniśmy się pobrać?” Pamiętał też, że wówczas się roześmiał.

- A poza tym - wykrzyknęła, gdy koła wagonów poszły w ruch - gdybym wyjechała do Anglii, zostałabym internowana!

Pociąg odjeżdżał. Jake desperacko rzucił się w jej stronę.

-Anni!

- Musisz jechać do domu, Jake! - zawołała. - Musisz ratować rodzinę. Niemcy będą internować wszystkich Brytyjczyków. Musisz...

Ostatnie słowa zagłuszył łoskot lokomotywy i donośny, zbiorowy jęk tych, którzy pozostali na peronie, gdy pociąg zaczął toczyć się po szynach.

Jake stał bez ruchu, nie mogąc uwierzyć, że wyjechała, że ją utracił. W końcu ruszył z powrotem przez tłum, szukając wyjścia. Ponad godzinę zajęło mu przebycie drogi do domu.

Tam wypił dużą porcję brandy, a potem miotał się między przeklinaniem Anni i chęcią płaczu. Potem włączył radio i usłyszał, że wojska niemieckie zbliżają się do Pontoise, zaledwie trzydzieści kilometrów od Paryża. Sięgnął do kieszeni marynarki w poszukiwaniu papierosów i ponownie natrafił na list od Faith. Przeczytawszy go jeszcze raz, nałożył zakrętkę na butelkę brandy, opłukał twarz i wrzucił do plecaka kilka rzeczy, a potem wyszedł z paryskiego mieszkania, nie kłopo-cząc się zamknięciem za sobą drzwi.

Zmierzając na południe, Jake rozważał własne szanse. Sceny, jakie widział na Dworcu Austerlitz, dowodziły, iż nie ma nadziei na opuszczenie miasta pociągiem. Radio informowało, że główne drogi wyjazdowe z Paryża zablokowane są samochodami osobowymi i ciężarówkami, z których wielu zabrakło już paliwa. Idąc dalej i zastanawiając się, co robić, zobaczył rząd rowerów opartych o mur otaczający kościół. Wybrał najnowszy i najmocniejszy, wskoczył na siodełko i wyjechał z miasta.

„Zasady rodziny Mulgrave'ow”, przypomniał sobie Jake, gdy wkrótce zaczęły go boleć nogi, a pot spływał mu po twarzy. „Trzymać się razem, cokolwiek się wydarzy”.

Nawet La Rouilly się zmieniło. Domownicy, tacy jak Felix i Guy, rozpierzchli się ku własnym zakątkom ziemi i również tutaj czuło się powiew napięcia, niczym ów ozonowy zapach, który pojawia się jako zapowiedź nadciągającej burzy. Mimo to przekonanie Ralpa, że zarówno on, jak i jego rodzina pozostaną we Francji, było - aż do czerwca 1940 roku - niewzruszone. Gdy radio obwieściło, że niemieckie wojska są już na przedmieściach Paryża, Ralph zaklął i wypił morze alkoholu, a następnego ranka wstał ożywiony nową ideą. Paryż może paść, Tours może paść, Bordeaux może paść, lecz La Rouilly się nie podda. Przerzuciwszy ogrodową szopę i znalazłszy w niej szufle i łopaty, Ralph zorganizował kopanie rowów przeciwczołgowych. Z pomocą dziewcząt oraz majsterklepki Reynauda powstały głębokie doły w lesie otaczającym La Rouilly, przykryte następnie kijami. Genya, Sara i Poppy na polecenie Ralpa znieśli do piwnicy mięso oraz worki z fasolą, grochem i ryżem. Ralph dokonał inspekcji zapasów i półek z butelkami wina.

-Możemy tu przesiedzieć wiele tygodni - oświadczył z aprobatą. - Pokażemy tym draniom!

Następnego wieczoru polecił córkom udać się za nim na strych. Wszyscy troje wdrapali się na dach zamku. Ralph wniósł tam trzy zbite z drewna poprzeczki. Z dachu sięgali wzrokiem aż ku srebrzystej wstędze rzeki i migotliwie lustrzanej tafli morza. Ojciec osłonił ręką oczy.

- Tutaj ustawimy karabiny - wskazał najpierw na komin, a potem na wystające krawędzie gzymsu, następnie zaś, ustawiając poprzeczki w wybranych miejscach, dodał: - Będziemy ich używać do celowania.

Faith i Nicole wymieniły między sobą spojrzenia.

- Do czego będziemy strzelać, tatusiu?

- Nie „do czego”, tylko do „kogo”! Do tych Hunów, oczywiście!

Faith pociągnęła ojca za rękaw.

- Kiedy Jake wróci do domu, pojedziemy do Anglii, prawda, tatusiu?

- Do Anglii?! Nigdy! - odparł Ralph, wskakując do jednego ze świetlików. - Idę do kuchni, pomóc Genyi w robieniu bomb.

Faith usiadła i opierając się plecami o komin, poczuła nagle, że ogarnia ją rozpacz. Po chwili usłyszała głos siedzącej obok siostry.

- Jeśli to nastąpi... jeśli tutaj dotrą, Faith... czy sądzisz, że cokolwiek się zmieni?

Właśnie wtedy Faith odniosła wrażenie, że całkiem możliwe, iż tu zostaną i za kilka tygodni, a może dni, będzie obserwować pojazdy pancerne jadące przez lasy wokół La Rouilly, miażdżące ciężkimi kołami polne kwiaty i kaleczące trawniki. Ogarnęło ją przerażenie. W milczeniu potrząsnęła głową.

- Nie będę ukrywać się w piwnicy - oświadczyła Nicole. - Nienawidzę piwnic. Tam jest ciemno i zagnieździły się nietoperze.

- Mama chce jechać do Anglii - powiedziała Faith. - Pytałam ją.

Przez chwilę siedziały w milczeniu z kolanami podkurczonymi pod brody i obserwowały płynące ku nim z nieba ostatnie błyski zachodzącego słońca.

- Musimy przekonać ojca - oświadczyła w końcu przygnębiona Faith.

- Jak? - spytała ponuro Nicole. - Tata cię nie usłucha.

- Nie usłucha również mamy...



- I Jake'a nie ma...

- Już wkrótce przyjedzie.

- Cóż z niego za drań; żeby tak długo szwendać się gdzieś daleko! Przeklęty drań! Powinien porozmawiać z tatą.

- Wiesz przecież, Nicole, że ojciec nigdy go nie usłucha. Zresztą napisałam do niego. Będzie tu lada dzień. Obiecał.

Zapadła ciemność i na horyzoncie pojawiła się pierwsza jasna gwiazda. Faith i Nicole spojrzały na siebie.

- Genya - szepnęły jednocześnie.

Do wtorkowego wieczoru Jake dotarł do Etampes, miejscowości leżącej w odległości zaledwie czterdziestu kilometrów na południe od Paryża. Drogi były zatłoczone wszystkimi rodzajami pojazdów: samochodami osobowymi i ciężarowymi, chłopskimi furmankami, a nawet staroświeckimi powozami. Wszystko to boleśnie przypominało Jake'owi odwrót z Hiszpanii. Kawalkada pojazdów, często przerywana porzuconymi samochodami, zatrzymywała nawet rower. Gniew i niedola uciekinierów były wręcz namacalne, Jake'a zaś nieustannie dręczyła obawa, że wyjechał z Paryża za późno. „Gdyby zdarzyło się coś złego, wrócisz do nas, prawda?” - ścigał go głos Faith. Wyobraził sobie najbliższych - rodziców i siostry - internowanych w obozie takim jak Argeles.

Noc przespał w rowie z tysiącem innych uchodźców. Następnego ranka wstał wcześniej i ruszył pierwszą drogą, jaka odchodziła z głównego traktu. Minął stado wołów, przeciął pola pszenicy i przedostał się pod omszałe buki, przystając dopiero w ich cieniu, by ponownie przestudiować mapę.

Przeciąganie roweru przez wysokie żywopłoty i rowy było wyczerpujące, ale w końcu Jake został nagrodzony widokiem wąskiej, krętej, lecz pustej drogi. Jechał teraz szybko, aż obłoki pyłu, które rozciągały się nad traktem, uniemożliwiły mu orientację, dokąd zmierza. Wtedy przeciągnął rower za krzaki, skulił się pod nimi i niemal natychmiast zasnął.

Następnego ranka został obudzony przez krowę liżącą mu twarz. Na śniadanie zjadł brzoskwinie w syropie, popijając je resztką wody z manierki i znów ruszył w drogę. Koło południa, gdy słońce paliło mu głowę, pomachał ku jakiemuś chłopu jadącemu furmanką pełną siana i zaoferował resztkę brandy w zamian za podwiezienie do najbliższego miasteczka. Tam

ten splunął na ziemię, ale wziął brandy i pozwolił wędrowcowi wdrapać się wraz z rowerem na siano. Jake zapadł w głęboki sen i ze spieczonym nosem obudził się w miasteczku nieopodal Pitłnders. Mieścina pełna była żonierzy i porzuconych psów, a ci pierwsi i te drugie wałęsali się uliczkami równie bez celu. W żadnym sklepie ani kawiarni nie było nic do zjedzenia, ale Jake kupił truskawki od jakiejś starszej kobiety pracującej w ogródku. Kiedy zapytał, dlaczego i ona nie uciekła przed nadciągającym niemieckim wojskiem, wruszyła ramionami i odrzekła: „Słońce pali mi owoce, a susza niszczy sadzonki, więc co to za różnica, że zrobią to Niemcy?”. Potem napełniła wodą manierkę Jake'a, życzyła mu *bonne chance* i wróciła do pielienia.

Za miasteczkiem znów wpadł w strumień uchodźców. Powoli posuwając się w nim do przodu, usłyszał z oddali odgłos, który przeniknął go dreszczem. Przez chwilę znów był na drodze z Barcelony, próbując uciec przed samolotami legionu Kondor. Odwracając się, ujrzał kilka srebrzystych punktów na niezpomi-najkowoblękitnym niebie. Musiał przysłonić ręką oczy i zmrużyć je tak, by móc się zorientować, co to za samoloty. Serce zaczęło mu bić jak młotem, gdy rozpoznał niemieckie sztukasy. Rozglądając się za jakąś kryjówką, dostrzegł rów z prawej strony drogi i wykrzykując ostrzeżenie, wrzucił tam swój pojazd. Wiedział, że bez roweru nie ma żadnej szansy dotarcia na czas do La Rouilly. Potem, słysząc paniczne okrzyki strachu, wyciągał z samochodów dzieci i bezceremonialnie wrzucał je do rowu, a jakiegoś kruchego staruszka przeniósł na plecach do kryjówki pod drzewem. Skulony, rękami osłaniając głowę, poczuł uderzenia bomb o spieczoną ziemię, zanim jeszcze usłyszał kolejne eksplozje, ale jego strach zdominowany został przez uczucie gniewu. Gdy bombardowania się skończyły, a sztukasy zaprzestały polowania, Jake wyskoczył z rowu i rozejrzał się dookoła. Niegdyś zapłakałby na taki widok: zgniecione karoserie samochodów, głębokie leje na polach, pourywane ręce i nogi, rozrzucone wokół ciała. Teraz, gdy ponownie zaczął się exodus i chłopak znowu widział pobladłych, zagubionych i niemogących wydać z siebie głosu przerażonych uciekinierów, miejsce wściekłości i żalu zajął strach, że nie dotrze w porę do La Rouilly. Gardził sobą za czekanie na Anni, która nie dość go kochała, i jeszcze raz porzuciwszy główny trakt, dał upust furii i obawie, pedałując z ogromną szybkością.

Na krętych bocznych drogach Jake nie widział nikogo aż do wczesnego popołudnia. Potem, gdy swobodnie zjeżdżał z jakiegoś wzgórza, ujrzał stojący nieruchomo na środku drogi samochód. Bardzo elegancki pojazd, chyba jakaś alfa, pomyślał; jedno z tych małych, sportowych aut, które bardziej nadawały się na tory wyścigowe w Le Mans niż na francuskie boczne drogi. Gdy podjechał bliżej, zobaczył siedzącą na poboczu kobietę. Ona także, podobnie jak ów samochód, była luksusowa i olśniewająca. Skrywając przed słońcem głowę pod szerokim rondem słomkowego kapelusza, paliła papierosa w długiej cygarnicze. Miała zapewne ze trzydzieści kilka lat, nosiła doskonale skrojony kostium, jedwabne pończochy i ciemne okulary. Gdy Jake się zatrzymał, skierowała twarz w jego stronę.

- Przebiłam oponę - wyjaśniłam, jakby był mechanikiem, którego wezwała ze stacji obsługi.

- Dokąd pani jedzie?

- Do zamku w pobliżu Blois. Jake pomyślał szybko.

- Wymienię koło, jeśli podwiezie mnie pani do Blois.

- Dobrze - odrzekła, wzruszając ramionami.

Siedziała bez słowa, gdy on pocił się i męczył przy kole. Śruby nie chciały się poddać i musiał użyć całej swojej siły, by je odkręcić. Gdy wszystko zostało zrobione, wytarł ręce o trawę, wylał sobie na głowę butelkę wody i wcisnął rower na wąskie tylne siedzenie.

- Wszystko w porządku. Jedźmy.

Prowadziła szybko i umiejętnie, pokonując wąskie, kręte ścieżki z szybkością, która niemal zapierała dech w piersiach. Jake czuł niemal zostawiane z tyłu kilometry i jego optymizm powrócił. Po chwili, niezrażony milczeniem właścicielki auta, powiedział:

- Skoro mamy być towarzyszami podróży, chyba powinienem się przedstawić. Nazywam się Jake Mulgrave.

- Hrabina de Chevillard, ale możesz nazywać mnie Helenę - odrzekła, wyciągając dłoń w białej rękawicze. - W skrytce jest butelka brandy, Jake.

Wypili oboje. Jechała teraz szybciej i jeszcze bardziej brawurowo. Niebo poczerwieniało i drzewa rzucały na drogę długie, mroczne cienie. W ciemności, nie mogąc czytać mapy, Jake stracił orientację. Czuł się tak, jakby byli ostatnimi pozosta-

łymi przy życiu ludźmi, pędzącymi po ścieżkach sielskiej Francji, pod ogromnym jasnym księżycem na atramentowym niebie. Brandy spotęgowała uczucie nierealności i przekonanie, że znany dobrze świat zmienił się na zawsze. Zobaczywszy, że powieki Helenę zamykają się powoli, przytrzymał kierownicę.

- Jesteś zmęczona - powiedział. - Powinniśmy zatrzymać się na chwilę.

- Dobrze - szepnęła.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta.

- Pozwól mi poprowadzić, a ty rozglądaj się wokół. Zamienili się miejscami i teraz prowadził Jake.

- Tutaj - odezwała się po chwili. - Skręć tutaj.

Minawszy wykutą z żelaza bramę, pojechali wąską, wysadzaną drzewami aleją. W oddali zobaczył obrysowany księżycową poświatą duży budynek. Bajkowe wieżyczki i wykusze przypomniały mu zamek z drzeworytu Anni i znów poczuł ostre ukłucie bólu i gniewu, że go porzuciła.

Doprowadził sportowy wóz do połowy zwirowego podjazdu przed domem. Helenę wyskoczyła z samochodu i podeszła ku drzwiom. Schody zarzucone były bezładną mieszaniną ubrań oraz różnych przedmiotów - sztućców, ozdób, dziecięcych zabawek - jakby ktoś prowadził na tarasie wyprzedaż pozostałych po sezonie towarów. Jake sięgnął do klamki i drzwi otworzyły się bezszelestnie. Pocierając zapalną, rozejrzał się po westybulu. Połamane na kawałki ozdobne ramy, z których wydarto płótna, leżały na dywanie, a jasne kwadraty na ścianach wskazywały miejsca, gdzie niegdyś wisiały.

- Szabrownicy - mruknął z goryczą. Helenę chwyciła go za łokieć.

- Mogą jeszcze tu być - szepnęła.

- Nie sądzę - odrzekł, tak jak ona, szeptem. - Może jest tu coś do jedzenia. Umieram z głodu.

Wrócił do samochodu po latarkę, a potem zaczął szukać kuchni lub spiżarni. Dom był zaśmiecony, co wskazywało, że dokładnie go splądrowano. Stukot wysokich obcasów Helenę wydawał się nienaturalnie głośny.

Usłyszał jej głos.

- Wielu rzeczy nie wzięli - mówiła. - Zniszczyli je tylko i powyrzucali.

Jake oglądał kawałki weneckiego szkła oraz kosztowny, szlachetny dywan pocięty nożem, przypominając sobie kolumny uchodźców i bombowce.

Kuchnia i spiżarnia zostały ogołoczone ze wszystkiego. Było coś ohydneho w tych pustych półkach i stojących otworem kredensach. Pod worem śmieci Jake znalazł jednak kosz pełen warzyw. O dziwo, w kuchennym piecu był również węgiel. Odwrócił się, żeby zapytać Helenę, czy umie gotować, ale zrozumiał, że byłoby to bezsensowne, więc sam się wziął do obierania ziemniaków i marchwi. Ona zaś wędrowała po oświetlonym księżycem ogrodzie. Kiedy warzywa się ugotowały, Jake zobaczył, że Helenę postawiła na środku stołu niewielki bukiet kwiatów i nakryła ów stół na dwie osoby srebrnymi sztucami oraz włoskim szkłem, którego szabrownicy najwyraźniej nie zauważyli.

- Z pewnością jest tu także piwnica - powiedział. Przeszukując sutereny, odkrył jakieś zamknięte drzwi, ale

nie było w nich klucza. W jednym z pomieszczeń znalazł siekiere i rąbiąc nią drzwi, pomyślał, że nie jest lepszy od tych, którzy wcześniej splądrowali ten piękny dom. Ale wino było dobre na wszystko, a on pragnął wina.

Posiliwszy się, poszli na górę. Sypialnie były bogato zdobione; nad łózkami zwieszały się jedwabne i aksamitne baldachimy. Jake zdjął buty i opadł na posłanie. Po chwili, gdy wydarzenia owego dnia zaczęły niespokojnie przechodzić w senne majaki, nagle obudził go dźwięk otwieranych drzwi. Usiadł, z bijącym sercem wpatrując się w ciemność. Wtedy usłyszał głos Helenę.

- Nie mogłam zasnąć, wciąż myślę, że mogą tu wrócić. Czy pozwolisz, że położę się przy tobie?

Miała na sobie tylko jedwabny stanik i majteczki. Wsunęła się między prześcieradła, a potem zapadli w sen. O świcie Jake się obudził i dotknął wargami jej gładkiego ramienia. W miłosnym akcie z Helenę pożądanie Jake'a spotęgowane było chęcią zemsty za to, iż Anni go opuściła. Później wstali, ubrali się i ruszyli dalej. Kiedy w południe rozstawali się w Blois, uścisnęli sobie dłonie i wymienili uprzejme słowa pożegnania.

Czas zaoszczędzony poprzedniego dnia dzięki jeździe autem, Jake stracił tego popołudnia. Zaczęło padać, a ciężkie

krople deszczu zamieniały piach w błoto. Na wiejskiej drodze rower odmówił posłuszeństwa i wydawało się, że trzeba będzie stulecia, zanim zdoła go naprawić w strugach wody spływającej po twarzy i plecach. Przejeżdżając przez jakieś miasteczko

o ulicach wymiecionych z ludzi, zobaczył przypięte do tablicy przed ratuszem niewielkie ogłoszenia: „Madame Lebrun zatrzymała się w najbliższym sąsiedztwie kościoła i szuka synów: Edouarda (4 lata) i Paula (6 lat), zaginionych tutaj 11 czerwca” i „Madame Tabouis, poste restante Bordeaux, oczekuje wiadomości o swojej córce Mariannie, lat osiem, zaginionej 12 czerwca w odległości dziesięciu kilometrów od Tours”. Tuż obok owych ogłoszeń przypięto fotografie. Jake spoglądał przez chwilę na małe uśmiechnięte buzie, a potem wskoczył na rower i ruszył dalej.

Noc spędził w jakiejś stodole w połowie drogi między Tours a Poitiers. Żona gospodarza nakarmiła Jake'a i kilku innych wędrowców zupą oraz chlebem domowego wypieku. Bolały go wszystkie mięśnie i trząsał się w swym przemoczonym ubraniu. Zebrawszy od uchodźców puste miski, gospodyni powiedziała im, że Paryż padł pod naporem niemieckiej armii. Potem wręczyła każdemu z nich emaliowany kubek doskonałego szmpa-na. *Liberte*, powiedziała i wypiała.

Kuchenne radio w La Rouilly nastawione było na stację BBC. Mulgrave'owie, Genya i Sara słuchali wiadomości, a potem spokojnego, dalekiego głosu angielskiej królowej-matki, która przekazywała Francji posłanie miłości i nadziei. Akordy francuskiej „Marsylianki” i brytyjskiego hymnu „Boże, chroń Króla” echem niosły się po kuchni.

Późniejszą ciszę przerwał głos Genyi.

- Musicie jechać, mój drogi Ralphie - powiedziała łagodnie, kładąc swą drobną, pomarszczoną dłoń na jego potężnej ręce. - Wszyscy musicie wyjechać do Anglii. Tam będziecie bezpieczni.

- Nie znoszę tego cholernego miejsca... - zaczął mówić i urwał.

- Francja przeżyje - odrzekła staruszka i uspokajająco ścisnęła mu palce. - La Rouilly przetrwa. Ale twoja rodzina, jeśli tu zostanieie, może nie przetrwać. Gdy cały ten koszmar się skończy, wróćcie tutaj, mój drogi, i wszystko będzie tak samo.

Nicole uklękła obok Ralpa.

- Nie chcę tu zostać, tatusiu.

- Dlaczego? - warknął. - Myślałem, że spośród was wszystkich, właśnie ty, Nicole, jesteś...

- Oczywiście, że się nie boję - przerwała mu spokojnie. - Obawiam się tylko, że wszystko stanie się nudne i męczące, a wiesz, jak bardzo tego nie lubię.

Miała w oczach łzy.

- A Jake? - zapytał Ralph burkliwie. - Czy możemy wyjechać bez naszego chłopca?

- On wróci - zapewniła go Faith. - Obiecał mi, że wróci. Powoli odwrócił się ku pani domu.

- A ty, kochana Genyu?

- Ja jestem już o wiele za stara na taką podróż. Przywędrowałam z Polski do La Rouilly, i tutaj, w La Rouilly, pozostaniemy, ja i Sara. To jest nasz dom. Ty, Ralphie, nie masz żadnego domu. Być może teraz musisz go sobie znaleźć.

- Ralphie, proszę - wyszeptała Poppy.

Przetarł oczy wierzchem dłoni, a potem, kiedy niemal niedostrzegalnie skinął głową, Faith miała wrażenie, że cały dom wydał z siebie ciche westchnienie ulgi.

- A zatem musimy się pakować - powiedziała Poppy.

- Kochany tatuś! - Nicole ścisnęła Ralpa.

- Paliwo jest w samochodzie.

- Zabierzemy również karabin. Nicole, przynieś jeden i pudełko naboju....

- Weźmiemy też Minette... - Nicole uklękła obok spanielki. - Snip i Snap także pojedą z nami... i króliki... i moja złota rybka...

- Zgadzam się na psa, może się nam przydać przeciwko tym Hunom. Króliki zaś niech będą pod ręką, jeśli zabraknie nam jedzenia.

- Tatusiu!

- Zaopiekuję się królikami, kotkami i złotą rybką - odezwała się pośpiesznie Genya. - Nie martw się, *ma chere*. A teraz idź i przynieś ojcu karabin.

- Poppy, apteczka pierwszej pomocy. Bandaże i jodyna, na wypadek gdyby ktoś został ranny. Faith, latarki i świece, ile tylko zdołacie ich zebrać. - Ralph odwrócił się ku starszej ko-

biecie i powiedział łagodniejszym głosem: - Najdroższa Genyu, jedź z nami. Pojedziesz z nami, nieprawdaż? Ona jednak potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, Ralphie, nie pojedę.

- Ale Polska... Wiesz przecież, co ci szubrawcy zrobili z twoim krajem.

- Wiem, Ralphie, i właśnie dlatego zostanę tutaj. Raczej doszczętnie spalę La Rouilly, wymachując na zgłiszczach polską flagą, niż pozwolę im zająć to miejsce. I umrę szczęśliwa, jeśli się dowiem, że jesteście bezpieczni.

Faith przygotowała wszystko, co mogło się zmieścić do jej starego plecaka. Pajęczą suknię wieczorową, pelerynę od Vionneta, dwie plisowane sukienki, kreację z czarnej krepy i, oczywiście, tę błękitną. Złożyła je starannie, owijając w bibułkę niczym talizman na niepewną przyszłość.

Tej nocy w ogóle nie spała. Wielokrotnie wstawiała i podchodziła do okna, wypatrując brata. Nad ranem, gdy było jeszcze ciemno, ubrała się i we frontowym pokoju zobaczyła ojca, który samotnie pochylał się nad mapą. Pociągnęła go za rękaw i spytała: „Jake?”, ale mruknął tylko: „Znajdzie nas”. W oczach Ralpha zobaczyła jednak udrękę. Łzy zaczęły spływać jej po policzkach, lecz otarła je z gniewem palcami.

- Myślałem o Bordeaux - powiedział - i zatelefonowałem do Sophie, ale mówi, że miasto jest tak zablokowane uciekinierami, iż nie można się ruszyć.

- Władze przeniosły się tam z Tours.

- Żyronda została zaminowana, a na dworzec kolejowy lecą bomby. - W głosie ojca brzmiała wściekłość. - Zdecydowałem więc, że pojedziemy na północ. Wszyscy inni będą zmierzać w przeciwnym kierunku. Udamy się do La Rochelle. Znajdziemy tam jakąś łódź. Znam mnóstwo ludzi w La Rochelle, a poza tym... - Umilkł, lecz Faith zrozumiała nadzieję, która pozostała niewypowiedziana: „A poza tym, możemy spotkać Jake'a zmierzającego na południe”.

Kiedy godzinę później opuszczali La Rouilly, słońce jeszcze nie wstało, a gwiazdy rozsiane na niebie odbijały się w ciemnych, kryształowych wodach jeziora. Obydwie siostry klęczały na tylnym siedzeniu Citroena i nawet nie mrugając oczami,



staraly się utrwalić w pamięci obraz Genyi machającej im z dziedzińca i *chdteau* jaśniejącego w świetle przedświt, aby i ją, i ów dom zachować na nieznane miesiące, które miały nadejść.

Wędrówka Jake'a nabrała charakteru snu; jednego z owych nocnych koszmarów, w których jedzie się tak szybko, jak to tylko możliwe, jedynie po to, by wciąż pozostać uwiązany do tego samego punktu. Wiedział, że tuż za nim posuwają się na południe niemieckie wojska i że musi odnaleźć rodzinę, zanim naziści znajdą i internują jego. Podczas owej wędrówki utrwaliły mu się w pamięci wszystkie okropne sceny: jakiś ksiądz pchający w taczce starą kobietę, zagubione dzieci błakające się na poboczu i płaczące za matkami, oddzielona od swego pułku garstka brytyjskich żołnierzy, którzy siedzieli pod zagajnikiem, słuchając gramofonu. Zawołał na nich, żeby się dowiedzieć, gdzie jest, ale wzruszyli ramionami i wesoło odkrzyknęli: „Nie mamy tu żadnego pieprzonego drogowskazu, kolego!”.

Nie znalazł nic do zjedzenia i z głodu bolał go brzuch. Bolały go także wszystkie mięśnie. Kręcenie pedałami stało się czynnością automatyczną. Nie mając siły ani na żal, ani na złość, Jake przestał już przeklinać samego siebie za to, że nie opuścił Paryża wcześniej. Czasami nawet nie zawracał sobie głowy szukaniem kryjówki, gdy na niebie krążyły sztukasy, lecz pedałował dalej, choć wokół padały bomby.

W południe zsunął się z siodełka i zapadł w sen na poboczu drogi. Obudził go jakiś ruch i szczęk metalu. Jake uniósł powieki i zobaczył nieznanego mężczyznę, pochylającego się nad jego rowerem.

- To mój rower - powiedział z gniewem chłopak.

But rabusia uderzył go w żołądek. Jake zwinął się z bólu, lecz wściekłość i obawa natychmiast poderwały go na nogi. Przedzierając się przez kolumnę uchodźców, zdołał chwycić za tylny błotnik. Koła zachwiały się i zwolniły. Jake rzucił się na złodzieja i upadli na ziemię. Jake był młodszy, silniejszy i zwinniejszy. Ścisnąwszy w garści brudne, poplątane włosy mężczyzny, uderzał jego głową o twardą, spaloną słońcem nawierzchnię drogi.

Dłonie tamtego, zaciśnięte na ramionach Jake'a opadły, nieznanomy leżał cicho. Pierwszym uczuciem, jakie ogarnęło chło-

paka, była ulga, że podczas tej bójki rower nie został uszkodzony. Jake wsiał na niego i odjechał. Na koszu zobaczył plamę krwi. Spodziewał się, że ktoś go zatrzyma, aby wytłumaczył, co się stało. Mnóstwo ludzi widziało przecież, jak niemiłosiernie obszedł się z tamtym człowiekiem. Mógł go nawet zabić. A tak naprawdę rower nie był też jego własnością.

Nikt jednak nie zażądał żadnych wyjaśnień. Otepiały oczy uciekinierów spoglądały na niego i odwracały się w drugą stronę. Właśnie wtedy Jake zrozumiał, że wszystko się zmieniło i nic już nigdy nie będzie takie jak niegdyś.

Samochód prowadziła Faith. Od czasu do czasu kolumna uchodźców rozlewała się na obie strony drogi, a wtedy Ralph wychylał się przez okno i strzelał w powietrze z karabinu, a wędrowcy - mężczyźni, kobiety i dzieci - wracali na prawą stronę i Mulgrave'owie jechali dalej.

Dotarłszy do rozwidlenia drogi wiodącego ku La Rochelle, Faith zahamowała i spojrzała na ojca.

Potrząsnął stanowczo głową.

- Nie - powiedział. - Jedziemy dalej na północ.

Poczuła, jak ostatni, niewielki okrucieństwo nadziei powoli niknie. Każdy jasnowłosy chłopak, jakiego dostrzegła na drodze, sprawiał, że jej serce zaczynało bić szybciej z radości, a potem napełniało się rozpaczą.

Po południu dotarli do kolejnego skrzyżowania dróg, z których jedna prowadziła ku wybrzeżu. Faith wiedziała, że jadąc dalej na północ, ryzykują, że dotrą do portu po odpłynięciu ostatniego statku lub, co gorsza, natkną się na dokonujące inwazji oddziały niemieckie.

Ralph wpatrywał się w długą, prostą drogę prowadzącą na wzgórze przed nimi.

- Zatrzymamy się tutaj i coś zjemy - powiedział. - Pół godziny. A potem jedziemy do La Rochelle.

Wzgórze wydawało się niebotycznie wysokie. Był tak skupiony na jeździe, że nie czuł już palącego słońca, głodu, pragnienia ani drętwiejących nóg. Nie myślał o Anni. Zapomniał. Gdy wdzierał się na zbocze, pamięć podsuwała mu obrazy z dzieciństwa. Przypominał sobie przezroczystą meduzę, zdobną w długie macki unoszące się w błękitnej wodzie, a także go-

spodarstwo w Toskanii i zabawę w chowanego w chłodnym mroku stodół i piwnic pełnych wina. Wspominał też las za zamkiem La Rouilly oraz pikniki z Faith, Nicole i Guyem. Zastanawiał się, czy Guy wiedział, że Faith go kocha. Pomyślał, że byłoby przyjemnie mieć kogoś takiego jak Faith, zawsze kochającą tego samego mężczyznę.

Wreszcie dotarł na szczyt wzgórza, zwiesił stopy z pedałów i pochylając się nad kierownicą, spojrział w dół. Choć dopiero minęło popołudnie, niebo wydawało się usiane gwiazdami. Kiedy zmrużył oczy, gwiazdy zniknęły, a gdy znowu spojrział przed siebie, zobaczył, że droga jest pusta z wyjątkiem jakiegoś samotnego samochodu zaparkowanego na poboczu.

Najpierw pomyślał, że to tylko twór jego wyobraźni; że mimo wyczerpania i odwodnienia zachował w pamięci duchy przeszłości i przeniósł je w teraźniejszość. Bo oto tam, u stóp wzgórza, rozsiadła się jego rodzina. Urządzili sobie piknik na świeżym powietrzu. Poppy podawała kanapki, Ralph otwierał butelkę wina. Minette oparła łeb na kolanach Nicole w oczekiwaniu na smakowite kąski. Jake zamknął oczy, ale kiedy otworzył je ponownie, jego bliscy wciąż tam byli.

Któż oprócz nich, pomyślał, urządzałyby piknik, w chwili gdy kończy się świat? Kiedy znów wskoczył na siodełko i już bez wysiłku zjeżdżał ze wzgórza, zaskoczony usłyszał, że się śmieje.

NIEZNANE ŁĄDY

lipiec 1940 - grudzień 1941

## *Rozdział czwarty*

Londyn wydawał się ogromny, szary i nudny. W ciągu dnia słońce połyskiwało na dachach, a rozsiane na niebie balony zaporowe obracały się powoli w gorącej mgle, migocząc złotem, szafirem i srebrem. Nocą, przy obowiązującym zaciemnieniu, jedynymi źródłami światła były gwiazdy. Wyglądając przez okna swego pokoju, Faith miała wrażenie, że płatanina ulic i budynków ciągnie się w nieskończoność.

Rufus Foxwell zaproponował, by Faith i Jake zamieszkali wraz z nim w domu, który wynajmował przy Mahonia Road w Islington. Była to jedna z walących się, choć niegdyś, bardzo dawno temu, eleganckich georgiańskich rezydencji. Rufus polecił też przyjaciela w pewnym pubie, gdzie potrzebowano barmanów i skontaktował Faith ze znajomą starszą damą poszukującą osoby do towarzystwa. Rozwiązało to najbardziej palące problemy rodzeństwa, takie jak mieszkanie czy pieniądze, ale nocne koszmary pozostały.

Wspomnienie pierwszej nocy w Anglii nie dawało Faith spokoju. Gdy po całej dobie spędzonej na morzu przybili wreszcie do niewielkiego rybackiego portu na południowym wybrzeżu, ojciec uparł się, by natychmiast kontynuowali podróż do Londynu. Do najbliższej stacji kolejowej było kilka kilometrów, a gdy po przeszło godzinnym marszu zrobiło się ciemno i uświadomili sobie, że zgubili drogę, Poppy rozplakała się z wyczerpania. Usiadła na walizce i płakała w chusteczkę. Tamtej nocy spali na jakimś polu, skuleni w pszenicy, i czuli się opuszczeni i pozostawieni samym sobie na granicy nieznanego lądu. Faith także płakała bezgłośnie, spoglądając ku gwiazdom; płakała z tęsknoty za Francją i za wszystkim, co utracili.

Rano odkryli, że w odległości zaledwie kilkuset metrów znajduje się przystanek autobusowy. Kierowca zabrał ich na dworzec w Woodleigh. Kiedy dotarli do domu ciotki Iris, byli brudni, zmęczeni i mieli przy sobie łącznie jedenaście szylingów i jedną sześciopensówkę. Ciocia Iris była pomocna, ale -co zrozumiałe - daleka. Obie z Poppy ani nie rozmawiały, ani nie korespondowały ze sobą przez dwadzieścia lat. Iris zaproponowała Ralphowi, Poppy i Nicole swój wakacyjny domek w Norfolk.

Faith i Jake, którzy pozostali w Londynie z Rufusem, szybko zaakceptowali beztroski i stale zmieniający się krąg jego przyjaciół. Wielu z nich nosiło mundury i pojawiała się w mieście na jeden wieczór, aby pić, palić i tańczyć do upadłego, a następnego ranka zniknąć. Ulice pustoszały, na dworcach zaś tłoczyli się wojskowi i cywile wyjeżdżający z miasta. Ta atmosfera wyczekiwania i nerwowych spekulacji, pogłoski o inwazji, syreny ostrzegające o nalotach, których nie było - wszystko to miało istotny wpływ na nastroje Faith. Wcześniej myślała, że w Anglii poczuje się bezpieczna, ale teraz rozumiała, że nie jest. Czowała się zagubiona, pozbawiona korzeni i własnego miejsca. Chociaż wcześniej zawsze podróżowali, to jednak w owych wędrówkach była pewna ciągłość. Prowadziły ich kaprysy i wizje Ralpha. Przewidywalny jedynie w swej nieprzewidywalności, tkwił zawsze w niezmiennym centrum ich wciąż obracającego się świata. Teraz, wbrew swojej woli uwięziony w kraju, którego nienawidził, wydawał się nikły i pokonany. Rodzina Mulgrave'ow podzieliła się na dwie części. Opuszczając Francję, utracili zarówno dom i pieniądze, jak i pewien sposób na życie, którego nie dało się przenieść do Anglii.

Pierwsze tygodnie wypełniły Faith wieczorne spotkania w pubie, zaimprovizowane przyjęcia i hałaśliwe, choć smutne pożegnania przyjaciół Rufusa wyjeżdżających do wojska. Dni spędzała na spacerach z psami chlebobawczyni i szukaniu robótki, którą nieustannie gubiła owa dama. Potem, w nagłym odruchu irytacji i zniecierpliwienia, Faith pokonała ów dziwny opór, powstrzymujący ją dotąd od podjęcia określonych działań, i w bibliotece publicznej sięgnęła po spis telefonów. Przesuwając palcem wzdłuż długiej kolumny, znalazła nazwisko Guya. „Dr G. Neville, Malt Street 7”. Spisała numer i adres, a serce waliło jej jak młotem. Nie widziała Guya od trzech lat.

A jeśli zatelefonuje i - w jakimś strasznym ułamku sekundy -wyczuje w jego głosie konsternację lub wymuszoną serdeczność? Albo, co gorsza, przedstawiając się, usłyszy, jak on w milczeniu próbuje sobie przypomnieć, skąd zna jej nazwisko?

Dzielnica Londynu, w której mieszkał Guy, była mieszaniną niewielkich domków, ściśniętych razem niczym psie budy, i dużych willi, których czerwone ceglane ściany poczerniały od sadzy, a ligustry i wawrzyny w ogrodach zmatowiały od pokrywającego je pyłu. Dom Guya był jedną z owych niegdyś czerwonordzawych willi z wieżyczkami i malowanymi drewnianymi gontami na dachu. Faith zatrzymała się przed furtką.

- Sądysz, że...? - Spojrzała na Jake'a. - Sądysz, że nas sobie przypomni?

- Dajże spokój, idiotko - odrzekł, po czym chwycił siostrę za ramię i wciągnął ją do ogrodu.

W przerwie między naciśnięciem dzwonka i odgłosem kroków w holu, Faith przemieniła koronkowy mankiet bluzki w zmięty węzeł. Szczęknął zamek i w otwartych drzwiach nagle pojawił się Guy. Najpierw zobaczyła zdumienie, a potem -ku swej ogromnej uldze i radości - zachwył w jego oczach.

- Faith! Dobry Boże! Jak cudownie!

Uczucie osamotnienia i obcości zniknęło natychmiast, gdy tylko serce Guya zabiło obok niej, gdy objęły ją jego ramiona i gdy po wielokroć powtórzył jej imię.

Wprowadził ich do domu. Faith miała wrażenie, iż widzi wszystko bardzo wyraźnie: kolorowe szyby w drzwiach wejściowych i rośliny o lśniących liściach w kutych w brązie kwietnikach.

Potem, z kolejnego pomieszczenia, dobiegł ją głos jakiejś kobiety.

- Nie przedstawisz mnie, Guy?

Faith rzuciła okiem do sąsiedniego pokoju i widząc tam siedzącą na sofie młodą, ciemnowłosą damę, już chciała powiedzieć: „Guy, nigdy nam nie mówiłeś, że masz siostrę” - ale on był szybszy.

- Eleanor, chcę, byś poznała moich serdecznych przyjaciół: Faith i Jake'a Mulgrave'ów. Faith, Jake, pozwólcie sobie przedstawić... to jest Eleanor, moja żona.

„To jest Eleanor, moja żona”. Faith cisnęły się do głowy bolesne wspomnienia. „Ja nie zamierzam się zakochać... Mam ważniejsze rzeczy do zrobienia”. Uświadomiła sobie teraz, jaką głupotą i naiwnością było przekonanie, że Guy będzie wierny tak banalnej i zdawkowej deklaracji. Prawdopodobnie zapomniał o tych słowach, zanim jeszcze opuścili tamtą plażę, podczas gdy ona, nieszczęsna idiotka, wciąż niosła je wryte w sercu.

Spojrzała na niego i zobaczyła, że się zmienił. Dawniej zawsze rozwichrzone ciemne włosy przyszytył teraz na krótko, a ubranie miał całkiem inne - bardziej eleganckie i lepiej dopasowane. Dostrzegła też, że gdy przemierzał pokój, by uści-nać dłoń Jake'a, szedł nierównym krokiem.

Stojąca w drzwiach Faith zamarła, jakby sam czas wstrzymał swój bieg od chwili, gdy Guy powiedział: „Faith, to jest Eleanor, moja żona”. Zapomniała, co powinna zrobić w takiej sytuacji, jak się zachować, co powiedzieć. Dopiero zdumienie i złość na twarzy brata wyrwały ją z milczącego bezruchu.

- Nie miałam pojęcia, że jesteś żonaty - odezwała się pogodnie. - Gratulacje. Ani że mieszkasz w tak uroczym domu...

- dodała, niepewna czy owa umiejętność udawania sprawiła jej przyjemność, czy też napełniła ją wstrętem.

- To Eleanor odnowiła dom - pochwalił żonę Guy. - Gdy wróciłem z Francji, niemal go nie poznałem.

- Czemu państwo nie siadają? - wtrąciła się tamta kobieta.

- Może napiją się państwo herbaty?

- Z przyjemnością - odrzekła Faith, spoglądając na brata. „Nie pozwól, by dostrzeżono, że nie masz na coś ochoty”.

Jake odebrał ów sygnał.

- To bardzo miłe, pani Neville - powiedział, uśmiechając się czarująco - ale nie chcemy sprawiać państwu kłopotu.

- Doprawdy, żaden to dla nas kłopot. Jesteśmy zachwyceni, że przyszli państwo z wizytą. Nie miewamy zbyt wielu gości, prawda, kochanie? Powoli stajemy się starym, doświadczonym, rutynowym małżeństwem - roześmiała się Eleanor.

- Kiedy byłeś we Francji, Guy?

- Kilka miesięcy temu. Jako oficer medyczny Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego.

- Biedny Guy był ranny. - Eleanor dotknęła jego ręki. - Dokładaliśmy wszelkich starań, by wrócił do zdrowia.



- Nic heroicznego... Złamanie w kostce przy skoku do jakiegoś rowu. Niestety, kość nie zrosła się dobrze.

- Guy!

- Przykro mi, kochanie. Trochę mnie to uziemiło, jak widzicie. Pani Neville wyszła z pokoju. Zapadło milczenie.

- A co u was? - zapytał z uśmiechem Guy. - Jakież to cudowne znów widzieć was oboje. Nigdy nie myślałem, że przyjedziecie do Anglii. Ralph zawsze mówił, że jej nie znosi.

- Bo rzeczywiście tak jest. - Faith przestała już drzeć i mogła nawet zmusić się do uśmiechu. - Nicole i ja przekonaliśmy ojca do powrotu.

- Wspólnie z Genją.

- Nie pozostawiłyśmy mu żadnego wyboru.

- Nie mieliśmy żadnego wyboru - poprawił siostrę Jake. - Zostalibyśmy internowani.

- Okropność. Pomyśleć tylko, że zamknięto by nas w jakimś okropnym obozie jenieckim. To po prostu straszne! - ciągnęła Faith, nie mogąc uwierzyć własnym uszom, że te słowa od niej pochodzą.

Pani domu wróciła z herbatą i Faith sięgnąwszy po wręczaną jej filiżankę, bezwiednie wrzuciła do środka pół tuzina kostek cukru. Herbata wylała się na spodeczek.

- Tak mi przykro, musiałam zużyć cały państwa przydział.

- Eleanor ma schowany zapas cukru.

- Odłożyłam co nieco - rzuciła lekkim tonem żona Guya. - Opowiadała pani o czymś, panno Mulgrave?

Faith podeszła do okna i poczuła ciężki, mdlący zapach lilii.

- Jake jechał na rowerze, ja prowadziłam samochód i wszyscy razem wypłynęliśmy z La Rochelle. W rzeczywistości było to przeokropnie zabawne, ale papa uważa, że Anglia jest absolutnie okropna, i w związku z tym sam ma ciągle paskudny nastrój, więc Jake i ja zostaliśmy w Londynie.

- A gdzie mieszkają Ralph i Poppy?

- W letnim domu ciotki w Norfolk. Papa go nie znosi. Ludzie w miasteczku uważają go za dziwaka, bo nosi swój czarny płaszcz i kapelusz. Pamiętasz ten jego stary kapelusz, Guy? Wkłada go nawet w ciepłe dni, gdyż twierdzi, że tutaj nigdy nie bywa naprawdę ciepło - opowiadała Faith, czując, że jej głos brzmi zbyt donośnie i że mówi za dużo, ale nie mogła się powstrzymać. - Nicole... nasza młodsza siostra, pani Neville...

także mieszka w Norfolk, ale niebawem zamierza wyjechać, bo chce zostać sławną śpiewaczką.

- Czy Ralph i Poppy zamierzają tam pozostać?

- Nie sądzę, by mieli teraz jakiś wielki wybór. Nie znam innego miejsca, gdzie moglibyśmy się podziąć, a wyjeżdżając z Francji, straciliśmy wszystkie pieniądze, co nie znaczy, że przedtem posiadaliśmy ich wiele.

- Niemcy przejęli wszystkie aktywa i majątki należące do Brytyjczyków... - wyjaśnił Jake.

- ...więc jesteśmy biedakami, co dla naszej rodziny nie jest, muszę to przyznać, zupełnie nowym doświadczeniem.

- Co zamierzacie robić?

Dopiero teraz, pierwszy raz od chwili gdy powiedział: „To jest Eleanor, moja żona”, Fath spojrzała na Guya. To niesprawiedliwe, pomyślała, że chociaż jemu przestało na niej zależeć, nie zmalął ani nie stracił w jej oczach.

- Znalazłam pracę, Guy. Opiekuję się pewną leciwą damą. Rufus znalazł mi tę posadę.

- Rufus?

- Rufus Foxwell. Jest malarzem, ale wstąpił do marynarki handlowej. Poznaliśmy go w Paryżu. Pani Childerley, jego znajoma, jest już bardzo stara i potrzebowała kogoś, z kim mogłaby porozmawiać i kto wyprowadzałby na spacer psy, więc Rufus pomyślał o mnie. Jake natomiast pracuje w pubie. Ten pub nazywa się „Grasshopper”, prawda, braciszku?

- Wpadnę tam.

- A co pana naprawdę pociąga, panie Mulgrave?

- Sądzę, że wojsko. Widzi pani, kiedyś walczyłem w Hiszpanii - odrzekł Jake z uśmiechem.

- Mój brat był oficerem - powiedziała Faith. Zaczęła boleć ją głowa. Pomyślała, że skoro skończyła już pić tę obrzydliwą, przesłodzoną herbatę, to będzie już można wyjść. - A ty, Guy?

- Zwolniono mnie z wojska z powodu tej przekłętej kostki. Prawdopodobnie dobrze się stało, mam przecucie, że już niebawem moje kwalifikacje przydadzą się w Londynie.

- Myślisz, że Niemcy zaczną bombardować miasto?

- To nieuchronne, nie sądzisz? - Po tych słowach Guy obrócił się ku żonie i kładąc rękę na jej dłoni, powiedział łagodnie: - Ty i Oliver będziecie bezpieczniejsi na wsi.

- Kto to jest Oliver? - Faith spodziewała się, że Guy powie: „mój pies”, albo: „mój teść”.

- Oliver to nasz syn.

Usłyszała, jak Jake zaczął coś wyjaśniać, by wypełnić przerwę w rozmowie; opowiadał o wojnie na Atlantyku, Faith natomiast zacisnęła palce tak mocno, że aż poczuła ból i już po chwili mogła zapytać:

- Ile lat ma Oliver, pani Neville?

- Skończył dopiero sześć miesięcy. Urodził się w Nowy Rok. Guy i ja pobraliśmy się w pierwszym dniu minionego roku, więc Oliver był cudownym prezentem na pierwszą rocznicę naszego ślubu.

- Chciałabyś go zobaczyć, Faith? - zapytał Guy. - Zaprowadzę cię do dzieciennego pokoju.

- Obudzisz go, kochanie. Wiesz przecież, że ma lekki sen. Uspokajająco dotknął ramienia Eleanor.

- Obiecuję, że będziemy cicho jak myszki. A jeśli się obudzi, ukołyszę go do snu - powiedział, dodając z uśmiechem: - Wiesz, Faith, Oliver jest jedyną osobą na całym świecie, która docenia mój śpiew.

Faith poszła za nim na górę do pokoju dzieciennego na piętrze. Nocna lampka ukazała jej małe łóżeczko. Różowiutki Oliver, rozkopawszy kocyki, spał na plecach z wyciągniętymi nad głową rączkami.

- Ma złote włoski, Guy! - szepnęła z zachwytem Faith.

- Sądźmy, że podrzuciła go dobra wróżka - odrzekł szeptem. - Jest znacznie ładniejszy i mądrzejszy niż my oboje. - Pochylił się i pocałował synka w czoło.

Spoglądając na śpiące dziecko, Faith czuła, że łzy napływają jej do oczu. Pomyślała, że czekająca ją przyszłość jest tak mroczna, niejasna i zagmatwana jak to rozległe miasto, które ich otaczało.

- Jest śliczny, Guy. Z pewnością czujesz się z niego bardzo dumny.

Jake czekał na nią w holu. Guy poprosił, by zapisała mu ich adres na kawałku papieru. Pismo Faith było nierówne i poszarpane.

Gdy znaleźli się na ulicy, po policzkach dziewczyny zaczęły płynąć łzy.

- Służę ci rękawem - powiedział Jake.

Wytarła twarz o wyciągnięte ramię brata i biorąc głęboki oddech, usłyszała jego gniewne słowa:

- Jak on mógł?! Jak mógł się z nią ożenić?!

- A dlaczego nie? Z jakiego powodu Guy nie miałby się z nią ożenić, jeśli przyszła mu na to ochota?

- Z powodu ciebie, oczywiście.

- Nie bądź niemądry, Jake - odpowiedziała Faith, oddychając ciężko. - Guy nigdy nie był mój i nigdy nas nic nie łączyło. A poza tym pomyśl o tym ślicznym pokoju, o zasłonach pasujących do poduszek na sofie. I o tych pięknych kwiatach. Ja nie umiałabym tego tak urządzić...

Jake dogonił siostrę, wziął ją pod rękę i razem poszli szybko ciemnymi, nieznanymi ulicami.

- Jak ci się podobali? - spytał Guy. - Są wspaniali, nieprawdaż?

Byli w kuchni. Eleanor ustawiała filiżanki przy zlewozmywaku.

- Jake jest całkiem miły - odrzekła. - Trochę nieokrzesany i pospolity, oczywiście, ale sympatyczny. Zaproszę go na jedno z naszych niewielkich przyjęć.

- A Faith?

Odwrócona plecami Eleanor wycierała łyżeczki.

- Obawiam się, że panna Mulgrave wydała mi się dość męcząca.

- Sprawiała wrażenie zdenerwowanej, prawda?

- I ten strój! - roześmiała się z wyższością.

Guy nie mógł sobie przypomnieć co miała na sobie Faith. Coś długiego i powiewnego, pomyślał.

- Oberwał jej się z tyłu dół spódnicy - mówiła dalej jego żona. - Nie miała pończoch ani rękawiczek. A te sandały... Sądzę, iż pannie Mulgrave brak wrodzonej subtelności jej brata.

- Czy nie jesteś zbyt surowa, Eleanor? Prawdopodobnie musieli uciekać z Francji, tak jak stali.

Położyła na kuchni złożoną ściereczkę, by mogła tam wyschnąć.

- Zapewne. I nie zamierzałam być nieuprzejma. Jestem przekonana, że ostatnie przeżycia i wychowanie panny Mulgrave tłumaczą również jej dość barwny język. Trzeba też wziąć pod uwagę cygański sposób życia całej rodziny.

Wspięła się na palce i pocałowała Guya w policzek. On zaś, obejmując ją ramieniem, poczuł, jak bardzo różniła się od Faith. Była znacznie silniejsza i taka konkretna, bardziej realna.

Z piętra dobiegł ich znany dźwięk.

- Oliver płacze!

Eleanor wsłuchiwała się w głos dziecka. Słabe kwilenie było ledwie słyszalne.

- No proszę! - powiedziała z niezadowoleniem, odrywając się od męża. - Przecież od ostatniego karmienia minęło dopiero półtorej godziny. Podręcznik mówi, że w jego wieku przerwy między posiłkami powinny wynosić cztery godziny.

- Niemowlęta nie zawsze trzymają się podręcznika, kochanie - zauważył Guy, całując wciąż jeszcze zmarszczone czoło żony. - Ja tam pójdę, jeśli chcesz. Może jest mu za ciepło.

- To naprawdę irytujące, że nie możemy znaleźć odpowiedniej, wykwalifikowanej niani.

Przysyłane przez starą panią Stephens pracowite wiejskie dziewczęta wołały lepsze zarobki w fabrykach i urzędach.

- Może należało zatrzymać Biddy? - zauważył łagodnie Guy.

- Biddy nie była fachową siłą, Guy. I miała skłonności do hysterii.

Wyszedł z kuchni i zagłębił się w spokojną, mroczną ciszę holu. Na górze, w pokoju dziecinnym, wziął krzyczącego synka na ręce. Bolała go noga i był zmęczony, choć dopiero dochodziła dziewiąta. Na początku miesiąca ponownie otworzył swój gabinet i chociaż lista pacjentów była znacznie krótsza - wiele matek z dziećmi ewakuowano, a młodzi mężczyźni poszli do wojska - stale miał co robić.

Dziecko uspokoiło się trochę, więc Guy z ulgą usiadł w bujanym fotelu i kołysał synka w ramionach. Zamknąwszy oczy, oddychał słodkim, pudrowym zapachem niemowlęcej skóry. Wydarzenia minionych osiemnastu miesięcy następowały po sobie z tak oszałamiającą prędkością, że niewiele miał czasu, by rozważać ich skutki. Jego narzeczeństwo z Eleanor trwało krótko, skromne wesele urządzone pośpiesznie, gdyż wojna wtedy już wydawała się nieunikniona. Guy winił siebie za wszystkie trudności i kłopoty, w jakie popadło ich małżeństwo. Wiedział, że odrzucenie propozycji teścia, aby do spółki poprowadzili ekskluzywną prywatną praktykę Selwyna Stephensa, rozgniewało Eleanor. Guy tłumaczył jej, że został le-

karzem, by pomagać biedakom, którzy potrzebowali tego najbardziej, i miał nadzieję, że w końcu go zrozumiała.

O dziwo, właśnie to było ową banalną przyczyną niezgody, która doprowadziła do ich pierwszej prawdziwej kłótni. Wezwano go do umierającego i gdy już uczynił wszystko, co mógł, by ułatwić pacjentowi odejście na tamten świat, usiadł i napił się herbaty, czekając wraz z wdową na przybycie pozostałych krewnych zmarłego. Zanim wrócił na Malt Street była już prawie dziesiąta. Wchodząc do domu, zdumiał się, widząc płaszcze na wieszaku w holu i słysząc dobiegające z jadalni głosy. Zabrało mu kilka chwil, zanim przypomniał sobie to, co zupełnie wyszło mu z głowy; że żona właśnie dziś wieczorem urządziła przyjęcie.

Aż do wyjścia ostatnich gości była kochaną, wyrozumiałą Eleanor. Dopiero później, zamknąwszy drzwi, odwróciła się ku mężowi, mając w oczach zimną złość, która nim wstrząsnęła.

- Zorganizowałam to przyjęcie dla ciebie - powiedziała z naciskiem. - Trzy miesiące, całe trzy miesiące zajęło mi przekonywanie Johna Taylora-Questa, by przyjął moje zaproszenie. Mógłby ci tak bardzo pomóc w karierze! A gdzie ty byłeś? Piłeś herbatę z jakąś nędzną posługaczką! Jak mogłeś, Guy?!

Jej chłód i wściekłość wręcz go poraziły.

- Ja nie potrzebuję żadnej pomocy w karierze, Eleanor - powiedział wtedy. - Pani Tuttle zaś potrzebowała mnie znacznie bardziej, niż kiedykolwiek potrzebowałby mnie John Taylor.

Nie rozmawiała z nim przez dwa dni. Odwróciła się od niego w łóżku, każąc mu aż do bólu tęsknić za swym gładkim, jędrnym ciałem. Wtedy też spostrzegł, jak mizernie i blado wyglądała przy śniadaniu, i wpytując ją, zrozumiał to, czego sama jeszcze się nie domyślała; że była w ciąży. Rozumiejąc, iż nastrój żony wiązał się z jej stanem, Guy kupił naręcze kwiatów i zgoda powróciła. W styczniu urodził się Oliver, niewiele później zaś Guy otrzymał kartę powołania i w marcu wyjechał do Francji, skąd po dwóch miesiącach wrócił ranny.

Mały zasnął, lecz Guy nie położył go do łóżeczka, tylko siedział przez chwilę, ciesząc się ciepłem i bliskością śpiącego niemowlęcia. Był zachwycony swoim synem, ale rozumiał, że Oliver nie jest spokojnym dzieckiem i żona bywa często wyczerpana i przemęczona. Chociaż wiedział, że będzie za nimi tęsknił, uważał, że jeśli zapowiedziane bombardowania się rozpoczną i Eleanor z Oliverem wyjadą zgodnie z planem do do-

mu zacnej pani Stephens w Derbyshire, to wiejskie powietrze dobrze zrobi im obojgu.

Guy przypomniał sobie wyraz twarzy Faith, gdy pochylona nad łóżeczkiem, spoglądała na dziecko. Pomyślał, jak cudownie było zobaczyć ją znowu - ich spotkanie przypominało brakujący element układanki, który znalazł się na właściwym miejscu. Cóż to za ulga wiedzieć, że rodzina Mulgrave'ów nie została pochłonięta przez ową niszczycielską falę, która przewaliła się przez Francję. Przypomniał sobie podniecenie i rozgorączkowanie Faith, gdy opisywała ich koszmarną ucieczkę z tamtego kraju. „Było to przeokropnie zabawne”, powiedziała, ale Guy, który dostrzegł w oczach dziewczyny strach, który nadal tam się czaił, ukryty pod brawurą, nie wierzył jej słowom ani przez chwilę.

Nicole nie zamierzała długo mieszkać w Norfolk. Pragnęła zostać słynną śpiewaczką i miała zamiar się zakochać. Lubiła długie spacerowanie z Minette przez srebrzyste mokradła i chętnie spoglądała ku dalekiemu szarozielonemu morzu i falom, które niekiedy połyskiwały światłem. Była niezadowolona, że plażę - ze względu na możliwość inwazji - ogrodzono drutem kolczastym.

Héronsmead, letni domek cioci Iris, był ciasny, miał tylko dwa pokoje i ubikację na dole oraz dwie sypialnie na górze. Za to ogród stanowił nieproporcjonalnie rozległą płataninę pokrzyw i wrzosów, na które Poppy natychmiast ruszyła z kosą. Nicole próbowała dodawać otuchy ojcu, ale bardzo stanowczo odrzucał wszelkie jej starania.

- Cóż za przerażająco cholerne miejsce, a ci wszyscy ludzie to po prostu półgłówki! Powiadam ci, Nicole, poderżnę sobie gardło, jeśli będę musiał tutaj zostać choć trochę dłużej.

Z nadejściem lata liczba samolotów zestrzelonych w bitwie o Anglię podawana była w lokalnej gazecie niczym wyniki w krykcie, będącym letnim sportem narodowym Anglików. Na ostatniej stronie owej gazety Nicole znalazła ogłoszenie

o konkursie talentów w Cromer. Pojechała tam na staroświeckim rowerze cioci Iris, z Minette siedzącą w koszyku przymocowanym do kierownicy. Zjawilo się tam dwanaście innych uczestniczek, głównie tancerek i śpiewaczek, a także zongler

i jakiś brzechomówca z marionetką. Ponieważ pianino było

rozstrojone, Nicole wykonała bez akompaniamentu ludową piosenkę zatytułowaną „Miałam kiedyś kochaneczka”. Jeden z „lokatorów” nauczył ją niegdyś tej pieśni. Dziewczyna szczególnie lubiła ostatnie słowa:

*Ustawię srebrny żagiel i ku słońcu popłynę, A zdrażliwy kochanek zapłacze, gdy przeminę.*

Kiedy skończyła, niewielka publiczność nagrodziła ją gorącymi oklaskami. Burmistrz wręczył Nicole pierwszą nagrodę: książkę o Clarku Gable'u i tabliczkę czekolady. Podzieliła tę czekoladę między Minette i pozostałych uczestników konkursu, a bruchomówca z marionetką powiedział: „Słuchaj, nie wybierasz się na przegląd do Cambridge? Powinnaś tam pojechać, wiesz, jesteś naprawdę cholernie dobra”. Pożyczyła więc ołówek i zapisała wszystkie szczegóły na papierze po czekoladzie. Nie miała ani pensa, ale zdołała tak oczarować pana Phypersa, właściciela sklepu z warzywami, że pożyczył jej pieniądze na bilet kolejowy. Konkurs, pod każdym względem poważniejszy i większy niż ten w Cromer, odbywał się w niewielkim teatrze przy Newmarket Road. Za kulisami dziewczęta tłoczyły się w toalecie, malując się i pudrując. Nicole przejechała grzebieniem po włosach i wręczyła akompaniatorowi swoje nuty.

Zaśpiewała „Czymże jest dla mnie życie bez ciebie” z „Orfeusza i Eurydyki” Glucka - arię, której kiedyś nauczył ją Felix, a śpiewając o miłości i stracie, wspominała La Rouilly, winnice oraz lasy z dzikiem czosnkiem i żmijami. Wygrała; wiedziała, że wygra. W drodze powrotnej do domu, ściśnięta w wagonie wraz z setką innych pasażerów, zastanawiała się nad tym, jak wyda swoją pięcioletnią nagrodę. Dwa szylingi i sześć pensów odda panu Phypersowi; funt dla ojca, żeby go rozchmurzyć; dziesięć szylingów na materiał na sukienkę i szycie. Resztę zaś zostawi na bilet do Bristolu, by wziąć tam udział w przesłuchaniu do BBC, co zasugerował jej jeden z jurorów na konkursie młodych talentów.

Faith odkurzyła każdą z setek książek w bibliotece swojej pracodawczyni, przycięła trawnik oraz żywopłot zardzewiałymi nożycami i wykapała wszystkie trzy stare i obdarzone przykrym usposobieniem psy pani Childerley. Upał wysuszył nawet naj-



mniejsze źdźbło trawy. Dziewczyna pomyślała, że pragnie, by wydarzyło się coś ogromnie dramatycznego i wszechogarniającego, co wypełniłoby dręczącą ciszę, która dudniła jej w głowie. Paru przyjaciół Rufusa mówiło, że są w niej zakochani, więc pozwalała im się całować i zapraszać na tańce. Tańcząc, czasami zapominała, co się stało, ale w końcu muzyka cichła i wracało upokorzenie. Podobnie jak to miasto, owi adoratorzy wydawali się Faith obcy i nieznani, mimo to z całych sił starała się w którymś zakochać, żegnając ich na dworcu, gdy wyjeżdżali z Londynu do koszar lub na pokłady okrętów.

Pewnej sierpniowej nocy do domu przy Mahonia Road powrócił Rufus i cisnąwszy w kąt żołnierski plecak, padł na sofę. Rano Faith przyniosła mu filiżankę herbaty. Nieogolony i wciąż jeszcze w mundurze marynarki handlowej, ziewnął i przetarł oczy.

Siedziała obok, gdy pił. Była sobota, więc nie musiała isc do pracy. Kiedy skończył, pocałował ją niedbale w policzek.

- Muszę się wykapać - powiedział. - Mam jakąś szansę na kanapkę, kochana Faith?

Przygotowała całą stertę kanapek i zapukała do drzwi łazienki.

- Gotowe. Jesteś ubrany?

- Nie całkiem, ale możesz spuścić oczy. Wejdz i porozmawiaj ze mną.

Woda była mętna od brudu i mydła.

- Napełniamy wannę do tej cienkiej czarnej linii, Rufusie, a nie aż po szyję - upomniała przyjaciela, wręczając mu talerz z kanapkami i usiadła na sedesie, podciągając kolana pod brodę.

Rufus palił papierosa, strząsając popiół do wody.

- Więc weźmy razem kąpiel, Faith, z powodów ekonomicznych, oczywiście.

Potrząsnęła odmownie głową. Miał zapadnięte oczy, a nie-golona od kilku dni broda nadawała mu drapieżny wygląd pirata. Zsunął się do wody, opierając tył głowy na krawędzi wanny, i zamknął oczy. Teraz widać było jedynie jego spletaną czuprynę i kolana.

- Ile masz urlopu?

- Trzy dni - odrzekł, wynurzając się na powierzchnię - ale jutro muszę spotkać się z matką. Gdzie jest Jake?

- Śpi.

- Obudź go, wychodzimy do miasta - polecił Rufus, robiąc przy wyjściu z wanny potężną falę wody.

Wędrowali po ulicach, zgarniając przyjaciół niczym magnes przyciągający metalowe opilki. W południe urządzili piknik na Hampstead Heath i zjadali się chlebem, serem oraz jabłkami. Później chodzili od jednego pubu do drugiego, by skończyć wędrowkę w Cafe Royal. Jakiś nieznajomy, korpulentny mężczyzna około pięćdziesiątki przecisnął się do ich stolika.

Rufus machnął niebdale ręką.

- Bruno, pozwól, że ci przedstawię Jake'a i Faith Mulgra-ve'ów. Drodzy przyjaciele, oto Bruno Gage. Pisze przerażająco zgryźliwe recenzje. - Po tych słowach Rufus przymknął na chwilę oczy. - Jake, czyż nie wspominałeś kiedyś, że wasz ojciec coś napisał?

Bruno Gage rzucił okiem na młodzieńca.

- Mulgrave? Był kiedyś taki pisarz o nazwisku Mulgrave... „Nimfa z twoich marzeń”?

Jake zgasił papierosa.

- Jedyna literacka przygoda naszego ojca.

- Znasz to, kochana Lindo? - Krytyk podniósł wzrok ku kobiecie, która do nich dołączyła, ale potrząsnęła przecząco złotymi włosami. - Pamiętam... to był *succes de scandale*. Czytałem tę książkę w szkole. W swoim czasie uważano ją za oszałamiająco niemoralną. Dziś wydaje się raczej mdła. Ukrywałem ją wtedy w pudełku na drugie śniadanie pod ciastem z owocami.

- Jakież to cudowne mieć sławnego ojca.

- W istocie zawsze uważałem tę książkę za kompletną bzdurę - przyznał się Jake. - Przeczytałem ją tylko do połowy.

- Musicie mnie przedstawić, bardzo chciałbym poznać Ralphi Mulgrave'a - powiedział Bruno i spojrzął na zegarek - a teraz wszyscy pójdziecie ze mną. Opróżniam piwnicę, wydaję przyjęcie!

- Bruno zaprasza setki ludzi - wyjaśniła Linda. Jej jasne oczy utkwione były w Jake'u.

- To moje przyjęcie *apres nous le deluge* - wyjaśnił Bruno - wypijemy wszystkie butelki szampana i zjemy całego łososia, żeby Niemcy, gdy tu wkroczą, nie znaleźli nic godnego uwagi.

Wyszli z kawiarni. Bruno mieszkał w eleganckim trójpoziomowym domu z tarasami przy Knightsbridge. Gdy szeroko otworzył weneckie okna, do salonu wpłynął zapach rosnących

w ogrodzie jaśminów i róż. Słyszając wystrzały korków od szampana, jedna z dziewcząt najpierw krzyknęła, a potem westchnęła z ulgą.

- Myślałam, że to... myślałam, że to jest... - Nie mogła skończyć zdania.

- Jeśli mieliby dokonać inwazji dziś w nocy, chciałbym być zbyt pijany, by się tym przejmować - powiedział ktoś inny.

- Gdyby wtargnęli do nas dzisiejszej nocy, nie musiałabym być druzną na ślubie mojej kuzynki i nie włożyłabym tej okropnej sukienki.

Po tych słowach wprost ryczano ze śmiechu.

Ktoś włączył gramofon, „Sprawiłaś, że cię kocham, choć wcale tego nie chciałem...”. Rufus chwycił Faith w objęcia i tanecznym krokiem fokstrota wybiegli na trawnik. Kiedy trzymał ją tak blisko siebie, zamknęła oczy. Już prawie zapomniałam, pomyślała. Przez wszystkie minione tygodnie miała wrażenie, że Guy wprost wyrył się w jej sercu; że był piętnem, które niemal rozpaczliwie pragnęła wymazać lub zatrzeć, zastępując jego obraz wizerunkiem kogoś innego. Część jej cierpienia wyparł gniew; jawny dowód, że nie znaczyła dla Guya tyle, ile on znaczył dla niej, był głęboko upokarzający.

Przyjęcie stało się bardziej hałaśliwe i szalone. Faith, szukając łazienki, natknęła się na dziewczynę wymiotującą do chińskiej wazy i na jakąś parę obejmującą się na podeście półpiętra.

- Wyjdziemy? - zapytał Foxwell, gdy wróciła. Skinęła głową.

Tego wieczoru dość dużo wypijała. Idąc do domu, śpiewali refreny piosenek, a Rufus opowiadał bardzo nieprzyzwoite dowcipy. Owe żarty wydawały się Faith zabawne, a ona sama przestała się przejmować tym, że fałszuje śpiewając. Ramię Rufusa obejmowało ją w talii i podtrzymywało, gdy się potykała. Było niemal zupełnie ciemno, więc z początku, gdy chwiejnym krokiem skręcali w Mahonia Road, nie poznała mężczyzny stojącego przed wejściem do domu. Zaraz jednak, słysząc śmiech i wesołe okrzyki, odwrócił się w ich stronę.

- Guy... - szepnęła.

Lekko chwiejający się na nogach, Rufus popatrzył na nich z ukosa. Faith oparła się o niego. Guy stał teraz przed nimi.

- Byłem w tej okolicy, więc pomyślałem, że wpadnę - wyjaśnił, a dziewczyna dostrzegła szydercze skrzywienie jego warg,

gdy popatrzył najpierw na nią, a potem na towarzyszącego jej mężczyznę - ale jak widać najwyraźniej jesteś zajęta.

Z tymi słowami odwrócił się na pięcie i odszedł. Straciwszy na chwilę oddech, Faith przycisnęła palce do ust.

- Życzliwy gość - zauważył malarz.

- Wchodzimy? - zapytała.

Znalazł w końcu właściwy klucz i wbiegła na górę. Gdyby miała czas, aby się zastanowić, mogłaby jeszcze zmienić decyzję. Znalazłszy się w sypialni, rozpięła suknię i pozwoliła jej opaść na podłogę. Rufus dotykał dłońmi jej ciała i całował szyję. Dziewczyna była zadowolona, że pojedyncza żarówka tak słabo świeci, bo miała na sobie starą, zszarzałą w praniu halkę. Rufus pieścił wargami plecy Faith. Tylko raz, gdy znaleźli się w łóżku, zawahał się, spoglądając na nią mętnymi, ciemnymi oczami.

- Robiłaś to już wcześniej, nieprawdaż, Faith?

- Oczywiście.

Spodziewała się ekstazy albo strachu, ale nie doznała ani radosnego uniesienia, ani dreszczu wstępu. Wszystko to wydawało się raczej bez znaczenia, uznała potem; niewielka inwazja, aneksja jednego ciała przez drugie. Gdy było już po wszystkim, poczuła ulgę; oto przekroczyła pewien most, zostawiając za sobą życie, z którego wyrosła.

Na tym przyjęciu Jake tańczył z różnymi dziewczętami, z kilkoma się całował, i wypił bardzo wiele kieliszków wybornego szampana Gage'a. Szukając łazienki, krążył po domu, otwierał różne drzwi i wyglądał przez okna. Pokoje błyszczały przepychem, który coś mu przypominał, choć Jake nie potrafił teraz sprecyzować owego ulotnego skojarzenia. Nie, nie La Rou-illy... Ta szalona chińska ornamentyka w niczym nie przypominała wyblakłej świetności *chateau*. Jake próbował nie myśleć o tym, co musiało się stać z posiadłością Genyi znajdującą się teraz w pasie strefy okupowanej, wiodącym wzdłuż zachodniego wybrzeża Francji.

Nagle usłyszał z tyłu czyjś głos.

- Podziwiasz dekorację wewnątrz? Raczej przeładowana, nie sądzisz? Zawsze stwierdzam, że po jakimś czasie ten dom przygotowuje mnie o ból głowy.

Odwrócił się szybko; w drzwiach stała blondynka z Cafe Royal.

- Sądziłem, że ty i Bruno... - powiedział zakłopotany.

- że jesteście mężem i żoną? - uśmiechnęła się kobieta. - Cóż za przerażający pomysł! - Weszła do pokoju i zamknąwszy za sobą drzwi wyciągnęła rękę. - Nazywam się Linda For-TG ster.

Pomyślał, że jest bardzo piękna; wysoka i bardzo zgrabna, miała figurę tancerki. .

- Nie mogę oprzeć się myśli, że Bruno jest dość nierozważny - mówiła dalej.

- Mam na myśli niemieckich żołnierzy traktujących mu ogród... to chyba nie wydaje się prawdopodobne? Wprost nie można sobie tego wyobrazić, czyz nie?

Spoglądając w stronę ogrodu z trawnikami w dwóch odcieniach zieleni oraz starannie przyciętymi krzewami i barwnymi kwiatami, Jake zdołał przywołać tamto ulotne wspomnienie i uświadomił sobie, że ten dom przypomina mu ów zamek, w którym spędził noc podczas swojej niedawnej desperackiej podróży przez Francję. Przypomnił sobie powybijane okna i jasne plamy na ścianach, gdzie niegdyś wisiały obrazy.

- Ja mogę to sobie wyobrazić z łatwością - powiedział, rozglądając się po pokoju. - Przede wszystkim: bogate łupy. Tutaj Cezanne, a tu... Dufy, nieprawdaż? Powiedziałbym, że ten dom znalazłby się wysoko na liście zdobyczy.

Nagła fala gniewu pojawiła się jedynie w jej jasnoniebieskich oczach. Blondynka należała, jak przypuszczał, do tych kobiet, które z obawy o zmarszczki, nie pozwalają sobie ani na grymas niezadowolenia, ani na uśmiech.

- Próbujesz mnie przestraszyć.

- Ani trochę - odrzekł Jake, wzruszając ramionami. - Przedstawiam ci tylko moją opinię.

Przez chwilę milczała, a potem mówiła dalej:

- A więc, czyż nie jest to dobrym usprawiedliwieniem dla tego wszystkiego? .

Wyglądając ponownie przez okno, zrozumiał, co miała na myśli, mówiąc o „tym wszystkim”. Goście porozchodzili się po ogrodzie, znikając między kwiatowymi rabatami. Pod bukiem obejmowała się jakaś para. Długie cienie czerniały w mroku.

Jake zrozumiał, że ta kobieta nie jest głupia, jak mu się wcześniej wydawało, a niezwykła miękkość jej rysów stanowi jedynie maskę, pod którą kryła się inteligencja i - być może - bezwzględność.

- Ta wojna tasuje nas niczym talię kart, stwarzając różne konfiguracje - powiedziała.

Zaproszenie było jednoznaczne i łatwe do odczytania. Jake ujął dłoń Lindy, przesuwając swoją wzdłuż wąskich kości jej palców, aż dotarł do obrączki.

- Twój mąż...?

- Harold jest w Afryce Północnej.

Palce Jake'a biegły dalej, wzdłuż jej nagiego ramienia, a potem się zatrzymały, pieszcząc zagłębienie przy szyi. Zadrżała.

- Ta nuda jest wprost nieznośna, prawda? - odezwała się po chwili beztrzesko.

- Nigdy nie znosiłam biernego oczekiwania na rozwój wypadków.

„Ta nuda jest wprost nieznośna...”. Pamięć podsunęła mu obraz długich kolumn wędrujących kobiet i dzieci, cierpliwie znoszących chłód Hiszpanii oraz upał Francji, i nagle poczuł ogromną niechęć. Ręka opadła mu w dół, wyjął z kieszeni papierosy, zapalił jednego i powiedział:

- W rzeczywistości zawsze okazuje się, że to, co można mieć bez trudu, właściwie nie jest warte udreki zdobywania.

Wychodząc z pokoju, usłyszał jeszcze słowa Lindy:

- To zabawne, Jake, że ci najprzystojniejsi mężczyźni często nas rozczarowują... Niczym piękne róże, które nie mają zapachu.

Kiedy Faith obudziła się następnego ranka, Rufus stał przy oknie.

- Muszę złapać pociąg o ósmej... - wyjaśnił, a potem zawahał się, mając już jedną skarpetkę na nodze, a drugą w ręce.

- O co chodzi?

- Okłamałaś mnie w nocy, prawda? Byłem pierwszy, prawda?

- Czy to ma jakieś znaczenie? Ktoś musiał nim być. - Mówiąc to, zobaczyła, jak zmienia się wyraz jego twarzy, więc szybko dodała: - Nie to miałam na myśli, Rufusie. Proszę, nie gniewaj się na mnie.

Usiadł na brzegu łóżka, wyjął z kieszeni papierosy, zaproponował jej jednego i zapalił obydwu.

- Kochasz kogoś innego - zauważył spokojnie.

- Nie. Już nie - próbowała wyjaśniać Faith. - Jest żonaty. Ma synka.

- To mi nie przeszkadza - odparł, potrząsając głową. - Tylko nie jestem pewien, czy wysoko sobie cenię fakt bycia takim... towarem zastępczym.

Zapadło milczenie. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Czy to ten facet, który czekał przed domem ostatniej nocy? Nie odpowiedziała.

- Odpowiedz, chyba jesteś mi to winna.

- Nazywa się Guy Neville - odrzekła głucho. - Znam go od dawna. Spotkałam go, gdy miałam jedenaście lat. Odwiedzał nas we Francji.

- Kochasz go?

- Zawsze go kochałam - wyznała otwarcie. - Nie potrafię przypomnieć sobie czasów, gdy go nie kochałam. - Widziała ból na twarzy Rufusa, ale mówiła dalej:

- Myślę, że zakochałam się w Guyu, kiedy pierwszy raz go zobaczyłam. Patroszył kurczaka... wyobraź sobie; zakochać się w mężczyźnie, który patroszy kurczaka! - skończyła, przyciskając palce do oczu, żeby powstrzymać łzy. . .

Po chwili Rufus przyciągnął Faith do siebie i delikatnie ją przytulił.

- Zakochałem się kiedyś w dziewczynie, która pracowała na farmie mojego wuja - powiedział. - Sprawił to sposób, w jaki mówiła do świń, gdy je oporządzała. Pragnąłem, żeby tak samo zwróciła się do mnie.

Faith uśmiechnęła się niepewnie.

- Wiesz, Guy ocalił mi życie. Zostałam ukąszona przez żmiję a on wyssał jad. Nie chodzi o to, że myślałam, iż kiedyś wyjdę za niego za męża... tylko... sądziłam, że on będzie zawsze, że zawsze będzie tylko dla mnie... - Po tych słowach przez chwilę nic nie mówiła, a potem zmusiła się, by pomyśleć o wszystkim jeszcze raz, i dodała: - A teraz widzę, jaka byłam głupia. Co roku przez kilka tygodni widziałam jedynie Guya. A dla niego... dla niego były to po prostu wakacje. Dla mnie jednak było to...

- Czym?

- Najwspanialszym okresem w roku - powiedziała wprost. -Najbardziej prawdziwym. Ale większa część życia Guya przebiegała w innym czasie i beze mnie. Właściwie nic o nim nie wiedziałam. Nigdy nie poznałam jego rodziny, nie widziałam miejsca, gdzie mieszkał, nawet nie byłam w Anglii.

- Te sprawy nie mają szczególnego znaczenia - zauważył Rufus, wzruszając ramionami.

- Och, mają, Rufusie, mają... To jest kwestia przynależności i korzeni, nieprawdaż? A kiedy go zobaczyłam, no cóż, wydawał się taki szczęśliwy... Ma uroczy, przytulny dom i kochanego, maleńkiego synka, a jego żona jest ładna, inteligentna i dobrze wychowana. A ja pomyślałam: Dlaczego, u licha, w ogóle przyszło mi do głowy, że Guy pokocha właśnie mnie?

Wstał i zaczął wciskać do plecaka swoje rzeczy.

- Nienawidzisz mnie? Rzucił jej szybkie spojrzenie.

- Nie wydaje mi się. Jakież zresztą miałoby to sens? Drgnęła z bólu. Rufus wrócił do pakowania.

- Niebawem będziemy mieć znacznie poważniejsze powody do zmartwień - dodał, zapinając plecak. - Te wszystkie bzdury... kto kogo kocha i kto z kim sypia okażą się bezsensowne. Tylko teraz nie wydają się nam takie naiwne i... w rzeczy samej, Faith, myślę, że już pójdę. - Uśmiechnął się smutno. - To wbrew moim zasadom: zastanawiam się nad takimi sprawami, więc najwyraźniej musiałaś mnie poruszyć. Obiecuję, że gdy spotkamy się następnym razem, będę całkowicie cywilizowany.

Wyszedł, a ona nie pamiętała, by kiedykolwiek czuła się taka zawstydzona. Po chwili wstała, zrobiła sobie kąpiel, ubrała się i wyszła, nie mogąc znieść ciszy panującej w mieszkaniu. Chociaż dopiero dochodziła ósma, było już ciepło. Idąc, nieprzerwanie stawiała nogę za nogą, przemierzając kolejne ulice i skręcając na skrzyżowaniach, bo właśnie to, jak sądziła, należało zrobić. Ale jednocześnie odnosiła wrażenie, jakby jeden kierunek był równie dobry co drugi, i wydawało jej się, że to, czy trafiłaby do rzeki, czy też na ruchliwą drogę, nie miało wielkiego znaczenia. Faith, która przewędrowała pół świata, straciła zmysł orientacji.

Po pewnej chwili ujrzała ogromny wiktoriański budynek stacji Liverpool Street. Wsunęła rękę do kieszeni i przeliczyła drobne. Łzy, które w pociągu popłynęły jej z oczu, zamgliły obraz zarówno przedmieść zabudowanych domami z czerwonej cegły, jak i złotych pól. Kilka mil ze stacji do Heronsmead przebyła pieszo i dotarła tam po południu. Nie skierowała się do frontowych drzwi, lecz weszła do ogrodu na tyłach domu. Ujrzała ich wcześniej, niż oni zobaczyli ją: pogrążonego w lek-



turze Ralpa, siedzącego na leżaku, w przeciwsłonecznym kapeluszu opadającym mu na nos oraz Poppy pielącą na kolanach kwiatową rabatkę. Słońce świeciło wysoko na niebie, wypalona trawa wydawała się suchym sianem. Wstyd i smutek opuściły Faith w chwili, gdy pomachała ręką rodzicom.

Pociąg wyjechał z Bristolu o piątej, ale potem włókł się przez przedmieścia i dalszą okolicę, stając na bocznicach i tocząc się bez celu tam i z powrotem po zardzewiałych fragmentach torowiska. Kiedy w końcu zatrzymał się na jakiejś stacji, Nicole zobaczyła, że jest już prawie wpół do siódmej. Miała miejsce przy oknie, więc przetarła palcami czarną od sadzy szybę, ale nie zdołała dostrzec nazwy miejscowości, bo napisy usunięto w przewidywaniu inwazji, a głos zawiadowcy zginął w hałasie czynionym przez lokomotywę i pasażerów. Większość żołnierzy podróżujących od Bristolu z Nicole wysiadła i do przedziału wsiadło kilku pasażerów w cywilnych ubraniach.

- Czy to miejsce jest zajęte? - zapytał jakiś mężczyzna.

- Minette nie ma biletu, więc będzie zadowolona, dzieląc miejsce ze mną - odpowiedziała dziewczyna z uśmiechem i podniosła swoją ulubienicę, która wcześniej wygodnie ułożyła się na siedzeniu.

Nieznajomy usiadł. Nosił garnitur w prążki oraz kapelusz, a w ręku trzymał parasol i teczkę. Jakiś angielski dżentelmen, pomyślała z aprobatą Nicole.

- Czy wie pan, gdzie jesteśmy? - zapytała.

- W Oksfordzie. Bajkowe strzeliste wieżyczki z iglicami...

- Ach tak... - Ponownie wyjrzała przez okno. - Trochę przypomina Florencję, różni się tylko kolorami.

- Też tak sądzę - odrzekł z uśmiechem.

- Żłocistości i zielenie zamiast różów i brunatnych czerwieni.

- Tak... - Zastanawiał się przez chwilę. - Tak, myślę, że ma pani rację.

- Wszystkie miasta mają swoje własne kolory, nie sądzi pan? Podobnie jak imiona.

- Imiona?

- Moje imię, Nicole, to połączenie szkarłatu i czerni, a imię mojego brata, Jake, jest ogniście purpurowe, zaś mojej siostry, Faith, ma miły kolor różowobrazowy.

- A moje, David - zapytał nieznajomy - jakiej jest barwy?

Spojrzała na niego. Miał wyraziste, inteligentne oczy i ciemne włosy, na skroniach muśnięte siwizną.

- Królewski błękit - orzekła z niezachwianą pewnością.

- Doprawdy? Mam błękitny krawat, który nawet lubię, ale noszę go tylko w święta i podczas wakacji. Moja praca, niestety, wymaga stonowanych prążków.

- A czym się pan zajmuje?

- Tym i owym - odrzekł wymijająco. - Nudne biurowe zajęcia. A pani?

- Jestem śpiewaczką. Właśnie odbyłam przesłuchanie do programu radiowego.

- Naprawdę? To wspaniałe. Jak poszło?

Zawahała się lekko. Początkowo, nieprzyzwyczajona do mikrofonu, była stremowana, ale kiedy zaczęła śpiewać, poczuła się lepiej.

- Bardzo dobrze.

- W pani głosie brzmi pewność siebie.

Pociąg zwiększył szybkość i krajobraz za oknem stał się teraz plamą zieleni i brązu.

- Widzi pan, zawsze osiągam wszystko, czego naprawdę pragnę. Trzeba tylko bardzo mocno chcieć.

Mężczyzna wydawał się rozbawiony.

- I nie obawia się pani... złego losu?

- Ani trochę. - Nicole potrząsnęła głową, a potem znów spojrzała na towarzysza podróży. - Jaką arię lubi pan najbardziej?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Uwielbiam Haendla. I Mozarta, oczywiście. Gdybym miał wskazać jakąś ulubioną arię, co byłoby bardzo trudne, to przypuszczam, że wybrałbym „Dove sono i bei momenti” z „Wesela Figara”.

Nicole bardzo cicho zanuciła pierwsze takty. Pociąg wjechał do tunelu. Gdy się z niego wyłonił i znów zrobiło się jasno, postanowiła poczęstować nieznanego owocami.

- Może zjadłby pan trochę śliwek? Są bardzo dobre. Zerwałam je dziś rano.

- Z przyjemnością.

- Zamierzałyśmy zrobić z nich konfitury, ale nie mamy wystarczającej ilości cukru, a poza tym myślę, że świeże są lepsze - tłumaczyła dziewczyna, wyciągając z neseserka papierową torbę.

Pociąg znowu zwolnił i krajobraz z oknem stał się wyraźną mozaiką szarobrunatnych miasteczek i wsi wśród ściernisk o barwie ochry. Koła wagonów zgrzytały w mozolnym rytmie.

- Dokąd pani jedzie? - zapytał.

- Do Holt, w Norfolk - odpowiedziała z uśmiechem.

I właśnie wtedy wszystko - jej pies i śliwki oraz jego kapelusz i parasol, a także on sam - zważyło się na Nicole, zrzucając ją na podłogę.

W pierwszej chwili nie rozumiała, co się stało. Docierał do niej tylko okropny hałas. Wiedziała też, że leży na podłodze, a mężczyzna skulony nad nią, osłania jej twarz swoim ciałem. Jego dłoń ścisnęła ramię dziewczyny, nie pozwalając jej wstać.

- Wszystko w porządku, wszystko będzie dobrze - powiedział zdecydowanym tonem, gdy drgnęła słysząc huk wystrzałów.

I właśnie wtedy, kiedy pociąg zazgrzytał i z przeraźliwym gwizdem stanął, poleciała do przodu, uderzając głową o drzwi. Lokomotywa zaświstała, a Nicole usłyszała warkot wrogiego samolotu, który z wyciem silników ulatywał w niebo.

Wszystko wokół uspokoiło się i ucichło. Usłyszeli tylko czyjś szloch, a potem wymamrotane przez kogoś przekleństwo.

Nicole otworzyła oczy.

- Bardzo przepraszam... z pewnością panią przestraszyłem, ale zobaczyłem samolot... Czy dobrze się pani czuje?

Nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa, dziewczyna skinęła głową.

- Rozejrzę się wokół, czy mogę w czymś pomóc. Proszę tu poczekać, dobrze? Za chwilę będę z powrotem.

Strzepnęła z siedzenia potłuczone szkło i usiadła, przyciskając do piersi Minette. Ostrożnie przesunęła ręką po głowie i odkryła guz wielkości jajka. Siedząca naprzeciwko kobieta płakała. Otwory pozostawione w suficie wagonu przez karabinowe pociski wyglądały jak krawki z dziecięcej układanki, pomyślała Nicole.

David wrócił po kwadransie.

- Mamy kilku rannych... - powiedział - ale w pociągu jest parę pielęgniarek, więc się nimi zajmują. Zbiornik wody został przestrelony, a niektóre wagony są poważnie uszkodzone. Przyślą tutaj drugi pociąg, ale podejrzewam, że potrwa to kilka godzin. Chyba będzie szybciej, jeśli znajdziemy sobie inny środek lokomocji.

Otworzyła drzwi wagonu. Byli w szczerym polu. Nie widziała domów, a jedynie szachownicę pól, krzaki, żywopłoty i las. Zachodzące słońce jaśniało na ściernisku i wyschniętych ścieżkach. David wyskoczył pierwszy, a potem wyciągnął ku niej pomocne ramiona.

- Mogę wziąć pani neseser? Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie jest ciężki, a Minette może iść sama - powiedziała, stawiając na ziemi psa, który zaskomlał i pobiegł skrajem pola. - Czy wie pan, gdzie jesteśmy?

- Sądzę, że gdzieś w Bedfordshire - odrzekł, rozglądając się wokół. - Jeśli znajdziemy jakąś wioskę, prawdopodobnie będzie tam autobus. I zatelefonuje pani do swoich bliskich, bo będą się o panią niepokoić.

- Ależ nie - odpowiedziała wesoło. - Cóż, mama może się niepokoić, lecz tata wie, że zawsze dam sobie radę i wrócę do domu. Zresztą nie mamy telefonu.

Widząc na horyzoncie iglicę wieży jakiegoś kościoła, zaczęli mozolnie podążać ku niemu przez wysuszone słońcem pole. Chociaż zbliżał się wieczór, wciąż było jeszcze ciepło, więc Nicole zdjęła żakiet i schowała go do walizeczki. Kiedy dotarli do wsi, David zatrzymał się przed barem.

- Miałaby pani ochotę na kieliszek brandy? Naturalnie w celach leczniczych... może odrobina alkoholu uspokoiłaby nieco pani nerwy... wszak to, co się stało, było dla wszystkich przerażające.

- Takie rzeczy w istocie wcale mnie nie przerażają - odrzekła - ale z przyjemnością napiję się brandy.

Ponieważ wnętrze baru było mroczne, ciasne i zatłoczone, usiedli w małym ogródku. David dowiedział się, że za pół godziny odjeżdża autobus do Bedford, skąd powinien być jakiś pociąg do Cambridge, gdzie Nicole mogłaby złapać połączenie do Holt.

- Jeśli nie przeraża pani nalot na pociąg, to cóż, u licha, mogłoby to zrobić? - zapytał zdumiony David.

- Hm... Samodzielność i odpowiedzialność. Nie lubię być samodzielna - odrzekła po namyśle. - Nie cierpię też piwnic, ukrywania się w podziemiach... jaskiń, grot, tych wszystkich miejsc. I... - zmarszczyła nos - nie znoszę nudy.

- Właśnie sobie uświadomiłem - powiedział jej towarzysz, wyciągając rękę - że właściwie się nie przedstawiłem. Nie wie

pani o mnie nic oprócz tego, że mam królewsko-błękitne imię. Nazywam się David Kemp.

- A ja Nicole Mulgrave - odparła i uścisnęła mu dłoń.

Chociaż Eleanor szybko nauczyła się zajmować synkiem, nie znalazła w tym owej radości, która, jak sądziła, automatycznie towarzyszyć miała macierzyństwu. Gdy tylko doszła do siebie po porodzie, zdała sobie sprawę, że podstawowym uczuciem wypełniającym długie godziny spędzane z Oliverem jest nuda. Jednostajne czynności składające się na opiekę nad niemowlęciem - nieskończony cykl karmień, przewijania, kąpiel, stałych spacerów z wózkiem, nieciekawych zabaw z grzechotką i misiem - wydał jej się nużący. Macierzyństwo było zarówno niewiarygodnie czasochłonne, jak i boleśnie jednostajne. Duch Eleanor pozostał nieusatisfakcjonowany, podczas gdy ciało było wyczerpane. Gdy zaczynała czytać książkę, płacz małego przeszkadzał jej w lekturze, zanim zdołała skończyć stronę lub dwie. Gra na pianinie zdawała się go denerwować, a wizyty u ojca lub w domach przyjaciół zakłócał płacz niespokojnego niemowlęcia. Eleanor nie potrafiła już sobie przypomnieć, kiedy ostatnio była na koncercie. Jeśli Guyowi udało się znaleźć wolny wieczór i jeśli ona sama zdołała nakłonić jakąś dziewczynę do zajęcia się małym, wtedy albo opiekunki zawodziły w ostatniej chwili - dziewczyny do dziecka bywały niesolidne - albo też synek nagle dostawał gorączki akurat w chwili, gdy mieli już wychodzić z domu, więc Guy obawiał się, że może to być odra, ospa wietrzna lub jedna z tysiąca dolegliwości wieku dziecięcego, z których każdą Oliver najwyraźniej musiał przejść.

W marcu Guy wyjechał do Francji, pozostawiając żonę samą z perspektywą wieczorów i nocy spędzanych przy dziecku, które widać nie zamierzało przyzwyczaić się do bardziej uregulowanego trybu życia. Jedna z przyjaciółek zaproponowała, że zajmie się Oliverem, by Eleanor mogła pójść pewnego popołudnia na zebranie koła Kobiecej Służby Pomocniczej. Przysłuchując się dyskusjom o dostawach menażek i odzieży oraz o schronach, zrozumiała, jak bardzo stęskniła się za takimi sprawami; za komitetami pań i świadomością, że jest się częścią świata; owym poczuciem, które daje przynależność do jakiejś organizacji. Wcześniej dolegliwości ciążowe zmusiły Eleanor do rezygnacji z pracy w szpitalu.

Wracając autobusem na Malt Street, pałała entuzjazmem. Lokalnym kołem Kobiecej Służby Pomocniczej kierowała Do-reen Tillotson, która wcześniej była wraz z Eleanor w Komitecie dobroczynnym kliniki Świętej Anny. Eleanor wiedziała, że pani Tillotson jest niezdecydowaną i nieskuteczną przewodniczącą, i że ona sama potrafiłaby działać znacznie lepiej niż nieszczęsna Doreen. Podczas dwugodzinnej dyskusji precyzyjnie wskazała pół tuzina zmian, których należało dokonać; poczynając od takich drobiazgów, jak upewnienie się, że mają wystarczającą ilość łyżeczek do herbaty (wszak zawsze ich brakuje), aż do spraw poważniejszych, takich jak gromadzenie funduszy i rekrutacja nowych członkiń. Tego samego wieczoru naszkicowała więc plan działania i ułożyła listę następnych (pod względem doniosłości) zmian, jakie należało przeprowadzić.

Jednak Guy wrócił z Francji ranny, a każdą nianię, którą Eleanor próbowała zatrudnić, zniechęcały łzy Olivera i jego temperament. Zdesperowana zabrała kiedyś małego w specjalnym koszyku na jedno z zebrań koła pań. Chociaż w autobusie spał, jednak gdy tylko pozostawiła go w kącie pomieszczenia, od razu zaczął płakać, a po pięciu minutach początkowe popiskiwanie przeszło w donośny wrzask. Eleanor próbowała ukołysać synka, żeby zasnął, ale wciąż płakał, więc po chwili wyniosła koszyk do jednej z sal na piętrze i zdecydowanie zamknęła za sobą drzwi. Płacz Olivera dobiegał na dół, lecz zignorowała pełne nagany spojrzenia pozostałych kobiet.

Kiedy złamana kostka Guya wygoiła się na tyle, że sam dawał sobie radę, namówił żonę, by pojechała z Oliverem do swojej babki w Derbyshire. Tam pani Stephens zajmowała się dzieckiem, a Eleanor odpoczywała, odkrywając ponownie, co daje nieprzerwany ośmiogodzinny sen. Odbywała też długie rowerowe przejażdżki i pewnego wieczoru, gdy przyjemnie wyczerpana padła na łóżko, uświadomiła sobie ze wstydem, że nie widziała synka przez cały dzień i wcale za nim nie tęskni. Tęskniła natomiast za Londynem. Była dziewczyną z miasta i brakowało jej sklepów, teatrów, sal koncertowych oraz spotkań z przyjaciółmi.

Babcia uwielbiała malca i strasznie go rozpieściła, więc gdy Eleanor wracała z nim do Londynu, płakał przez całą drogę. Spotkawszy się z Guyem na dworcu, w pierwszym odruchu chciała mu opowiedzieć, jaki to Oliver jest okropny, lecz nagle

zrozumiała, że mogłoby się to okazać niebezpieczne. Gdy rozpoczęła się bitwa o Anglię, a samoloty myśliwskie wroga kreśliły swe delikatne, niosące śmierć wzory na błękitnym niebie, Guy zaproponował to, co Eleanor już przewidywała: aby wraz z małym wyjechała z Londynu. Odpowiedziała wtedy wymijająco: podejmie decyzję, gdy rozpoczną się prawdziwe bombardowania, lecz nie wcześniej. Zmarszczka zatroskania między brwiami Guya wyraźnie się pogłębiła, ale zaakceptował jej zdanie.

Potem pojawili się ci Mulgrave'owie. Eleanor dostrzegła, jak Faith patrzyła na jej męża. To, czego on był nieświadomy, ona zrozumiała natychmiast. Faith Mulgrave była w Guyu zakochana. Przyjmując Faith, z jej wyzywającym strojem i mało subtelnym sposobem bycia - wybaczalnym, a nawet dziwnie pociągającym w takim mężczyźnie jak Jake, lecz całkowicie odpychającym u kobiety - Eleanor musiała głęboko ukryć swoją antypatię do tej dziewczyny. Była bowiem wystarczająco spostrzegawcza, by zdawać sobie sprawę, że obie - i ona, i Faith - mogły przemawiać do różnych stron osobowości Guya. Zrozumiała też wtedy, że nie może opuścić Londynu, dopóki jej mąż nie uświadomi sobie, że Faith Mulgrave nie jest już owym uroczym dzieckiem z jego wspomnień, lecz dorosłą kobietą bez zasad i powściągliwości, które mogłyby ją powstrzymać od okazywania uczucia żonatemu mężczyźnie.

## *Rozdział piąty*

Nicole zobaczyła Davida Kempa przed hotelem „Cumberland”, wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. Mężczyzna zaś wręczył jej bukiet kwiatów.

- Myślałem... gratulacje albo wyrazy współczucia.

- Gratulacje - odrzekła, zagłębiając nos w aksamitnych płatkach. - Zostałam wybrana do występu z orkiestrą Geoffa Dextera.

- Staniesz się sławna - powiedział. - Ludzie będą mi zazdrościć, kiedy im powiem, że jadłem śliwki ze słynną artystką, panną Nicole Mulgrave.

Weszli do hotelu i zamówili herbatę.

- Mój pierwszy koncert odbędzie się za dwa tygodnie. Pozwolono mi wybrać dwie suknie od Harrodsa. Są absolutnie boskie, Davidzie.

- Gdzie się zatrzymałaś?

- U mojej siostry Faith, w Islington. Postanowiła zostać kierowcą sanitarki. W przyszłym tygodniu zdaje egzamin na prawo jazdy.

- Opowiedz mi o swojej rodzinie.

Opowiedziała mu o Ralphie, Poppy, Jake'u i Genyi oraz

o „lokatorach” i La Rouilly, a także o krajach, w których mieszkała jako dziecko. Kiedy podano herbatę, Nicole napełniła im filiżanki, a zaczął mówić David.

- To wszystko brzmi trochę egzotycznie i przypomina powieść awanturniczą - stwierdził. - Zawsze zazdrościłem ludziom, którzy mają liczną rodzinę. Mój ojciec zmarł tuż po moim przyjsciu na świat, więc zostało nas tylko dwoje; matka i ja.

i oczywiście zawsze mieszkaliśmy w tym samym domu.



- Gdzie jest twój dom, Davidzie?  
- W Wiltshire, nieopodal Salisbury.  
- Czy jest przyjemny? Uśmiechnął się lekko.  
- Mój dom, Compton Deverall, jest zimny, pełen przeciągów i okropnie niewygodny. Ale ja go uwielbiam.

Nicole miała zamiar wypytywać go dalej, gdy usłyszała wycie syren.

- Próbnny alarm? - Spojrzała na swego towarzysza.  
- Prawdopodobnie. W piwnicy jest schron. Niektórzy goście opuszczali już salę.

- Z cukrem? - zapytała spokojnie dziewczyna, nie ruszając się z miejsca, i podsunęła Davidowi cukiernicę.

Usłyszawszy daleki, głuchy wybuch, wypięła łyk herbaty i zjadła kanapkę. Po chwili spadła następna bomba, a potem jeszcze jedna. Hotelowa jadalnia prawie całkiem opustoszała.

- Cóż, u licha, jest w tych kanapkach... - odezwała się Nicole, a wtedy rozległ się łoskot i jej łyżeczka zabręczała na spodku obok filiżanki.

- Przypuszczam, że to pasta rybna - odrzekł David i dotykając jej ręki, dodał:  
- Bomby spadają jeszcze dość daleko, Nicole, ale sądzę, że powinniśmy jednak zejść do schronu.

Poszła za nim. Nienawidziła podziemi, braku światła i owego uczucia, że piwniczne stropy wprost przygniatają człowieka do ziemi.

- Davidzie, nie mogę tego znieść - odezwała się po chwili. - Czy miałbyś coś przeciwko temu, żebyśmy stąd wyszli?

Spojrzał na nią z wyrazem nagłej skruchy.

- Zapomniałem, że ty przecież nie znosisz być pod ziemią, prawda? Coś ci powiem... mój dom znajduje się niedaleko stąd, a sufit w jadalni jest niebywale mocny. Więc jeśli nie obawiasz się zaryzykować, przechodząc ulicą...

Na zewnątrz, w jesiennym słońcu, lęk Nicole zniknął. Podnosząc wzrok, zobaczyła na niebie eskadry samolotów, przypominające stada wędrujących na południe gęsi. Każda ze srebrnych maszyn ciągnęła za sobą smugę lekką jak puch. Dziewczyna dostrzegła biały pióropusz, który wystrzelił ze zbombardowanego budynku. Obłok rozwinął się, falując niczym rozpostarty żagiel, a potem zогromniał, zabarwiony czerwienią. To całkiem ładnie wygląda, pomyślała.

- W tej dzielnicy będzie najgorzej - odezwał się David, biorąc ją za rękę i ponagłając. - Chodźmy.

W dużym domu przy Devonshire Place zaprowadził ją do jadalni. Spojrzenie Nicole przyciągnęła fotografia stojąca na kredensie.

- Ładna - powiedziała, oglądając portret ciemnowłosej, melancholijnie wyglądającej dziewczyny. - Kto to jest?

- Miała na imię Susan. Umarła na gruźlicę. Byliśmy zaręczeni.

- Och, Davidzie - podeszła do niego bliżej - jakież to dla ciebie okropne - dodała ze łzami w oczach.

- To było dawno.

Gdy kwadrans po szóstej rozległ się sygnał obwieszczający koniec nalotu, poszli do kuchni, gdzie przyrządzili sobie omlety z sałata.

- Matka przysłała mi z domu jajka i warzywa - wyjaśnił David. - Mam wyrzuty sumienia, bo trochę mnie rozpieszcza.

- Jest wyborna - powiedziała Nicole, chrupiąc sałatę. - Nie czuj się winny, Davidzie, ja nigdy nie mam wyrzutów sumienia.

Płukał właśnie kobiałkę późnych malin na deser, gdy syreny odezwały się ponownie.

- Lepiej zjedzmy je pod stołem.

- Musimy się napić szampana, Davidzie. Masz szampana? Wprost doskonale pasuje do malin.

Wystrzał korka zabrzmiał jak echo huku spadających bomb. Nicole szybko wypila pierwszy kieliszek.

- Nadlatują bliżej.

- Po południu zrzucali bomby zapalające, żeby oświetlić sobie cele. Obawiam się, że będzie to niezbyt przyjemna noc.

- To nalej mi następny kieliszek, kochany. Zmarszczył brwi.

- Nie jestem całkiem pewien...

- Czego?

- Jesteś bardzo młoda, Nicole.

- Mam już siedemnaście lat! - odparła z oburzeniem.

- Siedemnaście... Dobry Boże! - Potrząsnął głową. - A ja trzydzieści dwa.

- Mój ojciec jest trzynaście lat starszy od mojej mamy - odrzekła Nicole - i zawsze byli najlepszymi przyjaciółmi. A poza tym - zaczęła chichotać - jakże, u licha, możesz niepo-

koić się o mnie, skoro sam wypiełeś właśnie kilka kieliszków szmpana?

Musiąca krzyczeć, by usłyszał jej słowa wśród huku spadających bomb. Patrząc na nią, David także zaczął się śmiać.

Wracając następnego dnia ze szpitala do domu, Guy pomyślał, że był to dla Anglików swoisty chrzest. Uczucie niedowierzania, które towarzyszyło wydarzeniom od chwili wypowiedzenia wojny, a być może od konferencji w Monachium, zniknęło. Teraz, wraz ze zniszczeniami, które ujrzeli ludzie owego pięknego wrześniowego poranka, pojawił się jakiś nowy realizm.

Tej nocy był w domu tylko raz, by sprawdzić czy Eleanor i Oliver są bezpieczni w schronie. Resztę czasu spędził w szpitalu, niosąc pomoc ofiarom nalotów. Teraz, mimo niewyspania, czuł się dziwnie ożywiony. Sama świadomość, że żyje, wydawała mu się cudowna. Cieszył się, że właśnie jest niedziela i że nie ma pacjentów. Musi porozmawiać z żoną, dokonać niezbędnych uzgodnień, zatelefonować na dworzec z pytaniem o godziny odjazdów pociągów do Derbyshire, a potem będzie mógł odpocząć. Obawiał się ich wyjazdu - myśl o powrocie do samotnej kawalerskiej egzystencji zatrzażała Guya - ale wiedział, że nie ma wyboru. Skręciwszy w Malt Street, zobaczył, że domy nie zostały zniszczone i tylko lekka warstwa ceglanego pyłu rozwiewana przez łagodny wietrzyk pokryła liście i trawę. Wciąż myślał o zburzonych domach w dzielnicach Stepney i Whitechapel i o tym, co wałące się stropy i ściany mogły zrobić z kruchymi ciałami ludzi.

Wróciwszy do domu, zastał żonę w kuchni. Pocałował ją w szyję, jak zwykle zachwycając się jej lśniącymi włosami, gładką skórą i doskonałą urodą.

- Jak się miewa Oliver?

- Śpi, dzięki Bogu. W schronie całą noc płakał.

- Zatelefonuję na stację i sprawdzę godziny odjazdów pociągów do Derby. Zdołasz przygotować wszystko na dzisiaj?

Szykowałam właśnie ser do sałaty.

- Wszystkie ubranka Olivera są wyprane i wyprasowane - odrzekła - a mnie potrzebna będzie tylko nocna koszula.

- Tylko nocna koszula? Musisz przecież wziąć ze sobą ciepłe rzeczy, Eleanor. Mam złe przeczucie, że to może potrwać aż do zimy.

- Guy, odwiozę Olivera do babci, a potem wrócę do domu -oświadczyła spokojnie, nawet na niego nie patrząc.

Usiadł naprzeciwko niej i przetarł palcami oczy. Powieki pokrywał mu ceglany pył.

- Słuchaj - powiedział - chcę, żebyś pojechała do Derbyshire z Oliverem i tam została.

- Nie, Guy - odparła, zawijając resztę sera w pergamin i odkładając go na bok.

- Wrócę tutaj i będę ci pomagać.

Wziął żonę za rękę i próbował coś tłumaczyć.

- Nie chcę, abyś tu przyjechała, kochanie... Będę za tobą bardzo tęsknić, ale chcę, żebyście byli bezpieczni.

- Mamy przecież schron. Termosy, książki i koce uczynią go przytulnym, będzie tam całkiem miło, zobaczysz.

- Ale Oliver...

- W Derbyshire czuł się wspaniale. Napisałam już do babci, która z utęsknieniem czeka, by mieć go tylko dla siebie.

- Wszystko już załatwiłaś? - Patrzył na nią ze zdumieniem.

- Oczywiście. - Eleanor ścisnęła mu dłoń i pochyliła się, by wyjąć z worka ziemniaki.

- Bez porozumienia ze mną?

- Nie chciałam sprawiać ci kłopotu, Guy. Ty przecież masz dość powodów do niepokoju.

- Oliver jest moim synem... Nie mogę uwierzyć, że podejmujesz takie decyzje za moimi plecami.

- Nie bądź śmieszny, kochanie. - Głos żony nadal brzmiał beztrąsko i niefrasobliwie. - Mówisz tak, jakby chodziło o jakiś... spisek. A ja podjęłam decyzję najlepszą dla nas wszystkich.

- Dla Olivera twoja decyzja nie jest najlepsza! - Guy nie potrafił ukryć narastającego gniewu.

- Oczywiście, że jest! - odparła, wrzucając ziemniaki do zlewu, i odkręciła kran. - Będzie bezpieczny, a to jest najważniejsze.

- Dziecko potrzebuje matki.

- Nonsens, Guy. Ośmiomiesięczne niemowlę nie odróżnia jednej osoby od drugiej. Dopóki Oliver jest nakarmiony i przewinięty, nie obchodzi go, kto się nim opiekuje.

- Doprawdy, nie sędę, Eleanor, aby tak było w istocie, i uważam, że się mylisz...

- Poza tym oboje całkiem dobrze daliśmy sobie radę bez matek, nieprawdaż?

Guy był w gimnazjum, gdy jego matka umarła. Kierownik internatu wziął go wtedy na bok i przekazał ową wiadomość. Rozumiejąc smutek chłopca, pozwolono mu tego dnia zjeść lunch samemu w izolatce. Pamiętał, że podano mu lody, jakby to mogło ukoić żal.

- Nie chcę, by Oliver musiał sam dawać sobie radę! - rzucił gniewnie Guy. - Chcę, żeby był szczęśliwy!

Eleanor odwróciła się do niego i wtedy pierwszy raz zobaczył w jej oczach stal.

- Uważasz, że ja tego nie chcę, Guy? - spytała, odkładając nóż do obierania jarzyn i wycierając ręce w kuchenną ściereczkę. - To będzie najlepsze rozwiązanie dla nas wszystkich - powtórzyła. - Oliver znajdzie tam bezpieczeństwo i opiekę, a ja będę mogła nadal pomagać tobie i aktywnie uczestniczyć w pracach Kobiecej Służby Pomocniczej. - Uśmiechnęła się, ale jej wzrok wciąż pozostał twardy. - Dajże spokój, Guy... Nie pamiętasz tamtego zamętu i nieładu, w jakim żyłeś, zanim mnie poznałeś? A teraz będziesz, jak przypuszczam, jeszcze bardziej zajęty niż kiedykolwiek. Nie sądzę, abys zdołał sobie poradzić beze mnie.

Był już o krok od słów: „Radziłem sobie wprost doskonale, zanim poznałem ciebie”, ale ugryzł się w język, zdając sobie sprawę, jak by to zabrzmiało. Przesunął dłońmi po zakurzonych włosach i przymknął oczy. W tym zasepieniu wyobraźnia podsunęła mu obraz Faith - takiej, jaką widział ostatnio. Wracając w nocy ze szpitala, uświadomił sobie, że zaledwie kilka ulic dzieli go od domu, w którym zamieszkali młodzi Mulgrave'owie. Postanowił ich odwiedzić, żałując, że nie miał czasu, by wcześniej zatelefonować. I wtedy zobaczył na ulicy Faith, rozbawioną i wyraźnie na rauszu, wraz z jej kiepsko wyglądającym towarzyszem. Dla Guya było oczywiste, że są kochankami. Nie przypominał sobie, co jej powiedział, pamiętał tylko wrażenie szoku i świadomość nagłej utraty złudzeń.

Gniew Guya wzmógł się, a potem w jednej chwili zgasł. Ogarnęło go zmęczenie, którego wcześniej nie czuł mimo całonocnej pracy.

- Jeśli jesteś przekonana, że właśnie tak musisz postąpić, Eleanor - powiedział po chwili ze znużeniem - to nie mam, jak sądzę, innego wyjścia niż tylko się zgodzić.

- Brawo! - odrzekła żywo. - Byłam pewna, że zrozumiesz, iż to jedyne sensowne rozwiązanie. A teraz, dlaczego nie idziesz

się myć? Brudzisz mi podłogę. Przygotuję ci gorącą kąpiel, a potem przyniosę parę kanapek i herbatę. Musisz porządnie wypocząć. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Jeden z przyjaciół podsunął Faith myśl o pracy za kierownicą sanitarki.

- Nie skończyłaś żadnej szkoły i nie potrafisz pisać na maszynie. Prowadzenie samochodu wydaje się jedyną rzeczą, jaką możesz robić.

Faith była rozgoryczona tak bezceremonialnym zakwestionowaniem jej uzdolnień, niemniej jednak owa sugestia wydała się pociągająca. Mogłaby jeździć sanitarkami w nocy, a w dzień nadal opiekować się panią Childerley, którą coraz bardziej lubiła.

Już przy drugiej próbie zdała konieczny egzamin - pojazd do ćwiczeń był ogromny, staromodny i kapryśny niczym ów stary citroen, który Ralph musiał zostawić we Francji, a więc dość znajomy. Wyekwipowano ją w bawełnianą pelerynę, bluzę oraz niewielkie nakrycie głowy i nauczono udzielania pierwszej pomocy. Karetkami były prywatne samochody pomalowane na kolor szary, z rolkami na nosze. Kierowcy pracowali parami i co noc wysyłano ich do różnych dzielnic miasta.

Początkowo wszystko wydawało się okropnie trudne. Główną obawą Faith było to, że w ciemnościach pomyli drogę. Wiele ulic zamknięto z powodu zniszczeń podczas nalotów lub bomb, które nie wybuchły, więc jej pośpiesznie nabywana znajomość topografii Londynu była niemal bezużyteczna. Jeśli zatrzymywała się i pytała o drogę, ludzie, oszołomieni hałasem i zniszczeniem, często wskazywali niewłaściwy kierunek. W zbombardowanych dzielnicach lekarze i pielęgniarki zajmowali się już poszkodowanymi, opatrując ich rany. Potem Faith i Bunt, jej partnerka, wносиły rannych do sanitarki i odwoziły do szpitala. Do obowiązków dziewcząt należało też zostawienie przy każdej z ofiar kartki z nazwiskiem i krótkim opisem dostrzeżonych obrażeń, ale często albo nie było na to czasu, albo zgubiły ołówek lub też w ciemności i pyłe nie widziały wystarczająco wyraźnie, by móc wszystko zapisać. W szpitalu zostawiały rannych w izbie przyjęć, zabierając z powrotem nosze i koce, a potem wracały do stacji karetek i czekały na kolejne wezwanie.

Sprzyjających pomyłkom sytuacji było bez liku. Faith zapominała o zabranianiu koców i kierownik dyspozytorni robił awanturę przy wydawaniu nowych. Skręcała zbyt gwałtownie, by ominąć lej wyrwany w jezdni przez bombę i nieszczęśnicy z tyłu ambulansu jęczeli albo narzekali. Kiedyś kompletnie pomyliła ulice i minęło pełne dziesięć minut, zanim się zorientowała, że jest na Green Street, a nie na Green Road. Między kolejnymi wezwaniem, czekając w suterenie obok telefonu, Faith i Bunty wypijały niezliczone filiżanki herbaty.

- Najgorsze ze wszystkiego jest wciąganie tych noszy do samochodu - narzekała Bunty, kolejny raz napełniając czajnik. - Nie czuję pleców.

- Ostatniej nocy myślałam, że padnę ze zmęczenia - powiedziała Faith i spojrzała na koleżankę. - Niepokoi mnie też... -urwała.

-Co?

- ...czy to nie będzie zbyt okropne. Jak dotąd miałyśmy tylko - policzyła na palcach - dziesięć osób, a żadna z nich nie była poważnie ranna. Obawiam się, że mogłabym zasłać i po prostu być nieprzydatna.

- Mnie też robi się niedobrze na widok krwi - wyznała Bunty. Następnej nocy Faith musiała stawić czoło swym najgorszym

obawom. Był to ciężki nalot. Wracając do dyspozytorni po każdym wezwaniu, nie miały czasu, by zagotować wodę przed kolejnym telefonem. O trzeciej nad ranem mieszanina dymu i ceglanego pyłu była tak gęsta, że utrudniała patrzenie przez okno karetki, Bunty wychyliła się więc przez boczne okno i wskazywała drogę.

- Powoli naprzód... Skręć trochę w lewo, jezdnia jest w strasznym stanie... Wolniej... Zatrzymaj się tutaj, coś leży na przed nami...

Wyskoczyły z sanitarki. Bunty ruszyła pierwsza do miejsca, gdzie przyćmione światła ich reflektorów ukazywały przeszkodę leżącą na asfalcie.

- O Boże... - szepnęła. Faith spojrzała na jezdnię.

To dziecko musiało zostać wyrzucone w powietrze siłą wybuchu i drobne ciało rozdarło się w zderzeniu z jezdnią. Faith usłyszała, jak koleżanka zaczyna płakać tym szczególnym szlochem bez łez. Sama jednak, o dziwo, nie zapłakała, nie krzyk-

*nęła*, ani nie zrobiła żadnej z tych rzeczy, których się obawiała. Przyniosła koc z sanitarki, owinęła zwłoki i delikatnie ułożyła je na noszach. Potem zapaliła papierosa i wsunęła go między drżące palce Bunty. Jakiś strażnik zawołał, żeby zgasła ten ogień, ale zignorowała polecenie, nie wierząc, by w takim piekle można było dostrzec z góry czubek zapalonego papierosa.

Tamtej nocy poczuła dziwną ulgę, jakby zdała jakiś egzamin. Początkowo ostrzegawcze wycie syren i warkot nadlatujących bombowców przyprawiały ją o mdłości. Świst każdej spadającej bomby wywoływał paniczne trzepotanie serca, które mogła przezwyciężyć tylko dlatego, że obawa, iż zrobi z siebie idiotkę, była jeszcze gorsza. Jednak to przerażenie zniknęło ze zdumiewającą szybkością; po prostu nie można zbyt długo wytrzymać tak intensywnego lęku. Strach dał się więc opanować; można było z nim żyć. Hałas i chaos nalotów okazały się wszechobecne: wycie syren, trzask spadających na drogę bomb zapalających, łoskot walących się ścian i kominów; pożary, które zdawały się ogarniać cały Londyn; dym, zasłaniający niebo. Niegdyś chciała dramatu, pragnęła szaleństwa... Dostała jedno i drugie, po tysiącokroć...

Popadła w rutynę; przyjeżdżała do domu o szóstej nad ranem, spała do pierwszej, a potem spędzała czas z panią Childerley aż do szóstej po południu, gdy nadchodziła pora wyjścia do dyspozytorni sanitarek. Jeżdżąc ambulansem, Faith zarabiała trzy funty tygodniowo, a praca u pani Childerly przynosiła jej dwa funty i dziesięć szylingów, więc pod koniec tygodnia czuła się bogata. Choć bomb wprawiały ją w przerażenie, nie sądziła, by w schronie czuła się bardziej bezpieczna. Kiedy po pierwszych dwóch tygodniach miała wreszcie wolny dzień, pojechała do Heronsmead, gdzie zaniepokoiły ją ciągłe utyskiwania Ralpa oraz bladość Poppy. Faith zaproponowała, by ojciec odwiedził ją w Londynie, i odniosła wrażenie, że matka spojrzęła na nią z ulgą.

W Londynie telefon w dyspozytorni sanitarek dzwonił nieprzerwanie. Płomienie buchały z pięter, okrywając je brunatną warstwą. Obie, Faith i Bunty, zostały skierowane do nowego okręgu. Faith jeździła nieznanymi ulicami, Bunty zaś patrzyła na plan dzielnicy i dawała wskazówki. Docierając do miejsc, gdzie splątane szyny i zburzone mury wystawały z rumowiska niczym wyszczerbione zęby, musiały zwalniać. Płomienie wzbi-



jały się ku górze, tam zaś pył zmieniał się w rudobrunatne chmury. Wszędzie wokół rozrzucone były różne przedmioty, co upodabniało ów widok do surrealistycznego obrazu. Uliczną latarnię owijał zakiet jakiejś kobiety; na pokrywie pojemnika na śmieci utkwilo czyjeś krzesło, a kwiat w doniczce wbił się w koszyk porzuconego roweru. Z jakiejś kamienicy odpadł cały front, odsłaniając wytarte tapety i rozbite meble. Zagładanie w dramat wnętrz domów obcych ludzi wydawało się natrętnym wścibstwem, więc Faith odwracała oczy.

Zaparkowawszy w pewnej odległości od zbombardowanego rejonu, wdrapywały się na stertę gruzu, by dotrzeć do rannych. Nosze były ciężkie, drobne kawałki gruzu raniły dłonie Faith, a pył ją dławił. Musiała przecierać oczy, by dostrzec ludzi pracujących w ruinach. Lekarze i pielęgniarce pochylali się już nad rannymi. Ratownicy odrzucali kamienie i beton, szukając żywych, strażacy starali się ugasić płomienie.

- Dziewczeta, tutaj! - zawołała jedna z pielęgniarek, przywołując Faith i Bunty.

Jakiś robotnik z brygady ratowniczej podważał kawał muru.

- Już prawie ją wyciągnęli, ale jest z nią kiepsko - wyjaśniła pielęgniarka. - Najpierw zabierzcie tę kobietę, a potem wróćcie po innych.

Ranna leżąca pod cegłami wyglądała jak bezkształtny kłęb łachmanów. Zarówno ona, jak i pochylający się nad nią doktor byli niemal brunatni od ceglanego pyłu.

- Nie, nie - powiedział nagle ów lekarz, wstając. - Straciliśmy ją.

Faith natychmiast rozpoznała jego głos, wiedziała jednak, że jest za późno, aby odsunąć się na bok czy próbować się ukryć. Patrzyła, jak Guy ściiera z oczu pył, a potem, powoli, spogląda na nią.

- Proszę, proszę, zdaje się, że to Faith Mulgrave! - powiedział. - A więc udało ci się znaleźć trochę czasu w twoim bujnym życiu towarzyskim, by popracować chwilę na rzecz ofiar wojny.

Zanim zdołała zastanawić się nad odpowiedzią, odszedł i znów rozplynał się w dymie i pyle.

Ojciec zapukał do drzwi domu przy Mahonia Road na początku listopada. Poppy pozostała w Norfolk; z obawy przed bombami, jak z niesmakiem wyjaśnił ojciec. Rufus, który

przyjechał właśnie na kilkudniowy urlop, wieczorami, gdy Faith pracowała, pokazywał Ralphowi Londyn. Pewnego razu, gdy i ona miała wolne, zaproszono ich na kolację.

- Idziemy do Lindy Forrester - wyjaśniał Foxwell, zawiązując krawat. - Przypuszczam, że jako porzucony kochanek, powinienem być taktowny i odrzucić to zaproszenie, ale Linda ma pełno puszek łososia w spiżarni.

Faith zapamiętała Lindę Forrester jako elegancką, lodowatą blondynkę z przyjęcia u Brunona Gage'a.

- Zdaje się, że jest mężatką, nieprawdaż, Rufusie? Przejechał grzebieniem po włosach, które wciąż sterczały niesfornie.

- Harold jest od niej dwadzieścia lat starszy. Linda poślubiła go, oczywiście, dla pieniędzy. Dzień po wyjeździe Harolda do Afryki wydała przyjęcie, by to uczcić. Podejrzewam, że urządzi następne, gdy usłyszysz, że zginął za króla i ojczyznę. Niemal... podkreślam: niemal... niemal mi żal tego nieszczęsnego dumia. Tylko on jest tak pompatycznym osłem, że zgoła nie potrafię opanować tego uczucia.

W luksusowym apartamencie Lindy Forrester przy Queen Square jedli łososia z groszkiem, popijając go chablis, a potem galaretkę migdałową z brzoskwiniami. Linda nosiła powiewną suknię z białego krepdeszynu, na szyi miała drobne połyskliwe perły. Ralph siedział po jednej jej stronie, Bruno Gage po drugiej.

- Jakich trzeba zdolności, Ralphie, by napisać książkę! - mówiła Linda, podsuwając mu paterę pełną brzoskwiń. - Mnie już męczy napisanie listu.

- Powiedz mi, Ralphie, czy „Nimfa” to powieść zrodzona z twoich własnych doświadczeń? - zapytał Bruno, dolewając mu wina. - Czy ta dziewczyna... zapomniałem jej imienia...

- Maria - odpowiedział mu autor.

- Czy ta dziewczyna była kiedyś twoją kochanką?

- Chcemy to usłyszeć!

- Rzeczywiście spotkałem ją w Brazylii - odrzekł Ralph.

- „Meksykańska róża...” - zanucił któryś z gości.

- „Brazylijska”, głupcze...

- „Róże Pikardii” są ci bliższe, nieprawdaż, Ralph? Ojciec wydawał się powracać do życia, pomyślała Faith.

Przygnębiony, zgarbiony papa z minionych kilku miesięcy znik-

nał dzięki dobremu winu i towarzystwu. Postarzał się jednak; całkowite zburzenie trybu życia, do jakiego był przyzwyczajony, dodało Ralphowi niemało lat. Miał ich teraz pięćdziesiąt pięć i chociaż zawsze wydawał się zarówno silny, jak i wiecznie młody, a przy tym bez trudu radził sobie ze zmiennymi kolejami losu, Faith zauważyła, jak bardzo zmienił się przez ostatnie półrocze. Jasne włosy Ralph'a były teraz całkiem białe, zrobiły mu się worki pod oczami i pierwszy raz dostrzegła jego słabość.

Przez salon Lindy przetaczała się kaskada śmiechu. Ojciec raczył towarzystwo wspomnieniami ze swej młodości.

- Ralph jako żigolak! Jestem zaszokowany!

- Wszyscy wyobrażają sobie pana z monoklem i papierosem w długiej cygarnicze, niczym prawdziwego fordansera.

Ojciec rozparł się wygodnie na krześle.

- Czy opowiadałem wam o tym, jak mój przyjaciel Bunny i ja przebraliśmy się za arystokratów i fuksem dostaliśmy się do paryskiego hotelu „Crillon”?

- Och, niechże pan opowie, prosimy!

- Zamieniamy się w słuch.

- Cóż za niesamowita śmiałość! Faith nie mogła już tego znieść.

- Powinniśmy już wyjść, papo - powiedziała, dotykając jego ramienia. - Jest późno.

- Nie piła pani jeszcze kawy, panno Mulgrave.

- Masz i kawę, Lindo? - dopytywał się Bruno. - Sprzedałaś ciało czy duszę?

Ralph spojrział na córkę mętnym wzrokiem.

- Nie bądź nudna, Faith. Tak dobrze się nie bawiłem od chwili przybycia na tę przekłętą wyspę.

Ależ oni cię wykorzystują i śmieją się z ciebie, pomyślała i wyszła z pokoju. Nie opuściła jednak domu Lindy, lecz czekała w korytarzu. Sufity były tu wysokie i ozdobione gzymsami, ściany zaś w eleganckim kremowym kolorze, do połowy wysokości wyłożone ciemnym drewnem. Okna zasłonięto czarnymi roletami, więc nie mogła przez nie wyjrzeć. Zapaliła papierosa i rozkoszowała się strzepywaniem popiołu na dywan. Po chwili usłyszała czyjeś kroki, a gdy się odwróciła, zobaczyła Lindę Forrester.

- Pomyślałam, że chętnie napije się pani kawy, panno Mulgrave - powiedziała pani domu, wręczając Faith filiżankę na

spodeczku. - Proszę nie mieć im tego za złe. Obawiam się, że trochę wypili, a pani ojciec jest taki czarujący. Taki oryginalny i bardzo zabawny. Obiecał przyjść na moje urodzinowe przyjęcie, które wydaję w przyszłym miesiącu. Pani także musi przyjść, panno Mulgrave.

- Większość nocy spędzam w pracy, jeżdżę sanitarką.

- Jakież to nadzwyczajne! A pani brat... Jake... Jak się miewa Jake?

- Doskonale - odrzekła Faith. - Czekam właśnie na przydział.

- Może jemu również wyśle zaproszenie.

Twarz Lindy przypomina maskę, pomyślała Faith. Błądą, nieskazitelnie doskonałą maskę.

- Jak pani sobie życzy.

- Musi pani wrócić do salonu, panno Mulgrave - uśmiechnęła się Linda. - Siadamy do bezika.

Gdy pani domu otworzyła drzwi, Faith usłyszała głos Ralpha.

- To taka niedorzeczna wojna - mówił. - Przez rok mieszkałem w Berlinie, przed tą pierwszą. Przemili ludzie, ci Niemcy. Nie ma przecież potrzeby, by tylko dlatego, że jacyś szaleńcy stracili rozum, wszystkich mierzyć tą samą miarą.

- Papo... - Faith dotknęła ramienia ojca.

- Felix, na przykład - podniósł na nią wzrok - Felix jest jednym z najmiłszych przyjaciół, czyż nie?

- Oczywiście, papo.

- Jeśli zaś chodzi o Włochów... Mieliśmy willę na Wybrzeżu Liguryjskim. Zachwycające miejsce, pamiętasz, Faith? Wszyscy byli tam tacy serdeczni i gościnni. Pamiętasz signorę Cavalli? Cudowna kobieta...

- Tato, teraz ty rozdajesz karty. Wszyscy czekają - powiedziała łagodnie i z rezygnacją godząc się na ów irytujący, nudny wieczór, usiadła obok ojca.

Wiedziała, że towarzystwo w salonie Lindy jest zaledwie słabą namiastką tego, jakie miał poprzednio. I że pragnął przyjaciół; jakichkolwiek przyjaciół, nawet ceniących go raczej za rozrywkę, której mógł im dostarczyć, niż za jego szczodre serce i prostolinijność.

Wyszli z mieszkania Lindy o piątej nad ranem. Rufus wrócił do domu godzinę wcześniej, ale Faith pozostała z ojcem. Ktoś podwiózł ich do połowy drogi, a resztę pokonali pieszo. Ralph w ciemności potknął się o krawężnik i klął donośnie.

W końcu zaczęło świtać. Od czasu do czasu zatrzymywał się i patrzył na zniszczenia dokonane przez bomby.

- Niesamowite... - mamrotał.

Potężne żelazne dźwigary skręcały się między zburzonymi murami niczym wierzbowe witki, a po wodzie w zbiornikach przeciwpożarowych, w które zamieniono piwnice zburzonych domów, pływały kaczki. Strzępy tapet przylegające jeszcze do zrujnowanych ścian jaśniały obmytymi deszczem wzorami. Na gruzach zdążyła wyrosnąć gęstwina wierzbówki, i teraz, w październiku, purpurowe kwiaty zmieniły się w pokryte meszkiem torebki nasienne, których maleńkie spadochrony unosiły się niczym kłęby dymu.

- Faith, nie powiedziałaś mi, czy widziałaś się z Guyem -zapytał nieoczekiwanie Ralph.

- Raz czy dwa - odrzekła wymijająco.

- Kochany, stary Guy... - Ojciec był w sentymentalnym nastroju. - Kupię mu jakiś alkohol. Mieszka w Hackney, nieprawdaż? Nie zabierze nam to wiele czasu. Pokażesz mi drogę.

Z przerażeniem uświadomiła sobie, że Ralph zamierza udać się tam natychmiast, włączając się pijackim krokiem po całym Londynie, aż dotrze do Malt Street. Spojrzała na ojca. Nosił swą starą obszerną pelerynę, czerwony szal i czarny kapelusz, ale dopiero teraz zauważyła, że peleryna jest poplamiona i przetarta, szal wystrzępiony, a z ronda kapelusza, niczym długa koronka, zwieszała się pajęczyna. Umysł Faith, na moment sparaliżowany, wypełniała teraz jedynie przerażająca wizja Ralpha w wyświechtanej pelerynie, pukającego do drzwi Guya i oglądanego w tym stanie w nieskazitelnym domu państwa Neville'ów.

- Nie możemy odwiedzać go o tej porze, papo - tłumaczyła zatrwożona. - Z pewnością śpi.

- Zrobimy mu niespodziankę - odparł wesoło.

Przypomniała sobie ostatnie spotkanie z Guyem w miejscu, gdzie spadła bomba; pamiętała pogardę i surowy wyrzut w jego oczach. „A więc udało ci się znaleźć trochę czasu w twoim bujnym życiu towarzyskim, by popracować chwilę na rzecz ofiar wojny”.

- Tato, nie możemy...

- Nie bądź taka nudna, Faith! - wrzasnął Ralph. - Zawsze byłaś najnudniejsza ze wszystkich moich dzieci. Guy będzie zachwycony naszą wizytą. Na pewno będzie zachwycony!

Faith odetchnęła głęboko. Zrozumiała, że musi powiedzieć mu prawdę.

- Guy i ja poróżniliśmy się, i naprawdę nie sędzę, by chciał mnie widzieć.

- On nie należy do ludzi, którzy noszą w sercu urazę. Ty także nie powinnaś tego robić, Faith. Chodźmy!

Zdesperowana, użyła wykrętu.

- Zaprosimy go na obiad, papo, w niedzielę. To chyba lepszy pomysł, prawda?

Odetchnęła z ulgą, gdy skinął głową.

Kiedy dwa dni później Faith wróciła od pani Childerley, zastała w domu wiadomość od Guya: „Eleanor i ja z przyjemnością przyjmujemy Państwa uprzejme zaproszenie, niecierpliwie oczekując niedzielnego spotkania”. Chłodny, oficjalny ton tego listu sprawił, że zacisnęła zęby.

Postanowiła, że wszystko będzie doskonałe. Mając w pamięci elegancję i dystynkcję Eleanor Neville, zdecydowała się gorliwie naśladować ową wytworność. Nękały ją koszmary: że Ralph poczuje irracjonalną niechęć do żony Guya i będzie dla niej nieuprzejmy lub też jacyś podejrzani przyjaciele Rufusa właśnie to niedzielne popołudnie wybiorą na złożenie mu wizyty.

Wróciwszy po sobotnim nocnym dyżurze do domu przy Mahonia Road, Faith nie poszła spać, lecz wzięła się do szorowania podłóg, obierania warzyw i polerowania sztućców. Przetrzepała też poduszki, czyniąc to tak, iż niemal przypominały te w salonie Neville'ow (z drobną wszakże różnicą, że nie pasowały do wnętrza), i znalazłszy jakąś starą narzutę na łóżko, przykryła nią stojący w jadalni porysowany stół. Pół godziny splukiwała z włosów ceglany pył, a potem skręciła je w ciasny węzeł z tyłu głowy, by przez następne pół godziny przymierzać całą kolekcję sukien, decydując się w końcu na tę z czarnej krepy, którą niegdyś jedna z „lokatorek”, będąc akurat w żałobie, zostawiła w La Rouilly. Ralph pojawił się z niewyraźną miną w szlafroku około wpół do dwunastej, spojrzął na córkę i mruknąwszy, że wygląda jak misjonarka, nalał sobie drinka. Kiedy wrócił na górę, by się przebrać, ukryła butelkę whisky w biblioteczce, na stole zaś postawiła wazon z kwiatami. Udało jej się znaleźć tylko kłosa i jeżyny, lecz uważała, że wyglądają ładnie. Potem wy-

niosła na dwór kota, który właśnie chleptał mleko przeznaczone na migdałową galaretkę, i obeszała cały dom, na próżno szukając czterech identycznych talerzy i salatek deserowych. Nim wybiła pierwsza, na którą to godzinę zaproszono Eleanor i Gyua, Faith była nieprzytomna ze zmęczenia.

Najgorsze z jej obaw okazały się bezpodstawne; Ralph uściskał Guya i uprzejmie powitał jego żonę. Faith poczęstowała wszystkich kieliszkiem sherry i wróciła do kuchni, by zająć się obiadem. Przygotowała naleśniki z pikantnym nadzieniem; danie, które łatwo można było dostosowywać do braków w sklepach.

Obiad minął bez przykrych niespodzianek. Papa i Guy wspominali La Rouilly, Eleanor opowiadała Faith o swojej pracy w Kobiecej Służbie Pomocniczej. Od czasu do czasu ojciec dokonywał prób, by Faith i Guy rozmawiali na ten sam temat, ale ignorowała owe starania. Po obiecie wprost marzyła, by goście wyszli, pragnęła bowiem jedynie rzucić się na sofę i zasnąć. Kiedy jednak Eleanor zaproponowała jej pomoc w zmywaniu, Ralph wziął sprawy w swoje ręce.

- Nie ma takiej potrzeby - oświadczył. - Faith i Guy zrobią to razem. Przypominam sobie, że Guy zawsze dobrze zmywał naczynia. My zaś, pani Neville, pójdziemy na spacer.

Faith zrozumiała z pewną irytacją, że ojciec niezgrabnie stara się załagodzić sprawy między nią a Guyem, ale gdy tamci oboje wyszli, zapanowało długie, nieprzyjemne milczenie.

- Nie musisz mi pomagać, Guy - powiedziała w końcu sztywno. - Nie ma zbyt wiele do zmywania.

A jednak poszedł za nią do kuchni, gdzie zobaczyła wyraz jego twarzy, gdy pojął rozmiar katastrofy: sterta garnków niebezpiecznie spiętrzyła się w zlewie, obierki od warzyw leżały w cedzaku i misce, a kawałki ciasta przyłgnęły do sufitu, kiedy Faith nazbyt energicznie podrzuciła jakiś naleśnik. Gdy zaczęła wyjmować brudne naczynia, by móc podstawić miskę pod kran, trochę wody rozlanej na podłodze zmieszało się z łupinami cebuli i plamami z ciasta.

- Eleanor zmywa wszystko od razu - zauważył chłodno Guy. Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Nie wiedziałam, że potrafisz być taki... mentorski.

- Mentorski?

- Tak. I surowy. Odkąd zahaczyłeś mnie i Rufusa...

- Rufusa... więc on ma na imię Rufus? - Chwycił szczotkę i odwróciwszy się plecami, zaczął z niezwykłą energią zamiatać podłogę.

- Powiedziała: zostaw to! Sama wszystko zrobię! - syknęła, odbierając mu szczotkę i szufelkę, aż sterta obierzyn i śmieci rozsypała się po całej kuchni.

- Jak sobie życzysz.

Ze złością i niedokładnie zmiotła wszystko na szufelkę.

- Rufus jest moim przyjacielem - próbowała wyjaśnić.

- Tak... No cóż, to się rzucało w oczy. - W odpowiedzi Guya słyhać było szyderstwo.

Przestała nad sobą panować i usłyszała własny podniesiony głos.

- A co, u licha, ma to wspólnego z tobą? Wzruszył ramionami.

- Oczywiście, że nic. Nawet jeśli zechcesz chodzić do łóżka z połową londyńczyków, nie mam żadnego prawa, by to komentować.

Ze zdumienia zabrakło jej tchu, więc tylko podniosła ku niemu wzrok, przez chwilę nie mogąc wymówić ani słowa. Szufelka wypadła jej z ręki; Faith podniosła się z drżeniem i oparta o krawędź zlewu, patrzyła w okno niewidzącym wzrokiem.

Zapadła długa cisza. W końcu usłyszała jego głos.

- Przepraszam. Przepraszam, Faith. Nie powinienem był tego mówić.

Powoli obróciła ku niemu twarz.

- Spałam z Rufusem tylko raz - wyszeptała. - I to był błąd. Wielki błąd. - Głos jej drżał. - Ty nigdy nie popełniasz błędów, Guy?

- Naturalnie, że popełniam. - Sięgnął do kieszeni po papierosy i wysunął ku niej pudełko, ale potrzęsła głową.

Usłyszała trzask zapałki, gdy zapalał papierosa. Powoli wkładała do zlewu brudne talerze. Czowała się wyczerpana i utrudzona, ogarnęła ją fala nieznośnego zmęczenia. Łzy mąciły jej wzrok, bolała ją głowa, ale nadal starała się uporać jakoś z nieporządkiem.

- Nie chciałem cię zranić... - odezwał się Guy. Zatrzymała się, przygryzając wargi, z rękami zanurzonymi w brudnej wodzie.

- Twój przyjaciel... Rufus... - mówił dalej - był w mundurze marynarki handlowej.



- Jest teraz na morzu - odrzekła odwrócona plecami, wycierając namydlone ręce w spódnicę.

- Z pewnością tęsknisz za nim - ciągnął - i zapewne bardzo się o niego niepokoisz.

Wiedziała, że Guy podejmuje trud pojednania.

- Tak, tęsknię za nim i rzeczywiście bardzo się niepokoję. - Jej wzrok spotkał się z jego spojrzeniem, gdy po chwili dodała zdecydowanym tonem: - Tak jak każdy niepokoiłby się o przyjaciela.

Napełniwszy czajnik wodą, postawiła go na kuchni. Guy, odwrócony plecami do Faith, wyglądał przez okno.

- Nie czujesz się tutaj samotna? - zapytał nagle. - Ani przerażona?

Potrząsnęła głową.

- Nie, naprawdę nie. Jestem zbyt zmęczona, żeby się bać - odrzekła szczerze, otwierając kolejne drzwiczki kuchennego kredensu.

- Czego szukasz?

- Imbryka na herbatę.

- Przed chwilą zaniósłś go do spiżarni.

Poszła do spiżarni i rzeczywiście imbryk tam był, wśród puszek mąki i sosu do pieczenia. Nie pamiętała, kiedy tam go postawiła. Podeszła do kuchenki, ale niezdarnie otworzyła puszkę z herbatą i czarne drobinki rozsypały się na posadźce. W głosie Guya usłyszała znużenie, które odpowiadało jej własnemu wyczerpaniu.

- Och, Faith, na miłość boską, usiądź i pozwól, że ja to zrobię.

- Poradzę sobie, dziękuję.

Właśnie tego nie była pewna: czy sobie poradzi. Jej mózg wydawał się umierać ze zmęczenia.

Guy przysunął krzesło i posadził na nim Faith, a potem zaparzył herbatę i zaczął wkładać naczynia do brudnej wody.

- Ściereczka wisi na wieszaku koło drzwi - odezwała się cicho, ale jej słowa brzmiały niewyraźnie.

Przyglądała się Guyowi, zamierzając wstać i pomóc mu w zmywaniu, lecz nie była w stanie się ruszyć, a po chwili pochyliła głowę na złożone ręce i zasnęła.

- Naleśniki jako główne danie! Coś niesamowitego!!! - powiedziała Eleanor do Guya, gdy skręcili za róg ulicy.

- We Francji to całkiem normalne.

- Naprawdę? - W głosie jego żony brzmiało niedowierzenie. - I ten wazon badyli na stole... A *coiffure* panny Mulgrave... Znacznie lepiej byłoby jej z włosami krótko ostrzyżonymi na pazia lub starannie ułożonym kokiem. Muszę dać jej adres mojej fryzjerki.

- Nie sądzisz, że byłoby to dość... niegrzeczne? - zauważył Guy, zatrwożony wizją Faith ze starannie ułożonym kokiem.

- Och, Guy, wiesz przecież, że postąpię taktownie i doprawdy będzie to uprzejmość wobec tej biednej dziewczyny. Sądzę, że będziemy musieli zrewanżować się zaproszeniem, więc wspomnę jej wtedy o Angeli.

Przez chwilę szli w milczeniu. Często musieli zbaczać z drogi, obchodząc miejsca, gdzie bomby poczyniły szkody, co sprawiło, że ich powrót do domu trwał dłużej, niż mogli się spodziewać. Kiedy dotarli na Malt Street, Eleanor spojrzała na dach domu, gdzie brakowało dachówek, oraz na wybite okna, których szyby zastąpiono kawałkami desek.

- Jeśli stan tego domu pogorszy się choć trochę - oświadczyła z dezaprobatą i zniecierpliwieniem - wyprowadzimy się i zamieszkamy u mojego ojca.

Guy otworzył drzwi. Jak zwykle niemal oczekiwał, iż usłyszy głosik Olivera, i jak zwykle świadomość, że przez kilka tygodni, a może nawet miesięcy, ani nie usłyszy, ani nie zobaczy synka, okazała się przykra i bolesna.

- Cóż za nieporządek! - powiedziała Eleanor na widok warstwy ceglanego pyłu, który przedostał się z pęknięcia w ścianie na chodnik pokrywający schody.

- Gdybyś, jak sugerowałem, wyjechała z Oliverem do Derbyshire, nie musiałabyś tego znosić - odparł.

- Och, Guy, nie wracajmy do tego. - Głos żony był cierpliwy i kłamliwie pogodny, jakby ustępowała kapryśnemu dziecku. Powiesiwszy płaszcz i kapelusz, dodała: - Wszystko układa się doskonale, tak jak przewidywałam. Nie dalej jak dzisiejszego ranka dostałam list od babci... Zaraz ci pokażę... Píše, że Oliver ma się świetnie i jest szczęśliwy. Wyrósł mu nowy ząb.

Zastanawiał się, jaki będzie Oliver, gdy go znów zobaczy. Dzieci zmieniają się tak szybko. Tęsknota za synkiem doskwierała Guyowi niczym fizyczna rana. Znalazłszy się w gabinecie, odwrócony plecami do żony, zamknął oczy i dopiero po chwili usłyszał, co do niego mówiła.

- ...dom przy Holland Square jest znacznie solidniej zbudowany. I oczywiście znajduje się znacznie dalej od East Endu.

Uświadomił sobie, że Eleanor wciąż próbuje go przekonać, aby uciekli do domu jej ojca.

- W żaden sposób nie możemy opuścić teraz Malt Street -powiedział stanowczo. - Pomyśl o moich pacjentach.

- Twój gabinet mógłby pozostać tutaj. Wszak jeździ tędy autobus, a poza tym masz przecież rower. Mógłbyś więc bez trudu przyjeżdżać na Malt Street.

Powstrzymał się od przypomnienia, że teraz jazda autobusem jest czasochłonna i ryzykowna.

- To się nie uda, Eleanor - odrzekł, zamiast wskazywać jej owe trudności. - A co z nagłymi wezwaniami? Muszę być tutaj, na wypadek gdybym był potrzebny natychmiast.

- Istnieją telefony, Guy - odparła, wyjmując zwiędłe kwiaty z wazonu na gzymsie kominka.

- A iluż moich pacjentów ma telefon? - zachnął się w odpowiedzi.

- Chciałam powiedzieć, że są przecież publiczne budki telefoniczne.

- Niektórym z moich pacjentów trudno korzystać z telefonu. Wiele z tych leciwych kobiet nie posługiwało się nim nigdy w życiu.

- Zatem najwyższy czas, by się tego nauczyły! - zawołała wesoło, nadal wyjmując zwiędłe róże i odkładając je starannie na kawałek starej gazety.

- Nie bądź śmieszna! - odparł ostro Guy. - Nie ma mowy, abyśmy przeprowadzili się na Holland Square. Zrozum w końcu, że nawet nie będę się nad tym zastanawiać.

Nie przestawała zajmować się kwiatami. Guy patrzył na nią przez chwilę, a potem podszedł bliżej.

- Eleanor, nie gniewaj się, proszę - powiedział, kładąc jej rękę na ramieniu. - Naprawdę rozumiem, że to wszystko musi być dla ciebie trudne. I wiem, że niepokoisz się o ojca - dodał, pochylając się i całując ją w kark.

Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz się kochali. Jego nocne dyżury i zajęcia żony w Kobiecej Służbie Pomocniczej sprawiały, że rzadko dzielili łóżko przez całą noc.

- Guy... - zaprotestowała, ale nie przestał jej całować. Skóra Eleanor była jędrna i gładka, a włosy miękkie i sprężyste.

Wyciągnął rękę i opuścił zasłonę w oknie. - Sąsiedzi... - szepnęła - i jeśli będzie nalot...

- Jeśli będzie nalot, to my będziemy bezpieczniejsi tutaj niż na górze - mówiąc to, rozpiął jej bluzkę.

- Nie, Guy. - Zona odsunęła się od niego i zaczęła poprawiać sobie włosy. - Muszę zrobić plan jazd furgonetek z herbatą.

Po tych słowach wyszła z pokoju. Guy podciągnął w górę zasłonę i wyjrzał przez okno, przecięte krzyżującymi się białymi paskami papieru, które miały ochronić szyby. W głowie rozbrzmiewał mu echem cichy głos. „Ty nigdy nie popełniasz błędów, Guy?” Szybko odsunął od siebie te słowa, usiadł w fotelu, zamknął oczy i zasnął.

Nicole miała jedynie bardzo mgliste wyobrażenie o tym, co robi David Kemp; wyjaśnił, że nie może opowiadać zbyt wiele

o swojej pracy, ona zaś, mówiąc szczerze, wcale nie była ową sprawą zainteresowana. Wiedziała, że David dużo podróżuje,

i podejrzewała, że zna bardzo wielu ważnych ludzi. Wiedziała też, że jest niezawodny, uprzejmy, delikatny, szlachetny i życzliwy. W każdej sytuacji stawiał czoło wszystkim i wszystkiemu - od opieszalego kelnera do spadających bomb - a czynił to z niewzruszonym spokojem i niezmaconą pewnością siebie. Nigdy wcześniej nie spotkała nikogo takiego jak ten mężczyzna. Po jakimś czasie Nicole uświadomiła sobie, że każda pora jego dnia została dokładnie zaplanowana, że utrzymywał kontakty z krewnymi i przyjaciółmi z narzuconą samemu sobie regularnością i że życiem Davida rządzi porządek przyjęty przezeń jako rzecz całkowicie oczywista.

Podróżując, pisała do niego - czasami kilka razy w tygodniu - długie, niedbale nabazgrane i pełne błędów listy. Dwa razy w miesiącu śpiewała w Londynie z orkiestrą Geoffa Dex-tera, której koncerty transmitowane były przez radio. Zaczęła także jeździć po kraju, biorąc udział w koncertach dla wojska. Bardzo to lubiła: mroczne, zatłoczone pociągi mknące przez anonimową Anglię, a potem wędrówki przez pola, w wieczorowej sukni i kaloszach, do jakiejś odległej bazy lotniczej. Najbardziej zaś lubiła moment, gdy oklaski - od powściągliwych braw, gdy pojawiała się na scenie - zmieniały swój charakter, przechodząc w głośny aplauz, kiedy wykonywała ostatnią piosenkę.

Odkryła też, co należy robić, by publiczność ją kochała. Nauczyła się tak dobierać repertuar, by odpowiadał nastrojowi słuchaczy. Rozpoczęła swój występ czymś ożywiającym, potem nieco zwalniała tempo i stawiała się uwodzicielska, zbliżając się zaś do finału, wywoływała łzy w oczach widzów jakimś pełnym tęsknoty, nieco płaczącym utworem, a oczywiście kończyła występ piosenką poruszającą i patriotyczną. Potrafiła być dziecinna, przypominając dorosłym mężczyznom o pozostawionych w domu córkach, ale umiała też być kusicielką. Sprawiała, że każdy słuchacz i widz był przekonany, że Nicole Mulgrave śpiewa wyłącznie dla niego.

Chociaż uwielbiała występować, nie lubiła jednak pewnych aspektów owego trybu życia, do którego zmuszały ją ciągle podróże. Nie znosiła wprost małych, ponurych pensjonatów i nieprzychylnych gospodyń. Mimo że nie była zachłanna ani żadna zysków, zawsze ceniła ładne rzeczy, a bezbarwność i brzydota wyprowadzały ją z równowagi. Nienawidziła też konieczności dzielenia łazienki z nieznanymi ludźmi. Czyjś włos lub osad na wannie sprawiały, iż dostawała mdłości.

W listopadzie, gdy śpiewała dla żołnierzy stacjonujących w koszarach nieopodal Yorku, zakwaterowano ją w jednym z ponurych mieszkań przy bocznej ulicy. Jej mały pokój miał wysoki sufit i ściany pomalowane na ciemny, szarozielony kolor, co nadawało mu wygląd jaskini. Z powodu trudności z kwatarami resztę zespołu rozlokowano w całym mieście, co oznaczało, że wieczorami, po przedstawieniach, Nicole pozostawała sama. Nie była przyzwyczajona do samotności; wcześniej zawsze miała przy sobie Ralpa, Poppy, Jake'a i Faith, a wokół - „lokatorów”, zwanych też „domownikami”. Cisza i pustka pokoju wywoływały w niej lęk. Nie wiedziała, czym wypełnić czas. Z trudem znosiła spanie w cudzym łóżku: koce były poplamione, a prześcieradła niemal przezroczyste na środku, w miejscu, gdzie przewracały się setki innych, nieznanych ciał. Pierwszy raz Nicole uświadomiła sobie, że chociaż jej tryb życia, a raczej tryb życia rodziny Mulgrave'ów, był niekonwencjonalny, to jednak ich egzystencja nigdy nie była plugawa ani brudna. Dopilnowała tego matka.

W Yorku mieli spędzić trzy tygodnie, a ta perspektywa już pod koniec pierwszego napęliła dziewczynę trwogą. Co noc spała owinięta własnym płaszczem, aby uniknąć kontaktu

z owym okropnym łóżkiem. Nie mogła jeść tego, co podawała jej gospodyni. Talerze były wyszczerbione i porysowane, a czasami w porze kolacji ozdobione zakrzepłymi żółtymi kleksami, pozostałymi po serwowanych na śniadanie jajkach. Nicole wiedziała, że jest niewdzięczna i nadmiernie wybredna, że codziennie umierają ludzie i że powinna jeść, nie narzekając, ale nie mogła, bo gotowana kapusta z pełnym chrząstek mięsem stawała jej w gardle. Czowała się coraz bardziej zmęczona, a niekiedy wręcz słaba. Strasznie tęskniła za rodziną i przyjaciółmi.

Gdy dziesiątego dnia wróciła po koncercie do swojej „kwatery”, zastała tam depeszę. David Kemp zawiadamiał, że ma jakieś sprawy na północy Anglii i wpadnie do Yorku dziewiętnastego. Z radością i ulgą uświadomiła sobie, że dziewiętnasty to już jutro.

Gdy następnego wieczoru wróciła z koncertu, David czekał na nią przed domem. Podbiegła i uściskała go serdecznie. zaproponował, aby poszli gdzieś na kolację, ale Nicole poprosiła, by najpierw trochę się przespacerowali. Po drodze opowiadała zabawne historyjki o członkach zespołu koncertowego, a David słuchał, śmiał się, lecz po chwili zapytał:

- O co chodzi, Nicole? Czy stało się coś złego?

- Ależ skąd! - zaprzeczyła. - Nie ma nic złego.

Nie uwierzył i powoli wyciągnął z niej wszystko. Przyznała mu się do osamotnienia, niejadalnych posiłków, ponurego pokoju i okropnego łóżka.

- ...i ta wstrętna kołdra, Davidzie! W ohydne różowe róże, wielkie niczym główki kapusty! Wprost czekam, że w każdej chwili wysuną się z nich różowe robaki! - Dziewczyna zaśmiała się, próbując obrócić wszystko w żart.

Spojrzał na nią zatroskany.

- Wyglądasz na zmęczoną, Nicole. To niedobrze. Nie powinnaś tak żyć.

- Musiałam zrzucić tę ohydną kołdrę z łóżka, ale wtedy było mi tak zimno, że nie mogłam spać. Więc teraz śpię w płaszczu niczym jakiś tramp! - Znów się roześmiała, a potem poprosiła: - Opowiedz mi o swoim domu, Davidzie. Opowiedz mi o Compton Deverall.

Spacerowali wąskimi średniowiecznymi zaułkami, które biegły do starych murów obronnych. Pomimo zaciemnienia blask księżyca i gwiazd oświetlał ciemne uliczki. Po chwili usłyszała jego słowa.

- Dom stoi pośród lasu. Zbudowany został w czasach panowania Jakuba I, chociaż mój ojciec zawsze był przekonany, że niektóre wewnętrzne mury i kominy są znacznie starsze, prawdopodobnie średniowieczne, Ma wiele długich, wąskich okien o lśniących w słońcu szybach poprzedzielanych kamiennymi słupkami. Nasz przodek, który zbudował go przed wiekami, był wielbicielem zamku Hardwick Hall. Posiadłość Compton Deverall jest oczywiście znacznie mniejsza.

Nicole nigdy nie słyszała o Hardwick Hall, ale wykazywała należyty entuzjazm.

- Kiedy byłem małym chłopcem - mówił dalej David - próbowałem policzyć wszystkie okna, zawsze jednak traciłem rachubę po siedemdziesiątym. Jest tam również cela jakiegoś księdza, gdyż moja rodzina wyznawała wiarę katolicką aż do czasów Karola II, a także, oczywiście, straszy zamkowy duch.

- Duch?! Jakie to romantyczne! David roześmiał się głośno.

- Obawiam się, że ten stary dom jest teraz nieco mniej romantyczny. Mamy w nim połowę żeńskiego internatu, a zaciemnione okna to koszmar. Jednak moja matka radzi sobie ze wszystkim doskonale, chociaż kiedy tylko może, ucieka do ogrodu.

Nicole zawsze kochała stare domostwa, piękne ogrody, zagajniki i lasy. Pomyślała o pensjonacie z nieświeżymi obrusami poplamionymi sosem i zadrżała z obrzydzenia.

Doszli do murów. Zaczęła wspinać się na zrujnowane schody, ale David krzyknął, powstrzymując ją.

- To niebezpieczne, mogłabyś się poślizgnąć i spaść.

- Nie ja, Davidzie - odparła z przekonaniem. - Ja chodzę bardzo pewnie. Poszedłbyś za mną, prawda?

- Och, Nicole - odpowiedział - poszedłbym za tobą wszędzie. Chyba już o tym wiesz.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

- Davidzie, nie zdawałam sobie sprawy...

- ...że cię kocham? Kochałem cię od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem. Nigdy nie sądziłem, że powiem to komuś... taki banał, a ja nie jestem człowiekiem romantycznym... Ale okazuje się, że to prawda, że jestem...

Nicole pomyślała, że w jego głosie brzmi smutek. Zbiegła po schodach.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej?

- Ponieważ mam trzydzieści dwa lata, a ty siedemnaście! - westchnął. - Ponieważ jestem stary i brzydki, a ty jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem. Ponieważ stałem się już nudziarzem, a ty... ty jesteś żywym srebrem.

- Ciii...

Położyła Davidowi palec na ustach, a potem wzięła go za rękę i poprowadziła na schody, aż dotarli do krawędzi muru. Tam dotknęła ustami jego warg, a po chwili to on zaczął ją całować. Tylko raz otworzyła oczy, by zobaczyć złoty sierp księżyca leżący płasko na czarnej płachcie nieba i rozrzucone wokół gwiazdy. Pomyślała, że nie mogłaby wybrać bardziej romantycznego miejsca na swój pierwszy pocałunek.

Właśnie wtedy David zapytał, czy za niego wyjdzie. Nicole zrozumiała, jaka była ślepa, nie zdając sobie wcześniej sprawy, że to on jest Tym Jedynym. Los połączył oboje w pociągu, a później wojna zbliżyła ich do siebie. Rozważyła szybko, jakie byłoby jej życie, gdyby poślubiła Davida. Wyobraziła sobie, że mieszkałaby w miłym domu w pięknym lesie. Oczami duszy widziała Compton Deverall jako angielską wersję La Rouilly. Mogłaby tam jeździć konno i trzymać tyle psów, ile by chciała. Wyobraziła sobie huczne przyjęcia i długie, cudowne wieczory z przyjaciółmi, wypełnione rozmowami i śmiechem. Weszłaby do starej, powszechnie szanowanej angielskiej rodziny i dzięki temu już nigdy nie czułaby się samotna. Zrozumiała, że w Davi-dzie Kempie znalazła swój azyl.

Gdy przyjęła jego oświadczenia, długo trzymał ją w ramionach, głaszcząc jej jedwabiste, jasne włosy. Potem pocałowali się jeszcze raz.

- Chciałbym cię zabrać do Compton Deverall w najbliższy weekend. Pokochasz moją matkę, a ona pokocha ciebie, lecz dom może podsunąć ci inną decyzję.

Nicole była jednak pewna, że nie zmieni zdania. Oderwała się od Davida i zaczęła tańczyć na wąskiej dróżce, która biegła wzdłuż muru, śmiejąc się z jego napomnień, by była ostrożna.

Poznawszy Nicole, David Kemp poczuł się jak nowo narodzony. Samotność i pustka, które doskwierały mu po śmierci narzeczonej, zniknęły i zaczął znowu żyć. Nie sądził, by po odejściu Susan ponownie znalazł miłość i z rezygnacją pogodził się



z tym, że zostanie kawalerem, ale dzięki owej pamiętnej podróży przez angielską prowincję odkrył, że był w błędzie.

To, że Nicole również go pokochała, wydawało mu się cudem. Nie miał jej fotografii, ale obraz dziewczyny wyrył mu się w sercu. Jej długie srebrzyste włosy, błękitne oczy, pełne wdzięku, kruche ciało... Weszła w jego życie lekka jak puch, wprost w magiczny sposób, i odmieniła je na zawsze. Spontaniczność i żywiołowość Nicole oczarowały Davida. Niełatwo przychodziło mu się zakochać, ale kiedy już to nastąpiło, kochał głęboko. Był przekonany, że w Nicole znalazł wyjątkową i cenną istotę, więc postanowił możliwie najszybciej wyrwać ją z tego wyczerpującego życia, które prowadziła.

Pragnął zabrać ją do Compton Deverall. Urodził się w tym domu, a posiadłość należała do jego rodziny od stuleci. Ojciec Davida zginął w bitwie pod Möns w 1914 roku i od tego czasu matka z synem mieszkali w Compton Deverall samotnie, nie licząc gwałtownie malejącej liczby służących. David nie miał braci ani sióstr. Po ukończeniu nauki w Marlborough College i studiach w Oksfordzie pracował w Ministerstwie Skarbu. Latem, gdy po upadku Francji i ewakuacji Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego z Dunkierki premier Arthur Neville Chamberlain ustąpił miejsca Winstonowi Churchillowi, David został skierowany do kierowanego przez Hugh Daltona Ministerstwa Gospodarki. Stanowisko to wymagało wielu godzin pracy, częstego podróżowania i stosu papierów, ale też wykorzystywało jego mocne strony: dokładność i umiejętność odnajdywania prawdy w grzęzawisku faktów i zjawisk całkowicie niezwiązanych z tematem.

David zdołał zgromadzić tyle benzyny, by podczas wolnego weekendu móc pojechać do Wiltshire, więc pewnego chłodnego listopadowego ranka wraz z Nicole wyjechali z Londynu do Compton Deverall. Prowadząc samochód, często spoglądał na dziewczynę kątem oka, jakby chcąc się utwierdzić w swoim szczęściu.

Nie musiał patrzeć na mapę ani denerwować się brakiem znaków drogowych i tablic informacyjnych, które zdjęto w obawie przed spodziewaną inwazją. Dokładnie wiedział, jak zmieni się okolica, gdy już zostawili za sobą Londyn, a nastrój poprawił mu się znacznie, kiedy ujrzał rozległą ciemną szarość równiny Salisbury majaczącą na tle chłodnego błękitnego nieba i poczuł zapach owej niziny upstrzonej kredowymi kamie-

niami, które niczym kości przeciskały się przez trawę. Rodzina Davida od wieków wypasała tu stada owiec, on sam zaś jako chłopiec, przyjeżdżając na wakacje, biegał po kredowych wzgórzach i podziwiał rzadkie gatunki storczyków, kryjących się w sekretnych miejscach na obrzeżach pastwiska. Zawsze, ilekroć wracał do domu, uświadamiał sobie sens pokoju i spokoju. Przez wszystkie owe mroczne lata po śmierci Susan pocieszało go poczucie kontynuacji i trwającej stabilności, które wyniósł z rodzinnego domu. Teraz zaś z całego serca pragnął do wszystkiego, co kochał, dodać urodę i świetlistą jasność Nicole.

W południe zjechali z szosy w aleję wysokich buków, która wiodła do domu. Właśnie taki dzień, myślał David, należało wybrać na pierwsze spotkanie narzeczonej z Compton Deverall. Ostatnie spadające liście przypominały płatki metalicznie połyskującego brązu, a przez koronę gałęzi w lśniących dachówkach widać było ozdobne elżbietańskie kominy.

Usłyszał westchnienie Nicole.

- Davidzie, jakie to piękne!

- Prawda? - Uśmiechnął się i zahamował.

- Jak... Wydaje się, że Dobra Królowa Elżbieta stanie tu zaraz w krynolinie z krezą albo sir Walter Raleigh rzuci płaszcz na jedną z kałuż.

- Obawiam się, że jest tu dość dużo kałuż. To wszystko wygląda bardzo romantycznie, ale w istocie wcale tak nie jest. Dom wymaga ciężkiej pracy.

Nicole wyskoczyła z samochodu.

- A ja myślę, że tu jest romantycznie. I myślę, że będzie się tutaj żyło jak w romansie. Zamierzam być cudownie szczęśliwa - oznajmiła i przechyliwszy się przez drzwiczki auta, pocałowała go w czubek głowy. - Mam też zamiar uczynić cudownie szczęśliwym ciebie, Davidzie.

Wieczorem tego samego dnia, gdy już powiedział Nicole dobranoc, odnalazł w kuchni matkę.

- Masz ochotę na kakao? - zapytała Laura Kemp.

- Poproszę. - David usadowił się wygodnie na krześle. - I cóż? Podoba ci się, prawda?

- Jest zachwycająca - odrzekła z uśmiechem matka. - Sprawia, że ten dom wydaje się jaśniejszy - dodała, odmierzając kakao i cukier. - Tylko że... - zawahała się lekko.

-Co? . Laura odłożyła na bok łyżeczkę i obróciła się twarzą do mego.

- Nicole jest bardzo młoda, Davidzie - powiedziała i dodała śpiesznie: - Rzecz nie w tym, by było to niezbędne, jednak gdyby nie wojna, namawiałabym cię na dłuższe narzeczeństwo.

Nicole chciała, by ślub odbył się przed Bożym Narodzeniem.

- Obawiasz się, że zmieni zdanie? - zapytał, marszcząc brwi.

- Nie, wcale tak nie myślę. - Laura pokręciła przecząco głową. - Sprawia wrażenie, że bardzo cię lubi. Ale czy jest gotowa na... na to wszystko? - zapytała, gestem ręki wskazując ogromne pomieszczenie, olbrzymią starą kuchnię i łód tworzący się już na wewnętrznej stronie okien.

- Uwielbia ten dom, tak mi powiedziała.

- Davidzie - pani Kemp dotknęła synowskiego ramienia -bardzo się cieszę z twojego szczęścia. Musisz to zrozumieć.

- Wiem, mam - odrzekł z uśmiechem, po czym wsunawszy ręce do kieszeni, podszedł do kuchenki i zajrzał do garnka z mlekiem.

- Czy jej rodzice nie będą nalegać, by poczekała, aż skończy dwadzieścia jeden lat?

David się roześmiał.

- Wątpię. Wygląda na to, że Nicole może okręcić sobie ojca dookoła małego palca.

- Poznałeś go?

- Jeszcze nie. Zostałem jedynie przedstawiony jej starszej siostrze, która jest czarująca. Państwo Mulgrave'owie mieszkają w Norfolk. Wiem, że bardziej elegancko byłoby przed oświadczeniami najpierw porozmawiać z ojcem Nicole, ale po prostu nie mogłem już czekać.

- Czym zajmuje się pan Mulgrave?

- Z tego, co wiem, wszystkim po trochu. Nie jest to może najwyższa klasa, chociaż matka Nicole pochodzi z Vanburghów. Wiesz zresztą, że te sprawy są mi obojętne.

- Jediną zaletą poślubienia dziewczyny z własnej sfery -odpowiedziała stanowczo matka - jest to, że będzie znała zasady. Gdzie zamierzacie zamieszkać po ślubie, Davidzie?

- Chcę przywieźć Nicole tutaj. Pragnę zabrać ją z Londynu - odrzekł, marszcząc brwi. - Wiele czasu spędzam w podróżach, rozumiesz, mam, i czułbym się szczęśliwszy, gdybym wiedział, że jest tu z tobą bezpieczna.

- Oczywiście. Chciałabym tylko, żebyś i ty mógł zostać tu dłużej z nami, kochanie. Naprawdę bardzo się o ciebie boję. -Spojrzała na niego z lękiem. - Czy Londyn jest teraz bardzo ponury?

- Dość okropny... Jednak my, gryzipiórki, mamy doskonale schrony, więc nie martw się o mnie.

- Czy dojdzie do inwazji? - zapytała.

Matka nigdy nie mówiła o swoich niepokojach. David zrozumiał, że posunęła się najdalej jak mogła, by dać mu do zrozumienia, że się boi. Podszedł bliżej i objął ją ramieniem.

- Nie sędzę - odpowiedział. - Istniało pewne ryzyko we wrześniu, ale teraz jestem większym optymistą. Pozostaje tylko kwestia wytrzymania tego wszystkiego do końca. Upewnienia się, że mamy w spiżarni dość zapasów żywności i zachowania hartu ducha.

- Jak długo twoim zdaniem potrwa jeszcze ta wojna?

- Długo - odrzekł szczerze. -I obawiam się, że zanim sytuacja ulegnie poprawie, może być jeszcze gorzej. Ale tobie będzie tu dobrze. Tobie i Nicole - dodał, spoglądając na matkę. -I naszym gościom.

Poddasza Compton Deverall zapełniały teraz trzy klasy żeńskiej szkoły z internatem.

Laura Kemp uśmiechnęła się ze smutkiem.

- One mają takie apetyty, Davidzie, a czasami ten hałas... Roześmiał się niefrasobliwie.

- Zawsze kochałaś ten dom za jego spokój i ciszę, nieprawdaż, mamu? - powiedział i po chwili znowu spoważniał. - A zatem, czy mam twoje błogosławieństwo?

- Mleko kipi - zauważyła łagodnie Laura Kemp. - Tak, Davidzie, oczywiście masz moje błogosławieństwo.

## *Rozdział szósty*

Nicole wyszła za Davida Kempa w grudniu. Ślub odbył się w niewielkim dwunastowiecznym kościele oddalonym o milę od Compton Deverall. Panna młoda wyglądała czarująco w wiktoriańskiej koronkowej ślubnej sukni, która niegdyś należała do babki Davida. Oczywiście Ralph, Poppy, Faith i Jake uczestniczyli w ceremonii zaślubin. Gdy nowożeńcy i goście opuścili kościół, ze stalowoszarego nieba spadło kilka płatków śniegu i ktoś powiedział, że to dobra wróżba.

Faith spędziła Boże Narodzenie w Heronsmead i chociaż dużo spała, zauważyła, że Poppy jest bardzo zmęczona, a Ralph ciągle zrzędzi i za dużo pije. Po powrocie do Londynu otrzymała od państwa Neville'ow zaproszenie na kolację. Guy i jego żona mieszkali teraz w domu ojca Eleanor przy Holland Square w eleganckiej londyńskiej dzielnicy Bloomsbury. Kolacja, mimo racjonowania żywności, była wykwintna, a eleganckie wnętrza tchnęły spokojem. Faith z zadowoleniem stwierdziła, że jej stosunki z Guyem zdawały się wchodzić w fazę luźnej znajomości. Nie sądziła, by mogła znieść cokolwiek innego. Zmęczenie i przerażająca obcość londyńskich ulic uczyniłyby jej namiętność lub gniew z jego strony zgoła nieznośnymi doznaniem.

Nawet wtedy gdy miała wolną noc, ze snu wyrwały ją niekończące się wycie syren obwieszających naloty, eksplozje bomb i huk walących się murów. Wyczerpanie stało się czymś niemal namacalnym; czymś, co narosło i towarzyszyło jej dokądkolwiek się udawała. Gdy tylko Faith wygospodarowała sobie wolne pół godziny, zasypiała. Zasypiała na ławce w parku, gdy psy pani Childerley biegały po trawnikach; zasypiała przy telefonie w stacji pogotowia, ze stojącą obok filiżanką herbaty i kartami do gry w dłoni. W jednej chwili zasypiała w kolejce

do rzeźnika („niczym koń w kieracie" - napisała do brata, stacjonującego gdzieś na północy Anglii), a kiedy szła do kina, spała od kroniki filmowej do napisów końcowych. Nadal pracowała całkiem sprawnie, ale w pewnym odętwieniu. Ciągłe bolały ją mięśnie, a myślenie stało się trudną operacją intelektualną, przypominającą pływanie w krochmalu lub początki migreny.

W lutym dostała list od Nicole. „Spodziewam się dziecka. To jest po prostu okropne i przyprawia mnie o ciągłe mdłości". Przez pierwsze miesiące roku Niemcy dokonywali nalotów sporadycznie i Faith, jak reszta londyńczyków, z zadowoleniem witała złą pogodę, obawiając się czystego nieba i pełni księżyca zwanych tu „pełniami bombowców". Budynek przy Mahonia Road przypominał podupadającego na zdrowiu wdowca, coraz mniej zdolnego do stawiania oporu spustoszeniom długich, przerywanych nocy. Nie było już ani jednego całego okna; a Faith nie miała ani siły, ani ochoty, by zastępować tekturą rozbite, popękane lub brakujące szyby, więc zimny wiatr i deszcz ze śniegiem szalały po całym domu bez przeszkód. Dziwne szczeliny, pęknięcia i rysy niczym pędy winorośli pięły się wzdłuż starych murów. Schody, oderwane zarówno od ściany, jak i od balustrad, przechylały się na boki. W jednym z pokoi zawalił się sufit i deszcz padający przez dach uczynił z oberwanego fragmentu szarą maź. Faith miała wrażenie, że dom pasuje do Londynu roku 1941 swym surrealistycznym, fantastycznym wyglądem, odpowiadającym wymarłym, spustoszonemu przez bomby ulicom.

W końcu nawet monotonne jedzenie i nieregularne, przerywane dostawy wody stały się nieważne. Ważne było tylko budzenie się rano i świadomość, że najbliżsi są bezpieczni. Ważne były wizyty Rufusa i Ralpha, listy od Poppy, Nicole i Jake'a, paplanina dziewcząt w dyspozytorni i życzliwe skinienie ręki Guya, gdy od czasu do czasu pomachał jej w chaosie schronu.

Pewnej nocy, wracając ze szpitala do stacji pogotowia, kluczyły poplątaną drogą wyznaczaną żółtymi tablicami z napisem „Objazd"; kiedy już skręciły za róg, Bunty chwyciła Faith za ramię.

- Daj mi pół minuty. Jesteśmy blisko mojego domu. Sprawdzę tylko, czy u mamy wszystko w porządku.

- Nie zejdzie do schronu?

- Nie znosi go. Mówi, że jest zbyt zatłoczony, a w piwnicy mamy pełno wody, więc siedzi pod schodami. Spotkamy się za chwilę...

Bunty wyskoczyła z szoferki i Faith widziała, jak teraz biegnie ulicą; obserwowała jej niską, kręłą postać oświetloną czerwonym blaskiem łuny. Otworzyła drzwiczki, także wyskoczyła z sanitarki i sięgnęła do kieszeni po papierosa. Nalot był ciężki i powietrze nocy wydawało się gęste od ceglanego pyłu. Zapalała właśnie zapałkę, gdy spadła kolejna bomba. Najpierw poczuła potężny ruch powietrza, jakby coś wsysało ją przez wielką słomkę, potem zaś ujrzała gwałtowny błysk, prawdziwą eksplozję światła, po której nastąpił huk o tak potwornej, ogłuszającej sile, że Faith straciła wszelką zdolność myślenia. Kiedy otworzyła oczy, stwierdziła, że leży w kałuży, ciśnięta pod mur jakiegoś ogrodu. Powietrze było gęste od pyłu i walczyła, by wciągnąć je w płuca. Wciąż trzymała w jednej dłoni papierosa, zapałkę miała w drugiej. Usiadła ostrożnie. Mrugając oczami, zdołała dostrzec refleksy światła pod powieką. Wszystkie dźwięki - huk upadających murów, ryk bombowców, krzyki rannych - wydawały się dziwnie stłumione.

Wstała. Bunty... - pomyślała i odwróciła się, szukając ulicy, którą pobiegła przyjaciółka. Ale okolica zmieniła się teraz nie do poznania, a układ ulic i domów całkowicie różnił się teraz od tego, jaki Faith widziała zaledwie kilka chwil wcześniej. Wróciła do karetki. Każde z okien obramowane było kawałkami szkła. Starła się odtworzyć wspomnienie sceny tuż przed wybuchem. Przypomniała sobie, że siedziała w szoferce, spoglądając na Bunty biegnącą chodnikiem i zaczęła iść śladem przyjaciółki po zniszczonej ulicy. Wdrapywała się na sterty gruzu, okrążając ogromny lej pozostawiony przez bombę, i wołała partnerkę po imieniu, ale głos wydawał się daleki i stłumiony w gęstym, zakrzepłym powietrzu. Płomienie wzbijające się po jednej stronie ulicy oświetlały ruiny tak jasno, że latarka była niepotrzebna. Oszołomiona Faith nie potrafiła skojarzyć owego obrazu z miejscem, jakie widziała zaledwie kilka minut wcześniej.

Nagle spostrzegła kawałek materiału pod stertą cegieł i rozpoznała w nim kraciasty płaszcz, który Bunty miała na sobie tej nocy. Klęcząc na gruzowisku, rozrzucała rękami kamienie. Odpryski zaprawy murarskiej kaleczyły jej palce, ale nie czuła bó-

Iu. Nad nią, na tle pobladłej twarzy księżycy, sterczały ruiny domu o ścianach wyszczerbionych niczym rozdarty papier. Rozpaczliwie przekopywała gruzowisko, odrzucając na bok cegły, połamane dachówki, strzępy odzieży i dywanu. Faith wydawało się, że kopie od kilku godzin, gdy nagle ktoś dotknął jej ramienia.

- Zostaw ją, panienko. Tu nie jest bezpiecznie - powiedział jakiś nieznajomy mężczyzna.

Odsunęła go i nadal przekopywała rumowisko. Pantofle Bunty, pomyślała, dostrzegając skórzany, sięgający do kostek but przyjaciółki, która zawsze bardzo dbała o obuwie. Faith przetarła zakurzony, poharatany wierzch rękawem własnego płaszcza.

Nieznajomy jeszcze raz potrząsnął ją za ramię. Podnosząc wzrok, zobaczyła jego kask i kombinezon.

-Mówiłem, że teraz trzeba stąd odejść, panienko. To się może zawalić w każdej chwili.

- Muszę ją wyciągnąć - odrzekła, kopiąc zaciekle.

- Przyjaciółka?

Faith nie odpowiedziała. Mężczyzna pochylił się do przodu i ujął wystający spod gruzów nadgarstek Bunty.

- Nic już dla niej nie możesz zrobić, panienko - powiedział łagodnie - a twoja przyjaciółka z pewnością nie chciałaby, żebyś przez nią została ranna, prawda? Są tutaj chłopcy z brygady ratownictwa. Wydostaną ją stąd, obiecuję.

Pozwoliła, by pomógł jej wstać i odprowadził od zrujnowanego budynku. Mózg Faith był dziwnie pusty, niezdolny do snucia jednej, ciągłej myśli. Widziała Bunty biegnącą ulicą ku domowi matki... „Sprawdzę tylko, czy u mamy wszystko w porządku... Spotkamy się za chwilę...” A potem spadła bomba. To przecież niemożliwe, by Bunty zginęła w ciągu tych kilku sekund. Faith już przedtem oglądała śmierć setki razy, ale aż do dzisiejszego wieczoru nie widziała śmierci kogoś, kogo dobrze знаła. Jakaś kobieta wcisnęła jej kubek herbaty między zakrwawione palce i dziewczyna wbiła wzrok w ten kubek, obserwując, jak płyn trzęsie się wraz z jej drżącymi rękami. Uparcie patrzyła, jak mężczyźni z brygady ratownictwa odsuwają zawałone stropy, belki i deski podłogowe. W śmierć przyjaciółki uwierzyła dopiero wtedy, gdy spod gruzów wyniesiono ciało Bunty i zobaczyła jej powykręcane nogi i głowę, która opadła pod przerażającym kątem.



Po śmierci Bunty wszystko się zmieniło. Wszelka wiara w przyszłość zniknęła; Faith rozumiała, że ani nie może liczyć na przebudzenie kolejnego poranka, ani też nie będzie wiedziała, kiedy śmierć, niczym złodziej zakradający się w nocy, przyjdzie, by zabrać jej krewnych bądź przyjaciół. Opuściła ją teraz zdolność do zapadania w sen w każdym miejscu i o każdej porze, a kiedy zasypiała, nękały ją koszmary. Chociaż nigdy nie wierzyła w zabobony, teraz stała się przesadna: mamrotała różnorakie zaklęcia, zamykając za sobą drzwi, gdy wieczorem wychodziła z domu, i odprawiała te same rytuały każdego ranka, zanim położyła się do łóżka po nocnym dyżurze, w obawie przed zemstą losu, gdyby zmieniła ów rytuał, który jak dotąd zdawał się ją chronić. Lękała się, że owo szczęście, które zawsze uważała za rzecz oczywistą, nagle ją opuści. Zaczęła nosić bransoletkę, kupioną jej przez Ralpha przed laty we Włoszech, a kiedy pewnej nocy ją zgubiła, była przekonana, że nie dożyje do rana. Gdy już nadszedł świt i pierwsze promienie słońca zajaśniały nad ruinami Londynu, Faith śmiała się ze swych obaw, ale strach pozostał, wżerając się w jej serce.

Nocą 19 marca, po najcięższym z dotychczasowych nalotów, wydarzyło się coś przerażającego. Czekala w stacji sanitarek, kiedy zadzwonił telefon z informacją, skąd zabrać ma rannych. W następnej chwili, czy może tak się tylko Faith wydawało, był już świt, a ona stała na progu domu przy Mahonia Road, wkładając klucz do zamka. Nie miała pojęcia, jak minęły owe godziny od tamtego telefonu do rana. Ich wspomnienie zostało całkowicie wymazane z jej umysłu. Wszedłszy do domu, zobaczyła na kuchennym stole bochenek chleba i nóż, więc pomyślała, że widocznie musiała jeszcze w środku nocy przyjechać tu, żeby coś zjeść, jak niekiedy robiła. Kiedy wieczorem wróciła do pracy, nikt o nic nie pytał i nie patrzył na nią dziwnie, więc sądziła, że nadal dobrze pracuje, ale owa niepokojąca luka w pamięci pozostała i mimo usilnych prób Faith nie mogła jej wypełnić.

Tydzień później wydarzyło się to samo: znów kilka brakujących godzin wyciętych z nocnego dyżuru, jakby ktoś wszedł w jej życie z parą nożyczek. Zdecydowała się uznać ów pierwszy zanik pamięci za przypadek czy chwilowe okazjonalne zaburzenie, ale nie mogła zrobić tego po raz drugi. Pomyślała, że popada w szaleństwo, że coś złego dzieje się z jej głową. Przypomniała sobie jedną z „lokatorek”, która zachowując się coraz

bardziej osobiście, nawet jak na „lokatorów”, skończyła zamknięta w domu dla obłąkanych w Bazylei. Odwiedziła ją tam kiedyś z ojcem i teraz w chwilach największego załamania widziała siebie w długiej, szpitalnej sali z oknami o żelaznych kratkach. Wiedziała, że powinna pójść do lekarza, lecz bardzo się tego bała. Nabrała jednak zwyczaju spoglądania na zegarek co dziesięć minut, jak gdyby przekonując samą siebie, że owa przerażająca „nieobecność” nie nastąpiła znowu, i sprawdzała upływający czas.

Minden Hall, gdzie stacjonował Jake, był kwadratowym zespołem wiktoriańskich posepnych budynków ulokowanych na skraju niegościnnych północnych wrzosowisk. Otaczały go hangarowe schrony-kwatery, kulące się w trawie niczym przysadziste czarne ropuchy. W owych pomieszczeniach wciąż panował chłód, a trawniki były nasiąknięte jak gąbka wodą deszczową. Pierwszy dzień Jake'a w Minden Hall zdawał się trwać tydzień, a pierwszy tydzień - miesiąc. Półtora roku spędzone w Hiszpanii było nudne, zimne, mokre i... tak, ostatecznie, daremne i bez efektów. Jednak Minden Hall i niekończące się przekładanie papierów, które wydawało się tu przeznaczeniem młodzieńca, podniosło bezsensowne działania wręcz do rangi sztuki.

Większość mężczyzn, z którymi dzielił schron, nie kwestionowało ani szarych niebios, ani odrętwiającej monotonii tej pracy. Jednak znudzenie Jake'a przeplatało się z furią i niemożnością zaakceptowania tego, że właśnie tak miała dlań wyglądać wojna. Przypomniawszy sobie słowa Lindy Forrester: „To właśnie nuda jest tak nieznośna”, i choć wtedy nią wzgardził jako kobietą frywolną i samolubną, teraz stwierdzał, że niechętnie musi przyznać jej rację.

Po dwóch tygodniach poszedł do dowódcy, by poprosić o przeniesienie. Próbował przekonać kapitana Crawforda, że całkiem się marnuje, wypełniając kolejne papiery, kapitan zaś tłumaczył Jake'owi, że nie spełnia wymagań medycznych, gdyż bronchit przebyty na początku 1939 roku pozostawił pewne trwałe ślady w jego płucach. Młodzieniec machnął ręką, twierdząc, że jest całkiem zdrowy i przypomniał kapitanowi, iż walczył w Brygadach Międzynarodowych.

- W Hiszpanii walczyły różne podejrzane typy, Mulgrave -zauważył wtedy kapitan Crawford, nie patrząc na niego. -1 nie

masz żadnego wykształcenia. Kiepsko to wygląda, wiesz przecież.

Jake, nic nie rozumiejąc, został odprawiony.

Tego samego wieczoru, w pubie, powtórzył całą rozmowę koledze o nazwisku Crabbe, który spojrzał nań przez chmurę błękitnego dymu z fajki.

- Widzisz, Mulgrave... niewłaściwy rodzaj... Jesteś niewystarczająco brytyjski... Nie mogą cię umiejscowić...

- Umiejscowić? - powtórzył oszłomiony Jake.

- Zaklasyfikować, drogi kolego. Ty jesteś taki... ani ryba, ani mięso, ani też solidny wędzony śledź. Masz wyraźnie obce cechy... mieszkałeś za granicą i walczyłeś po stronie Czerwonych. - Crabbe niezbyt udanie naśladował wymowę kapitana. - To całkiem niewłaściwe, stary. Lojalność, wierność monarchii i te wszystkie rzeczy...

Pozostawiony sam na sam z bezgraniczną nudą wykonywanego zajęcia, Jake zdecydował się sprawdzić, jakie rozrywki ma do zaoferowania Minden Hall. Nie brakowało tu ochoczych dziewcząt, lecz gdy tylko rozpoczynały wiadome działania - gapiły się w wystawy sklepów jubilerskich lub wszczynały rozmowę o romantycznych ślubach czasu wojny - Jake szybko kończył romans. Nabrał wprawy w wybieraniu tylko takich kobiet, które pragnęły tego samego co on: przyjemności bez zobowiązań, krótkotrwałego uniesienia seksualnego bez ryzyka uczuciowego bólu. Znudzony i samotny, odkrył, jak być popularnym. Nie wzbraniał się przed żadnym wyzwaniem ani zakładem. Namówił jedną z dziewcząt ze służby administracyjnej, by wykradła z pralni parę szerokich spodenek ich dowódcy i przymocował je do masztu flagowego na frontowym trawniku, gdzie powiewały triumfalnie na lekkim wietrze. Pewnej nocy, kompletnie pijany, wdrapał się po rynnie na budynek dowództwa i udekorował dach papierowymi łańcuchami, a zgromadzeni na dole widzowie dodawali mu otuchy. Dostał za to ostrą burę i skręcił kostkę, gdy schodząc, spadł z ostatnich kilku metrów.

A jednak mimo owej popularności, z której korzystał dla własnych celów, tak czy inaczej czuł się odsunięty na bok, nie brał udziału w rozwoju wydarzeń i wydawało mu się, że kierują go raczej na obrzeża niż do centrum sprawy. Nie potrafił się dostosować do zwyczajów tego niegościnnego, szarego kraju. Niewiele miał uczuć dla owej Anglii, która przeznaczyła mu

tak bierną rolę w swej walce o przetrwanie. Jego romans z Anni wydawał się teraz odległy i nierozdzielnie związany z rozedrganym przedwojennym Paryżem oraz żarem i rozpaczą czerwca 1940 roku. Spoglądając wstecz, nie był całkiem pewien, kogo winić: dziewczynę - za to, że nie dość go kochała, czy samego siebie - że nie miał odwagi uwierzyć w miłość. Pewien był tylko jednego: że wszystko, na czym naprawdę mu zależy, samo rozsypywało się w pył lub też było przez niego niszczone. Cała namiętność, jaką żywił niegdyś dla polityki, upadła razem z republikańską Hiszpanią. Jeśli kiedykolwiek miał jakiś dom, było nim La Rouilly, a jednak wraz z tyloma innymi uciekinierami opuścił konającą Francję. I już nigdy nie ujrzy Anni, którą kochał.

Porzucił na zawsze wszelką lojalność, która kiedyś była dlań najważniejsza, podczas desperackiej ucieczki z kontynentu, i na wyspę przybył odarty zarówno z dobytku, jak i wiary. On i jego bliscy z trudem przetrwali tę próbę. Aczkolwiek do rodziców i sióstr pisywał sporadycznie i chociaż widywał się z nimi nieregularnie, a ich uczucia i wieczne istnienie uważał za coś oczywistego, wiedział jednak, że jedyna wierność, jaką zachował, była to wierność rodzinie. Ralph nigdy nie krył swego lekceważenia dla kraju, patriotyzmu oraz polityki i teraz Jake zaczynał rozumieć, jak wiele wspólnego ma z ojcem.

Błyski zimowego słońca prześwitujące przez stare, poprzedzielane kamiennymi słupkami okna Compton Deverall i wstęgi mgły na trawnikach zachwycały Nicole. To wszystko było tak urzekająco odmienne, tak magiczne i takie obce... W piękne dni odbywała długie spacerunki przez bukowe lasy, a kiedy padało, zwiedzała dom i z pajęczynami we włosach wyłaniała się z nieużywanych od dziesięcioleci pokoi, ściskając w rękach odkryte właśnie skarby. Młoda, piękna i czarująca, otrzymywała zaproszenia od okolicznych ważnych rodzin i sama zapraszała gości do Compton Deverall. Zimą, którą uciążliwe wojenne braki i złe wieści pozbawiły radości, wieczory urządzone przez młodą panią Kemp stały się zachwycającym światłem, rozjaśniającym mroki ogólnego przygnębienia, i podczas gdy Laura Kemp wyczarowywała wyborne dania z racjonowanej żywności, Nicole zabawiała gości zarówno szaradami, jak i różnymi grami ułożonymi przez Ralpha, a dotychczas znanymi jedynie

rodzinie Mulgrave'ow. Laura, która ponad rozrywki przedkładała pracę w ogródku, chętnie oddała Nicole rolę głównej gospodyni i zostawiła przyjęcia synowej.

Dzięki przydomowemu gospodarstwu z prosiętami, kurami i indykami, a także dużemu, otoczonemu murem warzywnikowi, uprawianemu przez Laurę, nigdy nie były głodne. Pod koniec każdego tygodnia z Londynu do Wiltshire przyjeżdżali więc goście, ściągnięci perspektywą dobrego jedzenia i nocy nieprze-rywanego nalotami snu. Nicole podejmowała zarówno przyjaciół Davida, jak i własnych z czasów koncertów w BBC. Z mebli w pokojach i rzadko używanych pomieszczeniach pozdejmowano chroniące je przed kurzem pokrowce, wyfroterowano podłogi i przygotowano łóżka dla gości. Stosy talerzy przez lata przechowywanych na piwnicznych półkach zostały umyte i przestawione do kredensów. Podczas jednego z weekendów przy wielkim dębowym stole zasiadło do kolacji trzydzieści osób.

Podobnie jak Ralph, Nicole łatwo zawierała znajomości. Stojąc w sklepowych kolejkach lub czekając na autobus, po prostu rozmawiała z ludźmi. Obcy szybko stawali się znajomymi, a potem za dzień lub dwa zostawali serdecznymi przyjaciółmi. Bliskie sąsiedztwo Salisbury Plain sprawiło, że liczni weekendowi goście w Compton Deverall byli żołnierzami, a stare, ozdobione kasetonami mury domu rozbrzmiewały echem kilku języków. Lotnicy Wolnej Francji, Holandii i Belgii jedli dania Laury Kemp i tańczyli z jej śliczną synową. Kiedy zaś Nicole powitała pewnego polskiego pilota kilkoma słowami w jego ojczystym języku, których przed laty nauczyła ją Genya, Polak uklęknął i pocałował rąbek jej spódnicy.

David musiał wrócić do Londynu w połowie stycznia. Nicole aż do lutego nie zorientowała się, że jest w ciąży. Bardzo osłabiona, przypisywała swą niedyspozycję zjedzeniu czegoś, co jej zaszkodziło. Teściowa, która miała całkiem inne podejrzania, nalegała, by wezwać lekarza. Kiedy powiedziano Nicole, że urodzi dziecko, jej pierwszą reakcją było niedowierzanie. Chociaż teoretycznie wiedziała, iż małżeństwa dążą do posiadania potomstwa, nie przypuszczała, że jej również może się to przydarzyć. Napisała do Davida, by przekazać mu ową wiadomość, ale swoje wątpliwości zachowała dla siebie.

W „dobrych” dniach nudności opuszczały Nicole, zanim nadeszła pora obiadu, w „złych” natomiast jadła niewiele i w dys-

kretnych przerwach umykała do łazienki. Gdy dopadały ją najgorsze mdłości, z Minette u stóp krążyła po domu, próbując liczyć okna. Wyniki owych rachunków nigdy nie były identyczne. Teściowa sugerowała jej odpoczynek, ale Nicole nie znosiła beczynności. Kochała ludzi, towarzystwo, przygodę. Lubiała jeździć konno po okolicy z francuskim lotnikiem Thierryem Duquesnay-em i zaprzestała owych przejażdżek dopiero wtedy, gdy lekarz zbeształ ją surowo i powiedział, że jeśli będzie je kontynuować, straci dziecko. Ku swemu znacznemu strapieniu, stwierdziła, że brak jej tchu, by śpiewać. Wciąż lubiała tańczyć, tańczyła więc tanga i fokstroty przy staroświeckim gramofonie z tubą, w wielkim holu z wyblakłymi tarczami herbowymi i godłami rodu Kempów, spoglądającymi z sufitu. Jeden z lotników przywiózł nowe płyty, by uzupełnić porysowane krążki z kolekcji Davida. Pewien Kanadyjczyk nauczył ją tańczyć jive'a, w walcu zaś niczym ptak wirowała z Thierryem.

Od ostatniego nalotu w budynku przy Mahonia Road nie mieli bieżącej wody, a jednak ściany były wilgotne i upstrzone spływającymi kroplami. Dotykając ich, Faith miała niemal pewność, że kiedy cofnie dłoń, jej palce okażą się czerwone od krwi. Nocą uszkodzona konstrukcja domostwa ugięła się i skrzypiała, jakby cierpiała na jakąś śmiertelną, wewnętrzną chorobę, a jej zewnętrzne objawy stawały się coraz intensywniejsze z każdym mijającym dniem. Faith przenosiła się pokoju do pokoju, sypiając w tym, który akurat wydawał się najwygodniejszy. Przez zarwany strop i dziury po brakujących dachówkach mogła oglądać gwiazdy, białe punkciki na granatowym niebie. Gdy robiło się zimno, zbierała połamane ramy okienne oraz kawałki poręczy ze schodów i paliła nimi w kominku. Ponieważ przewody były zatkane, pokój napełniał się dymem, który jednak szybko uciekał przez okna bez szyb. Kiedy odcięto gaz i elektryczność, Faith zapalała świece i jadła żywność z puszek. Nie przejmowała się; przyzwyczajona była do życia dniem dzisiejszym. Nie to ją przerażało.

Lękiem napawało ją to, że wciąż cierpiała na owe luki pamięci. Czasami nie pojawiały się przez tydzień lub dłużej, a potem, bez żadnego ostrzeżenia, kilka godzin uciekało z jej świadomości. Ponieważ nikt nie mówił, iż robiła cokolwiek innego, była zmuszona przypuszczać, że jak zawsze nieustannie jeździ-

ła karetką, przenosiła rannych i zabierała ich do szpitala. Obawiając się konsekwencji, nikomu nie mówiła o swojej dolegliwości. Wątpiła, aby przełożeni chcieli zatrudniać kogoś, kto traci pamięć. W bibliotece publicznej przestudiowała podręczniki medyczne, z których dowiedziała się o nowotworach mózgu i rozdzieleniu osobowości. Z dreszczem trwogi przypomniała sobie historię doktora Jekylla i pana Hyde'a, zastanawiając się, jak owa druga, nieznana Faith różni się od niej.

Strach, że popada w szaleństwo, położył kres wszystkim innym lękom Faith. Przestała się wzdragać, słysząc warkot wrogiego samolotu nad głową, a jej żołądek już się nie kurczył przy dalekim łoskocie pierwszych spadających bomb. Zdobyła nawet pewną sławę z racji swojej odwagi, a nawet głupiej, lekkomyślnej brawury. Jeśli potrzebowano kolejnej pary rąk do przytrzymania latarni w walącym się budynku, gdy lekarz walczył o życie rannego dziecka, wtedy Faith oferowała swoją pomoc. Jeździła na złamanie karku do zbombardowanych dzielnic, zbaczając z drogi wokół wielkich lejów, gdy bomby zapalające szkarłatnym deszczem spadały z nieba, i nie obawiała się śmierci. Nękał ją strach, że powoli traci rozum.

W nocy 19 kwietnia nastąpił kolejny ciężki nalot. Łoskot spadających bomb spowodował prawdziwe trzęsienie ziemi. Wysłana po rannych ze zbombardowanych domów w Poplar Faith poczuła dziwne ożywienie, gdyż hałas i jaskrawa, ostra barwa płomieni wypełniły jej wszystkie zmysły, w jednej chwili uwalniając ją od wszystkich lęków. Wyszędłszy z karetki, przystanęła na moment, rozglądając się wokół. Jedna strona ulicy niemal na całej długości została zniszczona przez bomby. Niektórzy ludzie z trudem wydostawali się spod ruin, ogarnięci nienaturalną wesołością i pełni ulgi, że pozostali przy życiu. Inni rozpaczliwie potykali się o góry gruzu, poszukując krewnych pogrzebanych pod rumowiskiem. Lekarze i pielęgniarki opatrywali rannych, ludzie z brygad ratownictwa ciężkiego odciągali na bok belki, krokwie i stropy, strażacy zaś kierowali węże na płomienie. Ceglany pył zamienił wszystkich w niesamowitą terakotową armię.

Jeden z lekarzy podniósł rękę i skinął ku Faith. Kiedy zaczęła do niego iść, jakiś mężczyzna z cywilnej obrony przeciwlotniczej krzyknął na nią, ale nie posłuchała go i nadal brnęła obrzeżem wielkiego krateru. Właśnie rozpoznała w lekarzu Guya, gdy tamten człowiek ją dogonił.

- Jesteś pomyłona?! Nie słyszałaś?! W tym leju leży wielki niewybuch!

Faith spojrzała za siebie w głąb krateru i pomyślała, jakież by to było miłe, gdyby ta bomba wybuchła akurat wtedy, gdy ona tędy przechodziła. Pewna, nagle, szybka i nieoczekiwana śmierć.

Uświadomiwszy sobie, że Guy na nią patrzy, zmusiła się do odpowiedzi.

- Przepraszam, nie słyszałam pana...

Odwróciła się do Guya. Jakiś mały chłopiec został uwieczony pod plątaniną desek. Unosząc kawał drewna, Faith usłyszała słowa przyjaciela.

- Ma wgniecione zębra, a z jego nogą jest kiepsko - wyjaśnił, potem zaś spojrzął na nią. - Dobrze się czujesz, Faith?

- Dobrze - odrzekła. - Doskonale.

Przyglądała się, jak wykonywał swoją pracę. Precyzyjne, troskliwe ruchy rąk Guya uspokoiły ją.

- Już jest gotowy! - zawołał po chwili jeden z ratowników. Sally, obecnie partnerka Faith, pomogła jej ułożyć ranne

dziecko na noszach i umieścić w karetce. Wracając ze szpitala, musiały jechać wolniej, omijając gruz pozostały po poprzednich nalotach.

- Strasznie mi się chce siusiu - powiedziała Sally. - Zatrzymaj się na chwilę i pozwól, że wyskoczę za ogrodzenie.

Faith przycisnęła hamulec. W głowie brzmiał jej echem głos Bunty: „Daj mi pół minuty. Sprawdzę tylko, czy u mamy wszystko w porządku...”. Nie mogąc znieść oczekiwania na Sally, wysiadła z karetki i błąkała się wokół opustoszałych szkieletów domów.

Krześla i stoły, pokryte brązowym pyłem i wypaczone przez deszcze, stały w pokojach, którym brakowało ścian albo sufitów. Jakieś łóżko z prześcieradłami oraz wystrzępionymi kocami spadło z sypialni na piętrze do salonu i zostało zasypane stertą porozrywanych książek, połamanych półek i rozbitych naczyń. Słyszając czyjeś kroki, Faith odsunęła na bok splątane zasłony i ujrzała staruszkę pochyloną nad piecem kuchennym. Pojedyncza świeca na rozklekotanym stole oświetlała wnętrze o trzech ścianach. Stojąc w progu i patrząc na tę kobietę, Faith miała wrażenie, że widzi ducha i że to jej rozchwiana, niepewna pamięć wywołała ową postać: czyjąś duszę, która wróciła, by



straszyć w ruinach domu. Ale zjawa obróciła się w jej stronę i przemówiła:

- Gotuję kolację dla moich chłopców - wyjaśniła, mieszając coś w garnku.

Faith zrozumiała, że znajdują się w ruinach zbombardowanej kuchni. Zlew zwisał pod niebezpiecznym kątem, a półki zasypane były powyginanymi puszkami i przemoczonymi opakowaniami. Jedna strona pomieszczenia była całkiem otwarta na deszcz i wiatr. Podłoga, zarzucona połamanymi dachówkami i kaflami, lśniła od kałuż.

Staruszka nosiła wystrzępiony płaszcz, który okrywał warstwy brudnych swetrów.

- Chcesz spróbować mojej zupy? - Skinęła ręką ku dziewczynie.

Faith stanęła między fragmentem zawalonej ściany a dachówkami. W kuchennym piecu najwyraźniej nie było węgla. Drewniana łyżka mieszająca w garnku poruszała się powoli.

- Dlaczego nie pozwoli pani zabrać się do schroniska? - spytała szeptem Faith, ale tamta jakby nie usłyszała.

- Proszę, kochanie, oto zupa dla ciebie. Dobra, gorąca zupa. Spojrzawszy w dół, Faith zobaczyła, że garnek jest pełen

gruzu, a drewniana łyżka miesza bulion z kamieni. Jeszcze raz spojrzała na garnek i na starą kobietę, a później, potykając się, uciekła z tego miejsca.

Następnego popołudnia drzemała przy kuchennym stole, gdy obudziło ją uporczywe stukanie do frontowych drzwi. Początkowo nie ruszyła się z krzesła, mając nadzieję, że hałas ucichnie, a ona będzie mogła zasnąć ponownie, lecz kiedy pukanie nie ustało, ruszyła do przedpokoju.

Otworzywszy drzwi, przetarła oczy ze zdumienia.

- Guy...

- Mogę wejść?

Wpuściła go do środka. Znalazłszy się w salonie, rozglądał się wokół szeroko otwartymi oczami.

- Mieszkasz tutaj?

Nagle spojrzała na ten dom tak, jak musiał go widzieć Guy: okna bez szyb, popękany tynk, oberwane gzymsy, ciemna plama na dywanie, w miejscu, gdzie padał deszcz, i legowisko z koców, które zrobiła sobie na sofie.

- Czasem śpiam tutaj, a czasem w jednym z pozostałych pokoi... zależnie od tego, z której strony jest wiatr... czasami deszcz leje się przez jedne dziury w dachu, a kiedy indziej przez drugie. - Widząc wyraz jego twarzy, dodała jeszcze:  
- Nie jest tak źle, Guy. Dom La Rouilly rozsypywał się jeszcze bardziej, jeśli pamiętasz. Jestem do tego przyzwyczajona.

- W La Rouilly było ciepło. I nie mieszkałaś tam sama.

- Jake przyjeżdża czasem na urlop. Rufus także - mówiła, płucząc w zlewie filiżanki. - Napijesz się herbaty, Guy?

- Chętnie - odrzekł, siadając przy stole.

Napełniła czajnik i postawiła go na kuchence. Stała właśnie odwrócona do Guya plecami, gdy zaczął mówić.

- Tak naprawdę, przyszedłem tutaj, żeby cię przeprosić.

- Przeprosić? - zapytała, zwracając się ku niemu. - Za co?

- Za to, że nie okazałem się prawdziwym przyjacielem - powiedział po prostu.

Poczuła piekące łzy pod powiekami. Potrafiła znieść opuszczenie, a nawet chłód, ale życzliwość doprowadzała ją teraz do płaczu. Szybko zajęła się łyżeczkami i filiżankami, by nie mógł zobaczyć jej twarzy. Słyszała jednak, jak mówił dalej:

- Nigdy nie zapomnę, ile życzliwości okazała mi twoja rodzina, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz. Pamiętam, jak Ralph znalazł mnie na skraju gościńca, a Poppy poprosiła, bym został na kolacji. A ty przygotowałaś mi poślanie w stodole. Ile miałaś wtedy lat, Faith? Dziesięć?

- Jedenaście - wyszeptwała.

- Byłem w strasznym położeniu: bez pieniędzy, bez przyjaciół... a wy... wy wszyscy... uratowaliście mnie. Wiesz, jak bardzo wyczekiwałem lata i kolejnych spotkań? Odliczałem dni. To była najlepsza pora roku. I zrozumiałem, że od chwili gdy przyjechaliście do Anglii, ja nie... - Przerwał nagle, widząc, jak drżą jej ramiona. - Faith, co się stało?

- Och, Guy - westchnęła - jakże mi tego wszystkiego brakuje! Wszystkiego! Francji... La Rouilly... i Genyi... co się z nią stało?

Otoczył ją ramieniem. Na chwilę zamknęła oczy, rozkoszując się ciepłem i bezpieczeństwem, jakie znalazła w jego uścisku. Usłyszała słowa Guya:

- Genya żyje i wszystko u niej w porządku - mówił, ale nie brzmiało to zbyt pewnie.

- Woda się gotuje - odrzekła Faith, wysuwając się z jego objęć, i w jakiś chaotyczny, pośpieszny sposób zaczęła parzyć herbatę.

- Chodzi o coś jeszcze, nieprawdaż? Potrząsnęła głową, nie mogąc mówić.

- To moja wina - stwierdził z goryczą Guy. - To ja cię opuściłem. Nic dziwnego, że nie chcesz mi się zwierzyć.

Ściskająca łyżeczkę dłoni Faith zadrżała i herbata rozsypała się po stole.

- Nie chodzi o ciebie, Guy - szepnęła. - Ja chyba nie potrafię powiedzieć komuś o...

- ...powiedzieć komuś o czym?

- To zbyt okropne - odrzekła, zamykając oczy.

- Nie ma sprawy tak okropnej, której nie pomogłaby rozmowa - nalegał delikatnie.

- Ala ta jest.

Ujął jej rękę, obejmując ją miękko swymi ciepłymi palcami i mówił łagodnie:

- Wiem, że w ostatnich miesiącach byłem zajęty, zgryźliwy i zazdrosny...

Tak, przyznaję, poczułem zazdrość, gdy zobaczyłem cię z Rufusem. Właśnie dlatego tak się zachowywałem. Przypuszczam, że będę musiał przyzwycząić się do myślenia

o tobie jako o mojej bardzo dobrej znajomej i cierpliwie znosić to, że widzę cię w towarzystwie kogoś innego.

Uśmiechnęła się słabo.

- Nie chcesz, żebym coś naprawił? Nie chcesz, żebym ci pomógł?

Patrzyła na Guya i zastanawiała się, czy może mu zaufać.

- Słuchaj, myślę, że popadam w obłęd - wyznała, zanim udało jej się powstrzymać te słowa.

Nie roześmiał się ani nie zawołał, żeby nie mówiła głupstw.

- Wytłumacz mi, dlaczego tak sądzisz.

Zapanowało długie milczenie. Faith odsunęła się od niego

i oplótłszy się ramionami, spoglądała w okno. Na gałęziach śpiewały ptaki i widać już było pąki kwiatów. W końcu zebrała się na odwagę.

- Zapominam o różnych sprawach. Zastanawiał się przez chwilę, a potem zaczął pytać:

- Nie zapominasz nazwisk czy tego rodzaju rzeczy, prawda? Masz na myśli to, że wylatuje ci z pamięci jakaś godzina, a może nawet dzień...

- Nie, dzień nie - odrzekła szybko. - Myślałam, że już jest lepiej, że to mija, ale potem któreś nocy uciekło mi całe sześć godzin. - Pamiętała tylko tamtą staruszkę gotującą zupę z kamieni oraz powrót o świcie do domu i otwieranie drzwi. Między tymi obrazami nie było nic. - Przeczytałam w bibliotece kilka książek. - Głos jej brzmiał niepewnie. - Coś złego dzieje się z moją głową, prawda Guy?

- Przyjmij dobrą radę, Faith, i nigdy nie czytaj podręczników medycznych. Na studiach często sądziłem, że mam wszystkie opisane w książkach choroby. Żółtą febrę, malarię, gruźlicę... - Uśmiechnął się lekko. - Faith, nie popadasz w obłęd. Jesteś po prostu bardzo, bardzo zmęczona i żyjesz w trudnym do zniesienia napięciu. Taka częściowa utrata pamięci zdarza się, kiedy człowiek jest przeciążony. Mózg nie może już przyjąć nic więcej i po prostu się zamyka. Nic niezwykłego, po prostu taki mechanizm obronny. Całkiem sensowny, jeśli się nad tym zastanowić.

Chciała mu wierzyć.

- Ale ty przecież także jesteś zmęczony. Czy również tracisz pamięć?

- Ja palę i piję, nawet zbyt wiele. I niekiedy tracę panowanie nad sobą. Mam również dręczące sny, prawdziwe nocne koszmary, o Oliverze. Przypuszczam, że wszyscy chcielibyśmy myśleć, iż takie ekstremalne okoliczności wydobędą z nas to, co najlepsze. Lecz niekoniecznie musi właśnie tak być. Chociaż Eleanor... Eleanor radzi sobie ze wszystkim wspaniale. W kryzysowych sytuacjach czuje się najlepiej.

Faith podniosła wzrok, patrząc na niego swymi poważnymi oczami.

- Naprawdę tak myślisz? Myślisz, że nie jestem chora ani obłąkana?

- Nie jesteś ani chora, ani obłąkana - oświadczył zdecydowanym tonem. - Jesteś po prostu wyczerpana i zapewniam cię, że gdybyś wzięła tygodniowy lub dwutygodniowy urlop, owe zaniki pamięci z pewnością by ustąpiły.

Poczuła, jak ogarnia ją fala ulgi.

- Och, Guy, nie wyobrażasz sobie, jak piekielnie byłam przerażona.

Spojrzał na nią uważnie.

- Masz płatny urlop?

- Kilka tygodni. Chcę pojechać do Norfolk, aby zobaczyć mamę... Tata mówi, że ona miewa się świetnie, ale nie jestem tego pewna.

W listach Poppy pojawił się ostatnio jakiś dziwny ton; nic konkretnego, Faith jednak była tym zaniepokojona.

- Poproś więc o urlop i wyjedź najszybciej, jak będziesz mogła, a tymczasem... - Rozejrzał się po zrujnowanej kuchni. - Faith, przecież nie możesz tu mieszkać...

- Mnie się tu podoba, Guy - odpowiedziała szybko. Dom przy Mahonia Road stał się w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy jej własnym domem. - Lubię to miejsce. Nie przeszkadzają mi dziury i te wszystkie niewygody, a poza tym już prawie lato, więc niebawem znowu będzie ciepło.

Wydawał się pełen wątpliwości.

- Jak sobie życzysz - ustąpił wreszcie. - Nalegam jednak, żebyś przyszła w sobotę na obiad. Eleanor lubi podejmować gości na sobotnim obiedzie i chętnie cię zobaczy. Przyjdiesz, prawda, Faith?

Pod koniec maja Faith dostała w końcu tygodniowy urlop. Guy, spotkawszy ją na Mahonia Road, zaproponował, że zanieś jej bagaż na dworzec kolejowy.

- Jeszcze się nie spakowałam. Spojrzał na zegarek.

- Lepiej się pośpiesz. Zresztą wciśniesz kilka rzeczy do walizki, tak jak zwykle. Widziałem, jak pakowała się rodzina Mulgrave'ów.

- Zrobiłam postępy - oświadczyła z dumą. - Teraz już prasuję swoje rzeczy.

- Miałaś jeszcze jakieś zaniki pamięci?

- Ani jednego. - Owe dolegliwości nie powróciły od czasu, gdy zwierzyła się Guyowi ze swych obaw, jakby sam akt podzielenia się owym niepokojem uwolnił ją od problemu.

- Podejź bliżej. - Guy ujął jej rękę i zmarszczył brwi. - Sama skóra i kości.

Wywinęła mu się i wbiegła na schody.

- Nie musisz się o mnie martwić, Guy! - zawołała przez ramię.

Wrzucając kilka pogniecionych rzeczy do walizki w swoim pokoju, usłyszała, jak do niej wołał:

- A któż inny będzie się o ciebie martwić? Nicole? Jake? Ralph?
- Sama potrafisz zatroszczyć się o siebie!
- Oczywiście. Zawsze byłeś tą rozsądną panną Mulgrave. Z pewnością odziedziczyłaś to po Poppy.
- Cóż, raczej nie po Ralphie - odparła ostro, zbiegając na dół z walizką w rękę, po czym otworzyła drzwi i oboje wyszli na deszcz.
- Guy rozłożył parasol. Widząc skręcający już za róg ulicy autobus, postanowili pójść pieszo do następnego przystanku.
- Martwisz się o ojca? - zapytał Guy, gdy szli brzegiem ogromnych kałuż, jakie utworzyły się na zniszczonych podczas bombardowań chodnikach.
- Faith westchnęła.
- Wiesz, że tata często przyjeżdża do Londynu. Uwielbia tę wojnę... zawsze uważał, że Anglia jest nudna, a teraz oczywiście przestała być taka. Cóż, nie mam nic przeciwko temu, że zatrzymuje się u mnie, jest wtedy tylko trochę więcej zmywania, ale obawiam się... obawiam się, że nawiązał przyjaźnie z jakimiś bardzo niemądrymi ludźmi.
- Niektórzy z „lokatorów” też byli dość... niemądrzy - powiedział Guy.
- Wiem, ale nie byli głupi w ten sposób jak ci tutaj - próbowała wyjaśniać. - Oni go podbechtują do różnych głupstw, Guy, i... och, nie wiem...
- O pewnych sprawach nie mogła rozmawiać nawet z nim. Nie mogła mu powiedzieć, na przykład, że wyczuła u ojca pewną desperację, udrękę, która jej samej wydawała się nie do zniesienia. Wiedziała, że londyńscy znajomi Ralpha nie kochają go tak, jak niegdyś kochali go wszyscy przyjaciele. Wiedziała, że Bruno Gage i jego banda widzą w nim tylko ciekawostkę z epoki edwardiańskiej i traktują jak źródło rozrywki w chudych latach.
- Deszcz bębnił o parasol.
- A Nicole? A Jake? Co u nich słychać?
- Jake jest znudzony, a Nicole miewa się dobrze.
- Spodziewa się dziecka, nieprawdaż?
- We wrześnie. Mówi, że prawie tego nie widać.
- U niektórych kobiet tak bywa. Dobre napięcie mięśni. Faith wsunęła mu rękę pod ramię.
- Tak się cieszę, że znów jesteśmy przyjaciółmi.

Guy obawiał się często, że pomagające ofiarom wojny służby ochotnicze muszą się załamać pod napięciem narzuconym przez *Blitz*, a wtedy ranni pozostaną sami w szpitalnych korytarzach i izbach przyjęć, gdy kolejni lekarze i pielęgniarki, ulegając kryzysom, zaczną opuszczać swe posterunki. Myślał, jak długo można przeżyć, śpiając nie dłużej niż trzy czy cztery godziny. Zastanawiał się, ile jeszcze czasu upłynie, zanim widok kolejnej ofiary, zbryzganej krwią i poranionej kawałkami szkła, doprowadzi go do mdłości. Jedyną pociechą, pomyślał Guy z ponurym rozbawieniem, było to, że Luftwaffe realizowała program wyburzania dzielnic ruder, co jego zdaniem już dawno należało zrobić.

Jedyną metodą, aby przetrwać, było odcinanie się od własnych emocji i zdecydowane powstrzymanie się od współczucia tym, za których życie odpowiadał. Nie mógł sobie pozwolić na litość dla swych pacjentów. Mógł jedynie ciąć, szyć i oceniać z chłodnym obiektywizmem, które ciała warte jeszcze były jego wysiłków, a które nie nadawały się już do ratowania i „naprawy”. Czasami lękał się, że owa wymuszona obojętność pozostanie mu na resztę zawodowego życia i że stanąwszy przed kobietami, których życie zostało złamane, gdy ich synowie przepadli na morzu lub przed owdowiałymi mężczyznami, których żony zginęły w tym koszmarze, nie będzie czuł już nic, a jedynie wypisze recepty i złoży bezosobowe kondolencje, lecząc wyłącznie ciało, pomijając zaś duszę.

Do niedawna zachowywał zdolność intensywnego uczucia jedynie w stosunku do jednej istoty: do Olivera. Z powodu nawału pracy nie widział synka od września, gdy Eleanor zawiozła go do Derbyshire, aż do końca listopada, kiedy dano mu urlop. Wtedy chłopczyk miał już niemal rok, seplenił, wymawiając pierwsze słowa i zaczynał stawiać niepewne małe kroki. Widząc swego złotowłosego, błękitnookiego malca pierwszy raz od trzech miesięcy, Guy poczuł tak ogromną falę miłości, że musiał walczyć sam ze sobą, by się nie rozpłakać. Mały Oliver całą swoją urodą nieodparcie przypominał mu o wszystkich martwych i rannych dzieciach, które wyciągał z ruin Londynu. Złożył sobie wówczas solenne przyrzeczenie, że Oliver nigdy nie będzie cierpiał, że on sam ochroni chłopca przed wszelkimi okropnościami, jakie może przynieść życie, że jego syn zawsze będzie kochany i bezpieczny oraz że nigdy niczego mu nie zabraknie.

Guy pozostał w Derbyshire przez trzy dni. Zabierał synka nad czyste brzegi rzeki Dove, by pokazać mu pierwszy lód, i nosił małego „na barana” na szczycie Thorpe Cloud. Odwiedził go jeszcze dwa razy, zawsze z Eleanor. Za każdym razem, rozstając się z Oliverem, gdy urlop się kończył, Guy z przykrością dochodził do wniosku, że żona nie odczuwa takiego bólu z powodu rozstania z małym, jaki doskwierał jemu. W istocie od chwili gdy nie musiała już opiekować się dzieckiem, wydawała się rozkwitać. Praca w Kobiecej Służbie Pomocniczej zajmowała jej większą część czasu, a prowadzenie domu przy Holland Square - całą resztę.

Ich przeprowadzkę z Malt Street poprzedziła długa, wyczerpująca batalia. Ale Eleanor marniała w oczach i Guy w końcu ustąpił. Wyprowadzkę z domu, w którym jej mąż mieszkał od dzieciństwa, zorganizowała z energią i przekonującą skutecznością, która - z czego już wcześniej zdawał sobie sprawę - była dla niej charakterystyczna. W domu przy Holland Square Eleanor zachwycała się przestronnymi, eleganckimi pokojami i rodzinnymi bibelotami. Gdy Guy kiedyś dał wyraz swej tęsknocie za brzydotą Malt Street, spojrzała na niego obojętnym wzrokiem.

- Nie bądź niemądry, Guy. Tutaj jest nam znacznie wygodniej. Masz zarówno salon, jak i gabinet, a dla mnie to wielka ulga, że nie muszę się męczyć w tamtej okropnej kuchni.

Mieszkali teraz z ojcem Eleanor. Był to, w zasadzie, zadawalający układ: Guy lubił starszego pana, a ich spory, choć częste, nie psuły dobrej atmosfery.

A jednak czuł, że wraz z owym powrotem do domu dzieciństwa Eleanor jakby coś stracili. Ich małżeństwo nie było związkiem, jakiego oczekiwał. Żona jasno dała do zrozumienia, że nie chce mieć więcej dzieci, i Guy czuł, że wyrażając zgodę zarówno na to, jak i na pozostałe jej życzenia - wywiezienie Olivera do Derbyshire i opuszczenie Malt Street - sam przyczynił się do osłabienia własnych ideałów. Powiedział więc sobie, że owo romantyczne marzenie jest tylko iluzją, że towarzystwo i praktyczne wsparcie, dawane mu przez Eleanor, to najlepsza rzecz, jakiej każdy mąż mógłby oczekiwać, i czymś znacznie więcej, niż wielu z nich miało, a gorące uczucia, jakich niegdyś szukał w małżeństwie, nie były niczym więcej niż fantazją młodego i raczej naiwnego mężczyzny. Chociaż więc początkowa namiętność



wygasała, tłumaczył sobie, że to i lepiej. Wystarczy, że Eleanor ofiarowała mu wsparcie i jest matką jego dziecka. Jej siła ducha oznaczała, że nie musi się o nią niepokoić; strach o nią mógłby go jedynie osłabić, a na słabość nie mógł sobie pozwolić.

Opuszczając dworzec przy Liverpool Street po odprowadzeniu Faith do pociągu, Guy poczuł w sercu ból, jak gdyby kogoś utracił. Ten ból był podobny do owego żalu, jakiego doświadczał, ilekroć myślał o Oliverze. Jednak teraz obrazem, który wyrył mu się w pamięci był wizerunek Faith: jej gołe stopy w sandałach, rozpryskujące kałuże, jasne włosy szarpane przez wiatr i spadające na oczy. Zapamiętał także chłodną miękkość policzka dziewczyny, gdy na dworcu pocałował ją na pożegnanie. Jej szczupłość i bladość przyprawiły Guya o niepokój. Wyobraził sobie, iż zabiera ją z owego pola bitwy, jakim stał się Londyn, gdzieś na wieś albo nad morze. Wyobraził sobie, że kroczy obok niej opustoszałą plażą, a potem z nagłym, drażniącym ukłuciem przypomniał sobie Eleanor, dom przy Holland Square, swoje małżeństwo... Na chwilę, tylko na chwilę, zapomniał o tym wszystkim.

Podniósł kołnierz płaszcza przeciwdeszczowego i zaczął szybko iść przez puste ulice.

## *Rozdział siódmy*

Héronsmead pod koniec maja srebrzyło się i złociło blaskiem bijącym z bagien i niezbyt odległego morza. Poppy cały dzień pracowała w ogrodzie. Pochylała się właśnie nad rzędami truskawek, gdy usłyszała, że otwiera się furka. Podniosła wzrok i zobaczyła córkę.

- Faith... - wyszeptała. Chciało jej się płakać, ale mrugała oczami, aby dziewczyna nie zobaczyła łez. Otworzyła ramiona. - Och, Faith! Jaka cudowna niespodzianka! Dlaczego nie dałaś mi znać, że przyjeżdżasz?

-Aż do wczorajszego dnia nie byłam pewna, że dostanę urlop, więc nie miałam kiedy napisać.

- Jak długo zostaniesz?

- Cały tydzień.

Poppy odsunęła Faith na odległość ramienia i popatrzyła na nią uważnie. Mając dwadzieścia lat córka wciąż zachowała pewną niezgrabność nastolatki, ale pod jej oczami malowały się sine oznaki wyczerpania.

- Taka jesteś szczuplutka, kochanie...

- Czuję się doskonale, mamó. Jestem tylko bardzo zmęczona. Weszły do domu. Napełniając czajnik, Poppy usłyszała pytanie dziewczyny.

- A gdzie tata?

- W Londynie. - Rzuciła córce krótkie spojrzenie. - Myślałam, że zatrzymał się u ciebie, Faith.

- Nie widziałam go od kilku tygodni. Z pewnością jest u Bruno Gage'a.

Poppy postawiła na stole filiżanki i spodeczki.

- Czujesz się samotna, gdy papa wyjeżdża? - zapytała Faith.

Poppy miała wrażenie, że już prawie nie pamięta, jak się uśmiechać, i to raczej kłamlivy grymas niż uśmiech wygiął kąciki jej ust. Odpowiedziała jednak szczerze.

- Bez niego jest tu spokojniej. Ralph uważa, że Heronsmead jest nudne, ale ja je uwielbiam. Ta ziemia jest cudowna. Kiedy podróżowaliśmy, jedynym moim ogródkiem były pokryte kurzem kamienie. Tutaj wysiewam nasiona, i wydaje mi się, że już następnego dnia kiełkują. - Popatrzyła przez okno, na pola i słone moczary z ich łagodnie kołyszącymi się trzcinami, a potem dodała: - Nie podoba mi się tylko to, że nie można dojść do morza z powodu tych zasieków z kolczastego drutu, Faith. Czasami mi się śni, że biegnę bosą po piaszczystej plaży.

Oczywiście Poppy nie powiedziała wszystkiego. Pewnych rzeczy nie należało zdradzać córkom. Nie mogła wyznać Faith na przykład tego, że podejrzewała, iż Ralph ma jakiś romans.

Przyjechawszy przed rokiem do Heronsmead, Poppy szybko przywiązała się do tego domu. To, czego mąż nienawidził, ona pokochała. Cisza owego miejsca, a nawet jego izolacja były dla niej kojącym balsamem. Uświadomiła sobie, że nie ma już najmniejszej ochoty na podróż i że opuściła ją wszelka żądza przygód, jakby owa ostatnia, przerażająca wędrówka z Francji zniszczyła pozostałe resztki młodzieńczego niepokoju. Poppy polubiła rozległe niebo nad Norfolk, lśniące słone moczary, a także przeszłość i niezmienną trwałość tego krajobrazu. Pokochała niewielki dom zbudowany z kamienia i ogród, którego wysoki mur, mający chronić rośliny przed północnymi wiatrami, przypominał jej obmurowany ogród w La Rouilly. Ralph widział w ich ucieczce do Anglii jedynie utratę własnej swobody, dla Poppy zaś był to powrót do korzeni.

Mieszkańcy wioski, odizolowani i ograniczeni, początkowo patrzyli na nich podejrzliwie. Poppy zdawała sobie sprawę z plotek szeptanych z dłońmi przy ustach i koronkowych firanek, rozsuwających się akurat wtedy, gdy wraz z mężem przechodziła pod oknami domów. Strój Ralpa uważano tu za podejrzenie obcy; a jego nawyk głośnego śpiewania podczas kąpieli przy otwartym oknie nieangielskich piosenek (głównie francuskich lub włoskich, ale w opinii miejscowej ludności wszystkie obce języki były równie wyklęte), a także niepohamowane wielojęzyczne przekleństwa - wszystko to uniemożli-

wiało ich akceptację w tej zamkniętej społeczności. We wrześniu 1940 roku, gdy powszechny lęk przed inwazją osiągnął szczyt, w Heronsmead pojawił się nawet policjant. Zwabiła go tu, jak szybko zorientowała się Poppy, złośliwa plotka; rozwiała zatem jego zastrzeżenia filiżanką herbaty i owym szczególnym angielskim wdziękiem, który nadal zachowała - więc odszedł usatysfakcjonowany i już nigdy nie byli niepokojeni.

Chociaż Ralph nigdy nie zabiegał o akceptację - a nawet wprost wychodził z siebie, by jej uniknąć - Poppy podczas kilku minionych miesięcy podejmowała próby znalezienia sobie wokół przyjaciół. Dbała o to, by zatrzymywać się i gawędzić z przechodniami, a nawet wstąpiła do miejscowego Koła Pań. Pewnego razu wybrała się też do kościoła, lecz sarkazm męża był tak dokuczliwy, że nigdy więcej tam nie poszła. Dopiero teraz pojęła swoje nieszczęścia minionych lat; teraz rozumiała, że od śmierci Philipa pragnęła wrócić do domu. Byłaby zadowolona, myślała często, gdyby nie stało się to w związku z wojną i z powodu Ralpa.

Miała już dość tej wojny. Nie słuchała informacji radiowych i starała się nie czytać gazet. Nie mogła znieść myśli o tym, co działo się we Francji, w Grecji i we Włoszech. Wszak we wszystkich tych krajach miała przyjaciół. Uciekając z Francji w 1940 roku, przekonała się, co to strach. Najżywszym, najbardziej przerażającym wspomnieniem Poppy był tamten przyprawiający o mdłości straszliwy lęk, że mieliby zostawić Jake'a. Jeszcze dziś daleki odgłos samolotów zrzucających bomby na przybrzeżne miasteczka hrabstwa Norfolk wciąż na nowo przypominał jej dawne przerażenie. Kiedy nadlatywały niemieckie samoloty, Ralph wybiegał do ogrodu i wygrażał im pięścią, ale Poppy chowała się w komórce. Dziękowała Bogu, że Jake'a nie powołano do służby czynnej i że Nicole była tak bezpiecznie zamężna. Martwiła się o Faith pozostającą w Londynie, ale o nią niepokoiła się mniej, niż lękałaby się o pozostałą dwójkę w podobnych okolicznościach. Najstarsza córka miała bowiem wiele zdrowego rozsądku.

Kiedy mąż pierwszy raz pojechał do Londynu, Poppy poczuła ulgę. Wcześniej bała się już nadejścia owego dnia, gdy każe jej pakować rzeczy i powie, że wyjeżdżają z Heronsmead. Chociaż za nim tęskniła i choć bez niego dom wydawał się przerażająco cichy, miała nadzieję, że w mieście Ralph odzyska rów-

nowagę, że Londyn dostarczy mu towarzystwa, którego pragnął, by móc potem do niej wrócić i być zadowolonym. Jednak podróże do Londynu czyniły męża jeszcze bardziej niespokojnym. Jego wizyty w Londynie trwały coraz dłużej, a przerwy między kolejnymi wyjazdami robiły się coraz krótsze. Przebywając w Heronsmead, często się irytował i trudno było przewidzieć jego zachowanie. Sprawiał wrażenie, że nie wie, czym wypełnić dni do następnego wyjazdu. Ralph, który nienawidził samotności, zaczął chodzić na długie wieczorne spacerować. I po raz pierwszy odkąd Poppy go poznała, nie miał żadnych wspaniałych projektów i żadnego absolutnie pewnego planu zdobycia wielkiej fortuny dla rodziny Mulgrave'ów.

W marcu poprosił Poppy, by przeprowadziła się wraz z nim do Londynu. Mogliby, tłumaczył, zamieszkać razem z Faith, u której jest teraz dużo miejsca, odkąd Jake tam nie mieszka. Odmówiła; byłoby szaleństwem myśleć teraz o przeprowadzce do Londynu, a poza tym czuła się taka szczęśliwa w Heronsmead. Ku jej zaskoczeniu mąż wcale nie nalegał. Wzruszył tylko ramionami i powiedział: „Jak sobie życzysz”, a potem wyszedł na jeden ze swych długich spacerów. Wtedy jeszcze nie zdawała sobie sprawy ze skutków swej odmowy przeniesienia się do miasta.

Dopóki nie znalazła tego liściku, przypisywała ponury nastrój męża konieczności powrotu do kraju, którego nie znosił. Potem, miesiąc temu, nadeszła owa nieoczekiwana ulewa. Na sznurku wisiało pranie, więc Poppy, chcąc je szybko zebrać, chwyciła pierwsze okrycie, jakie znalazła. Wybiegając do ogrodu, wsunęła ręce do kieszeni starego czarnego płaszcza Ralph'a. Znalazła tam skrawek papieru, rozwinęła go i rzuciła okiem, sądząc, że to recepta lub bilet teatralny. Nie przypuszczała, że mógłby to być liścik miłosny.

Zatrzymała się wtedy w ogrodzie, a deszcz rozmazywał atrament na papierze. Po chwili nie mogła już odczytać słów, lecz do tego czasu znała je na pamięć: „Kochany Ralphie, czyż już za mną nie tęsknisz? L.”.

Najpierw pomyślała: Jakież to banalne. Liścik miłosny w kieszeni płaszcza. Jakież konwencjonalne. Ralph, który unikał wszelkiej pospolitości i tak się tym szczycił. Potem, gdy zaczęło boleć, próbowała sobie wmawiać, że się pomyliła, że jest w błędzie, że to list od jakiegoś znajomego i nie ma tu nic kom-

promitującego. Nie zdołała jednak przekonać samej siebie. „Kochany Ralphie, czyż już za mną nie tęsknisz?” Cóż za pewność siebie, myślała Poppy, jakie przekonanie tkwi w tych ośmiu słowach. Przyjrzała się Ralphowi ponownie i zobaczyła, że to, co wcześniej wydawało jej się złością na otoczenie, w istocie było ponurym nastrojem kochanka. Nienawidząc siebie i nienawidząc męża za doprowadzenie jej do tego, Poppy podążyła za nim ukradkiem na jedną z owych wieczornych przechadzek. Poszedł do budki telefonicznej na drugim końcu miejsciny. Rozmawiał bardzo długo i Poppy wiedziała, że to z nią -z „L”.

Ralph miewał wcześniej jakieś flirty, zawsze z „lokatorkami”. W pierwszy, jak przypuszczała Poppy, zaplątał się po narodzinach Nicole, gdy ona była chora i zmęczona i gdy tak bardzo brakowało im pieniędzy. Potem pojawiła się Louisa, w 1937 roku, gdy wyjechali z Hiszpanii. Było też jeszcze, jak podejrzewała, kilka innych. Romanse trwały tydzień, w najgorszym wypadku dwa, dopóki Poppy nie kazała się dziewczynie pakować - a wtedy mąż z płaczem prosił o wybaczenie. Wybacziała, wiedząc, że te kobiety nic dla niego nie znaczyły, a jedynym ich zadaniem w owych trudnych czasach było wspierenie jego pewności siebie i egoizmu.

Ten romans jednak był inny. Tym razem Ralph kochał. Poppy dostrzegła to w jego roztargnieniu i irytacji, gdy rozstawał się z ową nieznaną „L”. Widziała to w ciągłej zmienności nastrojów męża miotającego się między euforią a rozpaczą.

Tym razem Poppy była zdruzgotana nieszczęściem. Spoglądając w lustro, stwierdziła, że wygląda na swoje czterdzieści dwa lata, i z goryczą zrozumiała, że nie wiadomo kiedy w ciągu kilku minionych lat stała się kobietą w średnim wieku. Jej złociste włosy zmatowiło srebro, a lata południowego słońca nie okazały się łaskawe dla delikatnej angielskiej cery. Niewiele pociechy znajdowała w fakcie, iż jest kobietą po czterdziestce. Łatwo się męczyła i miała skłonność do przykrych migren. Jej organizm nigdy całkowicie nie wydobrzył po przedwczesnym czwartym porodzie. Dzieci opuściły dom, a Poppy tęskniła za nimi ogromnie, wspominając z nostalgią ciepłe, słoneczne dni ich wczesnego dzieciństwa. Wyobrażała sobie, że „L” jest młoda, piękna i ma gładkie, jędrne ciało, nieszeszpecone kolejnymi porodami.

W chwilach najgłębszego załamania Poppy zastanawiała się, czy gdyby umarła, komukolwiek naprawdę by jej brakowało. Wszyscy jej przyjaciele mieszkali daleko, dzieci żyły swoim własnym życiem, mąż pokochał inną kobietę, ona sama zaś zbyt długo przebywała z dala od Anglii, by teraz stać się bliską którejś z sióstr. Poppy myślała o tym, by powiedzieć Ralphowi, iż wie o jego niewierności, lecz nie zrobiła tego. Nie była już pewna rezultatu owej konfrontacji.

Kanadyjski lotnik, Johnny Deller, wypożyczył trzy wiosłowe łodzie. Nicole nie miała pojęcia, gdzie je zdobył. Johnny był niezrównany, gdy chodziło o wynajdywanie nawet tak nieosiągalnych rzeczy jak czekolada czy nylonowe pończochy. Tak więc rano popłynęli tymi łodziami po czystych, zielonkawych wodach Avonu. Nicole zorganizowała wyścigi i mianowała się sternikiem łodzi Thierry'ego. Uklękła na dziobie z Minette na kolanach i liczyła ruchy wiosła, a zielone brzegi rzeki i pochyle wierzby zlewały się ze sobą, kiedy mijali je szybko, ledwie mogąc wykrztusić słowo ze śmiechu. Gdy łódka Johnny'ego zwyciężyła, udekorowali go wieńcem z sitowia.

Potem urządzili piknik, a następnie wykąпали się w rzece. Ponieważ Nicole nie miała ze sobą kostiumu (ciąża była już widoczna i gdy dziewczyna wkładała dopasowane stroje, dziecko rysowało się dziwnie okrągłym kształtem), więc początkowo tylko brodziła przy brzegu, ale nagle poślizgnęła się i usiadła w gładkiej wodzie, więc po chwili ruszyła słabym crawl'em ku środkowi rzeki. Potem wszyscy ułożyli się wygodnie na porośniętej jaskrami nadrzecznej łące. Mokra głowa Nicole spoczywała na ramieniu Johnny'ego, a jej sukienka schła w żarze palącego słońca. Czuła delikatne palce mężczyzny rozplątujące jej włosy, ale widziała, że Thierry obserwuje ich z cienia kasztanowca.

Późnym popołudniem wrócili do Compton Deverall. Jeden z młodych Holendrów przywiózł Nicole na ramie roweru. Laura Kemp wyjechała, by opiekować się siostrą, która przeszła jakąś operację, lecz dom był pełen uchodźców i gości, którzy przyjechali na weekend. Nicole przygotowała olbrzymi garnek gulaszu i posłała Holendra do piwnicy po kilka bardzo starych i oplecionych siecią pajęczyny butelek wina. Po kolacji grali w szarady i muzyczną grę Felixa, która była bardzo skomplikowana. Johnny z niesmakiem zrezygnował z tej rozrywki, wołał

bowiem butelkę brandy i swoje papierosy, Thierry natomiast wygrał, gdy tylko przyłączył się do nich. Thierry był bardzo inteligentny i bystry. Potem jeden z przyjaciół Nicole z BBC zaproponował, by zabawili się w chowanego. Compton Deverall, powiedział, z mnóstwem zakamarków i mrocznych pokoi, było wprost idealne do tej gry.

Znalazłszy się samotnie w jakiejś sypialni na piętrze, Nicole stanęła w oknie, rozsunęła ciężkie brokatowe zasłony i spoglądała w gwiazdy. Słyszając otwierane drzwi, spojrzała za siebie i zobaczyła Thierry'ego.

- Nie ukryłaś się zbyt dobrze, Nicole.

- To niemądra gra.

- Wszystkie gry są niemądre - rzucił lekko i zapalił papierosa. - Pomagają niemądrym ludziom zabić czas.

- Zaciemnienie... - odrzekła wymijająco, spoglądając na papierosa, ale Thierry palił nadal. Cisza się przedłużała. -A poza tym - wyjaśniła - nie cierpię chowania się w kredensach i tych wszystkich niedorzecznych zabaw.

Stał za nią i choć jej nie dotykał, poczuła żar jego ciała bijący ku niej przez wieczorne powietrze.

- Gdy w 1940 roku uciekałem z Francji - powiedział - przez dwa dni i dwie noce ukrywałem się pod drewnianą ławką w pociągu.

- Jakież to okropne - odrzekła z drżeniem.

- Zmarzłaś, Nicole - zauważył, otaczając ją ramionami.

Oparła się o Thierry'ego i po chwili poczuła usta mężczyzny na szyi, a potem jego dłonie przesunęły się po gładkiej wypukłości jej brzucha, ukrytego pod bawełnianą suknią.

- Nie rób tego - powiedziała ostro.

- Sprawilem ci ból? - W jego głosie zabrzmiała troska.

- Nie, nie w tym rzecz. Chodzi o to... - Szukała odpowiednich słów. - To mi przypomina o ciąży.

Zapadło milczenie, które przerwał Thierry.

- Nie chcesz tego dziecka, Nicole?

Pierwszy raz ktoś ją w ogóle o to zapytał. Wszyscy wokół -David, Laura, Poppy, Ralph - przyjmowali za rzecz oczywistą, że pragnęła mieć dziecko. Tylko czasami Nicole czuła jakieś niewypowiedziane wątpliwości Faith.

- Nie podoba mi się, że jest we mnie. Czuję się tak, jakby mnie zniewalało, jakbym to ja należała do niego.



- Ale przecież jest na odwrót, nieprawdaż? - zauważył łagodnie. - To dziecko będzie należało do ciebie, Nicole.

- Ono czuje inaczej. - Szybko oparła rękę na brzuchu. - Próbuję nie pozwolić, by mnie zmieniło, ale ono to zrobi, prawda? Będę zadowolona, kiedy się urodzi i to wszystko się skończy.

- Gdy dziecko się urodzi, pokochasz je - tłumaczył Thierry. - Pokochasz je, jak wszystkie matki, bez względu na to, jak brzydkie czy też niegrzeczne są ich pociechy.

- Naprawdę tak myślisz? - spytała Nicole z uśmiechem. - Jeśli odziedziczy dobry charakter Davida i moją urodę, wtedy wszyscy będą je uwielbiać. - Spojrzała w okno i zobaczyła przyćmione reflektory samochodu zmierzającego między drzewami ku domowi. - Następni goście - powiedziała. - Będę musiała chyba położyć ich w piwnicy.

Zeszła na dół. Pozostali przestali już grać w chowanego i teraz słychać było zarówno fortepian, jak i gramofon. Johnny zapadł w sen przy kominku, a inni celowali papierowymi samolotami w żyrandol.

Nicole usłyszała klucz obracający się w zamku frontowych drzwi. Ktoś złapał Nicole za rękę, próbując nakłonić ją do tańca. Była północ. Nicole podniosła wzrok, gdy kolejny gość wszedł do salonu.

- David! - zawołała i podbiegła ku niemu.

- To tylko kilku przyjaciół przyjechało na weekend - wyjaśniała.

Potem zobaczyła, że jest zmęczony i blady. Siedział, nic nie mówiąc, z głową wspartą na rękach. Podeszła i pogłaskała go po opuszczonych ramionach. Pozostali zaczęli wychodzić, wysuwając się cicho przez frontowe drzwi, a potem słychać było trzeszczący pod butami żwir. Dwaj mężczyźni postawili John-ny'ego na nogi, ktoś wyłączył gramofon.

- Davidzie - odezwał się Nicole - wszyscy już poszli, kochanie. Powoli podniósł głowę i spojrzał na żonę.

- Wyglądasz na wyczerpanego - szepnęła.

Głębokie bruzdy przecięły jego twarz od nosa do warg. Był bardzo znużony. Wydawał się bliższy czterdziestki niż trzydziestu lat.

- Miałem zły dzień - tłumaczył, próbując się uśmiechnąć. - W istocie kilka złych tygodni.

- Gdzie byłeś?

- Nie mogę powiedzieć - odrzekł i przetarł oczy, mrugając powiekami.

- Wyjeżdżałeś z kraju?

Milczał, ale wyczytała tę prawdę w jego oczach.

- Och, Davidzie - wyszeptała i uklękła przed nim, opierając głowę na jego kolanach.

- Siedziałem za kierownicą przez... - rzucił okiem na zegarek - ...niemal dwanaście godzin. Nie powinienem, jak sędzę, pojawiać się tutaj tak nagle, bez uprzedzenia cię, ale pragnąłem wrócić do domu. I pragnąłem zobaczyć ciebie, Nicole. Tylko kiedy wszedłem, prawie nie poznałem tego miejsca. Tak się zmieniło. Ci ludzie...

Pierwszy raz spostrzegła zmięte kulki papieru, puste butelki w palenisku kominka, brudne kieliszki, rozrzucone wokół pudełka po papierosach i okładki płyt.

Ujęła rękę męża w swoje dłonie.

- Ja się nie zmieniłam, Davidzie. Jestem taka sama. Oprócz tego, oczywiście.

Wstała i pozwoliła mu oprzeć głowę na swoim brzuchu. W końcu się uśmiechnął. Słuchał, jak powiedział, uderzeń serca dziecka. Nicole wyobraziła sobie, jak tyka gdzieś w jej wnętrzu niczym budzik w brzuchu krokodyla z „Piotrusia Pana”. Oto jej prezent dla męża, postanowiła. To dziecko stanowi jej podarunek dla Davida, który jest miły, dobry i nieskomplikowany i którego zawsze, cokolwiek się zdarzy, będzie kochała z całego serca.

W październiku 1940 roku Eleanor, po ulokowaniu Olivera w Derbyshire, zdobyła jakąś starą furgonetkę, wyposażyła ją w czajniki, sagany oraz naczynia stołowe i jeździła w te okolice East Endu, które najbardziej ucierpiały w czasie nalotów. Przygotowywała zupę, herbatę i kanapki dla tych, którzy nie mieli nawet filiżanek, nie mówiąc już o kuchniach, i podawała talerze z ciastem wyczerpanym głodnym strażakom, ratownikom i lekarzom. Miesiąc później zdobyła drugą furgonetkę, wyposażyła ją podobnie i wybrała dwie godne zaufania członkinie Kobiecej Służby Pomocniczej do takiej samej pracy. Po Nowym Roku powierzyła zadanie prowadzenia własnej furgonetki koleżance, a sama zajęła się wyszukiwaniem odpowiednich pojazdów i ich

wyposażaniem oraz sprawnym kompletowaniem personelu. Zasmakowała w działalności organizacyjnej; podawanie filiżanek herbaty ludziom, którzy wyglądali, jakby nosili te same ubrania przez dwa tygodnie, sprawiało jej mniejszą przyjemność.

Kiedy Luftwaffe skierowała swą uwagę ku innym wielkim miastom Anglii - takim jak Coventry, Bristol i Southampton -zwrócono się do pani Neville o wskazówki. Podróżowała więc po całej Anglii, zabiegając o wyposażenie pojazdów, przymilała się o paliwo i wskazywała, gdzie są największe potrzeby. Miała też wycucie, jeśli chodzi o dobieranie najbardziej niezawodnego i odpowiedzialnego personelu. Poproszono ją również o pomoc w nadzorowaniu systemu rozdzielania używanej odzieży, którą zdobywała Kobięca Służba Pomocnicza. Do sortowania poplamionej bielizny i dziurawych swetrów oddelegowała inne panie, sama zaś skupiła się na tym, by ubrania najbardziej nadające się do użytku trafiły do ludzi, którzy byli w największej potrzebie. Sam burmistrz Bristolu podziękował Eleanor za jej ciężką pracę.

Oddając się tej trudnej, ochotniczej pracy, regularnie odwiedzała też Olivera. Miał już osiemnaście miesięcy i widać było jego czystą, delikatną urodę. Gdy przyjeżdżała do domu w Derbyshire, wybiegał i witał matkę z radością, która ostatnio wydała się Eleanor nieoczekiwanie przyjemna. Najwyraźniej uważał te odwiedziny za wyjątkowe wydarzenie i biegał za nią po całym domu i ogrodzie, trzymając ją za spódnicę. Takie objawy przywiązania były szczególnie wzruszające. Pewnego dnia Eleanor obserwowała synka bawiącego się przy strumyku. Rzucając płaskie kamyczki do przejrzystej wody, spoglądał za siebie co kilka minut, jakby upewniając się, że mama wciąż tam jest. Choć jasne włosy i cera chłopca kontrastowały z czarną czupryną i smagłą twarzą męża, to wyraz oczu Olivera - ów mocny błękit - przypomniawszy jej nagle Guya i pierwsze dni ich zalotów. Kiedyś Guy patrzył na nią tak właśnie; z takim samym żarliwym i czystym oddaniem. Przyszło jej teraz na myśl, że wiele czasu minęło od chwili, gdy widziała ów wyraz w oczach męża.

Ta zmiana stosunku Guya do niej, pomyślała Eleanor, łączyła się z przybyciem do Anglii rodziny Mulgrave'ow. Od tego czasu stał się bardziej krytyczny i mniej pragnął sprawiać jej przyjemność. Eleanor już dawno czuła, że charakter Guya miał dwie

strony. Ona sama odpowiadała jednej, Mulgrave'owie zaś -zwłaszcza Faith - pasowali do tej drugiej. Chociaż na zewnątrz Guy wydawał się uładzony, to jednak miał w sobie jakiś element buntowniczości. Eleanor zdawała sobie sprawę z tego, że poślubił ją dla jej energii, śmiałości i pewności siebie. Faith Mulgrave zaś lubił za... nie była całkiem pewna, za co. Nie potrafiła pojąć, co mężczyźni mogli podziwiać w tej dziewczynie. Ona widziała tylko jej chude, kościste ciało, rozczochrane włosy o niezdecydowanej barwie oraz twarz pozbawioną wdzięku przez zbyt wysokie czoło i smutne szarozielone oczy. Zakłopotana Eleanor rozmawiała na ten temat z ojcem. Faith jest oryginalna, powiedział Selwyn Stephens, dodając, że ma ona własną osobowość, co jego córce nie wyjaśniło niczego. Doszła więc do przekonania, że mężczyźni lubili pannę Mulgrave, gdyż czuli, że jest... dostępna, ponieważ w jej nierozważnym zachowaniu i osobliwych strojach widzieli równie rozchwianą moralność.

Chociaż pani Neville zawsze dostrzegała w niej rywalkę, groźba Faith została umniejszona - a w istocie anulowana -przez sam fakt małżeństwa Eleanor z Guyem. Jedną z cech jego charakteru był niemal purytański idealizm. Eleanor wiedziała, że jej mąż nie należy do mężczyzn, którzy łatwo mogliby się wdać w jakiś przypadkowy romans. Owych zasad moralnych, które zostały wpojone Guyowi zarówno przez jego rodziców, jak i szkołę oraz oderwane od świata wychowanie, nie można było łatwo złamać. Z Faith, oczywiście, sprawa miała się całkiem inaczej. Beztroska wczesna młodość nie nauczyła jej cenić stałości. Eleanor czuła, że panna Mulgrave, która tak chętnie pomieszkiwała w domach innych ludzi, nosiła jakieś pożyczone lub pochodzące z drugiej ręki ubrania i niedbałym wdziękiem potrafiła oczarować przyjaciół innych ludzi, nie przepuściłaby sposobności sięgnięcia po czyjegoś męża. Faith uraczyła ich wszystkich opowieściami o licznych romansach swego brata, a sama Eleanor słyszała również plotki o jej zameżnej młodszej siostrze. Czemuż więc owa niechlujna, lekkomyślna istota miałaby się czymkolwiek różnić od swego rodzeństwa? I któryż mężczyzna byłby zdolny oprzeć się temu, co mu podsuwano na talerzu?

Ostatnio Eleanor odnosiła wrażenie, że sama wojna, która tak rozchwiała życie w Londynie, wynikające z tego rozluźnienie zasad postępowania dobrego towarzystwa, powiększyła

owo niebezpieczeństwo. Przyjęte reguły łamano teraz wszędzie. Miasto, w którym Eleanor przeżyła całe swoje życie, w ciągu minionego roku zmieniło się wprost nie do uwierzenia. Bomby, niszczące zarówno rudery, jak i piękne domy, poczyniły straty większe niż tylko materialne. Damy w futrach stały teraz w kolejce do rzeźnika wraz ze zwykłymi gospodyniami domowymi. Robotnicy fabryczni, ośmieleni pieniędzmi zarobionymi przy produkcji wyposażenia dla wojska, chodzili na tańce do eleganckich nocnych klubów. Londyn był obecnie wciąż zmieniającym się kalejdoskopem narodowości i wszystkich klas. Teraz nie oceniano się już ludzi po akcencie ani ze względu na nazwisko, lecz wedle noszonego munduru. Owe zmiany bardzo przeszkadzały Eleanor; Guy natomiast, jak podejrzewała, przyjmował je z entuzjazmem.

Mulgrave'owie, jak uważała pani Neville, byli symbolem owych wszystkich nagle awansujących w hierarchii społecznej mieszkańców wojennego Londynu. Nie mając domu, pozycji ani pieniędzy dryfowali beztrudnie w mieście, którego chwilami wprost nie mogła poznać. Ich wielojęzyczność i kolejno dziedziczone po sobie ubrania nie były niczym wyjątkowym w stolicy roku 1941. Dopasowali się do tego zmienionego świata znacznie łatwiej niż Eleanor. Oni, i tacy jak oni, pozbawili ją niezachwianej świadomości własnego miejsca w towarzystwie i wyzuli z czegoś, co zawsze uważała za oczywiste. Zrozumiała, że to, co początkowo podziwiała w Guyu - jego buntowniczy nieustraszony charakter - bardziej zbliżyło go w tym zmaltretowanym, sponiewieranym Londynie do Mulgrave'ow niż do niej.

Widywała pannę Mulgrave jedynie okazjonalnie, dopóki Guyowi nie przyszło do głowy, że Faith jest wyczerpana i osłabiona. Wszyscy jesteśmy wyczerpani, chciała mu powiedzieć Eleanor, a ta dziewczyna potrzebuje twojej troski nie bardziej niż kto inny. Eleanor także pracowała zwykle osiemnaście godzin na dobę i także miała za sobą niezliczone nieprzespane noce. Tamta jedynie prowadziła ambulans; nie musiała myśleć, organizować ani dźwigać ciężaru odpowiedzialności, który wzięła na swe barki pani Neville. Jakież to typowe dla Mulgrave'ow, myślała z niesmakiem Eleanor - wybrać sobie zadanie bardziej dramatyczne, lecz wymagające mniej zdolności.

Guy napisał do stacjonującego w Northumberland Jake'a, któremu udało się dostać tygodniowy urlop. Dokonywał teraz

różnych napraw w domu przy Mahonia Road i Guy zaprosił go na kolację. Z całej rodziny Mulgrave'ow to właśnie Jake najlepiej się prezentował. Miał lepsze maniere, był mniej niedbały niż Ralph i nie odznaczał się ową przebiegłością, o którą Eleanor podejrzewała Faith. Chociaż Jake był podobny do siostry, oczy miał jak należy, niebieskie, a nie jakieś tam szarozielone. Był też wysoki, muskularny i komplementował kuchnię pani Neville.

- Kolacja była absolutnie wspaniała - powiedział, sięgając po rękę pani domu i całując ją. - To jeden z najlepszych posiłków, jaki kiedykolwiek jadłem.

Eleanor, która nigdy się nie czerwieniła, ze zdumieniem poczuła rumieniec na twarzy.

- No nie! Jake, ależ z ciebie pochlebca - skrzywiła się panna Mulgrave.

- Jesteś bardzo surowa dla swego brata, Faith - stwierdziła Eleanor.

Tamta wstała od stołu i otoczyła Jake'a ramieniem.

- To dlatego, że go dobrze znam i widzę na wylot - oświadczyła, na co Jake się uśmiechnął, pociągnął siostrę za włosy i powiedział coś ogromnie niegrzecznego. Faith dodała więc: -A ponieważ jesteś dla mnie taka miła, Eleanor, uważam, że powinnaś znać prawdę o moim bracie.

- To prawdziwa przyjemność poznać cię, Jake - odpowiedziała sztywno.

- Nie pochlebiaj mu, Eleanor. Jake jest bardzo próżny i po prostu pęknie z dumy - powiedziała Faith i odwróciła się ku Guyowi. - Pamiętasz, Guy, w jaki sposób mój brat zwykł przekonywać madame Perron, żeby dawała mu cukierki?

Guy zmarszczył brwi.

- Masz na myśli tę starą maskarę, która prowadziła w miasteczku sklepik spożywczy?

- No właśnie. Nicole i ja bałyśmy się jej panicznie. Myślałyśmy, że jest czarownicą, a ona świata nie widziała poza Jakiem.

- Genya nie znosiła madame Perron. Uważała, że oszukiwała ją w rachunkach za warzywa.

- Okropnie się kłóciły i Genya zwykle krzyczała na nią po polsku.

- A przeklinać umiała wprost wspaniale...

- Prostowała się wtedy na całą wysokość...

- A pamiętasz, Guy, jak...

Zapomnieli o pozostałych; Selwyn Stephens uśmiechnął się pobłaźliwie i opadł na swój fotel obok kominka, lecz Eleanor czuła głęboką, dojmującą urazę. Zlekceważyli ją. Nie należała do owego małego, uprzywilejowanego kręgu rodziny Mulgrave'ow. Guy do niego należał, ale jego żona - nie. Tolerowali Eleanor, ale nie przyjęli jej serdecznie. Wyjątkowość tych ludzi nie wynikała ani z ich zamożności, ani też pozycji towarzyskiej, ale z owych szczególnych praw, jakie im przyznawano. Gdyby ona pozwoliła sobie na ich swobodę, spotkałaby się jedynie z drwiną. Do Mulgrave'ow wszakże stosowano inne reguły.

Pewnego gorącego letniego dnia Eleanor zjawiała się bez uprzedzenia w domu przy Malt Street, by zobaczyć się z Guyem po przedpołudniowych przyjęciach pacjentów. Znalazłszy się na ścieżce prowadzącej do domu, usłyszała dochodzące z ogrodu głosy: Guya i Faith. Spierali się o coś, lecz ich sprzeczka przerywana była śmiechem.

Odwróciła się na pięcie. Udało jej się na szczęście złapać autobus do Camden, a resztę drogi do domu pokonała piechotą. Szybki marsz nie zdołał osłabić jej furii. Właśnie wtedy, przecinając Queen Square, ujrzała znajomą sylwetkę.

Ralph Mulgrave. Poznała ten obszerny czarny płaszcz i sfatygowany kapelusz z szerokim rondem. Nie poznała jednak kobiety, z którą szedł. Wysoka, smukła platynowa blondynka ubrana była z tą niewymuszoną elegancją, której pani Neville (sama o tym wiedziała), nigdy nie udało się osiągnąć.

Eleanor z drugiej strony ulicy obserwowała, jak się obejmowali. To był uścisk kochanków: ileż pożądania zawierał ów intensywny pocałunek; ile uwielbienia dostrzegało się w geście, jakim Ralph przyciągnął do siebie tamtą... Przez chwilę Eleanor zazdrościła im tego wszystkiego, a potem, idąc dalej, postanowiła zatrzymać sekret dla siebie, hartując ową broń, by stała się ostrzejsza.

- Truskawki... - Patrząc na owoce, Faith poczuła, iż kręci jej się w głowie.

- Z Compton Deverall - powiedziała Nicole. - Mamy ich tam mnóstwo...

Tego ranka jakiś przystojny młody człowiek w mundurze RAF-u dostarczył na Mahonia Road list zawiadamiający Faith,

że Nicole przyjechała do Londynu i zatrzymała się w domu przy Devonshire Place.

- Możesz zjeść wszystkie - mówiła dalej siostra. - Mnie już od nich mdli, a zresztą nie jestem głodna.

W siódmym miesiącu ciąży Nicole, ze swoimi chudymi nogami i okrągłym korpusem wyglądała jak żuczek, pomyślała Faith. Jej twarz, nogi i ręce zdawały się chudnąć coraz bardziej, a brzuch stawał się coraz większy.

- David cię tu przywiózł? - zapytała Faith, zajądając się truskawkami.

- Nie widziałam go od wieków. Od maja. Prawdę mówiąc, przywędrowałam tu sama - zachichotała tamta. - Stałam przy drodze w mojej obszernej ciążowej sukience i podniosłam kciuk.

- A oto jeszcze jeden autostopowicz - zauważyła Faith, unosząc z truskawki tłustą zieloną gąsienicę.

Na stole stał wazon pełen róż.

- Połóż ją na jednym z kwiatów - powiedziała Nicole. - Thierry mi je dał.

- Thierry?

- Jest Francuzem i ma skłonność do romantycznych gestów. Faith ostrożnie umieściła gąsienicę w ciepłym, różowym sercu róży.

- W Londynie jest okropnie gorąco. Wydaje mi się, że tego lata w Compton Deverall byłoby przyjemniej.

- Nudziło mi się. - Siostra wzruszyła ramionami. - Nie mamy już tak wielu gości, odkąd zaprzestano bombardowań Londynu. Ostatni weekend spędziłam tylko z Laurą i uczennicami. - Po tych słowach spojrzała na Faith. - Znalazłaś coś dla mnie? W domu noszę stare swetry Davida, ale przecież nie będą pasować do nocnego klubu, prawda?

- Proszę - Faith pokazała jej zawartość plecaka.

Dwie ciasno zwinięte sukienki początkowo wydawały się niezachęcające, ale kiedy je rozłożyła, zafalowały jedwabnymi fałdami. Nicole chwyciła jedną z nich.

- Przepiękne!

- Nieprawdaż? Czysty przypadek, oczywiście. Powinny na ciebie pasować, nie mają wcięcia w talii.

Nicole zrzuciła swój ciążowy strój i włożyła sukienkę przez głowę. Turkusowy jedwab miał kolor jej oczu.



- W nagrodę dostaniesz szampana do truskawek, najdroższa Faith! - zawołała, całując siostrę. - Znam pewnego niebywale sprytnego Francuza, dostarczył mi pół tuzina butelek. -Przebiegła rękami po wąskich fałdach i jęknęła, dotykając brzucha. - Będę taka zadowolona, kiedy się wreszcie urodzi. Dzięki Bogu, że to jeszcze tylko sześć tygodni! Mogłabyś...? -Wręczyła Faith butelkę szampana i roześmiała się znowu. - Nie mogę już tańczyć „policzek do policzka”, tylko raczej „brzuszek do brzuszka”.

Pod udawaną wesołością siostry Faith wyczuła jakiś smętny nastrój. Korek od szampana wystrzelił z hukiem. Napełniwszy kieliszki, jeden z nich podała siostrze.

- Nicole, czy dzieje się coś złego?

- Gdybym naprawdę kochała Davida, to nie potrzebowałabym innych mężczyzn, prawda? - wyszeptała Nicole.

- Sama powiedziałaś, że ostatnio prawie go nie widzisz. Jesteś więc tylko trochę osamotniona - tłumaczyła Faith, starając się, by zabrzmiało to uspokajająco.

- Tak przypuszczam. - Siostra składała i rozkładała fałdy sukienki.

Faith zastanawiała się, czy jakiegokolwiek małżeństwo mogłoby spełnić oczekiwania Nicole.

- Być może nie należy oczekiwać, że zawsze wszystko układa się wspaniale - starannie dobierała słowa. - Może tak się dzieje tylko w książkach. Sądzę, że myślisz o tych sprawach, bo jesteś zmęczona i źle się czujesz z powodu ciąży. - Słyszała we własnym głosie błagalną nutę. - Guy mówi, że ciąża zawsze nieco pogarsza nastrój kobiety.

- Guy... - uśmiechnęła się Nicole. - Jak się miewa Guy? Nie widziałam go od lat. Czy wciąż jest taki przystojny?

Faith, która wypila dwa kieliszki szampana i zjadła cały koszyk truskawek, czuła się teraz pełna i śpiąca.

- Guy bardzo ciężko pracuje i jest jeszcze bardziej nachmurzony niż zwykle - odpowiedziała, także się uśmiechając.

- Zawsze miał w sobie coś z Heathcliffa - stwierdziła marzycielskim tonem Nicole.

- Dość często jadamy razem obiady w jego domu w Hackney. Później, w domu, drzemiącej na sofie Faith przyśniło się, że

zielona gaśienica, znaleziona w truskawkach, przeistoczyła się w ową żmiję, która ukąsiła ją w lasach nieopodal La Rouilly.

We śnie czuła wargi Guya dotykające jej skóry, ale już nie wysysał jadu, tak jak zrobił to owego dawno minionego lata, lecz pieścił jej stopę, palce i kostkę. Powoli i ekstatycznie zmierzał gąsienicowym ruchem ku kolanu, dopóki budzik nie zadzwonił o siódmej, przypominając Faith, że musi iść do stacji karetek.

Nicole niezbyt lubiła dom przy Devonshire Place - dom kawalerskich czasów Davida - był bowiem dość mroczny i nieładnie umeblowany, nie zamierzała jednak spędzać tu wiele czasu. Telefonując do londyńskich przyjaciół, otrzymała niebawem liczne zaproszenia do barów, restauracji i nocnych klubów. Wszystkie wieczory spędzała więc poza domem, mimo że dziecko było w drodze. Dostała pełen strachu i zawołanych wymówek list od Laury Kemp (wyjechała bowiem z Compton De-verall pod wpływem chwilowego impulsu) i odpowiedziała natychmiast, zapewniając teściową, że udała się do Londynu, by kupić parę rzeczy dla dziecka, jak wcześniej zasugerował jej David. W końcu jednak nie kupiła pieluszek ani śpioszków, bo w pewnym antykwariacie przy Frith Street odkryła niewielki obraz Corota i wydała na niego wszystkie pieniądze, jakie mąż dał jej na wyprawkę dla niemowlęcia. Przed sklepem, w słońcu, podziwiała teraz wspaniałe kolory dzieła. To znacznie lepszy prezent dla syna, pomyślała, niż jakaś nudna grzechotka.

Dom przy Devonshire Place rozjaśnił się nagle, gdy ściągnęli do niego przyjaciele Nicole. Młoda kobieta wybrała się do teatru oraz do modnej Cafe Royal i popularnego klubu Quaglino's, pewne kwestie jednak nie dawały jej spokoju. Jeśli David był Tym Jedynym, to dlaczego potrzebowała innych? Jeśli naprawdę kochała męża, to dlaczego tak niechętnie przebywała w Compton Deverall, by tam na niego czekać? Ponieważ owe niepokojące myśli przychodziły jej do głowy tylko wtedy, gdy była sama, dbała o to, żeby zawsze mieć towarzystwo.

Jedynie Thierry zauważał jej niepokój. Wczesnym rankiem wyrzucił pozostałych gości z domu przy Devonshire Place i zabierał Nicole kieliszek oraz papierosy, a potem podawał jej szklanekę gorącego mleka.

- Mleko jest dobre dla dziecka - mówił. - Będzie miało mocne zęby i kości.

Układał ją na sofie ze stopami uniesionymi na poduszkach, zaś sam sadowił się obok, tuż przy jej ramieniu.

- Powinnaś pojechać do domu, Nicole - tłumaczył. - Wróc do swego pięknego domu na wsi.

- Już niedługo - zapewniała go z uśmiechem.

Śniady Thierry był bardzo przystojny, lecz wydatne kości policzkowe i opadające ku dołowi kąciki ust, nadawały jego twarzy sardoniczny wyraz.

- Freddy i Jerry mają jutro przyjechać z wizytą.

- To przecież jeszcze chłopcy - zauważył z niechęcią Thierry, wzruszając ramionami.

- Są bliźniakami, kochanie, strasznie przystojnymi i strasznie czarującymi.

Thierry zapalił małe ciemne cygaro.

- Zameczasz się, aby nie myśleć, Nicole. O czym tak bardzo nie chcesz pamiętać?

Spojrzała na niego chmurnie, ale nie odpowiedziała.

- Chodzi o dziecko? - nalegał. - Boisz się porodu?

- Sądzę, że to będzie okropne, bo wszyscy mówią, że to straszne, ale prawdę mówiąc, w rzeczywistości wcale o tym nie myślę. Nie o porodzie.

- Wciąż nie jesteś pewna, czy chcesz je mieć?

Właściwie żałowała ich wcześniejszej rozmowy. Zastanawiała się przelotnie, czy to nie Thierry jest Tym Jedynym, ale ponieważ nigdy nie czuła się całkiem swobodnie w jego towarzystwie, z ulgą doszła do wniosku, że to nie on.

- Oczywiście, że chcę mieć dziecko. - Zrezygnowała z gorącego mleka, bo zrobił się na nim wstrętny kożuch. - David będzie się cieszył, że ma syna. Wszak linia rodu Kempów trwa nieprzerwanie od szesnastego wieku, wiesz?

- Doprawdy? - Na twarzy mężczyzny pojawił się drwiący uśmiech. - Naturalnie, David przywiązuje wagę do takich rzeczy, ale ciebie, Nicole, wszystko to nie obchodzi ani trochę. Ty masz cygańską duszę. I oczywiście właśnie dlatego biedny David zakochał się w tobie.

- Ale mnie bardzo zależy na Davidzie - odpowiedziała z przekonaniem. - Chcę uczynić go szczęśliwym.

- Tylko dlatego, że czujesz się winna wobec niego.

- To nieprawda! Ja go kocham! Spojrzał na nią uważnie.

- Być może - odrzekł i przez chwilę palił w milczeniu, a potem dodał: - Jeśli naprawdę chcesz uszczęśliwić Davi-

da, to wróć do swojego wiejskiego domu. Zameczasz się, Nicole.

- Thierry-niańka! - zawołała drwiącym tonem. - Minałeś się ze swoim prawdziwym powołaniem, kochanie. Powinieneś zrezygnować ze swoich myśliwców i spacerować z wózkiem po parku.

Próbowała wstać, ale teraz nie było to już takie łatwe i ku irytacji Nicole Thierry musiał jej pomóc. Nie pozwolił jej odejść, lecz stanął przed nią i zaczął mówić cichym głosem:

- Gdyby nie to - wskazał na wydatny brzuch Nicole - nie przynosiłbym ci gorącego mleka i nie podkładałbym pod stopy poduszek, ale bym się z tobą kochał.

- Jak śmiesz! - wydała z siebie zdławiony okrzyk.

- Och, ośmieliłbym się i sama byś mi na to pozwoliła. - Koniuszki palców mężczyzny gładziły jej szyję. Czuł, jak Nicole drży. - Kochałbym się z tobą. Ale robienie tego, gdy nosisz dziecko Davida - ręka Thierry'ego opuściła szyję Nicole i bardzo delikatnie spoczęła na jej brzuchu - wydawałoby mi się podążaniem śladami innego mężczyzny.

- Powiedziałam ci: że kocham mojego męża! - syknęła z wściekłością.

Pozwolił jej odejść.

- Oczywiście, że go kochasz, ale prawdopodobnie niewystarczająco - odparł, sięgając po swoją marynarkę i czapkę. -A teraz idź spać, Nicole.

Następnego dnia niemiłe słowa Thierry'ego wciąż dźwięczały jej w pamięci i Nicole zrobiła wszystko, by być bardzo zajęta. Po śniadaniu w Savoyu bawiła się na pikniku z Ralphem i jego przyjaciółmi w Hampstead Heath, potem z kilkoma znajomymi z BBC zjadła obiad w British Restaurant, skąd później poszła z nimi na jakieś przedstawienie rewiowe. Potem zaś wszyscy udali do klubu przy Back Street. Nicole miała na sobie jedną z sukien podarowanych jej przez Faith; perłowy kolor podkreślał jej bladość. Z irytacją zobaczyła, że przyłączył się do nich Thierry. Aby mu dokuczyć, tańczyła bez umiaru i śmiała się głośno. Bolały ją nogi i czasem, gdy wstawiała zbyt szybko, czuła się dziwnie oszołomiona, ale nie chciała przypisać tego zmęczeniu. Oznaczałoby to bowiem, że dziecko brało nad nią górę, że ją zdominowało, że to ona należy do niego.

Pewien Kanadyjczyk uczył ją właśnie nowego kroku tanecznego, gdy owo oszołomienie stało się wyjątkowo silne, a mroczne wnętrze nocnego klubu wypełniło się nagle jasnymi gwiazdami i ciemnymi, zielonkawymi plamkami. Ktoś wołał, by wynieść ją na powietrze i wachlował Nicole wojskową czapką RAF-u. Ktoś inny zaś próbował wmusić w nią kieliszek brandy.

- Żeby tylko nie zaczęła nam rodzić tutaj tego cholernego dziecka! - zawołał jakiś kobiecy głos i Nicole, która omal nie krzyknęła, nagle poczuła się tak, jakby rodziła.

Thierry wziął ją na ręce, ułożył delikatnie w swoim samochodzie i odwiózł na Devonshire Place. Spodziewała się, że będzie triumfował, ale nie robił tego. Rano siedziała w łóżku, blada i osłabiona, a Thierry pakował jej rzeczy. Potem odwiózł Nicole do Compton Deverall.

Był środek lata, więc nie mogła zobaczyć owych licznych okien ani wysokich, cukierkowych wieżyczek, dopóki nie zostawili za sobą obsypanej liśćmi alei buków. Potem kamienne słupki okien zaczęły wydawać się kratami i wielki ciemny dom pochłonał Nicole.

Pewnego przedpołudnia Faith pojawiła się w domu przy Malt Street w godzinach przyjęć chorych. Kiedy Guy wyszedł z gabinetu, by poprosić następnego pacjenta, siedziała między mężczyzną z ropiejącym palcem i jakimś młodzieńcem z liszajem. Zbladł, a w istocie poczuł, że blednie, bo przód jej sukienki był czerwony od krwi. Dostrzegła wyraz jego twarzy.

- To nie ja, Guy, to Łobuz - powiedziała szybko. Trzymała na kolanach jakiegoś psa: trzęsące się, sparszywiałe stworzenie nieokreślonej rasy. - Znalazłam go, idąc tutaj - wyjaśniała. - Wszedł w potłuczone szkło. Owinęłam mu łapę spódnicą, ale wciąż krwawi. Nie wiedziałam, gdzie szukać weterynarza, więc pomyślałam, że może ty... - Spoglądała na niego z nadzieją.

Guy rzucił okiem na zwierzę. Niewiele psów było w tych dniach w Londynie; większość ewakuowano razem z właścicielami, a pozostałe wyły oszalałe z przerażenia na skutek bombardowań i trzeba było je usypiać. Pies, którego znalazła Faith, musiał być zrobiony z mocniejszego materiału.

- Najpierw muszę przyjąć moich ludzkich pacjentów - powiedział i szybko uporał się z zaropiałym palcem oraz liszajem. Potem, okrywszy gazetą kanapę w swoim gabinecie, po-

prosił Faith, by wniosła psa. Rany zwierzęcia były głębokie i długie. Guy oczyścił je środkiem dezynfekującym i zaczął zszywać. - Dlaczego Łobuz? - zapytał po chwili. - Przecież nie ma tabliczki z imieniem.

- Próbował ukraść mięso u rzeźnika. Jest okropnie chudy, prawda, Guy? Wydaje mi się, że to przybłęda. Pomyślałam, że mogłabym go zaadoptować.

Łobuz był nie tylko chudy, pomyślał Guy, ale również okropnie śmierdział. Zmierzwiona sierść wprost ruszała się od pcheł. Będzie trzeba zdezynfekować gabinet.

- Ten pies ma już swoje lata, Guy. Spójrz, uszy mu siwieją.

- W sypialni na piętrze jest trochę starych rzeczy Eleanor, Faith, jeśli chciałabyś zmienić sukienkę. Ja skończę tutaj zabieg z psem.

Spojrzała na swoje poplamione krwią ubranie.

- W autobusie ludzie starali się nie siadać obok mnie. Poszła na górę. Guy założył zwierzakowi kilka ostatnich

szwów i podszedł do umywalki, by umyć ręce. Gdy wrócił do kozetki, zobaczył, że Łobuz leży podejrzenie spokojnie. Przyłożył stetoskop do miejsca, gdzie powinno znajdować się serce zwierzęcia, ale nie usłyszał żadnego dźwięku.

- Przypuszczam, że to szok - mruknął. - Biedny staruszek... Znalazłszy jakieś stare prześcieradło, zawinął w nie zwierzaka i poszedł na piętro, żeby odnaleźć Faith.

Drzwi do sypialni, którą niegdyś dzielił z żoną, były uchylone. Dostrzegł przez nie łagodne wygięcie nagiej szyi i ramienia zanim, odwróciwszy się, chrząknął i zapukał do drzwi.

- Faith? Czy mogę wejść?

Odwróciła się ku niemu roześmiana, dopinając ostatni guzik jakiejś kremowej bluzki.

- Eleonora ma takie piękne rzeczy, prawda, Guy? Nie wzięłam najlepszych. I musisz jej powiedzieć, że wypiorę i wyprasuję je z największą ostrożnością i że...

Przerwała, dostrzegając wyraz jego twarzy. Przeciął pokój, podszedł i powiedział jej o psie. Nie był przygotowany na to, co stało się potem; nie był przygotowany na łzy, które popłynęły z oczu Faith i na towarzyszący im szloch.

Omam nie powiedział: „Przecież to tylko stary, chory przybłęda”, ale zdołał się powstrzymać. Wiedział, że płakała nie z powodu psa, którego próbowała uratować, lecz z powodu te-

go wszystkiego, co oglądała przez cały miniony rok. Głaszcząc ją po włosach i plecach, doznał całkiem nowego uczucia; mrocznego pożądania o tak wielkiej sile, że go zaszokowała. Zapraǳnął jej tutaj, teraz, na łóżku, które kiedyś dzielił z żoną. Pragnał zedrzeć z Faith bluzkę, właśnie pożyczoną od Eleanor; chciał to zrobić, by jeszcze raz zobaczyć perłowe ciało, widziane przed chwilą przez na wpół otwarte drzwi.

Nawet jej nie pocałował. Pocałował ją kiedyś, raz, przyjacielskim pocałunkiem, ale wiedział, że teraz byłoby inaczej. Przyjaźń... takie mdłe, usprawiedliwiające słowo na określenie tego, co czuł do Faith od wielu tygodni, miesięcy, a być może lat. Ze zdumiewającą wyrazistością zobaczył nagle, jak dalece oszukiwał samego siebie i zmusił się, by teraz odejść. Niemal odepchnął dziewczynę od siebie, potknął się w drzwiach i zbiegł na dół, do ogrodu. Znalazłszy się tam, wyciągnął z szopy łopatę i poszukał kawałka zacienionej ziemi. Z zadowoleniem zabrał się do ciężkiej fizycznej pracy, odrzucając na bok wypaloną słońcem glebę. Kopiąc, zmusił się do przemyślenia tamtych lat. Najpierw była dzieckiem, kimś w rodzaju młodszej siostry, częścią rodziny, której w rzeczywistości nigdy nie miał. Potem stała się przyjacielką-kompanem. Rozśmieszała go; kazała mu widzieć zwyczajne rzeczy w innym świetle. Później w ciągu jednego roku dorosła. Kiedy ostatni raz odwiedził La Rouilly, zobaczył, że nie była już dzieckiem, lecz stała się młodą kobietą. Wspominał, jak leżał z nią na plaży w Royan. Widział niebieską sukienkę Faith i czuł ciężar jej głowy na piersi. Pamiętał, jak dym z jego papierosa wlatywał wstęgami ku błękitnemu niebu i jak zakręcił sobie wokół palca lok jej słomkowitzkich włosów. Kochał ją już wtedy, a jeszcze tego nie pojmował?

Pamiętał też swoją niepołamowaną złość, gdy zobaczył dziewczynę na ulicy z Rufusem. Ów gniew zrodzony był z zazdrości. Z seksualnej zazdrości. Fakt, iż tego nie dostrzegął, przyprawiał Guya o mdłości, ale znacznie gorsze było nagłe, ściskające za serce uświadomienie sobie skutków owego odkrycia. Czyżby przez kilka ostatnich lat podążał złą drogą? A wiedząc teraz, jak bardzo kocha Faith, co, u licha, powinien zrobić?

Po chwili przyszła do niego i oznaczyła psi grób związanymi sznurkiem dwoma kawałkami drewna z bardzo starannie wypisanym na nich imieniem „Łobuz”. Miała spuchnięte oczy i zaczerwienioną od płaczu twarz. Rzeczy Eleanor były dla Faith

o wiele za obszerne i inni ludzie uznaliby, że dziewczyna wygląda w nich śmiesznie i nieładnie, tak jak prawdopodobnie pomyśleliby, że to niedorzeczne, by starego, zapchlonego psa pogrzebać z takim ceremoniałem. Ale dla Guya była piękna. Zawsze była piękna.

- Poluje teraz w niebie na króliki, prawda? - zapytała, gdy złożyli zwierzaka do grobu, a Guy skinął głową i cofnął się o krok, nie mogąc powiedzieć ani słowa.

Patrzył na nią przez chwilę, zazdroszcząc kosmykowi włosów Faith, który pieścił jej policzek, i biedronce, wędrującej po jej ramieniu.

- Powinnaś wrócić do domu. W dolnej szufladzie komody jest butelka whisky - powiedział, nie chcąc, by ujrzała w jego oczach prawdę. Chciał być sam, musiał pomyśleć.

Przysypał grób psa ziemią. Było gorąco; Guy podwinął rękawy koszuli i rozluźnił krawat. Wydawało mu się, że droga, którą z takim trudem dotąd zmierzał, rozdzieliła się na dwa nie-dające się pogodzić trakty. Nie pojmował, jak mógłby kochać Faith i pozostawać w związku małżeńskim z Eleanor. Zawsze szczyił się własną uczciwością i nie miał wprawy w oszukiwaniu. Zobaczył wybór, do którego może być zmuszony, i to go przeraziło. Dostrzegł też jedyny sposób, w jaki mógłby zaoszczędzić sobie owego wyboru.



## *Rozdział ósmy*

Kiedy Eleanor przyjechała do domu, Guy siedział przy kuchennym stole, przeglądając swoje notatki. Było duszno, muchy uderzały o szyby. Zdjęła kapelusz i rękawiczki.

- Pociąg trochę się spóźnił. Musiałam stać przez całą drogę od Crewe. - Musnęła go wargami w policzek. Pomyślała, że mąż jest blady i wygląda na zmęczonego. - Miałeś zły dzień? - zapytała.

- Tak, rzeczywiście - odpowiedział, zakręcając wieczne pióro. - Eleanor, usiądź, proszę. Czy możemy porozmawiać?

- Rozmawiajmy, gdy będę pracować, dobrze? Muszę przygotować farsz do rolady, a Betty Stewart zrobiła straszny bałagan w rachunkach za ten miesiąc...

- Eleanor, proszę.

Napełnił jej filiżankę herbatą i postawił na stole. Zauważyła, że jego herbata stoi nietknięta.

- Guy, o co chodzi? Zaniepokoiłeś mnie, kochany. Czy coś się stało? Czy ojciec...?

Selwyn Stephens spędzał urlop w Derbyshire.

- Twój ojciec czuje się bardzo dobrze. Telefonował dzisiaj rano. W pewnym sensie właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Chcę, by ojciec przywiózł do domu Olivera.

Eleanor tylko się roześmiała.

- Guy, rozmawialiśmy już o tym tyle razy! Zamknął oczy; czoło pokrył mu zimny pot.

- Myślę, że Oliver powinien już wrócić do domu - odezwał się wreszcie. - *Blitzkrieg* dobiega końca. Od niemal trzech miesięcy nie było żadnego dużego nalotu na Londyn.

- Nie potrafimy czytać w myślach Hitlera - zauważyła. - Londyn może być bezpieczny teraz, ale kto wie, czy będzie tu tak spokojnie w przyszłym tygodniu czy za miesiąc?

- Oliver będzie równie bezpieczny tutaj jak w każdym innym miejscu. Wiesz przecież, że ostatnio najgorszych nalotów dokonywano na prowincji i że małe miejscowości narażone są na bombardowania tak samo jak wielkie miasta.

Eleanor zamieszała herbatę. Guy miał rację. Zaledwie dwa tygodnie temu przygotowywała odzież, którą trzeba było wysłać do małej miejscowości w hrabstwie Dorset. Została całkowicie zburzona przez jakiś samolot, który nie mogąc zlokalizować położonego w Devonshire Exeter, zrzucił bomby na to miasteczko.

- Czy mogę zatelefonować i powiedzieć twojemu ojcu, by przywiózł Olivera?  
- spytał Guy.

Eleanor przypomniała sobie pierwsze dziewięć miesięcy z synkiem - nudę, izolację i nieustanne uczucie pustki każdego dnia. Perspektywa ponownego samotnego pozostawania w domu z małym dzieckiem wprowadziła ją w przerażenie.

- Nie - odparła. - Nie.

Poszła do spiżarni i zaczęła wyjmować z niej produkty potrzebne do przyrządzenia farszu.

- Dlaczego nie? - W głosie męża słychać było napięcie.

- Bo Oliver jest szczęśliwy w Derbyshire.

- Tutaj, z rodzicami, będzie szczęśliwszy.

- Zadomowił się tam - powiedziała, biorąc z szuflady łyżeczkę.

- Zadomowił! - W powtórzonym przez Guya słowie zabrzmiał ledwie tłumiony gniew.

Sypiąc mąkę, Eleanor poczuła, że ją także zaczyna ogarniać złość.

- Dzieci lubią stabilizację, Guy, jest im potrzebna.

- Dzieci potrzebują rodziców. Jeśli wojna potrwa jeszcze następne dwa lata, Eleanor, albo pięć lub dziesięć, ty nadal będziesz się upierać, by nasz syn mieszkał z twoją babcią? A jeśli tak, to czy Oliver w ogóle sobie przypomni, kim jesteśmy?

- Nie bądź śmieszny - odparła zimno, krojąc cebulę.

- Co w tym śmiesznego? Pamięć małych dzieci nie sięga daleko.

- Odwiedzam Olivera co miesiąc, a dokładnie co cztery tygodnie. Oczywiście, że mnie pamięta.

- Przypuszczam, że masz to zapisane w kalendarzu: „zebranie komisji Kobiecej Służby Pomocniczej... sprawdzić miesięczne rachunki... odwiedzić Olivera"... - Guy odwrócił się i zapalił

papierosa, a kiedy znów zaczął mówić, z jego głosu było takie napięcie, że Eleanor pomyślała, iż mąż jest wyczerpany, wściekły i doprowadzony do rozpacz. - Eleanor, muszę mieć przy sobie mojego syna. Pragnę by Oliver wrócił do domu.

- A co z moimi pragnieniami? - syknęła, obracając się ku niemu.

- Sądziłem, że gdy chodzi o Olivera, nasze pragnienia powinny się jednoczyć.

Wzrok Guya był mroczny i twardy jak skała. Eleanor zdawała sobie sprawę z jego determinacji, bo to uczucie dokładnie odpowiadało jej zdecydowaniu. Była przekonana, że dobrze ułożyła sobie życie. Opuściła ten okropny mały dom w Hackney i wróciła na Holland Square, by zamieszkać z ojcem. Zdobyła Guya i nawet jeśli jego dotyk nie przyprawiał jej już o takie drżenie jak dawniej, to przecież wciąż widziała, jak patrzą na niego inne kobiety i jak jej zazdroszczą. Miała pracę, która pozwalała jej robić użytek z wrodzonych talentów. Dom, mąż, praca... Nie zamierzała tego wszystkiego tracić.

- Oliver ma dopiero osiemnaście miesięcy - powiedziała, wrzucając do garnka pokrojoną cebulę. - Babcia mówi, że nadal budzi się dwa razy w nocy.

- Wstawałbym do niego, Eleanor. Robiłem to już przedtem.

- A kiedy będziesz na dyżurze w szpitalu? Jest jeszcze za mały, by pójść do przedszkola. Kto będzie nim się opiekować, jeśli wróci do domu?

- Znaleźlibyśmy jakieś wyjście. Mogłabyś nieco ograniczyć swoje zajęcia... Ja mam kilka wolnych godzin po południu.

- Kilka godzin po południu! - powtórzyła szyderczo. - Jaki z tego pożytek dla dziecka, które wymaga, by ktoś opiekował się nim przez cały dzień? Gdy go odwiedzam, chodzi za mną krok w krok jak piesek!

- Gdybyś spędzała z nim więcej czasu, może nie zachowywałby się w taki sposób.

- A może ty zechciałbyś porzucić swoją szlachetną działalność, Guy? - zawołała. - Może zostawisz tych niedołączonych, zawszonych ludzi, którymi się opiekujesz, żeby zająć się własnym synem? - Cisnęła nóż na deskę do krojenia jarzyn. -I może zechciałbyś wreszcie wejść w spółkę z moim ojcem, o co wielokrotnie cię prosiłam? Mielibyśmy więcej pieniędzy, gdybyś to zrobił, i może wtedy łatwiej byłoby nam znaleźć do-

brą opiekunkę do dziecka. I może, gdybyś nie jeździł na Malt Street, byłbyś częściej w domu. Zrobisz to, Guy? Czy tym razem zrobisz to, czego ja pragnę?

Zapadła długa cisza; potem zaś mąż odpowiedział spokojnie:

- Nie, Eleanor. Nie zrobię tego.

Zdjął marynarkę z oparcia krzesła i wyszedł z kuchni.

- Dokąd idziesz, Guy? Zaraz będzie kolacja! - zawołała, nie usłyszała jednak odpowiedzi.

Kiedy zaś dobiegło do niej trzaśnięcie frontowych drzwi, na chwilę zamarła bez ruchu, wbijając sobie paznokcie w dłoń. Potem wstawiła do zlewozmywaka obie filiżanki chłodnej herbaty i z nietypową dla siebie gwałtownością zaczęła rozwałkować roladę. Zawijając ją i skrapiając mlekiem, czuła lęk połączony z gniewem. Miała też dziwne wrażenie, że przegapiła coś w tej rozmowie; jakby Guy, pytając, czy Oliver może wrócić do domu, zadawał jej inne, całkiem odmienne pytanie.

Wsunęła roladę do gorącego piekarnika, aż ceramiczna forma uderzyła z trzaskiem o metalowy ruszt, a potem poszła do salonu i nałła sobie drinka.

W doskwierającym żarze sierpniowego popołudnia Faith i Rufus wyszli z domu przy Mahonia Road. Rufus niósł jakiś koc i przenośny gramofon, a ona obejmowała ramieniem piknikowy koszyk. Nagle usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu, i odwróciwszy się, ujrzała Guya. Zaczekała, aż ją dogoni. Miał rozczochrane włosy i z trudem łapał powietrze.

- Faith, muszę z tobą porozmawiać.

- Wybieramy się na piknik. Chodź z nami.

Ruszyli do parku. Guy patrzył ponuro, dużo palił i mówił niewiele. Faith wzruszyła w duchu ramionami i nie zwracając na niego uwagi, rozmawiała z Rufusem. Zabrała psy z domu pani Childerley i zapięła im smycze. W końcu, nie mogąc znieść przedłużającego się milczenia, odezwała się pierwsza.

- Och, na Boga, Guy, o co chodzi? Co tym razem zrobiłam? Wydawał się szczerze zdumiony.

- Co ty zrobiłaś?! Nic nie zrobiłaś, Faith.

Dotarli do parku i weszli w aleję wysadzaną lipami. Ich jasnozielone liście kołysały się łagodnie. Faith spuściła psy ze

smyczy, więc biegały wokół drzew, węsząc wśród grzybów i opadłego listowia.

- A zatem nie bądź taki naburmuszony, Guy. Zawsze byłeś okropnie skory do gniewu.

- Rzecz nie w tym; chodzi tylko o to, że...

- Pod tamtymi drzewami siedzą Stella i Jean - przerwał im Rufus.

Rozsiedli się pod lipą. Chmury przysłoniły słońce, a powietrze było gorące i tak nieruchome, że Faith wydawało się, iż mogłaby wziąć je do ręki. Upał obdarzył owo późne popołudnie osobliwym bezruchem, a rozmowa sprawiała wrażenie powolnej i chaotycznej, jak gdyby każde słowo, jakie wypowiadali, zatrzymywało się zawieszony w przestrzeni niczym owoce lipy. Faith, Stella i Jane gawędziły, Guy siedział oparty plecami o pień drzewa i obrywał płatki stokrotki, Rufus zaś, leżąc na trawie i paląc papierosa, także mówił niewiele. Faith wiedziała, że po zakończeniu każdego atlantyckiego rejsu Foxwellowi coraz trudniej jest wracać na statek.

- Miałaś wiadomość od swojego wspaniałego brata, Faith? - zapytała Stella.

- Jake ma urlop i pojechał w odwiedziny do naszych rodziców w Norfolk. Potem przyjedzie tutaj, ale nie wiem kiedy - odrzekła, sypiąc okruchy stadku wróbli i przyglądając się, jak Guy wstał i spacerował teraz z dala od drzew.

Słowa trzepotały pod gałęziami lipy.

- Bruno wydaje kolejne przyjęcie.

- Przyjdiesz, Rufusie?

- Nie wiem, skąd on zdobywa jedzenie. Musi mieć przyjaciół gdzieś bardzo wysoko.

- Albo bardzo nisko.

- Nawet Linda zużyła już cały zapas puszek z łososiem.

- Nie widziałem jej od wieków.

- Ktoś mi powiedział, że ma jakiś bardzo gorący romans.

- Trudno sobie wyobrazić, by Linda gorączkowała się czymkolwiek.

- Kim on jest? Powiedźcie.

- Linda jest bardzo tajemnicza.

Guy stał sam, trochę na uboczu od pozostałych, z dłońmi w kieszeniach marynarki, spoglądając gdzieś w dal, ponad wy-

paloną trawą. Gdy Faith ku niemu podeszła, zarówno rozmowa, jak i dźwięki gramofonu stały się niesłyszalne.

- Co się stało? - zapytała otwarcie. - Czy chodzi o twoją pracę? Jest okropna?

- Nieszczęśliwie. W istocie raczej rutynowa. - Znowu palił, więc wysunął ku niej papierosa, ale przecząco pokręciła głową. - Nigdy nie sądziłem, że kiedyś zatęsknię za bombami, ale ostatniej nocy niemal mi ich brakowało. - Uśmiechnął się lekko. - Przynajmniej trzymały mnie na nogach.

- W stacji pogotowia też jest okropnie nudno. Gram w pokera - odpowiedziała Faith, spoglądając na niego. - Pokłóciłeś się z żoną?

- Mieliśmy... mieliśmy sprzeczkę - odrzekł i cisnął niedopałek papierosa na trawnik. Suche źdźbła trawy zatliły się szkarłatem i Guy obserwował, jak płoną.

Faith chciała wyciągnąć ku niemu rękę, ale tego nie zrobiła. Biła odeń ponura rezerwa, chłód i napięcie. Gdyby go dotknęła, pomyślała, jego złość rozprysnęłaby się na tysiąc ostrych kawałków, a jeden z nich mógłby ją zranić.

Zaczął padać deszcz. Mroczne, ciężkie krople leciały na wypaloną trawę.

- O czym chciałeś ze mną rozmawiać, Guy? - zapytała Faith, ale spojrzał na zegarek i potrząsnął głową.

- Może innym razem. Spóźnię się do szpitala - odrzekł i poszedł.

Wzywając psy, czuła niepokój, a nawet strach. Przypomniały jej się chwile między dźwiękiem alarmowych syren przeciwlotniczych a odgłosem pierwszych spadających bomb. To pogoda, pomyślała, patrząc na deszcz uderzający w wyschniętą ziemię. Dźwięk spadających kropli stłumił odgłos kroków Rufusa. Zadrżała, gdy się odezwał.

- Chyba nie spodobało mu się nasze wesołe towarzystwo. Podążyła za wzrokiem przyjaciela ku Guyowi, który oddalał

się szybkim krokiem, zmierzając w stronę parkowych bram.

- Jak się między wami układa?

- Doskonale - odpowiedziała z uśmiechem, przypinając smycze do psich obroży.

- Byłaś w nim zakochana. - Głos Rufusa brzmiał niemal oskarżycielsko.

- To już skończone - odpowiedziała zdecydowanym tonem. - Jesteśmy teraz serdecznymi przyjaciółmi.

Milczał przez chwilę, a potem zapytał:

- Naprawdę w to wierzysz?
- Tak. Dlaczego miałabym nie wierzyć?
- Bo ten rodzaj miłości nie zmienia się w przyjaźń.
- To nonsens!

Pozostali biegli już, by schronić się przed deszczem. Faith zabrała koszyk piknikowy i koc.

- Czyżby?
- Oczywiście. A zresztą co masz na myśli, mówiąc „ten rodzaj miłości”?
- Namietność. Przecież sama mówiłaś, że kochałaś Guya Neville'a przez dziewięć lat...

Faith zaczęła iść ku bramie parku, nie bacząc na strugi deszczu, które spływały jej po twarzy i przesiąkały przez cienką bawełnianą sukienkę.

- Byłam dzieckiem! - wykrzyknęła za siebie. - Nie darzyłam Guya żarliwą namietnością. Nigdy!

A jednak pamiętała sen o ukąszeniu żmii i cieszyła się, że chłodny deszcz obmywa jej płonąca twarz. Rufus dogonił ją przy bramie.

- ...i oczywiście on także jest w tobie szaleńczo zakochany-powiedział, po czym odszedł, zostawiając ją samą na ulicy.

Dwie duże szklaneczki dzinu z tonikiem uspokoiły trochę Eleanor. Wyglądając przez okno sypialni, zobaczyła, jak ciężkie, szare chmury zasłoniły miedziane oblicze słońca, a krople deszczu zaczęły spadać na parapety okienne. Zdjęła z siebie wygniecione ubranie, umyła twarz i wyszczotkowała włosy, a potem wyjęła z szafy czerwoną jedwabną suknię. Na toalecie stały jeszcze opakowania z resztkami szminki i pudru, więc ułożyła je starannie. Potem rzuciła okiem na zegarek. Siódma. Pora kolacji. Nie była pewna, czy Guy został dzisiaj na dyżurze, ale nawet gdy miał dyżur, na kolację przychodził zwykle do domu.

W kuchni sprawdziła, czy rolada już się zrumieniła i dobrze wyrosła oraz czy warzywa są miękkie. Nakryła do stołu i zapaliła świece. Deszcz bębnił o kamienne płyty, którymi wyłożony był dziedziniec i spływał po schodach do piwnicy. Eleonora uważała, że gniew Guya jest krótkotrwałym efektem przepracowania i zbyt małej ilości snu. Wiedziała też, że po namyśle mąż zrozumie, iż miała rację, i Oliver pozostanie w Derbyshire. Guy

zawsze w końcu z nią się zgadzał. Zawsze potrafiła skutecznie się sprzeciwić jego zapalczywości. Chociaż był uparty, nie lubił konfliktów. To tylko kwestia skutecznej perswazji i wystarczającej stanowczości.

Kwadrans po siódmej ponownie wstawiła roladę do ciepłego piekarnika. O wpół do ósmej zdmuchnęła świece. O ósmej nalała sobie kolejnego drinka i z zaciśniętymi ustami usiadła w salonie. Dwadzieścia po ósmej, gdy zadzwonił dzwonek, pomyślała, że Guy zapomniał klucza, i w drodze między salonem a drzwiami postanowiła, że jeśli okaże wystarczającą skruchę, to ona mu wybaczy.

Otworzyła drzwi. W progu stał Jake Mulgrave. Lekko oszołomiona alkoholem, mogła tylko wpatrywać się w niego bez słowa.

- Czy jest Guy? - zapytał gość, ale Eleanor potrząsnęła głową - A Faith? Pomyślałem, że może je z wami kolację. Byłem na Mahonia Road, lecz nie zastałem tam nikogo.

Ogarnęło ją straszne podejrzenie. Gdzie, pokłóciwszy się z nią, mógłby pójść Guy, jeśli nie do tamtej kobiety? Mimo że wieczór był duszny, poczuła nagły dreszcz.

- Guy wróci lada chwila. - Musiała skoncentrować się na tym, by jej słowa brzmiały wyraźnie. Dżin połączony z ogromną, kipiącą emocją, jaką była złość, zagrażał jej zwykłej równowadze. Zmusiła się do uśmiechu. - A ja ostatnio nie widziałam twojej siostry. Nie wejdiesz, Jake?

Wszedł. Eleanor wyobraziła sobie Guya i Faith razem. Guy wylewa przed nią swoje żale, a ta dziewczyna ofiarowuje mu ukojenie, korzystając z jego wrażliwości.

- Masz ochotę na drinka, Jake? - zapytała już w salonie, nalewając gościowi whisky, a sobie kolejną porcję dżinu.

Pomyślała, że jakoś się trzyma; była miła jak zwykle i jej głos brzmiał jak zawsze spokojnie, lecz kiedy wkładała korek do butelki, ręka jej drżała.

- Właśnie spędziłem kilka dni z rodzicami w Norfolk - wyjaśniał brat Faith. - Chciałem poradzić się twojego męża w sprawie mamy. Niepokoję się o nią i właśnie dlatego przyjechałem do Londynu wcześniej. Nie wygląda dobrze, a nie chce pójść do żadnego lekarza. Myślałem, że mogłaby chociaż porozmawiać z Guyem.

- Twoja matka jest prawdopodobnie przemęczona i pełna obaw, tak jak my wszyscy - powiedziała Eleanor; w istocie



wcale go nie słuchała; nie opuszczała jej wizja Guya i Faith razem. - Jestem pewna, że nie ma powodu do niepokoju. - Rzuciła okiem za okno i dodała bez związku: - Wciąż pada.

A potem spojrzała na Jake'a. Jego jasne włosy, przycięte krótko zgodnie z wojskowymi rygorami, były teraz lekko skręcone z powodu deszczu, a oczy wydawały się intensywnie niebieskie na tle opalanej twarzy. Zawsze podziwiała mężczyzn w mundurach. Jaka szkoda, myślała często, że Guy nie nosi swojego.

- Zjesz ze mną kolację, nieprawdaż Jake?

- No cóż, ja...

- Nie masz nic przeciwko zjedzeniu jej w kuchni? Tak będzie znacznie przyjemniej.

Zaczął coś mamrotać, ale na to nie zważała. W kuchni było gorąco i duszno. Deszcz bezlitośnie bębnił o szyby. Eleanor z przyjemnością podała kolację Guya Jake'owi Mulgrave'owi. Piła, lecz nic nie zjadła. Nie mogła jeść, najmniejszy kęs stanąłby jej w gardle. Zamiast tego patrzyła na swego towarzysza. Ma taką twarz, pomyślała, zaskoczona nietypowym dla swej wyobraźni skojarzeniem, którą po lekkim retuszu lub kilku dodatkowych pociągnięciach pędzla można byłoby określić jako jeden z renesansowych wizerunków anioła.

- Wojsko najwyraźniej ci służy, Jake - powiedziała. - Dobrze wyglądasz.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się smutno.

- Prawdę mówiąc, Eleanor, wojsko jest cholernie nudne i nawet bywa nie do zniesienia, ale ja czuję się bardzo dobrze.

Nie skomentowała faktu, iż użył niezbyt eleganckiego określenia, co z pewnością zrobiłaby, gdyby to mąż powiedział coś takiego. W istocie poczuła nawet pewną szczególną przyjemność, mając wrażenie, że Jake włącza ją do swego świata. Jakby zamknięci przed resztą Londynu przez burzę, ona i Jake razem łamali przyjęte reguły. Nie mogła przestać na niego patrzeć. Na jego czole pojawiły się drobne kropelki potu; miał podwinięte rękawy koszuli. Eleanor pomyślała, że chociaż nie lubi rodziny Mulgrave'ów, to jednak jej antypatia do Jake'a nie jest chyba tak silna, jak do pozostałych.

- Zjesz jeszcze trochę, prawda? - zapytała, nakładając mu resztę rolady na talerz i rzuciła okiem na zegarek. - Guya musiało coś zatrzymać w szpitalu, jesteśmy więc tylko we dwoje. No cóż, ja nie mam nic przeciwko temu, a ty?

Potrząsnął głową, uśmiechnął się i spojrzał na swój talerz.

- Rozpieszczasz mnie, Eleanor. Ja okropnie utyję, a twój biedny mąż będzie głodny.

Dotknęła jego dłoni.

- Obawiam się, że Guy czasami traktuje mnie jako rzecz oczywistą. To się zdarza wieloletnim małżeństwom. - Śmiech Eleanor zabrzmiał dość dziwnie nawet dla niej samej, a jej ręka wciąż spoczywała na dłoni Jake'a.

Miał chłodną skórę; czuła pod nią mięśnie i żyły. Nagle zapragnęła, by kciuk Jake'a wsunął się w zagłębienie jej dłoni, a jego usta przywarły do tego samego miejsca. Nieczęsto pragnęła fizycznego kontaktu z mężczyzną, więc owo nieoczekiwane głębokie pożądanie zaparło jej dech w piersiach.

- Co mówisz, Jake? - Wciąż ta niezwykła chryпка w głosie. - Jak spędzimy ten wieczór? Wyjdziemy gdzieś? We dwoje?

- Przepraszam, Eleanor, ale muszę uciekać - powiedział. Spojrzawszy na niego, zrozumiała wagę swej pomyłki. Nie

udało mu się szybko ukryć całkiem zdumienia, a może braku zainteresowania. Jake Mulgrave, który, z tego, co o nim słyszała, nie miał wybrednych upodobań, okazał się zupełnie nią nie-zainteresowany. Jej świadomość powszechnej akceptacji swojej osoby była złudzeniem. Dłoń Jake'a wyslizgnęła się spod ręki Eleanor. Pozostawił ją chłodną, samotną i niechcianą. Poczuła się tak, jak wtedy przed laty gdy w jednym z domów towarowych spotkała Hilary Taylor. Poczuła się wielką, niezdarną gospodynią domową. Poczuła się stara.

Zabrała talerze, podeszła z nimi do zlewu i odkręciła kran. Zadźwięczały głośno, gdy wrzuciła je do wody.

- To było pyszne, Eleanor. - Usłyszała słowa Jake'a. - Jesteś naprawdę najwspanialszą kucharką. Zawsze można mieć pewność, że zje się tutaj coś absolutnie doskonałego - mówił pośpiesznie.

Widziała, że zdał sobie sprawę, iż zranił jej uczucia, i teraz stara się ją ułagodzić. Nie pragnął jej jako kobiety, lecz przypuszczał, że uśmierzy zadany ból uznaniem dla jej talentów gospodyni. Odwrócona plecami Eleanor chciała krzyczeć, lecz nie zrobiła tego. Miała ostrzejszą broń.

- Kilka dni temu widziałam twój ojca, Jake. Był z jakąś znajomą. Powiedziałabym nawet, że z jakąś bardzo bliską znajomą. Wychodzili z domu przy Queen's Square. Jakaż to czaru-

jąca dziewczyna! Wysoka, elegancka, platynowa blondynka; myślę nawet, że prawdziwa, a nie farbowana. - Eleanor, wycierając ręce, odwróciła się i uśmiechnęła do niego. - Znasz ją?

Nie odpowiedział. Zauważyła, że bardzo zbladł pod opalenizną. Z okrutną przyjemnością wbijała nóż głębiej.

- Kimkolwiek była ta kobieta - mówiła dalej - Ralph wydawał się nią bardzo zajęty. Jakież to przyjemne dla twojego ojca, mieć tak bliskich przyjaciół w Londynie, prawda, Jake?

Po wyjściu z domu przy Holland Square Jake wszedł do pierwszego napotkanego pubu. Dopijał właśnie drugą szklaneczkę podwójnej szkockiej, gdy jego umysł, zmrożony szokiem, złością i strachem, ponownie zaczął pracować.

„Jakież to przyjemne dla twojego ojca, mieć tak bliskich przyjaciół...”

Eleanor dała mu do zrozumienia, że jego ojciec ma romans z Lindą Forrester. Jake zmusił się do zastanowienia, czy w jej insynuacjach mogło być choć odrobinę prawdy. Przypomniawszy sobie matkę, gdy zostawiał ją w Norfolk; była blada, zmęczona i apatyczna. Sądził, że Poppy źle się czuje, i właśnie dlatego postanowił wpaść do Guya. Czyż to możliwe, że pomylił chorobę ze złamanym sercem?

Myśli Jake'a powędrowały ku Lindzie Forrester; ku pięknej, lodowatej, niemoralnej Lindzie. Przecież on sam, przyjeżdżając w ciągu ostatnich sześciu miesięcy na urlop do Londynu, odwiedzał ją w mieszkaniu przy Queen's Square. Już bardzo dawno odczytał w owych zimnych jasnoniebieskich oczach zachętę, jednak nie skorzystał z propozycji. Coś w gładkiej, chłodnej postawie tej kobiety odbierało mu odwagę. A jeśli chodzi

o Ralpa... Jake, zamknięty w murach jednostki wojskowej w Northumberland, jedynie okazjonalnie widywał ojca od czasu przybycia rodziny Mulgrave'ów do Anglii. Być może Ralph, zirytowany wymuszonym powrotem do kraju, którego nienawidził, postanowił szukać pociechy, biorąc sobie do łóżka Lindę Forrester?

Zaciśnięta pięść młodzieńca uderzyła o blat baru. Kieliszki

i szklanki zadźwięczały, a barman spojrzał ostrzegawczo. Jest tylko jeden sposób, by się wszystkiego dowiedzieć, pomyślał Jake, wypił ostatni łyk szkockiej i ruszył w deszcz ku Queen's Square.

Usłyszał ochryply, natarczywy dźwięk dzwonka, a potem szcęk łańcucha i zamka. Linda wyrzała przez niewielką szparę między drzwiami a futryną.

- Mogę wejść?

- Jake... - Miała na sobie błękitny negliz. - Jest już późno.

- Przyjechałem do Londynu tylko na jedną noc. Miałem nadzieję, że cię zastanę. - Pchnął otwarte drzwi i wszedł do korytarza. Usłyszał szept protestu.

- Ciii... Sąsiedzi...

Położył palec na jej ustach i wbiegł na schody. Linda podążyła za nim z szelestem jedwabiu. Drzwi do jej mieszkania były otwarte. Jake wszedł do środka.

- Napijesz się? - Podeszła do barku, by nalać im szkockiej. Podając mu szklaneczkę, spojrzała uważnie, zmarszczyła brwi i zapytała: - O co chodzi?

Jego zrodzona z gniewu pewność siebie gdzieś się rozplynęła i teraz nie mógł znaleźć słów. „Czy masz romans z moim ojcem?” - wypowiedzenie tych słów sprawiłoby, iż cała sprawa stałaby się bardziej realna.

- Ktoś mi powiedział... - zająknął się i umilkł.

- Co, Jake?

Podszedł do okna. Ciemne rolety zasłaniały szyby, zamykając ich w pułapce żaru odchodzącego dnia. Usłyszał grzmot.

- Ktoś mi powiedział, że widziano cię z moim ojcem - zaczął mówić, stojąc plecami do Lindy, a potem odwrócił się, chcąc zobaczyć wyraz jej twarzy, lecz z gładkich rysów nic nie dało się wyczytać.

- Widziano mnie z twoim ojcem? - powtórzyła. - Tak.

W pokoju panowała cisza, a przyćmione światło pokrywało cieniem twarz kobiety, zamazując jej rysy. Jake zaczynał odczuwać ból głowy i lekkie mdłości; to ta pogoda, pomyślał, czy też owa gargantuiczna kolacja, którą wmusiła w niego Eleanor...

- Ralph jest moim przyjacielem - odezwała się, a potem przerwała i rzuciła mu szybkie spojrzenie. - Nie chcesz chyba powiedzieć... - Jej oczy w świetle lampy były ogromne i jasno-srebrzyste. - Nie chcesz chyba powiedzieć, iż ktoś ci naopowiadał, że Ralph i ja... że Ralph i ja jesteśmy kochankami?

Nie odpowiedział, tylko na nią patrzył. Roześmiała się krótko i podeszła do niego.

- Jake, ty chyba nie wierzysz, że mam romans z twoim ojcem? - Wpatrywała się w niego baczny wzrokiem. - A jednak tak myślisz, nieprawdaż? Dobry Boże! - Wyraz jej twarzy się zmienił. - Sądzę, że powinieneś wyjść. - Podeszła do drzwi i otworzyła je szeroko. - Natychmiast.

Pozostał jednak w tym samym miejscu, opierając się o parapet okna.

- Jeszcze nie. Jeszcze nie wyjdę. Muszę znać prawdę.

- Zdaje się, że wydałeś już wyrok - odpowiedziała zimno, ale kiedy się nie ruszył, pozwoliła, by drzwi zamknęły się miękko i usiadła na sofie.

- Kto ci naopowiadał takich bzdur?

- Nikt, kogo znasz.

- Jakaś przyjaciółka, Jake?

Przypomniał sobie odrazę w oczach Eleanor, gdy odwróciła się od naczyń i spojrzała na niego. Zadrzał.

- Nie, to nie była przyjaciółka. Linda wzruszyła ramionami.

Jake zamknął oczy i potarł czoło dłonią.

- Dlaczego miałyby kłamać?

- A skąd mam to wiedzieć? Może była zła... albo zazdrosna.

- Zazdrosna?

Oparła się wygodniej i patrzyła na niego uważnie.

- Jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną, Jake. Chociaż muszę powiedzieć, że teraz wyglądasz raczej okropnie. - Jej głos brzmiał nieco łagodniej.

- Boli mnie głowa - mruknął.

- Biedaczek. - Gestem ręki wskazała mu miejsce obok siebie. - Chodź tutaj. Dajże spokój, Jake. I przestań już patrzeć tak groźnie; nic dziwnego, że boli cię głowa.

Niechętnie usiadł przy niej na sofie.

- Zamknij oczy, kochanie - powiedziała i czubkami palców zaczęła masować mu skronie.

Gdy ból zniknął, Jake wyęczał siły, by przypomnieć sobie właściwą kolejność wydarzeń podczas całego wieczoru przy Holland Square. Eleanor nalegała, by zjadł kolację przeznaczoną dla Guya, następnie wzięła go za rękę (co było szokiem, gdyż ich wcześniejszy kontakt fizyczny zawsze ograniczał do towarzyskiej wymiany uścisków dłoni), a potem przystawiała się do niego. Gdy spoglądał wstecz, wydawało się to niewiary-

godne, ale było prawdą: Eleanor Neville przystawiała się do niego.

- Już lepiej, kochanie?

- Tak, dziękuję - Dotyk palców Lindy spowodował nieoczekiwane przyjemną senność. Eleanor nagadała tych obrzydliwych kłamstw, ponieważ była wściekła i chciała mnie zranić, pomyślał. Odetchnął z ulgą i chciał wstać. - Powinienem już iść'

- Nie bądź niemądry, Jake. Pada deszcz, nie możesz teraz wyjść. - Lekkim pchnięciem dłoni posadziła go z powrotem obok siebie.

- A więc to nieprawda...

- Jake... - uciszyła go, przyciskając wargi do jego ust. Drobne, wąskie palce Lindy odnalazły guziki jego koszuli.

Jake poczuł, jak usiadła mu na kolanach z twarzą na wprost jego twarzy. Pozwolił, by ogarniające go pożądanie pochłonęło resztki wszystkich innych dręczących myśli. Wsunął ręce pod jedwab negliżu Lindy i przesuwał palcami po jej nagim ciele.

Faith dotarła do domu o piątej rano, rzuciła torbę w przedpokoju i weszła do kuchni. Właśnie napełniała czajnik, gdy usłyszała za sobą jakiś ruch. Zadrżała i odwróciła się szybko.

- Rufus? - zapytała, ale potem uważnie przyjrzała się mężczyźnie siedzącemu przy stole. - Jake! - Zdołała tylko dostrzec połysk jego włosów i refleks światła na krawędzi szklanki, którą trzymał. - Znowu wyłączono elektryczność?

- Nie wiem. Nie zapalałem lampy.

Podeszła do kontaktu i światło zalało całe wnętrze. Jake siedział przy stole z głową opartą na zwiniętych pięściach. Przed sobą miał butelkę i kieliszek.

- Napijesz się, Faith? - zapytał.

- Nie, dziękuję. - Potrząsnęła głową przecząco. - Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie - powiedziała, kładąc na stole maskę przeciwigazową i nieprzemakalną pelerynę. - Co robisz?

- Myślę - odrzekł krótko. - To coś zmienia, prawda? Uczucie niepokoju, które towarzyszyło jej od poprzedniego

popołudnia spędzonego w przygniatającym upale parku, nasiliło się teraz, gdy patrzyła na brata.

- Jesteś pijany, Jake. Idź do łóżka i się wyśpij.

- Staram się to wszystko przemyśleć... - wyjaśnił, pomijając milczeniem jej radę.

Zauważyła, że gdy podnosił kieliszek do ust, ręka mu drżała.

- Próbuję rozważnie ocenić fakty. - Jake uśmiechnął się, spoglądając na siostrę, ale ów słaby uśmiech nie ożywił jego chłodnych niebieskich oczu. - Jest to dla mnie pewien wysiłek, bo przecież najpierw działam, a potem myślę, czyż nie?

- Jakie fakty? Co chcesz uporządkować? - zapytała, ale wstał ciężko, podszedł do drzwi i otworzył je na oścież. Wciąż padał deszcz.

- Widzisz, Faith, przyjechałem tutaj wczoraj. Szukałem ciebie, a potem Guya. Poszedłem na Holland Square, lecz go nie było...

- Był ze mną. Rufus, Guy i ja... poszliśmy na piknik do parku. Zamknij drzwi, Jake. Światło...

Stojąc na progu, wystawił twarz na deszcz. Krople wody spływały mu po ustach, nosie i brodzie.

- Była tylko jego żona - ciągnął dalej. - Rozmawiałem więc z Eleanor. A raczej to ona rozmawiała ze mną.

- Jake... - Faith kurczowo zacisnęła dłonie.

Odwrócił się i stanął twarzą do niej. Ramiona i przód jego koszuli były przemoczone od deszczu.

- Eleanor dała mi drinka i nakarmiła mnie.

- Jake - Faith nieoczekiwanie poczuła lęk - co się stało?

- Nic. - Gdy na nią spojrział, w jego oczach nie było sympatii, brakowało w nich nawet uznania. - Nic się nie stało - powtórzył. - Eleanor poczęstowała mnie doskonałą kolacją, pogawędziliśmy trochę, a potem...

Przerwała mu nagle.

- Co ona ci powiedziała? Czy Guy...

- Guy czuje się świetnie. Tak sędzę. Nie widziałem go. Kazała mi zjeść jego kolację. - Zadrżał. - To było zabawne, chociaż siedząc przy stole, myślałem cały czas o Jasiu, Małgosi i czarownicy. Miałem wrażenie, jakby ta kobieta karmiła mnie z myślą o włożeniu do piekarnika. Ledwie napomknęła o Guyu; chciała natomiast rozmawiać ze mną o naszym ojcu.

- O tacie? - Faith była zdezorientowana.

- Eleanor powiedziała mi, że papa ma romans z Lindą Forrester.

Poczuła w mózgu chłód i pustkę. Wpatrywała się w Jake'a, który patrzył w jej szeroko otwarte oczy.

- Eleanor jest suką, Faith - mówił powoli. - Nie zdawałem

sobie z tego sprawy. Jeden Pan Bóg wie, dlaczego Guy w ogóle z nią się ożenił. Tak czy inaczej, poszedłem porozmawiać z Lindą, a ta wszystkiemu zaprzeczyła, więc pomyślałem, no cóż, uznałem, że wszystko w porządku i oczywiście tata nie ma żadnego romansu. To znaczy, że nie mogliśmy mieć żadnego romansu, prawda? - Zmarszczył brwi. - Dopiero gdy od niej wyszedłem, zacząłem myśleć... No cóż, przecież co innego Linda miałaby mi powiedzieć? - Jego głos przeszedł w pieszczotliwy falset: - „Tak, Jake, pieprzyłam się z twoim ojcem przez ostatnie sześć miesięcy”?

- To plotka, Jake. Obrzydliwa plotka - wyszeptała Faith, przypominając sobie jednak z nagłym skurczem żołądka rozmowę w parku.

Najwyraźniej dostrzegł zmianę na twarzy siostry i podszedł bliżej.

- Co? Mów, co się stało?

- Nic - odrzekła cicho, kręcąc głową. Chwycił ją za ramiona i potrząsnął.

- Powiedz!

Faith poczuła łzy napływające do oczu.

- Ktoś mi powiedział, że Linda ma jakiś romans, to wszystko. Nie wiedzieli, z kim. - Palce brata wbijały się w jej ramię. - Jake, sprawiasz mi ból!

Opuścił ręce. Jego twarz miała barwę popiołu. Powoli zaczął zapinać rękawy koszuli.

- Jake, to nonsens! - perswadowała Faith. - Okropna bzdura! Papa nie zrobiłby tego mamie. On ją przecież kocha! - Łzy spływały jej po policzkach.

Jake chwycił swoje klucze oraz drobne ze stołu i włożył je do kieszeni, a potem sięgnął po marynarkę.

- Dokąd idziesz? - zawołała Faith, gdy wybiegł, ale jedyną odpowiedzią było trzaśnięcie frontowych drzwi.

Czekał w bramie naprzeciwko mieszkania Lindy Forrester. Będzie czekał całą wieczność, pomyślał, jeśli okaże się to konieczne.

Przypomniał sobie wyraźne zakłopotanie tej kobiety i urazę, z jaką zareagowała na jego oskarżenia, a także późniejszy nagły odruch sympatii. Przypomniał sobie koniuszki jej palców masujących mu czoło, by usunąć napięcie; a także jej gib-



kie, miękkie ciało, napierające nań i usuwające z jego umysłu wszelkie inne myśli. To zbyt łatwe, pomyślał z wściekłością, zbyt łatwe...

Ostatnie gniewne pomruki burzy rozlegały się jeszcze wokół i od czasu do czasu ulicę rozświetlały błyskawice. Deszcz uderzał o chodnik i spadał do rynsztoka. Ta burza wydawała się Jake'owi muzycznym tłem odpowiednio dobranym do wydarzeń ostatnich dwudziestu czterech godzin. Korzystając ze swego schronienia w bramie, palił papierosa za papierosem i czekał. Na ulicy zadzwieczał wózek mleczarza, a opony roweru chłopca z gazetami prześlizgnęły się po mokrej jezdni.

Właśnie wtedy Jake zobaczył rozwiany czarny płaszcz oraz stary kapelusz i z daleka usłyszał znajome kroki. Wyrzucił niedopałek, wcisnął go piętą w trotuar i cofnął się w głąb bramy. Obserwował ojca naciskającego dzwonek do mieszkania Lindy i czekał. Po chwili w ciemnym prostokącie otwartych drzwi zobaczył burzę księżycowo jasnych włosów. Ostatniej nocy przesuwając po tych jedwabistych pasmach palcami i przyciskał sobie do ust całe ich garście. To wspomnienie przyprawiło Jake'a o dreszcze.

Zobaczył szybkie spojrzenie, jakim omiotła ulicę, sprawdzając, czy jego tam nie ma, bo, jak przypuszczał, wprowadził ją w zdenerwowanie. Z fałdów obszernego płaszcza Ralpha wystawał strzępiasty bukiet kwiatów. Pocałowali się, a Jake poczuł smak goryczy. Potem ojciec odszedł. „Nie dzisiaj, kochanie...” - trzymała go na smyczy.

Usłyszał trzask zamykających się za Lindą frontowych drzwi i zaczekał, aż Ralph pokonał całą długość ulicy i skręcił za róg. Potem przeszedł na drugą stronę i nacisnął dzwonek do mieszkania na piętrze.

Tym razem nie zdjęła łańcucha przed otwarciem drzwi. Ujrzał zaskoczenie na twarzy Lindy, gdy go zobaczyła, więc wsunął stopę i ramię w uchylone drzwi, zanim zdołała je zatrzasnąć.

- Jake...

- Chcę wiedzieć, dlaczego wzięłaś sobie na kochanka mojego ojca; żeby zrobić mi na złość?

Widział, jak usilnie starała się odzyskać równowagę. Uśmiechnęła się słabo.

- Jake... doprawdy nie wiem, o co ci chodzi.

- To dość proste pytanie. Czy postanowiłaś mieć romans z moim ojcem, żeby ukarać mnie za to, że cię odtrąciłem? Widzisz, raczej trudno uwierzyć, że nie mogłaś się oprzeć urokowi jego starzejącego się ciała. A może masz skłonność do mężczyzn w tym wieku? Wszak twój biedny staruszek Harold musi już mieć pięćdziesiątkę lub coś koło tego. Chociaż zawsze podejrzewano, że wyszłaś za niego dla pieniędzy.

Za stojącą w wejściu do klatki schodowej Lindą otworzyły się drzwi do mieszkania na parterze i wyjrzała z nich czyjaś głowa. Linda zadrzała.

- Przepraszam, że pani przeszkadzamy, pani Lockwood -powiedziała, a potem syknęła: - Odejdź, Jake!

Nie zamierzał jej posłuchać.

- Nie odejdę stąd, dopóki nie powiesz mi prawdy. Coś błysnęło w jej oczach. Uśmiechnęła się słodko.

- Ralph i ja... Mylisz się, Jake. Nawet jeśli przed chwilą widziałeś nas razem, to nie wolno ci myśleć...

- Nie, do diabła z tobą, Lindo... Może jestem głupi, ale nie aż tak cholernie durny.

Wyraz jej twarzy zmienił się nagle.

- To naprawdę nie twoja sprawa, nie sądzisz, Jake? Oboje, Ralph i ja, jesteśmy dorośli. Cokolwiek postanowiliśmy zrobić, nie ma to nic wspólnego z tobą.

- I jak sądzę, nie ma również nic wspólnego z moją matką? Linda wzruszyła ramionami.

- Ralph to mężczyzna, który zna życie. Jestem pewna, że me byłam pierwsza. Jake nie mógł mówić, gniew niemal go dusił.

- Nie spodobało ci się, że cię odrzuciłem, prawda? Więc kiedy pojawił się mój ojciec i zaczął użalać się nad sobą, zobaczyłaś łatwy sposób wyrównania rachunków. Nie przypuszczam, by miało to dla ciebie wielkie znaczenie. To po prostu tylko kolejna zdobycz.

Przez jej nieskazitelnie gładką twarz przebiegł błysk gniewu.

- A ja przypuszczam, że ostatnia noc miała znaczenie dla ciebie, prawda Jake? - Oczy Lindy wbiły się w niego niczym błyszczące kawałki kryształu. - Chcesz znać prawdę? A zatem ci powiem. Prawda jest taka, że wzięłam sobie Ralpha na kochanka, bo się nudziłam. Byłam znużona tą głupią wojną, nud-

nym jedzeniem i strojami, i tym, że tkwimy w tym piekielnie nudnym kraju jak w pułapce. Ralph działa na mnie pokrzepiająco i jest zabawny. - Po tych słowach spojrzała na Jake'a. -A wiesz, mój drogi, że to nawet podniecające mieć was obojgu. To pozwala mi nie myśleć. Ojciec i syn... Nie pamiętam, by coś takiego przydarzyło mi się przedtem. - Roześmiała się, widząc wyraz jego twarzy. - Och, dajże spokój, kochanie, nie zamierzasz chyba odejść niczym jakiś *petit bourgeois*, na myśl o podążaniu śladami swego ojca, prawda?

Nagle przypomniał sobie z całą jaskrawością jej nagie ciało na swoim.

- Jeśli będziesz miała jeszcze cokolwiek wspólnego z moim ojcem, zabiję cię, pamiętaj! - wyszeptał, a potem, nie mogąc dłużej znieść bliskości Lindy, odszedł.

W słabym świetle wczesnego poranka włókł się nieznanymi ulicami splukanymi przez deszcz. Uświadomił sobie, że nie czuł do niej nienawiści. Nienawidził dwóch ludzi: ojca i siebie.

Niekiedy Faith była przekonana, że to ona miała rację, że niemożliwe, aby ojciec mógł być kochankiem Lindy Forrester. Ralph nie zdradziłby Poppy. Tata był kłótniwy, mógł się dąsać, musiał przeglądać się w oczach uwielbiających go przyjaciół, ale nie zdradzał. A jednak nie mogła się wyzbyć pewnej wątpliwości. Przez całą noc posępne wspomnienia przewijały się w jej pamięci niczym oglądana na nowo kronika filmowa. Ojciec przy stole u Lindy, otoczony płaszczącymi się przyjaciółmi Brunona... Papa w Heronsmead, znudzony i pełen urazy... I wyraz oczu mamy, gdy powiedziała: „Myślałam, że zatrzymał się u ciebie, Faith”.

O ósmej przeczesła włosy grzebieniem, spryskała wodą twarz i podążyła na Queen's Square. Woda lśniła w kałużach po nocnej ulewie. Po niebie, uwolniony przez burzę, dryfował balon zaporowy w płataninie srebrnych strzepów uwięzi. Znalazłszy się przed domem Lindy Forrester, nacisnęła dzwonek do jej mieszkania, ale nie doczekała się żadnej odpowiedzi. Po chwili, idąc przez Bloomsbury, zobaczyła budkę telefoniczną.

Długo wpatrywała się w słuchawkę. Jeśli zadzwoni do Brunona lub jego przyjaciół i znajdzie gdzieś Ralpa, to co mu powie? „Tato, mówi Faith. Czy to prawda, że sypiasz z Lindą Forrester?”. Po chwili wyszła z kabiny.

Słońce, które przebiło się przez warstwę chmur, przyniosło jej ukojenie. Jake z pewnością źle zrozumiał Eleanor, pomyślała, albo ta kobieta źle zinterpretowała to, co zobaczyła. Rozsądna i konwencjonalna żona Guya z całą pewnością była świadkiem jakiegoś przyjacielskiego pocałunku i mylnie wzięła go za coś więcej. Faith postanowiła pójść na Holland Square.

Eleanor podała jej filiżankę herbaty i strzepnęła poduszki zanim Faith usiadła. Faith próbowała znaleźć właściwe słowa' gdy odwrócona do niej plecami gospodyni, porządkując nuty na fortepianie, odezwała się pierwsza.

- Tak się cieszę, że wpadłaś, Faith. Właśnie chciałam z tobą porozmawiać. Dziewczyna zamieszała herbatę rozlewając płyn na spodeczek. - O ostatniej nocy?

Tamta przełożyła nuty na stołeczek fortepianu.

- Słucham, kochanie?

- Chciałaś ze mną porozmawiać o tym, co powiedziałaś Jake owi?

Eleanor miała zakłopotaną minę.

- Chciałam z tobą porozmawiać o Guyu. - Jej głos stał się teraz niski i poufny.

- Gdybyś tylko mogła zajmować mu mniej czasu, Faith. Widzisz, on jest taki zapracowany, tak się męczy. On sam ci nic nie powie, więc ja muszę to zrobić za niego. Nie masz nic przeciwko temu, prawda, moja droga?

Serce Faith biło bardzo szybko.

- Zajmować Guyowi mniej czasu? - powtórzyła oszołomiona.

- No właśnie. Guy wie, jak bardzo na niego liczysz, i czuje się zobowiązany do opieki nad tobą.

„Czuje się zobowiązany do opieki nad tobą”. Faith siedziała nieruchomo w milczeniu. Twarz jej płonęła. Przypomniała sobie Guya uspokajającego ją, gdy sądziła, że popada w szaleństwo; Guya niosącego jej bagaż na dworzec kolejowy Guya opatrującego rannego psa.

- On uważa że musi spłacić dług, jaki zaciągnął u twojej rodziny - mówiła dalej Eleanor. - Wie, jak trudno wam się zaadaptować do warunków w Anglii. Ja zaś myślę czasem

uśmiechnęła się lekko - że owo poczucie obowiązku i sumienie... jest dla niego ogromnym ciężarem.

Dziwne, jak kilka słów może przedstawić przeszłość w tak odmiennym świetle. Pierwszy raz Faith zobaczyła siebie jako ciężar, jako istotę nieumiejącą dostosować się do otoczenia, jako kogoś, kto zasługuje na litość.

- Guy nie ma wobec mnie żadnych zobowiązań - wyszeptała. - Żadnych.

- Jeszcze trochę herbaty, Faith? Nie? Chyba zrobię ci jeszcze jedną filiżankę - zdecydowała Eleanor, nalewając mleko z dzbanuszka. - Widzisz, on ma skłonność do entuzjazmu i nagłych porywów. Obawiam się, że dość łatwo można nim manipulować.

Faith zmusiła się, by spojrzeć w te nieprzeniknione ciemne oczy.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Eleanor?

- Cóż... - Tamta zaśmiała się z zakłopotaniem. - Niełatwo mi o tym mówić. Żonie trudno przyznać, że jej mąż pod pewnymi względami może być... słaby i skłonny do łatwego ulegania pokusom.

Powietrze w rozległym, przestronnym salonie wydawało się całkiem pozbawione tlenu. Faith chciała wyjść.

- Rozumiem - dodała Eleanor - że twoje zasady... zasady twojej rodziny... różnią się od moich, Faith. Przypuszczam, że uważasz mnie za kobietę sztywną i staroświecką.

- Nie, nie myślę o tobie w ten sposób - odrzekła. - W istocie zawsze cię podziwiałam, Eleanor. Jednak nie rozumiem, co masz na myśli, mówiąc o „zasadach mojej rodziny”.

- Nie rozumiesz? Doprawdy?

Faith zrozumiała, że wpadła w pułapkę.

- Myślisz... o moim ojcu? Eleanor piła herbatę w milczeniu.

- Z pewnością się pomyliłaś - oświadczyła z gniewem Faith. - To, co powiedziałaś Jake'owi ostatniej nocy... to nie może być prawda.

- Ale to jest prawda. - Głos żony Guya stał się teraz ostry. - To prawda. Może nie jestem tak... doświadczona jak pani, panno Mulgrave, ale zapewniam panią, że nie pomyliłam się w tym, co widziałam. Sądziłam, że najlepiej będzie ostrzec Jake<sup>^</sup>. Rozwód jest czymś tak kompromitującym, nieprawdaż?

Jednak możliwe, że w pewnym sensie się pomyliłam. Być może państwo Mulgrave'owie widzą te sprawy inaczej. Francuzi, jak sądzę, nie potępiają związków pozamałżeńskich. A państwo są taką wędrowną rodziną, nieprawdaż?

Faith, mimo drżenia nóg, wstała, ale Eleanor położyła rękę na jej ramieniu, tak że ponownie usiadła.

- Ja wierzę w stałość, panno Mulgrave. I wierzę w siłę charakteru. - W słowach i wyrazie twarzy Eleanor było ostrzeżenie. Twardym, spokojnym głosem mówiła dalej: - W to samo wierzy, oczywiście, Guy. Różnimy się tylko tym, że jego można oszukać. Dla niego życie takim życiem, jakie wiecie pani rodzina, okazałoby się niemożliwe. Czulby się rozdarty. On musi mieć poczucie bezpieczeństwa i ładu, które mu stworzyłam. Guy może nie wie, że tego potrzebuje, ale tak właśnie jest. Kocha swoją pracę i kocha swego syna. Sądzi może, że wolałby inny styl życia, ale jestem przekonana, że porzucenie tego wszystkiego, co ja mu daję, szybko by go zniszczyło. Widzi pani... - Odwróciła się ku Faith, która właśnie wtedy pierwszy raz zobaczyła w oczach tej kobiety zimną niechęć. - Widzi pani, ja go znam.

- Ale czy pani go kocha? - Głos Faith zabrzmiał cicho i spokojnie.

Brwi żony Guya uniosły się ku górze.

- Właśnie starałam się pani wyjaśnić, panno Mulgrave, że to nie pani sprawa. Faith zebrała całą swoją odwagę.

- Może to i nie moja sprawa, Eleanor, ale powinna być twoja. Tamta straciła w końcu zimną krew.

- Jak śmiesz! Jak ktoś taki jak ty śmie mówić mi o moich sprawach! - oświadczyła, wstając. - Sądzę, że powinna pani już wyjść, panno Mulgrave. I myślę, iż powinna pani pamiętać, że ani pani, ani nikt z pani rodziny nigdy więcej nie będzie już mile widziany w tym domu.

Po tym jak Thierry odwiózł Nicole z powrotem do Compton Deverall, starała się być dobrą żoną. Zgodnie z zaleceniem lekarza spędzała całe popołudnia na sofie, bawiąc się z kotkiem, którego podarował jej francuski przyjaciel, i czytając powieści. Próbowwała nawet robić na drutach ubranka dla dziecka - wiedziała bowiem, że tego spodziewano się po przyszłych matkach

- ale wciąż gubiła oczka, a kłębki wełny stale jej się rozwijały, więc gdy pod koniec tygodnia wydzierała za ledwie kawałek robótki, Laura Kemp taktownie wzięła od niej koszyczek z przyborami i sama zrobiła na drutach niemowlęcą pelerynkę.

Chociaż Nicole starała się nie tracić dobrego humoru, to jednak strasznie się nudziła. Uczennice mieszkające w Compton Deverall miały teraz wakacje, więc w wielkim domu, w którego murach odbijało się echo, przebywały tylko ona z teściową oraz gosposią. Służąca była głucha, a Laura musiała poświęcać większość czasu na pracę w ogrodzie i gospodarstwie, bo gdyby tego nie robiła, nie miałyby co jeść. Od czasu do czasu z bazy lotniczej Boscombe Down przyjeżdżał Thierry i grał z Nicole w karty lub zabierał ją na krótkie przejażdżki samochodem. Od maja ani nie widziała Davida, ani nie miała od niego wiadomości.

Olbrzymi brzuch rozpierał jej żebra i cały czas bolały ją plecy. Nie narzekała i cierpliwie znosiła owe niewygody, zaciskając zęby, i pisała długie listy do Faith. „Wyglądam jak wieloryb... Nie mogę korzystać z wanny, bo potrzebny byłby dźwig, żeby mnie do niej wsadzić, a potem wyciągnąć”. Nicole zabijała czas graniem na fortepianie i wałęsała się po domu i ogrodzie. Przodkowie Davida spoglądali na nią nieprzychylnym wzrokiem z pociemniałych i spękanych ze starości portretów, a cała historia domu, który początkowo wydawał jej się romantyczny, zaczęła ją przygniatać. Zewsząd biło ją w oczy to, jak silnie rodzina Kempów była związana z tym miejscem. Ich herb - trzy gwiazdy i lekko zezujący gryf - został wyryty na stołowych srebrach, wyrzeźbiony na obramowaniu kominka, a nawet znalazł się na wyblakłym, napuszonym malowidle na sklepieniu wielkiego westybulu.

Nicole wróciła do starego obyczaju liczenia okien w całym domu i raz dziennie z trudem obchodziła powoli budynek. Powiedziała sobie, że jeśli liczba okien okaże się parzysta, wtedy na świat przyjdzie chłopiec, a ona stanie się taką żoną, jakiej pragnął David, i odtąd wszystko będzie dobrze. Ale, mimo jej najlepszych chęci, wynik zawsze był inny. Mały prywatny szpital do którego zgłosiła ją Laura, przysłał im broszurkę zatytułowaną „Twoje dziecko”. Nicole ujrzała tam jakiś przerażający rysunek i natychmiast odłożyła lekturę. Wieśniaczki znad Morza Śródziemnego rodziły dzieci, nie czytając książek na ten temat, więc postanowiła zrobić tak samo. Ilekroć teściowa pro-

bowiała porozmawiać z nią o porodzie, Nicole udawała, że słucha, lecz w rzeczywistości myślała o czymś przyjemnym; o koniach albo o muzyce. Miała spakować do torby rzeczy niezbędne do szpitala, ale tego nie zrobiła. Wszystko stałoby się wtedy realne, a poza tym do porodu pozostały jeszcze trzy tygodnie.

Teściowa chciała pojechać do Salisbury po zakupy i Nicole zamierzała wybrać się tam wraz z nią, ale było zbyt gorąco i sama myśl o podróży dusznym, zatłoczonym autobusem wydawała się nieznośna. Laura przyjrzała jej się uważnie i spytała, czy wszystko w porządku - wszak zakupy mogły poczekać do następnego dnia - ale Nicole się uśmiechnęła i uspokoiła teściową. Nie powiedziała jej, że czuje się dość dziwnie - nie źle, lecz właśnie dziwnie - i że właśnie dziś plecy bołą ją bardziej niż zwykle - i to jakimś głębokim, przerywanym rodzajem bólu. Pomachała Laurze schodzącej ku drodze, a potem wróciła do domu, po którym wędrowała przez chwilę, kończąc spacer w pokoju dzieciennym, gdzie ustawiono już łóżeczko, wiankę i fotel. Pomyślała, że to pomieszczenie wygląda dość ponuro, i przypomniała sobie obraz, który kupiła w Londynie, poszła więc do siebie, wyciągnęła go z szuflady, wbiła gwóźdź w warstwę tynku i powiesiła swój nabytek na ścianie. Bogactwo kolorów - różu, oranżu i złota - sprawiło, iż pokój wydał się jaśniejszy. W starej skrzyni na półpiętrze odkryła zwoje tkanin; jedwabie, atlas oraz cudowne staroświeckie brokaty i udrapowała je nad łóżeczkiem, a także na karniszu. Potem poszła do ogrodu, przyniosła stamtąd naręcza róż i ułożyła je w wazonach w całym pokoju.

Zanim skończyła, ból w plecach nasilił się znacznie. Schodząc na dół, Nicole musiała przystawać, opierając się o poręcz, gdy ból narastał i potężniał, gotów wybuchnąć. Zauważyła, że z każdym atakiem jej nabrzmiały brzuch twardniał. Wtedy zaczęła się zastanawiać, czy nie dzieje się coś złego. Rzuciwszy okiem na zegarek, zobaczyła, że minęło południe. Laura powiedziała, że będzie w domu przed trzecią. Czując się nagle bardzo osamotniona, Nicole postanowiła poszukać gosposi, ale chodząc z trudem od pokoju do pokoju i przemieszczając się to w górę, to w dół po schodach, nie mogła jej nigdzie znaleźć. W jadalni zobaczyła, że stół nakryto tylko dla jednej osoby: były tam półmisek zimnej cielęciny i szynki w cieście oraz sałata i karteczka z informacją: „ciasteczko w spiżarni”. Nicole zapomniała, że gosposia miała dziś wolne.



Nie mogła jeść i było jej niedobrze. Strasznie się bała, że ból może mieć coś wspólnego z dzieckiem. Żałowała, iż nie ma tu mamy albo Faith. Jej samotność i świadomość, że gdyby nawet zaczęła krzyczeć, to i tak nikt by jej nie usłyszał, wydawała się gorsza niż cierpienie. Musiała się wyrwać z tego dużego, pustego domu, więc postanowiła zająć myśli ponownym liczeniem okien. Na zewnątrz, w słońcu południa, z Minette podskakującą u jej stóp, powędrowała wokół szczytowych ścian budynku. Liczyła bardzo starannie, chcąc zrobić to bez błędu. Kiedy obeszła cały dom, stwierdziła, iż okien jest sto pięćdziesiąt siedem. Dziwna liczba, pomyślała Nicole i doszła do wniosku, że chyba policzyła niedobrze. Musiała zapomnieć o jednym z okien wykuszowych albo o tym małym, półkolistym okienku na poddaszu. Zaczęła więc liczyć ponownie, unosząc ku górze oczy i osłaniając je przed promieniami słońca wierzchem dłoni. Ból stał się teraz jeszcze gorszy i był naprawdę okropny. Gorszy niż wtedy gdy spadła z konia i złamała rękę; gorszy niż ten spowodowany ropniem zęba, który miała w Neapolu. Chciało jej się płakać, ale postanowiła liczyć dalej. Skoro dziecko miało urodzić się niebawem, musiała wiedzieć, ile jest okien.

Sto pięćdziesiąt pięć... sto pięćdziesiąt sześć... sto pięćdziesiąt siedem. Nicole stała, spoglądając ku górze i trzymając się za brzuch. Właśnie wtedy usłyszała na podjeździe samochód, który ze zgrzytem opon zatrzymał się na żwirze. Spojrzała na wysiadającego kierowcę i krzyknęła.

- David!

Podbiegł ku niej przez dziedziniec.

- Nicole, cóż ty, u licha, robisz tutaj w tym skwarze?

- Liczyłam okna - odpowiedziała, czując, że słabnie.

- Musisz wejść do środka.

- Nie mogę. - Złapała się kurczowo gęstwiny starego bluszczu, który piał się po ścianie. - Davidzie, dzieje się coś strasznego. Okropnie mnie boli.

- Nicole, niebawem urodzisz dziecko, to wszystko - powiedział bardzo łagodnie, a potem objął ją ramieniem i przytulił do siebie. Po kilku minutach zapytał: - Gdzie jest twój neseser?

- Jeszcze go nie spakowałam.

- Nie szkodzi. Lepiej od razu zabiorę cię do szpitala. Możesz iść?

- Chyba nie - odpowiedziała, więc wziął ją ostrożnie na ręce i posadził na przednim siedzeniu samochodu.

Bardzo szybko pojechali do Salisbury.

W szpitalu posadzono Nicole na wózku i powieszono długim korytarzem wyłożonym białymi kafelkami. Chciała, żeby David z nią został, ale mu nie pozwolono. Pielęgniarka z dezaprobatą przyjęła jej wyjaśnienia, że nie przywiozła ze sobą nocnej bielizny. Wykąpano ją i ubrano w okropną szpitalną koszulę, a potem robiono jakieś straszne, niedające się opowiedzieć rzeczy. Gdy wszystkich zwymyślała, zbesztano ją. Jakiś lekarz uspokoił ją, oglądał z uwagą i robił jeszcze bardziej upokarzające rzeczy.

- No cóż, musi pani jeszcze kilka godzin pochodzić, pani Kemp - powiedział wesoło, kiedy skończył. - Ale dziecko powinno urodzić się do rana.

Nicole spojrzała na zegarek: dopiero piąta po południu. Nie była w stanie uwierzyć, że to mogłoby trwać jeszcze dłużej. Czuła się tak, jakby rozrywano jej ciało na dwie części. Leżąc sama na zimnym, wysokim łóżku, obserwowała przesuwające się powoli wskazówki zegara. Od dłuższego czasu nikogo przy niej nie było, a kiedy zaczęła krzyczeć i kląć, przybiegła jakaś pielęgniarka i zwróciła jej ostro uwagę.

- Pani mąż siedzi na korytarzu, pani Kemp. Nie chce pani chyba, żeby słyszał, jak pani wykrzykuje takie rzeczy, prawda?

Później leżała już cicho. Zasady rodziny Mulgrave'ow, pomyślała; „Nie pozwól, by widziano, że się boisz”. Ból był jeszcze okropniej szy, niż mogła to sobie kiedykolwiek wyobrazić, ale nie wydała już z siebie żadnego jęku. Przestała też pytać o Davida, przestała spoglądać na zegarek i w końcu przestała już nawet cokolwiek odczuwać. Lekarze i pielęgniarki biegali wokół niej, lecz nie zwracała na nich uwagi, a kiedy założyli jej na twarz maskę, osunęła się w ciemny, cichy przestwór wewnątrz siebie, dokąd opadła i odpłynęła jej świadomość. Chwilami była w tej mrocznej przestrzeni, chwilami zaś w La Rouilly, gdzie wiosłowała po okrągłym, szmaragdowym jeziorze z Faith, Jakiem i Guyem.

Nocne niebo zaczynało się już rozjaśniać, kiedy wreszcie dziecko przyszło na świat. Wyciągnięto je metalowymi kleszczami. Nicole usłyszała odgłos klapsa i krzyk, a potem zamknęła oczy i odpłynęła.

Guy czekał przed stacją karetek. Faith nie widziała go, dopóki nie wyszedł z cienia.

- Faith, na miłość boską, szukałem cię przez całe popołudnie - powiedział. - Gdzie byłaś?

- Tu i tam. - Naprawdę nie mogła sobie przypomnieć, choć pamiętała każde słowo porannej rozmowy z Eleanor.

Próbowała go wyminąć i wejść do dyspozytorni, ale chwycił ją za rękę.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Pozwól mi iść, Guy. - Zatrzymała się, odwrócona doń plecami.

- Powiedziałem, że muszę z tobą porozmawiać. Wchodząca do budynku jedna z dziewcząt ze zmiany Faith popatrzyła na nich z ciekawością.

- Muszę iść do pracy. Jest już szósta.

Guy przez chwilę wydawał się głęboko zawiedziony. Wypuścił jej rękę i oparł się o pokrytą stiukiem ścianę przedsiionka.

- Faith, proszę. Dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać? W pamięci zadźwięczało jej echo głosu Eleanor. „Guy wie, jak bardzo na niego liczysz, i czuje się zobowiązany do opieki nad tobą”. Zadrzała.

- O czym chcesz rozmawiać, Guy?

- Nie tutaj.

Mijali ich ludzie wchodzący i wychodzący ze stacji karetek.

- Nie musisz się o mnie martwić - powiedziała Faith, zmuszając się do uśmiechu, chociaż nie spała od przeszło dwudziestu czterech godzin i była półprzytomna ze zmęczenia. - Przestań myśleć, że musisz się o mnie troszczyć. Nie masz nam nic do spłacenia, Guy. - Jej głos stał się nienaturalnie ożywiony. -Wszyscy bardzo dobrze sobie radzimy.

Patrzył na nią zdumiony.

- Nie wiem, o czym ty, u licha, mówisz, ale jeśli nie poświęcisz mi pięciu minut na osobności, podpalę ten budynek -oświadczył, wyjmując z kieszeni zapalniczkę i błyskając ogniem.

Wielki Boże, szepnęła i pomyślała szybko. Za stacją pogotowia było małe podwórko pełne skrzynek na śmieci, worków z piaskiem i wiader z wodą do gaszenia ognia. Zaprowadziła tam Guya i usiadła na stercie worków. Znowu zaczął padać deszcz.

- Chciałem cię o coś zapytać. - Podniósł kołnierz marynarki, a krople wody spływały mu z nosa. - Próbowałem porozmawiać z tobą wczoraj, lecz nie mogłem, gdyż nie byliśmy sami.

Pierwszy raz tego wieczoru popatrzyła prosto na niego.

- O co chcesz mnie zapytać, Guy?

- Muszę wiedzieć, co do mnie czujesz. - Jego głos był oschły.

Faith oparła głowę na rękach. Pomyślała o Jake'u, Ralphie i Poppy oraz o swojej przerażającej rozmowie z Eleanor i poczuła się wyczerpana.

- Nie mogę wyłożyć tego jaśniej - powiedział i dziewczyna zrozumiała, patrząc na jego mroczną, gniewną twarz, że Eleanor powiedziała prawdę i że ona, Faith, stała się dla Guya niewygodnym i męczącym obowiązkiem. - Chcę wiedzieć - mówił dalej - czy wciąż jesteśmy tylko przyjaciółmi... kimś w rodzaju brata i siostry...

Uniosła ramiona, niemal nie mogąc mówić. Oczy piekły ją od tłumionych łez, a deszcz spływał za kołnierz.

- Nigdy nie zamierzałam prosić cię o cokolwiek, Guy - oświadczyła drżącym głosem. - Wiem, że kiedy ten pies... i jak byłam chora... i wtedy, w La Rouilly, gdy ukąsiła mnie żmija... ale jeśli zacząłeś sądzić, że jesteś zobowiązany do zajmowania się mną, to ja naprawdę myślę, że...

- O czym ty mówisz, dziewczyno?! - wykrzyknął, machając rękami. - Próbuje ci powiedzieć, że cię kocham!

Faith wpatrywała się w niego bez słowa. I dopiero po chwili odzyskała głos.

- Co proszę? - wyszeptała.

Ktoś stukał w okno i wołał donośnym głosem:

- Faith Mulgrave! Na miłość boską, już dziesięć po szóstej!

- Powtórz to, Guy - odezwała się, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami i cichym, nagłym głosem poprosiła: - Powiedz to jeszcze raz. Chcę usłyszeć, jak mówisz to znowu.

- Kocham cię, Faith. - Zdenerwowanie Guya najwyraźniej już minęło i teraz jego słowa brzmiały błagalnie i bezbronne. - Strasznie dużo czasu zabrało mi zrozumienie tego. Byłem zupełnie niewiarygodnie tępy... ale cię kocham.

Najpierw poczuła ogromną ulgę. Eleanor nie miała racji, Guy nie przyszedł do niej z poczucia obowiązku, lecz dlatego, że ją kochał. Serce biło jej mocno.

Przetarł dłonią twarz i mówił dalej:

- Nie miałem pojęcia, co o mnie myślisz. - W jego głosie brzmiała udręka. - Przypuszczam, że cię obchodzę, ale nie wiem, jak bardzo.

Sądzę, Guy, że kocham cię od czasów, gdy miałam jedenaście lat, myślała. Od chwili, gdy weszłam do kuchni w La Rouilly i zobaczyłam cię po raz pierwszy. Twoje buty pokrywał kurz, a oczy ci pojaśniały, kiedy się do mnie uśmiechnąłeś. Nie było takiej chwili, żebym cię tak czy inaczej nie kochała.

Szczęknęła klamka przy oknie. Czyjeś palce stukały o szybę.

- Widzisz, myślałem o tym przez cały dzień. Nic innego nie robię, tylko o tym myślę - tłumaczył, próbując się uśmiechnąć. - O mało nie zagipsowałem dziś rano zdrowego ramienia.

- Wydawał się znużony i wyczerpany. Wokół ciemnych oczu miał zaczerwienione obwódki. - Kochasz mnie, Faith? Czy mogłabyś pokochać mnie chociaż trochę?

Podeszła do niego i położyła mu głowę na piersi.

- Oczywiście, że cię kocham, ty wariacie - odrzekła czule. - Jakże mogłabym cię nie kochać?

Usłyszała zduszone westchnienie, a potem otoczył ją ramionami i pocałował w czubek głowy. Pomyślała, że choć nieczęsto rozpoznaje się momenty doskonałego szczęścia, póki nie minie, to wiedziała, że oto właśnie trwa owa chwila. Nie zmieniłaby niczego: kropel wody kapiących z rynny, które utworzyły kałużę pod ich stopami ani szorstkości jego zarostu, który poczuła na policzku, gdy Guy ją całował. Jedynie gdy pomyślała o Eleanor, obraz nieco ściemniał i zmatowiał na brzegach. Ale wtedy zamknęła oczy, oddając się ciepłu jego ramion i całkowitemu szczęściu obecnej chwili.

Klamka szczęknęła ponownie i z okna wychyliła się czyjaś głowa.

- Kontrola sprzętu, Mulgrave. Biegiem! - Wścibskie oczy spojrzały najpierw na Guya, a potem na nią. - Natychmiast, Mulgrave, albo panna Deakin rozerwie cię na kawałki!

Panna Deakin była kierowniczką.

- Muszę iść - szepnęła Faith, ale biegnąc do frontowych drzwi, usłyszała za sobą jego głos.

- Ja nie mogę tak żyć, zrozum. Nie potrafię żyć w kłamstwie

- zawołał i chwyciwszy ją za ramiona, przyciągnął ku sobie.

Oddychała z trudem, jakby przebiegła długą drogę.

- Jutro rano, w parku. Spotkamy się pod tą lipą, Guy, o wpół do dziewiątej. Pod tą lipą...

Faith była zadowolona, że panna Deakin, kierowniczka, wybrała właśnie tę noc na dokładne sprawdzanie całego wyposażenia stacji. Licząc ołówki i sprawdzając bandażę, nie miała czasu na myślenie. Gdy czołgała się po karetkę w poszukiwaniu jakiegoś brakującego kanistra, siniaki na kolanach odrywały ją od wspomnienia uścisków Guya, a gderanie panny Deakin chwilowo stłumiło echo nienawiści w głosie jego żony.

O szóstej rano Faith skończyła zmianę i poszła do domu. W kuchni było chłodno i ciemno.

- Rufus? Jake? - zawołała, ale nie usłyszała odpowiedzi. Obchodząc całe mieszkanie i uchylając drzwi do pustych

pokoju, wahała się między euforycznym uniesieniem a rozpaczą. W jej głowie unosiły się wspomnienia, niedokończone zdania i strzępy myśli. Wiedziała, że powinna odpocząć, ale nie potrafiła, więc wciąż wędrowała z pokoju do pokoju, nie mogąc usiedzieć na jednym miejscu. Próbowwała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio spała, ale straciła rachubę, licząc godziny. Spojrzała na zegarek. Było wpół do ósmej.

Znalazszy się w swoim pokoju, otworzyła szafę i wpatrywała się w jej zawartość. Ubrania; sukienki, szale i kapelusze... miłe, starannie ułożone, kolorowe pamiątki przeszłości. Musnąwszy suknię z domu mody Douillet, pogładziła wierzchem dłoni jej jedwabne fałdy. Czy kiedyś, może w tej sukni, pójdzie jeszcze z Guyem na spacer po plaży? A może w tej drugiej,

o barwie Nilu, z kolekcji Schiaparelli, pójdzie z nim na kolację przy świecach z cichą muzyką w tle? Ostrożnie wyjęła z szafy kreację w kolorze błękitnego nieba. Czy Guy rozepnie tuzin perłowych guziczków? Czy zsunie tę suknię z jej nagich ramion

i pozwoli, by opadła na podłogę opalizującą falą jedwabiu?

Usiadła na brzegu łóżka, kołyszając sukienkę w ramionach niczym dziecko. Uświadomiła sobie, że gdyby zgodziła się na romans z Guyem, nie byłaby lepsza niż Linda Forrester. Uczyniłaby Neville'om to samo, co tamta zrobiła rodzinie Mulgrave'ów. Gdy przypominała sobie zimną nienawiść, jaką poprzedniego ranka dostrzegła w oczach Eleanor, zadrżała. Gdyby została kochanką Guya, zasłużyłaby na tę nienawiść. Pomyślała o Ralphie z Lindą Forrester i podciągnęła kolana

do brody, obejmując je ramionami, by opanować drzenie. Czy mogłaby tak upokorzyć Eleanor, jak Linda Forrester upokorzyła Poppy? Zamykając oczy i wdychając lawendowy zapach błękitnej sukienki, Faith przyznała, że mogłaby to zrobić, a potem znienawidziła samą siebie, ale tylko na chwilę. Jeszcze raz spojrzała na zegarek. Dziesięć po ósmej. Jeśli ma być w parku o wpół do dziewiątej, powinna już wyjść.

Już prawie się podniosła, prawie wyszła z pokoju, ale wtedy przypomniała sobie, jak stała obok Guya w dziecięcym pokoju domu przy Malt Street, spoglądając na niemowlę śpiące w łóżeczku. Drobnutki, doskonałe rysy; miłość w oczach Guya. A co z Oliverem? Chociaż nie dbała już o opinię Eleanor na swój temat, to czyż mogłaby oderwać Guya od synka? Czy potrafiłaby skrzywdzić niewinne dziecko?

Euforia poprzedniego wieczoru zbladła i teraz Faith widziała jedynie niesprawiedliwość, jaką pociągnęłaby za sobą jej decyzja zostania kochanką Guya. Zmusiła się do przypomnienia sobie wszystkiego, co powiedziała jej Eleanor. „On musi mieć poczucie bezpieczeństwa i ładu... porzucenie tego wszystkiego, co ja mu daję, szybko by go zniszczyło”. Przypomniała sobie Guya w La Rouilly: odzież starannie poskładaną w plecaku oraz uwagę i precyzję, z jaką rozcinał kurczaka. Właśnie tamtego pierwszego dnia zrozumiała, że różni się od nich me jest jednym z Mulgrave'ow, że przestrzega innych zasad. To była część jego uroku. Gryzła palce i myślała: Eleanor ma rację powiedziała prawdę. Chociaż tamta kobieta chyba nie kochała Guya, to jednak go rozumiała i miała mu coś do zaoferowania: przemyślaną, rozważną, uporządkowaną egzystencję, pozwalającą mu kontynuować pracę, którą kochał.

Nikt z nas nie jest rozważny ani uporządkowany, pomyślała z goryczą. Nieudolnie dryfujemy przez życie, niepomni tego, co robimy innym. Błękitna sukienka osunęła się niepostrzeżenie na podłogę, gdy Faith oparła głowę na kolanach. Przypomniała sobie Nicole z brzuchem, oczekującą narodzin dziecka - siostra mówiła, że nie jest już pewna, czy kocha Davida - a potem w nagłym popłochu pomyślała o Jake'u. Przeraziła ją jego przedłużająca się nieobecność. Przypomniała sobie z trudem tłumioną gwałtowność w jego głosie, gdy powiedział: „Staram się to wszystko przemyśleć, próbuję rozważnie ocenić fakty”. Poczula mdłości ze strachu.

Rozpadamy się, pomyślała. Nigdy nie mieliśmy silnych korzeni, a te, które mieliśmy, zostały nam wyrwane. Ów rozpad rozpoczęty w minionym roku we Francji nabrał teraz szybkości i wymknął się spod kontroli. Wszystko, co Faith uważała kiedyś za oczywiste i pewne, teraz wydawało się zagrożone: małżeństwo jej rodziców, związek Nicole z Davidem, miłość Jake'a do ojca. Teraz pojawiły się spóźnione efekty ich ucieczki z Francji: zniszczenie, podziały, rozbicie. Kiedyś Faith bała się bomb, ale rozpad ustalonych wartości jej życia przerażał ją jeszcze bardziej.

Dla niej istniało tylko jedno bezpieczne miejsce. Przypomniała sobie ogromną lipę i jej okrągłe liście, drżące w upale. A co ze mną? - zapytała głośno samą siebie. Niczego nie mogła zrobić dla rodziny, ale była w stanie ocalić choć trochę szczęścia dla siebie. Nagle zaczęła się śpieszyć. Spoglądając w dół, odniosła wrażenie, że wskazówki jej zegarka obracają się z nienaturalną prędkością. Za dwadzieścia pięć dziewiąta. Musi natychmiast iść.

Zbiegła na dół, ściągnęła żakiet z wieszaka, wsunęła stopy w pierwszą parę pantofli, jaką znalazła. Nie mogła znaleźć kluczy. Może nie będą mi potrzebne, pomyślała. Może nie wróć. Trzasnęła drzwiami.

I wtedy zobaczyła skręcającą zza rogu ulicy znajomą postać. Nie Guya, nie Jake'a, lecz Poppy.

Zrozumiała, patrząc na matkę, że Poppy czekała zbyt długo, że zostawiła wszystko za późno. Najpierw pomyślała: ona wie; mama wie o tacie. Słońce poranka oślepiało Faith, jej dotychczasowy niepokój zniknął. Była zmęczona i wyczerpana, oparła się o framugę drzwi. Poppy podniosła wzrok.

- Och, Faith! - wykrzyknęła. Szła szybko i zabrakło jej tchu. - Faith, takie okropne wieści...

- Tata...? - szepnęła Faith.

Matka spojrzała na nią, oszołomiona ciemnymi otchłaniami jej oczu w pobladłej twarzy, i potrząsnęła głową.

- David przysłał mi depeszę. - Głos Poppy drżał. - Nicole urodziła córeczkę...

Faith nie mogła mówić. Strach wezbrał w niej małą, twardą kulą w dole brzucha.

- Dziecko przyszło na świat bardzo małe i słabe - mówiła dalej Poppy - Nicole zaś jest ciężko chora. Och, Faith, oni się boją, że może umrzeć.



Czekał aż do południa. Liście lipy drżały w upale, a nasiona z noskami" wirowały niczym spadochrony i opadały na ziemię. Gdy był już całkiem pewny, że Faith mu przyjdzie, poszedł do jej domu w dzielnicy Islington. Drzwi otworzył mu Rufus Foxwell. Wyjechała, oświadczył, i nie powiedziała dokąd.

Guy wrócił na Holland Square. Gdy czekał w parku, radość przechodziła w konsternację, ale teraz ogarnęła go rozpacz. Drogę do domu utrudniały mu kawałki gruzu rozrzucone na chodnikach i elementy ogrodzeń leżące w cieniu zbombardowanych budynków. Stając pod wysokimi rumowiskami kamieni oraz cegieł i spoglądając ku górze, pomyślał, że nic z tego nie jest jednak tak ulotne i chwiejne jak miłość.

## *Rozdział dziewiąty*

Poppy spędziła w Compton Deverall dwa tygodnie, a potem wróciła do Heronsmead. Do tego czasu Nicole nic już nie groziło, Poppy zaś przyznawała przed sobą, że choć zarówno Laura jak i David są bardzo serdeczni - a w istocie wprost wychodzili z siebie, by było jej dobrze - to jednak w ich domu nie czuła się swobodnie. Poppy odnosiła wrażenie, że Kempowie i ich piękna posiadłość odpowiadają owemu poziomowi życia jaki niegdyś mogła wybrać dla siebie. Impulsywny postępek na plaży w Deauville dwadzieścia jeden lat temu oraz mijający czas zamknęły przed nią taki styl życia. Niegdyś ona, panna Van-burgh, była równa Kempom, teraz zaś należała do banitów i wa-gabundów. Nawet jak na te ciężkie czasy chodziła źle uczesana i nieodpowiednio ubrana, a czasami z trudem przypominała sobie, by sięgnąć po właściwe sztucce. Niekiedy myślała z obawą że utraciła już nawet dawny sposób mówienia. Ralph z pewnością by tego me zauważył, ale ona, należąca ongiś do pewnej sfery, dostrzegła to wyraźnie.

Gdy tylko młodsza córka poczuła się wystarczająco dobrze by opuścić szpital, Poppy postanowiła więc wrócić do domu Faith i Laura miały się opiekować Nicole i dzieckiem, nie było więc potrzeby, żeby została dłużej. Chociaż Elizabeth okazała się zachwycającym, śniadym maleństwem, Poppy nie śmiała obdarzyć wnuczki miłością. Lęk przed możliwością utraty tego skarbu ostrzegał ją przed jakimkolwiek uczuciem. Pięć lat temu zmarło czwarte dziecko Poppy, latem 1940 roku cudem uniknęła wyjazdu z Francji bez pozostałego przy życiu starszego syna. Gdy nadszedł telegram z wiadomością o trudnym przyjsciu na świat Elizabeth i chorobie Nicole, Poppy, jadąc do

Londynu po Faith, tępo wpatrywała się w okno pociągu, pełna trwogi, że teraz może stracić zarówno córkę, jak i wnuczkę.

Zatrzymując się na poboczu, Poppy postawiła walizkę i odetchnęła głęboko. Po obu stronach wąskiej drogi rozciągały się moczary, w oddali migotliwą wstęgą jedwabiu lśniło morze. Chociaż były dopiero pierwsze dni wrzeźnia, miała wrażenie, że wokół zapanowała już jesień; że można ją zobaczyć w drżących trzcinach i odczuć w chłodnym wietrze. W tym monotonnym, połyskującym świecie Poppy była prawdopodobnie jedynym skrawkiem życia.

Próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziała męża. Ponad miesiąc temu, pomyślała. Wyjechał do Londynu kilka tygodni przed przyjściem na świat Elizabeth i przez blisko połowę miesiąca, gdy nad Nicole zawisło niebezpieczeństwo, nikt nie mógł go znaleźć. Ze wszystkich złych rzeczy, jakie uczynił Ralph, tę ostatnią, myślała Poppy, najtrudniej zdołałaby mu wybaczyć. Chociaż Nicole była jego ukochanym dzieckiem, mimo że psuł ją i rozpieszczał, choć pobił ją, gdy była mała, to jednak w chwili gdy najbardziej potrzebowała ojca, Ralpa przy niej zabrakło.

W oddali Poppy zobaczyła zabudowania, wieżę kościelną i swój własny, mały dom, stojący nieopodal mokradeł. Nagle zapragnęła się tam znaleźć, zamknąć w znanych, kamiennych ścianach, rozpalić ogień w kominku i zatrasnąwszy drzwi, odciąć się od świata. Stałam się nietowarzyska, pomyślała. Ona, która przez tyle lat otoczona była ludźmi, teraz pragnęła, aby zostawiono ją w spokoju z jej niedolą i gniewem, by mogła pielęgnować je w samotności.

Gdy skręciła w pełen kolein trakt, który wiodł z drogi do Heronsmead, ręce bolały ją od ciężaru walizki. Otworzywszy furtkę, Poppy uśmiechnęła się słabo. Upstrzone cętkami ściany domu, falujące trzciny, żaloszny krzyk kulika, wszystko wokół zdawało się ją witać. Po wejściu do środka z westchnieniem ulgi postawiła walizkę, a potem cisnęła na krzesło kapelusz i rękawiczki.

Nalewała właśnie wodę do czajnika, gdy usłyszała za sobą znane kroki. Gdy się odwróciła, zobaczyła stojącego w drzwiach Ralpa. Wydawał się bardziej zaniedbany niż zwykle: jego płaszcz miał oderwaną kieszeń, a podeszwa jednego z kamaszków zwisała luźno, sprawiając, iż but przypominał otwarty pysk ryby.

- Jak ona się czuje? Powiedz mi, że wszystko w porządku -mówił szybko.

Spojrzała na niego zimno.

- Przypuszczam, że mówisz o Nicole?

- Na miłość boską, Poppy, odchodzę od zmysłów ze zmartwienia! - Patrzył na nią półprzytomnym wzrokiem.

Odstawiła puszkę z herbatą.

- Jednak nie zmartwiłeś się do tego stopnia, by ją odwiedzić - zauważyła ze spokojem.

- Dowiedziałem się dopiero dzisiaj rano. Wróciłem tu ostatniej nocy. Nie było cię, nie zostawiłaś żadnej wiadomości... Dopiero dzisiaj rano ta cholerna wścibska baba z plebanii przysłała tutaj i powiedziała mi, co się stało, czerpiąc przy tym wielką przyjemność z powiadomienia mnie, że moja córka umiera. Próbowałem telefonować, ale te piekielne przewody telefoniczne znów są pozrywane. - Ścisnął jej ramię. - Na miłość boską, Poppy... powiedz mi, że ona nie... że nie...

Zobaczyła łzy w oczach Ralpha.

- Nicole wraca do zdrowia. Pozwolono zabrać ją do domu, chociaż wciąż jest bardzo słaba.

Odsuwając się od męża, Poppy usłyszała jego szept:

- Dzięki Bogu... dzięki Bogu...

- Gdzie byłeś, Ralph? - spytała, napelniając imbryczek. -Dlaczego nie przyjechałeś? Są przecież pociągi.

- Zostałem bez grosza - wymamrotał. Wygląda jak żebrak, pomyślała

- Ile masz pieniędzy, Ralph?

- Szylinga i trzy pensy - przyznał. - Musiałem błagać, żeby mnie przywieziono. Cały tydzień tutaj jechałem - mówiąc to, miał w oczach rozpacz.

- Gdzie byłeś? - syknęła.

- Och, tu i tam... - mruknął.

Byłeś z nią, pomyślała Poppy. Nienawiść przyprawiła ją o zawrót głowy.

- Myślałem, żeby wrócić do domu - powiedział, dotykając czule jej ramienia.

- Wpadłem w małe tarapaty, Pop.

„Wpadłem w małe tarapaty, Pop". A ona powinna mu teraz wybaczyć; ma go pocałować i kochać się z nim, tak jak zawsze.

- Głowa mnie boli - oświadczyła chłodno i odsunęła się, nie mogąc znieść jego bliskości. - Zabieram swoją herbatę do łóż-

ka. Jestem pewna, Ralph, że jeśli dobrze poszukasz, to znajdziesz sobie coś do jedzenia.

Później Faith często myślała, że gdyby Nicole w tych pierwszych kilku tygodniach nie była taka chora, to z pewnością nawiązałyby bliższy kontakt ze swoją córeczką i nauczyłyby się ją kochać. Ponieważ jednak chorowała, najpierw leżała blada i milcząca w szpitalu, a potem w Compton Deverall siedziała w łóżku wsparta na kilku poduszkach i z Minette wtuloną pod ramię wyglądała przez okno. Faith albo Laura zas karmiły, kąpały i przewijały dziecko.

Elizabeth miała śliczne ciemne włoski, granatowe oczy i jasną niemal przezroczystą cerę. Była absolutnie doskonała, myślała Faith. Rzadko płakała, budziła się tylko na karmienie co cztery godziny i cierpliwie znosiła początkową niezdarnosc ciotki. Miała słoneczne usposobienie i uśmiechała się po sześciu tygodniach, a po ośmiu śmiała się w głos. Faith pokochała ją bezgranicznie. Elizabeth wypełniła część owej pustki, którą miała w sercu po opuszczeniu Guya.

David wrócił do Compton Deverall, gdy jego córeczka skończyła dwa miesiące. Faith wkładała Elizabeth do wózka i zabierała ją na spacer, podczas gdy szwagier spędzał czas z Nicole. Jechała właśnie z wózkiem wśród drzew, gdy zobaczyła Davida i pomachała mu ręką. Biegł, by ją dogonić.

- Teraz ja, pozwól - rzekł, sięgając po rączkę ciężkiego wózka i pchając go dalej. - Jesteś naprawdę bardzo dzielna, jeżdżąc tym pojazdem po takich wertepach.

- To niemal równie okropne jak prowadzenie karetki - przyznała Faith. Spojrzał na nią.

- Wrócisz do tego?

Zaprzeczyła stanowczym ruchem głowy.

- Zwolniłam się - oświadczyła. - Zgłosiłam im to kilka tygodni temu.

W nagłym porywie wiatru z drzew uniosło się kilka złotych suchych liści.

- To moja ulubiona pora roku - powiedział David.

- Drzewa wyglądają naprawdę wspaniale.

- Jesień najbardziej pasuje do tego domu, me sądzisz? Lato jest zbyt zuchwałe dla tak leciwej piękności.

Roześmiała się z jego słów. David pchał wózek w milczeniu.

- Wygląda już lepiej, prawda? - zapytał w końcu.

- Nicole? - Faith zobaczyła w jego oczach troskę. - Nicole czuje się już niemal całkiem dobrze - odrzekła zdecydowanym tonem. - Wczoraj powiedziała mi, że się nudzi.

- Tamtej nocy... tamtej nocy, kiedy urodziła się Elizabeth... Nie przeżyłbym zbyt wielu takich nocy...

Spojrzała na niego z uwagą.

- Davidzie, jesteś niemal całkiem siwy.

- Wiem. - Przesunął dłonią po włosach. Wyszli spod drzew.

- Chyba wyjadę pod koniec tego tygodnia - oznajmiła Faith.

- Tak szybko? Faith, możesz tu zostać, jak długo zechcesz. Nie wolno ci myśleć, że skoro wróciłem do domu...

Potrząsnęła głową.

- Nie o to chodzi. Rzez w tym, że Nicole czuje się lepiej i będzie chciała mieć Lizzie dla siebie.

Oszukała go. Wyjedzie, bo gdy to zrobi, siostra z pewnością będzie musiała zbliżyć się do własnej córki. Dopóki Faith tutaj pozostaje, Nicole może udawać, że to nie jej dziecko; że Elizabeth w ogóle nie istnieje.

- Będzie nam przykro bez ciebie - powiedział David - ale oczywiście masz przecież własne życie.

- Tak sędzę.

Przypomniała sobie ową chwilę, gdy siedziała w swoim pokoju przy Mahonia Road oraz sukienkę w kolorze błękitu nieba, spływającą jej na kolana, i rozważania, czy spotkać się z Guyem. Przyjazd Poppy i choroba Nicole podjęły w końcu tę decyzję za Faith. Wiele dni i nocy przekonywała samą siebie, że to postanowienie było słuszne. Od tamtej chwili nigdy nie napisała do Guya ani nie zatelefonowała do niego.

- Wrócisz do Londynu? Faith potrząsnęła głową.

- Prawdę mówiąc, nie mam najmniejszego pojęcia, co zrobię. Zastanawiam się nad tym od kilku tygodni. Może wstąpię do jakiejś formacji wojskowej. Widzisz mnie w mundurze, Davidzie, naprawiającą czołgi?

Roześmiał się głośno.

- Chyba nie. Chociaż jestem pewien, że potrafiłabyś robić wszystko, na co byś się zdecydowała.

- Jednak rzecz w tym, że tak trudno podjąć tę decyzję, prawda? - westchnęła.  
- Wiem tylko, czego już nie chcę robić. Ty natomiast masz wszystko poukładane, Davidzie. Jak się na to zdecydowałeś?

- Dla mnie to było łatwe. Poszedłem do szkoły w Marlboro, ponieważ mój ojciec tam chodził, a potem wstąpiłem na uniwersytet w Oksfordzie, bo każdy tak robił, i tak dalej. -Spojrzał na nią. - A jaka praca sprawia tobie przyjemność?

Faith już wcześniej bardzo polubiła szwagra; był tak pokrzepiająco rozsądny, inteligentny i niezmiennie solidny. Namyslała się przez chwilę.

- Lubię być zajęta. Nie znośzę nie mieć niczego do roboty. Lubię... och, lubię sama decydować o różnych sprawach.

Doszli do ogrodu. Faith usiadła na kamiennej ławce, a David kołysał wózek ze śpiącą Elizabeth.

- Widzisz, Davidzie, ja nigdy nie chodziłam do szkoły - wyjaśniała Faith. - Gdyby ktoś mnie zapytał, jakie egzaminy pozdawałam, odpowiem, że żadne, a wtedy nigdzie mnie nie zechcą, tak jak przydarzyło się to Jake'owi.

- Twojemu bratu? Skinęła głową.

- Jest okropnie znudzony i zawsze ma jakieś kłopoty. W Londynie, tuż przez przyjściem na świat Elizabeth, stało się coś... coś strasznego i obawiam się... - umilkła.

- Opowiedz mi o tym. - Głos szwagra brzmiał bardzo łagodnie.

- Nie miałam zamiaru niczego mówić. To, co się stało, me stawia mojej rodziny w zbyt dobrym świetle. - Uśmiechnęła się do niego. - Umiesz sprawić, by ludzie ci się zwierzali, Davidzie. Byłbyś cudownym katem!

Roześmiał się ponownie.

- Tak czy inaczej, potraktuję to jako komplement.

- Jake, jak wiesz, jest w wojsku, ale to strasznie nudne, więc udaje głupiego i pakuje się w tarapaty, toteż jestem pewna, że skończy przed sądem wojennym i zostanie rozstrzelany.

- Obawiam się, iż bardziej prawdopodobne jest to, że go stłuką lub skażą na trzy dni obierania ziemniaków.

- Widzisz, on jest naprawdę w porządku, musi tylko czuć się potrzebny.

- Twój brat mówi płynnie po francusku, prawda?

- A także po włosku i po hiszpańsku. Wszyscy władamy dobrze tymi językami.

Szwagier wyglądał na rozgniewanego.

- To przerażające, w jaki sposób tak użyteczni ludzie mogą spokojnie wymykać się z naszej sieci. Posłuchaj, Faith, nie martw się, zobaczę, co będę mógł zrobić dla Jake'a.

Elizabeth zaczęła płakać.

- Robi się chłodno - zauważył David.

Słońce wydawało się teraz zmatowiałą miedzianą monetą na ołowianym niebie. David zaczął pchać wózek przez trawnik.

- Lepiej zabiorę ją do domu - powiedział, odwracając się do Faith - a ty pomyśl o służbie pomocniczej. To mogłoby ci odpowiadać.

Faith uprzedziła siostrę, że pod koniec tygodnia wyjeżdża z Compton Deverall. Nicole wydawała się przerażona.

- Ale co ja zrobię?

Rozmawiały w pokoju, którego okna wychodziły na trawnik i las.

- Będiesz robić wszystko to, co zwykle. Jeździć konno, czytać i...

- Przeczytałam wszystkie nadające się do czytania książki. Tu są tylko same okropne rzeczy, takie jak „Historia Wiltshire” Coopera. Zresztą chodziło mi o to, co ja zrobię z dzieckiem.

- Z Elizabeth - poprawiła ją Faith. - Ona ma na imię Elizabeth.

- Wiem - westchnęła Nicole. - Ja go nie wybierałam. Jest takie ponure.

- A ja myślę, że to bardzo ładne imię: Elizabeth Anne Kemp. Jest tak przyjemnie staroświeckie. I solidne.

Nicole wstała z sofy i podeszła do okna.

- Zamierzałam nazwać je Edward, na cześć ojca Davida, zaś na drugie imię miało mieć Fitzwilliam, na cześć pana Darcy'ego, bohatera książki Jane Austen, no wiesz, „Duma i uprzedzenie”. Edward Fitzwilliam, to dopiero byłoby ładnie, nieprawdaż? - mówiła, przyglądając się wzorom na szybie. -Widzisz, ona powinna być chłopcem.

- Może w przyszłości... - rzuciła niezobowiązująco Faith.



- Nie. Nigdy. Nigdy nie urodzę następnego dziecka. To było wprost niewiarygodnie straszne. Tak więc, sama rozumiesz, ona powinna być chłopcem. Davidowi potrzebny jest syn.

- David uwielbia Elizabeth.

- Dziewczęta nie podtrzymują rodowego nazwiska, nieprawdaż? Tak więc sprawiłam mu zawód. Kempowie byli w Compton Deverall od szesnastego wieku. Teraz, przeze mnie, nie będzie tu już ani jednego.

- Musisz poznać lepiej Elizabeth. Gdybyś spędziła z nią trochę czasu, pokochałabyś ją i nic innego nie miałoby znaczenia.

Nicole usadowiła się na parapecie okiennym.

- Ale ona jest taka nudna, Faith - westchnęła. - Staram się, naprawdę się staram. Karmię ją, a ona zasypia; śpiewam jej, a ona zasypia. Pokazałam jej obraz, który pewnego dnia kupiłam specjalnie dla niej w Londynie, lecz wcale jej to nie zainteresowało.

- Jest o wiele za mała, by interesowały ją takie rzeczy.

- Zatem ktoś inny może się nią zajmować, dopóki nie będzie starsza - oświadczyła stanowczo siostra. - Poznam ją lepiej w przyszłości, kiedy zrobi się bardziej zabawna. Wtedy z pewnością ją polubię. Rzecz w tym, że teraz jest niemożliwie nudna. Psy są znacznie bardziej interesujące, nieprawdaż? Z psem przynajmniej można się bawić.

Faith poczuła się pokonana, ale podjęła ostatnią próbę.

- Gdybyś się nauczyła nią zajmować...

- Przecież, wiesz, że byłabym w tym beznadziejna - uśmiechnęła się Nicole. - Zapominałabym o niej i zostawiałabym ją w autobusie lub robiłabym jakieś inne okropne rzeczy. Wiesz przecież, że byłoby właśnie tak.

- Ale...

- Laura będzie się nią zajmować. Laura ją kocha, a ja będę jej przysyłać mnóstwo prezentów, kiedy zaś dorośnie, zacznę ją zabierać do teatru i opery. Ty znajdziesz dla niej wspaniałe sukienki, Jake natomiast nauczy ją wiosłować i strzelać.

Spoglądając na młodszą siostrę, Faith pomyślała, że ostatnie dwa miesiące bardzo ją zmieniły. Wydawała się teraz szczuplejsza i nawet wyższa, a przez bladą skórę niemal widać było drobne kości jej twarzy.

- Co zamierzasz zrobić, Nicole?

- Wyjadę na pewien czas. Wiesz przecież, że nie mogę znieść zbyt długiego siedzenia w jednym miejscu. Myślałam, że chętnie zamieszkałabym w takim miejscu jak to: w starym domu, posiadającym długą historię, ale nie wydaje mi się, bym mogła się do niego przyzwyczaić. Przytłacza mnie. - Głos siostry brzmiał chłodno i rzeczowo.

Zmiany, jakie zaszły w Nicole, były nie tylko zewnętrzne, pomyślała Faith; poród i otarcie się o śmierć uczyniły ją w końcu dorosłą.

- Dokąd pojedziesz?

- Najpierw do Londynu. W Londynie jest mnóstwo ludzi. „W Londynie jest mnóstwo ludzi”. Mówi podobnie jak

Ralph, pomyślała Faith. - A David...?

- Zawsze będę kochać Davida. Chcę dla niego jak najlepiej - odrzekła Nicole, ześlizgując się z parapetu. - Wrócę, Faith, zobaczysz. Naprawdę nie musisz się martwić.

Nicole opuściła Compton Deverall w następnym miesiącu. Do tego czasu Faith wstąpiła już do Służby Lądowej, a David wrócił do swych tajemniczych zajęć. Nicole powiedziała Laurze, że jedzie do Londynu, by kupić bieliznę dla dziecka i nowe ubrania dla siebie. Była szczuplejsza niż przed zajściem w ciążę i nic na nią nie pasowało. Teściowa dała jej wszystkie swoje talony odzieżowe i poleciła pewną krawcową przy Edgware Road, która szyła wspaniałe suknie z mało obiecujących resztek materiału. Nicole uściskała teściową, pocałowała Elizabeth i wskoczyła do pociągu.

Już podczas tej podróży poczuła się wolna. Jakiś ciężar zdawał się ześlizgiwać z jej ramion. Niemal całkowicie wypełniało ją uczucie ulgi. Wcześniej mówiono jej, że porodu się nie pamięta, ale stwierdziła, że to nieprawda. Nękało ją nie tylko wspomnienie bólu i osamotnienia, ale co gorsza, świadomość, że nawet własne ciało mogło zachowywać się tak, jakby do niej nie należało. Nicole starała się nakazać swym najgorszym wspomnieniom, by zniknęły w szybkim pędzie pociągu i przepadły gdzieś w oddali.

W Londynie szeroko otworzyła podwoje domu przy Devonshire Place. Następnego dnia zatelefonowała do pewnego przyjaciela z BBC, który obiecał jej pomoc w znalezieniu pracy. Wieczorem zaś do drzwi zapukał Thierry i zabrał Nicole do restauracji

w Soho. Chociaż jedzenie okazało się nieciekawe, to mała sala z zaciemnionymi oknami i opadającym tynkiem pełna była żołnierzy na przepustkach i kobiet. Jakiś pianista wciśnięty w róg grał popularne piosenki i wszyscy śpiewali je donośnym chórem, a między kolejnymi daniami tańczyli. Pozostałości owej depresji, która dręczyła Nicole od chwili urodzenia Elizabeth, szybko zniknęły i poczuła się beztrosko. Nadal miała - co przypomniała sobie, gdy Thierry obracał ją w tańcu na ciasnym parkiecie - dopiero osiemnaście lat.

Nad ranem przyjaciel odprowadził ją na Devonshire Place i tam pocałował w cieniu bramy.

- Nie zaprosisz mnie do środka, Nicole? Potrząsnęła głową.

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo zakładałbyś pewne rzeczy. Patrzył na nią niezadowolony.

- Co masz na myśli?

- Wiesz, co mam na myśli, Thierry. Uznałbyś, że pragnę, abyś się ze mną kochał.

- Ale przecież chcesz tego, czyż nie? - odparł urażony.

To prawda, ciało Nicole, obolałe i oszołomione porodem, zdawało się wracać do życia, gdy ją całował.

- Widzisz, Thierry, sądzę, że miłość powinno się uprawiać tylko z mężczyzną którego się naprawdę kocha - próbowała wyjaśniać.

Zobaczyła ból w jego oczach. Rzadko widziała, że czuł się zraniony, ale teraz tak było.

- Dlaczego zatem jesteś tutaj, a nie czekasz na męża w swoim wiejskim domu? - zapytał sarkastycznym tonem.

- Są różne rodzaje miłości, prawda? Myślałam, że David będzie dla mnie wszystkim, ale nie był.

Nicole pierwszy raz spokojnie stawiała czoło stwierdzeniu, przed którym wzbraniała się przez ostatnie miesiące.

- Zamierzasz więc opuścić tego nieszczęśnika - odpowiedział Thierry, sięgając po pudełko papierosów.

- Lepiej wyjaśnić te sprawy natychmiast, nie sądzisz? Wtedy jeszcze ma szansę poszukać sobie kogoś innego. Nie mogę zostać z Davidem... nawet gdybym nadal zdołała udawać, że to on jest Tym Jedynym, to przecież i tak go zawiodłam.

Zapalając papierosa, Thierry spojrział na nią uważnie.

- W czym go zawiodłaś?

- Urodziłam dziewczynkę, a nie chłopca, David zaś pragnie syna. Tak więc lepiej, że odejdę teraz, aby mógł znaleźć sobie kogoś, kto mu go da.

Thierry palił w milczeniu.

- To tylko wymówka, Nicole - odezwał się po chwili. Wzruszyła ramionami.

- Możesz tak sądzić, jeśli chcesz. Jednak to bardzo ważna część całej sprawy. Wiem, że nie jestem taką żoną, jakiej potrzebuje David, i nie potrafię być taką matką, jakiej wymaga Elizabeth. Nie byłabym dobra ani dla niego, ani dla niej. Próbowałam, lecz mi się nie udało. Lepiej więc, że odchodzę teraz. Im dłużej bym tam pozostawała, tym bardziej bym ich raniła.

- Ale nie chcesz przepaść się ze mną? Uśmiechnęła się łagodnie.

- Nie dzisiaj, kochanie. Może innym razem, ale teraz pragnę być sama przez jakiś czas. - Uświadomienie sobie tej prawdy zaskoczyło samą Nicole.

Gdy dwa dni później na dansingu dowiedziała się, że Thierry zginął, początkowo nie chciała w to uwierzyć. „Zestrzelony nad Holandią”, powiedzieli, a ona była przekonana, że to jakaś pomyłka, a Thierry lada chwila wejdzie do klubu i spojrzy na nią tymi swoimi ciemnymi oczami, które widziały wszystko aż nazbyt wyraźnie. Oczywiście, inni ginęli... Johnny, z którym pływała kajakiem po jedwabnych, szmaragdowych wodach Avonu, i ów Kanadyjczyk, pokazujący jej tak niedawno kroki nowego tańca, i ten chłopak z Holandii, który wioził ją na ramie swojego roweru. I tak wielu innych. Jednak nigdy nie przychodziło jej do głowy, że zginie Thierry. Jakże można było żądać takiej ceny od kogoś, kto zapłacił już tak wiele?

Na początku listopada Faith zaczęła pracować na farmie mlecznej położonej wśród falistych wzgórz hrabstwa Somerset, nieopodal Taunton.

Gdy wspomniała jednej z innych dziewcząt ze Służby Lądowej, że zatrzymała się u pani Fitzgerald, zdumiona dziewczyna patrzyła na nią z otwartymi ustami.

- Wiesz, że ona jest czarownicą, prawda? - spytała, a gdy Faith roześmiała się z niedowierzaniem, wyjaśniła: - Betty Lis-

more u niej mieszkała. Nie mogła tego znieść. Powiedziała, że jest stukniętą, zwariowaną, starą krową. Betty wyniosła się po tygodniu i teraz ma pokój u kierowniczkę poczty.

Chata pani Fitzgerald była otoczona lasem i stała na końcu krętej, błotnistej drogi. Wieczorami pohukiwały tu sowy, a asymetryczny dach lśnił pod sierpem księżycy niczym cynowy dzban. Do pierwotnego parterowego budynku z kamienia dołączono kilka izdebek zrobionych z pudeł i metalowych skrzynek wyklepanych młotkiem na płask. Metalowe ściany wciąż nosiły ślady reklam produktów, które niegdyś były zapakowane w puszki. Nocą, leżąc w łóżku Faith czytała... ściany swego pokoju: „Białe Mydło Książęce chroni zmęczoną skórę”, „Ovaltina - napój wzmacniający”.

Sama pani Fitzgerald, jak myślała często dziewczyna, doskonale pasowała do tej chaty. Wysoka, około pięćdziesiątka, upinała długie, siwiejące włosy byle jak na czubku głowy. Jej stroje były niekonwencjonalnie skrojone i oryginalnie barwione. Chyba w ogóle nie miała płaszcza, a podczas wędrówek po lesie nosiła długą, czarną pelerynę, która, jak przypuszczała Faith, stała się źródłem pogłosek o tym, iż kobieta jest czarownicą. Ściany jej chaty zawieszono były szerokimi, własnoręcznie tkanymi kilimami, a podłogi przykryte pasiastymi chodnikami.

Dzień Faith zaczynał się o czwartej rano, gdy po zjedzeniu na stojąco kawałka chleba z dżemem i popiciu go herbatą zjeżdżała na rowerze traktem wiodącym z chaty do drogi prowadzącej na farmę. W lodowatej dojmami obrządzała krowy, myła im wymiona i doiła. Potem mleko było butelkowane, ale po drodze przechodziło przez torturę pojemników, metalowych urządzeń i chłodziarek. Nim Faith skończyła dojenie, ręce miała popękane i sine. Śniadanie jadła na farmie, a potem cała dojarnia i wszystkie urządzenia musiały zostać wymyte i zdezynfekowane. Po obiedzie podawanym w południe Faith niezmiennie na godzinę zapadała w sen. Czasami przysiadła gdzieś w dojarni, obok krów, by zatrzymać ciepło. Cały proces mycia i dojenia krów, a następnie chłodzenia mleka, trzeba było powtarzać po południu. O wpół do siódmej jechała z powrotem do chaty pani Fitzgerald, zjadała to, co dla niej zostawiono na kolację, i znów zapadała w sen.

Po pierwszych dwóch tygodniach w Somerset Faith doszła do wniosku, że ona i pani Fitzgerald wymieniły zaledwie kilka

zdań; częściowo dlatego, że gospodyni nie zachęcała swej lokatorki do konwersacji, częściowo zaś z tego powodu, że rzadko przebywały w chacie w tym samym czasie. Przeżyłyby tak następne miesiące, prawie nie odzywając się do siebie, myślała potem często Faith, gdyby nie włożyła kiedyś sukienki w kolorze błękitnego nieba. Któregoś wieczoru jednak wydobyła tę pamiątkę lepszych czasów z dna plecaka. Gdy rozkładała lazuruowy, gładki materiał, chciało jej się płakać, ale otarła łzy i wykapawszy się w niewielkiej balii przy kuchni, założyła ową sukienkę zamiast spódnicy i swetra.

Wtedy pani Fitzgerald weszła do kuchni i widząc Faith jedzącą w tym stroju kolację, przystanąła i aż krzyknęła ze zdumienia.

- Wielkie nieba! To suknia od Paquina! Prawdziwy Paquin!

- Obawiam się, że to raczej Paquin zjedzony przez mole -powiedziała Faith, gdyż wokół obróbka sukni dostrzegła kilka niewielkich dziurek.

- Zawsze to lepsze niż te okropne bryczesy.

- Chociaż nie tak ciepłe.

Gospodyni ustawiła na półce kilka słoików.

- W młodości miałam płaszcz od Paquina. Uwielbiałam go. Nosłam go, dopóki się nie rozpadł.

- Ta suknia należała do mojej przyjaciółki, która mieszkała we Francji.

Pani Fitzgerald spojrzała na Faith z uwagą.

- To jakaś bardzo hojna przyjaciółka, skoro dała ci suknię od Paquina.

- Genya dała mi ją do kolekcji...

- Do kolekcji?

- Lubię dawne stroje - wyjaśniła Faith. - Kiedyś miałam ich bardzo wiele. Opuszczając Francję, uratowałam te najcenniejsze. Mam jakieś sukienki Fortuny, które znalazłam na targu w Marsylii, śliczną suknię Douilleta i jeszcze kilka innych.

- Zdumiewająca z ciebie dziewczyna - powiedziała pani Fitzgerald. - A ja myślałam, że jesteś głupia jak wszystkie poprzednie. Ostatnia, która tu mieszkała, zazwyczaj na mój widok uciekała z kuchni. Zupełnie jakbym mieszkała z myszą.

- Myśla, że pani jest czarownicą.

Pani Fitzgerald ryknęła gromkim śmiechem.

- Przypuszczam, że widziały, jak przy świetle księżycy zbieram moje próbki - wyjaśniła, gdy doszła nieco do siebie, a potem sięgnęła po jeden ze słoików, otworzyła go i pokazała zawartość swej lokatorce.

- To jakiś porost - zauważyła Faith, zajrzawszy do środka. - Tak.

- Trzeba go zbierać przy świetle księżycy?

- Z pewnością nie, ale w ciągu dnia tkam, bo jest dobre światło, więc czasami, szukając tych roślin, kręcę się po lesie o północy - tłumaczyła, a potem dodała niecierpliwie: - Szukam barwników, dziewczyno. Orzech brazylijski daje czerwień, urzet barwi na niebiesko, rezeda na żółto, a dzięki temu porostowi mam wspaniałe ochry i brązy.

Fait rzuciła okiem na chodniki i kilim okrywający starą sofę.

- Sama je pani zrobiła?

- Tak. Podobają ci się?

- Są wspaniałe.

- Jednak nie tak wspaniałe jak ta suknia od Paquina. Cóż za cudowny kolor! Jakżebym chciała go odtworzyć... - Oczy jej się zwięziły, gdy dotykała cieniutkiego jedwabiu. - Ale ty powinnaś włożyć sweter, zanim umrzesz z zimna.

- Po tych słowach spojrzała na Faith i zapytała: - Napijesz się?

Faith zrozumiała, że gospodyni nie proponuje jej herbaty.

- Wino. Jakie wspaniałe!

- Możesz zmienić zdanie, gdy go spróbujesz. Pasternak. Sama je zrobiłam, to z ostatnich zbiorów. - Pani Fitzgerald napełniła dwie szklaneczki i jedną wręczyła dziewczynie. Potem usiadła na sofie i przymknęła oczy. - Widzę siebie w dawnych dobrych czasach... i ciebie w tej sukni... kieliszek w mojej dłoni...

- Miała pani kiedyś suknię od Paquina?

- Kilka. W końcu wiele z nich sprzedałam. Za część tego, ile były warte, jak sądzę. - Spojrzała ostro na Faith. - Niech to będzie lekcją dla ciebie. Dobre czasy nie trwają wiecznie.

- Nie oczekuję tego - odrzekła Faith uprzejmie.

- Bardzo mądrze. - Pani Fitzgerald uniosła szklaneczkę. - Wypijmy zatem za hart ducha!

- Za hart ducha! - powtórzyła jej lokatorka.

- Ośmielam się twierdzić, że uprawianie roli, okopywanie rzepy czy cokolwiek, co robisz na farmie, wymaga wielkiego hartu ducha.

- Doję krowy - odpowiedziała Faith. - I naprawdę całkiem to lubię.
- Dlaczego? Bo czujesz się w zgodzie z naturą, czy z innego podobnie nonsensownego powodu? - W głosie starszej kobiety brzmiała pogarda.
- Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę.
- Bo nie muszę myśleć. Bo pod koniec dnia jestem tak zmęczona, że po prostu padam na łóżko i nawet nic mi się nie śni.
- Nie chcesz myśleć?
- Nie w tej chwili - odrzekła Faith i przełknęła resztę wina. Było mocne i sprawiło, że przyjemnie zaszumiało jej w głowie.
- Nie zamierzam się wtrącać, nie znoszę ludzi, którzy wści-biają nos w cudze sprawy. Wypijesz jeszcze jedną szklaneczkę?
- Faith skinęła głową i rozejrzała się po pokoju.
- Zawsze pani tutaj mieszkała?
- Nie w czasach, gdy sama miałam trzy suknie od Paolina - zachnęła się pani Fitzgerald. - Wtedy mieszkałam w znacznie bardziej reprezentacyjnym miejscu niż to. Ale uciekłam z pewnym łotrem... Johnnie Fitzgerald był rozwiedziony, więc możesz sobie wyobrazić ten skandal... i straciłam wszystko.
- Kochała go pani?
- Do szaleństwa.
- Więc co się stało?
- Johnnie uważał się za kierowcę wyścigowego. Wpakował wszystkie moje pieniądze - bo sam nie miał ani pensa - w jakiś niedorzeczny samochód, po czym w Le Mans roztrzaskał na drobne kawałki i auto, i siebie.
- To straszne. - Te słowa wydawały się Faith beznadziejnie niewspółmierne do owej tragedii.
- Pani Fitzgerald wzruszyła ramionami.
- Mój błąd. Wszyscy mnie przed nim ostrzegali, ale nie słuchałam.
- Czy... - Faith poczuła nagły chłód - czy żałuje pani tego?
- Nie. - Starsza kobieta zmarszczyła brwi. - Nie, nie mogę powiedzieć, że żałuję. Znalazłam się w nielichych tarapatach, dlatego kupiłam ten dom i biorę lokatorki... ale nie, nie żałuję.
- Faith wypila drugą szklaneczkę wina i zebrała się na odwagę, by zadać następne pytanie.
- A zatem wierzy pani, że trzeba się kierować głosem serca?



Pani Fitzgerald spojrzała na nią z uwagą i milczała chwilę, zanim udzieliła odpowiedzi.

- Wyczuwam wiele bólu w tym pytaniu. Moja droga, naprawdę nie mam pojęcia. Ja zrobiłam to, co zrobiłam, i nikt oprócz mnie nie cierpiał z tego powodu. Moi rodzice już nie żyli i miałam tylko opiekuna, który tak naprawdę wcale się mną nie interesował. Tak więc nie sędzę, bym mogła właściwie odpowiedzieć na twoje pytanie.

Faith siedziała jeszcze przez kilka minut, spoglądając przez okno na gwiazdy, a potem wstała.

- Muszę iść spać. Dobranoc, pani Fitzgerald, i dziękuję za wino.

- Constance - odpowiedziała gospodyni. - Mam na imię Constance. Ale przyjaciele nazywają mnie Con.

Guy zasmakował w chodzeniu wieczorem po pracy na drinka przed powrotem do domu. Tylko w ten sposób mógł stawić czoło domowi przy Holland Square i swojej żonie.

Miesiące, które minęły od czasu jego daremnego oczekiwania pod lipą na Faith, umocniły w nim świadomość własnego niepowodzenia. Zrozumiał, że nie potrafił dostrzec nic wokoło, że opacznie pojmował innych i nie rozumiał sam siebie. Chociaż był wrażliwy na lęki i ból swoich pacjentów, jednak nie uświadamiał sobie własnych pragnień. Poślubił Eleanor, uważając, że jej pewność siebie i konsekwentne dążenie do celu są dlań niezbędne, a odkrył, iż owa pewność łatwo może zmienić się w despotyzm, upór zaś może spowodować niewrażliwość na potrzeby innych ludzi. Wiedział - zrozumiał to już dawno - że nie kocha swojej żony. Pozostawał z nią przez wzgląd na Olivera, ale gdyby nie synek, nic nie mogłoby już zamaskować pustki ich małżeństwa. Poświęcił się więc pracy, tak jak czynił to zawsze, gdy był nieszczęśliwy. Wziął dodatkowe dyżury w szpitalu i - podobnie jak własnymi pacjentami - opiekował się teraz pacjentami z sąsiedniego rejonu, gdyż tamtejszy lekarz doznał załamania nerwowego z powodu wojny. Możliwie najmniej czasu spędzał na Holland Square. Eleanor przypisywała jego wyczerpanie i gniewny nastrój przepracowaniu, Guy czuł jednak, że za jej wyrozumiałością krył się triumf. Czuł, że była przekonana, iż zwyciężyła.

Od tamtego gorącego sierpniowego dnia nikt z rodziny Mulgrave'ow nie odwiedził domu przy Holland Square. Ani Ralph,

ani Jake, ani - oczywiście - Faith. Owładnięty mieszaniną furii i rozpacz, Guy jeszcze raz złożył wizytę w ruderze przy Mahonia Road. Była jesień, a on, pijany, dobijał się do frontowych drzwi tak długo, aż jakiś sąsiad wyszedł w szlafroku z przyległego domu i ostro powiedział mu, że pod numerem 17 od kilku miesięcy nikt już nie mieszka.

Nie miał pojęcia, dokąd wyjechała Faith, pojął tylko znaczenie jej ucieczki. Chociaż powiedziała, że go kocha, nie kochała go wystarczająco mocno. Guy pomyślał, że może już nigdy jej nie zobaczyć, i nie był pewny, czy powinien przyjąć to z ulgą, czy płakać. Od tego dnia jego gniew trochę osłabł, a obezwładniające uczucie do Faith stało się jedną z przyczyn żalu za przeszłością. Gdyby wtedy, przed laty zrozumiał - może podczas ostatniej, krótkiej wizyty w La Rouilly - że kocha tę dziewczynę, to zabrałby ją, przywiózł do Anglii i zaznaliby wielu lat szczęścia. Ponieważ stało się inaczej, stracił swoją szansę.

A zatem każdego wieczoru opróżniał dwie szklaneczki whisky. Pił w centrum Londynu, nieodmiennie wybierając jakiś anonimowy bar, w którym nie znał nikogo i gdzie barmani nie podejmowali prób konwersacji. Unikał East Endu - jego pacjenci nie mogli widzieć, iż ich lekarz stara się uodpornić psychicznie przed powrotem do domu.

Tej nocy Guy siedział przy oknie jednego z barów w wąskim zaułku Picadilly. Pogoda była brzydka; z ołowianego nieba padał deszcz ze śniegiem i zbierał się w dziurach, pozostawionych w jezdniach przez bomby, które spadły tu minionej zimy. Teraz, pod koniec listopada 1941 roku, Londyn wydawał się znużony wojną. To wielkie i dumne miasto było wyniszczone, zszarzałe i niemal śmiertelnie wyczerpane postawionymi mu żądaniami. Z kąta sali dobiegały komunikaty radiowe - dystyngowany głos obwieszczał kolejną serię katastrof: marsz Niemców na Moskwę, kontratak Rommla w Afryce Północnej, straty aliantów na Atlantyku. Guy złamał przyjętą zasadę i zamówił trzecią szklaneczkę szkockiej. Kołysząc ją w dłoniach, spojrzął za okno na szarą, posępną ulicę i poczuł nagłą intensywną tęsknotę za przedwojenną Francją, słonecznym latem i przeszłością - za czasami, gdy radość i optymizm były takie oczywiste. Mimo chłodu i deszczu mógł, zamknąwszy oczy, niemal wdychać woń długich, sierpniowych dni w La Rouilly i gęsty, gorzki czosnkowy zapach drzew, wśród których spacerował z Faith...

Gdy otworzył oczy i jeszcze raz wyjrzał przez okno, zobaczył ją. Jakby wyobraźnia wyczarowała z powietrza smukłą postać dziewczyny. Jasne włosy związane na karku, gibka, wdzięczna sylwetka płynąca przez tłum na chodniku. Miała na sobie granatowy przeciwdeszczowy płaszcz; w dłoni trzymała otwartą parasolkę. Guy odstawił szklankę na kontuar i wybiegł z baru.

Na ulicy szaleńczo rozglądał się wokół, szukając jej wzrokiem. Ten przeklęty tłum. Zaklął i wtedy ujrzał ją znowu. Skręcała w Picadilly. Chodniki wokół były zatłoczone. Guy zastanawiał się, co, u licha, robią tutaj owi wszyscy ludzie, przecież w tych przeklętych sklepach nic nie ma, a pogoda jest okropna. Wbiegł na jezdnię i pędził między taksówkami oraz autobusami. Znowu zniknęła mu z oczu, a kiedy zaklął ponownie, jakaś kobieta spojrzała na niego z dezaprobatą. Rozpryskując lodowate kałuże, ujrzał wreszcie granatowy płaszcz przeciwdeszczowy, kierujący się ku Berkeley Street. Zderzywszy się z jakimś potężnym mężczyzną w mundurze marynarki handlowej, zobaczył przed sobą ogromną zaciśniętą pięść i przeprosił tamtego pośpiesznie. Na Berkeley Street było nieco mniej tłoczno niż na Picadilly, a ona weszła w jakąś jasną smugę i Guyowi serce zabiło mocniej, gdy zobaczył, że podniosła rękę, aby zatrzymać taksówkę. Pierwsza przejechała ze znaczną szybkością, wznosząc wysoką falę szarej wody. Guy biegł, czując w piersiach narastający ból. Kolejna taksówka ukazała się u wylotu ulicy. Do diabła, nie zatrzymuj się, mamrotał, a potem, gdy auto stanęło przy krawężniku, zawołał na cały głos:

- Faith!

Nie od razu zareagowała na jego wołanie. Ale kiedy krzyknął po raz drugi, zatrzymała się, otwierając drzwiczki taksówki i spojrzała na niego.

Gdy tylko się odwróciła, zrozumiał swój błąd.

- Nicole - powiedział ze smutkiem.

Uśmiechnęła się ku niemu.

- Guy, Guy Neville, jak cudownie!

Z trudem łapał oddech. Czuł się oszołomiony i było mu głupio. Nicole, taka podobna do Faith, a jednak tak całkowicie inna. Włosy miała jaśniejsze, oczy bardziej niebieskie, a ciało... złapał się na tym, iż obserwuje delikatne okrągłości pod granatowym okryciem.

Usłyszał głos taksówkarza.

- Ta pani wsiada czy nie?

Guy potrząsnął głową i odpowiedział:

- Nie. Przepraszam.

Patrzył, jak dziewczyna przechodzi przez ulicę i zbliża się ku niemu. Nicole Mulgrave, pomyślał. Próbował sobie przypomnieć, ile mogła mieć lat, kiedy widział ją po raz ostatni. Trzynaście... czternaście... Dziecko... Teraz z pewnością nie była już dzieckiem.

- Guy. - Ujęła jego ręce w swoje i pocałowała go.

Różnice dzielące ją i Faith mnożyły się szybko. Nie wyobrażał sobie teraz, jak mógł je pomylić. Dostrzegł świetnie skrojony płaszcz Nicole i jej szykowną fryzurę, a także bijącą z całej sylwetki pewność siebie.

- Guy, jakie to cudowne - mówiła dalej. - Nie zmieniłeś się ani trochę. - Wciąż trzymała go za ręce, a uścisk jej dłoni był zaskakująco mocny. - Śpieszysz się gdzieś? Brak ci tchu.

- Próbowałem cię dogonić - wyjaśnił. - Wziąłem cię za Faith. Uśmiechnęła się lekko.

- A więc się pomyliłeś. Ale czy ja nie mogę być zamiast Faith? Guy pomyślał, że się zdradził.

- Tak. Tak, oczywiście.

Uświadomił sobie, że zachowuje się raczej jak siedemnastoletni chłopak niż dwudziestosiedmioletni mężczyzna.

- Masz czas na drinka, Nicole, albo na kolację?

- Kolacja? To wspaniały pomysł. Przez cały dzień miałam próbę i umieram z głodu - odrzekła, spoglądając na niego miło. - Ale czy żona nie będzie na ciebie czekać, Guy?

Całkiem zapomniał o Eleanor.

- Mógłbym do niej zadzwonić i powiedzieć, że zatrzymano mnie w szpitalu.

- Naprawdę? Na rogu jest budka telefoniczna.

Ruszyli w tamtą stronę. Guy zatelefonował na Holland Square i przekazał wiadomość. Dopiero kiedy wyszedł z budki, zastanowił się, dlaczego uznał, że musi skłamać.

- Chyba powinniśmy poszukać restauracji - rzekł. Nicole zasugerowała jakiś lokal w Soho. Gdy tam szli, deszcz

ze śniegiem zamienił się w śnieg, który szybko ukrył opłakany stan londyńskich ulic. W restauracji Guy obserwował, jak Nicole jadła. On sam najwyraźniej stracił apetyt. A jednak czuł się

ożywiony, skoncentrowany i radosny, jakby całe zamroczenie, chaos i rozczarowania ostatnich miesięcy zaczęły w końcu odpływać w dal. Najpierw rozmawiali o zwykłych sprawach, o jakich zazwyczaj rozmawia się ze znajomym, którego się nie widziało od pewnego czasu: o pogodzie, wojnie, ostatnich filmach i swojej pracy. Nicole była inteligentna, zabawna i dowcipna; kilka razy wręcz go rozśmieszyła. Zdał sobie sprawę, że dobrze się bawi. Już niemal zapomniał, co to znaczy dobrze się bawić.

- Przyglądasz mi się z taką uwagą, Guy - zauważyła Nicole, dotykając jego ręki.

- Przepraszam - odrzekł zawstydzony i spytał nieoczekiwanie: - Czy twój mąż też przebywa w Londynie?

- Nie sędzę. Jego praca otoczona jest najściślejszą tajemnicą, więc nigdy nie wiem, gdzie on się znajduje.

- Spodziewałaś się dziecka...

- Urodziłam córkę, ma na imię Elizabeth.

- Gratuluję.

-Dziękuję. Mała mieszka teraz w hrabstwie Wiltshire u swojej babci. Faith mówiła mi, że masz syna.

- Oliver jest z babcią Eleanor. Skończyli deser.

- Napijesz się kawy? - zapytał Guy.

- Podejrzewam, że będzie zrobiona z cykorii lub czegoś równie okropnego. Myślę, że znacznie lepszym pomysłem byłoby pójście do mnie, nie sądzisz?

Usłyszał swój własny głos.

- Jeśli chcesz.

Wyszli z restauracji. Na ulicy Nicole wzięła go pod rękę i przez chwilę szli w milczeniu. Śnieg padał nadal, a jego krystaliczne płatki lśniły w przyćmionym świetle reflektorów samochodowych. Obolałe, zmaltretowane miasto, białe teraz i czyste, dostawało drugą szansę, pomyślał Guy.

Dom przy Devonshire Place był zimny i pusty, a w jego ścianach odbijało się echo.

- Nie mamy rolet zaciemniających, bo nikt tu nie mieszka - powiedziała Nicole. - Próbowałam przypinać obrusy pineskami, ale się nie trzymały, więc wieczorem będę używać tylko świec - dodała, biorąc od niego płaszcz.

Guy sięgnął po zapalniczkę i podszedł z nią do dwóch świeczników stojących na gzymsie kominka. Przyćmione złote

płomyki ukazały mu sofę i fotele, rzędy książek i ciemne prostokąty wiszących na ścianach obrazów. Nicole rozpięła swój płaszcz.

- Masz ochotę na drinka, Guy?

Wiedział, że powinien odpowiedzieć: „Tylko mały kieliszek”, wypić go szybko i wrócić do domu, do żony. Dochodziła już dziesiąta. Ostatnio Eleanor żądała ciągle tłumaczeń i wyjaśnień. Im dłużej zostałyby z Nicole, tym bardziej musiałyby kłamać. A jednak pomyślał, że zbytnio go to nie obchodzi. Wszystko - Eleanor, dom przy Holland Square, fikcja jego małżeństwa - wydawało się dziwnie nierealne.

Patrzył na Nicole idącą przez pokój w stronę barku. Poruszała się płynnie i z wdziękiem. Próbował sobie przypomnieć, czy zawsze taka była, i stwierdził, że niemal jej nie pamięta. Jako najmłodsza z trojga dzieci Poppy i Ralpha pozostawała z tyłu za starszym bratem i siostrą.

- Próbuję przypomnieć sobie ciebie w La Rouilly - powiedział.

- Byłeś przyjacielem Faith, oczywiście. Wy oboje zaledwie mnie tolerowaliście.

Zaczął protestować, lecz go uciszyła.

- Przecież to prawda - stwierdziła. - Sam wiesz, Guy, że tak właśnie było.

Wypił swoją whisky. Jedno wspomnienie błysnęło mu w pamięci: Nicole usiłująca z krzykiem ich dogonić, gdy szli przez las. Splątane płowe loki, pulchne małe nóżki, poczerwieniała i wykrzywiona ze złości buzia.

- Miałaś coś przeciwko temu?

- Tak naprawdę to nie - roześmiała się perliście. - Ja miałam swoje kucyki, a Faith ciebie - odstawiała swój kieliszek i przyglądała mu się badawczo - chociaż teraz miałabym wiele przeciwko temu.

Serce zabiło mu w piersi.

- Przeciwko czemu?

- Żebyś mnie jednak tolerował.

Gdy patrzył teraz na Nicole, wydawało mu się, że któreś z bóstw, niezadowolone ze swych wcześniejszych prób, wzięło różne cechy dwójki starszych Mulgrave'ów, by połączyć je w coś wysublimowanego i magnetycznego; w coś, na co nie mógł przestać patrzeć.

- Miałabym dużo przeciwko temu, żeby nadal być tą drugą... Oszukał Eleanor, ale nie zdołał oszukać Nicole. Potrzęsnał

głową. Taki mały gest, a Gyuowi wydawało się, że przeskoczył przepaść.

- ...choć oczywiście nie odebrałabym cię Faith - ciągnęła Nicole. - Siostry są ważniejsze niż kochankowie, czyż nie?

- Nicole - odezwał się w końcu. - Ja mam żonę...

- ...ale jej nie kochasz, prawda, Guy? Gdybyś ją kochał, zaprosiłbyś mnie do domu, przedstawił małżonce i poprosił, żebym została na kolacji. I nie przyszedłbyś tutaj - uśmiechnęła się wyrozumiale. - Nie rób takiej miny, Guy. Mówię tylko to, co się rzuca w oczy. Nigdy nie lubiłam kręctw. Najlepiej mówić, to co się myśli, zgadzasz się? - Zadrżała, więc otuliła się futrem. - Czy zechciałbyś rozpaścić ogień, Guy? Tutaj jest tak zimno.

Stanąwszy przed kominkiem, usłyszał, jak Nicole mówi dalej:

- Zawsze uważałam, że miłość sprawia, iż wszystko układa się dobrze; a bez miłości przysięgi małżeńskie są tylko słowami.

Drewno było wilgotne i Guy zdołał znaleźć tylko jeden kawałek gazety.

- Czy myśląc w tak romantyczny sposób, nie usprawiedli-wasz jakiegoś haniebnego, nikczemnego postępuku? - rzucił gniewnie, gniotąc papier.

- Moje życie od dawna było złe. Sądzę, że twoje również. Nikczemnością wydawałoby mi się trwanie w kłamstwie.

Nicole powiedziała jedynie to, co on tłumił w sobie przez wiele miesięcy.

- Jeśli się kogoś kocha - tłumaczyła - to papierki i złote obrączki są nieważne. Jeśli się kogoś kocha, to dla tej osoby łamie się zasady.

- Jednak miłość musi być odwzajemniona, nieprawdaż? -zapytał z goryczą.

- Mówisz o swojej żonie, Guy, czy o Faith? Odwrócił wzrok.

- Pokłóciłeś się z Faith, tak? Przez trzy miesiące ani razu nie wspomniała o tobie. Właśnie stąd wiem, że się pokłóciliście.

Pochylając się nad paleniskiem, przyłożył zapalniczkę do zmiętej gazety i dmuchał, by rozniecić ogień.

- Nie, nie pokłóciliśmy się - odrzekł. - Popełniłem błąd, mówiąc Faith, że ją kocham.

-I co...?

Wzruszył ramionami.

- I nic. Zupełnie nic. Po prostu ode mnie odeszła. Jak ci powiedziałem, był to błąd.

Zapanowało milczenie. Guy zdjął z półki tom „Listów” lorda Chesterfielda i machał nim nad słabnącymi płomieniami.

- A zatem Faith nie złamała zasad?

Pamiętał oczekiwanie pod lipą; słońce prześwitujące przez liście, powolne, przeraźliwie bolesne przechodzenie nadziei i radości w dezorientację, a potem w rozpacz.

- Nie - odpowiedział powoli. - Nie złamała.

Zamilkli. Nicole uklękła obok niego, wyjęła mu książkę z rąk i wrywając kolejne strony, ciskała je w ogień. W końcu płomienie strzeliły w górę. Potem uśmiechnęła się do Guya i delikatnie odsunęła pasmo włosów, które opadło mu na twarz.

- A ty, Guy? Kochasz Faith?

- Myślę... Myślę, że jej nienawidzę.

- Nie mów tak. - Położyła palec na jego ustach. - Nie mów, że jej nienawidzisz. Nikt nie powinien żywić tego uczucia w stosunku do Faith.

Odurzyła go jej skóra i woń ciała. Wstał, odwrócił się i oparł dłonie o gzyms kominka.

- Powinienem już iść.

W pokoju wciąż panowała cisza.

- To tylko kwestia zamknięcia za sobą tych drzwi, Guy - odezwała się w końcu Nicole.

Sięgnął po płaszcz i kapelusz. Na ulicy jego buty skrzypiały na cienkiej warstwie śniegu, zostawiając na jaskrawej bieli żółtawy ślad. Podróż metrem ze stacji przy Russel Square do domu wydawała się Guyowi szczególnie uciążliwa, zmierzał bowiem tam, gdzie wcale nie chciał jechać.

Nie spał całą noc, a wczesnym rankiem cicho wyslizgnął się z łóżka. Kiedy otwierał drzwi, rzucił okiem na przykrytą puchową kołdrą Eleanor, z ciemnymi włosami w papilotach uwięzionymi pod siatką, w nieskazitelnej bawełnianej nocnej koszuli starannie zapiętej przy nadgarstkach. Pierwszy raz od kilku miesięcy patrzył na nią raczej z politowaniem niż niechęcią. W kuchni napił się słabej herbaty i palił aż do świtu, a potem się ubrał i złapał autobus na Malt Street.

Skończywszy tego dnia przyjęcia pacjentów o szóstej po południu, pojechał do centrum miasta i gdy wyszedł z mrocznej



stacji metra, uderzyło go piękno wokół. Księżyc oświetlał płaszczyzny śnieżnej bieli, która pokrywała każdy budynek i każde drzewo, przydając im błękitnawego połysku. Idąc śliskimi chodnikami, Guy doszedł do Devonshire Place. Gdy uniósł rękę, by nacisnąć dzwonek, uświadomił sobie, że niemal wchodzi na lód, że igra z niebezpieczeństwem i owym głębokim, wciągającym wirem kryjącej się w dole wody.

Nicole otworzyła drzwi. Kiedy wciągnęła go do środka, ucałował koniuszki jej palców, potem rękę, a później delikatne wnętrze dłoni.

Kiedy rozpinął perłowe guziczki bluzki dziewczyny, usłyszał jej szept:

- Jak cudownie, Guy, że to ty będziesz Tym Jedynym.

Pod koniec pierwszego tygodnia grudnia Faith otrzymała list od Poppy, która w kilku oszczędnych i gniewnych zdaniach zawiadamiła ją, że Nicole porzuciła męża oraz dziecko i mieszka teraz z Guyem Neville'em. Choć list był krótki, Faith musiała przeczytać go trzy razy, zanim pojęła w pełni treść. Zdołała też dotrzeć do ciasnej łazienki, nim ogarnęły ją gwałtowne torsje.

Później pracowała jak zwykle, krążąc między domem i farmą. Nie przestawała tego robić, ponieważ, jak sądziła, właśnie tak należało postąpić. Ralph albo Jake, myślała, z pewnością awanturowaliby się i krzyczeli albo też by wyjechali lub wywołali jakąś gwałtowną scenę, lecz ona tego nie zrobiła.

Nie mam uzdolnień dramatycznych, pomyślała posepnie.

Ta cecha charakteru, która sprawiła, że Poppy uciekła z Ralphem, a Jake walczył jako ochotnik podczas hiszpańskiej wojny domowej, najwyraźniej całkowicie ją ominęła. „Zawsze byłaś najnudniejszym z moich dzieci”, mawiał ojciec i Faith doszła do wniosku, że się z nim zgadza.

Cieszyła się, że jest zima. Ta pora roku odzwierciedlała jej mroczny nastrój i zmuszała do skupienia myśli na trudnym zadaniu, by przetrwać. Nagie i czarne gałęzie drzew otaczających chatę zlewały się z ołowianoszarym niebem. Owa ponura sceneria bardzo Faith odpowiadała, myślała bowiem, iż teraz nie mogłaby znieść promiennego lata. W domostwie Con Faith wciąż nosiła trzy swetry i długie skarpety pod krytykowanymi bryczesami Służby Lądowej, a idąc wieczorem do łóżka, przykry-

wała się wszystkim, co było pod ręką. Codzienne rozbijanie lodu w dzbanku z wodą przed porannym myciem wywoływało w niej raczej uczucie fizycznej niewygodności niż psychicznego bólu. Dojazd rowerem na farmę po błotnistych koleinach zamrożonych na szklisty i niebezpieczny beton sprawiał, iż jej myśli koncentrowały się na czymś innym niż na wyobrażaniu sobie całującej się i śmiejącej pary: Guya i Nicole.

Pociechą była dla niej przyjaźń z Con Fitzgerald. Faith podejrzewała, że gospodyni się domyśla, iż nastąpiło coś bardzo złego, ale Con o nic nie pytała i zostawiała ją samą, gdy dziewczyna wołała być sama, lub też proponowała swoje towarzystwo, kiedy miała wrażenie, że będzie ono mile widziane. Con pokazała Faith swoje ogromne krosno tkackie, ustawione w lodowatej szopie, i przędzę, którą kupowała od miejscowych farmerów.

- Trudno dziś spokojnie tkać przyzwoite wełny - wyjaśniła. - Ta przeklęta wojna.

Wieczorami Faith pomagała swej gospodyni pruć stare swetry i wytarte pledy do ponownego wykorzystania. To monotonne zajęcie uśmierzało jej ból.

Pewnego wieczoru po kolacji Con posadziła ją przy krośnie i opowiedziała o wątku i osnowie, a także o czółenkach i pedałach maszyny. Sztuka tkacka Faith rodziła się z dręczącą i nierówną powolnością, ale w długiej tkaninie połączyły się wspaniałe odcienie: beże, ochry, zielenie i czekoladowe brązy.

- Masz zmysł koloru - powiedziała Con któregoś dnia i Faith poczuła się mile połączona.

Pewnego zimowego wieczoru radiowy biuletyn informacyjny przyniósł wieść o zbombardowaniu Pearl Harbor przez Japończyków.

- Teraz Ameryka przystąpi do wojny, co nam, oczywiście, w końcu pomoże; ale można też to uznać za wielkie, mroczne zło, rozchodzące się po całym globie. Kiedy to się skończy, wszystko ulegnie zmianie - powiedziała wtedy Con, a następnie podała Faith kubek kakao.

- Ja chyba oczekuję tego, że różne rzeczy się zmieniają.

- Naprawdę? Dlaczego? Jak wiesz, większość ludzi nie chce zmian.

- Moja rodzina... my jesteśmy wędrowcami niczym Cyganie. Właściwie nigdy nie mieliśmy domu. Każdego lata pożyczaliśmy dom od Genyi; tej, która podarowała mi suknię kolo-

ru błękitnego nieba, ale to nie był nasz dom. Przypuszczam więc, że utraciliśmy mniej niż większość ludzi...

A przecież Mulgrave'owie coś zagubili, pomyślała. Jakiś szczególny zmysł orientacji, a może wyczucie kierunku. Nie chciała myśleć o Ralphie i Lindzie Forrester ani o Nicole i Guyu.

- Jednak coś się stało, nieprawdaż, Faith? Spojrzawszy w ogień, usłyszała, jak Con dodała szybko:

- Przepraszam. Wścibstwo jest niewybaczalną wadą.

- Możemy o tym rozmawiać, przyzwyczaiałam się już.

- Czyżby? - W głosie starszej kobiety słyhać było niedowierzenie. - Wyglądasz, jakbyś znalazła się w w oku cyklonu; jakbyś czekała na coś jeszcze gorszego. Ten list... Czy były w nim złe wieści?

- Tak... - przyznała Faith - lecz nie dotyczyły śmierci w jakiejś bitwie ani niczego, czym można by się chlubić. To tylko zdrada.

- Ach, ci mężczyźni - powiedziała Con z niesmakiem.

- Nie, to moja wina. Mój błąd.

Dojąc krowy, płuczac butelki i sprząając oborę, Faith miała mnóstwo czasu, by wszystko przemyśleć. Mogła dokonać właściwego wyboru i namyślając się zbyt długo tamtego sierpniowego ranka, to ona pierwsza popełniła zdradę. Tylko że Guy, tak łatwo zmieniawszy wcześniej obiekt swoich uczuć, już raz udowodnił, iż nigdy naprawdę nie kochał.

Zapadła cisza. Faith wpatrywała się w strzelające wysoko płomienie.

- Widzisz - odezwała się powoli - sądziłam, że postępuję właściwie, a teraz myślę, że nie okazałam się wystarczająco odważna.

Często zastanawiała się nad tym, czy wybrała właśnie takie rozwiązanie przez wzgląd na Eleanor i Olivera, czy też przez tchórzostwo. Nie miała odwagi, by stawić czoło konsekwencjom miłości do Guya. Z goryczą myślała o tym, że zasłużyła na ocenę wystawioną jej przez Ralpa. Była tą nudną Faith Mulgrave, roztroponą i nieśmiałą, i właśnie dlatego straciła Guya na rzecz Nicole.

- Widzisz - próbowała wyjaśniać - moja rodzina... mówiłyśmy kiedyś o pójściu za głosem uczucia... Moja rodzina wierzy, że zawsze powinno się tak postępować. Ale co zrobić, jeśli wtedy łamie się cudze serca?

Głos jej się załamał; przycisnęła dłonie do oczu, by powstrzymać łzy. Oprócz smutku, żalu i zakłopotania czuła także wstyd. Myślała o Elizabeth, która już nie miała matki, i o Davidzie, który nie miał żony. Wiedziała, że ani Nicole, ani Ralph nie rozumieli w pełni zniszczeń, jakie spowodowali. Dokonując spustoszeń w sercach innych ludzi, Mulgrave'owie wciąż obdarzali wszystkich czarującymi uśmiechami.

Con wydobyla z kredensu staroświecką, pokrytą kurzem butelkę i dołała brandy do obydwu kubków kakao.

- Używam jej w celach leczniczych - wyjaśniła. - Być może brandy zdoła uleczyć złamane serce. A poza tym kakao zawsze wydawało mi się beznadziejnie ohydne.

Alkohol rozgrzał Faith i stepił jej ból. Słyszała, jak Con mówi dalej:

- Zawsze uważałam też, że kobiety tracą zbyt dużo czasu i energii na miłość. Ja sama również tak postępowałam. „Mężczyźni powinni pracować, a kobiety muszą płakać” - cóż to za nonsens! Kobiety muszą otrzeć łzy i dalej pracować, tak jak podczas pierwszej wojny światowej i jak robią to teraz. W życiu jest mnóstwo innych spraw oprócz miłości. - Rzuciła okiem na Faith. - Czy też nic innego poza małżeństwem i dziećmi dla ciebie się nie liczy?

Faith przypomniała sobie, co czuła, gdy pierwszy raz trzymała w ramionach Elizabeth - ciepłe, drobne ciało, które kołysała. Wtedy nic innego nie wydawało jej się ważne.

- Uwielbiam dzieci. Zajmowałam się moją małą siostrzenicą po jej narodzinach.

- A jeśli nie będziesz mogła mieć tego nieszczęsnego faceta?

- Guya. Nazywa się Guy.

- Znałam kiedyś pewnego skończonego łotra, który miał na imię Guy. Był też okropnie przystojny... - Twarz Con złagodniała na chwilę. - A zatem jeśli nie będziesz mogła mieć Guya, czy będzie ktoś inny?

- Nie wiem - odrzekła szczerze Faith. - Naprawdę nie wiem.

- W takim wypadku musisz więc pomyśleć o czymś, co wypełni tę pustkę. Nie możesz tracić życia na bezowocne myślenie o jakimś facecie, który prawdopodobnie nie jest wart ani jednej z twoich nieprzespanych nocy.

- Wcale nie zamierzam tego robić - odparła sztywno. - Nie sądzę też, bym kiedykolwiek bujała myślami w obłokach.

- No, nie irytuj się - powiedziała Con spokojnie. - Chodziło mi o to, czy zastanawiałaś się już, co będziesz robić, gdy wojna się skończy.

- Chyba nie - stwierdziła Faith, która już dawno przestała myśleć o tym, co będzie za miesiąc, tydzień czy dzień. Codzienne kłopoty otaczały ją niczym gęstwina jeżyn w zaroślach.

- Musisz zacząć zarabiać na swoje utrzymanie - oświadczyła stanowczo Con, dolewając jej kolejną porcję brandy. - Nie masz, jak sądzę, pokaznej schedy, która by na ciebie oczekiwała?

- Obawiam się, że nie.

- Widzisz, mężczyźni niebawem wrócą i wtedy oni będą doić te krowy, a ty zostaniesz bez pracy, moja droga.

Wiedziała, że Con ma rację. Farma, z jej chłodem i długą wyczerpującą wielogodzinną pracą, była tylko epizodem w życiu Faith.

- Jest pewien kłopot: w niczym nie jestem zbyt dobra... - zaczęła, ale Con jej przerwała.

- Jeśli zamierzasz wygłaszać podobnie niedorzeczne głupstwa, to będę żałować, że poczęstowałam cię ostatnimi kroplami mojej brandy.

- Przepraszam.

- Przeprosiny zostały przyjęte - roześmiała się gospodyni. Faith szacowała swoje umiejętności. Brandy przyprawiała

ją o przyjemny zawrót głowy.

- Potrafię udzielać pierwszej pomocy...

- Niebył przydatna umiejętność, chyba że chcesz zdobyć dyplom pielęgniarki. Zawsze jednak myślałam, że to przerażający zawód. Wyłącznie dla świętych...

- Umiem doić krowy, ale, prawdę mówiąc, nie chciałabym tego robić przez resztę życia.

- Mówiłam ci, że masz wyczucie kolorów; zmysł, którego, jak wiesz, brakuje wielu ludziom.

Faith pomyślała o Francji i pchlim targu w Marsylii.

- Jestem dobra w polowaniu na „okazje”...

- ...i gromadzeniu jak wiewiórka sukien od Paquina na dnie plecaka - roześmiała się starsza kobieta.

Na dworze wiał wiatr, a długie, nagie gałęzie drzew stukały o kominy. Faith czuła, że zaczyna ją ogarniać ciepła senność.

- A co ty będziesz robić, Con?

- Och, przypuszczam, że zostanę tutaj. Chociaż zawsze myślałam...

- O czym?

-Zawsze myślałam, że dobrze byłoby mieć jakiś mały sklep. Sklepek z odzieżą. Nie żaden z tych strasznie pretensjonalnych magazynów, jakie widuje się na bocznych ulicach każdego prowincjonalnego miasta; żaden salon typu „Madame Fleur”, „Valerie” czy coś równie bezsensownego. Mam na myśli coś specjalnego, coś innego.

- Piękne tkaniny... bajeczne kolory...

- Zawsze chciałam - ciągnęła z rozmarzeniem Con - tkać jedwab. To strasznie trudne i wręcz absurdalnie drogie. A jednak można by robić takie piękne rzeczy.

- Jak moja suknia z błękitu nieba...

- No właśnie. Mogłybyśmy nazwać ten sklep... -My?

- Oczywiście. A dlaczego nie?

Faith wpatrywała się w nią uważnie. Nie wiedziała, czy to z powodu brandy, czy też po prostu zrozumiała, że nie ma innej przyszłości, ale stwierdziła, że się śmieje.

- Sądzisz, że po tym wszystkim kobiety wciąż będą szukały pięknych sukien?

- To nie będzie to samo, oczywiście. Kogo byłoby stać na suknie Fortuny lub Vionneta i kto tu po nie przyjdzie... Jednak kobiety zaczną szczególnie mocno pragnąć ładnych rzeczy, by się pocieszyć po tych strasznych czasach. - Con rozlała resztki brandy do kubków. - Wypijemy za to? Za nasz sklep. Za „Błękit Nieba”.

Z frontowego okna domku Poppy obserwowała Ralpa, który właśnie nadchodził wąskim traktem, biegnącym do Heronsmead. Pochylone ramiona i opuszczona głowa męża świadczyły, że poniósł klęskę.

Spotkała go przy furtce.

- Znalazłeś ją?

- W końcu... - odrzekł krótko.

Wygląda na starego i pokonanego, pomyślała. Twarz poczerwieniała mu z zimna, ręce ukrył głęboko w kieszeniach zniszczonego płaszcza.

-Ico?

- Odmawia powrotu do męża.

Weszła za Ralphem do domu i patrzyła, jak wyciąga z wystrzępionej kieszeni opróżnioną do połowy butelkę szkockiej i pije łąpczywie.

- Ale jest przecież dziecko! - wyszeptała.

W kącikach przekrwionych oczu męża pojawiły się łzy.

- Twierdzi, że małej będzie lepiej bez niej.

Poppy usiadła nagle, jakby nogi nie chciały dźwigać jej dłużej. Ralph wyjechał z Heronsmead tego samego dnia, gdy otrzymali list od Eleanor Neville z wiadomością, że Guy i Nicole odeszli razem. Eleanor z trudem panowała nad sobą: jej wściekłość biła z każdego nieortograficznie napisanego słowa, a nawet z każdej kropki.

Poppy usłyszała słowa Ralpha:

- Mieszkają w dwóch pokojach w Bermondsey. Strasznie małe mieszkanie. Brak im też pieniędzy; przecież Guy ma również na utrzymaniu żonę i dziecko.

- Rozmawiałaś z panią Neville?

Usiadł i przesunął wierzchem dłoni po oczach.

- Zachowuje się histerycznie i obraźliwie. Zapadło milczenie, a potem Poppy zaczęła krzyczeć:

- Jak ona mogła, Ralph?! Jak Nicole mogła porzucić swoje dziecko?

Nie odpowiedział. Patrzyła, jak zakręcił pustą już butelkę po whisky, i zauważyła, że drży mu ręka. Doznane upokorzenie jedynie pogłębiło jego gniew.

- Będąc w Londynie, wpadłem na jednego z moich przyjaciół, Jerry'ego MacNeila. Pamiętasz, Poppy, poznaliśmy go u Lovattow...

Przyjaciele i znajomi z ponad dwudziestu lat małżeństwa stopili się w jej wspomnieniach w nieokreśloną masę. Poppy ledwie słuchała, prześladowana w myślach obrazem ciemnowłosego dziecka Nicole. Spośród wszystkich okropnych rzeczy, myślała, jakim zdarzyło jej się stawić czoło w ciągu kilku ostatnich lat, najgorsze było uświadomienie sobie, że wcale nie знаła własnej córki. Ból, który opanował teraz jej serce, był nie mniej intensywny niż ten, jakiego doświadczyła, gdy zmarł jej maleńki synek.

Pewne oderwane zdania, wygłaszane przez Ralpha, wtargnęły teraz w jej cierpienie.

- No więc trochę rozmawialiśmy... porządny gość, ten Jerry... ma jakąś posiadłość w Szkocji, wiesz... chałupę... dom podwójny... myślę, że to będzie właściwe słowo... moglibyśmy to kupić dosłownie za grosze... tyle co nic... i wyrwać się z tej dziury... wieczorem zacznij pakowanie.

- Nie! - odpowiedziała Poppy. Podniósł wzrok.

- Słucham?

Ledwie mogła mówić; gniew dusił ją w gardle.

- Jeśli dobrze cię zrozumiałam, Ralphie, proponujesz, abyśmy wyjechali z Heronsmead i ugrzęźli w jakiejś zimnej ruderze w Szkocji. Moja odpowiedź brzmi: nie!

- To nie jest żadna rudera... Jerry mówi, że wymaga trochę pracy, ale...

- Nicole, oczywiście, odziedziczyła to po tobie. Porzucanie wszystkiego i ucieczka, ilekroć sytuacja staje się zbyt trudna - oświadczyła Poppy.

Zobaczyła, że mąż wzdrygnął się i zbladł.

- Co masz na myśli? - szepnął.

- Doskonale wiesz, co mam na myśli. Twoja... twoja „dziewczyna” potraktowała cię zimno, więc zamierzasz czmychnąć na drugi koniec kraju. I oczekujesz, że ja pójdę za tobą. No cóż, nie pójdę. - Widząc, że mąż zamarł w całkowitym milczeniu i bezruchu, Poppy parsknęła śmiechem. - Sądziłeś, że o niej nie wiem? Czy ty nie rozumiesz, jak doskonale wszystko po tobie widać? Biegałeś do bramy, by czekać na listonosza, siedziałeś całe dni w budce telefonicznej i naprawdę myślałeś że się nie zorientuję?

- To nie było nic ważnego. Tylko niewielki flirt - wymamrotał

- Nie okłamuj mnie! - zawołała. - Kochasz ją, prawda? Zakrył twarz dłońmi.

- Najbardziej boli mnie to, co uczyniłeś dzieciom - odezwała się po chwili Poppy, gdy znów mogła mówić. - To twój przykład skłonił Nicole do tej strasznej rzeczy. To ty nauczyłeś ją cenie jedynie niestałość. Przez ciebie porzuciła wiernego męża i córeczkę. I Jake... Jake również... co się stało z Jakiem? Dlaczego już nie pisze ani nie przyjeżdża? A Faith...

- Faith miewa się dobrze - wymamrotał Ralph. - Napisała do nas przecież w zeszłym tygodniu...



- To Faith kochała Guya Neville'a! - Poppy uderzyła pięścią w stół. - Zawsze go kochała! Czy byłeś również zbyt głupi, żeby to dostrzec? - Po tych słowach podeszła do okna, nie mogąc dłużej znieść widoku męża, a potem zaczęła powoli mówić: -Upokorzyłeś siebie i upokorzyłeś mnie. Czy ona była tego warta? Opowiedz mi o niej. - A kiedy nie wykrztusił z siebie ani słowa, stwierdziła: - Zasluguję na odpowiedź, Ralphie.

Po chwili usłyszała, jak mąż mówi cicho:

- Jest piękna, młoda, opanowana. Tak... myślę, że właśnie w tym się zakochałem. W jej opanowaniu. Nigdy nie byłem opanowany.

Poppy odwróciła się doń plecami i zamknęła oczy. Piękna... młoda... Chciała krzyknąć, by zamilkł, a jednak pozwoliła mu ciągnąć dalej, choć te słowa raniły jej serce.

- Poznałem ją na jakimś przyjęciu. Początkowo nie mogłem uwierzyć, że jest mną zainteresowana. Przypuszczam, że czułem się stary. Mam pięćdziesiąt sześć lat, Poppy. Nie jestem już młodym mężczyzną.

Poppy widziała własne odbicie w szybie. Jej twarz pokrywały zmarszczki, a włosy były matowe i kruche. Przycisnęła ręce do piersi, jakby tuliła dziecko. Piersi były płaskie i zwiotczałe.

- To się skończyło całkiem nagle, w sierpniu - opowiadał. -Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Nicole urodziła Elizabeth. Już się ze mną więcej nie spotkała ani nie odpowiadała na moje listy. Odkładała słuchawkę na dźwięk mego głosu. Pukałem do jej mieszkania, ale nie otwierała drzwi. Wkrótce też wyjechała z miasta. Przez wiele tygodni szukałem jej po całym kraju, lecz nie zdołałem jej odnaleźć. Przed miesiącem pewien znajomy powiedział mi, że znalazła sobie kogoś innego.

Słuchając go, Poppy poczuła się okropnie znużona i wyczerpana. Stała cicho, spoglądając przez okno. Był piękny, jasny, zimowy dzień. Niebo miało kolor tej ślicznej błękitnej sukienki Faith. W oddali morze lśniło jak delikatny jedwab, a moczary odbijały połyskliwe fale pierzastym oceanem kołyszących się trzciny.

- Tak mi przykro - powiedział Ralph. - Kocham cię Poppy, zawsze cię kochałem. Zawsze byłaś tylko ty. Byłem takim idiotą. Ale przecież możemy zacząć wszystko jeszcze raz, prawda?

Obróciła się, by spojrzeć mu w twarz.

- Możesz sobie jechać do Szkocji, jeśli chcesz. Ale będziesz tam sam! - oświadczyła, a potem wyszła z pokoju i zatrzymała się tylko na chwilę w holu, by wziąć płaszcz.

Ruszyła ścieżką, która wiodła przez mokradła na brzeg morza. Chłodna bryza rozwiewała jej włosy. Stado gęsi kierujących się w głąb lądu utworzyło na niebie literę V. Wśród sitowia wiły się błotniste strugi. Mróz zmienił wszystkie kłosa trzciny w miniaturowe proporce. Poppy szła po wyschniętej morskiej lawendzie, uwalniając z niej zapach lata, który mieszał się ze słonym powietrzem, i czuła, jak powoli odpływał jej gniew.

Wiedziała, że choć Ralph ją zawiódł, sama też nie jest bez winy. W ciągu tych kilku lat, które minęły od śmierci czwartego dziecka, zamknęła się w sobie, pielęgnując własne rany. Lękając się, że jej dolegliwości i cierpienia są symptomem poważnej choroby, nie miała odwagi, by pójść do lekarza. Wykorzystała Heronsmead jako swój azyl. Latem mogła pozostać dłużej w Compton Deverall i nauczyć Nicole miłości do dziecka, ale nagłe uświadomienie sobie faktu, że znalazła się o tyle niżej w hierarchii towarzyskiej i społecznej, kazało Poppy uciec do domu. Sama urodziła pierwsze dziecko, mając dwadzieścia jeden lat, i pamiętała, jak bardzo czuła się zmęczona i wyczerpana, gdy nagle przytłoczyły ją obowiązki wynikające z macierzyństwa. Żadna kobieta nie potrafi wyobrazić sobie nienasyconych pragnień noworodka, ale przede wszystkim potrzeby miłości. Nicole nie dała czasu miłości, by mogła się rozwinąć. Młodsza córka, właściwie sama jeszcze będąc dzieckiem, nie wiedziała, jak kochać kogoś tak bezradnego i tak bardzo zaborczego.

Na końcu ścieżki ukazała się plaża. Tylko mokradła i zaskieki z drutu kolczastego dzieliły Poppy od piasku - dalej rozciągało się gładką przestrzenią srebrzystej szarości morze. Poppy zastanawiała się, o czym marzyła, gdy wiele lat temu zobaczyła pewnego mężczyznę budującego zamek z piasku na plaży w Deauville. Przypomniła sobie, iż nie widziała wtedy żadnego celu przed sobą, i pamiętała, jak bardzo tęskniła do przygody i nadania własnemu życiu jakiegoś sensu. Ralph obiecywał jej towarzystwo i emocje, jakich pragnęła. Obiecał, że zabierze ją do najpiękniejszych miejsc na ziemi; obiecał, że Poppy nigdy nie będzie się nudzić i nigdy nie będzie samotna. I przez większość czasu, jaki ze sobą spędzili, dotrzymywał obietnic. Zranił ją boleśnie, to prawda, ale gdyby go nie kochała, czyż

zdołałby tak bardzo ją zranić? A jeśli wciąż go kochała, to czy nie zdoła teraz znaleźć w sercu dość siły, by mu wybaczyć?

Poppy, sama na mokradłach, zakryła dłońmi twarz i płakała. Gdy wypłakała już wszystkie łzy, dotarło do niej, że zziębła, jest zmęczona, i zapragnęła wrócić do Heronsmead. Ralph jest częścią tego domu, pomyślała. Bez niego każde domostwo wydawało się puste. Nie była pewna, czy potrafiłaby się przyzwycząić do takiej pustki.

Z zamyślenia wyrwał ją warkot samolotu. Odwróciwszy się, ujrzała sylwetkę złowróżbnego czarnego ptaka na tle jasnego błękitnego nieba. Mokradła rozciągające się za nią i obok niej stanowiły jednostajną płaszczyznę; nie było tu żadnych drzew, żadnych domów ani żywoptów. Samolot nadciągał coraz bliżej, a jego czarny cień kładł się na pustej ziemi. Przerazenie unieruchomiło stopy Poppy; zamarła w bezruchu. Nie widzi mnie, nie widzi, powtarzała sobie samej głośno. Zapewne z wysokości kabiny pilota nie wydawała się większa niż królik lub mysz. Miała suche usta i ściśnięty żołądek. Warkot silnika stawał się coraz głośniejszy i coraz bardziej wypełniał jej świadomość. Pragnęła, by obok był Ralph. Gdy czarna maszyna zniżyła lot i Poppy zobaczyła pierwszy błysk pocisku smugowego, zmierzającego ku niej z samolotu, zaczęła biec, kierując się ku morzu. Właśnie wtedy zajaśniał kolejny błysk, niczym drugie słońce. Poczowała palący, nie dający się znieść ból, gdy uderzyły w nią pociski i padła twarzą na piasek...

Tylko na sekundę zakrył ją mroczny cień samolotu, który chwilę potem ruszył w powrotny lot do Niemiec. Kolce janowca i wydumowe trawy wbijały się w twarz Poppy, a rękawy jej płaszcza były mokre od krwi. Unosząc nieco głowę, zobaczyła plażę - tuż za zasiekami z kolczastego drutu. Piasek był gładki i nie widziała na nim śladów stóp. Czowała słony zapach morza. Próbowała wstać i iść, ale nie mogła. Chociaż nadal świeciło słońce, czuła coraz bardziej dojmujący chłód. Zdawał się wypływać z jej serca i mrozić żyły. Poppy zamknęła oczy.

Otwierając je, zobaczyła, że dotarła już do plaży. Jej stopy nie zostawiły na białym piasku żadnego śladu. Na brzegu morza jakiś mężczyzna budował zamek z piasku, piękny i niezwykły gmach, ozdobiony muszelkami i wodorostami. Gdy pomachała ku niemu, odwrócił się, uśmiechnął i wyciągnął ku niej ramiona.

ZAPISANE NA PIASKU

1951-1953

## *Rozdział dziesiąty*

Skylon, błyszczący model odrzutowca, zdawał się przebijać powietrze niczym olbrzymia, pionowa, srebrna igła. Oliver Neville wyobrażał sobie, jak by to było, gdyby siedział na czubku owej igły, wysoko ponad tłumami zwiedzającymi wystawę. Mógłby zobaczyć cały Londyn, a nawet całą Anglię. Zupełnie jakby siedziało się w kabinie rakiety Flasha Gordona.

Na myśl o tym komiksie Oliver uśmiechnął się do siebie, wsunął rękę do kieszeni spodni szkolnego mundurka i ruszył do następnego pawilonu, w którym było równie nudno („Dwadzieścia pięć tysięcy fotografii ilustrujących szerokie możliwości brytyjskich producentów”) jak na lekcjach geografii. Ignorując przerywaną czerwoną linię, wzdłuż której podążali wszyscy zwiedzający, przedarł się przez tłum, pośpiesznie zmierzając do wyjścia. Błękitne niebo i świeże powietrze były prawdziwą ulgą po mrocznym zaduchu wystawowego wnętrza. Usiadł na trawie i sięgnął do kieszeni po orzeźwiający sorbet; ostatni z sześciu, jakie rano kupił na dworcu Paddington. Lubił wysysać te sorbety z papierowego opakowania jak najszybciej, by uderzały go w gardło eksplozją cukru i cytryny.

Gdy napój się skończył, Oliver podciągnął kolana pod brodę i rozmyślał co by było, gdyby całą tę wystawę miał dzisiaj tylko dla siebie. Bez tych okropnych chłopaków z publicznych szkół w dziurawych pulowerach i zdartych butach, bez szurających nogami staruszków, którzy tak okropnie opieszale przechodzili z pawilonu do pawilonu. Wyobraził sobie opadające na południowy brzeg Tamizy marsjańskie statki powietrzne błyskające zielonym ogniem z magnetycznych rewolwerów. Wszyscy uciekliby z krzykiem, a tylko on by pozostał. Mógłby wtedy wędrować przez dwadzieścia siedem pawilonów, oglądając wyłącz-

nie najbardziej interesujące rzeczy. Wdrapałby się na Pawilon Odkryć i biegałby po jego dachu, który miał kształt latającego talerza. Poszedłby do Ogrodu Zabaw w Battersea i jeździłby, oczywiście sam, miniaturową kolejką, a potem pływałby łodzią wokół jeziora. Odbiłby tych przejażdżek tyle, na ile miałby ochotę, i w ogóle robiłby wszystko, co tylko by chciał. Jednak żadni Marsjanie nie pojawili się na łagodnym błękitnym niebie i Oliver zaczynał się czuć nieco zmęczony i dość samotny. Żałował, że nie ma tu jego prababci. Było mu także trochę niedobrze, nigdy przedtem nie wypił tylu sorbetów...

- Jakie piękne tweedy - kłamała Faith z sercem zamierającym na widok nudnych zieleni, szarości i brązów zgromadzonych na łóżku - ale obawiam się, że ich nie potrzebujemy. Może ma pani coś lżejszego?

- Marigold Lyle powiedziała mi, że bierze pani ubrania dobrej jakości - odrzekła z pewną irytacją czcigodna Frances Brent-Broughton.

- „Błękit Nieba” specjalizuje się w sprzedaży strojów dziennych oraz wieczorowych - wyjaśniła Faith - i mówiąc szczerze, nie ma znaczenia, czy rzecz się rozpada, byle tylko materiał był dobry.

- To doprawdy nadzwyczajne - prychnęła pogardliwie panna Frances, ale zniknęła w głębi garderoby.

Faith ukradkiem rzuciła okiem na zegarek. Już prawie trzecia. Przyjęcie miało się zacząć o szóstej.

Omów nie zadzwoniła tu dziś rano, by przeprosiwszy, zrezygnować z zaproszenia panny Brent-Broughton. Chociaż bowiem lubiła szukać skarbów na straganach i w sklepach ze starociami, to przetrząsanie szaf z mizernymi resztkami ginącej świetności dawnych bogaczy sprawiało, że czuła się jak hiena. Jednak Rufus zaproponował jej swoją furgonetkę, więc powiedziała sobie, że musi być rzeczowa i praktyczna, nie zaś sentymentalna. Poza tym zawsze istniała ewentualność, że znajdzie coś wspaniałego.

Jednak te tweedowe spódnice i połatane żakiety nie były wspaniałe. Faith wyjrzała przez okno na rozległy park za rezydencją rodziny Brent-Broughtonów, który niebawem miał być sprzedany, by mogli zapłacić wysoki, siedemdziesięciopięć-procentowy podatek, jakiego domagał się rząd.

Mieć wspaniałą posiadłość, a potem ją stracić, to musi być trudne, pomyślała Faith, wyobrażając sobie takie przeciwności losu.

- Te oto rzeczy - powiedziała z nutą wątpliwości w głosie panna Brent-Broughton, wylaniając się z garderoby - należały do mojej matki...

Faith wzięła od niej naręczne pastelowe szyfonu.

- ...ale to doprawdy okropnie stare modele - ciągnęła czcigodna panna Frances. - Kobiety musiały mieć wtedy bardzo szczególne sylwetki. Żadnych talii ani biustów...

Faith podeszła do lustra w ozdobnej ramie i przyłożyła do siebie jedną z sukien. Lata dwudzieste. Nisko opuszczona talia, zaznaczona delikatną lamówką.

- No cóż, chce pani te suknie czy nie? - spytała panna Frances. - Obawiam się, że nadgryzły je mole, więc nie oczekuję wiele.

- Wezmę je - uśmiechnęła się Faith.

Zmierzając szybko w kierunku Soho, śpiewała do siebie, a gdy dotarła do sklepu, zaparkowała furgonetkę i wbiegła do środka. Con, w roboczym kombinezonie i chustce na głowie, stała na drabinie.

- Trzy wspaniałe wieczorowe suknie od Patou, Con! To dobry znak, nie sądzisz? Jedna jest niemal zjedzona przez mole, ale mogę ją wykorzystać na wstawki.

- Sprytna dziewczynka.

- Gdzie jest Lizzie?

- Na górze. Robi kanapki.

Faith powiesiła suknie na wieszaku w sypialni. Tylko na chwilę wtuliła twarz w fałdy jedwabiu, aksamitu i atłasu, wdychając ów lekko zatęchły, naftalinowy zapach, który wydzielają chyba wszystkie stare ubrania. A potem poszła odnaleźć swoją siostrzenicę.

Zaproszeni goście mieli uczcić wynajęcie lokalu i „rozebrać” ścianę dzielącą dwa niewielkie pomieszczenia na dole. Faith i Con poprosiły o kilof i młotki, przygotowały góry kanapek, pasztecików oraz kiełbaski, a także kupiły kilka kartonów piwa i lemoniady. Przez jakiś czas wymachiwano kilofem, dopóki nie została usunięta pierwsza cegła i światło nie przenik-

nęło z jednego pomieszczenia do drugiego. Wszyscy wiwatowali i wznosili toasty za „Błękit Nieba”.

Uderzeniom kilofa akompaniowała muzyka z płyt gramofonowych. Nie dałoby się już wcisnąć więcej gości, pomyślała Faith, nawet gdyby upychać ich kolanem.

- Jeśli oni wszyscy zaczną kupować u nas ubrania - powiedziała do Con - staniemy się bajecznie bogate.

- Nie będą kupować ubrań. Parę osób kupi szalik, kilka kobiet może jakieś sukienki - stwierdziła Con, marszcząc brwi i rozglądając się po zatłoczonym wnętrzu. - A zresztą, kim są ci wszyscy ludzie? Nie znam połowy z nich.

- Och, to... przyjaciele - odrzekła dziewczyna wymijająco. - Jest także tynkarz, stolarz i najbliżsi sąsiedzi...

- ...oraz przyjaciele naszych przyjaciół. Doprawdy, Faith...

- ...i kierowca furgonetki...

- ...który nie kupi nic oprócz igły z nitką. Faith uśmiechnęła się szeroko.

- Nie wyobrażam sobie naszych bardziej nobliwych klientów wymachujących kilofem.

- My nie mamy nobliwych klientów, Faith. Mamy garstkę ekscentryczek, które kupują jakąś sukienkę lub dwie, gdy je na to stać - odparła Con.

- Wiernych ekscentryczek - przypomniała jej Faith. - Przyszła Clio Bettancourt...

- Naprawdę? Kochana Clio... Poszukam jej, jeśli tylko zdołam się przedrzeć przez ten ceglany pył.

Wspólniczka zniknęła w tłumie, skąd dobiegł kolejny gromki wybuch śmiechu, gdy ze ściany wypadło kilka cegieł. Czyjaś ręka pociągnęła za rękaw Faith.

- Ciociu, czy ja też mogę burzyć ten mur?

Spoglądając na dziewczynkę, Faith często myślała, że krótki okres macierzyństwa Nicole pozostawił niewielki ślad na jej córce. Ciemnowłosa Elizabeth o poważnym spojrzeniu, mając dziesięć lat, była zadziwiająco rozsądna i godna zaufania. Stanowiła małą żeńską wersję Davida Kempa. Tylko czasami nagły jasny uśmiech siostrzenicy i jej szczęście do ludzi gwałtownie i boleśnie przypominały Faith o młodszej siostrze.

Uśmiechnęła się czule.

- Oczywiście, że możesz, Lizzie.



Znacznie później, gdy siedziała na małym ciemnym podwórku wśród stosów kamieni, które niegdyś były ścianą działową, podszedł do niej Rufus.

- Przyniosłem ci drinka - powiedział. Faith uśmiechnęła się z wdzięcznością, a on zapytał, wskazując ręką na cegły: -Jak się czujesz?

- Zakurzona - odrzekła z uśmiechem. - A także pełna zachwytu i spokojna.

- Spokojna?

- Trwało to znacznie dłużej, niż sądziłam. Zaczynałam już myśleć, że moje marzenie nigdy się nie spełni, że będzie jedną z owych mrzonek... nie pamiętam tego określenia... czymś, co zawsze pozostaje nieosiągalne...

- Chimera - podpowiedział Rufus.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Oto korzyści z klasycznej edukacji.

- Dziesięć lat, Rufusie. Zabrało nam to prawie dziesięć lat. Zagwizdał.

- Con i ja pierwszy raz pomyślałyśmy o „Błękanie Nieba” w grudniu 1941 roku. W przeddzień śmierci Poppy...

Podniosła wzrok ku czarnemu aksamitowi w górze i pomyślała, że te dwa zdarzenia okazały się nierozłącznie związane. Jakby ktoś przeciągnął przez jej życie linię, oddzielając etap, który zakończył się wraz z nagłą śmiercią matki, od egzystencji rozpoczętej w chwili, gdy Con powiedziała: „Zawsze myślałam, że dobrze byłoby mieć jakiś mały sklep. Sklepek ze strojami”. Teraz pośród gwaru przyjęcia Faith uświadamiała sobie własną straszną samotność.

- Te zajęcia, których się imałam, by uskładać pieniądze na sklep, Rufusie - mówiła cicho. - Te okropne sklepy i restauracje, gdzie pracowałam... Te pozbawione zdolności dziewczynki, które starałam się nauczyć francuskiego...

- Powinnaś wyjść za mnie, Faith. Uwolniłbym cię od tego wszystkiego.

- Och, Rufusie - roześmiała się głośno. - A z czego byśmy żyli? I gdzie byśmy mieszkali; w tej klitce nad sklepem?

- Żylibyśmy miodową rosą i rajskim mlekiem - odrzekł. -Nie przestanę cię prosić o rękę. Będę niczym kropla drażąca skałę - oświadczył, a potem pochylił się, pocałował ją i wrócił do wnętrza.

Faith siedziała jeszcze przez chwilę w zamyśleniu. Myślała, jak by to było, gdyby wyszła za Rufusa. Zastanawiała się, czy wtedy - gdyby go poślubiła i miała z nim dzieci - zniknęłoby owo nachodzące ją od czasu do czasu poczucie okropnej pustki. Otworzyła swój sklep, miała gdzie mieszkać, zdobyła niezliczonych przyjaciół, a ta pustka wciąż w niej tkwiła, w samym sercu...

Szykowali się właśnie na przyjęcie, kiedy zadzwonił telefon. Guy podniósł słuchawkę, mając niejasną nadzieję, że pilne wezwanie pozwoli mu uniknąć nudnego wieczoru. Słuchając głosu po drugiej stronie, robił się coraz bardziej zdenerwowany i przerywał potok słów zwięzłymi, ostrymi pytaniami. Kiedy rozmowa dobiegła końca, odbył jeszcze jedną, krótką, a potem odłożył słuchawkę i poszedł szukać Eleanor.

Siedziała przed toaletką w swojej sypialni.

- Telefonowano z Whitelands - powiedział. - Najwyraźniej Oliver uciekł ze szkoły.

Twarz żony odbijała się w lustrze. Guy zobaczył jej szeroko otwarte oczy.

- Nie widziano go od rana - mówił dalej. - W piątki jest mniej zajęć i nie zauważono jego nieobecności aż do popołudnia. Stracili kilka godzin, szukając go, a potem zatelefonowali tutaj, żeby się dowiedzieć, czy dotarł do domu.

- Guy... on mógł zostać porwany.

- Nie sądzę. Nie jesteśmy wystarczająco zamożni.

- Jak możesz drwić... w takiej chwili...

- Nie ma jego czapki i swetra. Ani butów. Nie ma też kieszonkowego, a przedtem Oliver namówił innego chłopca, aby go krył przed nauczycielem zajęć gimnastycznych. Ten, kto organizował bieg przełajowy, myślał, że Oliver gra w krykieta, a trener krykieta sądził, że chłopiec biega. Gdy tylko ten idiota dyrektor odłożył słuchawkę, zatelefonowałem na najbliższą stację kolejową. I oczywiście, jasnowłosy chłopiec w mundurku szkoły Whitelands kupił w południe bilet drugiej klasy do Londynu. - Guy zapalił papierosa. - Najwyraźniej Oliver jest w jakichś tarapatkach. Jutro rano miał się stawić w gabinecie dyrektora, więc prawdopodobnie wolał uciec niż stawić czoło nieprzyjemnej sytuacji - powiedział, kładąc rękę na ramieniu Eleanor. Jej skóra była lekko wilgotna i zimna. - Znajdzie się

- pocieszył żonę, próbując ją uspokoić. - Nie wolno ci się denerwować. Oliver doskonale potrafi o siebie zadbać.

- Ale... w Londynie... sam...?! On ma jedenaście lat!

- Jeśli nie zjawi się tutaj do... powiedzmy, do ósmej, zadzwonię na policję. Szkoła chce, by się z tym wstrzymać do rana, gdyż pragną uniknąć skandalu, ale nie będę czekać tak długo.

Między brwiami Eleanor pojawiła się zmarszczka niepokoju.

- Naprawdę sądzisz, że do tego dojdzie, Guy?

- Nie, nie sądzę - odrzekł, zmuszając swój głos, by zabrzmiał pewnie. - Przyjdzie do domu, gdy tylko poczuje się zmęczony i głodny. Jestem tego pewien. Tymczasem... może wolałabyś to wszystko odwołać?

„To wszystko” odnosiło się do popołudniowego koktajlu, który urządzali tego wieczoru. Eleanor poświęciła ostatnie sześć tygodni na przygotowania.

Sięgnęła po szminkę i zaczęła malować usta.

- Jak sam powiedziałeś, Guy... Oliver się znajdzie.

O siódmej wymknął się do swego gabinetu. Nie sądził, by zauważono jego brak w salonie. Wszyscy najważniejsi goście już przyszli (ich listę, ułożoną według hierarchii ważności widział wcześniej w notatniku Eleanor), a Guy balansował ze szklaneczką sherry i porcją wybornego pasztetu, podziwiał małe galaretki i przechodząc od gościa do gościa, wymieniał z każdym z nich kilka nieznaczących zdań.

Teraz zamknął drzwi i zostawiwszy za sobą stłumione głosy dobrze wychowanego towarzystwa, sięgnął do szuflady biurka po czasopismo. Był to magazyn filmowy, a nie któraś z owych medycznych broszur, jakie zwykle czytał. Zostawiła go w kuchni jedna z dziewcząt, zatrudnionych przez Eleanor do pomocy przy przygotowaniu dań na dzisiejsze przyjęcie. Guy miał już wyrzucić pismo do kosza, gdy zauważył niewielką recenzję na dole strony.

„*Marynarz Sally*” - głosił nagłówek - *musical. Sally Fairlie (Stella Delmar), lecząc rany po zerwanych zaręczynach na śródziemnomorskim rejsie, znajduje prawdziwą miłość na pokładzie statku.*

Nieznane gwiazdy i nudne streszczenie. Zwykle Guy drugi raz nie spjrzałby na ten artykuł. Ale na samym końcu tekstu

dostrzegł następujące słowa: „W spektaklu występują także: Gray Banks, Diana Taylor i Nicole Mulgrave”.

Nicole Mulgrave. To nie było nazwisko, które można by wymienić przy Holland Square. Pośpiesznie musnął palcem dwa wydrukowane wyrazy. Poruszyła go świadomość, że ona... że jedna z nich... wciąż istnieje. Już niemal dziesięć lat nie słyszał ani nie widział nikogo z rodziny Mulgrave'ow.

Zapalił papierosa i podszedł do okna. Niebo było nieskazitelnie błękitne, a na dachach jaśniały promienie słońca. Nicole kojarzyła mu się z zimą. Zakochali się w sobie, gdy spadł pierwszy śnieg, a rozstali trzy miesiące później, gdy zaczęły się pokazywać pierwsze wiosenne bladozielone kielki. Zaznali, myślał, kilku tygodni euforycznego wprost szczęścia. Potem zawiadomiono Nicole o śmierci Poppy Mulgrave i właśnie ten moment można by uznać za kres ich romansu.

Opuściła go pewnego marcowego poranka; zapakowała swoje rzeczy do jakiejś starej torby, upięła wspaniałe, jasne loki na czubku głowy i oświadczyła: „Poznałam kogoś. Myślę, że teraz naprawdę jest Tym Jedynym. To była pomyłka, czyż nie? Wybaczysz mi, Guy?”. Wybaczył, gdyż do tego czasu już wiedział, że gdy zabrakło fizycznej namiętności, trawiącej ich w owych pierwszych tygodniach, byli dwojgiem całkiem odmiennych ludzi, których łączyły tylko wspomnienia z dzieciństwa i obecna zdrada najbliższych.

Przez miesiąc mieszkał w wynajmowanych pokojach. Potem zjawiała się Eleanor. Zastała go po południu nieogolonego, w brudnych sztruksowych spodniach i koszuli, którą nosił niemal cały tydzień. Przedstawiła swoje warunki. Jeśli Guy chce znów widywać syna, to po zakończeniu wojny musi wrócić do domu przy Holland Square, rzucić praktykę przy Malt Street i pracować z jej ojcem. Tymczasem ma wstąpić do Wojskowego Korpusu Medycznego, a zanim przyjedzie do domu, skandal zostanie zapomniany. Ach, i jeszcze ostatni warunek: już nigdy nie zobaczy nikogo z rodziny Mulgrave'ow.

Oczywiście zaakceptował owe warunki, mimo że wiedział, iż żona przyjmuje go z powrotem, by ocalić własną dumę, i dlatego, że nie mogłaby znieść, iż straciła go na rzecz jakiejś panny Mulgrave. Przyjęcie wiarołomcy z powrotem było szlachetnym gestem z jej strony, ale niechęć Eleanor do Guya równała się jedynie obrzydzeniu, jakie on czuł do samego siebie. Opu-

ścił syna... jakąż większą zbrodnię mógł popełnić ojciec? Złamał przysięgę, że uczyni wszystko, co w jego mocy, by chronić własne dziecko... i to z jakiego powodu? Dla kobiety, której nawet prawdziwie nie kochał.

Zwolniony z wojska w 1946 roku, wrócił więc na Holland Square. Oliver mieszkał już wtedy od roku z Eleanor i Selwynem, i Guy szybko zdał sobie sprawę, że żona całą swoją miłość przeniosła na małego. Oliver zaś nie był już wymagającym opieki niemowlęciem, lecz wyjątkowo ładnym, złotowłosym i bystrym chłopcem, odznaczającym się powściągliwą mało-mównością, którą niekiedy Guy uważał za nieodpowiednią do wieku dziecka. Miłość Guya do syna była spotęgowana dojmującym poczuciem winy. Gdy Eleanor upierała się przy najlepszych szkołach dla Olivera oraz najładniejszych ubrankach i zabawkach, jakie można było kupić w znękanym wojną Londynie, Guy nie odzęgnywał się od tego, chociaż opłacanie wysokiego czesnego wymagało wielu godzin dodatkowej pracy. On także chciał dla synka tego, co najlepsze. Gdy w 1948 roku powołano państwową służbę zdrowia, teść, za namową Eleanor pozostał przy prywatnej praktyce, Guy był więc zmuszony stać z boku i patrzeć, jak realizuje się jego marzenie, nie biorąc w nim udziału. Wmówił sobie wtedy, że wszystko to go nie interesuje, bo ważny jest tylko syn.

Od czasu gdy Selwyn zaczął mieć kłopoty z sercem, Guy przejął większość jego obowiązków. Powodziło mu się dobrze; czasami wmawiał sobie nawet, że jest szczęśliwy.

Teraz jednak walczył, by opanować strach. Wyobrażał sobie syna, zagubionego i samotnego w Londynie. Spojrzał na zegarek: dwadzieścia po siódmej. Postanowił, że nie będzie czekać do ósmej. Jeszcze tylko dziesięć minut i zatelefonuje na policję.

Ktoś otworzył drzwi do gabinetu.

- Guy - odezwała się Eleanor. - Co ty tutaj, u licha, robisz? Nasi goście...

Nie spoglądając już drugi raz na czasopismo, wrzucił je do kosza na śmieci. Zobaczył, że żona nie jest zirytowana.

- Co z Oliverem? - zapytał. Uśmiechnęła się lekko.

- Jest bezpieczny. Przyszedł do domu.

Oliver siedział z gośćmi w salonie, rozmawiając z jakimś konsultantem z kliniki Świętej Anny. Widząc syna, Guy poczuł przyływ miłości i ulgę, ale zmusił się do przybrania surowej miny.

- Oliver? O co chodzi?

- Tatusiu! - Wielkie oczy chłopca zwróciły się ku ojcu.

- Musimy porozmawiać, synu.

- Guy! - syknęła Eleanor. - On jest zmęczony i głodny. To na pewno może poczekać do jutra.

- Nie sądzę, Eleanor. Wieczorem będę musiał zatelefonować do szkoły i przedstawić im jakieś wyjaśnienie.

- Nasi goście... muszę się nimi zająć...

Guy wziął syna za rękę, zaprowadził go do sąsiedniego pokoju i zamknął za sobą drzwi.

- Powiedz mi, dlaczego uciekłeś ze szkoły, Oliverze. Wokół szafirowego błękitu trysnęły łzy.

- Bo jeden z chłopców... Hayward... dał mi swoje komiksy w zamian za kilka moich kulek do gry... a potem powiedzie! panu Gandertonowi, że mu je ukradłem, a pan Ganderton powiedział panu Vokesowi.

Pan Vokes był dyrektorem szkoły w Whitelands, zaś pan Ganderton - którego Guy uważał za irytującego głupca - wychowawcą chłopca. Guy zmarszczył brwi. Oliver wcześniej usilnie domagał się tych komiksów na urodziny. I była to jedna z niewielu rzeczy, których Eleanor mu odmówiła. Komiksy były bowiem, jej zdaniem, pospolite.

- Jesteś pewien Oliverze, że ten chłopiec... ten Hayward... rozumiał, że to była zamiana? Może się myliłeś, może on myślał, że jedynie pożyczą ci swoje komiksy?

Chłopiec pociągnął nosem.

- To była zamiana, tatusiu. On wziął moje kulki. Włożył je do swojego biurka, sam widziałem.

- To brzmi tak, jakby komuś coś się poplątało.

- Gniewasz się na mnie, tatusiu?

- Nie o te nieszczęsne komiksy. Ale dlaczego uciekłeś? Dlaczego nie zostałeś i nie wyjaśniłeś wszystkiego panu Vokesowi?

Oliver zagryzł wargi.

- Nie chciałem skarżyć na Haywarda.

- Och, Oliverze - powiedział Guy i, wspominając własne szkolne lata, uściskał syna.

Mały zawsze był nieco sztywny, Guy wyczuwał to w każdym fizycznym kontakcie między nimi; jakby chłopiec pragnął zachować jakąś część własnej istoty tylko dla siebie. Guy już dawno zdał sobie sprawę z tego, że Oliver jest dzieckiem skrytym i samotnikiem w grupie przyjaciół. Częściowo winił za to długą separację syna od rodziców podczas wojny, ale najbardziej miał pretensje do siebie. Nie potrafił wyzbyć się przekonania, że tę bliznę pozostawiło Oliverowi jego odejście.

Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Eleanor. Guy wypuścił syna z uścisku.

- Myślę, że wyjaśniliśmy wszystkie sprawy - powiedział. - Zatelefonuję do pana Vokesa. Najlepiej będzie, jeśli Oliver wróci jutro do szkoły.

- Tatusiu... - wyszeptał chłopiec. Eleanor przyglądała się chłopcu z bliska.

- Jesteś blady, kochanie. Guy, nie sądzisz, że Oliver jest blady? Guy pomyślał, iż syn rzeczywiście wydawał się zgoła zielony.

- O co chodzi? - zapytał go. - Boli cię brzuch? Chłopiec skinął głową.

- Nie mogłem nic jeść przez cały dzień!

- Może to zapalenie wyrostka robaczkowego - przestraszyła się żona.

- Źle się czuję, tatusiu.

- Biedne maleństwo. Jakież to niemiłe ze strony tatusia, że upiera się, byś wrócił do szkoły, skoro jesteś chory.

- Tatusiu... - powtórzył Oliver błagalnym tonem. Guy potargał mu włosy.

- No cóż, zdaje się, że do letnich wakacji pozostał już tylko tydzień.

- Zaraz położę go do łóżka - oświadczyła Eleanor - a ty musisz zatelefonować do szkoły i powiedzieć im, że nie odwieziemy Olivera aż do września.

Ostatni goście wyszli o północy. Rufus pojechał do Islington, Con wróciła do swojej chaty w Somerset, a Elizabeth dawno już poszła spać do pokoiku nad sklepem. Faith pozbierała puste kieliszki oraz pełne okruchów talerze, ale o pierwszej zostawiła cały nieład, poszła na górę do swego mieszkania i zasnęła na sofie.

Śniła, co jej się nie zdarzyło od lat, o La Rouilly. Zamek był taki jak przed wojną, a jego wieże i strychy znów jawiły się cu-

downie nienaruszone. Otwierając kufry i szafy, Faith wyciągała z nich piękne suknie. Barwy srebra, złota, błękitów i szmaragdów lśniły w różowych smugach słońca, które wpływały przez okna poddasza. Stanik jednej z sukien pokrywały opalizujące ptasie pióra, a spódnicę innej - połączone razem wielobarwne skrzydła motyli. Ręce uginały jej się pod ciężarem strojów. I właśnie wtedy, gdy niosła je przez poddasze, usłyszała pierwsze strzały. Odbiły się od okiennych szyb. Wyjrzawszy przez okno, zobaczyła, że budynek otoczony jest przez żołnierzy, którzy roili się w ogrodach niczym ciemnobrazowe mrówki. Jaskrawe kolory sukien zmatowiały, przechodząc w brunatną zieleń, szarość, khaki...

Faith otworzyła oczy. Początkowo serce biło jej w rytm karabinowych wystrzałów, potem wziął górę rozsądek i zdołała odróżnić echa ze swego snu od pukania we frontowe drzwi. Narzuciwszy na siebie szlafrok, zbiegła na dół i otworzyła je.

- Jake!

Światło księżycy podkreślało jego jasne włosy. Niemal wpadł do sklepu.

- Szukałem cię po całym cholernym Londynie, Faith. Musiałem obudzić Rufusa. Dlaczego mnie nie zawiadomiłaś, że się przeprowadzasz?

Ponieważ nie wiedziałam, gdzie jesteś, pomyślała. Ponieważ przez sześć miesięcy ani nie pisałaś, ani nie telefonowałaś.

- O mało co nie pojechałem do tego cholernego Somerset! - dodał.

- Ciii - uspokoiła go. - Na gorze śpi Elizabeth. Jake położył sobie palec na ustach.

- Będę cicho jak myszka - odrzekł przesadnym szeptem. Raczej: duża, wstrętna mysz, pomyślała Faith, patrząc na

brata. Miał trzydniowy zarost, a rozczochrane jasne włosy sięgały do przetartego kołnierzyka koszuli.

- Wejdz, Jake.

- Najpierw całus dla ukochanego braciszka. - Oplótł ją ramionami w miążdżącym uścisku. Jego ubranie czuć było papierosami i alkoholem.

- Spóźniłeś się na nasze przyjęcie - powiedziała, ale wymówkę stłumił jego płaszcz.

- Naprawdę? - rzucił, uwalniając ją z objęć. - Stokrotnie przepraszam.



Uśmiechnęła się lekko.

- Wybaczę ci, jeśli jutro pomożesz mi posprzątać ten bałagan.

Na sofie więc spał tej nocy Jake, Faith zaś położyła się obok Lizzie. Rano zrobiła herbatę i zniosła mu filiżankę. W jasnym świetle poranka wyraźnie widziała bladość brata.

- Strasznie schudłeś, Jake - zauważyła z niezadowoleniem. - Gdzie ty, u licha, byłeś?

- Och... Tu i ówdzie.

- Masz jakąś pracę?

- Teraz nie.

- Ale twój przyjaciel... Zamierzałeś prowadzić jakiś bar...

- Robiłem to przez pewien czas, lecz rzecz była okropnie nudna. Za dużo liczenia reszty i szorowania podłóg.

Faith straciła rachubę posad, jakie miał Jake od czasu wojny. Było ich z pewnością kilkanaście, a może nawet więcej.

Ziewnął, wstał i przeszedł się po pokoju, bez większego zainteresowania rzucając okiem na jej książki, obrazy i fotografie.

- Jak twoje sprawy, Faith. Co u innych... u Davida, Rufusa?

- Rufus był tutaj wczoraj wieczorem, pomagał nam wyburzyć ścianę. David wyjechał służbowo, dlatego ja opiekuję się teraz Elizabeth - mówiła, wskazując głową sąsiedni pokój. - Jeszcze śpi, bo pozwoliłam jej zostać na przyjęciu.

- Jak ona się miewa?

Jest światłem mojego życia, pomyślała Faith i uśmiechnęła się łagodnie.

- Polubiła nową szkołę - odpowiedziała. - David oczywiście z trudem znosi rozłąkę z córką. Laura Kemp zmarła wiosną, więc musiał się przemóc i posłał Lizzie do szkoły z internatem.

- Przywiozłem jej prezent. - Jake kucnął na podłodze, sięgnął po swój plecak i wyjął z niego papierowego węża na sznurku. - Znalazłem go w Marsylii - wyjaśnił, a gdy pociągnął za sznurek, wąż zwinął się na linoleum. Jake wydał z siebie krótki okrzyk wesołości. - Sprytne, co?

- Spodoba jej się - powiedziała Faith, a potem spojrzała bratu w oczy. - Tata nie czuje się zbyt dobrze. Ostatniej zimy miał okropny bronchit. Powinieneś go odwiedzić, Jake.

Puścił sznurek, wstał i z rękami w kieszeniach podszedł do okna.

- Nie.

- Jake...

- Nigdy! - rzucił odwrócony do niej plecami. - To on ją zabił.

- Ojciec jest stary i słaby. Już za późno...

- Na co za późno? - Popatrzył w jej stronę. - Ty wciąż masz nadzieję na wzruszające pojednanie z marnotrawnym synem? Ciągłe myślisz, że uściskę mu dłoń, może nawet uronię łzę i powiem: „W porządku, tato, wiem, że tego nie chciałeś?” - Jego głos ociekał sarkazmem.

- On cię kocha, Jake - powiedziała Faith otwarcie. - Tęskni za tobą.

Niebieskie oczy brata pozostały bez wyrazu.

- A ja... ja nim gardzę - odparł. - Zrozum to, Faith.

Zapadło długie milczenie. Faith podniosła z podłogi papierowego węża, położyła go na stole i zaczęła zbierać brudne talerze i filiżanki, będące pozostałościami po wieczornej pośpiesznej kolacji. Czuła się wyczerpana, a nieprzespana noc legła jej na barkach niczym fizyczny ciężar.

- Przyszedłem tutaj, by prosić cię o radę - odezwał się brat innym tonem.

Spojrzała na niego uważnie.

- Nigdy w życiu nie szukałeś u mnie rady. Ani, jak przypuszczam, u nikogo innego.

- Jestem teraz innym człowiekiem - odrzekł z nieoczekiwanym uśmiechem i wyciągnął się na sofie. - Chodzi o to - mówił dalej - że zupełnie nie mogę dojść, gdzie popełniam błąd. Rzecz w tym... Mam już dwadzieścia dziewięć lat, prawda? Czy nie powinienem mieć jakichś rzeczy, spraw...

- Jakich rzeczy, Jake? - zapytała, siadając obok niego na sofie.

Odpowiedział nieokreślonym gestem ręki.

- Och, wiesz, jakieś mieszkanie, wakacje, dzieci, sprzęty, rondle... - Wzruszył ramionami z zakłopotaniem. - No wiesz, to wszystko... Inni ludzie mają te wszystkie rzeczy. Nawet ty je masz, Faith.

Wybuchnęła śmiechem.

- Zdaje się, że większość moich ruchomości mogłabym wcisnąć do jednej walizki. To mieszkanie należy bardziej do Con niż do mnie, ponieważ ona włożyła w sklep więcej pieniędzy. Dzieci także nie mam. Pożyczam od innych...

- Faith mówiła to

z niezamierzoną goryczą. Potem wzięła głęboki oddech i spojrzała na brata wyciągniętego leniwie obok niej. - Jeśli jednak naprawdę chcesz mieć wszystko, o czym mówisz, musisz związać się z jedną kobietą, a nie przesakakiwać od jednej do drugiej, jak to teraz robisz. To uwodzenie, uganianie się za dziewczynami, flirty... z pewnością te sprawy zabierają ci zbyt wiele czasu.

Zmarszczył brwi.

- Tak sądzisz?

- Oczywiście. I gdybyś pamiętał o jedzeniu... i o tym, że w nocy trzeba spać... i nie kłócił się z ludźmi... I musisz znaleźć jakąś pracę. Ludzie, którzy mają te... rzeczy, zazwyczaj mają też stałą pracę. Nie ma znaczenia, co robisz, chodzi o to, żebyś w ogóle coś robił.

- Naprawdę się staram - powiedział. - Tylko zawsze coś mi nie wychodzi. Albo przesypiam porę, gdy trzeba wstać, albo zapominam, co miałem robić, bo jest to tak cholernie nudne i bezsensowne, albo człowiek, dla którego pracuję, okazuje się żałośnie podły i głupi...

- Ale musisz się z tym pogodzić, Jake! - zawołała zirytowana, podnosząc się z sofy. - Oto sedno sprawy: po prostu musisz się z tym godzić!

Ciskając do zlewu brudne naczynia, myślała o wszystkich owych miejscach, w których pracowała przez te lata; o obskurnych barach, nudnych sklepach i biurach, i nagle rozplakała się przy zmywaniu.

Jakaś ręka ścisnęła ramię Faith; Jake stał za jej plecami.

- Nie płacz, staruszek - powiedział. - Zasady rodziny Mul-grave'ów, pamiętasz?

Pociągnęła nosem. Jake wyciągnął brudny rękaw koszuli, a Faith wytarła twarz w mankiet.

-1 nie martw się o mnie - mówił dalej. - Jedyne, czego pragnę, to pożyczyć parę funtów, bym mógł przeżyć ten tydzień, a potem wszystko będzie dobrze. Mówiłem ci. Jestem teraz innym człowiekiem.

Faith pojechała w sierpniu do Heronsmead na urodziny Ralpha. Ciocia Iris pozwoliła ojcu pozostać w tamtym domu po śmierci Poppy. Tantiemy z jego powieści dawno się skończyły, a dożywocie Poppy wygasło wraz z jej odejściem. Cho-

cięż Ralph zajmował się ogrodem warzywnym żony z fanatyczną wręcz gorliwością, wciąż były jakieś rachunki do zapłacenia. Długie lata, jakie Faith przepracowała w kawiarniach, sklepach i biurach, służyły nie tylko „Błękitowi Nieba”.

Spacerując z Ralphem wstęgą piasku między lśniącymi mokradłami a morzem, pomyślała, że ojciec wydaje się tak sterany życiem. Kołnierzyki i mankiety jego koszul, wciąż się strzępiły, niezależnie od tego jak często je reperowała, a ubrania wręcz już błyszczały ze starości. Ralph miał teraz sześćdziesiąt sześć lat i wyglądał, pomyślała Faith, dokładnie na swój wiek. Smutek dodał mu lat, podobnie jak żal i skrucha, które przykuły go do tego miejsca. Zupełnie jakby pozostając na ziemi, której niegdyś rzekomo nienawidził, wciąż żywił nadzieję, że cofnie minione lata i odmieni przeszłość.

Rozmawiali o „Błękitcie Nieba”, o ogrodzie warzywnym, a także o Elizabeth oraz Davidzie i Nicole. Duch Poppy unosił się nad tym samotnym, pięknym miejscem między ziemią i morzem. Nie wymawiali jej imienia, ale Ralph wsunął rękę pod ramię córki, a ich stopy zmierzały do jednego punktu na piasku.

Następnego dnia Faith wyciągnęła z szopy stary rower ojca i pojechała na przejażdżkę. Skierowała się na północ, nie mając na myśli żadnego konkretnego celu. Chciała się zgubić i zmęczyć. Pedałowała szybko drogami zaledwie tak szerokimi, że mogły zmieścić tylko jeden samochód, i prawie nie patrzyła na szarozielony krajobraz wokół. W południe kupiła w jakimś wiejskim sklepie paczkę biszkoptów i butelkę wody mineralnej i potem, siedząc na ławce, jedząc i pijąc, poczuła się przyjemnie zmęczona. Niektóre z jej obaw - o sklep, Ralpha i Jake'a - zniknęły gdzieś daleko. Ponownie wsiadła na rower i wyruszyła z powrotem do domu.

Zabłądziła, naprawdę zabłądziła w labiryncie nieznanych pól i zarośli. Gdy wjechała w głąb łądu, okolica zmieniła się nie do poznania, a wysokie żywopłoty po obu stronach wąskich dróg przesłoniły wszystko. Zaczął padać deszcz i letni zapach wilgotnych bukowych liści zmieszał się z wonią mokrych paproci. Woda spadała kroplami z zakurzonych liści i rozlewała się w kałuże na poboczu drogi. Faith nie wzięła ze sobą ani płaszcza, ani nakrycia głowy. Dostrzegła jakiś trakt. Wysokie buki rosły po obu stronach drogi, a ich górne gałęzie stykały się, tworząc sklepienie nad głową. Pojechała owym traktem,

chcąc się schronić przed deszczem. Gęsto pokryte liśćmi gałęzie tworzyły mroczny tunel, a woda niemal nie dotknęła suchej ziemi pod nimi. Nawierzchnia pełna była głębokich dziur, więc Faith zsiadła z roweru, ale szła dalej, ciekawa, dokąd zaprowadzi ją ów podjazd. Musiała przejść dobry kawałek drogi, zanim zobaczyła ów dom.

Zbudowany z czerwonej cegły, stał na polanie na końcu traktu. Zanim tam dotarła, przestało padać i słońce przebiło się przez chmury. Ten dom obudził w niej wspomnienia; szła naprzód, starając się sprecyzować jakąś ulotną wizję. Zauważyła, że okna, co nie było typowe w Anglii, miały okiennice, które mimo że odrapane i wyblakłe, wszystkie były pozamykane. Ogród wyglądał na zapuszczony i żaden zatroskany właściciel z sekatorem w rękę nie chodził po wijących się ścieżkach w poszukiwaniu nadmiernie wyrosniętej róży czy złamanego pędu. Myśląc, że zapyta tutaj o drogę, Faith podeszła do frontowych drzwi, ale echo, jakim rozległo się stukanie jej zaciśniętej pięści, obwieściło, że dom jest niezamieszkały.

Wracając przez ogród, otarła się ramieniem o mokre od deszczu gałęzie krzaków. Obłok błękitnych motyli - zapewne ostatni tego lata - poszybował do góry w ciepłym powietrzu. Z dala rozbrzmiewał echem głos Genyi: „Kiedy cały ten koszmar się skończy, wrócisz i wszystko będzie takie samo” - i Faith musiała wbić sobie paznokcie w dłonie, by powstrzymać się od płaczu.

Oliver prawie nie poznał swojej prababci. Wydawała się zaszuszone, mniejsza i bledsza niż dawniej, i dziwnie przezroczyście niczym poczwarka. Oddech rzeźił jej w gardle.

Usłyszał cichy głos ojca.

- W porządku, Oliverze. Weź ją tylko za rękę i powiedz, że tu jesteś.

Podszedł do łóżka, ale nie ujął palców spoczywających na kołdrze. Wiedział, że gdyby to zrobił, ta dłoń rozsypałaby się w proch niczym zaszuszone liść.

- Dzień dobry, Nano - powiedział. Powoli otworzyła oczy.

- Oliver... Mój chłopczyk...

- Muszę wracać dzisiaj do szkoły - mówił. - Jestem w trzeciej „a” i chyba zostanę kapitanem drużyny.

Nie spodziewał się, że tak będzie; to Lessing zostanie kapitanem, zawsze nim był, ale ojciec wytłumaczył Oliverowi, że prababcia jest umierająca, więc pomyślał, iż to kłamstwo może sprawić jej przyjemność.

- Jesteś zdolnym chłopcem, Oliverze - wyszeptała. I wtedy nadszedł ten moment, którego bał się najbardziej. - Daj mi buziaka - poprosiła.

Obróciła ku niemu głowę. Pochylił się i poczuł znany zapach pudru i wody lawendowej, ale dotykając ściągniętymi wargami jej policzka, uchwycił ukrytą mdlącą woń. Poczul zapach śmierci i odskoczył w tył. Prababcia znów bezwiednie zapadła w sen, więc tylko rodzice widzieli, jak chłopiec rzucił się ku drzwiom sypialni.

Potem usłyszał za sobą ich kroki i głos mamy.

- Mówiłam ci, że to będzie dla niego zbyt silne... I głos ojca.

- ...ale to lepsze niż późniejszy niespodziewany telefon do szkoły.

- Tylko dlatego, że ty...

Oliver odwrócił się do nich. Nie znosił, gdy się kłócili.

- Było mi za gorąco.

- Tam jest raczej duszno. - Matka potargała mu włosy. - Prababcia nie czuje się zbyt dobrze, Oliverze, więc przez cały dzień pali się ogień w kominku.

- Widzisz, jej serce nie pracuje już jak należy - dodał ojciec.

Oliver, przygotowując się na nieuniknione naukowe wyjaśnienie, zrobił minę, która jego zdaniem świadczyła o uważnym słuchaniu (przydawało się to na niektórych naprawdę nudnych lekcjach w szkole), i gdy ojciec mówił coś o zastawkach i obiegu krwi, chłopiec wyobrażał sobie, że lata samolotem wysoko nad doliną Dove, spoglądając na wzgórza i wijącą się rzekę.

Kiedy Guy skończył, Oliver zwrócił się do niego grzecznie:

- Czy mogę teraz wyjść i pobawić się na zewnątrz?

- Oczywiście, że możesz. Mama i ja posiedzimy z prababcią.

- Tylko nie idź nad rzekę, kochanie. I uważaj, żeby nie zabrudzić mundurka.

Gdy poszli do sypialni, Oliver wcale nie wyszedł do ogrodu, ale przechadzał się po domu prababci, zaglądając do kredensów i szuflad. Mieszkał w tym domu, dopóki nie skończył

pięciu lat, i dziś był on dla Olivera osobliwym połączeniem obcości i bliskości. Pokoje, choć skądinąd takie, jak je zapamiętał, okazały się mniejsze; a ogród, który niegdyś wydawał się rozległy, teraz jakby się skurczył. Nawet sama Thorpe Cloud nie była już górą z jego wspomnień.

Trudno mu było uwierzyć, że owa charcząca, pomarszczona staruszka, którą przed chwilą widział, to naprawdę jego prababcia. Przez chwilę wyobrażał sobie, że Nanę, prawdziwą prababcie, zabrano i ukryto w jakimś innym domu (więc ktoś mógł ukraść jej pieniądze), a owa pomarszczona kobieta-po-czwarka tylko ją zastępowała. Jednak ta niesamowita wizja niemal natychmiast się rozwiązała; Oliver był już za duży, żeby wierzyć w takie rzeczy.

Wszedł do salonu - dużego, jasnego pokoju, którego okna wychodziły na ogród. Będąc małym chłopcem, lubił się bawić przy biurku prababci. Ułożone tu były wszystkie potrzebne jej drobiazgi: wieczne pióro, bibularz, buteleczka atramentu, papeteria. I jej przycisk do papieru z kobaltowego szkła. Oliver dotknął tego przycisku, zastanawiając się, jak to się dzieje, że kobalt pozostał chłodny, choć w całym domu jest tak gorąco. Następnie otworzył szuflady biurka.

Albumy fotograficzne okazały się nudne, zawierały bowiem głównie zdjęcia małych dziewczynek z kokardami we włosach, a kiedy ujrzał fotografie, na których był on sam (okropnie gruby i ubrany w śpioszki), zamknął je zdecydowanym gestem. Spoglądając na liczne stosy listów przewiązanych wstążkami, rozpoznał charakter pisma swojej matki. Dwa razy w tygodniu pisała do niego długie listy do szkoły, chociaż te od Nany zawsze były zabawniejsze. Pomyślał, że nie będzie już dostawał listów od Nany, i znów poczuł znajome pieczenie w oczach. Przycisnął do nich pięści, by powstrzymać łzy. Tylko mazgaje płaczą; Patterson był mazgajem. Aby przestać o tym myśleć, Oliver zaczął czytać listy; nudne listy o nudnych rzeczach takich jak tapety, dywany i przyjęcia dla dorosłych.

Sięgnął po drugi plik. Atrament tak wyblakł, że pierwsza strona była prawie nieczytelna, ale treść okazała się bardziej interesująca; listy mówiły o bombach i gaszeniu pożarów. Już miał odłożyć wszystko do szuflady, gdy nagle rzuciło mu się w oczy jedno zdanie: „Zdecydowałam się wziąć Guya z powrotem”. Wydawało mu się bardzo dziwne, że jego matka to napi-

sala. Jakby Guy (jego ojciec, oczywiście) był wadliwym towarem, który próbowała wymienić w sklepie. Czytał dalej: „Ten okropny romans trwał tylko kilka tygodni. Myślę, że (tu następowało parę słów bardzo przypominających francuski) i najlepiej puścić wszystko w niepamięć. Jestem pewna, że przyznasz mi rację”. Oliver doszedł do wniosku, iż miało to coś wspólnego z przyjazdem ojca po zakończeniu wojny. On sam miał wtedy sześć lat, wrócił ze szkoły, do której wtedy chodził, a w salonie siedział jakiś mężczyzna i mama powiedziała: „Tatuś wrócił, Oliverze”. Ten mężczyzna uściskał go i coś mówił, ale Oliver chciał pójść do swojego pokoju i bawić się kolejką.

Usłyszał czyjeś kroki. Schował listy z powrotem do biurka, sięgnął po granatowy przycisk do papieru, włożył go do kieszeni i wybiegł z pokoju.

Rodzice rozmawiali cicho.

- Myślę, że najwyżej tydzień, nie dłużej... wyzwolenie dla jej biednej duszy...

Oliver odetchnął z ulgą - nie kłócili się na szczęście. Rodzice Pattersona się rozwiedli, a gdy jednemu z chłopców wpadła w rękę gazeta z artykułem na ten temat, wszyscy wrzeszczeli o Pattersonie, a ten mazgaj płakał...

Po wypiciu popołudniowej herbaty pojechali do szkoły Olivera. Tam na pożegnanie pocałował matkę, ale nie pozwolił się uścisnąć ojcu, a zamiast tego wyciągnął ku niemu rękę. Miał w pamięci ów zapach śmierci i pragnął ukarać ojca za to, że kazał mu tego doświadczyć.

Następnego dnia Guy został wezwany na wizytę lekarską do domu pani Myers przy Curzon Street. Służący w liberii (że też tacy istnieli w dzisiejszych czasach! Eleanor zabiegała o znalezienie choćby dobrej sprzątaczkii) wprowadził go do pokoju na piętrze i zaanonsował pani Myers i jej córce, Susan. Panna Myers nie obdarzyła go ani spojrzeniem, ani uśmiechem na przywitanie i przez cały czas posepnie przyglądała się własnym paznokciom; pani Myers patrzyła na niego tak, jakby ujrzała karalucha wędrującego po dywanie.

- Gdzie jest doktor Stephens? Zawsze odwiedza nas doktor Stephens.

- Doktor Stephens nie czuje się dobrze, pani Myers - odrzekł Guy, który w końcu przekonał Selwyna, by ten poddał



się badaniom kardiologicznym. - Pozwoli pani, że go zastąpię? - Spróbował się uśmiechnąć.

- Przypuszczam, że będzie pan musiał - powiedziała lodowatym tonem pani Myers.

- A zatem; co pani dolega?

- Moja córka źle się czuje.

Susan zaszurała nogami i teraz przyglądała się własnym stopom przez zasłone prostych, ciemnych włosów.

Badając dziewczynę w sąsiednim pokoju, Guy szybko znalazł przyczynę jej złego samopoczucia. Susan miała siedemnaście lat i była w trzecim miesiącu ciąży. Była też niezamężna. Delikatnie wyjaśnił pacjentce jej stan, ale odpowiedziała mu z wyniosłą miną:

- Wiem. Cóż za nuda, prawda?

- Czy chciałabyś, żebym porozmawiał z twoją matką? Spojrzała na niego zdumiona.

- Mama wie, oczywiście. Właśnie dlatego po pana posłała.

- A zatem chcą panie, bym poprowadził tę ciążę? Wytrzeszczone oczy nastolatki wypełniły się szyderstwem.

- Niech pan nie będzie śmieszny. Mama chce, by pan ją usunął. Guy z trudem ukrył szok i odwróciwszy się do dziewczyny

plecami, wkładał do torby swoje lekarskie instrumenty.

- Wyjaśnię więc twojej mamie, że nie robię takich rzeczy.

- Nie pan osobiście. - W jej głosie słychać było pogardę. - Chcę przez to powiedzieć... że mógłby pan nam polecić jakąś klinikę, prawda? Lorna Cummings opowiadała, że doktor Stephens załatwiał dla niej takie rzeczy.

- Powiedziałem ci już, że ja takich rzeczy nie robię - odparł zimno i odwróciwszy się, spojrzał na dziewczynę. - Nie możesz poślubić ojca tego dziecka?

Na nocnym stoliku stało pudełko czekoladek. Susan zaczęła łakomie wkładać je sobie do ust.

- Niech pan nie będzie śmieszny - powtórzyła. - On jest zwykłym robotnikiem; zajmuje się boiskiem w naszej szkole.

Guy wyszedł z pokoju.

- Pani córka, jest w trzecim miesiącu ciąży, pani Myers - poinformował matkę Susan. - Dużo wypoczynku i dobra dieta sprawią, że pozostanie idealnie zdrowa. Jeśli życzy pani sobie, bym polecił paniom dobrego położnika, chętnie to zrobię - dodał i wyszedł z pokoju, zanim zdołała odpowiedzieć.

Kilka ostatnich wizyt odbył niemal automatycznie. Wezwania miały na ogół pospolite przyczyny: ból gardła, wrastający paznokieć, zwichnięta kostka. Skończywszy je, Guy nie od razu wrócił do swego gabinetu. Przygnębienie, które poczuł poprzedniego popołudnia po rozstaniu z Oliverem w szkole, teraz się nasiliło. Wszedł do baru i zamówił drinka. Już pierwsza szklaneczka szkockiej przekonała go, żeby nie iść do szpitala, w którym unieruchomiony był Selwyn i nie żądać natychmiast wyjaśnień. Druga pozwoliła mu przewidzieć odpowiedź teścia, jeśli by to zrobił: „Gdybym ja nie polecił jej przyzwoitego miejsca, dokąd mogłaby pójść z tym problemem, mogłaby skończyć w rękach jakiegoś niefachowego konowala skreślonego z listy lekarzy dziesięć lat temu”. Guy nawet nie umiał orzec, czy tamten miałby rację, czy nie. W czasie swojej praktyki przy Malt Street zbyt często widywał konsekwencje źle wykonanego zabiegu przerwania ciąży, by czuć jakikolwiek moralny triumf w związku z tą odmową. Wiedział jedynie, że założenie pań Myers, iż się zgodzi, pozostawiło go z uczuciem niesmaku.

Whisky nie zdołała złagodzić jego smutku. Wracając do gabinetu przy Cheviot Street, przypomniał sobie rozstanie z Oliverem poprzedniego dnia. Chłopiec wzbraniał się przed uściskiem ojca i pierwszy raz wyciągnął doń rękę. Guy przypomniał sobie, jak wymienili uścisk dłoni i powiedział: „Trzymaj się, mój drogi”. Karykatura angielskiego wiktoriańskiego ojca. Obecne przygnębienie spowodowane myślami o synu wydawało się Guyowi gorsze niż wszystkie inne smutki, jakich doświadczył wcześniej. Wiedział, że wina leżała po jego stronie i że to jego nieobecność u boku chłopca - najpierw spowodowana przez Eleanor, ale potem znacznie przedłużona głupim romansem Guya z Nicole Mulgrave - była podstawową przyczyną ambiwalentnej postawy Olivera. Wracając na Holland Square w roku 1946 ze służby za granicą, Guy czuł się jak intruz.

Dotarłszy na Cheviot Street, Guy skierował się do gabinetu, zamierzając zabrać trochę niedokończonych papierkowych roboty do domu, ale gdy tam wszedł, jego rejestratorka, Sylvia, szepnęła cicho, że ktoś na niego czeka.

- Nazywa się Mulgrave... Nie ma go w naszej kartotece, a wygląda jak zbój... Powiedziałam, że nie przyjmuje pan wieczorem... Czy mam wezwać policję?

Nazywa się Mulgrave... - serce Guya zabiło gwałtownie. Uświadomił sobie, że kobieta wpatruje się w niego, czekając na odpowiedź.

- Czy mam wezwać policję, doktorze Neville? - powtórzyła. Zamrugała oczami i potrząsnęła głową.

- Nie, Sylvio, wszystko w porządku. Dam sobie radę - odpowiedział spokojnie i wszedł do poczekalni.

Na widok sylwetki rysującej się na tle okna, przygnębienie Guya zelżało trochę.

- Witaj, Jake - powiedział.

- Miałem drobny wypadek - wyjaśnił niespodziewany pacjent, siadając na krześle w gabinecie i przyciskając do czoła brudny kawałek materiału, podczas gdy Guy przygotowywał bandażę i środek dezynfekujący. Materiał był purpurowy od krwi.

- Poszedłem do szpitala - opowiadał gość - ale tam, na oddziale dla ofiar nieszczęśliwych wypadków, była setka innych nieszczęśników... ktoś powiedział, że jakiś autobus się rozbił. Nie mogłem czekać i przypomniałem sobie pewną dziewczynę, która kształciła się na pielęgniarkę, więc pomyślałem, że wpadnę do niej i może mnie opatrzy, ale nie było jej w domu, a ja krwawiłem jak zarzynane prosię. I wtedy pomyślałem: Guy... co z poczciwym, starym Guyem? - Jake uśmiechnął się, zadowolony z siebie. - Wiem, że minęło dużo czasu...

- Cholernie dużo czasu.

- Właśnie. Poszukałem cię więc w książce telefonicznej -mówił dalej, rozglądając się wokół - No, no... bardzo tu przyjemnie, stary. Biurko chippendale i... niech się przyjrzę... sztychy Stubbsa na ścianach.

- Reprodukcje - odrzekł krótko Guy.

Nie przyzwyczał się do świeżego blichtru nowego gabinetu. On i Selwyn, namawiani przez Eleanor, kupili lokal przy Cheviot Street przed trzema laty. Będzie bardziej odpowiedni, przekonywała. Była już zmęczona pacjentami przwijającymi się przez dom przy Holland Square.

- Naprawdę? - Tamten próbował wstać. Guy posadził go z powrotem na krześle.

- Naprawdę. Siedź spokojnie, Jake, dobrze?

- Wspiąłeś się wyżej, Guy. Podczas gdy ja... Ja koncentrowałem wszystkie swoje wysiłki na drodze w dół.

Guy odwinął przesiąknięty krwią materiał. Na czole Ja-ke'a widniało głębokie cięcie.

- I udało ci się?

- Całkiem nieźle - odrzekł z namysłem. - Tak, całkiem nieźle.

- Myślę, że trzeba tu założyć kilka szwów... Mogę ci dać jakiś środek przeciwbólowy, jeśli chcesz. Chociaż chyba musiałeś już trochę wypić.

- Trochę.

- Co się stało, Jake?

- Pewien drań w pubie był mi winien dwadzieścia funtów. Wygrana w karty, rozumiesz... Nie zwrócił ich, powiedział, że oszukiwałem. - Ciężko skrzywdzony Jake spojrzął na przyjaciela. - Ja nie oszukuję, prawda? Ja nie oszukuję...

- Oczywiście, że nie - odrzekł uspokajająco Guy.

- Tak czy inaczej, wdaliśmy się w bójkę, ale chyba oberwałem mocniej, niż wcześniej sądziłem, okazał się lepszy ode mnie. - Po tych słowach Jake spojrzął na niego. - Jestem w żałobie.

Guy przerwał wybieranie igieł.

- W żałobie? Po kim?

- Po utraconej wolności. - Skrzywił się podczas zakładania pierwszego szwu.

- Postanowiłem znaleźć pracę.

Guy skupił się na zszyciu rany. Jake zrobił się bardzo blady.

- Jeśli poczujesz, że za chwilę zemdlejesz, to mi powiedz, a przestanę.

- Nie... zamierzam... zemdleć... - Przyjaciel zacisnął powieki i zrobił głęboki oddech. - Faith mi kazała.

Dłoń Guya była całkowicie spokojna, gdy zakładał ostatni szew.

- Co Faith ci kazała?

- Znaleźć pracę. Odpowiednią pracę. Pytałem ją, co robić; odpowiedziała, żebym znalazł pracę. Mówiła też coś jeszcze, ale nie pamiętam. Widzisz, mieszkałem we Francji, lecz tam mi nie wyszło.

- Faith mieszka we Francji? - Głos Guya zabrzmiał ostro.

- Oczywiście, że nie, ona mieszka w Londynie.

Guy zamarł z bandażem w dłoni. Jake spoglądał na niego niecierpliwie.

- W Soho, Guy - dodał. - Mieszka w Soho.

Soho... Próbował w pamięci obliczyć odległość między Cheviot Street a Soho. Z pewnością około półtora kilometra, może dwa... Po chwili usłyszał własny głos.

- Jak długo tam mieszka?
- Kilka miesięcy. Od czerwca.

Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu Guy uważał, że powinien o tym wiedzieć. Ilekroć myślał o Faith - a był przekonany, że udało mu się dość skutecznie wymazać jej obraz z pamięci - oczami wyobraźni zawsze widział ją gdzieś daleko. Na jakichś ciepłych, słonecznych, białych plażach i wśród ciemnych sosen. W krajobrazie z przeszłości.

- Faith ma sklep - wyjaśnił Jake. - Nazwała go „Błękitem Nieba”.

Owa nazwa wydała się Guyowi znajoma, ale nie mógł skojarzyć jej z żadnym miejscem.

- Jaki to sklep?

- Z damskimi fatalazkami. Faith robi dość niezwykle stroje z resztek starych ubrań i kawałków tkanin. Współpracuje z pewną dziwną kobietą, która nazywa się Constance Fitzgerald - mówił Jake, którego twarz nabrała teraz trochę kolorów. - Oczywiście, stary, to było cholerne zaskoczenie, gdy uciekłeś z Nicole, a nie z Faith.

- Dawne dzieje - stwierdził krótko Guy. - I okropna pomyłka.

- No proszę! - roześmiał się tamten. - Nicole była od tego czasu dwukrotnie zamężna; najpierw wyszła za nieznanego poetę, który zresztą sam określał się tym mianem i potem zginął w katastrofie lotniczej; a później za jakiegoś jankesa. Rozeszli się wkrótce. Nie wiem, czy teraz jest mężatką.

- A Ralph? - zapytał Guy. Przez ostatnie dziesięć lat, zazwyczaj wtedy, gdy najmniej się tego spodziewał, łapał się na tym, że brakuje mu Ralpa. - Jak się miewa?

Jake wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

Guy poczuł się zakłopotany.

- Znowu podróżuje...?

- Powiedziałem ci: nie wiem.

I wcale cię to nie obchodzi, dodał w myślach Neville. Nieustępliwa postawa Jake'a i chłód w jego głosie sugerowały zarówno gniew, jak i zapamiętanie się w urazie. Guy, starając się opanować ciekawość, zadał pytanie, na które najbardziej chciał usłyszeć odpowiedź.

- A Faith? Jest mężatką?

- Faith? - Tamten ponownie się roześmiał. - Oczywiście, że nie.

Zapadło długie milczenie. Guy obejrzał zmalretowaną twarz Jake'a.

- Obawiam się, że będziesz miał wspaniałego sińca pod okiem.

- Czyż nie zaleca się przykładania na takie miejsce dobrego steku? - skrzywił się dawny przyjaciel. - Chociaż w moim wypadku mógłbym sobie pozwolić jedynie na mielonkę.

- Czy masz dokąd pójść, Jake? - zapytał uprzejmie Guy. - Obawiam się, że nie mogę zaprosić cię do siebie - dodał onieśmielony całkowitym embargiem dotyczącym wszystkich członków rodziny Mulgrave'ów, jakie obowiązywało w jego domu.

Promieniejące sardoniczną inteligencją zdrowe oko tamtego napotkało jego spojrzenie.

- To wszystko... - powiedział, szerokim gestem ręki wskazując biurko, grube dywany, piękne meble. - Nigdy nie sądziłem, że dojdiesz to tego wszystkiego. Cholerna forsa, co, Guy?

- Coś w tym rodzaju - mruknął i zaczął sprzątać.

- Faith pozwoli mi się przespać na podłodze. Dobra, stara Faith. - Jake oparł głowę na rękach. - Boże, jak mi się chce pić!

Guy podał mu szklanekę wody.

- Drań - spokojnie stwierdził przyjaciel. - Założę się, że masz tu gdzieś ukrytą butelkę szkockiej.

- Mam, ale ty wyglądasz tak, jakby następny kieliszek miał zwalić cię z nóg - odrzekł Guy i opierając się o krawędź biurka, zapytał: - O jakiej pracy myślisz?

Tamten wydawał się zrozpaczony.

- Pojęcia nie mam. Próbowałem wszystkiego. - Wstał i podszedł do okna. - Rzeźnik, piekarz, elektryk. Robiłem cholernie dużo rzeczy.

- Nauczyciel...? - podpowiedział Guy.

- Och, dajże spokój - parsknął Jake. - Prawdopodobnie jestem niemal wzorcowym przykładem tego, jak nie należy być wychowywanym.

Ostatnie dziesięć lat zmieniło go bardzo, pomyślał Guy. Za beztróskim wdziękiem kryły się gorycz i cynizm, których nie było wcześniej.

- Sądziłem tylko - tłumaczył - że skoro mówisz po francusku... to mógłbyś się okazać wcale nie gorszym nauczycielem tego języka niż ci, których ja miałem niegdyś w szkole.

- To bardzo uprzejme z twojej strony, Guy.

- Jakiś porządniejszy garnitur... wizyta u fryzjera... nie wymagałyby to poważniejszych zabiegów.

- Pomyślę o tym - powiedział Jake, zmierzając do drzwi. -Cholernie okropny pomysł, ale pomyślę... - Przerwał i przechodząc przez próg, spojrzął na Guya. - Pójdiesz zobaczyć się z Faith?

Ten potrząsnął przecząco głową.

- Nie sądzę.

A jednak, oczywiście, poszedł. Wracając do domu po wizycie u pacjenta w Knightsbridge, zboczył z drogi, by rozprostować kości. Powiedział sobie, że zamierza tylko sprawdzić, skorygować błędne informacje...

Znalazł ów sklep przy wąskiej uliczce, wciąż naznaczonej śladami wojny. Jakiś marnie wyglądający klub znajdował się po jednej stronie, po drugiej zaś pozostała łąka otwartej przestrzeni, ozdobiona zieliskiem wyrastającym zwykle na pogorzelskich oraz resztkami ścian stojących tu niegdyś domów. Strugi padającego deszczu wyłobiły stalowoszare dziury w tej opuszczonej ziemi. Jednak nazwa nad drzwiami sklepu przyciągnęła wzrok Guya plamą koloru. Dwa słowa - „Błękit Nieba” - w jasnym kobalcie i złocie jeszcze raz obudziły jego wspomnienia. Poczł drgnienie serca... Przeszedłszy przez ulicę przyglądał się sukniom na wystawie. Miały proste fasony, bez zbędnych ozdób, tkaniny zaś, lekkie i zwiewne, utrzymane były w czystych odcieniach różu, cytryny i mięty. Owe pastelowe kolory bardzo różniły się od granatów i wiśniowych czerwieni, które upodobała sobie Eleanor.

Kryjąc się w barze naprzeciwko, Guy zamówił piwo, po czym usiadł i obserwował. Do sklepu weszło kilka osób, a jedna lub dwie wyszły, niosąc kartonowe pudła z sukniami. Nie

zobaczył Faith.

Wyjął z kieszeni monetę. Orzeł - pójdzie do domu i już nigdy nie będzie tędy przechodzić, reszka - wejdzie do sklepu. Rzucił monetę. Orzeł. Tak czy inaczej - wszedł do sklepu.

Wnętrze „Błękitu Nieba” przypominało środek wypłukanej przez morze muszli. Ściany miały barwę kości słoniowej, lazuru i macicy perłowej. Również tutaj rzucała się w oczy owa prostota bez zbędnych upiększeń, którą Guy dostrzegł w sukniach na wystawie. Wnętrze było skromne, naturalne i tchnęło świeżym powietrzem. Pomyślał, że gdyby zamknął oczy i napełnił nim płuca, poczułby daleki zapach morza.

W sklepie panował ruch. Klientki z prawdziwym przejęciem oglądały suknie na wieszakach, a z położonej przy wejściu pracowni krawieckiej dochodził czyjś donośny głos.

- Tę z obszernymi, marszczonymi rękawami, kochanie. Nosiałam ją na premierze...

Jednak wciąż nie widział Faith. Wcześniej spodziewał się, że poczuje ulgę, gdyby jej nie zastał; ale teraz zamiast spokoju owładnęło nim druzgocące rozczarowanie. Dźwięk otwieranych drzwi sprawił, że serce Guya zaczęło walić jak młot, ale było to tylko chwilowe napięcie; podeszła bowiem do niego jakaś starsza kobieta o potężnej sylwetce, nosząca jedną z owych kremowych sukien. Długie, siwe włosy wymykały jej się z węzła splecionego z tyłu głowy.

- Czy mogę panu w czymś pomóc?

Chwycił pierwszą rzecz, która wpadła mu w ręce: szal będący zawiałą kompozycją lśniących skrawków tkanin.

- Wezmę to.

Przyglądał się, jak sprzedawczyni składa ów szal, pakuje go i dołącza bilecik z nazwą sklepu.

- Dwa funty, siedem szylingów i sześć pensów, proszę pana. Zapłacił i szybko wyszedł ze sklepu. Na zewnątrz deszcz padał coraz mocniej, a wzdłuż rynsztoka płynął żółty strumień wody.

- Głupiec - mruknął głośno do siebie.

Jakiś przechodzień odwrócił się i spojrzał na niego.

- Sam jesteś głupiec!

Guy wrzucił szal do najbliższego kosza na śmieci. Gdy dotarł do rogu ulicy, usłyszał swoje imię i stanął.

- Guy! - wołała. - Guy! Odwrócił się i ujrzał Faith.

Była w przymierzalni z klientką, wyjaśniła, gdy usłyszała jego głos. Nie powiedziała jednak Guyowi, że ugięły się pod nią kolana, a krew zatętniła jej w żyłach.



- Poznałam twój głos. Głosy się nie zmieniają, prawda? Patrzył na nią zdumiony.

- Prawie nic nie mówiłem.

Od razu poznała echo jego kroków. Stała teraz obok niego na deszczu, z nadzieją, że Guy nie zniknie, że się nie rozplynie, że nie skryje się ponownie we wspomnieniach i śnie.

- Przemokniesz. - Rozłożył nad nią swój parasol.

- Muszę wracać do sklepu. - Nagle zapragnęła wycofać się do bezpiecznego miejsca, jakie sobie stworzyła. - Zostawiłam jedną z najlepszych klientek w bieliźnie, z moim centymetrem krawieckim w dłoni.

- O której zamykasz? Spojrzała na zegarek.

- Za dwadzieścia minut.

- Zaczekam w pubie.

Wróciła do sklepu, czując lekki zawrót głowy.

- Ma w oczach pragnienie, a na sobie garnitur z eleganckiego sklepu. Bądź ostrożna, kochanie - szepnęła stojąca przy kasie Con, gdy dziewczyna popędziła do przymierzalni.

Surowo patrząc na siebie w lustrze, Faith pomyślała: Jesteś śmieszna. Masz trzydzieści lat, powinnaś była pozwolić mu odejść.

Po zamknięciu pracowni znalazła Guya siedzącego przy stoliku w pubie. Przed nim stały dwa nietknięte drinki.

- To był przypadek? Szczęśliwy traf?

- Jake odnalazł mnie przed kilkoma tygodniami. Powiedział mi, że masz tu sklep.

Usiadła naprzeciwko niego i uniosła szklaneczkę.

- Za nasze olśniewające kariery! Twoja jest wyraźnie olśniewająca, Guy. Nosisz wspaniałą garnitur!

Stuknęli się szklaneczkami.

- Mam teraz prywatną praktykę, więc taki ubiór jest niezbędny - wyjaśnił i spoglądając na nią, dodał: - Jestem stary, zamożny i... inny. Ale ty... ty wyglądasz wspaniale, Faith. Tak elegancko... - Wydawał się zdumiony.

- Naprawdę tak myślisz? - Wszystko będzie dobrze, powtarzała sobie w myślach. Oto po dziesięciu latach rozłąki Guy stał się jedynie reminiscencją z innego życia, starym przyjacielem, którego mogła darzyć odległym, wyblakłym uczuciem. - Próbuję być *soignee*. Nie sądzisz, że osoba, która ma sklep z konfekcją, powinna być *soignee*?

- Opowiedz mi o swoim sklepie. Opowiedz o „Błękanie Nieba”. Jake mówił, że prowadzisz go dopiero kilka miesięcy.

- Wciąż mamy straty, co jest dość niepokojące. Przez kilka lat zajmowałyśmy się prywatnym krawiectwem. Con w młodości pracowała w domu mody „Lucille”, a ja chodziłam na kursy wieczorowe. Zajmuję się księgowością i robię większość zakupów. Mamy już kilka wiernych klientek, wywodzą się głównie z kręgów artystycznych: malarki, pisarki, tancerki. Sporo kobiet uważa, że nasze stroje są zaskakujące, ale wielu też się podobają. Mam nadzieję, że znajdzie się dość chętnych, które je polubią. - Opowiadając o sklepie, Faith zobaczyła kilka drobnych zmarszczek w kącikach oczu mężczyzny i srebro, które przyprószyło mu włosy w okolicach skroni. Mówił prawdę, nie jest już tym samym Guyem, pomyślała i poczuła ulgę. -Po wojnie przerabiałymy stare sukienki. Nie można było dostać nowych materiałów, a ja, jak wiesz, zawsze lubiłam myszkować po wyprzedazach, więc zaczęłam robić kombinacje z różnorodnych rzeczy, które już się nie nadawały do noszenia, i szyła z nich bluzki oraz szale - spojrzała na niego - takie jak ten, który wyrzuciłeś do kosza na śmieci.

- Ty go zrobiłaś? Faith skinęła głową.

- Zatem zaraz go odzyskam!

Usłyszała odgłos zamykanych podwójnych drzwi pubu, gdy Guy wybiegł w deszcz. Objęła się ramionami i patrzyła na niego przez okno. Deszcz spływający po szybie zamazywał jego widok, zniekształcając ciemną sylwetkę.

Łokciem otworzył sobie drzwi, triumfalnie ściskając w dłoni sponiewierane opakowanie.

- Mam go!

- Guy... - Deszcz pozlepił mu włosy i zamoczył elegancki szary płaszcz. - Jesteś całkiem przemoknięty... twój płaszcz...

Po chwili usłyszała, jak zapytał:

- Czy Jake i Ralph się poróżnili? Jake mówił coś...

- Jake nie rozmawia z tatą od dziesięciu lat, Guy. Zawsze oskarżał go o śmierć Poppy. Ojciec miał jakiś romans, mama się o tym dowiedziała, pokłócili się kwysła na spacer, żeby się uspokoić. Właśnie wtedy zastrzelił ją pilot niemieckiego samolotu. Tak więc Jake obwinia o to Ralpa. Papa zaś, oczywiście, wini siebie.

- Wielki Boże, nie wiedziałem...  
- Nie wiedziałeś... - Spojrzała na niego. - Byłeś zajęty czymś innym. Zaczzerwienił się gwałtownie. Odstawiła pustą szklaneczkę.  
- Przepraszam. Powinnam już iść.  
- Nie odchodź, proszę. Chcę ci wyjaśnić...  
- Zakochałeś się w Nicole, Guy. - A jednak stary ból pozostał. Już sam ten fakt ją rozniewał. Faith zmusiła się, by mówić spokojnie: - Stało się, cóż, dawne dzieje. Teraz nie ma to żadnego znaczenia.

Odwróciła się, by sięgnąć po torebkę, jednak dłoń Guya pochwyciła jej rękę.

...  
- Nicole wzbudziła we mnie namiętność, ale nigdy jej nie kochałem. Wydawało mi się, że ją kocham, lecz to nie była miłość.

- Miłość... namiętność... co to za różnica?

- Myślałem, że ta pierwsza trwa...

Kiedy jej dotknął, Faith nie mogła się poruszyć; zamarła w napięciu bliskim przerażenia.

- Byłem opętany Nicole...

- Nie. Nie, Guy - powiedziała zbyt głośno - nie chcę wiedzieć...

- Proszę. Proszę o zbyt wiele, ale... Błagam, Faith. Odsunęła się, lecz nie znalazła w sobie wystarczającej siły

woli, by wyjść z tego pubu, i siedziała, patrząc przez okno na deszcz, gdy Guy mówił.

- Po twoim wyjeździe z Londynu najpierw poczułem gorzki gniew. To wszystko wydawało się... - Westchnął. - Jednego dnia powiedziałaś mi, że mnie kochasz, a następnego dnia cię nie było. I ani słowa wyjaśnienia. Sądziłem... Przypuszczałem, że zmieniłaś zdanie. Lub też, że może próbowałaś mnie tylko uspokoić; że moja deklaracja okazała się niemiła albo nawet... krępująca dla ciebie. - Wypił ostatnią kroplę whisky i opowiadał dalej: - Po twoim odejściu poczułem się taki pusty. Wszystko wokół wydawało się czerze i powierzchowne. I wtedy spotkałem w Londynie Nicole. Nie widziałem jej od lat. Nie potrafię wyjaśnić, co się stało, gdyż nigdy nie rozumiałem w pełni samego siebie. - Zmarszczył brwi i zrobił głęboki oddech. - Podczas studiów zaciągnąłem się kiedyś przez pomyłkę eterem. Wszyst-

ko wydało mi się wtedy inne. Świat jak gdyby zmienił swoje tory. Spotkanie z Nicole było właśnie czymś takim. - Głos mu stwardniał. - Nie próbuję się usprawiedliwiać, nie zamierzam też bagatelizować tego, co zrobiłem. Ale namiętność to za mało. Właśnie jej brakowało mi przez wszystkie lata małżeństwa z Eleanor, ale sama namiętność nie wystarczy. My... Nicole i ja... żadne z nas nie wiedziało, jak przeżyć resztę życia. Poza łóżkiem byliśmy dla siebie obcymi ludźmi; ludźmi, którzy przypadkiem zauważyli, iż mieszkają w tym samym pokoju. Nie wiedzieliśmy, co jeść, jak żyć, jak spędzać razem czas. Nie potrafilibyśmy przetrwać wspólnie nawet najmniejszej trudności. Wiedziałem o tym po kilku pierwszych tygodniach. Tak więc kiedy wydarzyła się ta tragedia...

- Poppy - wyszeptała.

- Tak, Poppy... - Przerwał, ale tylko na chwilę. - Gdybyśmy kochali się naprawdę, taka tragedia prawdopodobnie połączyłaby nas mocniej. Ale tak się nie stało. To nas rozdzieliło. Oczywiście rozstalibyśmy się tak czy inaczej, to tylko przyspieszyło koniec, ale... znałem niebo, a potem poznałem piekło. Nie mogłem dać Nicole żadnego ukojenia, żadnej pociechy. - Wydał z siebie jakiś szczególny śmiech. - Dziwne, nieprawdaż, że opuściła męża i dziecko, nie oglądając się wstecz, a śmierć matki niemal ją zniszczyła. Czasami obawiałem się o jej zmysły. Popadła w takie przygnębienie...

Sama Faith prawie nie pamiętała miesięcy po śmierci Poppy. Odznaczały się jakąś ponurą jednostajnością; brakowało zdarzeń i emocji, które czynią przeszłość godną zapamiętania.

- I wtedy nagle - opowiadał Guy - Nicole zmieniła się jeszcze raz. Zaczęła bywać w nocnych klubach, teatrach i tych kilku zaprzyjaźnionych domach, w których wciąż mile nas przyjmowano. Beze mnie. Pewnego dnia powiedziała mi, że wszystko skończone. Spodziewałem się, że to nastąpi, i nawet byłem zadowolony. Zaczęła mnie oburzać jej umiejętność pozbierania się psychicznego i zdolność przetrwania. Ja już wiedziałem, że moje własne życie legło w gruzach. Straciłem rodzinę i dom, zaprzepaściłem karierę zawodową. I straciłem ciebie. A ona... cierpiała okropnie, ale w końcu to wszystko minęło, pozostawiając ją nietkniętą. Gdyby została, wkrótce bym ją znienawidził.

Faith zmusiła się, by na niego spojrzeć.

- A zatem wróciłeś do Eleanor?

- Wróciłem do Olivera.

Pomyślała o Elizabeth i tej ogromnej, bolesnej miłości, jaką zawsze czuła do swojej małej siostrzenicy.

- Jak się miewa twój syn?

- Bardzo dobrze - odrzekł z uśmiechem Guy. - W szkole idzie mu tak dobrze, że postanowiono przesunąć go o jedną klasę wyżej.

- To cudownie, Guy - powiedziała, spuszczać wzrok na swoje ręce. - A Eleanor? Ma wszystko, czego chce, więc przypuszczam, że jest szczęśliwa.

- Nie - Guy zapalił papierosa i pokręcił przecząco głową. - Nie, nie sądzę, iż jest szczęśliwa. Ona czuła się szczęśliwa podczas wojny, pracując w Kobiecej Służbie Pomocniczej. Później nie zdołała znaleźć żadnego substytutu tamtych zajęć. Po wojnie starała się o różne posady, lecz albo miała już za dużo lat, albo nie chciano zatrudniać kobiety, albo też praca okazywała się zbyt nudna.

Faith zawsze wyobrażała sobie Eleanor Neville taką, jaką widziała ją ostatni raz; z błyskiem triumfu w ciemnych oczach. Trudno było uwierzyć, że tamta kobieta również cierpiała.

- Wszystkie siły poświęca teraz rodzinie - wyjaśnił sucho Guy. - Mnie, ponieważ dzięki mojej pozycji mogła osiągnąć pewien status, i Oliverowi, ponieważ go kocha. - Zaciągnął się papierosem. - Widzisz, Faith, zawarłem pewien układ. Moja żona przyjęła mnie z powrotem i pozwoliła znowu widywać syna pod warunkiem, że zostanę współnikiem w prywatnej praktyce jej ojca. Straciłem większość własnych pacjentów. Jeśli lekarz porzuca rodzinę dla nierządnic, a właśnie tak myślano o Nicole, jego pacjenci odchodzą. Tego się nie robi, rozumiesz. Nie byłem wzorem moralności, za jaki mnie uważano. Bez pomocy Selwyna prawdopodobnie nigdy nie mógłbym ponownie zacząć pracować. Tak więc wszystko skończyło się bardzo dobrze, jak sądzę. - Guy uśmiechnął się krzywo. - Tylko ostatnio czasami myślę, że płacę zbyt wysoką cenę. Kiedy zobaczyłem Jake'a, a był poraniony, Faith, i pobity niemal na miazgę przez jakiegoś chuligana w pubie... więc kiedy go zobaczyłem, poczułem się dziwnie gorszy niż on.

- Nie okłamuj mnie, Guy. Nie odgrywaj tego, czego nie ma.

- Ale to prawda. Mówię poważnie.

- Jake nie zdobył niczego. - Gios Faith brzmiał surowo. - Niczego trwałego: ani domu, ani pracy. Straciłam już rachubę, gdy chodzi o jego posady i kobiety... Pożyczam mu pieniądze, których nigdy nie oddaje. Wyciągam go za kaucją z policyjnych aresztów, gdy zostaje przymknięty za pijaństwo. Porządkuję chaos, jaki za sobą zostawia. Postanowił sam siebie zniszczyć, i czuję, że nie mogę nic zrobić, by go powstrzymać. Dlaczego więc ty miałbyś zazdrościć mojemu bratu?

- Bo jest przynajmniej szczerzy. Podczas gdy ja... ja nauczyłem się żyć w kłamstwie. Nabrałem pewnej wprawy w usprawiedliwianie! się przed sobą z tego, co robię. Mówię sobie, że zamożni potrzebują równie dobrego leczenia jak ubodzy i że pieniądze także powodują problemy. To zwodnicze samooszu-kańcze poszukiwanie wykretów. Widzisz, Faith - w głosie Guya brzmiała gorycz - czasami myślę, że zaprzedałem duszę i że postępując w ten sposób, zatruwam nas wszystkich... siebie, Eleanor, a nawet Olivera.

Spoglądając w okno, Faith zauważyła, że deszcz przestał padać i tylko kilka poszerzających się kręgów zakłócało gładką powierzchnię kałuż, które lśniły na ulicy.

- Przeżyliśmy wyjątkowe czasy, Guy - powiedziała. - Zasady wciąż się zmieniają. A my przebrnęliśmy.

- „Trzymać się razem bez względu na wszystko... Nie pozwól, by zobaczono, że się martwisz” - zacytował.

Uśmiechnęła się lekko.

- Zasady rodziny Mulgrave'ow... To nadzwyczajne, że jeszcze pamiętasz.

- Pamiętam wszystko... - W głosie Guya był teraz żar. - Pamiętam La Rouilly... Pamiętam wiosłowanie na jeziorze za domem... Pamiętam lasy i tę zmię...

Faith nie mogła sobie teraz przypomnieć, jak to było, co czuła... to podwójne ukłucie w nogę... Usłyszała jego pytanie.

- Byłaś tam?

Pokręciła przecząco głową.

- Jake był. Podczas wojny, w 1943 roku, gdy pracował dla francuskiego ruchu oporu. Wciągnął go do tego David Kemp, ponieważ Jake doskonale zna francuski - przerwała, nie chcąc mówić ani myśleć o La Rouilly.

Guy zmarszczył brwi.

- Czy La Rouilly zostało zniszczone? Położone tak blisko Royan... Czy zbombardowano je w 1944 roku?

- Nie, Guy. - Faith, widząc, że będzie musiała wszystko mu opowiedzieć, odetchnęła głęboko. - W sierpniu 1940 roku Niemcy postanowili zarekwirować zamek. Genya próbowała ich powstrzymać, zawsze mówiła, że to zrobi. Podłożyła ogień, chcąc spalić zamek, a razem z nim siebie i Sarę. Jednak dom nie tak łatwo spalić, jakby się to mogło wydawać. Zniszczeniu uległ tylko dach i strych. Genya i Sara przeżyły pożar... - Faith zamilkła, lecz po chwili zmusiła się, by mówić dalej. - Wysłano je do obozu koncentracyjnego. Genya była Polką, Sara zaś Żydówką. Po wojnie Jake dowiedział się, że obie zginęły w Auschwitz.

- O Boże... - wyszeptał Guy.

- Przed kilkoma miesiącami jeździłam na rowerze w Norfolk, niedaleko miejsca, gdzie mieszka Ralph, i przejeżdżałam obok pewnego domu, który przypominał mi La Rouilly. Jest oczywiście znacznie mniejszy i znajduje się w Anglii, a nie we Francji, ale coś w sobie ma. Okna z okiennicami, zdziczały ogród i las wokół. Jest pusty... na sprzedaż... stoi tak od kilku miesięcy.

Nikommu innemu nie mówiła o owym domu w lesie, nawet Con. Zastanawiała się, dlaczego teraz opowiedziała o nim Guyowi. Może była to propozycja pojednania... Gest wybaczenia...

- Myślisz o kupnie tego domu? Roześmiała się tylko.

- Guy, tam nie ma bieżącej wody, elektryczności ani kanalizacji, a mimo to jego cena przerasta moje finansowe możliwości. Ale muszę przyznać, że stworzyłam pewien fundusz. Mam słoik po dżemie, do którego wkładam sześciopensówki. To moje marzenie.

Guy uśmiechnął się, sięgnął do kieszeni i wyjął monetę.

- Pozwól, bym miał w nim swój udział. Powinnaś starać się spełnić własne marzenia. Ja dawno porzuciłem swoje - wyznał z goryczą, po czym spojrzął na zegarek. - Muszę już iść. Kolacja - wyjaśnił, wstając. - Mogłabyś zatelefonować do mnie, jeśli chcesz. Mój gabinet mieści się przy Cheviot Street, a numer jest w książce telefonicznej. - Kiedy odwrócił się już, by odejść, rzucił na pożegnanie: - Kochałem Nicole, gdyż była podobna do ciebie, Faith. Różnice zawsze mnie drażniły.

## *Rozdział jedenasty*

Faith zamknęła sklep i poszła na Leicester Square, gdzie miała się spotkać z Rufusem. Smugi mgły owijały się wokół ulicznych lamp i sklepowych szyldów. W restauracji, gdy zjedli już kolację, malarz wręczył jej mały pakunek.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Faith. Rozwinęła papier. W środku była niewielka akwarela

przedstawiająca parę błękitnych jak niebo motyli.

- Rufusie... - Uściskała go z wdzięcznością.

- Podoba ci się?

- Powinnam powiedzieć: „Ależ Rufusie, nie powinieneś...”, prawda? Lecz wcale tak nie powiem, bo bardzo się cieszę, że namalowałeś to dla mnie. Jest prześliczny - powiedziała Faith opierając obrazek o kieliszek.

Potem Ruf us zaproponował, że odprowadzi ją do domu. Mgła zgęstniała i krople wilgoci przywierały do jego sterczącej miedzianej czupryny.

- Jest coś, o czym chciałem z tobą porozmawiać, Faith. Mój ojciec nalega na mnie od wielu już lat, żebym zaczął pracować w naszej rodzinnej firmie. Zawsze mówiłem „nie”, ale sądzę, że mógłbym zmienić zdanie.

- A twoje malarstwo, Rufusie... mówiłeś mi, że...

- Wiem. Zawsze powtarzałem, że nigdy nie skalam swej artystycznej duszy czymś tak nędznym jak handel i że umrę z głodu dla sztuki. - Koniec jego papierosa żarzył się w mroku. -Tylko że ja już nie potrafię malować, i to jest właśnie koszmar.

- Namalowałeś przecież tę wspaniałą akwarelę.

Doszli do Shaftesbury Avenue. Samochody powoli przedzierały się przez mgłę, w której ich reflektory majaczyły niczym blade, kołyszące się księżycy.



- Miałem wtedy dobry dzień. I malowałem ją dla ciebie. To pomogło. Och, potrafię wykonać od czasu do czasu różne drobiazgi. Ale to nic poważnego. Zamierzałem być wielkim malarzem, Faith, pamiętasz? Kimś znaczącym. Cóż, wojna wszystko zniweczyła. Nikt nie chce powiesić na ścianie moich dzieł.

Wzięła go pod rękę, by przejść przez ulicę, machając ku ciemnym kształtom, które nagle wyłaniały się z mgły.

- Ależ Rufusie, praca biurowa...

Mgła stłumiła jego głos, pozbawiając go barwy.

- Dawniej uważałem ją za całkiem niemożliwą, lecz ostatnio pomyślałem... no cóż, nie byłaby taka zła, prawda? Chodzi się do niej codziennie o tej samej porze, odpowiada na listy, odbywa się rozmowy telefoniczne i uczestniczy w posiedzeniach. Gardziłem jej powtarzalnością i jednostajnym charakterem, ale już tak nie myślę. W rzeczywistości jest nawet dość pociągająca. Wiedziałbym, czego się ode mnie oczekuje. Artysta musi budować każdy swój dzień... całe życie. Chyba nie potrafię już tego robić. I nawet jeśli owa praca nie znaczyłaby dla mnie zbyt wiele, to może pozwoliłaby mi zdobyć rzeczy, które coś znaczą. Pozwoliłaby kupić dom... wyrwałaby mnie z tej nory w Islington. Oznaczałoby to, że mam coś do zaoferowania.

Chociaż w powietrzu unosiły się smugi lodowatej mgły, Faith nagle poczuła na twarzy gorąco. Rufus powiedział to, czego się spodziewała.

- Pytam, czy za mnie wyjdiesz, Faith. Wiem, że już cię pytałem i wiem, że zawsze mówiłaś „nie”, ale chcę, żebyś rozważyła to jeszcze raz.

Szli przez labirynt wąskich uliczek Soho. Z jednych drzwi dobiegł ich ochrypy dźwięk saksofonu, z innych zaś stłumiona przez mgłę kłótnia jakiejś pary, wyzwiska i uderzenie kobiecej ręki w męską twarz.

- Mogłabyś mieć coś lepszego niż to. - Głos Rufusa brzmiał przekonująco. - Mógłbym dać ci przywoity dom, ładny dom z ogrodem. Wiem, że niegdyś sarkałem na takie rzeczy, ale już tego nie robię. A gdybyś tam była... nie mógłbym pragnąć niczego więcej.

Słyszała miłość w jego głosie.

- Ale sklep, Rufusie... - odpowiedziała cicho.

- Nie prosiłbym cię, żebyś go rzuciła. Wiem, jak wiele dla ciebie znaczy. Moglibyśmy mieszkać gdzieś na przedmieściu, a ty dojeżdżałabyś pociągiem...

Było w pól do jedenastej i z pubu wysypały się jakieś niewyraźne postacie, potrącając ich oboje. Kiedy Faith podniosła wzrok, zobaczyła, że Rufus się uśmiecha.

- ...a może jakaś furgonetka, co o tym myślisz? Mógłbym kupić jakiegoś forda, a ty piekłabyś ciasteczka i chodziłabyś na spotkania przy brydżu. Jeśli właśnie tego byś chciała. Moglibyśmy mieć dzieci... tyle, ile chcesz. Wiem, że uwielbiasz dzieci. Widuję cię z Lizzie.

Dotarli do sklepu. Jakaś zmięta gazeta poniewierała się na chodniku, kilka niezjedzonych chipsów leżało rozsypanych w drzwiach.

- Nie możesz chcieć tego - powiedział Rufus, a ona zobaczyła, że w ciemnościach poślacane litery szyldu wydają się wyblakłe i tandetne. - Kocham cię Faith. - Wziął ją za rękę. - Kochałem cię przez te wszystkie lata. Wiem, że nie czujesz do mnie tego samego, ale przynajmniej mnie lubisz. To mogłoby się wzmocnić, gdybyś tylko pozwoliła. Mogę dać ci poczucie bezpieczeństwa, wygodne życie i miłość. To niemało, prawda?

- To bardzo dużo, Rufusie... - wyszeptała, lecz odsunęła się od niego.

W ciszy, jaka teraz zapadła, Faith przycisnęła czubki palców do sklepowej witryny i patrzyła na chłodną wodę spływającą po szkle.

Usłyszała, jak Rufus powoli mówi:

- Ale tobie to nie wystarcza - a kiedy nie odpowiedziała, dodał: - Rozumiem.

Powiedz mi tylko, czy wciąż masz nadzieję na tego doktora?

Nienawidziła siebie w tym momencie.

- Guy jest żonaty od piętnastu lat, Rufusie.

- Co go nie powstrzymało od romansu z twoją siostrą, nieprawdaż?

- Gdybym miała choć trochę rozumu, powiedziałabym „tak” - rzuciła z desperacją. - Uczynisz jakąś kobietę bardzo szczęśliwą.

- Nie sądzę, że jesteś jedyną osobą zdolną do stałości. Zadrzała.

- Przepraszam. Bardzo mi przykro, Rufusie.

Odgłos kroków ucichł szybko, gdy mężczyzna pośpiesznie odszedł. Faith osłoniła twarz kołnierzem płaszcza i włożyła klucz do zamka. „Czy wciąż masz nadzieję na tego doktora?”

Słowa Rufusa dźwięczały jej w głowie prowokującym, natarczywym, uzupełnieniem owej dyskusji, która trwała w sercu Faith od chwili, kiedy Guy przyszedł do „Błękitu Nieba”. To już dziewięć tygodni, pomyślała. Dziewięć tygodni minęło od dnia, w którym go zobaczyła.

Weszła do mieszkania i wyłożyła na stół zawartość portmonetki, by wyjąć z niej monety sześciopensowe. Było za zimno, żeby zdjąć płaszcz. Otworzyła listy, które przyszły po południu. Liściki od Ralpa i Elizabeth, karty od przyjaciół. Ani słowa od Jake'a czy Nicole. Nie myślała, dlaczego się tym przejęła. Zarówno brat, jak i siostra nigdy nie pamiętali o urodzinach; ani o własnych, ani o czyichś.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Faith - mruknęła do siebie.

Rozejrzała się po pokoju, patrząc na laurkę, jaką narysowała dla niej Lizzie i na wieczne pióro, które przysłał jej David, a potem powędrowała wzrokiem ku słoikowi po dżemie, już prawie pełnym sześciopensówek. Przycisnęła pięści do oczu. Miała trzydzieści jeden lat i spędzała urodziny samotnie -z prezentami od cudzego męża i cudzego dziecka. Tego wieczoru odrzuciła to, na co długo czekała i co tak wiele kobiet przyjęłoby jako rzecz oczywistą: możliwość posiadania własnego domu i rodziny. Jej marzenie - dom w lesie - było nieosiągalne i równie niepraktyczne jak kolejne szalone fantazje Ralpa.

Spojrzała w okno.

- Użalasz się głupio nad sobą - powiedziała głośno i surowo - wolałaś być sama dziś wieczorem i zdecydowałaś się nie wychodzić za Rufusa.

Gderanie jednak nie pomogło. Mieszkanie wciąż wydawało się małe i klaustrofobiczne, a mgła napierała na szyby. Faith zeszła na dół do sklepu. Tu pogłaskała wierzchem dłoni gruby stos aksamitów i chłodnych, połyskliwych jedwabi; tam uporządkowała szufladę i starła drobinę kurzu z kontuaru. Telefon zajmował na ladzie jedynie róg, ale wydawał się wypełniać całe wnętrze, aż stał się jedyną rzeczą, którą widziała. Masz to, mówiła do siebie, masz ukochaną pracę i miejsce do życia. Masz wielu przyjaciół i rodzinę. Podróżowałaś. Widziałaś tyle świata, ile chciałaś. To powinno ci wystarczyć.

Czubki palców dotknęły słuchawki telefonicznej i przebiegły po okrągłych wgłębieniach tarczy. Pomyślała, że Rufus miał

rację; to nie wystarczy. Czegoś jej brakowało. Pragnęła dojrzałej miłości. Miała romanse, cztery czy pięć od zakończenia wojny, ale nigdy nie trwały dłużej niż kilka miesięcy. Wszystkie swoje siły poświęcała „Błękitowi Nieba”, a nie kochankom. Teraz zaledwie mogła sobie przypomnieć, jak wyglądali. Jej serce sprawiało wrażenie, że staje się coraz mniejsze i chłodniejsze. „Zawsze byłaś najnudniejszym z moich dzieci”, powiedział kiedyś, dawno temu, Ralph - i wszystko, co zrobiła, zdawało się dowodzić, że miał rację. Zastanawiała się, czy właśnie to oznaczało starzenie się po przekroczeniu trzydziestki: niechęć do skorzystania z okazji, zamykanie drzwi. Przypomniała sobie jednak, jak stojąc w przymierzalni z krawieckim centymetrem w ręku i słysząc głos Guya, poczuła, że krew szybciej płynie w jej żyłach.

- Jest żonaty - powiedziała głośno do siebie. - Cóż on może mi zaoferować oprócz części swego życia?

Odeszła od kontuaru i jeszcze raz przeszła cały sklep. Udra-powała trzy szale na oparciu krzesła. To tylko skrawki materiału, a jak lśniły, jakie były piękne...

Wróciła do kontuaru i podniosła słuchawkę. Nie musiała szukać numeru; znała go na pamięć. Nie powinna go zastać w gabinecie. Było późno i Guy z pewnością poszedł już do domu.

Jednak podniesiono słuchawkę i rozległ się w niej głos:

- Mówi doktor Neville. W czym mogę pomóc? Z trudem przełknęła ślinę.

- Guy, tu Faith.

- Faith! Gdzie jesteś?

- W domu. W moim mieszkaniu nad sklepem.

- Czy mogę przyjść?

Nie zawahała się ani chwili.

- Tak, Guy. Tak.

Otworzyła drzwi. Maleńkie perłki wilgoci utkanej z mgły błyszcząły na jego płaszczu.

- Okropna pogoda... nie widziałem drogi... - powiedział, ale przyciągnęła go do siebie, tak że wziął ją w ramiona i przytrzymał w mocnym uścisku.

Kiedy zaś się odsunął, uczynił to tylko dlatego, żeby ją całować; żeby całować jej oczy, czoło i wargi, a potem szyję; zatrzymując się w zagłębieniu przy obojczyku i powędrował

ustami niżej. Jego dłonie rozpięły guziki jej bluzki. Faith przeczesła palcami ciemne włosy Guya i znowu przyciągnęła go do siebie.

Dopóki jej nie dotknął, nie zdawała sobie sprawy z ogromu swego pragnienia. Kiedy osunęli się na podłogę, ręce Guya szarpnęły spódnicę Faith. Usłyszała, jak pruje się szew, gdy opadła z niej reszta ubrania, a potem nie czuła niczego oprócz jego ciała, uchwyconego przez jej ciało, i cudownej, wzbierającej w niej rozkoszy. Poczowała jego drzenie i usłyszała własny krzyk, gdy dotarła na szczyt.

- Faith, najdroższa Faith... przemów do mnie - odezwał się po chwili Guy i dotknął jej twarzy. - Kochanie moje, jesteś zmarznięta. Kupię ci dywan, żeby przykryć to okropne linoleum.

Trzymał ją w ramionach dopóki nie przestała drzeć. Pomyślała, że zawsze marzyła, by siedzieć z nim właśnie tak, gdy skóra dotyka skóry...

- Wciąż jest ci zimno - powiedział w końcu, ujmując jej dłonie. - Zrobię ci filiżankę herbaty. Wiem, że to niezbyt romantyczne, że powinien być szampan, ale to mieszkanie przypomina jakąś przeklętą lodówkę.

Guy wciągnął spodnie i poszedł do kuchni, a Faith otuliła się jego koszulą. Przeszukiwał właśnie szafki, by znaleźć puszkę z herbatą, kiedy zawołała:

- Dawno temu myślałam, że ponieważ ocaliłeś mi życie... ta żmija, pamiętasz... to już na zawsze będę twoja.

- I jesteś - potwierdził, na chwilę pojawiając się w kuchennych drzwiach z imbrykiem do herbaty w ręce. - Oczywiście że jesteś. W tym rzecz. I wzajemnie...

Usiadła, słuchając brzęku filiżanek i spodeczków, z rękami oplecionymi wokół kolan.

- I wciąż w to wierzysz, nieprawdaż? - zapytał. - Boże, Faith... nigdy przedtem tutaj nie byłem, ale czuję, że wróciłem do domu. . .

Patrzyła, jak nalewał herbatę; pozwoliła, by włożył w jej zziębnięte dłonie filiżankę. Potem ukląkł na podłodze i zaczął manipulować przy gazowym kominku, by wydobyć więcej ciepła z marnego palnika.

- Jednak nie zawsze czułaś to samo, prawda? - mówił, odwrócony do niej plecami. - Podczas wojny, gdy wyjechałaś... próbowałem to wszystko zrozumieć. Powiedziałaś, że Jake się

dowiedział, iż Ralph ma jakiś romans. Przypuszczam, że to Jake ci o tym powiedział. Czy właśnie z tego powodu nie przyszedłeś wtedy do parku? Dlatego wyjechałeś? Bo w owym czasie wszelkie romanse wydawały się szczególnie obrzydliwe?

- Częściowo... - Chociaż minęło dziesięć lat, Faith wciąż wyraźnie pamiętała tamten gorący i duszny sierpniowy dzień. -Widzisz, Guy, czekałam zbyt długo. Nie potrafiłam podjąć decyzji. Wiedziałam co chcę zrobić, ale wiedziałam też, co powinnam uczynić. Eleanor sprawiła, że było to dla mnie absolutnie jasne.

- Eleanor?! - zapytał ostro.

- Rozmawiałam z nią poprzedniego ranka. Nie wspomniała ci o tym? Cóż, to oczywiste, że nie. W każdym razie dała mi do zrozumienia, że ja... i reszta mojej rodziny... że żyjemy bez zasad, nie zasługujemy na zaufanie i jesteśmy nieodpowiedzialni. - Mówiąc to, Faith się roześmiała. -I oczywiście wiele z tego, co wydarzyło się później, dowiodło, że miała rację.

- Tak więc Eleanor... - Guy uderzył dłonią w krawędź kominka, aż zamigotały błękitne płomyki. - Eleanor cię ostrzegła, żebyś nie posuwała się dalej?

Faith skinęła głową.

- Byłam roztrzęsiona, a poza tym przyjechała mama i powiedziała, że Nicole jest bardzo chora... Widzisz, Guy, ona

0 mało nie umarła po urodzeniu Elizabeth... i już było za późno. Pojechałam do Compton Deverall, żeby pomóc Nicole,

1 tak... wydawało mi się, że powinnam zostawić cię w spokoju, zniknąć z twojego życia.

- A ja uciekłem właśnie z Nicole... - mruknął, potrząsając głową. - Boże, powinnaś mnie za to znienawidzić.

Faith odstawiała filiżankę i uklękła obok niego przed kominkiem.

- Czy sądzisz, Guy, że moglibyśmy odkładać na później odrobinę swojego życia? - Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę, by odgarnąć pukiel czarnych włosów, który opadał mu na czoło. - Tak jak ja odkładałam swoje sześciopensówki do słoika po dżemie?

Zaczął ją całować. Jego bliskość wydawała się Faith przytłaczająca. Tak długo wyobrażała sobie tę chwilę, że rzeczywistość była szczęściem niemal zbyt wielkim, aby móc je udźwignąć. Nieoczekiwanie zapragnęła czasu, ciszy i samotności do przemyślenia takiej odmiany losu.

Spojrzała na zegarek. Była już prawie jedenasta.

- Powinieneś iść, Guy - powiedziała łagodnie. - Eleanor będzie na ciebie czekać.

- Nie chcę odchodzić - rzekł, przyciągając Faith do siebie i wtulając twarz w zgięcie ramienia dziewczyny.

- Musisz - pocałowała go, muskając ustami jedwabiste ciemne włosy.

Wreszcie ubrał się i wyszedł.

Po jego wyjściu wszystkie słowa, obrazy i wrażenia przesuwały się w pamięci Faith niczym talia kart. Zwinęła się na sofie i otulona kocem patrzyła w ogień, wdychając zapach Guya, który wciąż pozostawał na jej skórze.

Ustalili reguły - odmienne niż zasady rodziny Mulgrave'ów. Ukradkowe dziesięciminutowe spotkania w muzeach lub parkach zamieniały nudne dni w chwile pełne radości. Niekiedy trafiała się godzina lub dwie i miłość w jakimś hotelowym pokoju. Kiedy nie mogli się spotkać, prowadzili rozmowy przez telefon; bolesne i cudowne zarazem, gdyż żadne z nich nie chciało pierwsze odłożyć słuchawki. Wystrzegali się listów, które mogłyby ich zdradzić. Jeśli nikt nie wie, mówili sobie, to nikt nie będzie cierpiał.

Guy chciał kupować Faith prezenty, przynosić podarunki, ale odmówiła... Jego pieniądze były pieniędzmi jego żony, powiedziała. Kiedyś, gdy Eleanor i jej ojciec wyjechali, Guy i Faith spędzili ze sobą całą noc. Nie zasnęli aż do zimnego świtu, który pomalował dachy Londynu srebrzystą szarością.

Zima sześciopensówek w słoiku. Faith nigdy nie była szczęśliwsza.

Jake zaczął uczyć w gimnazjum dla chłopców w Heatherwood Court w połowie wiosennego semestru roku 1952. Opierał się pomysłowi Guya Neville'a tak długo, jak było to możliwe, ale potem, widząc, że bez pracy upodobni się do Ralpa - obywatela, naciągacza i nicponia - odpowiedział na ogłoszenie w gazecie. Ku jego zaskoczeniu, dyrektor Munday, przyjął ową ofertę, natychmiast go angażując.

Miejscowość Heatherwood Court położona była na dzikim wybrzeżu północnej Kornwalii. Szkoła zajmowała duży edwardiański gmach, którego podłogi wyłożone były ciemnobrązo-

wym linoleum, a ściany pomalowane na kremowy i groszkowy kolor. Pierwszego dnia, obserwując smutnych małych chłopców żegnających się z rodzicami po międzysemestralnych feriach, przerażony Jake powiedział:

- Ależ oni wyglądają jak wygnańcy!

- Są uprzywilejowani, mogą tu przebywać, Mulgrave, nie zapominaj o tym - zauważył, odwracając się do niego, nauczyciel historii - starszy mężczyzna o nazwisku Strickland, w którego głosie zabrzmiała nuta kpiny.

Szkolne przepisy wydały się Jake'owi beznadziejnie głupie i kłopotliwe. Znajdowały się tu oddzielne klatki schodowe dla uczniów oraz nauczycieli, a w wielu najwyraźniej przypadkowo wybranych częściach szkoły chłopcom nie wolno było rozmawiać. W każde środowe popołudnie wszyscy szli na łąki, po których hulał wiatr, i uprawiali tam gry, które Jake'owi nawet po miesiącu pobytu w Haetherwood wciąż wydawały się niepojęte. Odetchnął z ulgą, gdy kaszel uwolnił go od nadzorowania meczów rugby. Szkolna pielęgniarka - opryskliwa Polka, która miała syna w klasie Jake'a - dała mu słoik jakiegoś lekarstwa do nacierania i kazała spacerować na świeżym powietrzu. Jake wyrzucił ów specyfik, ale udał się na przechadzkę wzdłuż skalistego brzegu.

W oddali, poniżej urwiska, grafitowe fale rozbijały się o ostre jak igły skały. Jake, stąpając ostrożnie wąską ścieżką, postanowił, że pozostanie w szkole jeszcze kilka tygodni, a jeśli ta praca nie stanie się ani trochę znośniejsza, porzuci ją z końcem semestru. Chętnie pojechałby za granicę... może do Włoch. Nie był tam od wielu lat. Pojedzie do Włoch i zapije się na śmierć, a wtedy przynajmniej umrze szczęśliwy i nie będzie już więcej zadrecać Faith.

- Mulgrave, co ty tu robisz? - odezwał się jakiś głos i Jake aż podskoczył.

- Zastanawiam się nad własnym końcem, Strickland.

- Dość zimna okolica, by to robić, chłopie. Poza tym spłoszyłeś ptaki. - Tamten trzymał przy oczach lornetkę.

- Nie wiedziałem, że zajmujesz się ich obserwacją.

- To mój mechanizm obronny. Prawdę mówiąc, popadłbym w szaleństwo, gdybym raz w tygodniu nie uciekał z tego miejsca. Mnie przed koniecznością brykania po boiskach chroni moja noga, czy też raczej jej brak. - Nauczyciel historii trzy-



dzieści pięć lat wcześniej został ranny w bitwie nad Sommą. Spojrzał na Jake'a. - A Ciebie? Czy szukałeś pomocy u tej strasznej Węgierki?

- Pani Zieliński jest Polką. I wcale nie jest straszna... Jest całkiem ładna.

Odwiedzając ambulatorium zauważył, że pielęgniarka ma czarne włosy i jasną cerę, a jej oczy przypominają błyszczący kornwalijski granit.

- Wszyscy próbowali - mówił Strickland jadowym tonem. - Denman... Lawless... Ja nie, oczywiście, bo te rzeczy mam już za sobą. Zdziałałeś coś?

- Pani Zieliński dała mi jakiś środek do nacierania i powiedziała, że bym nie palił. - Jake poczęstował swego towarzysza papierosami i sam zapalił.

Tamten wyjął z kieszeni płaską butelkę.

- Napijemy się? Whisky rozgrzała ich obu.

- Naprawdę zastanawiałem się, czy się nie otrujesz. - Strickland popatrzył na Jake'a uważnie.

Zaczęli iść ścieżką wzdłuż brzegu.

- Wszyscy jesteśmy starymi gratami - wyjaśniał ironicznym tonem. - Kapitan Munday właśnie tak dobiera tutejszy personel. Ja mam swoją nogę, Lawless lubi zakłady, Denman został wydalony z Cambridge, a Linfield... Linfield jest sadystą, oczywiście.

Jake się roześmiał.

- Zastanawiam się, w jaki sposób ja dostałem tę pracę. Nie mam kwalifikacji.

- Widzisz, dobry dyrektor płaci nam mniej. Podnosi opłaty, a obniża pensje, by móc raczej wcześniej niż później odpoczywać w swojej posiadłości na Canvey Island lub robić coś innego - powiedział nauczyciel historii i po chwili znów spojrzał na Jake'a. - A jednak ma szczęście, że dostał właśnie Ciebie, choć wątpię, czy zdaje sobie z tego sprawę.

Dotarli do cypla. Porośnięta trawą ziemia była tu sprężysta. Jake spojrzał na swego rozmówcę.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Bo jesteś dobry w tym co robisz. Jake znowu ryknął śmiechem.

- Muszę uczyć łaciny. Nie przypuszczałem, że... Zostałem zaangażowany jako nauczyciel francuskiego i niemieckiego,

ale facet, którego zatrudniono do łaciny, w ogóle się nie pokazał. Ja wyprzedzam chłopców tylko o jedną lekcję, Strickland. Poprzedniego wieczora czytam podręcznik.

- Ty naprawdę lubisz tych łobuziaków - zauważył spokojnie kolega.

- Mówisz o uczniach?

- Tak. Widzisz, ja ich nienawidzę. Ty natomiast ich lubisz. Podmuch wiatru uderzył Jake'a w twarz.

- Tak - odpowiedział, mrugając oczami. - Chyba masz rację.

- Reszta się nie liczy. Ty lubisz uczniów i robisz dla nich wszystko, co w twojej mocy... dla tych tępogłowych głupków i oferm... i właśnie to czyni cię dobrym nauczycielem.

Jake cisnął niedopałek papierosa w kłębiące się pod urwiskiem fale. W oddali zadźwięczał dzwonek.

- Czas wracać do więzienia - stwierdził ponuro Strickland.

Po pewnym czasie Jake uświadomił sobie, że spodobał mu się podział każdego dnia na mniejsze odcinki czasowe: lekcje, zabawy, przygotowanie do zajęć, obiad, kolacja, wypoczynek... Z ulgą powitał to, że nie musi podejmować decyzji ani nadawać znaczenia egzystencji, która od dawna wydawała mu się nieważna. Jego niechęć do ponurego krajobrazu Kornwalii nieco osłabła i coraz mniejszą antypatię odczuwał do tutejszego urwistego wybrzeża i pustych wrzosowisk. Bliskie stało mu się także własne małe mieszkanie z marnym ogrzewaniem i podłogą wyłożoną brązowym linoleum. Rozrywek było niewiele: raz w tygodniu kieliszek alkoholu ze Stricklandem i Denmanem, nauczycielem angielskiego, w pokoju Stricklanda oraz chłodne umizgi do miejscowej barmanki na wrzosowiskach otaczających szkołę... W Heatherwood było niewiele kobiet: okropna pani Munday, żona dyrektora; potężna i leciwa kucharka oraz kilka poniewieranych pokojówek, które Jake bez entuzjazmu usiłował uwieść. I szkolna pielęgniarka, pani Zieliński, o języku ostrym niczym igła, której używała do przebijania czyraków.

Sama szkoła nadal była koszmarna. Najbardziej nie do przyjęcia dla Jake'a okazał się system wychowawczy oparty na karach cielesnych. Nawet w wojsku, myślał, nie bije się rekrutów skórzanym pasem. Pas wisiał w gablocie w szkolnym holu, a krnąbrnych uczniów posyłano po niego, wymuszając w ten sposób uległość w bólu i upokorzeniu. Jake nigdy nie uciekał

się do pasa - już sam widok tego narzędzia kary przyprawiał go o mdłości - ale większość pozostałych nauczycieli niekiedy go stosowała. Pan Linfield, matematyk, bił nim chłopców regularnie. Ten człowiek, Jake to wyczuwał, znajdował w owym procederze przyjemność.

Pewnego wieczora, wracając do swego pokoju po dyżurze przy odrabianiu przez chłopców lekcji, Jake znalazł się na wprost Linfielda rozmawiającego z jednym z uczniów. W korytarzu panował mrok, gdyż dyrektor Munday oszczędzał na elektryczności, i Jake musiał wysilić wzrok, by rozpoznać chłopca. Kirkpatrick był w jego klasie. Nieporządny, krótkowzroczny,

i beznadziejnie niezdarny w sporcie, mówił przez nos, był nieprzyjemny i nie lubiany. Jego rodzice mieszkali w Afryce i na czas krótkich szkolnych wakacji chłopiec pozostawał pod opieką jakiegoś nieżonatego wuja. Jake'owi trudno było wyobrazić sobie bardziej żalosalną egzystencję niż los tego ucznia.

Linfield beształ Kirkpatricka. Biedny chłopak musiał popłacać matematyczne równania, pomyślał Jake, albo pomylił się co do planu lekcji. Lada chwila Linfield pośle go po pas... Lecz podchodząc bliżej, Jake zobaczył, że Linfield zdjął chłopcu okulary i mocno uderzył go w twarz. Odgłos tego uderzenia echem niósł się po korytarzu.

Nigdy później nie mógł sobie przypomnieć chwili między jękiem udręczonego Kirkpatricka a hukiem, z jakim głowa Linfielda uderzyła w ścianę. Był to moment czarnej pustki. Dłonie Jake'a zaciskały się na szyi matematyka, a kciuki zgniatały jego kościstą tchawicę. Kirkpatrick uciekł struchlały, z twarzą moką od łez, zaś Linfield walczył, bełkotał i z trudem chwycił powietrze.

- Do diabła, Mulgrave, puść mnie - wysapał i zaczął kaszleć. Jego twarz zmieniła barwę z czerwonej na białą, a potem si-

nogranatową. Kolory brytyjskiej flagi, pomyślał Jake, nie przestając go dusić. Potem nagle poczuł, że ktoś próbuje go odciągnąć i usłyszał głos Stricklanda.

- Na miłość boską, Mulgrave, zabijesz go!

Dopiero wtedy jego ręce puściły gardło Linfielda, który kaszłąc, osunął się na podłogę.

Jake wyszedł z korytarza i z budynku szkoły, a następnie przecinając boiska, ruszył w stronę urwistego brzegu. Ścieżka była wąskim pasem śliskiego błota. Fale uderzały w nierówny

brzeg. Unoszona przez wiatr piana zmoczyła rzęsy Jake'a. Stojąc na skraju stromizny, myślał, że tak łatwo byłoby spaść, stoczyć się w otchłań, podnieść wzrok i ujrzeć zamykającą się w górze wodę. Pogardzał sobą za to, że nie potrafi zrobić owego kroku do przodu, mając świadomość, że tylko pierwszy krok jest trudny, a nie cała reszta.

Po chwili usłyszał, że ktoś go woła, i zobaczył biegnącą ku niemu pielęgniarkę.

- Pan Strickland i ja szukamy pana wszędzie, panie Mulgrave. - Była bez tchu, na bladej twarzy miała różowe plamy.

Jake cisnął w fale niedopałek papierosa.

- Za dużo pan pali - złażała go. - Kaszel panu wróci.

- Rzucę je zatem - odrzekł i cisnął do morza paczkę player-sów, a potem usiadł na trawie. - Proszę. Wszystko będzie dobrze - oświadczył i objął rękami kolana, przyciągnął je do twarzy.

Spojrzała na niego z uwagą.

- Przyszłam pana uspokoić, że Linfield będzie zdrow - powiedziała. - Obejrzałam go, to tylko powierzchowne posiniaczenia.

- Miałem pewną nadzieję, że jest już martwy - odparł Jake.

- Zatem jest pan bardzo niemądry, bo wtedy powiesiliby pana i także byłby pan martwy.

Otarł twarz wierzchem dłoni, spojrzał na na morze i nic nie powiedział.

- Kiedy zobaczyłam, że pan tu stoi, byłam przerażona. Pomyślałam, że może pan zrobić coś głupiego - wyznała.

Spojrzał na nią zdumiony i roześmiał się smutno.

- Nie mam odwagi.

- Odwagi? Dlaczego pan to mówi? - Jej głos brzmiał żarliwie. - Życie wymaga odwagi. Śmierć zaś to pójście na łatwiznę.

- Dobry Boże, to brzmi tak, jakby czytała pani za dużo kobiecych pism. Miałem o pani lepszą opinię. Sądziłem, że jest pani malkontentką podobną w tym względzie do mnie.

- Linfield jest oczywiście okropnym człowiekiem. Nie potępiam pana za to, co pan zrobił. To było oczywiście głupie, ale ja pana nie winię. - Znów na niego spojrzała. - Wraca pan do szkoły, panie Mulgrave?

Myśli, że zamierzam się utopić, pomyślał Jake i uśmiechnął się lekko. Potrząsnął przecząco głową. Czuł wewnętrzną pustkę.

- Jest zimno - stwierdziła, przyciągając do siebie poły swetra. - Nabawi się pan zapalenia płuc... To głupie, siedzieć tu, na mokrej trawie.

- Będę więc spacerował - odrzekł, wstając.

Szła za nim, zostawiając na ziemi małe ślady. Po chwili Jake się odwrócił.

- Niech pani idzie do domu! - warknął z gniewem. - Na miłość boską, proszę iść do domu!

- Jest prawie ciemno. Może pan się poślizgnąć i spaść.

- No i co z tego? Niewielka strata...

- Głupie gadanie, panie Mulgrave.

Rozgniewała go jej nieustępliwość i chęć ingerowania w jego sprawy.

- Niech pani idzie do domu. Nie warto się o mnie troszczyć. Nie jestem lepszy niż Linfield.

- Teraz gada pan bzdury. Wcale nie jest pan taki jak on.

- Linfield rozkoszuje się biciem chłopców. Ja rozkoszowałem się robieniem krzywdy temu człowiekowi - wyjaśnił spokojnie.

Zobaczył zaskoczenie w jej oczach, które go ucieszyło.

- Mówię poważnie - powiedział. - Sprawilo mi to przyjemność.

Rzucił te słowa przez ramię i wiatr niemal je rozwiał. Jake zmusił się, żeby sobie przypomnieć, kiedy pierwszy raz doświadczył owej zimnej, radosnej niemal wściekłości. Chyba w Hiszpanii, podczas wojny domowej. Lub w czasie owej koszmarnej podróży przez Francję, kiedy obudzwszy się, stwierdził, że jakiś mężczyzna kradnie rower, który on sam ukradł komuś wcześniej.

- Chciałem go zabić! - zawołał w jej stronę. - Gdyby nie pojawił się tam Strickland, z pewnością bym to zrobił.

- To nie to samo! - Ruszyła do przodu, wspinając się na wąski trawiasty odcinek na krawędzi urwiska. - Kirkpatrick jest małym chłopcem.

- Linfield zaś jest astmatycznym staruchem, który ukrywa własną słabość, wyzywając się na słabszych niż on sam.

A jednak... dziwnie nie mógł znieść, że ta kobieta stoi tam zawieszona między dwoma światami; ziemią i morzem.

- Niech pani stamtąd zejdzie - powiedział. - Może się pani poślizgnąć.

- Co to pana obchodzi? Nie dba pan przecież o nic ani o nikogo.

Złapał ją mocno za rękę i ściągnął w bezpieczne miejsce.

- Panią powinno to obchodzić. Pani syn...

- George to nie pańska sprawa. Żadne z nas nie wymaga pańskiej opieki.

Zobaczył, że robi krok w tył, ku krawędzi. Pomyślał przez chwilę, że zrani tę kobietę, tak jak przedtem Linfielda, ale zamiast tego mocno przyciągnął ją do siebie.

- Nie - powiedział stłumionym głosem.

Drżała; z zimna czy ze strachu, tego nie wiedział. Zdjął marynarkę i owinał nią swą towarzyszkę.

- Dziękuję, panie Mulgrave - wyszeptała.

- Jake. Na litość boską, mam na imię Jake.

Dotarli już prawie do miejsca, gdzie urwisko opadało ku małej, kamienistej plaży. Wiedział, że stoją na całkiem innej krawędzi niż ta, na której chwiali się zaledwie kilka minut wcześniej. Spojrzał na towarzyszącą mu kobietę i uśmiechnął się krzywo.

- Zwykle, droga pani, kiedy ktoś podaje swoje imię, należy odpowiedzieć podobnie.

Błada twarz pielęgniarki zaróżowiła się lekko.

- Mam na imię Mary.

- Spodziewałem się czegoś bardziej egzotycznego, typowo polskiego.

- Jestem Angielką, panie Mulgrave, chciałam powiedzieć: Jake. Jestem Angielką i mój syn, George, też jest Anglikiem. - W jej głosie brzmiała duma. - Czy teraz wrócisz do szkoły?

Schronili się we względnie spokojnej małej zatoczce. Wiatr rozwiewał włosy Mary, a jej usta wciąż miały sinawą obwódkę. Zrobiła jakiś niewielki gest zniecierpliwienia, a może zmieszania.

- Jestem skończony, prawda? - powiedział. - Czyba nie zamierzają przyjąć mnie z powrotem z otwartymi ramionami, po tym, jak próbowałem udusić innego członka grona pedagogicznego.

Pierwszy raz się uśmiechnęła.

- Nie pracujesz tutaj tak długo jak ja, Jake. Dyrektor Mun-day nic nie robi, wierz mi. Będzie chciał uniknąć skandalu, a poza tym jest leniwy i nie zechce szukać innego nauczyciela języków.

Lodowaty wiatr przeniknął przez skórę Jake'a. Wiedział, że musi do tego dojść. Pomyślał z goryczą, że przynajmniej zrozumiał sam siebie. Swoje zbawienne poczucie przyzwoitości i sa-mopoznanie; świadomość, że wcześniej czy później zniszczy owo tymczasowe schronienie, jakim stało się Heatherwood.

- Czy Strickland podzielił się z tobą teorią; że wszyscy mamy coś do ukrycia? - zapytał. - Powiedziałem ci, Mary, że pewna część mojej osobowości lubi przemoc. W przeszłości okazała się całkiem przydatna, ale mam wrażenie, że tutaj będzie mi ciężarem.

- Domyślałam się, że mówisz o wojnie - powiedziała. - Służyłeś w armii?

- Tak. Najpierw z nudów kręciłem młynka palcami, a potem przez pewien czas byłem we Francji. - Próbował sprawić, by się domyśliła. - Widzisz Mary, to człowieka izoluje. Widziałem rzeczy... robiłem rzeczy... które oddzielają mnie od innych. Nie pasuję do tego świata, a ponadto nim gardzę. Ludzie przejmują się takimi drobiazgami... co zjedzą na kolację... co ktoś im powiedział... a to wszystko wydaje się tak absurdalnie nieważne.

Nie zaproponowała mu łatwego ukojenia: „Opowiedz mi o tym, porozmawiajmy, wyznanie przyniesie ci ulgę”. Zamiast tego usłyszał inne słowa.

- Ja też tak się kiedyś czułam. Kiedy się dowiedziałam, że jestem w ciąży, poczułam się właśnie tak.

Był zdumiony.

- Ale George... Uwielbiasz go...

- Oczywiście, że go uwielbiam.

Zapadło długie milczenie i Jake czuł, że Mary podejmuje decyzję. W końcu zaczęła mówić dalej.

- Widzisz, Jake, jestem niezamężna. - Wsunęła ręce do kieszeni żakietu. - Nigdy nie byłam mężatką. Zieliński to moje panięńskie nazwisko. Opowiadam to tylko tobie... nikt inny o tym nie wie... żeby ci pokazać, dlaczego musisz wrócić. Ja także chciałam dać za wygraną, ale tak nie zrobiłam i jestem zadowolona. Przyjęłam tę pracę, bo daje dach nad głową George'owi i mnie. I dlatego, że zapewnia mojemu synowi wykształcenie.

- Namiastkę wykształcenia - parsknął Jake.

- Angielskie wykształcenie - podkreśliła i głos jej złagodniał. - Ty również, Jake, musisz zostawić przeszłość za sobą.

Musisz myśleć o innych sprawach. Musisz być taki jak ja - dodała surowo. - Pomogę ci.

Miała ciemne, granatowoszare oczy. Przez chwilę jej spojrzenie zawisło na nim i wtedy odwrócił wzrok. Fale z hukiem uderzały o brzeg, rozbijając wielkie otoczaki na ziarenka piasku. Podciągnęła kołnierz żakietu, osłaniając się przed zimnem. Wydawała się mała i bezbronna na tle rozległej przestrzeni morza i imponujących rozmiarami kamieni. Właśnie wtedy poczuł początki nie tylko pożądania, ale sympatii, i uświadomił sobie trwożnie radosną zapowiedź bólu i odpowiedzialności, jakie pociągała za sobą owa sympatia. Lepiej zdusić to w zarodku.

- To nie jest dobre, Mary. Ja tu nie pasuję. Myślałem, że potrafię się dostosować, ale nie jestem do tego zdolny.

- Wszyscy jesteśmy nieprzystosowani, nieprawdaż? George kupuje cukierki w tym sklepie ze słodyczami... Nie pamiętam, jak się nazywają... takie żółte, różowe, czarne, białe...

- Mieszanka - powiedział.

- No właśnie. Mieszanka. Wszystko zmieszane razem. Uśmiechnął się i sięgnął do kieszeni.

- Moje papierosy...

- Cisnąłeś je do morza.

- Niech to szlag! - Spojrzał na nią groźnie. - Do diabła z tobą, Mary. Jesteś wścibską kobietą. Przypominasz mi moją siostrę - rzekł, ujmując jej silne, białe palce w swoje. - Wciąż jest ci zimno - dodał i wsunął jej rękę pod swoje ramię, a potem, ponieważ nie mógł wymyślić innego miejsca, dokąd mógłby pójść, ruszył wraz z nią z powrotem do szkoły.

Nie dostał wymówienia. W odpowiedzi na skargę Linfielda dyrektor Munday zaledwie upomniał Jake'a.

- Boi się rozgłosu - wyjaśnił Strickland, wytrząsając popiół z fajki. - Widzisz, to robi złe wrażenie, gdy jeden członek ciała pedagogicznego próbuje zamordować drugiego,

W wolne popołudnia Mary Zieliński wymyślała wycieczki. Rejsy kutrem rybackim po porcie Padstow, odwiedziny w kolonii artystów w St Ives. Jake pożyczył od Stricklanda jego stary, poobijany samochód i pojechali do Tintagelu, by obejrzeć kwitnące na ruinach orchidee. Powędrowali w głąb lądu na porażone w mroku tereny Bodmin Moor, gdzie krąg nieociosanych, kamiennych bloków rzucał długie cienie na wrzosowi-



ska. Jake obserwował Mary zza wielkich kamieni. Czarne włosy opadały jej swobodnie na ramiona, a twarz zmoczyła drobna mżawka. Widział, jak uśmiech rozświetlił jej szare oczy, gdy zaczęła ścigać się z George'em, biegając wokół pradawnego kręgu i klucząc między głazami.

Faith myślała już o pójściu do łóżka, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Guy, pomyślała, zbiegła na dół i otworzyła drzwi. W progu stała Nicole.

- Jak miło cię widzieć, Faith! - zawołała, obejmując siostrę miążdzącym uściskiem. - Gdzie tu jest toaleta? Strasznie mi się chce siusiu!

- Na górze - wskazała jej drogę i oszołomiona patrzyła, jak Nicole biegnie po schodach. To już dwa lata minęły od chwili, gdy ostatni raz widziała młodszą siostrę, pomyślała.

Hol zastawiony był walizkami i paczkami. Faith wniosła je na górę.

- W samolocie była tylko jedna okropna toaleta, a na londyńskim lotnisku stały strasznie długie kolejki - wyjaśniała Nicole, wyłaniając się z łazienki, po czym zrzuciła z siebie wełniany płaszcz w tym samym jasnym kolorze, jaki miały jej krótkie loki, i okręciła się wkoło. - Podoba ci się? Całkiem jak Liz Taylor! - Obcisły sweter i kloszowa spódnica podkreślały jej drobną, lecz krągłą figurę. - Faith, ty też wyglądasz wspaniale! Jaka śliczna sukienka. I włosy! Musisz być zakochana! - Wzięła ją za rękę. - Pozwolisz? W porządku? Zamierzałam pojechać prosto do Compton Deverall, ale nie mogłam znaleźć toalety...

Był czas, gdy nie chciała widywać Nicole; czas, gdy mogła myśleć tylko o tym, że młodszą siostrę miała wszystko, czego ona, Faith pragnęła, a jednak to zostawiła. Jednak Nicole wcale nie dręczyło sumienie, więc wobec tak bez troskiej obojętności pielęgnowanie goryczy okazało się niemożliwe. Zawsze łatwo było kochać Nicole. Pozostał tylko pewien słaby odruch, by mieć się na baczności, niewielki dystans, którego nie było w dzieciństwie.

- Wszystko w porządku. Napijesz się czegoś?

- Och tak, kochanie, proszę. Jesteś tak cudownie domyślna, jak zwykle.

- Wydawało mi się, że miałaś grać w jakimś filmie... Kiedy pisałaś w styczniu...

- Nic z tego nie wyszło. Takie okropne piosenki... Nie uwierzyłybyś, jakie były straszne. Faith, wciąż sobie myślałam, co by Felix na to powiedział - Nicole się wykrzywiła. - „Moja miłość jest jak księżyc w czerwcu, chcę się unieść ku niebu w czerwonym sercu” - zachichotała. - Naprawdę, takie rymy!

Faith podała siostrze szklaneczkę ginu z tonikiem.

- Nie miałaś umowy?

- Nie wszystko wyszło tak dobrze, jak się spodziewali. Narobili trochę hałasu, ale nie protestowali zbyt mocno. Znajdę coś innego. Coś lepszego. - Szklaneczka Nicole stuknęła o szklaneczkę Faith. - Spotkałam najcudowniejszego mężczyznę, siostrzyczko. Jest Teksaszczykiem, nazywa się Michael, a ja mam całkowitą pewność, że to on jest Tym Jedynym. Teraz wyjechał w interesach, a mnie się ścisnęło serce, więc pomyślałam, że przestanę o tym myśleć i przylecę tutaj, by zobaczyć się ze wszystkimi. -Spojrzała na Faith i zmrużyła swe niebieskie oczy. - A co u ciebie? Kiedy przyszedłam... oczekiwałaś kogoś innego, prawda?

- Nie oczekiwałam - odrzekła szybko Faith i przerwała, zła, że się tak zdradziła.

Nicole uklękła na podłodze obok walizek i zaczęła je rozpakowywać, beztrudnie wyrzucając na bok ubrania i pantofle.

- Przywiozłam ci kilka ślicznych rzeczy. To i to - mówiła, ciskając jej na kolana pudełka i paczki. - O nic więcej nie zapytam. Tylko wydajesz się szczęśliwsza niż przez wszystkie ostatnie lata i jeśli miłość jest tego powodem, to bardzo się cieszę. Wiem też, że zawsze kochałaś tylko Guya Neville'a, więc jeśli to Guy, jestem szczególnie zadowolona. Eleanor i ja... tylko pożyczaliśmy go sobie. Był zawsze był twój, Faith.

Przyjeżdżając do Compton Deverall, Nicole myślała, że to miłe, iż może znowu cieszyć się magicznym widokiem domu, jak wtedy, gdy przyjechała tutaj, będąc narzeczoną Davida. Dachy i okna jaśniały w promieniach słońca.

Znalazła oboje na tarasie za domem. David wrywał chwasty pomiędzy kamiennych płyt posadzki, a Elizabeth siedziała przy starym drewnianym stole, gryzmołąc coś pośpiesznie. Na kilka chwil Nicole przystanęła w cieniu domu, obserwując męża i córkę.

David podniósł wzrok.

- Nicole!

Uśmiechnęła się i przecinając taras, podbiegła ku niemu.

- Nie pytaj, dlaczego nie zatelefonowałam, żeby uprzedzić, że przyjeżdżam. Wiesz przecież, iż nigdy tego nie robię. - Spojrzała na niego. - Lubię poznawać po twarzach ludzi, czy są zadowoleni, gdy mnie widzą.

Kiedy przycisnął ją do siebie, zamknęła oczy, ciesząc się jak zwykle jego dotykiem i ukojeniem, jakie wtedy odczuwała. Dopiero pod długiej chwili David puścił ją i mogła wyciągnąć ramiona ku córce.

- Kochana Elizabeth, jakże wyrosłaś przez ten czas! - powiedziała lekko oszołomiona.

Obraz Elizabeth, utrwalony w pamięci Nicole po ostatniej wizycie tutaj przed dwoma laty, w 1950 roku, przedstawiał małą dziewczynkę w różowej, odświętnej sukience. Teraz jedenastoletnia Elizabeth miała na sobie jakąś okropną spódniczkę, zrobiony na drutach sweter i była, jak oceniała matka, zaledwie kilkanaście centymetrów niższa niż ona sama. Była też silna i dobrze zbudowana. Wyrośnięta pannica, pomyślała dosyć zaskoczona tym faktem Nicole. Nigdy nie wyobrażała sobie, że ma tak dużą córkę.

- Przywiozłam wam mnóstwo prezentów, ale nie jestem pewna, czy ubrania, jakie kupiłam dla ciebie, będą jeszcze pasować, Lizzie.

David przyniósł walizkę z miejsca przed domem, gdzie ją zostawiła. Nicole uklękła i otworzyła ją.

- Dla ciebie, Davidzie, kupiłam książkę, pierwsze wydanie „Moby Dicka”. Znalazłam je w księgarni w Bostonie. Próbowałam to przeczytać, ale nie mogłam; zbyt okropne... ten biedny wieloryb. I kilka wspaniałych koszul... jaka piękna bawełna, prawda? I te prążkowane skarpetki...

- Cały Londyn będzie o mnie mówić - żartował.

- A temu nie mogłam się oprzeć - mówiła, patrząc, jak David rozpakowuje miniaturę studebakera. - Zobacz, w reflektorach jest zapalniczka, a bagażnik się otwiera i możesz w nim trzymać tytoń do fajki! Och, a to... - Wyjęła płaską paczkę i skrzywiła się z pogardą. - Nagrałam płytę... Obawiam się, że to najgorsza piosenka z mojego filmu. Możesz to wykorzystywać jako podstawkę pod półmisek, jeśli chcesz.

Znów uklękła przy walizce i wyjmowała z niej kolejne prezenty.

- Lizzie, zobacz, jaka śliczna lalka... ma najcudowniejsze zapinane buciki i, spójrz, zamyka oczy. Tutaj są sukienki i spódniczka dla ciebie, ale chyba będę musiała je podłużyć. A to kupiłam na Florydzie. - Otwierając małe, obciągnięte skórą etui, pokazała córce pojedynczy sznur rzecznych pereł. - Podobają ci się, kochanie?

- Są bardzo ładne, mamusiu - grzecznie odpowiedziała Elizabeth.

- Myślę, że powinniśmy odłożyć je w bezpieczne miejsce, dopóki nie będziesz trochę starsza, Lizzie.

- Tak, tatusiu.

- Davidzie, jakież ty jesteś poważny! - zawołała Nicole, wstając. - Ja nosiłam perły mojej mamy, kiedy miałam sześć lat! Pamiętam, że gdy byliśmy w Neapolu, założyłam jeden ze starych jedwabnych gorsetów mamy i jej perły. Śpiewałam i tańczyłam na ulicy, a Faith puściła w obieg kapelusz. Zarobiłyśmy kupę forsy...

- Pomimo to - powiedział - chyba schowamy te perły. Elizabeth podała ojcu etui.

- Sądzę, że masz rację - zgodziła się Nicole. - Łatwo się rozsypują, prawda, a ponowne nawlekanie to strasznie nudne zajęcie. Kupię ci za to coś innego, kochanie. Musisz pojechać ze mną w przyszłym tygodniu do Londynu, Lizzie. Pójdziemy na balet, do teatru i do tych wszystkich cudownych sklepów...

- W przyszłym tygodniu Lizzie musi wrócić do szkoły - zauważył łagodnie David.

- Z pewnością nic by się nie stało, gdyby opuściła tydzień lub dwa.

- Mam mecz tenisowy, mamusiu. - Elizabeth przesunęła palcami po dłoni Nicole. - Byłoby wspaniale pojechać z tobą do Londynu, ale nie mogę opuścić tego meczu. A poza tym już prawie skończyłam zszywanie swojej kołderki.

- Kołderki?!

- Dla biednych dzieci w Indiach. Musimy zrobić na drutach mnóstwo kwadratów i pozszywać je ze sobą. Zabrało mi to dużo czasu.

- Tak sądzą, kochanie - odrzekła niepewnie Nicole. Spoglądając na córkę, pogłaskała jej ciemne, jedwabiste

włosy i myślała, jakie to dziwne dziecko. W przeszłości zastanawiała się niekiedy, czy ten okropny szpital położniczy nie

popęłił pomyłki i czy przypadkiem nie zamieniono jej córeczki z dzieckiem jakiejś innej kobiety. Jednak natychmiast porzuciła tę myśl. Elizabeth była niewątpliwie córką Davida. Miała jego ciemne oczy, jego opanowanie i jego rozsądek. Kiedy dotknęła wierzchem dłoni policzka dziewczynki, usłyszała słowa męża.

- Czy nie czas nakarmić kucyka, Lizzie? Biegnij do niego. Mama wygląda tak, jakby miała ochotę na drinka.

Mała umknęła śpiesznie, a Nicole westchnęła głęboko i opadła na fotel.

- Olbrzymi gin z tonikiem, proszę. I czy jest tu lód? Czy Compton Deverall ma już taką rzecz jak lodówkę?

Uśmiechnął się lekko.

- Obawiam się, że nie, ale trzymamy tonik w piwnicy, więc nie powinien być zbyt ciepły.

Po pięciu minutach wrócił z dwiema szklaneczkami.

- Bardzo starasz się chronić Elizabeth, prawda, Davidzie?

- Chcę, żeby była szczęśliwa. Pragnę oszczędzić jej bólu.

- Chronisz ją przede mną.

- Przykro mi, jeśli tak to wygląda.

- To nie ma znaczenia. Doskonale rozumiem. Nie chcesz, żeby wyrosła na kobietę taką jak ja.

Spojrzał na nią z namysłem.

- Chciałbym, żeby miała twoją urodę... twoją energię... twoją odwagę.

- Zastanawiam się, Davidzie, dlaczego, u licha, cię opuściłam. Zawsze będę cię uwielbiać.

- Opuściłaś mnie - powiedział spokojnie - bo było jeszcze wiele krajów do przewędrowania i tysiące nowych znajomości do zawarcia...

Siedzieli w przyjaznej ciszy, patrząc na atramentowe cienie drzew kładące się na trawnik. Po chwili usłyszała jego słowa.

- Opowiedz mi, jak ci się wiedzie, Nicole? Będziesz sławną gwiazdą filmową? Zobaczymy twoje nazwisko wśród neonów na Picadilly?

Roześmiała się niefrasobliwie.

- Obawiam się, że nie. Zbyt nudne jest to całe wyczekiwanie, kochanie. Czeka się godzinami, a potem nakręcają cię w pięć minut.

- Co zatem będziesz robić?

- Och, będę śpiewać - odrzekła beztrąsko. - Wolę występy. Lubię widzieć moją publiczność.

- Mówisz to dość niepewnie.

- Nigdy nie byłam uosobieniem pewności, prawda, mój drogi? Ich oczy spotkały się na chwilę. David potrząsnął głową.

- A z pieniędzmi wszystko w porządku? Radzisz sobie?

- Doskonale. Absolutnie doskonale - odrzekła stanowczym tonem i spojrzała na niego. Na rękawach marynarki miał skórzane łątki. - A ty, Davidzie? Wciąż pracujesz w Londynie?

- Tak, w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Chciałbym to rzucić i skoncentrować się na gospodarstwie, gdyż wtedy Lizzie nie musiałaby się uczyć w szkole z internatem, ale to jest niemożliwe.

Dotknęła jego ręki.

- Wydajesz się zmęczony, kochanie.

- Mam czterdzieści cztery lata - przypomniał jej z uśmiechem. - Jestem już stary i siwy.

- Tak jak ja.

- Nie - powiedział. - Ty nigdy się nie zestarzejesz.

- Poszukam Lizzie. Wyjeżdżam jutro rano.

- Tak szybko?

- Tak. Muszę więc pogawędzić z moją córką.

Zastała dziewczynkę w stajni, karmiącą kucyka. Nicole stała tam przez chwilę niezauważona, przyglądając się, jak jej córka wyczesywała koński ogon, i słuchając, jak delikatnie mruzczała coś do zwierzęcia. Zrozumiała, że Elizabeth kocha tego kucyka tak, jak ona kochała niegdyś swoje małpki, pieski, kotki i wszystkie inne stworzenia, którymi się opiekowała, będąc małą dziewczynką. Nicole przez chwilę poczuła nieznośny smutek, jakby rozumiejąc, że straciła coś niezastąpienie cennego.

Następnego ranka jednak, opuszczając Compton Deverall, spojrzała za siebie na błyszczące okna, które niegdyś próbowała policzyć, i zrozumiała, że nie mogła postąpić inaczej, bo cieszyła ją tylko ciągła wędrówka.

## *Rozdział dwunasty*

Latem 1952 roku, blisko rok po otwarciu „Błękitu Nieba”, Faith i Con pierwszy raz osiągnęły zysk wynoszący sto pięćdziesiąt funtów na tydzień. Godnie uczciły ten fakt piwem z pubu po drugiej stronie ulicy i ostrygami kupionymi w dziale spożywczym u Harrodsa.

- Powinien być szampan, oczywiście - powiedziała Con -ale zawsze uważałam, że piwo jest lepsze. Mniej zdradliwe.

O wpół do ósmej sklep był już zamknięty, gotówka została policzona, a podłoga umyta, więc siedziały na górze w kuchence Faith.

Sądysz, że staniemy się bogate? - zapytała dziewczyna.

- Bajecznie - odrzekła krótko Con.

- Przyjemnie byłoby mieć ekspedientkę.

- Albo sprzątaczkę. Faith przełknęła ostrygę.

- Albo wolny dzień...

- ...żebyś mogła go spędzać z twoim facetem?

Jedynie Con wiedziała o Guyu i zawsze mówiła o nim „twój facet”. W tym określeniu było coś, co podobało się Faith. Jakby Guy naprawdę był zawsze jej, a nie tylko w owych szczególnych porach dnia, kiedy nie wzywały go ani obowiązki zawodowe ani rodzina.

- Nawet gdybym miała cały wolny dzień, on niemal na pewno by go nie miał - odparła ponuro.

- To jest cena grzechu, moja droga. - Con otworzyła butelkę piwa i napełniła szklanekę swojej współpracownicy - ale przecież możesz wziąć trochę wolnego, jeśli chcesz, i pojechać w odwiedziny do ojca.

Faith pomyślała o Heronsmead i o tym, jak przyjemnie byłoby przejść się po plaży we mgle późnego lata.

- Och, Con, to byłoby cudowne, ale jak ty sobie tutaj poradzisz?

- Zapytam dziewczynę, która przyszywa ozdoby do naszych sukien, czy nie chciałyby jeszcze trochę dorobić. Można na niej polegać - odrzekła współniczka, połykając kolejną ostrygę.

Gdy Con poszła do domu, Faith posprzątała i wzięła się do sklepowych ksiąg. Pracując, poczuła znany ból w dole brzucha; ten sam, którego doświadczała co miesiąc, odkąd ukończyła czternaście lat. Poczuła też nagłe rozczarowanie: było już pięć dni po terminie i miała nadzieję...

Na co? - pomyślała nagle, zła na samą siebie. Miała nadzieję na dziecko? Na dziecko Guya? Spodziewała się, że Guy, który zawsze był tak ostrożny, mógłby popełnić jakiś błąd?

Zrobiła sobie herbatę, znalazła aspirynę i z termoforem na brzuchu zawinęła się w kołdrę. Co miesiąc te same marzenia, pomyślała z niechęcią do siebie. Te same głupie, niemożliwe do spełnienia fantazje o dziecku Guya. I jeszcze głupsze, niegodziwe rojenia o Guyu porzucającym żonę oraz syna, by zamieszkać z Faith w domu w Norfolk. W domu o oknach z okiennicami, otoczonym zdziczałym ogrodem.

Rozglądając się po pokoju, wyobraziła w nim sobie dziecięce łóżeczko, wózek, wysokie krzeselko i mokre pieluszki. Roi mi się, pomyślała z goryczą, zamieszkanie z człowiekiem, którego nie mogę poślubić, a do tego jeszcze w domu, na który nie mogę sobie pozwolić. Po chwili wstała, przyniosła z kuchni książki zamówień i wzięła się do ich przeglądania, z wielką uwagą sprawdzając faktury i rachunki.

Lato przeciągało się, rozrzucając po szerokim lazurowym niebie strzępiaste obłoki. W Heronsmead Faith zastała Ralpha w ogrodzie przy zbieraniu jeżyn.

- Spleśniały. Okropna roślina... całe lato spędziłem, nadziewając się na jej kolce, a teraz to przeklęte paskudztwo spleśniało. - Wyłonił się z krzaków i mocno uściskał córkę.

- Upiekłam ci ciasto - powiedziała, pokazując przywiezioną paczkę.

- Z różowym lukrem. Moje ulubione. - Ralph rozejrzał się wokół niezdecydowanie. - Herbatę moglibyśmy wypić w ogrodzie. Obawiam się, że w kuchni jest trochę nieporządku.



Faith weszła do środka. Kuchnia stanowiła obraz nędzy i rozpacz. Poczerniałe ze starości obierki od ziemniaków wypełniały zlew, a zawartość dzbanka na mleko pokrywała bryłową warstwą okienny parapet. Serce Faith jak zwykle ścisnęło się na myśl, że brak tu Poppy. Nie pogodziła się z tym, mogła się tylko przyzwyczaić.

Zrobiła herbatę i zaniósła ją do ogrodu. Ojciec wyciągnął z ogrodowej szopy sfatygowane leżaki.

- Dostałem list od Nicole - oznajmił, gdy naląła herbatę, i podał Faith kawałek papieru, który wyjął z kieszeni. Patrząc na zagniecenia i przetarte brzegi, domyśliła się, jak często go czytał. - A Jake? - zapytał, gdy przeczytała list od siostry. - Widziałas się z Jakiem?

- W końcu lipca. Miewa się doskonale. Od pięciu miesięcy pracuje w szkole. Jest bardzo zajęty.

Kroiła ciasto, żeby wypełnić czymś milczenie i próbowała nie wyobrażać sobie, jak by się czuła, gdyby nie widziała Lizzie od dziesięciu lat.

- Nauczyciel - powiedział Ralph z dumą. - Mój syn jest nauczycielem. Nigdy bym w to nie uwierzył.

Następnego popołudnia poszła do budki telefonicznej. Tata tak postępował, pomyślała. Wychodził ukradkiem i telefonował do Lindy Forrester. Przez chwilę czuła się zawstydzona, a potem, jak zwykle, zatrzasnęła tę myśl w jakimś głębokim zakamarku własnego mózgu. Czasami drzwiczki owego schowka groziły gwałtownym otwarciem. Jeśli nikt nie wie, to nikt nie cierpi, mruknęła do siebie i starała się w to wierzyć.

Guy dopytywał się o Ralpa.

- Ojciec miewa się dobrze. Trochę się postarzał i stetryczał, ale czuje się doskonale.

- Tak bardzo chciałbym go zobaczyć. Gdybym tylko mógł... - przerwał. - Opowiedz mi o Heronsmead, Faith. Opisz mi to miejsce, chcę słuchać twojego głosu.

Opowiedziała mu o domu, ogrodzie i plaży.

- A gdybym przyjechał do Heronsmead, czy mógłbym gdzieś się z tobą spotkać?

Serce jej zabiło gwałtownie. Myślała szybko.

- Jest takie miejsce, trójkątna łąka, gdzie droga do miasteczka skręca z szosy...

- Spotkamy się tam o... niech pomyślę... o dziesiątej, jutro rano. Eleanor i Selwyn umówili się na weekend z dawnym nauczycielem mojego teścia w Oksfordzie. Spędzimy cały dzień, Faith, w miejscu, gdzie nikt nas nie zna, i będziemy mogli pójść, dokąd zechcemy, a także robić to, co chcemy. - Usłyszała radość w jego głosie. - Masz coś przeciwko temu, by spędzić jeden dzień z dala od ojca? A Ralph?

- Zamierzałam pojechać na przejażdżkę rowerową. Och, Guy - westchnęła z zachwytem. - Cały dzień!

Czekał na nią w samochodzie w umówionym miejscu, gdy przyjechała tam następnego ranka. Zeskoczywszy z roweru, rzuciła się w ramiona Guya i pocałowała go.

- Przywiozłem coś do jedzenia - powiedział. - Pieczone kraby i jabłka.

Pojechali na północ, do Blakeney Point. Morze lśniło. Zaparkowali samochód i szli kamienistym przesmykiem, ukrytym między słonymi błotami a morzem. Na kamieniach leżały szkliste, zakrzepłe meduzy przyniesione przez przyływ. Ostatnie żółte maki drżały w lekkiej bryzie. Faith zbierała kamyki i kawałki kolorowego szkła wygładzone przez fale niczym klejnoty, a on pisał na piasku imiona obojga. Urządzili sobie piknik. Karmiła Guya kawałkami krabów. W ostatnich promieniach letniego słońca leżeli obok siebie. Ręka mężczyzny otaczała jej ramiona.

Pokazała mu swój dom.

- Wciąż odkładasz sześciopensówki? - zapytał, gdy podjeżdżali tam drogą wysadzaną drzewami.

- Otworzyłam sobie rachunek bankowy. Czyż nie robi to na tobie wrażenia, Guy?

- Ogromne.

- Musiałam przeliczyć wszystkie zebrane sześciopensówki. Uzbierałam przeszło trzydzieści funtów. Ale ten dom kosztuje sześćset pięćdziesiąt.

- Chciałbym, żebyś pozwoliła, bym ci pomógł.

- Wiesz, że nie pozwolę - odparła. Samochód trząśnięty na nierównej drodze. - To jest dążenie, Guy. Coś, co muszę zrobić sama dla spokoju mego ducha. To jest właśnie to miejsce. Czyż nie jest doskonałe?

Zwolnił i wyjrzał przez okno samochodu.

- Zupełnie nadzwyczajne. Dom czarownicy.

Otworzyła bramę. Bluszcz przyciskał okiennice do ścian, a dach pokrywały łaty mchu, tak że dachówki upstrzone były zielenią i złotem. W ogrodzie chwasty zwieszały się z tego, co niegdyś było kolekcją ozdobnych krzewów, a jeżyny opanowały koronkowe, poźółkle pozostałości grządki warzywnej. Na krzaku pnącej róży pozostało kilka różowych, pachnących, przekwitłych kwiatów. Trawnik za domem w całości opanowały mlecze. Faith wrzuciła kamień do studni i nasłuchiwała, ale usłyszała jedynie gwizd drozda, uderzenie muszli ślimaka o kamień i wiatr poruszający liśćmi wierzby.

Otworzyła okno z trzaskiem okiennic i szczęką zamka i próbowała wdrapać się na parapet.

- Chcę zobaczyć, jak jest w środku - powiedziała z uśmiechem. - Jeśli mam tu mieszkać... Podsadź mnie, Guy.

Zrobił to, a Faith wskoczyła na parapet i wślizgnęła się do wnętrza. Była w dawnej pomywalni. Pod olbrzymim zlewem stały oplecione pajęczynami kamienne stągwie, a z haków w ścianach zwieszały się pozieleniałe ze starości miedziane naczynia. Rozrzucone słomki i piórka powiedziały Faith, że w stojącej na suszarce zardzewiałej puszcze po proszku do mycia naczyń urządził sobie kiedyś gniazdo jakiś ptak.

Gdy weszła do sąsiedniego pomieszczenia i rozsunęła bu-twiejące zasłony, wzbijając przy tym chmurę kurzu, usłyszała za sobą kaszel Guya.

- To kuchnia - powiedziała, trzaskając drzwiczkami starodawnego pieca, a potem otworzyła ponurą spiżarnię.

- Całkiem współczesna konstrukcja... - Guy przesuwiał palcem po zakurzonej półce.

- Co tam piszesz?

- A cóż by innego?

Przeczytała to, co naprędce skreślił w kurzu: „Guy kocha Faith”. Przyciągnął ją do siebie i zaczął całować.

- Nie tutaj - szepnęła między pocałunkami i dodała: -Prawdopodobnie są tu duchy.

- Chyba raczej szczury - powiedział i poprowadził Faith do drzwi, ręką opasując jej talię.

Ruszyli na piętro. W wychodzącym na frontowy ogród pokoju ze smugami światła wdzierającymi się przez odrapane okiennice i upstrzonym przez muchy lustrem nad kominkiem Guy kochał się z Faith, zdjawszy z niej ubranie, tak że stanęła

przed nim naga. W lustrze zobaczyła, że na chwilę zamknął oczy, jakby nie mógł znieść jej bliskości. Kiedy zaś klęcząc przed nią, całował jej palce, stopy, kostki i łydki, zadrżała przez chwilę z niepewności, czy doznaje rozkoszy czy bólu.

Kiedy w końcu oderwali się od siebie i leżeli nasyceni, oglądając powolną wędrówkę pajaków po splekanych suficie, popołudniowe słońce zaczęło przygasać. Na zakurzonej podłodze odcisnęły się kształty ich ciał. Guy wstał i nagi wyszedł z pokoju, a po kilku minutach wrócił z wiadrzem wody.

- Wszystko, co zdołałem wyciągnąć z tej studni. Jesteś w łatki, kochanie.

- Kochasz mnie jeszcze taką łaciata?

- Kochałbym cię czarną, białą, czerwoną, zieloną albo w paski lub w kropki - odrzekł i zamoczywszy w wiadrze chusteczkę, umył stopy, nogi, ręce i piersi Faith.

Gdy ubrani zeszli na dół, zobaczyła, że przez otwarte okno wpadły suche liście. Na zewnątrz, w ogrodzie, płatki pnącej róży opadały na szmaragdowy trawnik jasnymi kleksami.

Jadąc z powrotem krętymi wiejskimi drogami, rozmawiali niewiele. Kiedy dotarli do szosy biegnącej wzdłuż brzegu, zobaczyli, że nadszedł przypływ, i Faith dostrzegła, że usunął on ślady ich porannej wizyty: resztki po pikniku i wgłębienia, w których spoczywały głowy obojga, oraz ich imiona napisane na piasku.

W czasie letnich wakacji Heatherwood Court zmieniało się przyjemnie. Z chwilą wyjazdu dyrektora Mundaya i jego żony na coroczny urlop („Uprawiamy turystykę samochodową w hrabstwie Buckingham, drogi chłopcze. Tam są cudowne gospody!”) z pustych korytarzy i klas najwyraźniej ulatniało się napięcie.

W internacie pozostawała jedynie garstka nieszczęśników, których rodzice mieszkali za oceanem, zbyt daleko, by latem zabierać synów do domu. Nauczyciele także rozjechali się w różne strony: Strickland obserwował ptaki w Hiszpanii, a Denman i Lawless uganił się za dziewczętami w Blackpool. Nawet Linfield wyszedł pewnego ranka na podjazd w sportowej marynarce, zamiast zakurzonej akademickiej togi, i z tekturową walizką w ręce.

Chociaż Jake wzniósł ze Stricklandem toast za koniec semestru i chociaż udawał, tak jak wszyscy pozostali, że marzy

o tym, by uciec z szarych, granitowych murów Heatherwood, to jednak poczuł się jakoś dziwnie i nie wiedział, co zrobić z wakacjami. On, który wcześniej podróżował po świecie, teraz nie miał pojęcia, co robić i dokąd się udać. Niezmiennosc Heatherwood Court i cechujące to miejsce nieprzystosowanie do realiów powojennej Anglii podtrzymywały na duchu go przez ostatnie sześć miesięcy. Bał się naruszenia owej chwiejnej równowagi i ponownego zagubienia się w chaosie zewnętrznego świata. Kiedy jednak Mary i George poszli z plecakami na przystanek autobusowy, Jake również wrzucił do torby kilka rzeczy i skierował się na dworzec.

Spędził dwa tygodnie, odwiedzając starych przyjaciół, a potem z uczuciem bliskim ulgi wrócił do Heatherwood. Mary powitała go herbatą, ciasteczkami i opowieściami o tygodniu na campingu w Lulworth Cove i poczuł się tak, jakby wrócił do domu. Tego wieczoru zaprosił ją do kina w Boscastle. Film był nudny i nieprzekonywający, ale w ciemności Jake przytulił Mary do siebie. Jej włosy pachniały kwiatami, a policzek pod jego wargami był chłodny i miękki. Całując ją, Jake zrozumiał nagle, że to właśnie Mary przyciągnęła go z powrotem do szkoły; że to ona sprawiła, iż Heatherwood wydawało mu się teraz bliskie.

Jednak po chwili odsunęła go, poprawiła sukienkę i ponownie odgarnęła włosy za uszy.

- Nie tutaj, Jake, ktoś mógłby nas zobaczyć.

Zawsze słyszał to samo. Nie tutaj. Ktoś mógłby nas zobaczyć. A jednak spędzali razem całe dnie, chodząc na długie spacery i zatrzymując się tylko po to, by coś zjeść lub napić się chłodnego jabłecznika w jakimś wiejskim pubie. Pewnego dnia wynajęli rybacką łódź i Jake pokazywał George'owi, jak prowadzić linę, by złowić makrele w zielonkawym morzu. Przemierzając brzeg, szukali skamielin i oglądali morskie anemony falujące brązowofioletowymi czułkami.

Obecność George'a i obawa Mary przed ujawnieniem ich relacji narzucały obojgu przyzwoite zachowanie. Wieczorami Mary przygotowywała kolację w małej kuchni przylegającej do jej mieszkania, później zaś grali w karty lub słuchali radia. Jednak Jake nie wiedział na pewno, czy uważała go za kogoś bliższego niż kolegę. Wolno mu było trzymać za rękę Mary i pocałować ją na dobranoc. Raz czy dwa ów pocałunek się przedłużył, ale wciąż odsuwała się od niego. Jake starał się ukrywać

irytację zrodzoną z podejrzenia, że matka George'a godziła się na jego towarzystwo jedynie dla zabicia czasu.

We wrześniu liście na drzewach otaczających szkołę zabarwiły się na brązowo, a błękit morza przeszedł w szarość. Świadomość, że letnie wakacje zmierzają ku końcowi, przytłaczała Jake'a. Już wkrótce koło staroświeckiej, dusznej rutyny Heatherwood miało jeszcze raz pójść w ruch. Bał się powrotu swego zwyczajnego zniecierpliwienia i gdy myślał o tym wszystkim wystarczająco długo, dochodził do przekonania, że Heatherwood było jedynie odroczeniem wyroku i niczym więcej.

Przedostatniego dnia wakacji zrobili spacer wzdłuż cypla. Było już chłodniej; biała piana znaczyła błękitnoszare fale, a tarczę słońca przecinały chmury, które pędził wiatr. Rozmowa wzbierała i zamierała w plątaninie nierozstrzygniętych kwestii, to zaś jeszcze potęgowało irytację i znużenie obojga. Jake nie potrafił wyrazić wszystkiego, co naprawdę zamierzał powiedzieć; zresztą nie wiedział, czy chciałby coś wyznać.

Po powrocie do Heatherwood Mary dała George'owi kolację i położyła go do łóżka, Jake zaś w swoim pokoju nalał sobie dużą whisky, zapalił papierosa i oparty plecami o biurko stał, paląc i pijąc. Gwiazdy za otwartym oknem wydawały się nikłymi główkami od szpilek na pochmurnym niebie.

Usłyszał kroki kobiety w korytarzu.

- George już zasnął - powiedziała, gdy otworzył jej drzwi. - Ten spacer musiał go bardzo zmęczyć.

Oparła głowę na ramieniu Jake'a, a ręką objęła go w pasie. Zaczął ją całować. Czuł, że Mary także odpowiada na jego pocałunki. Przyłgnęła do niego całym ciałem, a jej wargi poddały się, pozwalając, by penetrował je językiem. Kiedy rozpiął guziki bluzki i pieścił nagie piersi kobiety, nie zaprotestowała. Wydała tylko ciche westchnienie rozkoszy lub zaskoczenia. Gdy wziął do ust sutek Mary, jej miękkie ciało dotykało jego twarzy. Kiedy jednak niezdarnie usiłował rozpiąć zamek jej szortów, odsunęła się od niego.

- Jake! - powiedziała ostro, a potem zaczęła szybko zapinać haftki i guziki, ocierając przy tym twarz wierzchem dłoni, jakby ją zranił i chciała zetrzeć ból.

Zaklął.

- O co chodzi? - zapytała, podnosząc wzrok.

- Za każdym razem... - zaczął, ale nie dokończył zdania.

Mary patrzyła na niego zmrużonymi oczami.

- Nie pozwoliłam się „zaliczyć”, prawda, Jake?

Zgniółł papierosa, który teraz wypalał okrągłą czarną dziurę w blacie biurka.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie jestem taka łatwa, jak myślałeś.

- O czym ty, u licha, mówisz?!

- O tobie, Jake. I o mnie. - Jej oczy były teraz twarde jak granit. - Przypuszczałeś, że skoro mam nieślubne dziecko, to się z tobą prześpię? - Odsunęła się od niego. - To dlatego jesteś taki zły? Mam rację, prawda?

Prawie nie mógł mówić.

- Niech to szlag!

- Zamierzałeś mnie „odhaczyć” na swojej liście? Jak tę tłustą dziewczynę z baru „Pod Różą i Koroną”, którą pieprzyłeś za krzakami janowca, albo tę głupiutką pokojówkę?

Miał ochotę ją uderzyć. Robił w życiu różne rzeczy, pomyślał, ale nigdy nie uderzył kobiety, nawet Lindy Forrester. Podszedł do okna i zacisnął pięści, tak długo przyciskając kostki do parapetu, aż zaczęły go boleć.

- Jeśli tak to widzisz, to dlaczego tracisz ze mną czas? - zapytał, gdy trochę się uspokoił.

Mocno wzruszyła ramionami, ale nic nie odpowiedziała.

- Bo lubisz, by cię ze mną widziano? - pytał dalej. - Zresztą nie ma tu wielkiego wyboru, prawda? Strickland jest za stary, Denman jest łysy, a Linfield to sadysta... Przypuszczam, że ze mną przynajmniej można się pokazać, nieprawdaż?

Zapadło milczenie. Mary usiadła z podkurczonymi pod siebie nogami w sfatygowanym fotelu Jake'a, objąwszy się własnymi rękami, jakby pragnęła się osłonić.

- Dlaczego tak się dziś na mnie wściekasz? Miło spędziliśmy czas... myślałam, że obojgu nam było miło... a jednak ty jesteś coraz bardziej niezadowolony. Czy dlatego, że nie chcę pozwolić, abyś się ze mną kochał, Jake?

- Nie, do diabła, Mary...

- Nie chcesz się ze mną kochać?

Spojrzał na nią, na krągły biust pod bluzką, na szczupłe nadgarstki oraz kostki i jego gniew zgasł.

- Oczywiście, że chcę się z tobą kochać, lecz tylko wtedy, jeśli i ty będziesz tego chciała. Ale jasno dałaś mi do zrozu-

mienia, że nie chcesz, więc dlatego zastanawiam się, czy ty mnie w ogóle kochasz.

- Kochasz... - powtórzyła powoli. - Pierwszy raz użyłeś tego określenia, Jake.

Nie był przyzwyczajony do wymawiania tego słowa i zamarło teraz na jego ustach. Nagle poczuł się znużony.

- Nie wiem, co o mnie myślisz - odrzekł ze smutkiem. - Nie wiem, co czujesz. Tak, chcę się z tobą kochać. Ponieważ cię pragnę, ponieważ jesteś piękna, ale również dlatego, że to mnie w czymś utwierdza.

- Że jesteś młodym przystojnym mężczyzną... pożeraczem kobiecych serc? - zapytała, ugniatając w dłoniach brzegi swetra, ale po chwili dodała: - Przepraszam, Jake, nie zasłużyłeś na to.

Znów zapadło milczenie; w końcu Mary zaczęła mówić.

- Widzisz, on się ze mną kochał tylko raz. - Głos jej drżał. - Powiedział, że mnie kocha, chodziliśmy ze sobą kilka miesięcy. I wtedy... kiedy mu pozwoliłam... to było w parku, nieopodal znajdowali się inni ludzie... poczułam się bardzo zawstydzona. - Odetchnęła głęboko. - Bo było to właśnie takim... odhaczeniem na liście... znaczkiem przy moim nazwisku. - Podciągnęła kolana do brody, obejmując je rękami.

- Ojciec George'a? - zapytał Jake. Skinęła głową.

- Ktoś mi powiedział, że potem przechwalał się tym w pubie. - Głos jej drżał. - Możesz to sobie wyobrazić, prawda?

Oczy Mary błyszczały w mrocznym świetle pokoju. Jake nalał drugą whisky i wsunął szklaneczkę w jej dłoń. Gdy Mary próbowała się napić, jej zęby dzwoniły o brzeg szklanki.

- Dowiedział się, że zaszłaś w ciążę?

- Spytał tylko: „Skąd mogę wiedzieć, że to moje?”. Uderzyłam go. Naprawdę go uderzyłam. - Przełknęła w końcu whisky. - Wkrótce został powołany do wojska.

- Co zrobiłaś?

Odgarnęła włosy i ścisnęła usta.

- Początkowo myślałam, żeby pozbyć się ciąży, ktoś nawet dał mi adres. Jednak nie mogłam tego zrobić; nie wiem dlaczego. Nie miałam dokąd pójść. Moja rodzina mieszkała w Polsce, a po wybuchu wojny nie mogłam wrócić do domu. Czułam gorycz i poniżenie. Myślałam o samobójstwie. Wiele razy o tym myślałam, Jake. I niemal to zrobiłam! - Roześmiała się krót-



kim, ostrym śmiechem. - Mieszkałam w okropnym małym pokoju, było bardzo zimno, więc włożyłam głowę do piecyka gazowego i odkręciłam kurki. Ale... Jake, to nie dowcip... nie zapłaciłam rachunku i odcięto mi gaz!

Trzymał ją, dopóki nie przestała płakać.

- Wtedy uświadomiłam sobie, że sądzono mi pozostać przy życiu - powiedziała po chwili. - Nie wiedziałam dlaczego... myślałam, że dla dziecka. Szukałam więc pracy na farmach oraz w sadach i odkładałam tyle pieniędzy, ile mogłam. Nosiłam luźne sukienki i ciasne pasy, by moi pracodawcy nie domyślili się, że jestem w ciąży. Planowałam, że kiedy dziecko przyjdzie na świat, oddam je do adopcji, ale znowu nie mogłam tego zrobić. Zamiast tego kłamałam; wymyśliłam jakąś przeszłość, męża, który zginął, latając w RAF-ie. - Spojrzała na Jake'a. Łzy skleiły jej rzęsy, lśnią niczym punkciki gwiazd. - Zrozum Jake, nie dostałabym tej pracy, gdyby ktoś poznał prawdę. Szkoły nie zatrudniają niezamężnych matek.

W pokoju nagle zrobiło się zimno. Nim minął dzień, lato zmieniło się w jesień. Jake ukląkł przed kominkiem i zaczął rozpalać ogień.

- Nie możesz przez całe życie uciekać przed miłością z powodu jednego drania.

- Nie uciekam przed miłością. Kocham George'a bardziej, niż kiedykolwiek kochałam kogoś innego.

- Mam na myśli mężczyzn - odrzekł Jake, pocierając zapałkę. Zmięta gazeta zapaliła się szybko. Mary zsunęła się z fotela i usiadła na dywaniku przed kominkiem.

- A ty, Jake? - zapytała. - Gdzie twoja żona, dzieci, gdzie twój wiejski dom? Uśmiechnął się krzywo.

- Nie umiałem stworzyć niczego trwałego. Walczę po niewłaściwej stronie... Kochałem się w niewłaściwych kobietach. Jeśli spłodziłem jakieś dzieci, to ich matki nie powiadomiły mnie o tym.

- Chcesz... tego wszystkiego? Wielu mężczyzn nie chce.

- Życia rodzinnego? - Namyslał się przez chwilę. - Kiedyś myślałem, że moja rodzina jest jedyną wartością, na którą mogę liczyć. Potem coś się wydarzyło i zrozumiałem, że byłem w błędzie. Na nic nie można liczyć, nieprawdaż?

- Masz siostrę, czy tak?

Opowiedział jej kiedyś o Faith i „Błękitne Nieba”. Podarował nawet Mary na urodziny jeden z niezwykłych szali Faith.

- Mam dwie siostry - odrzekł, wrzucając do ognia bryłki węgla. - Młodsza mieszka za granicą. Mam też siostrzenicę.

- Nie masz już żadnego z rodziców?

Potrząsnął przecząco głową, ale pierwszy raz to kłamstwo sprawiło mu przykrość.

- A ty?

- Moi rodzice zginęli w powstaniu warszawskim, a bracia zostali zabici, gdy armia niemiecka napadła na Polskę.

- Biedna Mary. Uśmiechnęła się lekko.

- Wcale nie. Mam George'a. Mam też mieszkanie i pracę, a czasem... - spojrzała na niego - ...czasem myślę, że mam ciebie, Jake.

Ujął jej rękę.

- Oczywiście, że masz mnie. Jeśli tylko chcesz mnie mieć. Jednym palcem odsunęła kosmyk włosów, który opadał mu na oczy.

- Och, chcę - powiedziała miękko - chociaż czuję, że jesteś przelotnym ptakiem, Jake; że nie zostaniesz tutaj dłużej.

Palec Mary przesunął się po jego brwiach, a potem po wypukłości nosa i dwóch bruzdach, które zaczynały się tworzyć wokół ust, a kiedy znalazł się na ich linii, Jake pochylił się i scalał z jej warg resztki łez.

- Czy potrafisz sobie wyobrazić, że spędzisz tu jeszcze dziesięć lat albo nawet pięć lub choćby rok? - szepnęła, lecz nie odpowiedział, a zamiast tego pieścił ustami wewnętrzną stronę jej nadgarstka, zagłębienie łokcia i miejsce przy obojczyku.

Tym razem nie protestowała, gdy ją rozebrał. W migotliwym świetle ognia leżała naga na dywanie, gdy on ustami przebiegał drogę od jej ramienia do piersi, a potem od piersi do pępka i od pępka do ciemnych loczków między nogami. Kiedy w nią wszedł, jej ciało wygięło się w łuk. Z drżeniem doszła na szczyt.

- George... czasami budzi się w nocy i mnie woła - powiedziała potem i zaczęła się ubierać.

Patrzył, jak Mary wychodzi z pokoju. Po chwili Jake także się ubrał i zszedł po schodach na dół. W oświetlonym księżycową poświatą ogrodzie zerwał naręcze lawendy i stokrotek

i wdychając ich zapach, spoglądał od czasu do czasu na jasny księżyc.

Nie starczyło jej słoików po dżemie na te kwiaty. Jake zrobił śniadanie dla nich trojga i nalegał, by pojechali autobusem na wybrzeże.

- Ależ wkrótce wracają chłopcy! - protestowała Mary, gdy wyciągał ją ze szkoły. W małym nadmorskim sklepiku z pamiątkami kupił jej szkatułkę ozdobioną muszelkami. Na obiad zjedli jajecznicę z chipsami i chleb z masłem w plażowym barze wyklejonym podartymi plakatami, które nawoływały do picia mleka. Świeciło słońce, a morze się skrzyło. George głośno pił przez słomkę koktajl mleczny. Kiedy wyszli z baru, Jake musiał osłonić oczy przed słońcem. W cieniu widać było przesuwające się twarze. Spojrzał na nie i zaklął.

- Co się stało?

Ręka Jake'a otaczała talię Mary. Cofnął szybko dłoń, jakby to dotknięcie mogło sparzyć kobietę, ale wiedział, że już za późno.

- Linfield - powiedział. - Po drugiej stronie ulicy.

- Widział nas?

Jake dostrzegł, że tamtemu lekko rozszerzyły się oczy.

- Tak. Psiakrew! - powiedział nagle z gniewem. - Wykorzysta to, oczywiście, żeby mi odpłacić za tamto.

- Tamto było dawno. Prawdopodobnie zapomniał.

- W wojsku znałem ludzi takich jak on. Nie zapominają i długo pielęgnują urazy w sercu.

Mary wyglądała na przerażoną.

- Sądysz, że opowie o nas dyrektorowi Mundayowi?

- Prawdopodobnie - odrzekł Jake, zaciskając pięści. - Tak, chyba tak.

Z upływem miesięcy Faith odnosiła wrażenie, że wokół niej i Guya zamknęły się chłodne ściany, chwytając ich w pułapkę jakiegoś małego, ciasnego pudełka.

Najpierw spotykali się w British Museum albo w National Gallery, żartując pod groźnym wzrokiem kamiennego faraona lub obok „Walczącego niewolnika”.

Zrezygnowali jednak zarówno z muzeum, jak

*i* z galerii sztuki, gdy Guy omal nie został zauważony przez jednego ze swoich kolegów. Kucając za kamienną płytą z greckimi inskrypcjami, Faith z trudem tłumiała śmiech; potem jednak, gdy była już w domu, zrobiło jej się niedobrze ze strachu.

Zakazany związek zamknął przed nimi wszystko to, czym cieszyli się inni. Ich miłość była samotna, naznaczona próżnią i ukrywana starannie przed światłem dnia. Faith zastanawiała się, czy owo uczucie może nadal trwać, czy też, pozbawione powietrza, będzie musiało umrzeć. Bolało ją to, że musi oglądać swoje ulubione filmy bez Guya, sama buszować w antykwariatach i gotować dla jednej osoby, a nie dla dwóch. Przeszkadzało jej również, gdy nie mogła dzielić wieczorów spędzanych w pubach i klubach jazzowych z człowiekiem, którego kochała najbardziej na świecie, i nie przyjmowała zaproszeń, samotnie czekając w domu na telefon, chociaż nie dzwonił. Ta zima nauczyła Faith, że ona i Guy egzystują po jednej stronie pewnej grubej linii, a inni ludzie są po drugiej. W najzimniejszych miesiącach roku chodzili do parków i obskurnych barów przy bocznych ulicach, kryjąc się w miejscach, których nie odwiedziłby nikt, kogo znali.

Przez całą zimę ojciec chorował na bronchit i Faith kursowała między Londynem a Heronsmead. W czasie weekendów robiła zakupy Ralphowi i sprzątała mu dom, w powszednie dni zaś pracowała w sklepie, szyjąc i prowadząc księgi rachunkowe. Kiedy pod koniec stycznia morze zerwało umocnienia wschodniego wybrzeża, ojca trzeba było zabrać z jego zalanej chatki. Przez niemal dwa tygodnie mieszkał wtedy - bezradny, narzekając głośno i usychając z tęsknoty za domem - w maleńkim mieszkaniu nad sklepem. Gdy woda opadła, Faith zabrała Ralpa z powrotem do Heronsmead i spędziła tam tydzień, szorując zalane błotem podłogi oraz naprawiając lub szyjąc nowe zasłony i kilimki. Dom pachniał mułem i wilgocią.

W środowe popołudnia „Błękit Nieba” zamykano wcześniej. W środowe popołudnia, które Guy także miał wolne, spotykali się oboje w małym hoteliku w Battersea. Czasami Faith przyłapywała się na myśli, że bez owych nielicznych cennych godzin ich związek po prostu by się wypalił... nie w jakiś dramatyczny sposób, lecz zwykłą śmiercią z opuszczenia.

W hotelu na podłodze leżało zielone linoleum i czuło się tam zapach kapusty oraz zupy ziemniaczanej. Była tam również dyskretna właścicielka.

- Moglibyśmy jeździć do jakichś lepszych miejsc - odezwał się Guy, leżąc na łóżku i patrząc na strugi deszczu spływające po okiennej szybie. - Niektóre z tych eleganckich hoteli są bardzo dyskretne.

- Lubię ten. Wprost go uwielbiam - zaprotestowała Faith, wtulona w jego ramię.

- Faith, ten hotel jest ohydny - powiedział, okręcając sobie wokół palców jej włosy.

- Lubię te okropne prześcieradła, które na środku są niemal przezroczyste... i tę kołdrę...

Guy spojrzał na kołdrę.

- Możesz powiedzieć jakiego jest koloru?

- Beżowego... nie, musztardowego. Jest piękna. Piękny jest również ten mały ogródek, w którym, zdaje się, rośnie tylko chrzan...

- ...i te koty miauczące przy kuchni są, jak przypuszczam, również piękne?

- Oczywiście, Guy - odrzekła, całując go w żebro. - Wszystko jest piękne, bo to nasz pokój.

Spojrzał na zegarek.

- Będę musiał iść.

- Już?

- Powiedziałem Sylvii, że jadę na wizytę do pacjentki w Hampstead. Wiadomo, jak długo można badać pacjentkę w Hampstead.

- Jeśli jest bardzo, bardzo chora...

- Mogłaby mieć wszystkie choroby z leksykonu medycznego, ale i tak musiałbym wrócić na wieczorne godziny przyjęć. - Westchnął i założył koszulę, a kiedy był już ubrany, dodał: - Ciągle pada. Pozwól, że cię podwiozę do Leicester Square.

- To zbyt ryzykowne, sam wiesz przecież. Złapię autobus, jak zwykle.

Usta Guya przywarły do jej skóry.

- Zatelefonuję do ciebie z gabinetu.

Jadąc do centrum Londynu, Guy myślał, że właśnie to jest najgorsze: nie móc opiekować się Faith i czynić jej życia łatwiejszym. Wiedział, że dziewczyna pracuje wiele godzin, a wszystkie weekendy spędza podróżując hałaśliwymi pociągami do Norfolk, by zajmować się Ralphem. Guy rozumiał,

dlaczego nie wzięłaby od niego ani pensa, ale nienawidził jej zasad. Wiedział, że Faith postępuje rozsądnie, nie przyjmując jego oferty podwiezienia do Leicester Square, gardził jednak sobą za pozostawienie jej, drżącej w przeciwdeszczowym płaszczu, na obskurnym przystanku autobusowym.

Zaparkował samochód za domem, w którym mieścił się jego gabinet, i wszedł na piętro. Sylvia podniosła wzrok znad kart chorych.

- Próbowałam skontaktować się z panem telefonicznie u pani Danbury - odezwała się - ale pana u niej nie było. Powiedziała, że nie prosiła o wizytę.

Serce Guya zaczęło walić jak młot.

- Już jestem - powiedział spokojnie. - Co chciała mi pani przekazać?

- Telefonowała pani Neville. Prosiła, żeby pan się z nią pilnie skontaktował. - W tej chwili zadzwonił telefon. - To na pewno ona, doktorze Neville.

Guy podniósł słuchawkę w swoim gabinecie. Gdy Eleanor zaczęła mówić, jemu przebiegały przez głowę różne kłamstwa i wymówki. Jakieś nieporozumienie... byłem przekonany, że wzywano mnie do starej pani Danbury... Sylvia musiała coś pomylić...

- Guy? Guy, gdzie byłeś? Przez całe popołudnie próbowałam się z tobą skontaktować.

Odchrząknął, ale żona nie czekała na odpowiedź.

- Guy, stało się coś strasznego - powiedziała drżącym głosem. - Oliver został wydalony ze szkoły.

Natychmiast pojechał do domu. Hańba syna zwolniła go z konieczności dalszego oszustwa. Eleanor nie dochodziła już, gdzie był tego popołudnia. Guy zastał ją w salonie ze szklaneczką w dłoni. Była blada i zdenerwowana.

- Gdzie jest Oliver?

- Wsadzą go do jutrzejszego rannego pociągu. Dziś ma spać w szkolnej izbie chorych... - odpowiedziała, zakrywając twarz dłońmi.

Guy położył rękę na jej ramieniu. Dziwnie się czuł, dotykając żony. Od czasu jego romansu z Nicole Mulgrave sypiali w oddzielnych pokojach; przez dwanaście lat unikali bliskiego

kontakty, by nie wywołać napięcia, mogącego roztrzaskać kruchą fasadę ich małżeństwa.

Eleanor zadrżała pod jego dotknięciem. Podał jej chusteczkę. Po chwili wytarła nos i usiadła wyprostowana, strząsając rękę Guya z ramienia.

- Powiedz mi, Eleanor, co się stało. Zaciśnięła pięści.

- W południe zatelefonował pan Vokes - oznajmiła przełykając łzy. - Powiedział, że Oliver ukradł coś jakiemuś chłopcu.

- Ukradł?! - Guy nie wierzył własnym uszom.

- Jakaś nędzną zabawkę. - Z oczu żony trysnęły łzy.

Czuł w głowie zamęt. Usłyszał, jak dodała, że najwyraźniej nie zdarzyło się to po raz pierwszy, i przypomniał sobie wybryk syna sprzed kilku lat: jego ucieczkę ze szkoły i jakąś historię dotyczącą komiksów; sprawę, dla której Oliver miał niesłychanie wiarygodne wytłumaczenie.

Guy także potrzebował drinka. Podeszedł do barku i nalał sobie dużą whisky.

- Zatelefonuję do Vokesa i dowiem się wszystkiego.

Zadzwoił ze swego gabinetu. Wysłuchawszy relacji dyrektora szkoły, poczuł się zaszokowany i zawstydzony. Miał też głęboką świadomość porażki, którą poniósł jako ojciec. Wrócił do żony. Kiedy podniosła ku niemu wzrok, ujrzał w jej oczach nadzieję. Niestety, musiał ją rozwiać.

- Nie ma żadnych wątpliwości. Jedyna pociecha w tym, że zgadzają się nie informować o niczym szkoły w Missingdean.

We wrześniu Oliver miał rozpocząć naukę w chlubiącej się wieloletnią tradycją prywatnej szkole średniej, do której przed laty uczęszczał Selwyn.

- Przecież daliśmy mu wszystko... - wyszeptała zdumiona Eleanor.

Niezupełnie wszystko, pomyślał Guy. Nie daliśmy mu harmonii ani tej pewnej, bezwarunkowej, niczego nie wymagającej miłości, której potrzebuje każde dziecko. Dzieciństwo Olivera było naznaczone wojną; najpierw pożogą, która kazała wywieźć go z Londynu, a potem owym subtelniej szym i chłodniejszym konfliktem, jaki utrzymywał się między rodzicami od czasu powrotu chłopca do domu. Teraz Guy nienawidził się za to, że był - w chwili, gdy nastąpił kryzys - w łóżku z Faith Mul-

grave; za to, że właśnie wtedy, gdy Eleanor i Oliver najbardziej go potrzebowali, nie mogli go znaleźć.

- Wszystko będzie dobrze, prawda Guy? - zapytała z nadzieją żona.

Odwrócił się w jej stronę. Rozpacz dodała jej lat.

- Jakoś sobie z tym poradzimy. Dojdziemy do sedna sprawy. Nie wolno ci się denerwować.

Oliver przyjechał do domu następnego dnia. Po obiedzie Guy odbył z nim rozmowę w gabinecie.

- Dyrektor Vokes powiedział mi, co się wydarzyło. Chciałeś zamienić się czymś z tym chłopcem... nie pamiętam jego nazwiska...

- Z Canterburym - podpowiedział Oliver z twarzą białą jak kreda.

- Chciałeś zamienić coś twojego na statek kosmiczny Canterbury'ego, a gdy odmówił, ukradłeś mu go.

- Pożyczyłem, tatusiu.

- Bez zgody Canterbury'ego? Dlaczego? Nie rozumiem, Oliverze. Masz przecież mnóstwo zabawek i nie brakuje ci kieszonkowego.

Oliver przestępował z nogi na nogę.

- Pożyczyłem - powtórzył uparcie.

- A ta książka, którą, jak twierdziłeś, podarowano ci w zeszłym roku... Ją także pożyczyłeś?

Guy dostrzegł nagle rozszerzenie oczu i trzepotanie powiek chłopca. Za tym uporem czaił się strach.

- No słucham, Oliverze. Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Dlaczego wzięłeś tę zabawkę?

- Bo mi się podobała - wydusił z siebie syn.

- Nie możemy mieć wszystkiego, co nam się podoba, Oliverze. A skoro chciałeś mieć tę zabawkę, to dlaczego nie poprosiłeś mamy, żeby ci ją kupiła na Gwiazdkę?

- Bo chciałem mieć ją teraz! Chciałem ją podarować Far-thingowi na urodziny!

Guy podszedł do okna i opierając się rękami o parapet, wyjrzał na zewnątrz. Ze swego pokoju na ostatnim piętrze domu przy Holland Square widział, jak z popiołów wojny wznoszą się nowe czyste i lśniące budowle. Czuł się wyczerpany. W tym roku obchodził czterdzieste urodziny. Nigdy przedtem



nie czuł się taki staromodny, tak przepojony wartościami należącymi do poprzedniej epoki.

- Farthingowi? - zapytał, nie odwracając się do syna. - Kto to jest Farthing?

- Jest szefem naszej sypialni. I doskonale gra w krykieta. Zdobył pięćdziesiąt cztery punkty w meczu przeciwko Holywell. - Chłopiec pociągnął Guya za rękaw marynarki. - Tatusiu?

Guy spojrział na syna i znowu uderzyła go jego uroda: jasne włosy, delikatnie rzeźbione rysy, szafirowoblękitne oczy... Z powodu owego wyglądu; a także dlatego, że Oliver miał pozostać ich jedynym dzieckiem, zawsze dawali temu chłopcu wszystko, czego chciał.

- Tatusiu? Kiedy wrócę do szkoły? Nie ukończyłem kursu łaciny i chcę wstąpić do drużyny krykietowej...

Guy objął syna ramieniem.

- Obawiam się, że nie przyjmą cię tam z powrotem, Oliverze. Dyrektor Vokes dał mi to całkiem jasno do zrozumienia.

Oczy syna zrobiły się nagle ogromne w drobnej twarzyczce.

- I co ja zrobię, tatusiu?

- Nie wiem. Nie wiem, Oliverze - odrzekł Guy, słysząc własne znużenie, a kiedy syn zaczął płakać, przyciągnął go do siebie i głaskał jego miękkie złote włosy.

W połowie kolacji przebiegającej w milczeniu i napięciu Guy przypomniał sobie, że poprzedniego wieczoru nie zadzwonił, tak jak obiecał, do Faith. Wymawiając się potrzebą rozprostowania nóg po posiłku, poszedł do budki telefonicznej. Kiedy wykreślał numer Faith, echem rozbrzmiewał mu w głowie cichy głosik: „Bo mi się spodobała... chciałem...”. Ojciec i syn, pomyślał pośpiesznie, biorący to, co kolorowe, piękne i zakazane.

Kiedy podniosła słuchawkę i przedstawiła się, usłyszał lęk w jej głosie.

- Faith, to ja.

- Guy! - Usłyszał głębokie westchnienie. - Guy, czy coś się stało? Nie zadzwoniłeś... bałam się...

- Nie, nie. - Przerwał. - W porządku, wciąż jesteśmy bezpieczni. Coś się stało, ale to nie ma nic wspólnego z nami...

Opowiedział jej o Oliverze. Nie potrafił też uniknąć wzmianki o tym, jak bliska była katastrofa: o telefonach Ele-

anor do gabinetu i podjętych przez rejestratorkę próbach odnalezienia Guya. Słuchała w milczeniu.

- Biedny Guy - powiedziała, gdy zamilkł. - Wszyscy jesteście biedni. Jak się czuje Oliver?

- Został ukarany. Jest spokojny - odrzekł, choć jak zwykle trudno mu było wyczytać cokolwiek z twarzy syna i nie był pewien, czy chłopiec żałuje tego, co zrobił, czy tego, co stracił.

- Co teraz zrobisz?

-Nie wiem — odrzekł, wodząc palcem po zaparowanej szybie budki telefonicznej. Napisał: „Guy kocha Faith”, a potem szybko starł te słowa. - We wrześniu Oliver ma rozpocząć naukę w elitarnej szkole średniej, więc właściwie nie warto szukać jakiegoś innego gimnazjum. Poza tym zadawano by różne pytania, a dla dobra chłopca trzeba to wszystko utrzymać w tajemnicy. Eleanor chce zaangażować prywatnego nauczyciela, ale ja nie wiem... Czuję...

- Co, Guy?

- Czuję, że pod pewnymi względami prywatny nauczyciel byłby najgorszym możliwym rozwiązaniem. Odizolowałoby to Olivera od rówieśników i umocniło jego poczucie własnej wyjątkowości - westchnął. - Chciałbym zabrać go gdzieś daleko. Pojechać z nim na wędrowkę po kontynencie, pokazać wszystkie miejsca, które kocham. Uczyniłoby go to trochę dojrzalszym psychicznie, a właśnie tego mu potrzeba. Tylko że z uwagi na pracę, nie mogę zrobić tego teraz. Selwyn, choć się nie przyznaje, wciąż nie czuje się dobrze, więc gdybym wziął urlop, on uparłby się, by mnie zastępować, a ja naprawdę nie sędzę, by mógł to robić.

Guy uświadomił sobie istnienie zewnętrznego świata: autobusów przejeżdżających obok budki telefonicznej i kolejki ludzi czekających na rozmowę. Zamknął oczy, by ich nie widzieć, i przywołał w pamięci jej twarz, kochane, bliskie rysy. Potem zmusił się, aby powiedzieć:

- Nie wiem, kiedy będziemy mogli znowu się spotkać, Faith. Zapadło milczenie. Słyszał szmer jej oddechu.

- Czy próbujesz mi powiedzieć, że nie chcesz mnie już więcej widywać, Guy?

- Nie. Dobry Boże, nie! - Twarze przyciśnięte do szyby ponaglały go, żeby skończył rozmowę. - Nigdy tego nie powiem,

Faith - zapewnił ją żarliwie. - Nie rozumiesz? To ty sprawiasz, że wszystko daje się znieść. Ty sprawiasz, że wszystko jest w porządku.

- Ale to nie jest w porządku, prawda? To, co robimy, jest złe.

- Jakże może być złe, skoro się kochamy? Przecież miłość może być tylko dobra.

- To, że coś wydaje nam się dobre, wcale nie oznacza, że jest właściwe. - Jej głos brzmiał surowo. - Muszę iść, Guy, Con na mnie czeka. Zadzwoń, kiedy będziesz mógł.

Odłożyła słuchawkę.

Jedząc śniadanie tylko z Eleanor, Guy przedstawił jej swoją decyzję.

- W letnim semestrze Oliver może uczęszczać do miejscowej szkoły; tej imienia króla Edwarda VI.

Żona spojrzała na niego znad gotowanego jajka.

- Nie bądź śmieszny, Guy. To przecież zwykła państwowa szkoła.

- To gimnazjum ogólnokształcące.

- Oliver nie może chodzić do szkoły publicznej.

- Oczywiście, że może. To tylko przez jeden semestr, a on przeszedł już testy dopuszczające do szkoły średniej, więc nie będzie miało znaczenia, jeśli ponownie przerobi trochę materiału, który zna. To idealne rozwiązanie: dojeżdża tam autobus, więc Oliver może mieszkać w domu. Zatelefonuję tam dzisiaj i dowiem się, czy go przyjmą.

- Guy, to nie wchodzi w grę. - Żona ponownie napełniła kawą swoją filiżankę. - Nie pozwolę, by Oliver chodził do zwykłej szkoły państwowej.

- Z tego, co mi wiadomo, to przyzwoite gimnazjum - odparł, smarując masłem grzankę. - W ubiegłym roku wielu uczniów dostało się do Oxbridge.

- Nie w tym rzecz.

- A w czym, Eleanor?

- Nie chcę, żeby Oliver zadawał się z chłopcami tego rodzaju.

- Jakiego rodzaju?

- Z prostymi chłopakami. Mógłby nabrać złych nawyków.

- Myślałem, iż większą naszą troską powinno być to, że inni chłopcy mogą nabrać od niego złych obyczajów - odrzekł zimno Guy, odsuwając talerz; nie mógł jeść, już sam widok je-

dzenia przyprawiał go o mdłości. - Nasz syn jest złodziejem, Eleanor. Musimy stawić temu czoło. Teraz kradnie tylko drobiazgi, ale kto może przewidzieć, co mu przyjdzie do głowy za kilka lat.

Spojrzała nań szyderczo.

- Więc sądzisz, że zostanie kasiarzem... albo włamywaczem?

- Oczywiście, że nie - starał się wyjaśnić jej wagę problemu, podejmując ostatnią próbę znalezienia jakiegoś sensu w zgliszczach ich małżeństwa. - Być może jednak Oliver otrzymuje pewne rzeczy zbyt łatwo. Wytworzyliśmy w nim przekonanie, że może mieć wszystko, na co ma ochotę, i tak szybko, jak chce. Może kilka miesięcy wśród chłopców mniej uprzywilejowanych nauczy go doceniać to, co posiada.

- Nie będę się nad tym zastanawiać, Guy. Oliver miałby pójść do tutejszej szkoły?! Nigdy!

Wiedział, że nawet go nie wysłuchała i poczuł nagle ogromne, prymitywne pragnienie rewanzu. To przecież on zarządzał domowymi wydatkami.

- Nie będę płacić za prywatnego nauczyciela, Eleanor - powiedział, czując drobną przyjemność na widok zmiany wyrazu jej twarzy. - Szkoła w Whithelands nie zwróci chesnego za ten semestr, a wiesz, jak kosztowna jest nauka w Missingdean. Nie możemy sobie teraz pozwolić jeszcze na prywatne lekcje.

Filiżanka żony uderzyła o spodeczek.

- Mógłbyś przyjmować więcej pacjentów...

- Ale nie zamierzam. - Miał ochotę na drinka; to dopiero wpół do dziewiątej, a on marzył o drinku. Zamiast po alkohol, sięgnął po papierosy i powtórzył: - Nie zamierzam.

Eleanor wstała od stołu.

- A zatem poproszę ojca. Ma oszczędności. - Zatrzymała się w drzwiach. - Nie sądziłam, że nawet ty możesz być tak nedorzeczny.

Jednak Selwyn, ku wielkiemu zdumieniu córki, stanął po stronie zięcia. Guy zatelefonował więc do miejskiej szkoły i omówił przyjęcie Olivera.

Reakcja syna na tę wiadomość zaskoczyła Guya. Chłopiec zrobił się zielonkawobiały i Guy myślał przez chwilę, że jego syn będzie wymiotować. Objął go ramieniem i łagodnie wyjaśnił, że szkoła Króla Edwarda VI jest tylko czasowym rozwiązaniem-

zaniem; czymś, przez co muszą przebrnąć, zanim pojedzie do Missingdean. We wrześniu wszystko wróci już do normalnego stanu. Ale chłopiec wyszeptał tylko:

- Nienawidzę cię. Babcia nigdy nie kazałaby mi tam chodzić. Nienawidzę cię! - powtórzył, a potem wyszedł z pokoju.

Po kilku pierwszych tygodniach semestru, które minęły bez żadnego incydentu, Jake zastanawiał się, czy się nie mylił, sądząc, że Linfield widział ich razem, jego i Mary, tamtego ranka nad morzem. Może mylił się również, przypuszczając, że tamten nadal żywi doń urazę. Z uczuciem ulgi ponownie wszedł w znany sobie rytm lekcji, przygotowań i wystawiania ocen.

Potem, pewnej niedzieli, spotkał Mary na ścieżce pod urwiskiem. Twarz miała ściągniętą i bladą, a na jego próby nawiązania zwyczajnej rozmowy odpowiadała monosylabami. Kormorany i burzyki zlatywały w dół ze skalistych cypli, a fale uderzały o urwiste brzegi. Ścieżka była zbyt wąska, by mogli iść obok siebie. Mary ruszyła przodem, a jej drobna sylwetka zdawała się zbierać na siebie gwałtowność wiatru.

Jake ją dogonił.

- Co się stało?

- Nic - odrzekła, głębiej wsuwając ręce do kieszeni.

- Mary...

- Powiedziała ci, Jake; nic złego. - Głos miała ostry. - Chodźmy, bo umrę z zimna.

Dotarli do miejsca, gdzie stromy brzeg opadał, a ścieżka prowadziła dalej do małego zakola prywatnej plaży. W ciepłe wrześniowe dni właśnie tam się kochali, lecz teraz jesień stała się chłodna, a kamienie były śliskie od wodorostów i pokryte bieżą z połamanych muszelek i słonej wody.

Jake obserwował Mary, która szybko okrążyła kamieniste oczka wodne.

- Jeśli masz mnie dosyć, powiedz mi to, do cholery! - wykrzyknął.

Spojrzała na niego przelotnie.

- Zawsze jesteś próżny, Jake. Mam większe zmartwienia niż ty - odparła, po czym usadowiła się na skale i pochyliwszy ramiona, patrzyła w morze.

W niewielkiej odległości od nich fale lizały piasek, wymywając go spod ich stóp. Po pewnej chwili upór kobiety nieco osłabł.

- Chodzi o George'a - szepnęła.

- Jest chory?

- Został zbity. Pasem. Linfield go zbił. Powiedział, że chłopiec rozmawiał w kaplicy. Zapytałam o to George'a. Powiedział, że szepnął kilka słów, bo na ławce był jakiś pajak czy inna podobna bzdura, ale wielu innych chłopców rozmawiało głośniej i Linfield ich nie ruszył. Nienawidzę go - powiedziała cicho, ale gwałtownie. - Nienawidzę samej myśli o tym, że robi krzywdę mojemu dziecku.

Poszła dalej, potykając się o kamienie, które wystawały z morza. Fale rozbijały się po obydwu stronach niewielkiego cypla, a piana wzbijała się w górę. Mary ślizgała się na kamieniach, jej kolana i kostki krwawiły. Zatrzymała się dopiero na najdalszej skale obmywanej przez morze. Jej przeciwdeszczowy płaszcz ociekał wodą, a czarne włosy poskręcały się jak wodorosty. Jake, czując, że kobieta w pewien nieokreślony sposób obwinia jego o to, co się stało, nie poszedł za nią, ale też nie opuścił plaży, dopóki nie odwróciła się i wolno nie wróciła na ścieżkę pod urwiskiem.

Dziesięć dni później Linfield zbił George'a drugi raz, a po trzech trzech tygodniach zrobił to po raz trzeci. Jake poznał w tym metodę doświadczonego dręczyciela - pozostawiać ofierze wystarczająco dużo czasu, by zaczynała mieć nadzieję. Brak nadziei jest najtrudniejszy do zniesienia. Kiedy Mary oskarżyła nauczyciela o szykanowanie chłopca, spotkała się z lekceważącym zaprzeczeniem. Okrągła, radosna buzia George'a przybrała zastraszone wyraz. Chociaż Linfield starannie unikał pozostawiania z Jakiem sam na sam, ten zauważył w oczach nauczyciela matematyki błysk triumfu. Wiedział też, że to on był celem ataku i że Mary, a nawet biedny George stali się ofiarami przypadkowo. To on, Jake, upokorzył Linfielda, a teraz Linfield upokarzał jego. Jake nie mógł ochronić dziecka swojej kochanki.

Po pewnym czasie znalazł jednak najprostsze rozwiązanie. W pokoju z pościelą, wśród stosów powłoczek na poduszki i ręczników, Jake poprosił Mary, żeby za niego wyszła. Skok w stabilizację, który niegdyś tak go przerażał, teraz nie był już taki straszny.

Po jego oświadczeniach Mary nadal znaczyła prześcieradła.

- To nic nie pomoże, Jake - powiedziała, gdy zamilkł, po czym polizała kopiowy ołówek i starannie wykaligrafowała na

brzegu kolejnego prześcieradła napis „Heatherwood Court”.

- To nie powstrzyma tego człowieka od robienia krzywdy mojemu synowi.

- Munday może nie pochwałać zakazanego romansu, ale nie może się sprzeciwić, żeby dwoje pracowników jego szkoły stało się uczciwym małżeństwem.

Odłożyła prześcieradła na półkę.

- Gdybyśmy się pobrali - powiedziała spokojnie - Linfield prawdopodobnie biłby George'a jeszcze częściej. Zapewne jest zazdrosny. Może on także mnie pragnie.

Myśl o tym sadyście požądającym Mary przyprawiła Jake'a o mdłości i dziwnie zbrukała jego własne uczucia do niej. Patrząc na nią, Jake zrozumiał, że odchodziła od niego, ponownie otaczając się tą ochronną skorupą, którą nosiła, gdy przyjechał do Heatherwood.

Pokój był mały i duszny. Jake wsunął ręce do kieszeni i starał się myśleć jasno.

- Zatem musimy wysłać George'a do innej szkoły.

- To jest rozwiązanie, oczywiście. George i ja opuścimy Heatherwood.

Jake poczuł nagły chłód. - A ja?

Nie skarciła go, czego się trochę spodziewał, za myślenie o sobie. Powiedziała natomiast:

- Nie wydaje mi się prawdopodobne, że znajdziemy szkołę, która potrzebowałaby jednocześnie nauczyciela języków i pielęgniarki, a na dodatek miałaby miejsce dla dziesięcioletniego chłopca, prawda Jake?

- Postępując w ten sposób - zauważył z gniewem - zrobisz dokładnie to, o co chodzi Linfieldowi.

Przerwała składanie jakiejś powłoczki.

- Być może, ale zrozum, Jake, ja muszę chronić George'a - odparła.

Kilka dni później Jake zgłosił się na rozmowę do dyrektora. Munday siedział za biurkiem w swoim gabinecie z rozłożonymi księgami rachunkowymi. Fajka odłożona do popielniczki napełniała gabinet ciężkim zapachem dymu.

- Przychodzę ze skargą na pana Linfielda - oznajmił Jake.

- Uwziął się na jednego z chłopców i wymierza kary cielesne tylko jemu.

Skryte pod wąsami usta Mundaya skrzywiły się w grymasie, który, co Jake w końcu zrozumiał, miał być uśmiechem.

- Zapewne ów chłopiec zasłużył na karę, panie Mulgrave.

- Nie sędzę. George Zieliński jest grzecznym i sumiennym uczniem.

Munday zaczął czyścić paznokcie wykałaczką.

- Czy rozważa pan, panie Mulgrave, taką możliwość, że Zieliński może być mniej sumienny w matematyce niż we francuskim?

Pedantyczny, zarozumiały człowieczek, pomyślał Jake, ale stłumił gniew.

Munday otworzył szufladę biurka.

- Może razem przejrzymy księgę kar? - zaproponował, przesuując palcem po spisie nazwisk.

Każdy nauczyciel był zobligowany do wpisywania przyczyny i wielkości kary cielesnej, jaką wymierzał, do owego rejestru.

- Rozmowy w szatni... atrament na palcach podczas obiadu... złe przygotowanie lekcji... - Dyrektor Munday przesunął księgę po biurku w stronę Jake'a. - Wszystko wydaje się w porządku, panie Mulgrave.

Jake spojrział na listę drobnych wykroczeń. Nazwisko George<sup>^</sup> powtarzało się na niej z przerażającą regularnością.

- Patrzy pan przez palce na coś takiego?

- Bez porządnej dyscypliny ta szkoła by nie funkcjonowała.

- Więc pozwoli pan każdemu potworowi-sadyście, takiemu jak Linfield, wyżywać się na małym chłopcu?

- Proszę się liczyć ze słowami, Mulgrave. - Maską dobrego humoru dyrektora opadła. - Pan Linfield jest cenionym członkiem grona pedagogicznego. Uczy w Heatherwood od osiemnastu lat. Pana tu jeszcze wtedy nie było. - Munday sięgnął po fajkę i zaczął ją nabijać czarnymi okruchami tytoniu, uważnie przyglądając się Jake'owi. - Przypominam sobie, że pan wywodzi się z nieco niekonwencjonalnego środowiska. Mieszkał pan długo za granicą, jak sędzę?

Udało mu się - pomyślał Jake - sprawić, żeby podróżowanie po obcych krajach brzmiało jak wstydliva choroba zakaźna.

- Zastanawiam się, czy w pełni docenia pan angielski system wychowania. Jest on przedmiotem zazdrości całego świata. A chłopcy wolą lanie. - Munday z zadowoleniem skinął głową. - Mówią, że ta kara mija szybko.



W noc poprzedzającą dzień, w którym wojska brytyjsko-amerykańskie wylądowały w Normandii, Jake wytropił we Francji pewnego człowieka. Ów sympatyk nazistów, urzędnik pracujący na kolei, ścigany był jak zwierzę. Jake podążał jego śladem, aż znalazł go samego, z dala od przyjaciół. I wtedy poderżnął mu gardło.

Linfielda przyparł do muru, gdy ten z książką do nabożeństwa w rękach wracał z kaplicy. Do zakończenia wiosennego semestru pozostały jeszcze dwa tygodnie i właśnie modlono się o zwycięstwo drużyny Heatherwood Court w ostatnim w tym sezonie meczu rugby. Jake dogonił Linfielda w zagajniku między kościołem a szkołą.

- Słoweczko, proszę.

Małe stopy tamtego przesuwają się szybko po gęstej trawie.

- Nie mam czasu na rozmowy, Mulgrave.

- To nie potrwa długo. Chcę z panem porozmawiać o George<sup>^</sup> Zielińskim.

- Jego algebra jest odpowiednia, ale znajomość reguł geometrii wciąż pozostawia wiele do życzenia...

- Zostaw go, Linfield. Zostaw go w spokoju. Jeśli chcesz się na kimś wyżywać, to wybierz kogoś na swoją miarę.

- A jeśli tego nie uczynię? - Tamten zaczął sapać, a kolejne jego słowa przerywała wściekła walka o oddech. - Co mi wtedy zrobisz, Mulgrave?

Jake wzruszył ramionami. Zagajnik pachniał teraz nie tylko bukowymi orzeszkami, lecz strachem tamtego.

- Zabijesz mnie? Właśnie to zrobisz?

- Być może - odrzekł Jake, ale wiedział, że kłamie. Nie mógłby nawet dotknąć tego łotra. Ta mała, gładka, niemal bezwłosa czaszka i przezroczyste dłonie o niebieskawych żyłach budziły w nim wstręt. - Zostaw George'a w spokoju. Masz sprawę ze mną, a nie z tym dzieckiem.

Pod baldachimem drzew zrobiło się zbyt duszno i Jake chciał już odejść.

- Przypuszczam, że idziesz szukać pociechy u swojej kochanki! U tej kokoty i jej bękarta!

Jake się odwrócił; serce biło mu jak młotem. Ponieważ riposta urosła mu w ustach późno, zbyt późno, oczy Linfielda zabłyśły.

- A więc to prawda! Ten dzieciak jest bękartem. Zawsze tak myślałem. - Z triumfem potrząsał zgniecionymi fałdami

swojej akademickiej togi. - No cóż, dyrektorowi Mundayowi z pewnością nie spodoba się taka wiadomość.

Sapanie oddaliło się, gdy Linfield wyszedł na słońce, pozostawiając Jake'a pod drzewami, z rękami bezradnie zaciśniętymi w pięści.

Powiedział jej o wszystkim - nie mógł postąpić inaczej. Mary wysłuchała go w milczeniu, zachowując kamienny wyraz twarzy.

- To nie twoja wina, Jake - odezwała się po chwili. Jednak Jake uważał, że wina leży po jego stronie. To całe

cholerne zamieszanie powstało tylko przez niego. Gdyby w ubiegłym roku nie ukarał Linfielda za pobicie tamtego chłopca, gdyby po prostu się odwrócił i poszedł dalej, tak jak robili to wszyscy inni, nie doszłoby do żadnego z tych wydarzeń.

Dwa dni później Mary powiedziała mu, że zaproponowano jej posadę w jakiejś szkole w Walii. Przez chwilę patrzyła na niego i jej „skorupa” jak gdyby pękła nieco. Potem dotknęła jego ramienia i zapytała ostrożnie:

- Napiszesz do mnie, prawda, Jake? Pozostaniemy w kontakcie?

Nie odpowiedział. Zrozumiał, że zaczęło się to, co nieuchronne. Tracił ją, tak jak wcześniej stracił wszystko, co miało w jego życiu jakieś znaczenie. Nie sądził, że nic trwałego; zrozumiał to już dawno, jadąc na rowerze przez tamtą gorącą, tragiczną Francję latem 1940 roku. Widział, że Mary czeka na odpowiedź, ale odsunął się od niej i podszedł do okna, a po chwili usłyszał odgłos zamykanych drzwi.

## *Rozdział trzynasty*

Pewnego kwietniowego popołudnia pojechali do „swojego” hotelu w Battersea. Zapach gotowanej kapusty w holu i kołdra w musztardowym kolorze na łóżku - wszystko wydawało się takie samo, ale Faith czuła następującą powoli, podstępłą zmianę. Rozpaczliwie potrzebowali dowodu na to, że wciąż znajdują przyjemność będąc w tym miejscu razem. Kochali się, pomyślała, by pokazać, że ich namiętność pozostała, bo namiętność usprawiedliwia wszystko.

Potem owinęła się w prześcieradło i podeszła do okna. W wiosennym słońcu maleńki ogródek, który bawił ją w zimie, wydawał się szpetny, podkreślając jedynie brak nadziei.

- Nad czym tak się zamyśliłaś? - zapytał Guy.

- Zastanawiałam się, czy powinniśmy nadal się spotykać. - Te słowa padły, zanim zdołała je powstrzymać.

- Faith... - Usiadł na łóżku.

- Minęło pięć tygodni... pięć tygodni, Guy, policzyłam... odkąd spędziliśmy razem więcej niż pół godziny.

- Tak mi przykro, kochanie. - Podeszedł bliżej i położył rękę na ramieniu Faith, ale dziewczyna nie odwróciła się ku niemu, więc po chwili powiedział z rozpaczą: - Wiesz, że muszę być ostrożny. Wtedy gdy Oliver...

- Wiem. Oczywiście. - Pamiętała to uczucie mdłości, które wypełniło jej żołądek, gdy Guy zatelefonował do niej następnego wieczora po wydaleniu syna ze szkoły. „Eleanor czekała na mnie przez całe popołudnie... na szczęście była zbyt zdenerwowana, żeby wypytywać, co się stało”. - Ale ja jestem zmęczona tą całą ostrożnością - stwierdziła, lecz powiedziała to za cicho, aby ją usłyszał.

Stojąc za nią, *zaczął* się ubierać.

- W sierpniu Eleanor zabiera Olivera na dwutygodniowe wakacje i wtedy będziemy mieć dla siebie tyle czasu, ile zechcemy.

- Nie o to chodzi, Guy.

- A o co? - Zamarł, nie dokończywszy wiązać krawata. - Może już nie czujesz tego, co dawniej?

- Och, wciąż cię kocham, Guy - odpowiedziała. - Zawsze będę cię kochać.

Tak, myślała, ale nie będzie już radości. Tylko samotność, poczucie winy i strach. Objął ją wpół.

- Jeśli coś nikogo nie rani, to nie może być złe.

Stara rodzinna zasada nawet w jego ustach nie brzmiała przekonywająco.

- Ale skąd możemy mieć pewność? Nie możemy, Guy! - zawołała. - Wtedy mieliśmy szczęście, to wszystko! Tak łatwo można było nas przyłapać...

- Ale nie zostaliśmy przyłapani! Nie zostaliśmy! - Przyciągnął ją do siebie i zaczął całować. Czowała w jego uścisku desperację. - Nie mów o rozstaniu, błagam cię, Faith. Bardzo cię potrzebuję. - Trzymał ją tak przez chwilę, z twarzą przy swojej twarzy. - Należymy do siebie - wyszeptał. - Zawsze należeliśmy do siebie. Nie zapomnisz o tym, prawda?

Początkowo Oliver nienawidził nowej szkoły. Mieszcząca się w pospolitym budynku z czerwonej cegły, położona przy zatłoczonej londyńskiej ulicy placówka próbowała rywalizować z systemem ekskluzywnych prywatnych gimnazjów własnymi barwami, radą uczniowską i hymnem, choć brakowało jej zarówno środków finansowych, jak i poczucia wypełniania misji instytucji, które naśladowała. Nauka nie była trudna. Oliver wyprzedzał innych chłopców w przedmiotach humanistycznych, ale pozostawał w tyle w naukach przyrodniczych. Chłopcy zaś byli raczej sztywni niż niesympatyczni. Głównie się nudził, ale w poprzedniej szkole także było mu nudno. Gdyby ten semestr w męskim gimnazjum Króla Edwarda VI nie został wymuszony na Oliverze przez ojca jako kara, to prawdopodobnie nie miałby nic przeciwko nauce tutaj.

Matka utrzymywała w nim owo poczucie krzywdy.

- To niesprawiedliwe ze strony tatusia, że posłał cię do tak okropnego miejsca! Ale cóż, Oliverze, obawiam się, że musimy robić dobra minę do złej gry. Oznacza to jednak, że przynajmniej lato możemy spędzić razem...

Matka jak gdyby już nie pamiętała o przyczynie jego powrotu do domu, a cały jej gniew skierowany był wyłącznie przeciwko tacie. W domu, leżąc w łóżku i słysząc odgłosy kłótni rodziców rozlegające się w całym domu, chłopiec wciskał palce do uszu, żeby uciec przed tym irytującym hałasem. W dzień dom przy Holland Square wypełniała atmosfera napięcia oraz niewypowiedzianej i nierozstrzygniętej wojny.

Raz w tygodniu Oliver pijał z matką herbatę u Lyonsa w Corner House przy Marble Arch. Jadł wtedy szarlotkę „nowojorską” lub czekoladową ekierkę, a mama nalewała herbatę ze srebrnego dzbanka. Czasami wspominała o wojnie, co zresztą było nudne, gdyż rzadko opowiadała o bombach i samolotach albo o jakichś ekscytujących wydarzeniach, a częściej

o szpitalu, w którym wtedy pracowała. Często, zwłaszcza po tych wieczorach, gdy kłótnie były szczególnie głośne, mówiła o tacie. Stwierdziła, że współczuje mu znoszenia nieuprzejmości ojca, bo tatuś jest czasami niegrzeczny również wobec niej. Powiedziała też, że ponieważ był całkiem biedny jako chłopiec, to nigdy nie wyzbył się nawyku skąpstwa, i że bez jej pomocy wciąż byłby biedny jak mysz kościelna. Zauważyła również, że upór, z jakim ojciec nalegał na posłanie go do państwowego gimnazjum, pokazał, iż nie kocha go tak bardzo jak ona.

Oliver chciał ją pocieszyć, znaleźć odpowiednie słowa i rozweselić. Czasami cieszyły go zwierzenia matki, bo wtedy czuł się dorosły i ważny, kiedy indziej zaś wysmakowane wnętrze Corner House i stłumiony gwar eleganckich konwersacji, sprawiały, że chciał stąd uciekać, przewracając kopniakiem stoliki i zrzucając dzbanuszki z herbatą na nieskazitelną podłogę.

Kilka tygodni po rozpoczęciu semestru poznał chłopca o nazwisku Wilcox. Wilcox, rok starszy od Olivera, klasyfikowany był najniżej, a zatem nie należał do uczniów, z którymi ten zazwyczaj zawiarał przyjaźnie. Spotkali się na korytarzu przed gabinetem dyrektora, gdzie w czasie przerwy na lunch zbierała się gromada łobuziaków, oczekując wyznaczenia kar za rozmaite złe postęпки. Wilcox stał obok Olivera, nonszalancko opierając się o ścianę.

- Czy ty przypadkiem nie stanąłeś w złej kolejce, Neville? - wycodził przez zęby. - Czy nie powinieneś być w teraz pokoju Philipa, czekając aż pogłaszcze cię po główce jak wszystkich innych maminsyneków?

Oliver wzruszył ramionami.

- Co przeskrobałeś? - dopytywał się tamten. - Spóźniłeś się pięć minut? Zapomniałeś wyczyścić buty? - Rzucił okiem na niego. - Nie, twoje buty czyści służąca, prawda?

Buty Wilcoxa wyglądały tak, jakby nigdy nie widziały pasty do obuwia, a ich skórzany wierzch odchodził od podeszwy. Twardy węzeł wąskiego krawata był przekrzywiony, a galon w barwach szkoły odrywał się od marynarki.

- W istocie nie mamy służącej... - odpowiedział Oliver.

- W istocie nie mamy służącej - Wilcox przedrzeźniał go piszczącym falsetem.

- ...a stoję tu - mówił dalej Oliver - za palenie w ubikacji - Nauczył się palić w Whitelands i teraz od czasu do czasu podbierał kilka papierosów z pudełka taty, co było pewnym rewanzem, jak sądził, za ukaranie go tą szkołą. - A ty za co?

- Za spoliczkowanie Brownliego - odrzekł zwyczajnie Wilcox. Pan Brownlie był szkolnym trenerem sportowym, eks-żołnierzem, i miał pięści jak bochny chleba.

- W mojej poprzedniej szkole podłożyłem w ubikacji dla nauczycieli trochę jodku azotu, który, jak wiesz, jest bardzo wrażliwą substancją wybuchową, więc kiedy dyrektor usiadł na sedesie, ładunek eksplodował.

Wcale tego nie zrobił. Na ów pomysł wpadł inny chłopiec, a odwagi, by go zrealizować nie wystarczyło nikomu, lecz Wilcox nie musiał o tym wiedzieć.

Chłopak ryknął śmiechem.

- Prosto w tyłek!

Tego wieczoru Oliver wszedł do gabinetu ojca i wziął cztery playersy z pudełka w szufladzie biurka. Następnego dnia zabrał je do szkoły. W czasie przerwy poszukał Wilcoxa i zaproponował mu papierosa.

- Nie tutaj, głąbie... Brownlie nas zobaczy - syknął nowy przyjaciel, wsunął jednak papierosa do kieszeni, a po lekcjach czekał na Olivera przy bramie.

Na jakimś zakurzonej skwerze za Great Portland Street podzielili się papierosami. Oliver leżał na plecach i obserwował,

jak błękitny dym dryfuje ku niebu. Wilcox rozkaszał się po pierwszym zaciągnięciu, a drugie przyprawiło go o mdłości.

- Założę się, że mieszkasz w domu takim jak któryś z tych tutaj - powiedział, kiedy doszedł do siebie, i wskazał wysokie budynki, które otaczały skwer.

- Tak, rzeczywiście.

- Twój ojciec jest bogaczem czy kimś ważnym?

- Jest lekarzem. Podobnie jak mój dziadek. Ja też mam zostać lekarzem.

- Szczęściarz z ciebie.

- Dlaczego? - Oliver zdziwił się szczerze. - Nie znoszę chorych.

- Będą ci płacić za macanie dziewczyńskich cycków. - Oczy Wilcoxa zwięzły się na tę myśl. - A może ty nie lubisz dziewczyn?

- Są w porządku. Ale ja chyba nie znam wielu dziewczyn. Nie mam siostry, kuzynek ani nikogo takiego.

- Nie jesteś pedziem, prawda? Nie chciałbym leżeć na trawie z pedalem.

Oliver miał zakłopotana minę.

- Nic nie wiesz? - zapytał zirytowany Wilcox i przystąpił do szczegółowych wyjaśnień.

Kiedy skończył, Oliver czuł lekkie mdłości, ale potrząsnął głową i powiedział:

- Nie, nie lubię takich rzeczy. Naprawdę nie lubię. - Głos łamał mu się trochę, jak zwykle u chłopców w tym wieku.

Wilcox zapuścił rękę do kieszeni i wyciągnął z niej kilka kart pocztowych.

- Popatrz na nie. Fajne, prawda?

Były to fotografie nagich dziewcząt. Oglądając uważnie zdjęcia, Oliver usłyszał głos Wilcoxa.

- Mógłbym załatwić ci kilka takich fotek, gdybyś miał gotówkę; kilka szylingów.

Wilcox pokazał Oliverowi dzielnice Londynu, których chłopiec nigdy nie widział. Doki portowe z ich ekscytującym chaosem dźwigów i urządzeń do załadunku towarów oraz statków. Robotników krzyczących na siebie, a także wymalowane na burtach statków nazwy ich macierzystych portów: Buenos Aires... Kalkuta... Canberra... Już same nazwy wywoływały

dziwne podniecenie, kusząc gorącym słońcem, nieznanymi językami i wolnością.

Soho oferowało odmienne emocje. Z tego, co Oliver wiedział, lata świetlne dzieliły to miejsce od Holland Square. Leżące w odległości kilkuset mil na północ hrabstwo Derbyshire znał znacznie lepiej niż Soho, które znajdowało się niemal przed jego domem. Dziwna, nieznaną muzyka dochodząca zza odrapanych drzwi barów i restauracji; nieporządek i kolory, i dziewczęta w obcisłych strojach początkowo budziły odrazę, ale potem go zafascynowały. Wilcox opowiedział mu o otwartych przez całą noc klubach jazzowych i o lokalach, w których kobiety rozbierają się za pieniądze. Próbowali wejść do jednego z takich miejsc, ale odźwierny ich przegonił. Wilcox obwinił o to Olivera, którego głos wciąż wahał się żenująco między sopranem a basem. W nocy Oliver wnikliwie studiował pocztówki, które kupił od Wilcoxa. Jego ulubienicą była dziewczyna o cygańskiej urodzie, z czarnymi włosami, ogromnymi czarnymi oczami i wielkimi ciężkimi piersiami. Oglądanie jej sprawiało, że czuł się jednocześnie szczęśliwy i winny.

Wilcox opowiedział mu o pewnym sklepie w Soho, gdzie sprzedawano magazyny pełne fotografii nagich dziewcząt. Kupiliby taki magazyn, powiedział śmiało, gdyby Oliver miał pieniądze. Chłopiec zastanawiał się gdzie, u licha, mógłby ukryć takie czasopismo, bo matka codziennie sprzątała jego pokój, ale poszedł jednak tego wieczora do gabinetu ojca i wyjął z ojcowskiego portfela funta.

Gdy wyjmował banknot, na podłogę wypadła jakaś wyblakła wizytówka. Oliver rzucił na nią okiem. „Błękit Nieba” głosił napis, obok umieszczono rysunek motyla. „Dzienne i wieczorowe stroje dla pań” i adres: Tate Street nr 3, W.1.

Zasady rodziny Mulgrave'ow głosiły: „Nie pozwól, by widziano, że się przejmujesz”. Udawało mu się to dość dobrze, uważał Jake, gawędząc podczas przerw z kolegami w pokoju nauczycielskim i zabierając chłopców w piątkowe popołudnia na treningi krykieta. Powściągał swój gorący temperament, a kiedy pił, robił to w samotności.

A jednak oczywiście się przejmował. Rozpaczliwie przejmował się tym, że Mary odeszła. Zasmucił się, gdy jakaś drobna, zapracowana kobieta w średnim wieku zajęła jej miejsce



w szkolnej izbie chorych, i nie podobało mu się, że kiedy spacerował ścieżką pod urwiskiem, był teraz sam. Kiedyś poszedł do zatoki i wędrował wśród skał, ciskając kamyczki do wody. I zawsze czuł głęboki, wrzący gniew, który w sobie pielęgnował.

Mary pisała listy, ale Jake nie odpowiadał. Nie chciał opowiadać o bólu, którego doświadczał, bo wyrażenie go oznaczałoby, że jest wystawiony na ciosy i bezbronny. Wiedział, że nie zostanie w Heatherwood. Mary miała rację, uważając, że on musi ruszyć w dalszą drogę. A jednak czekał na stosowną chwilę. Wszystko, czego zawsze tutaj nienawidził - hipokryzja, snobizm, głęboko skrywana przemoc - stało się wraz z odejściem Mary wręcz nie do zniesienia. Linfield, jak uświadomił sobie teraz Jake, był tylko symptomem owej choroby. Heatherwood i inne miejsca takie jak ta szkoła istniały po to, by wymusić konformizm, a ludzie tacy jak Linfield rozkwitali w podobnych okolicznościach. Ograniczenia Heatherwood i bezbarwny charakter zarówno szkoły, jak i otaczającej ją okolicy kazały mu zatęsknić za ucieczką.

Po raz pierwszy Jake'owi przyszło do głowy, że gdyby ojciec przez całe życie mieszkał w Anglii, on sam zostałby wysłany do takiej szkoły. Ralph pochodził z konwencjonalnej rodziny należącej do klasy średniej, odbierał edukację w placówce takiej jak ta i wpajano mu wartości podobne do tych, które pielęgnowano w Heatherwood. Gdyby Ralph nie postanowił być inny, Jake'a zmuszono by do ślepego podążania śladami ojca. Teraz zrozumiał, że odrzucenie tego wszystkiego z pewnością wymagało odwagi. Pierwszy raz od ponad dziesięciu lat zaczął myśleć o Ralphie inaczej niż z lekceważeniem i wzgardą. Zastanawiał się, co zrobiłby papa w jego sytuacji, i zrozumiał, że nie siedziałby potulnie, akceptując to wszystko.

Jake powiedział dyrektorowi Mundayowi, że chciałby wręczyć jedną nagrodę w przypadającym pod koniec kwietnia Dniu Fundatora. Tego dnia wręczano nagrody za osiągnięcia w nauce angielskiego i łaciny oraz historii i geografii, ale nie było wyróżnienia za postępy we francuskim. Dyrektor Munday, upewniwszy się najpierw, że Jake pokryje cały koszt owej nagrody, wyraził aprobatę.

W Dniu Fundatora Jake wypił na śniadanie odrobinę whisky. Tego ranka w pokoju nauczycielskim Strickland wziął go na bok.

- Nie wypada, by nauczyciele chodzili zalani w pestkę przed takim wydarzeniem, stary. Zwykle czekamy, aż cały ten cyrk się skończy.

- Chciałem dodać sobie odwagi.

- Po co? - Strickland patrzył na niego podejrzliwie. - Musisz tylko przetrwać tę popołudniową nudę.

- Mam wygłosić mowę, a nie przygotowałem sobie tekstu. Tamten położył mu rękę na ramieniu.

- Nie zamierzasz zrobić nic głupiego, prawda, Mulgrave? Jake zobaczył w jego oczach prawdziwą troskę i energicznie pokręcił głową.

- Nienawidzę publicznych wystąpień. Będzie mi brakowało Stricklanda, pomyślał.

Otoczony przez rodziców, nauczycieli i uczniów Jake zjadł na obiad suchą pieczeń wołową z włóknistą fasolką, którą splukał szkocką z piersiówki. W południe zdrzemnął się na meczu krykieta, a potem usiadł za stołem razem z innymi nauczycielami, by ziewać podczas kolejnych przemówień. Rozpoczęło się wręczanie nagród. Proporczyki dla krykieta i rugby. Nagrody dla wizytatorów, uczniów-asystentów i wszystkich innych cholernych oficjeli. Nagrody za ciężką pracę i postępy. Nagrody za osiągnięcia w matematyce, literaturze i za przekłady z łaciny.

Dyrektor Munday skinął na Jake'a i ten nieco niepewnie wszedł na podium, skąd rozejrzał się po zgromadzonej publiczności złożonej z rodziców i uczniów.

- Nastąpiła niewielka zmiana planu. Powiedziałem dyrektorowi Mundayowi, że chcę wręczyć nagrodę za osiągnięcia w nauce języków nowożytnych. Nagrodę Mulgrave'a za francuski czy jakąś inną podobną bzdurę. Ale przyszła mi do głowy inna myśl. Lepsza. Coś z pewnością właściwszego dla tego miejsca. - Uśmiechnął się niewinnie. - Wymyśliłem Nagrodę Mulgrave'a za hipokryzję.

Znudzone pokasływania, szurania i szepty ucichły.

- Naturalnie, jest tutaj dość dużo kandydatów - mówił dalej. - Sam nasz wspaniały dyrektor, oczywiście...

- Mulgrave, natychmiast przestań! - syknął Munday. Atmosfera na sali nagle się ożywiła, w jednej chwili znikła

cała wczesnopołudniowa poobiednia senność.

- Dyrektor Munday - kontynuował Jake - płaci psie pieniądze tym nieudacznikom i starym dziadom, którzy uczą waszych

synów, chociaż pobiera od was najwyższe czesne. Różnicę przywłaszcza sobie. Sprytne, nie sądzicie? - Jake potarł czoło i udawał, że przegląda swoją listę. - Kogóż jeszcze moglibyśmy nominować do tej prestiżowej nagrody? Otóż, mam tu pana Linfielda...

Gwar rozmów zastąpiła cisza.

- Ten facet jest pijany! - rozległ się czyjś głos.

- To prawda - oświadczył Jake, podnosząc wzrok. - Tylko w taki sposób mogę to wszystko znieść. Tak czy inaczej... Linfield. Linfield lubi małych chłopców. Oczywiście, kiedy mówię, że lubi małych chłopców, nie chcę powiedzieć, że ma dla nich jakiegokolwiek względy, że ich wyróżnia lub o nich dba. Mam na myśli to, że lubi zadawać im ból. Czuje wówczas dreszcz przyjemności. Prawdopodobnie nie udaje mu się go osiągnąć w żaden inny sposób. *Le vice anglais*, jak mawiają na kontynencie.

Ktoś pociągnął go za rękaw. Jake starał się skupić wzrok na Stricklandzie.

- Odejdź, stary, zanim zaszkodzisz sobie jeszcze bardziej -perswadował łagodnie stary nauczyciel.

Jake potrząsnął głową.

- Dobrze się bawię - powiedział głośno, lecz jego ożywienie zaczęło znikać. - Poza tym nie wręczyłem jeszcze swojej nagrody. Są także inni kandydaci.

Niektórzy rodzice opuszczali już salę. Jake podniósł głos.

- Naturalnie wszyscy okazalibyście się obiecującymi kandydatami. Mówię o was, panie i panowie. - Kilka osób zatrzymało się w przejściach między rzędami krzeseł. - Tak, tak; właśnie państwo, rodzice tych nieszczęsnych, otumanionych chłopców. - Jego głos niemal zginął w ogólnej wrzawie. - To wy wysyłacie swoich synów do tej szkoły. Wiecie, że z tęsknoty za wami płaczą po nocach. Wiecie, że są bici. Zauważacie, jak się zmienili, kiedy z końcem pierwszego semestru przyjeżdżają do domu. Nauczyli się nie okazywać uczuć, nauczyli się udawać. To wy przekazaliście im własną hipokryzję.

- Jake... - odezwał się jeszcze raz Strickland.

Po przeciwnej stronie podium, naprzeciwko niego stał nauczyciel wychowania fizycznego.

- W porządku, już prawie wszystko - powiedział Jake, który teraz poczuł się zmęczony; gorączkowa radość wywołana bun-

tem nagle go wyczerpała. Opuścił ramiona i zapłakał, a potem oparł łokcie na stole przydzielonym i zrobił głęboki oddech, żeby się uspokoić. - Nie odchodźcie, panie i panowie. Już jestem bliski wręczenia nagrody. Nie chcecie się dowiedzieć, komu ją przyznaję? Przyznaję ją sobie, oczywiście. - Musiał przekrzyczeć zgiełk. - Nagrodę Mulgrave'a przyznaję Jake'owi Mulgrave'owi. A komuż by innemu! Za oszukiwanie samego siebie, że mogę się do tego systemu dopasować. Za to, że dałem się temu opanować. Za to, że nie jestem lepszy od całej reszty. Za...

Czyjeś ręce pochwyciły go i ściągnęły z podium. W sali wręcz się zakotłowało. Poprzez gwar Jake usłyszał głos pana Mundaya.

- Panowie i panie, proszę pozostać na miejscach. Obawiam się, że pan Mulgrave doświadczył pewnego rodzaju załamania nerwowego! - nawoływał dyrektor, ale dobrze ubrani mężczyźni i kobiety nadal wychodzili z sali.

Jake został doprowadzony do bocznych drzwi, jednak tam uwolnił się i sam poszedł na górę. Pakując swoje rzeczy, po raz ostatni rozejrzał się po małym, ciasnym pokoju, który przez cały miniony rok był jego domem. Przy stole pod oknem grał ze Stricklandem w szachy, a na dywaniku przed kominkiem kochał się z Mary. Kiedy zaczął upychać ubrania w plecaku, usłyszał, że otworzyły się drzwi.

- Chyba nigdy nie widziałem człowieka, który by z taką rozkoszą sam poderżnął sobie gardło.

- Och, zawsze walczyłem za przegrane sprawy, Strickland - odrzekł lekko Jake. - Wstąpiłem nawet do Brygad Międzynarodowych, opowiadałem ci o tym? I byłem pewny, że Niemcy nigdy nie zdobędą Paryża. Po prostu sądziłem, że uda mi się choć trochę zreformować angielski system szkolnictwa.

- On jest niereformowalny, nie wiedziałeś? Zaspokaja określone potrzeby, i o to chodzi.

Zapadło milczenie. Jake rzucił okiem na książki, które stały na półce.

- Przydadzą ci się, Strickland? Nie sądzę, abym ich potrzebował, a poza tym są za ciężkie, żeby je brać ze sobą.

Tamten popatrzył na niego.

- Co teraz zrobisz?

- Nie mam pojęcia. Nie przypuszczam, by jakaś inna szkoła chciała mnie zatrudnić.

- Ja też nie, chyba że gdzieś lubią niekonwencjonalne zachowania.

Jake zapiął rzemyki plecaka

- Masz jakieś pieniądze? - zapytał Strickland. Oczywiście nie miał, ale powiedział, że ma, i wyciągnął rękę, żeby się pożegnać.

- Chyba powinienem już iść.

Uścisnęli sobie dłonie. Wychodząc, Jake usłyszał słowa tamtego.

- Oczywiście będzie mi ciebie brakowało, ale chyba było warto. Myślę, że jednym z najpiękniejszych momentów mojego życia było obserwowanie wyrazu twarzy Mundaya.

Po szkole Oliver zwiedzał Soho. Jednak przejmujące zawrodoenie saksofonów, dobiegające z piwnic, i popękane, krzykliwe szyldy oraz reklamy nie zdołały go dzisiaj zainteresować. Wyprostował się, zapalił papierosa i skręcił w wąską uliczkę, jedną z tych, gdzie, jak sądził, w mrocznych bramach czyhali gangsterzy ze śmiercionośnymi nożami. Starał się wyglądać na wyższego, silniejszego i bardziej pewnego siebie. Niemal pragnął, by jakiś chuligan wyskoczył z mroków i zaatakował go nagle. Pokonałby napastnika, a wtedy rodzice byłiby z niego dumni i wszystko znów wróciłoby do dawnego stanu rzeczy. Ale minęło go tylko kilka dziewcząt, które chichocząc, kołysały się na wysokich obcasach i szeleściły taftowymi spódnicami. Dzisiaj Olivera nie pociągało nawet oglądanie ich biustów, czego nauczył go Wilcox. Zaciągnął się papierosem i zaszurał podeszwami butów na chodniku.

Dotarł do opustoszałego placu pełnego gruzu. Szczątki fundamentów stojących tu niegdyś budynków przypominały kości, przebijające przez warstwę wrzosów i pokrzyw. Oliver zawsze interesował się takimi zbombardowanymi podczas wojny miejscami. Wyobrażał sobie pociski lecące z nieba i rujnujące mury oraz dachy domów. Z okrutnym, bezlitosnym zachwytem widział w myślach Rosjan zrzucających bombę atomową na Londyn, a potem jęk, krzyk, wspaniała chmura w kształcie grzyba, i to wszystko - podejrzane kluby w Soho i eleganckie domy przy Holland Square - przestałoby istnieć. Jakże budowle powstałyby po takim kataklizmie? Może wspaniałe, nowe, wysokie lśniące kolumny, jak wizje marsjańskich miast w książce „Wojna światów”?

Tuż obok mieścił się jakiś sklep. Nudny sklep odzieżowy. Oliver zamierzał iść dalej, gdy przeczytał niebiesko-złoty napis na szyldzie: „Błękit Nieba”. Ta nazwa wydawała mu się znajoma, chociaż początkowo nie wiedział, skąd miałby ją znać. Wtedy przypomniał sobie wizytówkę, którą znalazł w portfelu ojca. Staął na chwilę przed wystawą, zaglądając do wnętrza, a potem wszedł do środka.

Ściany zdobiły jasne barwy błękitu, różu i żółci. Na podłodze leżały chodniki o przytłumionych kolorach turkusowozielono-niebieskiego morza. Krzesła, lampy i stojące z boku stoliki były proste i tak odmienne od przeładowanego ozdobami i frędzelkami szkarłatu i beżu umeblowania domu przy Holland Square, że Oliver pomyślał, iż to wnętrza mogłyby pochodzić z innego świata, a nawet z innej planety.

Przy ścianach znajdowały się wieszaki z sukniami, zaś z oparcia najbliższego fotela zwieszało się kilka szali z pięknego, migotliwego materiału. Oliver rzucił okiem na metkę z ceną. Trzy gwinee. Za szal!

- Czym mogę służyć? - rozległ się jakiś głos.

Chłopiec zadrżał. Obok niego stała wysoka, siwowłosa kobieta.

- Rozglądam się - odrzekł najbardziej wyniosłym tonem swojej matki.

Kobieta wróciła do kasy, by obsłużyć jakiegoś klienta.

Chłopiec ostrożnie rozejrzał się wokół. W sklepie były tylko dwie ekspedientki: ta wysoka starsza i jakaś młodsza w zielonej sukience. Panował tu duży ruch; klientki wchodziły do kilku przymierzalni i wychodziły z nich, inne zaś oglądały suknie na wieszakach. Starsza ekspedientka pakowała sprawunki; kiedy zadzwonił telefon, odebrała go ta młodsza, w zielonej sukience. Oliver zsunął najbliższy szal z oparcia krzesła do kieszeni swojej marynarki i wyszedł ze sklepu.

Nie uciekał; zmusił się, by iść spokojnie. Biegając, wyglądałby podejrzanie. Miał wyschnięte usta. Już prawie dotarł do końca ulicy i bliski był głośnego westchnienia ulgi, gdy zobaczył, że stoi przed nim młoda kobieta. Miała jasne włosy i oczy w kolorze onyksowej broszki matki. Młodsza sprzedawczyni w zielonej sukni; kobieta z „Błękitu Nieba”.

- Szal, proszę - powiedziała Faith, wyciągając rękę. Chłopiec wydawał się tak przerażony i tak zaszokowany, że prawie

było jej go żal. - Tam jest tylne wyjście. Można przebiec na skróty - wyjaśniła.

- Och... - westchnął, po czym wyjął z kieszeni szal i podał go jej. - Powiadomi pani policję?

- Być może. - Ona także była zaskoczona. Sklepowi złodzieje zazwyczaj nie byli tak młodzi ani tak dobrze ubrani.

- Och... - westchnął znowu i zamrugał powiekami. - Proszę tego nie robić.

Spojrzała na niego uważnie i pomyślała zirytowana: No i co ja mam, do licha, z tobą począc? Wezwać policję, zatelefonować do twoich rodziców czy uściskać cię i powiedzieć, żebyś nie płakał?

- Jak się nazywasz? - zapytała łagodnie.

- Oliver.

- To ładne imię. No cóż, Oliverze, nie chcesz, żebym wezwała policję, a co twoim zdaniem powinnam zrobić?

Potrząsnął głową.

- Nie wiem. - Jego oczy, cudownie ciemnoniebieskie i rozszerzone ze strachu, wpatrywały się w nią w napięciu.

Stojąc na zatłoczonym trotuarze, próbowała podjąć decyzję. Miał trzynaście lub czternaście lat, był uderzająco ładny i najwyraźniej zadbany.

- Posłuchaj - odezwała się Faith powoli - nie rozumiem, dlaczego chciałeś ukraść jeden z moich szali. Mówiąc szczerze, niewielu chłopców wchodzi do tego sklepu. Zaledwie kilku w okresie Bożego Narodzenia. Przypuszczam, że wtedy kupują prezenty - zmrużyła oczy. - A zatem dlaczego to zrobiłeś? Czy szal miał być dla kogoś prezentem?

Bez słowa skinął głową.

- Dla twojej dziewczyny?

- Nie mam dziewczyny.

- Więc dla kogo?

Oczy chłopca załśniły. Po przeciwnej stronie ulicy była kawiarenka. Faith poprowadziła go w tamtą stronę.

- Porozmawiamy o tym przy lukrowanych bułeczkach z rodzynkami i lemoniadzie - powiedziała. - Lubisz te bułeczki, prawda, Oliverze? Ja lubię je najbardziej.

Zamieniła kilka słów z kelnerką, dając mu czas, by doszedł do siebie. Przypomniała sobie, jak kiedyś w Madrycie, gdy miała mniej więcej osiem lat, zgubiła się i była okropnie przerażona, a najbardziej denerwowała się tym, że płacze przed

obcymi ludźmi. Kiedy więc przestał gryźć wargi i sączył już przez słomkę lemoniadę, zaczęła z nim rozmawiać.

- Powiedz mi, Oliverze, komu chciałeś dać ten szal.

- Mojej mamie. Żeby ją rozweselić.

- Czy jest chora?

Potrząsnął przecząco głową. Faith pomyślała, że jego złociste włosy mają połysk surowego jedwabiu.

- Mama... i tata... - znowu zamrugał oczami i spuścił wzrok - ciągle się kłóca.

- Stłumione słowa były niemal niesłyszalne.

- Myślę, że dorośli czasem się kłóca, ale to nie oznacza, że się nie kochają - odrzekła łagodnie Faith.

- Oni zawsze się kłóca! - odparł gwałtownie. - Nienawidzę tego. To... - Przerwał. - Po prostu tego nienawidzę.

Zaczął szarpać swoją bułeczkę na kawałki. Patrząc na niego, Faith przypomniała sobie, jak kiedyś się czuła, gdy Ralph i Poppy kłócili się ze sobą. Przypomniała sobie ów mdlący ucisk w żołądku i strach, że cały świat, w którym rodzice byli oczywiście najważniejsi, chyli się ku upadkowi.

- Ostatniego wieczoru była straszna awantura. - Oliver starał się mówić zwyczajnym tonem, zbierając czubkiem palca lukier, który spadł mu na talerz. - Dziadek i ja nastawiliśmy radio na cały regulator, ale mimo to wszystko słyszeliśmy.

- Biedny Oliver - powiedziała Faith, starając się wypełnić chwilowe przerwy w rozmowie - więc dziś rano mama wydawała ci się nieszczęśliwa...

- Płakała.

- A zatem mama płakała, więc chciałeś jej coś dać, aby ją pocieszyć?

- Tak - odrzekł, a potem, znowu patrząc w talerz, wyszeptał: - Bo widzi pani, to wszystko moja wina.

Zapomniała o szalu i nagle poczuła prawdziwe, bolesne współczucie.

- To nie twoja wina, Oliverze - odpowiedziała. - To nieprawda. Dzieci często sądzą, że kiedy ich rodzice się rozchodzą, to dzieje się tak z ich powodu, ale tak nie jest. Po prostu tak się czasem zdarza.

- Pani nie rozumie. - Podniósł wzrok, patrząc na nią oczami pełnymi buntu. - Ja zrobiłem coś okropnego.

- Cokolwiek zrobiłeś, Oliverze, jestem pewna, że nie było to okropne - oświadczyła stanowczo. - Ty po prostu...



- Zostałem wydalony ze szkoły.

Te słowa jak gdyby uderzyły ją w żołądek. „Zostałem wydalony ze szkoły”. Bardzo ostrożnie odstawiała szklankę i splotła dłonie, by powstrzymać ich drżenie. Oliver, pomyślała. Trzynaście lat. Wydalony ze szkoły. I zabrał szal ze sklepu...

- Widzi pani - wpatrywał się w nią hardym wzrokiem - mówiłem, że zrobiłem coś okropnego.

- Wydalono cię za kradzież? - zapytała, a jego bunt zamienił się we wstyd.

- Właśnie dlatego jestem teraz w domu. Zazwyczaj w początkach lata przebywałem jeszcze w internacie. Tata powiedział, że powinienem chodzić do normalnej szkoły w Londynie, ale mama tego nie chciała. To moja wina.

- Oliverze - zapytała ostrożnie - jak brzmi twoje nazwisko?

Znała odpowiedź, zanim jej udzielił.

- Neville.

Ponieważ Faith nie mogła od razu wrócić do sklepu, gdyż wiedziała, że Con dostrzeże wzburzenie i poczucie winy wypisane na jej twarzy, usiadła na opuszczonej działce obok „Błękitu Nieba”, obserwując trzepoczące w trawie motyle. Smukłe witki wierzbówki, która nie zdążyła jeszcze zakwitnąć, porastały nierówny grunt. Faith podciągnęła kolana pod brodę i powiedziała do siebie: Skończone.

Uświadomiła sobie teraz, że od wielu miesięcy wszystko zmierzało do owego kresu. Brakowało jej odwagi, by zadać ostatni cios, stłumić ostatnie tchnienie. Była to powolna agonია; nie z braku miłości, lecz z braku powietrza. Nauczyła się, że miłość nie może przetrwać w tak oderwanych od zwyczajnego życia warunkach; że potrzebuje też innych ludzi, miejsc i wymiany energii. Ilość kłamstw, których od początku wymagał ich związek, raczej się zwiększyła, niż zmniejszyła.

Zastanawiała się też, czy jej uczucie do Guya zawsze było skazane na śmierć. Czy to szczerze, prostolinijne uczucie, jakim darzyła go od dzieciństwa, samo w sobie nie było zarówno nęcące, jak i niebezpieczne? Czyżby nienaturalnie przedłużała swe młodzińcze zauroczenie Guyem, gdyż stanowił element szczęśliwszej, bezpieczniejszej przeszłości? A może po prostu brakowało jej odwagi, by zacząć wszystko jeszcze raz

i skierować się ku owemu nowemu światu, który wykreowały zarówno wojna, jak i dzieje jej rodziny?

Po chwili Faith poczuła się spokojniejsza. Słońce późnego popołudnia całowało jej ramiona i głowę. Miesiące niepewności i zwątpienia już się skończyły. Ma przed sobą tylko jedną okropną rzecz do zrobienia, a potem będzie musiała zacząć inne życie. Nie wiedziała, jak poradzi sobie bez niego, ale wiedziała, że musi.

Zatelefonował następnego wieczoru.

- Guy, musimy się spotkać - odezwała się, podniósłszy słuchawkę. Wiedziała, iż z tonu jej głosu domyślił się już, że stało się coś złego.

- Gdzie?

- Nie tutaj. W naszej kawiarence, jutro, w porze lunchu - powiedziała i skończyła rozmowę.

Kiedy przyszła, czekał już przy stoliku. Oprócz nich w kawiarni było tylko trzech innych gości: jakiś leciwy mężczyzna w płóciennej czapce wolno popijał herbatę, a dwaj chłopcy w skórzanych kurtkach, z gładko zaczesanymi włosami, palili papierosy.

Guy wstał, kiedy doń podeszła.

- Przyszłaś, aby mi powiedzieć, że wszystko skończone. Sto razy próbowała ułożyć sobie w myślach co mu powie,

ale teraz, patrząc na niego, nie umiała znaleźć słów.

- Wiem, że nienawidzisz tego ukrywania się. Ja także, ale...

- Guy - przerwała. - Guy, Oliver przyszedł do mojego sklepu. Zbladł. W tej samej chwili podeszła kelnerka, więc Faith

sięgnęła po menu i zamówiła pierwsze z brzegu danie, jakie zobaczyła.

- Oliver? Mój syn? - zapytał szeptem, gdy znów zostali sami.

Skinęła głową. Teraz, patrząc na Guya, mogła dostrzec podobieństwo między nim a jego synem. Odmienny kolor włosów, ale te same szlachetne rysy, ta sama pasja i wewnętrzna siła walczące z konwencjonalnym wyglądem zewnętrznym.

- Skąd? Nie pojmuję... - Guy wydawał się nagle przerażony. - Czy on wie?

- Oliver powiedział, że podoba mu się Soho... i często spaceruje tędy po szkole - wyjaśniła Faith, potrząsając głową. - Nie wie o nas. Ale najwyraźniej znalazł jedną z wizytówek „Błękitu Nieba” w twoim portfelu.

Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

- Zachowałem tę wizytówkę. Mam ją od pierwszego dnia; od tego, gdy kupiłem szal... Nie chciałem jej wyrzucić...

Kelnerka postawiła przed nimi dwa talerze; walijskie grzanki z serem i sadzonym jajkiem.

- W moim portfelu...? - zastanawiał się Guy.

- Pożyczył sobie funta, jak mi powiedział. - Głos Faith miał ponure brzmienie. - Wczoraj w sklepie próbował ukraść szal. Zobaczyłam, jak to robił, i wybiegłam za nim. Pogadaliśmy.

- Złodziejstwo... Dobry Boże, sądziłem, że położyłem temu kres.

- Był zdenerwowany, Guy. Zabrałam go do kawiarni i próbowałam z nim rozmawiać. - Sięgnęła po nóż. - Wy tłumaczyłam mu też, że dżentelmen pyta kobietę, czy może zapalić w jej towarzystwie.

Oczy Guya rozszerzyły się ze zdumienia.

- Oliver pali?

- Tak, Guy. - Przebiła wściekle widelcem żółtko jajka, a pomarańczowy strumyczek rozlał się po serze. - Miał paczkę wood-bine'ow. Nie wiedziałeś, że twój syn pali papierosy?

Ponuro pokręcił głową.

- Zdaje się, że narobiłem cholernego bałaganu tym swoim ojcostwem. - Sięgnął po papierosa i podsunął paczkę Faith, ale odmówiła. - Chyba będę musiał znowu z nim porozmawiać - odezwał się po dłuższej chwili.

- Tylko nie o szalu, Guy. I nie wspominaj o wizytówce „Błękitu Nieba”. To by nas zdradziło...

- Tak, tak, oczywiście - odrzekł cicho. - Nie pomyślałem o tym.

- ...a poza tym opowiedział mi o tej wizytówce w zaufaniu. Oliver wyznał jej też w zaufaniu inne rzeczy; takie, którymi nie mogła podzielić się z Guyem.

- Wygląda na to, że się z nim zaprzyjaźniłaś.

- Bardzo go polubiłam.

- Naprawdę? W tych okolicznościach... Prawie się uśmiechnęła.

- Okoliczności były niesprzyjające, ale naprawdę bardzo mi się spodobał - z uwagą przyglądała się Guyowi - choć zrobił na mnie wrażenie nieszczęśliwego chłopca.

- Nieszczęśliwego? - Guy wydawał się zaniepokojony.

- W pewien zabawny sposób przypomina Jake'a. Tak inteligentny i urodziwy, a przy tym rozpaczliwie poszukujący aprobaty.

- Oliverowi ani trochę nie zależy na mojej aprobacie - odparł gorzko Guy.

- To nonsens, Guy, i dobrze o tym wiesz - oświadczyła chłodno. - Wiedziałeś, że Oliver sądzi, iż to on jest odpowiedzialny za twoje kłótnie z Eleanor?

Drgnął.

- Biedny mały - mruknął. - Biedny chłopak.

Popiół z czubka jego papierosa spadł na lśniącą, nietkniętą powierzchnię jajka.

- Oliver jest przekonany, że ty i twoja żona kłócicie się dlatego, że wydalono go ze szkoły. Podczas gdy ty i ja... No cóż, my wiemy, iż powód jest inny, nieprawdaż?

Guy zdusił papierosa na brzegu swego talerza.

- Nie kłóć się z Eleanor z tego powodu, że kocham ciebie, Faith, jeśli to miałaś na myśli. Kłóćmy się dlatego, że się nie lubimy.

- I kłóciliście się, zanim zaczęliśmy się widywać? - Dobry Boże, pomyślała, cóż to za eufemizm: „widywać się”. - Kłóciliście się już wtedy? - Jej głos brzmiał twardo i stanowczo.

Na chwilę zamknął oczy.

- Nie - przyznał. - Chyba nie.

Zapadła cisza. W końcu Faith powiedziała powoli:

- Zdaje się, że nigdy nie myślałam o Oliverze jako o konkretnej osobie. Jeśli osoba, którą się zdradza, jest tylko imieniem, postacią z jakiegoś dramatu, rozgrywającego się wokół nas, wtedy nie ma to wielkiego znaczenia, prawda.

Guy westchnął, a potem ukrył twarz w dłoniach.

- Przyrzekłem sobie, że nigdy go to nie dotknie... że go nie zrani... A on jest przekonany, że sam ponosi odpowiedzialność... Nie mogę tego znieść, Faith. Nie mogę...

Starszy mężczyzna w płóciennej czapce powoli wyszedł z kawiarni. Faith obserwowała, jak się oddalał w płaszczu przeciwdeszczowym zapiętym pod szyję mimo upału.

- Wciąż masz jeszcze szanse naprawić swoje stosunki z Oliverem. On cię kocha, Guy, widziałam to. A jeśli chodzi o nas... Nie wolno nam się spotykać. Nigdy, Guy. Jeśli minie się na ulicy, musimy być dla siebie nieznanymi ludźmi.

- Kimże ja będę bez ciebie, Faith? Kim się stanę? - zawołał z udręką.

- Lepszym ojcem i lepszym mężem - odpowiedziała, spoglądając na niego ostatni raz. Potem sięgnęła po torebkę i wyszła.

Po opuszczeniu Heatherwood Jake najpierw zamierzał udać się na kontynent. Brakowało mu słońca, które świeciło wysoko na niebie, pokrytych kurzem winnic oraz ludzi, którzy mieli w sobie pasję i spontaniczność. Dotarł aż do Southampton z jego portową krzątaniną i ulicami wciąż noszącymi ślady bombardowań i tam, w jakimś pubie w Bargate wpadł na starego kumpla z wojska. Następnego ranka obudził się z wyschniętymi ustami, dręczącym bólem głowy i kręgosłupem obolałym od spania na parkowej ławce. Nie mógł sobie przypomnieć drogi z pubu do parku. Nigdzie nie było też żadnego śladu ani starego kumpla, ani portfela.

Właśnie wtedy zaczęły go opuszczać resztki gniewu i owego płomiennego oburzenia, które kierowały jego zachowaniem w ostatnich kilku tygodniach pobytu w Heatherwood. Spoglądał teraz na swoje poczynania z ostatnich kilku miesięcy chłodniejszym wzrokiem. Zrozumiał, że nie pomógł nikomu; ani Geor-ge'owi, ani Mary, ani sobie. Były sprawy, które mógł załatwić spokojniej - w ten sposób prawdopodobnie coś by w końcu osiągnął. Zawsze owe dramatyczne gesty, stary, mówił do siebie, włączając się ulicami Southampton. Zawsze te dramatyczne, puste gesty. Wieczny, niepohamowany odruch, by kierować się sercem, a nie głową. Przyszło mu na myśl, że świat się zmienił i teraz patrzy się zarówno na heroizm, jak i na namiętność chłodniejszym, bardziej cynicznym okiem.

Zatelefonował do pewnej szkoły w Northumberland, która poszukiwała nauczyciela języków nowożytnych, ale kiedy zapytano go o referencje, odłożył słuchawkę. Każdej nocy coś mu się śniło. Sny były kolorowe i pełne wydarzeń, a towarzyszył im zawsze pośpieszny, szalony komentarz, który echem odbijał się w głowie Jake'a. Czasami siedział w nich na plaży, chyba we Francji... Były to urodziny Ralpa, ale nie lato, gdyż niebo miało zimny, fioletowoniebieski kolor, a morze pokrywały spienione fale. Na przyjęcie przyszli liczni goście. Widział numery wytatuowane na rękach Geny i Sary. Pomachał

ku hrabinie de Chevillard, ale nie był pewny, czy go dostrzegła, gdyż jej oczy kryły się za ciemnymi okularami. Rufus zaproponował mu coś do picia, a Nicole rzuciła piłeczkę Minette. Kolaborant, którego Jake zabił we Francji, uśmiechnął się do niego i Jake zobaczył cienką szkarłatną linię biegnącą wokół jego gardła.

Wiedział, co powiedziałyby Faith, gdyby opisał jej swoje koszmary senne. „Znajdź sobie jakieś zajęcie, Jake, a będziesz zbyt zmęczony, żeby śnić”. Znalazł więc pracę w pubie. Pamiętał, że siostra kazała mu też jeść i spać. Nie mógł jednak jeść i koszmary go nie opuszczały. Za to pił. Kiedy „kapeczka” whisky okazała się połową butelki ukradzioną z piwnicy pubu, wyrzucono go z pracy.

Postanowił pojechać do Walii, by zobaczyć się z Mary. Pomyślał, że będąc z nią, radził sobie ze wszystkim, z nią czuł się dobrze. Ponieważ w kieszeni miał tylko kilka funtów, łapał „okazje” z Southampton do Swansea. Stamtąd przeszedł dwanaście mil do szkoły. Był maj, okolica wydawała się świeża i nieznana. Jake zaczął znów mieć nadzieję. Porozmawia z Mary, wszystko jej wyjaśni, powie, że ją kocha. Stanie na nogach, znajdzie przyzwoitą pracę. Sam napisze sobie te cholerne referencje, jeśli będzie musiał.

Szkoła, w której pracowała Mary, położona była w parku. Jake przeskoczył płot i przeszedł przez łagodnie pofałdowane trawniki pod drzewami ciężkimi od wiosennie zielonych liści. Budynek - imitacja stylu palladiańskiego, w przeszłości stanowiący własność jakiegoś bogacza - położony był w płytkiej kotlinie. Jake dotarł właśnie do zwirowego podjazdu, który wił się między bezładnie stojącymi domkami i garażami, gdy usłyszał wołający ku niemu głos. Z jednego z domków wybiegł mężczyzna w płóciennej czapce, jak sądził Jake, ktoś w rodzaju nadzorca szkolnego boiska. Człowiek ów powiedział coś w niedającym się zrozumieć dialekcie walijskim, a potem, widząc zakłopotaną minę przybysza, splunął na ziemię i tym razem po angielsku kazał mu opuścić teren. Jake wyjaśnił, że pragnie odwiedzić znajomego, ale tamten zwrócił mu uwagę, że w przerwie międzysemestralnej szkoła jest prawie pusta, a poza tym nie są w niej mile widziani ludzie jego pokroju.

Jego pokroju... Jake poczuł rosnący gniew, lecz później ujrzał własne odbicie w jednym z okien domku. Brudne, wy-

strzępione ubranie, kilkudniowy zarost... Uświadomił sobie, że nie pamięta, kiedy ostatni raz się kąpał ani kiedy po raz ostatni odwiedził samoobsługową pralnię. Wiedział, że nie zniósłby, aby Mary ujrzała go w takim stanie, więc podniósł plecak i ruszył w stronę drogi.

Wrócił do Southampton po prostu dlatego, że nie przyszło mu do głowy żadne lepsze miejsce, gdzie mógłby się udać. W jakimś pubie obok doków zamówił najtańszą podwójną whisky. Zobaczył, że obserwuje go kilku portowych robotników... nie spodobały im się jego długie włosy, dobry akcent i pewna odmienność, której nie wyzbył się przez wszystkie lata spędzone w Anglii... Zrozumiał, że ci ludzie, podobnie jak on, palą się do bójki. Uśmiechnął się i zacisnął pięści.

Faith odmieniła swoje życie. Guy był częścią przeszłości, i zrozumiała, że dawno należało zostawić tę przeszłość za sobą. Nie odkładała już sześciopensówek. Przestała marzyć o domu na wsi, który przypominał jej La Rouilly, i teraz oszczędzała, by kupić mieszkanie w Camden Town lub w zachodniej części Londynu. Zrobiła porządki w mieszkaniu nad sklepem i zgromadziła stertę fotografii, widokówek oraz pamiątek, które wyrzuciła do śmieci. Każdy z miłosnych listów Guya zgmiotła w kulkę i wrzuciła do paleniska, a potem przyłożyła zapalnik do papierów i obserwowała, jak ich spopielałe koronkowe resztki znikają w kominie. Później pewnej nocy wyjęła z szafy swoją sukienkę „z błękitu nieba”. Wiek sprawił, że jeden z jej szwów się wystrzepił, a mole przegryzły lamówkę. Faith rozpruła szwy, powyrywała rękawy ze stanika i poszarpała kołnierz, dopełniając dzieła, które już rozpoczął czas, dopóki sukienka nie stała się stosikiem błękitnych szmatek.

Zatelefonowała do przyjaciół, których zaniedbywała w czasie romansu z Guyem Neville'em, i zaczęła chodzić z nimi do kin i teatrów. Przyjmowała też zaproszenia na przyjęcia. W pewnym eleganckim, wymalowanym na biało domu w Richmond piła koktajle i tańczyła z jakimś nieznajomym. Jego wargi muskały czubek jej głowy, a dłonie przesuwają się po plecach. O północy wyszli z przyjęcia. Kochali się w jakimś pokoju z książkami, czasopismami i maszyną do pisania. Nie było tak jak niegdyś dawno temu z Rufusem - teraz już wiedziała, jak czerpać przyjemność z takich spotkań. Guy nauczył ją tego do-

brze, pomyślała, patrząc na sufit i uśmiechając się do wspomnień.

Wczesnym rankiem kochanek wstał z łóżka i przyniósł jej kawę.

- Przepraszam; bez mleka i cukru. Nie pogniewasz się? Zapomniałem kupić.

Siedział nagi na krześle przy biurku, obserwując Faith. W szarym świetle widziała jego chude ciało, ledwie okrywające żebra.

- Jesteś pisarzem? - zapytała, spoglądając na książki, które piętrzyły się na podłodze.

- Piszę autobiografię - wyjaśnił. - Myślałem, żeby nadać jej tytuł „Niszczyciel światów”. Pamiętasz te słowa Oppenheimera, kiedy oglądał pierwszą próbę atomową: „Staję się śmiercią, niszczycielem światów”. - Zapalił papierosa. - Widzisz, byłem jeńcem wojennym, kiedy zrzucono bombę atomową na Hiroszimę. Widziałem ten biały błysk. Często, kiedy zamykam oczy, widzę go znowu. Niczym drugie słońce...

Wypiła kawę i ubrała się powoli. Kiedy zapytał o adres i numer telefonu, odpowiedziała wymijająco. Wyczuwała, że jej potrzebuje, a nie chciała być potrzebna. Pragnęła pozostać wolna od dni, terminów i ludzi, których spotykała. Podczas weekendu, przyjeżdżając do Heronsmead po miesięcznej nieobecności, musiała zagryzać wargi, żeby nie krzyczeć ze złości, widząc panujący tam bałagan. Sterty brudnych rzeczy nagromadzonych w sypialni; popsuta uszczelka pod zlewem; środki czyszczące, mydło i proszek do prania stężałe w gęstą, szarą masę... Piorąc koszule Ralpa i wzywając hydraulika, Faith pełna była głębokiej urazy. Dwa dni później, wyjeżdżając z Norfolk, nawet nie spojrzała z okna wagonu na ojca, który machał do niej z peronu.

Pewnego piątkowego popołudnia była w „Błękitie Nieba”, kiedy zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

- Faith? To ty? - zapytał Jake.

Był w areszcie policyjnym w Southampton. Został zatrzymany pod zarzutem pijaństwa i awanturowania się. Nie miał dość pieniędzy, by zapłacić grzywnę.

- Faith? - mówił cichy głos na drugim końcu linii. - Faith, tak mi przykro. Wdałem się w niewielką bójkę.



Pojechała do Southampton. Czerwono-biało-błękitne flagi powiewały na cześć zbliżającej się koronacji. Fotografie nowej królowej wycięte z czasopism i gazet zdobiły sklepowe wystawy. Faith nienawidziła tego wszystkiego. Żalowała, że to nie zima, gdyż wtedy krajobraz przypominał jej zamknięte, lodowate serce.

Zapłaciła grzywnę i Jake został wyprowadzony z celi policyjnego aresztu. Na szczęście miał duże, purpurowe sińce, a jedno oko podbite czernią i żółcią. Natura obdarzyła go wszystkim, pomyślała Faith; urodą, inteligencją, wdziękiem, a on to wszystko zmarnował.

- Co ty z siebie zrobiłeś? - zapytała drżącym szeptem, a potem szybko wróciła do furgonetki.

Wracając do Londynu, mijała szybko jadące wolniej furgonetki i samochody osobowe. Kiedy jednak niemal zderzyła się z jakimś zaopatrzonym w silniczek rowerem, musiała zrobić przerwę; zatrzymała się na poboczu drogi i zmusiła gwałtownie bijące serce, by się uspokoiło. Jake spał, a ona wpatrywała się w szosę przed sobą, prawie nie mogąc znieść widoku brata. Kiedy zaparkowała furgonetkę obok sklepu, usłyszała słowa Jake'a.

- Faith... przepraszam... nie martw się... oddam ci te pieniądze...

Odwróciła się na pięcie, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi do „Błękitu Nieba” i zostawiając Jake'a, by sam wszedł na górę do mieszkania.

W sklepie czekały na nią wszystkie najbardziej nużące i najnudniejsze zadania: odkurzanie półek, przyjmowanie spóźnionych dostaw, podszywanie brzegów spódnic i lamówek. Kiedy przeliczyła utarg, zatelefonował Ralph. Długo opowiadał o pogodzie, ogródku i ptasich gniazdach pod okapem dachu, lecz prawie go nie słuchała, a po chwili przerwała rozmowę, odłożyła słuchawkę i poszła na górę.

Jake był w kuchni.

- Zdaje się, że nie ma tu zbyt wiele do jedzenia.

- Nie zrobiłam zakupów - odpowiedziała, z wysiłkiem panując nad sobą.

Miał bladą, zapadniętą twarz. Owinął sobie wokół dłoni kuchenną ściereczkę.

- Więc ja je zrobiłem - odrzekł, wskazując sałatę, chleb i kawałek konserwowej szynki, różowej i błyszczącej. - Mam nadzieję, że dobre.

- Co ci się stało w rękę? Spojrzał na nią z zakłopotaniem.

- Skaleczyłem się, otwierając konserwę - odrzekł, wskazując puszkę po szynce.

Odwinęła ściereczkę. Cięcie miało szerokość jego dłoni. Jęknął.

- Gdyby mi się udało zrobić to trochę niżej, na przykład na nadgarstku, to miałabyś mnie z głowy.

- Nie mów głupstw, Jake - odpowiedziała zimnym głosem, po czym poszła do łazienki po gazę i plastry. Usłyszała, jak brat mówił:

- Przykro mi Faith, że sprawiam ci taki kłopot - i jej dłonie trzymające jodynę, wręcz się zatrzęsły.

Kłopot... Więzy rodzinne, pomyślała, były klatką, która ją przygniotła i trzymała w niewoli.

Jake stanął w drzwiach łazienki. Tylko przez chwilę mignęła jej rozpacz w oczach brata, którą, jak przypuszczała, zawsze maskował wdziękiem - potem poczuła zapach alkoholu.

- Piłeś.

- Tylko dwa piwa w pubie.

- Pięćdziesiąt funtów, Jake - zasyczała Faith. - Musiałam za ciebie zapłacić pięćdziesiąt funtów! A jeszcze przyjdzie rachunek od adwokata. Zdaje się, że masz nadzieję, iż zapłacę także i to!

- Znajdę jakąś pracę. - Skóra wokół jego tęczyowych sińców pobraźla.

- Przecież miałeś pracę!

Brat spuścił wzrok. Wrócił do pokoju, poszperał w kieszeni, szukając papierosów, i usadowił się na parapecie okna. Miał brudne ubranie i kilkudniowy zarost.

- Co się stało?

- Porzuciłem szkołę parę miesięcy temu. Zaśmiała się ironicznie.

- Rekord, prawda? Udało ci się wytrzymać tam niemal rok, czyż nie? Dlaczego, Jake? - Przypomniała sobie wszystkie usprawiedliwienia, jakie wynajdywał Ralph dla owych nieustannych wędrówek, na których upłynęło jej dzieciństwo. - Znudziłeś się? Nie bardzo ci to odpowiadało? - pytała drwiącym tonem.

- Coś w tym rodzaju - mruknął.

- Jeśli miałaś już dosyć tej szkoły, to czemu po prostu nie przeniosłaś się do innej?

- Nie miałem referencji.

- Czemu? Unikał jej wzroku.

- Odszedłem... w niełasce. Nastąpiła chwila milczenia.

- Piłeś?

- Nie w tym rzecz. Nie całkiem...

- Mów prawdę, Jake.

Bawił się guzikiem zwisającym z mankietu kurtki.

- Chodziło raczej o niezgodność zasad.

- Zasad?! - Faith niemal zadygotała z gniewu. - A zatem moje oszczędności... moja przyszłość... zostały poświęcone w imię twoich szlachetnych zasad?

- Powiedziałem ci - guzik oderwał się od mankietu i potoczył po podłodze - że zwrócę te pieniądze.

- Czy wiesz, ile razy ojciec mi to mówił? Kiedy zapchany komin spowodował pożar... kiedy zostawił zakupy w autobusie... kiedy trzeba było uregulować rachunki... - Spojrzała na Jake'a rozpartego wygodnie na parapecie i dodała z goryczą: - Jakież to niedorzeczne, że ty i papa nie zgadzacie się ze sobą. Jesteście tacy podobni.

Oczy brata pociemniały.

- Faith, zamknij się, na miłość boską!

- Wiesz, jaki jesteś do niego podobny? - Teraz, kiedy zaczęła mówić, nie mogła się już powstrzymać. Była świadoma pasji, z jaką wypowiadała myśli, które dusiła w sobie od lat. - Niemożność wytrwania w czymkolwiek... nieustanne mieszkanie w pożyczanych domach... życie za cudze pieniądze. Tak wiele macie wspólnego!

- Oczywiście - odparł Jake. - Mieliliśmy nawet tę samą kobietę, czyż nie?

Faith zamilkła nagle; dalsze słowa zamarły jej na wargach.

- Nie wiedziałaś? - mówił dalej z chłodnym uśmiechem. - Naprawdę nie wiedziałaś, że spałem z Lindą Forrester?

Usiadła ciężko na oparciu kanapy. Było jej niedobrze.

- Myślałem, że chcesz poznać prawdę. - Ciemnoniebieskie oczy brata wydawały się teraz ogromne. - Nie bądź taka przerażona, Faith. Chociaż muszę przyznać, że kiedy uświadomi-

łem sobie, iż podążam jego śladem, poczułem, powiedzmy, pewien niesmak do samego siebie. - Przez chwilę palił w milczeniu, a potem dodał: - Masz rację, oczywiście. Jestem taki jak on. Zrozumiałem to już dawno.

- I dlatego go nienawidzisz.

- To dość banalna analiza - stwierdził. - Nie czuję do niego nienawiści. Kiedyś go nienawidziłem, ale teraz już nie. W rzeczywistości żal mi go.

Łzy cisnęły jej się do oczu.

- Jednak nie na tyle, by go odwiedzić?

Nie powiedział ani słowa. Faith splótła ręce. Gdy na nią spojrzął, jego zręczna linia obrony wyraźnie się zachwiała.

- Faith... co się stało? Zazwyczaj taka nie jesteś.

Powrócił zimny i nieugięty gniew. „Zazwyczaj taka nie jesteś”. Nie była już dobrą, starą Faith; godną zaufania panną Mulgrave, wrażliwą i rozsądną panną Mulgrave, tą nudną Mulgrave...

- Wszyscy... wszyscy wciąż czepiacie się mnie. Nie pozwalacie mi być wolną!... - wybuchnęła, wbijając w niego wzrok. - Ojciec jest już starym człowiekiem, zrozum to, Jake. Jest siwy i choruje, zresztą nigdy nie radził sobie dobrze bez mamy. Czy ty albo Nicole zastanawialiście się kiedyś, kto go utrzymuje? Czy któreś z was pomyślało choć raz, kto dba o to, by miał jedzenie i opał? Czy kiedykolwiek któremuś z was przyszło do głowy, by dzielić ze mną ten ciężar? - Faith czuła, że serce jej wali jak młotem. - To ja opiekuję się ojcem przez te wszystkie lata, odkąd umarła mama, Jake, ja sama...

- Mamy w tobie oparcie... - powiedział wolno.

- Oparcie we mnie! - wykrztusiła przez ściśnięte gardło. - Wyciągacie ze mnie wszystko, wysysacie do końca! „Trzymać się razem bez względu na wszystko”. Zbyt dużo mnie kosztujecie, Jake! Chciałam mieć własną rodzinę, dzieci... i spójrz, co mam zamiast tego! Siostrę, która sięgnęła po mężczyznę, którego kochałam... brata, który sypiał z kochanką swojego ojca... i ojca, który przyczynił się do śmierci naszej matki. - Jej śmiech był dziwny i niesamowity. - Wielki Boże, to przypomina jakąś straszliwą grecką tragedię!

- Faith... - Zrobił krok do przodu, wyciągając ręce, aby ją objąć, ale zacisnęła dłonie w pięści, odsuwając się przed nim.

- Mam już dosyć, Jake. Widzisz, zmieniłam się w końcu. W przyszłości zamierzam żyć tak, jak wy. Będę kierować się

sercem i krytykować innych. Będę też żyć za pieniądze wszystkich wokoło, tylko nie za swoje. Będę podążać za swymi marzeniami, trzymać się wyłącznie własnych zasad i nie zamierzam się przejmować faktem, iż kogoś może to ranić. - Spojrzała na niego zimno. - Pozwolisz mi na to, Jake, czy też wrócisz tu za sześć miesięcy, prosząc, żebym znów zapłaciła za ciebie kaucję? Ty i ojciec... - Jej głos brzmiał coraz donośniej. - Jakże ja w ogóle mogę planować cokolwiek?

Jake wydawał się szary z wyczerpania.

- Co chcesz mi powiedzieć, Faith? Co ty mi chcesz powiedzieć?

- Chcę, żebyś zostawił mnie w spokoju - wyszeptwała. - Żebyście wszyscy zostawili mnie w spokoju i pozwolili mi żyć własnym życiem.

Przez chwilę trwał z milczeniem, patrząc na nią, a potem pochylił głowę.

- A zatem obiecuję, że już nigdy nie będę ci się naprzykrzał - powiedział i sięgnął po plecak.

Usłyszała odgłos kroków brata na schodach i trzask zamykanych drzwi. Zobaczyła niezjedzoną kolację na stole i spoglądając przez okno, ujrzała go, jak przechodził na drugą stronę jezdni, oddalając się szybko ulicą. Nagle podbiegła do okna i próbowała je otworzyć, ale klamka się zablokowała i chociaż Faith wołała go, wiedziała, że jej nie słyszy. I wtedy znikł wśród innych ludzi, a Faith, pierwszy raz od rozstania z Guyem, zaczęła płakać. Z tęsknoty za Jakiem, Guyem, Poppy i za wszystkimi, których straciła.

Nie winił Faith za to, że go wyrzuciła. Wiedział, że był winien wszystkiego, o co go oskarżała.

Poszedł na zachód, kierując się w stronę Bath Road. W lombardzie w Ealing sprzedał zegarek i wieczne pióro - jedyne rzeczy, które posiadały jakąkolwiek wartość. Większość gotówki wymienił na przekaz pieniężny, a za resztę kupił blok papieru listowego i kilka tanich kopert. Potem złapał okazję do Bristolu.

Podróż z Bristolu do Kornwalii zajęła mu dwa dni. Samochody osobowe i furgonetki przewoziły go z jednej drogi na drugą. Miasta najpierw zamieniały się w miasteczka, a potem w małe wioski, gdzie niegościnnie drogi wysadzone były skarłowacia-łymi, powstrzymującymi wichry drzewami. Ostatni etap podró-

ży wiódł wzdłuż północnego wybrzeża kornwalijskiego. Był piękny dzień i tylko kilka niewielkich obłoków przesuwano się po tarczy słońca. Jake przypomniał sobie inną, dawno minioną podróż, gdy latem 1940 roku jechał na rowerze z Paryża na południe. Cieszył się, że obecne angielskie słońce nie miało owego surowego, bezlitosnego żaru, który kojarzył mu się z piekącym upałem tamtych koszmarnych dni. Tym razem nie czuł nic podobnego do tamtej ogromnej potrzeby przybycia na czas lub owego strachu, którego wtedy doświadczał.

Do celu dotarł w południe. Gdyby poszedł lasem znad brzegu w głąb lądu, zobaczyłby Heatherwood. Nie zrobił tego. Stał na szczycie urwiska, przypominając sobie dzień, w którym spojrzął w dół, ku morzu; ów dzień, kiedy sobie uświadomił, że tylko pierwszy krok wymaga odwagi, a nie cała reszta. Po chwili skierował się ku ścieżce, gdzie klify opadały i spłaszczały się, tworząc małą zatoczkę z kamieniami i niewielkimi jeziorkami. Wiała lekka bryza, a woda miała turkusowobłękitny kolor Morza Śródziemnego.

Jake usiadł na kamieniu. Fale wypłukiwały piasek pod jego stopami, słońce grzało mu nogi i ręce. Miło było zrzucić plecak i kurtkę. Siedział przez jakiś czas, wpatrując się w morze i wspominając, a potem wyjął z plecaka blok listowy i koperty.

Najpierw włożył przekaz do koperty, którą zaadresował do Faith. Potem przygotował drugą kopertę i przez chwilę wpatrywał się w leżący przed nim pusty arkusz papieru, ale nie wiedział, co napisać. Co mógł powiedzieć ojcu ktoś, kto nie rozmawiał z nim przez dwanaście lat? Umysł Jake'a wciąż był zasepiony, a pamięć obciążały wydarzenia ostatnich tygodni, miesięcy i lat. Po chwili złożył arkusz, wsunął go do koperty, a kopertę ponownie umieścił w plecaku. Słońce piekło poprzez chmury i strużka potu spłynęła mu z szyi na tors. Rozsznurował buty i zdjął skarpetki. Stopy miał poobcierane i pokryte bąblami. Morze wkradło się w zatokę, podmywając skałę. Jake zanurzył palce w morskiej wodzie. Była chłodna i przyjemna. Zsuwał się, dopóki nie stanął na miękkim piasku, gdzie woda pluskała wokół jego stóp i kostek.

Zamknął oczy, rozkoszując się doznaniem, jakich doświadczał: falami obmywającymi pęcherze i sińce na stopach oraz gorącym słońcem piekącym go w plecy. Kiedy otworzył oczy, morze rozciągało się przed nim bezbrzeżnym, spokojnym

i przyjaznym pejzażem. To morze stykało się ze wszystkimi innymi; pod tym morzem rozciągały się niezbadane kontynenty. Jake rozpiął koszulę, zdjął spodnie i ułożył je na szczycie skały obok plecaka. A potem ruszył do przodu, kierując się ku wyjściu z zatoki. Woda pluskała, obmywając mu łydki, kolana, a w końcu sięgnęła do bioder i wtedy zaczął płynąć mocnymi, zdecydowanymi ruchami. Kiedy otoczyło go morze, Jake'owi wydawało się, że zmywa z siebie przeszłość, by zacząć jeszcze raz...

W przeddzień koronacji, wieczorem, rozległo się pukanie do frontowych drzwi sklepu. Gdy Faith, otworzywszy je, zobaczyła funkcjonariusza policji, wiedziała, że stało się coś strasznego. W ciasnym saloniku policjant powiedział jej, że na plaży w Kornwalii znaleziono rzeczy Jake'a: jego ubranie i plecak. Wyjaśnił też delikatnie, że przeszukuje się zatoki i plaże wzdłuż brzegu, ale ona wiedziała, że miał na myśli to, iż szukają ciała wyrzuconego przez fale. Gdy następnego dnia szła do skrzynki pocztowej, ściskając w dłoni listy do Nicole i Davida, flagi powiewające na ulicach, spojrzenia rozradowanych tłumów i królewskie pochody na ekranach telewizorów zdawały się z niej szydzić. Deszcz bębnił w płyty chodnika i spływał jej po karku.

Nie mogła spać ani jeść. Wciąż dźwięczały jej w głowie ostatnie słowa, jakie powiedziała Jake'owi: „Chcę, żebyście wszyscy zostawili mnie w spokoju i pozwolili mi żyć własnym życiem”. Pojechała do Heronsmead. Ojciec czekał na nią na stacji kolejowej. Rzuciła się do niego, ukryła twarz w znajomych, zakurzonych fałdach czarnego płaszcza i płakała. Ralph pogładził Faith po plecach, podał jej wystrzępioną szarą chusteczkę do nosa i powiedział:

- Nie wiem, dlaczego robisz tyle hałasu. Przecież tłumaczyłem ci przez telefon... Jake wróci.

Ruszyli główną ulicą miasteczka.

- Jakaż ty jesteś zawzięta - dodał, krocząc wolno chodnikiem. - Z takim przekonaniem twierdzisz, że Jake nie żyje. Zawsze byłaś upartą, Faith. On żyje. Powtarzam ci to jeszcze raz.

Potrząsnęła tylko głową.

- Nie, tato. - Już wcześniej wypłakała się tak, że jej głos teraz wyprany był z emocji. - Jake utonął. Tak uważa policja. Nie wiedzą tylko, czy był to wypadek, czy też samobójstwo.

- Samobójstwo? Jake? Co za nedorzeczność! Dlaczegoż, u licha, Jake miałby popełnić samobójstwo?!

Bo nic mu nie pozostało, odrzekła w myślach, bo dla niego żadna wartość nie była trwała.

- Oczywiście, że nie popełnił samobójstwa. - Głos Ralpha brzmiał zaczepnie.

- Ja wiem, że tego nie zrobił.

- A skąd możesz to wiedzieć, papo! - zawołała.

Przeszli na drugą stronę ulicy. Ralph przeciągnął Faith przez pełną pojazdów jezdnię, nie bacząc na pisk hamulców i opon. Buty miała przemoczone w kałużach, z trudem łapała oddech.

- Jake pisał do mnie list - powiedział z zadowoleniem ojciec.

Policja, szukając jakiegoś wyjaśnienia, pokazała jej ów list: kopertę z adresem Ralpha i czystym arkuszem papieru. Z całego rumowiska egzystencji Jake'a, które Faith, szukając prawdy, zmuszona była przejrzeć, ów niemy list zabolął ją najbardziej.

Wsunęła ręce do kieszeni i szła dalej. Chmury rozsunęły się, przepuszczając przez koronkowe brzegi wąskie smugi słońca. Jeśli Ralph odzyskał spokój dzięki przekonaniu, że Jake żyje i że syn mu wybaczył, to kimże jest ona, by odmawiać ojcu takiej pociechy?

- I jak to możliwe, by ten chłopiec utonął? - przekonywał ją dalej. - Dobrze pływał. Sam go nauczyłem.

- Tak, tato.

- Szybciej, Faith. Ucieknie nam autobus, jeśli się nie pośpieszysz.

- Tak, tato - powtórzyła.

Biegła obok i starając się dotrzymać mu kroku, żałowała, że włożyła buty na wysokim obcasie.

Ralph kazał jej przejrzeć rupiecie wypełniające strych i odnaleźć nuty, które Felix podarował mu przed dwudziestoma laty. Uparł się też, by Faith jeździła z nim autobusem po całym hrabstwie Norfolk w poszukiwaniu jakiejś szkółki winorośli, gdyż pragnął robić własne wino. Kazał jej również stać obok siebie na półpiętrze, gdy sam wychylał się przez okno, przeładowując przedwojenną strzelbę, i strzelał do szczurów, które kradły kurzą karmę. Pod koniec tygodnia Faith chwiała się na nogach z wyczerpania, które zawsze towarzyszyło jej po-



bytom u ojca, i spragniona ciszy oraz niczym niezakłóconej refleksji pojechała rowerem wzdłuż wybrzeża.

Zostawiła rower w Cley Eye i wdrapała się na skraj długiego, kamienistego cypla, który wrzynał się w morze, oddzielając ziemię od wody. Chociaż był środek lata, wiatr nie dawał jej spokoju. Postanowiła wybrać się do Blakeney Point. Nigdy nie udało jej się przejść całej mierzei jednego dnia. Ona i Ralph pożeglowali kiedyś ze wsi Blakeney do przylądka, ale chodząc, zawsze zwracała w pół drogi. Było za daleko; przeszkadzał jej wiatr wiejący z Morza Północnego, a kamyki przesuwające się pod stopami zmuszały do zwalniania kroku.

Opuściła rondo kapelusza, wsunęła ręce do kieszeni i rozpoczęła wędrówkę. Foki unosiły z fal siwozielone głowy i zdawały się patrzeć na nią sennie niczym obojętne syreny. Po ołowianym niebie krążyły mewy. Faith przystanąła w miejscu, gdzie kiedyś urządzili sobie z Guyem piknik i po chwili przyłapała się na tym, że szuka ogryzka albo kapsla od butelki, jakiegokolwiek dowodu, że kiedyś tu byli. Jednak oczywiście nie znalazła tam nic oprócz kilku poczerńiałych sznurów z jakiejś rybackiej sieci i pęku wodorostów.

Po godzinie rozboleły ją kostki od nieustannego ślizgania się po kamieniach. Cypel Blakeney Point, okryty szarawą mgłą, wcale nie wydawał się bliższy. Chociaż nie przestawała stawiać jednej stopy przed drugą, jej cel nadal wydawał się nieosiągalny.

Zaczął padać deszcz, a ostre jak igły krople chłodziły jej twarz. Zatrzymując się na kilka minut w zaciszu wydm, spojrzała ku morzu. Zastanawiała się, czy potrafiłaby zrobić to, co Jake - rozebrać się do naga i wejść w te szare fale - ale wiedziała, że nie mogłaby tego uczynić. Coś każe mi żyć dalej, pomyślała, mimo rozdartego serca. Uparta, jak powiedział Ralph.

Nieznajomy wędkarz idący w stronę lądu pozdrowił ją skinieniem ręki, a malarz z głową nakrytą szarpanym przez wiatr szkicownikiem nawet na nią nie spojrzał, gdy przeszła obok niego. Potem była już tylko ona, mewy oraz foki i wyrzucenie ziemi, wynurzające się z wody niczym zaciśnięta pięść.

Wczesnym popołudniem dotarła do cypla i stanęła tam otoczona z trzech stron morzem i błotnistym mułem. Deszcz przestał w końcu padać i lekkie promienie słońca zamigotały na trzcinach. Faith usiadła na kamieniu i zdjęła buty. Jej stopy

pokrywały pęcherze, a każdy szew ubrania przesiąknięty był wilgocią. W żołądku ssało ją z głodu. To szaleństwo, pomyślała, chodzić po tej plaży w takich butach i przy takiej pogodzie. A kiedy położyła się na kamieniach, obolała z wyczerpania, pomyślała nagle o katolickich kościołach w Bretanii z ich żywymi barwami, złoceniami i gipsowymi świętymi. To pokuta, uznała, odprawiam pokutę, tak jak odprawiały ją owe okryte czarnymi szalami kobiety, klęczące przy ołtarzu i przesuwające paciorki różańców. Tak jak odbywa ją Ralph zmuszony do życia na tym zimnym, niegościnnym wybrzeżu kraju, którego niegdyś nienawidził.

Kochałam Guya, pomyślała. Kochałam Guya i chciałam z nim żyć, chciałam mieć jego dzieci. Położyła palce na powiekach, chroniąc oczy przed słońcem. Wiedziała, że wmawiając sobie, iż jej uczucia do Guya są tylko ciejącą miłością i pewną odmianą strasznie opóźnionego wieku dojrzewania, oszukuje samą siebie. Zrozumiała również, że ponieważ straciła Guya i nie mogła znieść tej straty, straciła także Jake'a. Ponieważ była zła i pogrążona we własnym smutku, nie mogła zdobyć się na wybaczenie bratu. Teraz musiała zrobić coś znacznie trudniejszego; musiała spróbować wybaczyć samej sobie.

Morze wpłynęło na powrót do kanałów wyżłobionych między płatami mułu i gęstwiną trzciny. Faith wcisnęła obolałe stopy w buty i wstała, a potem ruszyła w drogę do domu.

# POMYŚLNE WIATRY

1959 - 1960

## *Rozdział czternasty*

Tego późnego popołudnia w „Błękitnie Nieba” nie było nikogo oprócz ciemnowłosej dziewczyny siedzącej przy kasie i czytającej jakieś czasopismo. Oliver przesunął się między wieszakami i stoiskami.

- Cześć - powiedział, spoglądając na dziewczynę.

Była wysoka i silna, a na jej drobnej twarzy nie dostrzegł śladu makijażu. Mógłby ją sobie wyobrazić, jak entuzjastycznie wymachuje kijem hokejowym. Bardziej z przyzwyczajenia niż z jakiegokolwiek innego powodu obdarzył nastolatkę swym najpiękniejszym uśmiechem.

- Czy mogę rozmawiać z panną Mulgrave?

- Nie ma jej - odpowiedziała, nie podnosząc oczu ukrytych za długimi rzęsami i dalej przeglądała czasopismo.

Oliver, wykręcając szyję, zobaczył, że tym czasopismem nie był żaden magazyn kobiecy, jak się początkowo spodziewał, ani nawet tygodnik dla dziewcząt, lecz jakaś nudna gazeta polityczna.

- Jestem znajomym Faith. Czy może jest w swoim mieszkaniu?

W końcu dziewczyna podniosła wzrok i spojrzała na niego.

- Przepraszam. Myślałam, że jesteś pan jakimś okropnym dostawcą. Ciocia Faith wyszła rano i nie wiem, kiedy wróci.

Oliver nie był umówiony, wpadł z niezapowiedzianą wizytą. Myśl o odwiedzeniu Faith Mulgrave przyszła mu do głowy dopiero wtedy, gdy kolejka ruszyła ze stacji przy Princes Street.

- Może ja mogłabym w czymś pomóc? - Zarumieniła się lekko.

- To był tylko impuls. Nieważne - odrzekł, ale pozostała część dnia rozciągała się przed nim przygnębiającą pustką.

Zaczął padać deszcz i srebrzystoszare strugi bębniły w zaśmiecone chodniki.

- Chcesz zostawić jakąś wiadomość dla cioci Faith?

- Ty chyba jesteś Elizabeth - powiedział, patrząc na dziewczynę.

- Skąd wiesz?

- Faith mówiła mi o tobie.

Skłamał. Faith wspomniała kiedyś krótko o swojej siostrzenicy i zaraz zmieniła temat rozmowy, ale padał deszcz, Oliver się nudził i nie chciało mu się iść do domu, więc równie dobrze mógłby sobie poflirtować z tą pulchną nastolatką.

- Naprawdę? - Rumieniec Elizabeth pociemniał.

- Zapomniałem tylko, jak się nazywasz.

- Kemp. Nazywam się Elizabeth Kemp - odrzekła, wyciągając rękę. - A ty jesteś...

- Oliver Neville.

Uścisnęli sobie dłonie. Miała na sobie ciemne sztruksowe spodnie oraz czarny, bezkształtny sweter i była jak gdyby nie na miejscu wśród owych jasnych, kobiecych barw, które ją otaczały. Gęste ciemne włosy... chyba największy walor tej dziewczyny, pomyślał Oliver... podcięto byle jak na wysokości ramion.

- Masz ochotę na filiżankę herbaty? - zapytała nieoczekiwanie.

- Jeśli nie sprawi to zbyt wielkiego kłopotu... Nie chciałbym odrywać cię od pracy.

- Nie nazwałabym tego pracą - parsknęła z lekceważeniem i zniknęła na zapleczu sklepu.

Oliver rzucił okiem na czasopismo, które czytała. Był to lewicowy magazyn uniwersytecki, pełen nudnych artykułów o bombie atomowej.

- Podoba ci się tutaj? - zawołał. Wróciła szybko, niosąc dwa kubki herbaty.

- Niekiedy, podczas wakacji, po prostu tu pomagam. Cukier, Oliverze? - Podala mu cukiernicę. - Skąd znasz ciocię Faith?

Cóż, o mało mnie nie aresztowała za kradzież... - chciał odpowiedzieć.

- Kupiłem tutaj coś, och, w szczenięcych latach, strasznie dawno temu - odrzekł gładko, wzruszając ramionami - a potem zaczęliśmy rozmawiać. Po prostu wpadam tu od czasu do czasu.

Oliver zawsze przyznawał, że trudno mu było wytłumaczyć samemu sobie, dlaczego przez te wszystkie lata nie przestał odwiedzać Faith Mulgrave. Prawdopodobnie dlatego, doszedł w końcu do wniosku, że lubił dzielić swoje życie na małe, odrębne odcinki. W ten sposób, jeśli w jednej części działo się źle, zawsze pozostawało coś, na czym można było się oprzeć. Istniał więc specjalny kącik (odsunięty na bok i zamknięty) dla babci i Derbyshire, drugi dla tego głupiego okresu jego życia, kiedy kradł, by zrobić wrażenie na innych (potem się dowiedział, że jego uroda i zdolności są wystarczającą gwarancją zainteresowania), kolejny dla studiów medycznych, a jeszcze inny dla dziewcząt, z którymi sypiał. Faith Mulgrave zajmowała w jego sercu to miejsce, które lubiło niekonwencjonalność, cygańskie życie i hart ducha. Oliver często myślał, że to dziwne, iż ceni takie cechy, ponieważ nie pasowały do reszty jego osobowości.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego ktokolwiek coś tutaj kupuje - powiedziała Elizabeth, rozglądając się wokół. -Wszystko jest takie okropne. Nie wiem, dlaczego ludzie zajmują się strojami, skoro jutro wszyscy możemy być martwi.

Oliver zamrugnął oczami.

- To dość pesymistyczne założenie, nieprawdaż?

- Nie przejmujesz się bombą atomową?! Dostrzegł płomienną pasję w jej orzechowych oczach.

- Ależ oczywiście, że się przejmuję - odrzekł pośpiesznie. -Myślę, że jest straszna - dodał, chociaż zawsze fascynował go ogrom atomowej potęgi i jej zdolność do natychmiastowego unicestwienia wszystkiego.

- Idziesz więc na demonstrację?

Oliver z trudem przypomniał sobie program telewizyjny ukazujący poważnych ludzi maszerujących w deszczu i wymamrotał coś niezrozumiałego.

Z głębi sklepu dał się słyszeć dźwięk klucza w zamku.

- Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś więcej o tej demonstracji - powiedziała nagle Elizabeth - to w piątek wieczorem jest zebranie w kawiarni „Black Cat”, niedaleko Chelsea Bridge, znasz ją? Kilku moich przyjaciół... - Jej twarz przybrała nagle kolor piwonii.

Z zaplecza dobiegł głos.

- Lizzie? Wróciłam!

Elizabeth chwyciła swoje czasopismo. Ociekająca deszczem Faith Mulgrave otworzyła drzwi.

Odłożyła parasolkę i zobaczyła gościa.

- Oliver... - powiedziała, a jej głos zadrżał lekko. Pomyślał, że Faith wygląda na zmęczoną.

- Wpadłem po powrocie z uniwersytetu, ale pójdę już, jeśli przeszkadzam.

- Ani trochę. Miło cię widzieć, Oliverze. Napijemy się czegoś na górze - powiedziała z uśmiechem Faith, a potem zwróciła się do Elizabeth: - Lizzie, obawiam się, że mam parę spraw do załatwienia. Pogoda jest paskudna, ale jeśli ubierzesz się odpowiednio...

- Odrobina deszczu mi nie przeszkadza. - Dziewczyna włożyła płaszcz i owinęła szyję szalikiem. - Powiedz mi tylko, co mam zrobić, ciociu Faith.

W mieszkaniu nad sklepem Faith umknęła do łazienki pod pretekstem konieczności wysuszenia włosów. Naprawdę musiała uspokoić gwałtownie bijące serce. Wstrząsnął nią widok Olivera i Elizabeth siedzących razem. Syn Guya i córka jego kochanki! Wycierając włosy ręcznikiem, zmusiła się, by oddychać spokojnie i nie poddawać się panice.

Już kilka lat temu, powiedziała do siebie z gniewem, należało położyć kres tej nierozsądnej znajomości. Była słaba i zadufana w sobie, pozwalając, by Oliver Neville ją odwiedzał. Jednak pamiętała tamten dawno miniony poranek, gdy chłopak wrócił do „Błękitu Nieba”. Stało się to przed przeszło pięcioma laty, wczesną jesienią 1953 roku, a ona była wyczerpana i zdruzgotana końcem romansu z Guyem i śmiercią Jake'a. Wizyta Olivera, myślała, oznacza jej powrót do życia. Wypalona i niezdolna do odczuwania czegokolwiek oprócz żalu, została ożywiona jego ponownym zjawieniem się w sklepie. Powrót do „Błękitu Nieba” również od niego musiał wymagać nie lada odwagi. Czerwony jak burak, ściskając bukiet kwiatów, mamrotał jakieś dobrze wyćwiczone przeprosiny. Nie mogła być dlań chłodna, nie mogła odmówić przyjęcia kwiatów ani go wyprosić. Kilka miesięcy wcześniej wyrzuciła Jake'a i brat się utopił, więc wtedy wydawało jej się, że umiejętność wybaczenia jest częścią obowiązków wynikających z faktu bycia człowiekiem.

Od czasu tamtej pierwszej wizyty Oliver nie przestawał wpadać do „Błękitu Nieba” kilka razy w roku. Za każdym razem Faith próbowała łagodnie się go pozbyć, wyjaśniając, że jest zajęta lub ma jakieś spotkanie, i ilekroć wychodził, na poły podejrzewała, na poły zaś żywiła nadzieję, że już go więcej nie zobaczy. Była starą panną w średnim wieku, powiedziała sobie, a chłopak znudzi się w końcu taką niekonwencjonalną przyjaźnią. Jednak Oliver Neville nadal przychodził do „Błękitu Nieba”. Faith nigdy nie rozmawiała z nim o przeszłości i rzadko opowiadała o swojej rodzinie. Ich rozmowy były szalonymi, barwnymi przeskokami z tematu na temat, co z jednej strony pozostawiało ją w stanie niehumanicznego zmęczenia, z drugiej zaś rozweselało. Chociaż jasno widziała jego wady - pretensje i umiejętność manipulowania ludźmi - rozumiała, że były one, mimo wyraźnego wyrafinowania Olivera, jego metodą radzenia sobie ze światem, który często wydawał się temu chłopcu oszalamiający. Nie sądziła, że lubi jego towarzystwo, ponieważ był ostatnim, pośrednim ogniwem łączącym ją z Guyem.

Wróciwszy do saloniku, nałóżła sobie i Oliverowi ginu z tomkiem. Młodzieniec rozsiadł się na sofie, ze stylową niedbałością wyciągając przed siebie długie nogi. Pojedynczy kosmyk ciemnozłotych włosów co chwilę opadał mu na czoło, więc beztrąsko odrzucał go do tyłu. W Edynburgu dziewczęta musiały padać mu do stóp, pomyślała Faith, i była podwójnie rada, że odesłała Elizabeth. Swym niebezpiecznym, amoralnym urokiem łatwo mógł podbić serce istoty tak niewinnej i nadmiernie chronionej jak Lizzie.

Kroiliła właśnie cytrynę, gdy usłyszała jego słowa.

- Ona wcale nie jest do pani podobna.

- Lizzie? - zapytała spokojnie Faith. - Jest podobna do swego ojca.

- Ile ma lat?

- Siedemnaście.

- Sądziłem, że jest młodsza... ten strój...

- Jej matka ma nadzieję, że styl „Błękitu Nieba” ją odmieni - odrzekła Faith, wrzucając plasterki cytryny do każdej szklaneczki.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego pewne dziewczęta ubierają się jak chłopcy - powiedział z dezaprobatą Oliver. - Szczególnie te, które... - przerwał.



Faith podała mu szklaneczkę.

- Oliverze, mówisz jak pięćdziesięciolatek. Dziewczeta wybierają taki styl prawdopodobnie dlatego, że chcą być traktowane na równych prawach z chłopcami i mężczyznami. A poza tym, które? Wyjaśnij.

Młody człowiek poczerwieniał.

- Chodziło mi tylko o to... sędzę... zresztą to nieważne.

Miał na myśli, wiedziała to, szczególnie raczej niezbyt urodziwe dziewczeta. Nie czuła się dotknięta. Mogła jedynie pomyśleć z ulgą, że Oliver nie jest jeszcze wystarczająco dojrzały, by docenić poważną, staroświecką urodę Elizabeth.

Z przyjemnością obserwowała, jak chłopak wije się przez chwilę, a potem usiadła obok niego i zmieniła temat rozmowy.

- Co słyhać w Edynburgu? - zapytała.

- Strasznie tam zimno i ponuro - skrzywił się Oliver. - W zeszłym tygodniu padał śnieg. Moja gospodyni uparcie podaje mi każdego ranka całe gary owsianki, ponieważ jest przekonana, że muszę się wzmocnić.

Faith się roześmiała. Jedną z cech, które najbardziej lubiła w Oliverze Neville'u, była umiejętność rozbawienia jej.

- A co na akademii medycznej?

- Och, wspaniale. - Lecz ton jego głosu pozostał chłodny i obojętny. - W zeszłym tygodniu musieliśmy zrobić sekcję gałki ocznej. Dwóch kolegów zemdlało.

Pół godziny później obserwowała, jak odchodził w deszcz, a potem rozpakowała próbki, które przywiozła tego dnia od dostawcy z południowego wybrzeża. Podnosiła tkaniny do światła, by wyraźnie zobaczyć ich kolory.

Z dołu dobiegło ją trzaśnięcie drzwi wejściowych.

- Przyjdź tutaj, Lizzie - zawołała i po chwili usłyszała kroki wchodzącej na górę siostrzenicy.

- Załatwiłam wszystko, ciociu Faith. Paddy'ego nie było w domu, więc wsunęłam wszystko do jego skrzynki pocztowej.

Paddy Calder był księgowym „Błękitu Nieba”.

- W nagrodę zrób sobie coś do picia. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

- Prawdopodobnie miałabyś czystszy salonik. Przepraszam... powinnam zdjąć kalosze. - Wokół stóp dziewczyny utworzyła się kałuża, więc Elizabeth przyniosła ścierkę i wytarła podłogę. - Gotowe - powiedziała, wyciskając szmatę.

Byłabym niezłą sprzątaczką, prawda? Sądzisz, że tatuś by się na to zgodził?

- Nie jestem pewna, czy David widzi przed tobą właśnie taką przyszłość.

- To znacznie bardziej użyteczne zajęcie niż status znużonej debutantki - odparła ponuro Lizzie, wynosząc ścierkę i wiadro do kuchni.

Latem miała opuścić szkołę z internatem i na ostatni rok nauki David zamierzał wysłać córkę we wrześniu do Paryża. Potem czekał ją „bal królowej Charlotty” i zajęcia, które pozostawały debutantkom. Elizabeth nie pałała do tego entuzjazmem, ale nie wystąpiła z żadną inną praktyczną propozycją.

David już wcześniej zwierzył się Faith ze swych niepokojów.

- Zrozum, Faith - mówił - nie chcę, żeby Lizzie po prostu dryfowała przez życie.

Ona zaś wiedziała, że chciał powiedzieć: Nie chcę, żeby moja córka skończyła tak jak Nicole.

- Zastanawiałaś się już nad tą szkołą sekretarek?

- Może byłaby i dobra. - Elizabeth usadowiła się na parapecie, gryząc kosmyk ciemnych włosów.

Faith rozłożyła jakąś tkaninę.

- Nie musisz nic robić, wiesz przecież, Lizzie - powiedziała łagodnie. - Możesz zostać w domu, zajmować się końmi lub robić inne podobne rzeczy. Chyba mogłabyś nawet udzielać lekcji konnej jazdy.

Dziewczyna jęknęła.

- To takie bezsensowne, nieprawdaż? Ktoś taki jak ja powinien się zajmować tylko tego typu rzeczami: daniem lekcji konnej jazdy bogatym dzieciakom - powiedziała, zaciskając pięści. - A ja chcę coś robić naprawdę, ciociu Faith! Chcę się przyczynić do postępu! - Spojrzała na Faith, jakby wyczekując jej reakcji. - Widziałam film o Indiach... te wszystkie biedne dzieci śpiące na ulicach... jakie to straszne! Pomyślałam, że mogłabym tam pracować. Może potrafiłabym pielęgnować chorych.

- Indie leżą bardzo daleko stąd, kochanie - tłumaczyła cierpliwie Faith. - Twój ojciec ogromnie by za tobą tęsknił. Naprawdę zaś byłabyś tam znacznie bardziej pomocna, gdybyś przed takim wyjazdem zdobyła pewną wiedzę fachową. Dlaczego nie porozmawiasz z ojcem o szkole pielęgniarskiej?

Niekiedy czuła się przytłoczona z jednej strony pasją i idealizmem swojej siostrzenicy, a z drugiej nadopiekuńczością Davida. Chciała powiedzieć Lizzie: Zaczekaj, masz mnóstwo czasu; i jednocześnie przekonać jej ojca, że musi się zgodzić, by ukochana jedynaczka wyjechała; musi pozwolić Lizzie dorosnąć, ale widziała, że nie będzie słuchał jej słów.

Usłyszała westchnienie Elizabeth.

- Przecież to trzy lata! Trzeba się uczyć całe trzy lata! Gdy skończę tę szkołę, będę miała dwadzieścia jeden lat! Będę już stara!

Ilekoć Oliver był w Edynburgu, nienawidził jego szarej, pu-rytańskiej surowości i tęsknił za Londynem, jednak w Londynie nieodmiennie dokuczało mu uczucie apatii i irytacji. W zeszłym roku uzbierał wystarczającą ilość pieniędzy, by spędzić Wielkanoc we Francji, ale w tym roku, z powodu Marie, był splukany.

Otworzywszy drzwi rodzinnego domu przy Holland Square, rzucił walizkę w holu, a potem przechodził z pokoju do pokoju. Najpierw pomyślał, że nic się nie zmieniło i dom wygląda tak jak zawsze, ale potem zaczął dostrzegać drobne zmiany. Sterta czasopism na stoliku do kawy, nieumyte filiżanki w zlewozmywaku. Oliver, który nie znosił nieporządku, poczuł się zaniepokojony i lekko zirytowany.

Wszedł na piętro. Drzwi do gabinetu ojca były uchylone. Zajrzał przez szparę. Guy pracował przy biurku. Przed sobą miał stos papierów.

Oliver otworzył drzwi.

- Cześć, tato!

Guy podniósł wzrok.

- Oliver! Jak cudownie... Dlaczego nas nie zawiadomiłeś, że przyjeżdżasz? Czekalbym na ciebie na dworcu. Wejdz - powiedział i szybko, mocno uściskał syna. - Jesteś przemoknięty.

- Okropna pogoda! - Chłopak się odsunął i zdjął płaszcz.

- Leje od tygodnia.

- W Szkocji pada śnieg.

- Naprawdę? O tej porze roku? Późno, nawet jak na Edynburg, czyż nie?

Banalność, pomyślał Oliver, uśmiechając się sztucznie. Przeróżająco angielska banalność. Przejechać taką odległość, by spotkać się z najbliższymi i rozmawiać z nimi o pogodzie.

Guy dorzucił dREW do kominka.

- Stań przy ogniu, mój drogi, i wysusz się. Dobrze wyglądasz, Oliverze.

- Ty także, tato - skłamał, gdyż ojciec wyglądał staro. Wydawał się smutny, zmęczony i ogarnięty niemocą - jak ten dom. Miał zaczerwienione oczy i zapadniętą twarz. - Jesteś zajęty?

- Bardzo - odrzekł Guy, wskazując stertę papierów na biurku.

- Gdzie jest mama?

- Nie ma jej - odpowiedział ojciec wymijającym tonem. - Pracuje dla jakiejś instytucji charytatywnej czy innej... Jakiś musical...

- W domu panuje nieład - odezwał się Oliver.

- Tak? Nie zauważyłem. Najwyraźniej pani Thing odeszła. Nasza pani Mops będzie teraz w podwójnej cenie.

Był to rodzaj drobnego żartu, na jaki sobie pozwalali, mając na myśli niezdolność matki Olivera do utrzymania jednej pomocy domowej przez okres dłuższy niż sześć miesięcy. Oliver zmusił się do uśmiechu.

- Napijesz się, mój drogi? Zapalisz? - pytał ojciec. Oliver potrząsnął przecząco głową. Dwie szklaneczki ginu,

wypite u Faith, były duże, i teraz czuł się lekko oszołomiony, a nie lubił poczucia utraty kontroli nad samym sobą. Palenie zaś rzucił, gdy miał szesnaście lat.

- Nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli ja się napiję?

- Oczywiście, że nie, tato - odrzekł Oliver, patrząc jak Guy nalewa sobie whisky i zapala kolejnego papierosa.

- Jak ci się wiedzie na uczelni?

- Wspaniale - powiedział. Kłamstwa narastały przygnębiająco. Próbował przypomnieć sobie, na którym roku teraz studiuje; poczuł zdumienie, jeśli nie ulgę, gdyż to wszystko wydawało mu się już tak odległe. - Dostałem bardzo dobrą ocenę za referat o układzie krwionośnym.

- To wspaniale, Oliverze. Wspaniale! - Ojciec był zachwycony.

Chłopak przełknął ślinę i wziął głęboki oddech.

- Ojciec... tato, chodzi o to, że...

- No, wyduśże wreszcie.

- Chodzi o to, tato, że potrzebuję trochę pieniędzy.

Guy podszedł do biurka i wyjął z portfela banknot dziesięciofuntowy.

- Wystarczy? Potraktuj to jako wyraz spóźnionego uznania za twój referat. Oliver czuł się tak, jakby był zawieszony nad bardzo głębokim basenem.

- Tato, dziękuję, ale rzecz w tym, że... nie wystarczy. - Zanim skończył mówić, wiedział, że wybrał słowa najodpowiedniejsze, by zrazić sobie ojca.

- Nie wystarczy?! Co chcesz przez to powiedzieć, synu?

- Nie dobrnę za to do następnego semestru - płątał się Oliver. - Musiałem zapłacić za... - Przez chwilę sam zastanawiał się na co, u licha, przepuścił swoje, trzeba przyznać, wysokie kieszonkowe.

Przypuszczał, że wydał wszystkie pieniądze na Marie, która sprawiła, że przez ostatnie sześć miesięcy Edynburg wydawał się całkiem znośny, lecz która wymagała wielu kosztownych prezentów. Sądził, że jest w niej zakochany, a jednak teraz stwierdził, iż ledwie ją pamięta. Czarne włosy, jasne, przenikliwe oczy i małe, ostre zęby. Jego wspomnienia pozostały oddzielne niczym kawałki układanki, które nie potrafił złożyć w całość.

- Oliverze? - Ojciec czekał na odpowiedź.

- Musiałem kupić kilka ciepłych swetrów... i książki...

- Zapis twojego dziadka był całkiem okazały. Z pewnością nie wydajesz na życie całej swej semestralnej kwoty, Oliverze. Większość studentów musi się utrzymać ze znacznie mniejszych środków. Kiedy ja studiowałem w akademii medycznej...

Oliver wyłączył się na czas ojcowskiej tyrady. Słyszał to wszystko już przedtem. Zakaz studiowania medycyny w mrocznych latach wczesnego średniowiecza. Brak pieniędzy na węgiel. Konieczność sprzedania jedyne ciepłego płaszcza na „Anatomie” Greya. Chłopak - rozdrażniony, urażony i zirytowany - chciał wyjść z ojcowskiego gabinetu, trzaskając za sobą drzwiami niczym obrażony nastolatek, jednak zmusił się do pozostania.

- Rozumiem, że musi ci być trudno, gdy spotykasz swoich rówieśników, którzy już pracują, bawią się każdego wieczora i mogą sobie pozwolić na własny samochód... ale to się w końcu opłaci, nieprawdaż, Oliverze?

Wzruszył ramionami. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że ojciec patrzy na niego uważnie.

- Wciąż jesteś pewny, że medycyna jest dla ciebie właściwym kierunkiem, prawda, mój drogi?

Syn unikał jego spojrzenia.

- Oczywiście, tato. Cóż innego miałbym robić?

- Cieszę się - powiedział Guy po chwili ciszy. - Wiesz, że twoja mama i ja jesteśmy z ciebie bardzo dumni.

Oliver pomyślał, że zaproponuje ojcu pójście na drinka. Zmiękczy go kilkoma kieliszkami i synowską czułością i w ten sposób go podejdzie. Zanim jednak cokolwiek powiedział, zadzwonił telefon i Guy podniósł słuchawkę.

- Sylvia... tak... - Ojciec westchnął i spojrzał na zegarek. - Za pół godziny. Nie, to chyba nie jest nagły przypadek, ale nie można narażać się na niespodzianki. - Guy odłożył słuchawkę i uśmiechnął się ponuro. - Obawiam się, że będę musiał wyjść. Porozmawiamy później. Poza tym, Oliverze... czasem trzeba trochę pocierpieć w imię własnych ideałów, nieprawdaż?

Ty hipokryto, pomyślał chłopak, spoglądając na kryształową szklaneczkę whisky i pudełko kosztownych cygar na biurku. Ty absolutny, cholerny hipokryto.

- To nieważne, tato. Jeśli nie możesz mi pomóc, to widocznie nie możesz. Jakoś sobie poradzę - powiedział zrezygnowanym tonem, obliczonym na wywołanie w ojcu poczucia winy, a potem wyszedł, zamykając za sobą drzwi z przesadnym spokojem.

Matka, darząc Olivera większym zrozumieniem, dała mu dwadzieścia funtów („Jakież to sknerstwo ze strony twojego ojca, żeby ci nie pomóc”). Mieszanka dumy i zmęczenia powstrzymała go od prośby o więcej. Zaczął żałować wcześniejszego przyjazdu do domu. Wszyscy jego londyńscy przyjaciele najwyraźniej mieli już inne zobowiązania; albo oddawali tak godnym pozazdroszczenia zajęciom jak narty w austriackich Alpach, albo przez całe wiosenne ferie pracowali w jakimś barze lub przedsiębiorstwie. Dźwiganie belek w fabryce wydawało się jednak młodzieńcowi jeszcze bardziej przerażające niż duszna atmosfera w domu przy Holland Square.

W piątkowy wieczór Oliver poszedł z matką do opery. Nie znosił muzyki poważnej i nie mógł pojąć, jak można znajdować w niej przyjemność, ale matka lubiła operę, więc zatrzymał swoje opinie dla siebie. Nuda już wkrótce doprowadziła go do stanu niemal katatonicznej apatii. Usadowiony w głębi łoża poczuł się w osobliwy sposób wyłączony ze wszystkiego.

Małe piszczące figurki na scenie; błyszcząca, dobrze ubrana publiczność; nawet siedząca obok Eleanor zdawała się przebywać w innym świecie niż on.

W czasie przerwy matka przedstawiała go niezliczonym znajomym.

- Penny... Larry... poznaliście już mojego syna, Olivera, prawda? - albo - Simonie... June... to mój syn, Oliver, studiuje medycynę.

- Medycynę?! Jak mądrze! - odpowiadali, a potem gapili się na niego, jakby był jakimś osobliwym eksponatem sprowadzonym z muzeum, bądź też mówili: - Idzie w ślady ojca -na co Eleanor odpowiadała sucho: - Myślę, że w ślady dziadka. Mój ojciec zmarł przed dwoma laty, ale byłby zachwycony osiągnięciami swego wnuka.

Po spektaklu wrócili do domu.

- Masz ochotę na kakao, kochanie? - zapytała matka, wkładając klucz do zamka.

Oliver spojrział na dom i puste oczy jego prostokątnych, czarnych okien. Nagła, wypełniająca płuca fala przerażenia pozbawiła go tlenu.

- Chyba pójdę na spacer, jeśli nie masz nic przeciwko temu, mamó. Zbyt długo siedziałem bez ruchu... muszę rozprostować nogi.

Starając się nie dostrzegać zawodu na jej twarzy, ruszył w głąb ulicy. Szedł szybko, nie wyznaczając sobie żadnego określonego kierunku, lecz próbując strząsnąć z siebie mroczny nastrój. Im bardziej oddalał się od Holland Square, tym łatwiej było mu oddychać. Pomyślał, że potrzebuje towarzystwa i może jednego lub kilku drinków; czegoś, co uwolniłoby go od ciężaru miłości i oczekiwań rodziców. Kto by to mógł być? Nie przychodził mu do głowy żaden konkretny znajomy. Pomyślał, by pójść do Soho, do jakiegoś klubu, ale wiedział, że nie ma na to dosyć pieniędzy. Wtedy przypomniał sobie o zaproszeniu rumianej siostrzenicy Faith.

- Nie w twoim typie, stary... - mruknął do siebie, ale zaczął iść w stronę Tamizy.

Kawiarnia „Black Cat” była małym studenckim lokalem, którego nagie ceglane mury zdobiły plakaty reklamujące ponure filmy francuskie. Jedną salkę, do której wchodziło się

z ulicy, zastawiono stolikami nakrytymi obrusami w kratkę. Oliver przeszukiwał wzrokiem tłum, nie mogąc dostrzec Elizabeth. Po chwili zobaczył schody wiodące do suterenu.

Zatrzymując się u dołu tych schodów, rozejrzał się wokół. Pomieszczenie było ciemne niczym jaskinia. W czarnym kręgu migotały świece, a jedna niska lampa oświetlała siedzącą na zydlu dziewczynę, która grała na gitarze. Gdy skończyła piosenkę, rozległa się kaskada oklasków. Ktoś zawołał Olivera po imieniu.

Zobaczywszy Elizabeth, przedarł się do niej przez stoliki i krzesła. Oczy dziewczyny lśniły w blasku świece. Wskazała stołek stojący obok i Oliver usiadł.

- Jak wspaniale... Nie sądziłam, że przyjdiesz - powiedziała z zadowoleniem.

Miała na sobie chyba ten sam workowaty czarny sweter i sztruksowe spodnie, które nosiła w sklepie. Inni młodzi ludzie przy jej stoliku ubrani byli podobnie. Oliver, w wieczorowym garniturze, czuł się trochę głupio.

- Przepraszam za ten pingwini strój. Właśnie wracam z opery.

- Biedaku. - Elizabeth zrobiła współczującą minę. - Moja mama też zabiera mnie czasami do opery i strasznie się tam nudzę. Pozwól, że przedstawię ci wszystkich.

Wyliczała kolejne imiona, które natychmiast zapominał. Patrząc na siedzących przy jej stoliku, czuł tylko wzgardę. Te przetarte swetry, uniwersyteckie szaliki, znaczki z symbolami protestu przeciwko bombie atomowej. Jakie to poważne. Jakie nudne.

- Oliver przychodzi na demonstrację - powiedziała Elizabeth.

- Super - odezwał się jakiś brodac, rzucając na niego okiem - Im więcej, tym lepiej.

- Z Bretanii przyjedzie Janetta. Płynie promem, tak jak w zeszłym roku - dodał ktoś inny.

- Pamiętacie tego faceta, który przyjechał z Kornwalii na rowerze? Zemdlał z wyczerpania na Falcon Field i chłopcy z pierwszej pomocy musieli go cucić.

- A ja przyjechałem samochodem Jimmy'ego Partirdge'a. Tylu nas wsiadło w Andover, że nie zatrzymaliśmy się przed Aldermaston.

- Prawdopodobnie będzie to największa manifestacja tej wiosny. Politycy muszą ją zauważyć!



Oliver przestał słuchać. Nie wyobrażał sobie, by mógł odczuwać taki entuzjazm dla czegośkolwiek. Być może przez pewien czas dla jakiejś dziewczyny. Albo nowego samochodu. Ale nie dla jakiejś niekonkretnej i nieuchwytniej, bezowocnej idei.

Dziewczyna z gitarą znów zaczęła śpiewać. Sala ucichła. Mężczyzna siedzący obok Olivera cicho stuknął w blat stolika w rytmie muzyki. Olivera ogarnęła fala nudy równie otepiającej jak wszystko, czego doświadczył w operze.

- Oliverze? - Elizabeth ujęła jego łokieć. - Oliverze, dobrze się czujesz? Wydajesz się trochę znudzony.

Zamrugnął oczami.

- Faktycznie, chętnie bym się czegoś napił.

- Masz ochotę na kawę? A może na koktajl mleczny?

- Miałem na myśli prawdziwego drinka. Piwo lub coś w tym rodzaju...

- Och, obawiam się, że nie mają tu licencji na alkohol. - Wyglądała na zakłopotaną. - Można tu przyjść z własnym winem do obiadu, ale...

- To nieważne - odrzekł.

- Moglibyśmy pójść gdzie indziej, jeśli chcesz. Spojrzał na nią.

- A twoi znajomi... nie mają dla ciebie żadnych poleceń?

- Wszystkie zadania zostały już rozdzielone. Ja zrobię transparenty, a Brian i Geoff przygotowują ulotki, które będziemy rozdawać i rozklejać w metrze. Zamierzałam pojechać do domu, ale nie muszę wyjeżdżać natychmiast.

Była już prawie północ.

- Faith nie będzie się martwić o ciebie?

- Miałam na myśli swój dom, a nie mieszkanie cioci Faith. Ona wyjechała na weekend, żeby odwiedzić dziadka, a ja mieszkam w hrabstwie Wiltshire i tam mam wszystkie materiały do zrobienia transparentów. Może chciałbyś mi pomóc? - zapytała na koniec nieoczekiwanie.

- W czym?

- W robieniu tych transparentów.

- Myślałem, że jedziesz do Wiltshire - odrzekł zaskoczony.

- Chciałam powiedzieć, że mógłbyś pojechać tam ze mną. Zapadło krótkie milczenie. Elizabeth opuściła głowę, a fala ciemnych włosów zasłoniła jej oczy.

- Och, nie. Oczywiście, że nie. Cóż za niemądry pomysł - tłumaczyła się szybko. - Z pewnością masz masę własnych ważnych spraw.

Oliver, chociaż nie widział jej twarzy, czuł, że dziewczyna się zaczerwieniła.

- Chciałaś, żebym pojechał z tobą do Wiltshire? - zapytał.

- Przepraszam. Chyba uważasz mnie za idiotkę. Twoi rodzice będą na ciebie czekać.

- Mógłbym do nich zatelefonować.

Słyszając jej okrzyk zdumienia i radości, wyobraził sobie, jak ucieka z Londynu, jadąc nocą pod baldachimem gwiazd i owa myśl wypełniła go tęsknotą.

- Czy twoi rodzice nie będą mieli nic przeciwko temu, że przywozisz kogoś do domu?

- Nie ma ich w kraju - odparła i zaczęła trąkotać o tym, gdzie są teraz jej bliscy.

Nie słuchał. Zawsze lubił wyjazdy, szczególnie te nieoczekiwane. Będzie musiał namalować, nie ma wątpliwości, kilka transparentów i udawać większe poświęcenie dla ruchu pacyfistów, ale to cudowne poczucie wolności i ucieczka były tego warte.

Przyjęcie odbywało się w domu Clio Bettancourt, na południowym brzegu Tamizy. Na ścianach wisiały lustra z pozłacanego brązu i liczne portrety Clio, która była aktorką. Faith rzuciła okiem na własne, zwiokrotnione odbicie: jedwabna suknia w kolorze oliwkowym, jasne włosy upięte na czubku głowy oraz naszyjnik i kolczyki z gagatów, które należały niegdyś do Poppy.

Czyjaś ręka dotknęła jej łokcia, a znajomy głos szepnął do ucha:

- Nasza kochana Clio planuje jakieś kosztowne przedsięwzięcie. Dziś wieczorem są tu wszyscy...

Odwróciła się i uśmiechnęła do Paddy'ego Caldera, księgowego „Błękitu Nieba”. Był potężnym, krępy męczyzną o gęstych, sterczących włosach i czerwonej twarzy. Zawsze łatwiej było wyobrazić sobie Paddy'ego na budowie lub w porcie niż za biurkiem, pomyślała Faith.

- Paddy, jak miło cię widzieć! - Pocałowała go w policzek.

- Znalazłem ci wspaniały dom, Faith. - Księgowy próbował przekonać Faith do zainwestowania oszczędności. - Dwa piętra

i suterena. Oryginalne drzwi i nietknięte, wciąż czynne kominki. A przy tym położony w okolicy, która właśnie staje się bardzo modna.

- Paddy, to miło z twojej strony, ale jestem najzupełniej zadowolona z miejsca, w którym mieszkam.

Odstawił swój kieliszek sherry.

- Mówiłem ci już, Faith, że nie możesz trzymać swoich oszczędności w banku. To niedorzeczne.

- Doprawdy? - droczyła się z nim. - Gdzież więc powinnam je przechowywać? Zaszyte w materacu? A może pod wysuwaną klepką parkietu?

- Straszna kobieta - zauważył ze spokojem i pomógł sobie kolejnym kieliszkiem sherry. - Nie jesteś biedna, Faith. Nie musisz mieszkać jak cyganka. Ja zaś mam na myśli oczywiście to, że powinnaś ulokować pieniądze w jakiejś nieruchomości, do czego próbuję cię przekonać od wielu lat.

- Podoba mi się moje mieszkanie, Paddy - odpowiedziała łagodnie. - Przyzwyczyłam się do niego i lubię to miejsce. Każdego ranka po prostu schodzę tylko do pracy, a...

- Przecież nie musisz mieszkać w domu, który kupisz.

- Po cóż więc go kupować?

- Żeby na tym zarobić, droga Faith, żeby zarobić - wyjaśniał cierpliwie Paddy, po czym sięgnął do kieszeni po notes i ołówek i nagryzmolił kilka cyfr. - To jest tempo, w jakim będą rosnać twoje oszczędności, jeśli pozostawisz je w banku, a to jest tempo, w jakim rosnać będą wtedy, gdy ulokujesz je w nieruchomości.

Nigdy nie rozumiała wykresów. Otwierając sklep, ciężko pracowała, by wypełnić rozległe luki w swojej edukacji i potrafiła bez trudu dodawać, odejmować, mnożyć oraz dzielić. Potrafiła również analizować arkusze zysków oraz strat i rozumiała różnicę między zyskiem a obrotem. Często jej życiem rządził przepływ gotówki. Zmusiła się do zrozumienia tych spraw z powodu „Błękitu Nieba”. Ale wykresy pozostały dla Faith niepojętą tajemnicą.

- Rzecz w tym, Paddy, iż będę musiała zatrzymać dotychczasowe mieszkanie, bo jest wygodne, a jak wiesz większość weekendów spędzam w Norfolk u ojca, więc wędrowanie między trzema domami byłoby... no cóż, pewną... rozrzutnością - powiedziała, lecz widząc wyraz jego twarzy, dodała pośpiesznie: - Ale obejrzę ten dom, jeśli chcesz, Paddy. Obiecuję.

- Gdy tylko skończy się ta okropna impreza?

Zamrugnęła oczami.

- Jak sobie życzysz.

Chwycił tacę od mijającej ich kelnerki i spojrzał na jedzenie bez entuzjazmu.

- O Boże, paszteciki. Zawsze uważałem je za okropieństwo. Rozpadają się w ustach i pełne są jakiegoś niedającego się zidentyfikować paskudztwa - powiedział, wkładając trzy do ust, po czym wysunął tacę w stronę Faith, która pokręciła przecząco głową. Następnie zaś, z pełnymi ustami, zapytał: - A ten potencjalny nabywca... miałś od niego jakieś wiadomości?

Faith się skrzywiła. Od początku roku otrzymała mnóstwo listów, wyłącznie anonimowych, w których ktoś starał się ją nakłonić do sprzedaży „Błękitu Nieba”. Treść owych listów była nieprzyjemna; zawierały nawet pogrożki.

- Na początku tego tygodnia dostałam kolejny list.

- Byłaś na policji? Wzruszyła ramionami.

- Byłam, ale powiedziano mi, że w tej chwili niewiele mogą zrobić. Nie ma niczego, co pozwoliłoby posunąć śledztwo naprzód. Brak podpisu, jest tylko stempel londyńskiej poczty. A poza tym autor listów nie robi mi krzywdy, prawda?

- Jeszcze nie - odparł ponuro Paddy.

- Paddy...

- Nie próbuję cię straszyć, Faith, jednak ta parcela ma wielką wartość, wyjaśniałem ci to. Samo centrum Londynu... Pojedyncza działka wydaje się bezużyteczna, ale razem z sąsiednią...

- Nie sprzedam, Paddy - odrzekła stanowczo. -1 nikt mnie stamtąd nie przegoni.

- Oczywiście, że nie - powiedział z troską w oczach. - Ale ludzie są pozbawieni skrupułów. Niechętnie myślę o tym, że jesteś tam sama.

- Jestem przyzwyczajona do samodzielności, wiesz o tym, Paddy. A jeśli autor owych listów niczego nie wskóra, to w końcu da sobie spokój, jestem pewna. - Spojrzała na niego. - Skończmy ten temat, proszę.

Paddy westchnął.

- Jak się miewa Con? - zapytał.

- Z radością korzysta z odpoczynku, większość czasu spędzając na tkaniu. Robi najpiękniejsze tkaniny, Paddy. Chociaż

cierpi na dalekowzroczność, chce używać najcieńszej przędzy. Kłopoty ze wzrokiem okropnie ją denerwują.

- A twój ojciec?

- Tata miewa się dobrze. Niebawem jedziemy na wakacje. Będzie to rodzaj spóźnionej urodzinowej wycieczki.

Paddy strząsnął okruszki z wieczorowej marynarki.

- Dokąd jedziecie?

- Do Francji. Minęło tak wiele lat, odkąd ojciec stamtąd wyjechał. Chcę mu podarować naprawdę wspaniałe wakacje, więc zarezerwowałam dla nas miejsca w najlepszych hotelach. Zaplanowanie tej wycieczki, Paddy - dodała ponuro, myśląc o stosach broszur i rozkładów jazdy - zabiera mi wiele godzin, ale pragnę to dobrze zorganizować. Nie chcę, żeby musiał się coś denerwować...

- Faith, kochanie! - rozległ się czyjś piskliwy głos - Jaka piękna suknia! Musisz uszyć mi taką samą...

- Clio! - Faith objęła gospodynię przyjęcia.

- ...ale cytrynową, nie oliwkową. Cytrynowy to mój kolor.

I Faith została pociągnięta w tłum gości. Paddy'ego Caldera zobaczyła dopiero trzy godziny później, gdy wyszła z rozgrzanego domu w chłodną wiosenną noc. Pomógł jej włożyć płaszcz i przywołał taksówkę.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

- Jesteś zmarznięta. Daj mi ręce.

Ścisnął jej zziębnięte palce w swoich wielkich, mięsistych dłoniach. Jak farsz w kanapce, pomyślała.

Po chwili zatrzymali się na jakiejś nieznanej ulicy. Księgowy zapłacił kierowcy i wyjął z kieszeni klucz.

- Tego mieszkania nie ma jeszcze na rynku. Brat dał mi o nim znać.

Brat Caldera zajmował się handlem nieruchomościami. Przez cały miniony rok Paddy zabierał Faith do niezliczonych domów rozrzuconych po całym Londynie.

Otworzył drzwi i zapalił światło. Przechodzili z pokoju do pokoju.

- Fantastyczne gzymsy... spójrz na te podłogi... solidna bukowa klepka... okna z przesuwanymi pionowo szybami... wychodzą na południe... pięć sypialni...

Zatrzymali się na poddaszu. Księżyc widoczny w ramie okienka mansardy poddaszu pokrywał gołe deski srebrzystą poświatą.

- Trochę tu brudno, wiem, ale... co o tym myślisz, Faith?

- To ładny dom, Paddy... - Próbowała nadać swemu głosowi trochę entuzjazmu.

- Właściwa lokata.

- ...ale jest za duży. Pięć sypialni. Co ja bym robiła z pięcioma sypialniami?

Paddy wzruszył ramionami i podszedł do okna. Zanim się odwrócił, dostrzegła wyraz jego oczu. Przesunął palcami po futrynie.

- Sądziłem, że może chciałabyś mieć własną rodzinę. Większość kobiet chce.

- Mam Ralpa, Elizabeth, Nicole i Davida, a także Con i ciebie, Paddy. To dość duża rodzina, prawda? - powiedziała lekkim tonem.

- A... dzieci? Co z dziećmi? Spojrzała na niego poważnie.

- Mam trzydzieści osiem lat, Paddy. To dość późno na dzieci, nie sądzisz?

- Moja matka miała czterdzieści dwa, gdy mnie urodziła. Próbuję prosić cię, Faith... - Wydał z siebie krótkie, pełne rozpaczycy westchnienie i potrząsnął głową.

- Nie jestem w tym dobry.

Wsunęła mu rękę pod ramię i powiedziała bardzo łagodnie:

- Jest Ralph, jest „Błękit Nieba” i nie sądzę, bym miała czas na coś więcej, Paddy. Przykro mi.

Jednak później, w swoim mieszkaniu, zastanawiała się, czy to prawda. Ów dom i samego Paddy'ego odrzuciła dlatego, że nie nadawała się do takiego życia, czy też dlatego, że pozostało w niej ziarno wątpliwości, gdzieś głęboko zakorzenione przekonanie, że ani Paddy, ani dom nie są tym, czego naprawdę pragnęła? Długo leżała pogrążona w myślach, aż w końcu zapadła w ciężki sen, w którym elegancka okazałość lokaty Paddy'ego zmieszała się z pajęczynową prostotą domu w Norfolk, w którym przed laty kochała się pewnego razu z Guyem Nevil-le'em. W tym śnie próbowała policzyć domy, w których mieszkała od czasów niemowlęctwa, gdy Ralph i Poppy wędrowali po świecie z dziećmi i „lokatorami”, do mieszkania nad sklepem, gdzie mieszkała teraz. Liczby i obrazy przelatywały w pamięci Faith. Jakiś kościelny dzwon, dzwoniący nienaturalnie głośno i szybko, wybijał mijające lata.

Obudziła się, gdy zadzwonił telefon. Faith spojrzała na zegarek i zobaczyła, że jest trzecia nad ranem. Tata, pomyślała zatrwożona, coś się stało ojcu, i niemal wypadając z łóżka, chwyciła słuchawkę.

- Słucham?

- Panna Mulgrave? - Nie rozpoznała tego głosu; męskiego, o nieco szorstkim brzmieniu. Lekarz ojca albo policja, albo... - Czy myślała pani o sprzedaży sklepu, panno Mulgrave?

Jej strach przeszedł w szok. Przestał więc już pisać listy i teraz postanowił do niej telefonować!

- Kim pan jest? - Faith trzęsa się z wściekłości. - Jak pan śmie dzwonić do mnie w nocy?!

- Posyłam pani prezent, panno Mulgrave. Niech pani zejdzie na dół, zobaczy go pani przed drzwiami. A potem proszę się ponownie zastanowić.

Na tym rozmowa się skończyła.

Słuchwka wypadła jej z dłoni. Faith wpatrywała się w zasłonięte okno. „Posyłam pani prezent”. Zastanawiała się, czy jest gdzieś w pobliżu, obserwuje ją i czeka, aż Faith zejdzie na dół. Ukrył się w cieniu, a potem...

Jednak nie mogła znieść siedzenia w domu, oczekiwania i niewiedzy. Włożyła na nocną koszulę płaszcz i wyjęła z kuchennej szuflady wałek do ciasta. Schodząc na palcach po schodach, pomyślała, że czarne stopnie nagle mają przerażające kształty. Otworzyła drzwi do sklepu. Jeśli zapali światło, tamten będzie wiedział, że ona tu jest. Bursztynowy blask ulicznych lamp przenikał przez żaluzje, a na ścianach i podłogach ściagały się atramentowe cienie. Coś leżało na macie pod skrzynką pocztową; Faith usłyszała własny jęk przerażenia. Zmrużyła oczy, żeby się temu przyjrzeć. Mały, ciemny i podłużny kształt. Bomba, pomyślała niemądrze; gdy podejdzie do tego czegoś bliżej, uwolni jakiś rodzaj zapalnika, a wtedy skrzeczący głos po drugiej stronie linii telefonicznej nie będzie musiał się męczyć demontowaniem sklepu po wykupieniu dzierżawy...

Co za bzdura, powiedziała do siebie twardo. Kształt na macie pod drzwiami wydawał się rosnać, gdy do niego podchodziła. Potem, gdy była już wystarczająco blisko, żeby to rozpoznać, nogi ugięły się pod nią i uklękła na podłodze, zaśmiewając się w głos.

Szczur. Ten głupiec spodziewał się, że przestraszy ją i skłoni do sprzedaży „Błękitu Nieba”, jeśli pod skrzynką na listy

położy zdechłego szczura. Gdyby tak widział, pomyślała Faith wesoło, wdychając z niepomierną ulgą, szczury w stodole i stajni La Rouilly! Albo te, które w czasie wojny ogień zmuszał do wyjścia z kryjówek i potem przebiegały jej pod stopami, gdy wsuwała nosze do karetki. Nie bała się szczurów. Spojrzała na wałek do ciasta, który wciąż ścisnęła w dłoni i zaśmiała się jeszcze głośniej. Potem rękawem płaszcza otarła z twarzy łzy, ostrożnie podniosła martwe zwierzę za ogon i wrzuciła je do pojemnika na śmieci.

Niebo się rozchmurzyło i gdy tylko zostawili za sobą miasto, Oliver, spoglądając w górę, mógł zobaczyć konstelacje gwiazd: Wielki i Mały Wóz, Oriona. Elizabeth prowadziła swego groszkowego minimorrisa z prędkością i wprawą, które wprawiły go w zdumienie. Miasteczka i wioski migwały obok nich. Horyzont unosił się i rozszerzał. W ciemnościach majaczyły drzewa, a ich rozpostarte gałęzie rysowały się ostro w świetle księżyca. Gdy wyjechali z Londynu, przygnębienie Olivera zniknęło, zastąpione połączonymi uczuciami ekscytacji i ulgi.

Chwilami zasypiał i budząc się nagle, nie wiedział, ile czasu minęło. Pomyślał, że Elizabeth może być zmęczona, i zaproponował, że przejmie kierownicę, ale potrząsnęła głową.

- To bardzo uprzejme z twojej strony, Oliverze, ale ja bardzo lubię prowadzić samochód. Ciocia Faith mnie nauczyła. W czasie wojny jeździła karetką, wiedziałeś o tym?

Znowu zapadł w sen, a kiedy się obudził, zobaczył dzięki światłu reflektorów, że jadą przez szeroką, pustą równinę.

- Gdzie jesteśmy?

- W moim drugim ukochanym miejscu. - Nacisnęła na hamulec. - Spójrz.

Z mroku nocy wyłonił się rozległy prastary krąg ogromnych kamiennych kolumn malowanych blaskiem gwiazd.

- Stonehenge?

- Czyż nie jest cudowne?

Oliver zadrżał, czując się nagle strasznie mały i nic niezna-czący. Kiedy zostawili za sobą ów kamienny krąg, ujrzał na horyzoncie lekko odcinającą się granicę nieba.

- Jeszcze tylko kilkanaście minut - uspokoiła go Elizabeth. Gdy przejechali przez dolinę, pustkę krajobrazu ożywiły

drzewa. Oliver ziewnął i przesunął palcami po rozczochranych



włosach. Elizabeth zjechała z szosy w stronę traktu wysadzanego bukami. Czując się cały wygnieciony, Oliver zaczął wygładzać ubranie.

- Jesteśmy na miejscu. To jest Compton Deverall - powiedziała.

Podniósłszy wzrok, opuścił ręce, pozostawiając kołnierzyk niezapięty, a krawat przekrzywiony. Zobaczył dom z oknami, wieżyczkami oraz krużgankami i nie mógł powiedzieć ani słowa.

Wielkość tego domu. Jego historia. Jesteśmy w domu, Oliverze. Cudownie jest mieszkać w takim miejscu i być częścią czegoś takiego, pomyślał. Takiej tradycji, swobody i potęgi.

- Jesteś głodny? - zapytała Elizabeth - Bo ja jestem. Mogę ci coś ugotować. A może wolisz się zdrzemnąć?

- Nie jestem zmęczony - odrzekł.

Byli w holu. Ten w Compton Deverall mało miał wspólnego z holem domu przy Holland Square, pomyślał Oliver. Tamten był długim, wąskawym korytarzem z brzoskwiniowym dywanem, na którym zbyt łatwo odciskały się brudne ślady butów, oraz półokrągłym stolikiem z codziennymi listami i dwiema fotografiami (jego własną i dziadka) oraz wazonem z kwiatami.

Hol w Compton Deverall wręcz zapierał dech w piersi.

Na suficie znajdowały się wyblakłe emblematy heraldyczne. Olbrzymie ciemne meble rzucały atramentowe cienie. Nie było tu żadnych etażerek ani „konsolek telewizyjnych”. Niczego wulgarnego. Jedynie rzeźbione skrzynie, kredensy i komody oraz szyfoniery i olbrzymi ozdobny kominek, który sięgał aż do sufitu.

Uświadomił sobie, że po prostu gapi się jak gamoń i przybrał bardziej bezceremonialny wyraz twarzy.

- Rzeczywiście, chętnie zjadłbym śniadanie - powiedział zwyczajnym tonem.

Poszedł za Elizabeth do kuchni. Gdy rozbijała jajka i odkra- wała skórki od bekonu, przyjrzał się jej uważniej i zobaczył w inny sposób. Na łokciu jej okropnego swetra wciąż widniała dziura, a paznokcie nadal były obgryzione do krwi, jednak nie wydawała się już tylko niezgrabnym podlotkiem; pieniądze i posiadłość dodawały jej pewnej tajemniczości.

- Jesteś jedynaczką? - zapytał. Skinęła głową.

- A ty? - Postawiła przed nim dzbanuszek z kawą. - Byłoby miło mieć braci i siostry, nie sądzisz?

Oliver nalał kawę do dwóch filiżanek.

- To mogłoby ułatwić różne rzeczy. Człowiek nie musiałby być tak cholernie doskonały.

- Nie mam nawet kuzynów.

- Ja też. Ani cioci, ani wujka. Zwykle odczuwałem ich brak w okresie Bożego Narodzenia.

- Ja mam, oczywiście, ciocię Faith. - Podrzuciła na patelni plasterki bekonu. - I kiedyś miałam wujka, ale się utopił.

Oliver wymamrotał niewyraźne kondolencje, a potem, nie mogąc się powstrzymać, zapytał:

- Więc pewnego dnia ty odziedziczysz to wszystko?

- Tak. To okropne, prawda? - odpowiedziała, smarując masłem grzanekę. - Wolałabym przekazać to komuś, kto naprawdę tego potrzebuje, ale są tu różne rodzaje funduszy powierniczych i inne sprawy, więc byłoby to trudne. A poza tym naprawdę kocham to miejsce. Niektórzy z moich przyjaciół są zaszokowani toaletami i chłodem, lecz mnie się tu podoba. - Postawiła przed nim talerz jajek na bekonie. - Oprowadzę cię po domu, jeśli chcesz - zaproponowała. - Pokażę ci moje ulubione zakątki... - Kiedy to powiedziała, spojrzała nań w taki sposób, że Oliverowi dreszcz przebiegł po plecach.

Młodzieniec jadł z bijącym sercem. Kiedy skończyli śniadanie, Elizabeth zabrała go na wędrowkę po domu. Słońce wdzierało się przez gotyckie, przedzielone kamiennymi słupkami okna i sprawiało, że na starej dębowej podłodze kładły się cienie w kształcie rombów. Na tynkach ścian kilku najdalszych pokoi zakwitała pleśń i gdy Oliver przesunął ręką po listwach, drewno wydało mu się wilgotne w dotyku. Fantastyczne postacie - demony i leśne duchy wyrzeźbione w belkach nadproży - rzucały mu złośliwe spojrzenia, gdy pochylał się w niskich drzwiach. Kiedy Oliver wysunął język i przewracał oczami, naśladując owe stwory, Elizabeth, oparta o ścianę, zanosila się śmiechem.

W galerii, która biegła przez całą długość domostwa, pokazała mu portrety swoich przodków. Liczne pokolenia ciemnookich, poważnych Kempów wpatrywały się w niego zimnym wzrokiem. Poczul się nie na miejscu, pozbawiony korzeni, powierzchowny i płytki. Elizabeth zacieszała do tyłu źle przyciętą

grzywkę, odsłaniając wysokie czoło i długi, prosty nos oraz wielkie oczy i łukowato zarysowane brwi. Wtedy Oliver zobaczył, że mylił się, sądząc, iż jest nieładna; zrozumiał, że jej rysy po prostu należały do innej epoki; do czasów owych bladych tudorowskich dam z ich niezwykłymi czepcami i sztywnymi sukniami. Złapał się na tym, że pragnie pogłaskać tę nieskazitelną skórę i poczuć ciężar jedwabiących czarnych włosów i lekko zakłopotany, opuścił galerię. Wolał kobiety wyrafinowane od naiwnych pensjonarek; to owa nieprzespana noc uczyniła go irracjonalnym. A jednak poczuł się teraz bardzo rześki.

- Dzień jest tak piękny, że moglibyśmy robić te transparenty na dziedzińcu. Będzie tam dosyć miejsca, aby je rozłożyć i nic się nie stanie, jeśli coś poplamimy - powiedziała, gdy zeszli ze schodów, i spoglądając na niego, zapytała: - Może chciałbyś pożyczyć jeden ze swetrów mojego ojca?

Oliver wciąż miał na sobie wieczorową marynarkę.

- Bardzo chętnie - odrzekł. - Jeśli uważasz, że nie miałby nic przeciwko temu.

Gdy Elizabeth poszła z powrotem na górę, Oliver czekał, opierając się o słupkę podtrzymującą balustradę schodów i przez chwilę próbował umieścić siebie w miejscu takim jak to. Wyobraził sobie, jak wrzuca parasol do stojaka i wieszka płaszcz na wieszaku. Zamknął oczy, a potem otworzył je znowu, słysząc stukot butów dziewczyny na drewnianych schodach.

Podawała mu jakiś sweter.

- Obawiam się, że jest trochę dziurawy. Tatuś nigdy nie kupuje sobie nowych ubrań, dostaje je tylko wtedy, kiedy przyjeżdża mama, a nie było jej od wieków.

Oliver wciągnął przez głowę niemodny kaszmirowy pulower.

- Twoja matka tutaj nie mieszka?

- Och, nie. Czasami mieszka w Ameryce, a czasami w Europie. Moi rodzice są rozwiedzeni.

- Przepraszam. To musi być...

- Ja się tym nie przejmuję. - Przejrzyste ciemnobrązowe oczy Elizabeth spoczęły na Oliverze. - Naprawdę. Koleżanki w szkole myślały, że powinnam buntować się przeciw temu, ale tak nie jest. Ona wyjechała, kiedy byłam bardzo małym dzieckiem, więc nie mogę pamiętać innej sytuacji. Nie pamiętam utraty matki.

Wynieśli na zewnątrz sterty starych prześcieradeł oraz słoiki z farbami i pędzle. Kamienie, którymi wyłożony był dziedziniec, pokrywały szare porosty, a w szczelinach między głazami zielenił się mech. Elizabeth rozwiesiła prześcieradła na tarasie.

- Pozszywam je razem. Chciałabym, żeby miały szerokość ulicy, wtedy naprawdę będą przyciągać wzrok.

Oliver przyniósł na dziedziniec jej maszynę do szycia i w jakiejś szopie znalazł kije do umocowania końców transparentów. Praktyczna natura dziewczyny zaskoczyła go; oczekiwał, że idealistycznym poglądom towarzyszy brak zorganizowania. Wiedział, że praca i wysiłki dziewczyny są bezsensowną stratą czasu, ale zdumiewająco przyjemnie było wykonywać jej polecenia, malować hasła oraz symbole i uwolnić się od ciężaru własnych myśli. Świeciło słońce i około południa Oliver odłożył pędzel i powędrował z powrotem do domu. Z kuchni wziął kawałek sera, bochenek chleba, torebkę jabłek i butelkę wina. Rozglądając się wokół, zobaczył, że z dziur w kanapach wychodzi włosie, a brokatowe zasłony tak spłówiały od słońca, że nie można już było określić ich pierwotnego koloru. Początkowo był tym zgorzony: w domu przy Holland Square zmieniano meble, gdy tylko pojawiały się pierwsze oznaki zniszczenia, a matka upierała się, by co pięć lat zastępować stare zasłony i dywany nowymi. Sam Oliver zawsze wolał nowoczesność i prostotę od przeładowanego wystroju rodzinnego domu, a jednak teraz, wędrując po Compton Deverall, pomyślał, że jego własny gust był marny.

Umieścił znalezione skarby w wiklinowym koszyku, z kredensu w jadalni wziął dwa kieliszki do wina i wrócił na dziedziniec.

- Oliverze! Jaki jesteś mądry! Uwielbiam pikniki - powiedziała Elizabeth, odkładając pędzel.

Zanieśli koszyk na łąkę rozciągającą się za trawnikiem i ochłodzili wino w strumieniu, który, jak wyjaśniła dziewczyna, stanowił granicę Compton Deverall. Ojciec Elizabeth zastanawiał się czasem nad sprzedażą kilku akrów ziemi, by zdobyć pieniądze na remont domu, ale najwyraźniej nigdy do tego nie doszło. Oliver pomyślał o Londynie, gdzie na najmniejszych skrawkach ziemi stawiano biurowce i gdzie codziennie wyburzano rzędy starych domów, by zrobić miejsce na nowe. Z takie-

go budynku można było wyciągnąć wielkie pieniądze. Kiedy więc Elizabeth wskazała mu łąkę pod lasem, na której nawet nie wypasano owiec i w ogóle jej nie wykorzystywano, młodzieniec złapał się na tym, iż wyobraża sobie rzędy domów, które mogłyby wypełnić tę pustą przestrzeń.

Oparty plecami o drzewo niemal już zasypiał, gdy Elizabeth zawołała nagle:

- Och, spójrz! Jak cudownie! Jest Geoff, Phil i reszta. Otwierając oczy, zobaczył małe czarne postaci na skraju dziedzińca.

- Mówili, że może przyjadą i pomogą.

Dziewczyna wrzuciła ogryzek jabłka do strumienia, a potem wykrzyknęła słowa powitania i pomachała ręką ku przybyłym. Następnie, pozbierawszy wszystko po pikniku, pobiegła przez trawnik do przyjaciół.

Sam Oliver, z rękami w kieszeniach, niechętnie wracał do domu. Ten niezwykle jasny dzień trwał nadal, ale zaczął budzić jego niechęć i działać mu na nerwy, tak że życzliwe głosy gości oraz ich paskudny wygląd i hałaśliwy śmiech wręcz go irytowały. Stojąc z boku, obserwował, jak Elizabeth z dumą pokazywała nowo przybyłym transparenty i plakaty.

- Mówię ci, zrobiliście to cholernie dobrze.

- Te kolory są super!

- Spodziewamy się stu tysięcy ludzi na Trafalgar Square, więc transparenty będą świetnie wyglądać.

- Jest jeszcze kilka prześcieradeł - powiedziała Elizabeth. - Mógłbyś mi pomóc, Oliverze?

Poszedł za nią do domu. W sypialni Elizabeth podłoga i meble były niemal całkowicie zarzucone białym płótnem i literaturą na temat atomowej zagłady. Dziewczyna wskazała na stertę prześcieradeł leżących na komodzie.

- Mógłbyś znieść je na dół?

Kiedy sięgał po nie, coś spadło na podłogę, więc się schylił.

- Co to jest?

Trzymał w ręku niewielki olejny obraz. Szerokie wstęgi koloru - czerwieni, złota i bursztynu - wydawały się nie mieć znaczenia, gdy spoglądał na nie z bliska, ale gdy odsunął obraz na długość ramienia, ułożyły się w pejzaż łąk, drzew i rzek.

- Och, hak wypadł ze ściany. - Elizabeth rozwijała długi sznur. - Musiał zaczepić się o prześcieradła.

- To Corot! - Oliver zobaczył dziurę w tynku, znaczącą miejsce, gdzie wcześniej wisiał obraz. - Nie możesz tak po prostu zostawić obrazu Corota między tymi śmieciami. - Nagle poczuł się zmęczony, a w jego tonie zabrzmiało większe zniecierpliwienie, niżby sobie życzył.

- To tylko obraz. - Wydawała się urażona. - To nie ma znaczenia - powiedziała, odkładając pejzaż z powrotem na komodę.

- Oczywiście, że ma znaczenie. Obrazy trwają. Wyszła z pokoju.

- Nic z tych rzeczy nie przetrwa eksplozji nuklearnej. Wiesz o tym, Oliverze - powiedziała, gdy już byli na dole. - To wszystko... Compton Deverall, mój obraz, ty, ja... to wszystko zniknie. Właśnie dlatego wszystko, co robimy, jest takie ważne. Znacznie ważniejsze niż malarstwo.

Przeszli na dziedziniec.

- Ale to niczego nie zmieni - powiedział głośno, a przyjaciele Elizabeth spojrzeli na niego, jakby był czymś nieprzyjemnym i galaretowatym, co wypełzło spod kamieni dziedzińca.

- Oczywiście, że zmieni.

- Nie. - Spojrzał na nich z pogardą. - Nie może. Och, będą migawki w telewizji, ale to niczego nie zmieni.

- Oliverze - mężczyzna z brodą miał łagodny, cierpliwy głos, który przyprawiał młodzieńca o ból zębów - wiesz przecież, że wszystko możemy zmienić. Czasami nie wydaje się to prawdopodobne, ale nie wolno tracić nadziei.

- Wywieramy nacisk na konferencję Partii Pracy, aby przyjęła rezolucję.

- Jest mało prawdopodobne, by Partia Pracy wygrała najbliższe wybory, więc jakie znaczenie ma to, jaką rezolucję przyjmie jej konferencja? - zauważył Oliver, opierając się o mur.

- Zdaje się, że jesteś konserwatystą.

Wzruszył ramionami. Jego powieki zrobiły się ciężkie ze zmęczenia.

- Możliwe. Z rozsądku. Z chęci zdobycia czegoś lepszego.

- To nie ma nic wspólnego z polityką. - Elizabeth wpatrywała się w niego pałającym wzrokiem. - Broń nuklearna jest złem. Zbrojenia atomowe są złe. To ma znaczenie. Pomyśl o Hiroszimie... o Nagasaki...

- Pomyślcie o japońskich obozach dla jeńców wojennych. Pomyślcie o hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Były złe,

nieprawdą? A może groźba użycia broni nuklearnej sprawi, że takie rzeczy już nigdy się nie powtórzą. Zresztą nie w tym rzecz. Problem tkwi w tym, że cokolwiek zrobicie, nie będzie to miało znaczenia. Och, możecie przekonać związki zawodowe, a one mogą wpłynąć na Partię Pracy, wątpię jednak by Partia Pracy mogła dojść do władzy. Ale to i tak nie zrobi różnicy, bo Wielka Brytania nie ma teraz znaczenia... My się teraz - Oliver się uśmiechnął - nie liczymy.

- Wielka Brytania ma wpływy w Ameryce.
- Nonsens. Absolutny nonsens!
- Amerykanie mogliby brać przykład z Brytyjczyków...
- Nie możemy nic nie robić!

Odwrócił się ku niej. Już nie potrafił być obojętny i nonszalancki, czuł tylko ową znajomą nudę, która pojawiała się wraz z furją.

- Wy nic nie robicie, a to wszystko - machnął ręką w stronę transparentów - ma tylko poprawić samopoczucie. To jest zero.

Na twarzy Elizabeth odmalował się teraz zawód, a jej oczy wydawały się bardzo ciemne na tle zbielejącej skóry. Nie rozplakała się jednak.

- My przynajmniej próbujemy - odpowiedziała z godnością, po czym ponownie uklękła na kamieniach dziedzińca i sięgnęła po słoik z farbą oraz pędzel.

Oliver przeszedł przez dom, kierując się ku frontowym drzwiom. Było późne popołudnie i błękit nieba zmienił się w biel. Szedł szybko, chcąc, aby ten dom i ta dziewczyna, która, co przyznał sam przed sobą, zaczynała mu się podobać, zostały daleko za nim. Kiedy w końcu usłyszał odgłos silnika samochodowego, nie obejrzał się, ale szedł dalej, odsuwając się na bok, gdy dogoniła go w połowie bukowej alei.

Jechała swoim groszkowym minimorrisem. Zwolniła i zrównała się z Oliverem.

- Twoja marynarka - powiedziała.

Uświadomił sobie, że wciąż ma na sobie sweter ojca Elizabeth. Zdjął go i podał jej przez okno, sięgając po swoją marynarkę.

- Dokąd idziesz?
- Na stację. Rodzice będą się zastanawiać, gdzie mnie poniosło.
- Podwiozę cię.

- Chciałbym się przejść.  
- To daleko, Oliverze!  
- A jednak chciałbym się przejść. - Ruszył naprzód, czując pod nogami trzeszczący żwir.  
- Nie przyjdiesz na manifestację?  
Oliver odwrócił się i przystając na chwilę, pokręcił przecząco głową.  
- Nie. chyba nie. Dzięki za śniadanie i za wszystko, ale chyba nie przyjdę - powiedział i ruszył naprzód drogą.  
- Może się pan ubrać, sir Anthony. - Guy zawiesił sobie stetoskop wokół szyi.  
- Jak brzmi werdykt, doktorze Neville?  
Pod normalną wesołością pacjenta Guy wyczuł lęk.  
- Ma pan trochę za wysokie ciśnienie krwi.  
- Czy to źle? - Głos sir Anthony'ego Chanta tłumił parawan.  
- To obciąża serce. - Guy umył ręce i wyczyścił nos. Miał początki grypy.  
- Może jakieś pigułki?  
- Powinien pan stracić nieco na wadze. Sir Anthony Chant wyszedł z za parawanu.  
- Stracić na wadze? - Poklepał się po wydatnym brzuchu. -Po co, u licha? Jak?  
- Trzeba mniej jeść - wyjaśnił sucho Guy, po czym opamiętał się i dodał: - To tylko propozycja, sir Anthony. Pomogłoby to pańskiemu sercu.  
- Nie rozumiem jak.  
Guy zaczął mu wyjaśniać związek między dolegliwościami kardiologicznymi a przejadaniem się, ale pacjent mu przerwał.  
- Proszę mi dać kilka tych pigułek, które dostałem ostatnim razem. Poskutkowały.  
Guy otworzył usta, by powiedzieć coś jeszcze, ale patrząc na dobronurzą twarz zadowolonego z siebie sir Anthony'ego, zamknął je i wypisując receptę, uznał, że powinien opanować gniew.  
Gdy pacjent wyszedł, Guy wstał i podszedł do okna. Ten gabinet, z pokrytą wykładziną podłogą, gustownymi grafikami i kopiami stylowych mebli, przytłaczał go. Jednak widok z okna nie przyniósł Guyowi ukojenia, ponieważ między ciasno postawionymi budynkami nie było widać ani skrawka zieleni. Londyn zo-



stał skomponowany z monotonnych szarości i brązów. Guy próbował zapomnieć o bólu głowy i gardła, wspominając młodzieńcze wędrówki po przedwojennej Europie. Przyłapał się na tym, że tęskni do plamy szkarłatnego hibiskusa lub trzepotu jaskrawych motyli skrzydeł. Po chwili odwrócił się i wcisnął do teczki stertę „papierkowej roboty”, potem zamknął gabinet i pieszo pokonał niedużą odległość dzielącą go od Holland Square.

W holu przejrzał stos leżących na stoliku listów, wybierając z niego przed wejściem na piętro rachunki i wyciągi bankowe. Z salonu wołała do niego Eleanor, przypominając, że wieczorem wychodzą z wizytą. Zapomniał o tym, więc teraz przebrał się w wieczorowy garnitur i połknął kilka aspiryn.

Koktajl - jedna z tych okropnych imprez, gdzie trzeba żonglować kieliszkiem i talerzem, prowadząc uprzejmą konwersację - odbywał się w domu kolegi, Wilfreda Clarke'a, który mieszkał w Richmond. Goście stanowili mieszaninę lekarzy i przypadkowych dziewcząt, zaproszonych, jak przypuszczał Guy, głównie w charakterze dekoracji. Guy jadł mało, co rozwiązało problem noszenia talerza, ale przechodząc od jednego gościa do następnego, nie potrafił sobie przypomnieć, czego dotyczyła każda z wcześniejszych rozmów.

- Doktor Neville?

Guy, znalazłszy sobie schronienie w kącie obok wielkiej donicy z ozdobną rośliną, ujrzał przed sobą jakiegoś młodego rudowłosego mężczyznę w źle dopasowanym garniturze.

- Nazywam się James Ritchie. Jestem stażystą w klinice Barta.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Doktor Clark powiedział mi, że kształcił się pan w Edynburgu, tak jak ja - mówił dalej młody człowiek, a Guy rozpoznał szkocki akcent. - Zastanawiałem się, jaka jest pańska specjalizacja.

- Jestem internistą - odrzekł i wyciągnął papierośnicę, ale Ritchie pokręcił przecząco głową.

- Ja zaś zastanawiam się nad wyborem pediatrii. Widzi pan, zamierzam pracować w Afryce, w Kongu Belgijskim. Mam kuzyna, który jest tam lekarzem.

Guy stłumił kaszel.

- To brzmi interesująco - powiedział i zaproponował swemu rozmówcy drinka z butelki, którą wcześniej ukrył pod paprocią.

- Nie, dziękuję.

- Ani trochę?

- Zostałem wychowany jako abstynent - wyjaśnił Ritchie z lekko przepraszającym gestem - ale nie chciałbym pana krępować, doktorze Neville.

Guy potrząsnął głową.

- Okropnie boli mnie głowa. Chyba się przeziębilem. Nie mam ochoty dodatkowo fundować sobie kaca - stwierdził z uśmiechem. - Proszę odciągnąć moją uwagę od tej nudnej przypadłości, doktorze Ritchie, i opowiedzieć mi o Afryce. Co pan ma nadzieję tam osiągnąć? Afryka zawsze kojarzy się z upałem i niewygodami.

- Ale potrzeby, doktorze Neville! Potrzeby są tak wielkie. - Oczy Ritchiego zabłyśły. - Tak wiele dzieci umiera tam na choroby łatwo dające się wyleczyć; na odrę, zaburzenia żołądkowe i tym podobne dolegliwości...

Słuchając Jamesa Ritchiego, Guy poczuł nawrót owej tęsknoty, której doświadczył wcześniej, wyglądając przez okno gabinetu i myśląc o Francji. Było to niesprecyzowane uczucie połączone z frustracją oraz zdenerwowaniem. Słuchał, jak doktor Ritchie opowiada o szpitalach w buszu oraz o rzecznej ślepcie i malarii, i czuł się na moment wyrwany z przeładowanego meblami i przegrzanego salonu.

- Oczywiście w Wielkiej Brytanii też są potrzeby. Chociaż państwowa służba zdrowia to coś zupełnie innego, nie sądzi pan?

- Ja praktykuję prywatnie.

Zobaczył wyraz twarzy młodszego kolegi i pomyślał ze złością: Nie osądzaj mnie, do licha, nie osądzaj mnie.

Ritchie wkrótce znalazł jakąś wymówkę i zniknął w tłumie. Guy, czując się coraz gorzej, także wyszedł. Sam. Jego żona postanowiła zostać na przyjęciu. Pewien znajomy zaproponował, że odwiezie ją do domu, oświadczyła.

Padał deszcz i mokre jezdnie wyglądały w ciemnościach jak strugi. Jadącemu ulicami Londynu Guyowi brzmiała wciąż w uszach rozmowa z Jamesem Ritchiem, uwierając go niczym ziarnko piasku ostrygę w muszli.

„Ale potrzeby, doktorze Nevifle... potrzeby są tak wielkie...”

Zaabsorbowany rozmyślaniami o Afryce ujrzał w przelocie rowerzystę, który bez świateł wypadł z bocznej ulicy.

Furgonetka przed samochodem Guya jechała zbyt szybko, by zatrzymać się w jednej chwili. Rozległ się pisk hamulców, brzęk szkła i metalu, gdy kierowca w daremnej próbie uniknięcia zderzenia z rowerem skręcił w poprzek jezdni. Sam Guy szarpnął gwałtownie kierownicą i nacisnął na hamulec. Koła jego rovera wjechały na krawężnik, a on sam uderzył czołem w deskę rozdzielczą.

Po kilku chwilach, kiedy znów mógł myśleć, otworzył drzwi samochodu i pobiegł do przodu. Rowerzystka, młoda kobieta, leżała bez ruchu na chodniku. W bursztynowym świetle ulicznej latarni Guy zobaczył, że kierowca furgonetki uderzył głową w przednią szybę swego samochodu.

Wokół zgromadziła się niewielka grupa ludzi. Guy wcisnął swoje kluczyki chłopakowi, który stał za nim.

- W bagażniku mojego rovera jest czarna torba, przynieś mi ją, dobrze? - polecił, a potem, gdy uklęknął na trotuarze obok rowerzystki, wysłał jakąś kobietę w kwiecistym pikowanym szlafroku, żeby zatelefonowała z domu po karetkę.

Chociaż wydawało mu się, iż przez całe lata nie leczył nic poważniejszego niż wyrostek robaczkowy, stwierdził, że gdy uklęknął w ciemnościach i deszczu padającym mu na głowę i ramiona, wróciło doń wszystko, czego nauczył się przez dwadzieścia lat praktyki lekarskiej. Sprawdzić, czy oddech pacjenta się nie zatrzymał... zatamować krwawienie tętnicze... starać się nie poruszyć głowy i szyi ranego z uwagi na możliwość uszkodzenia kręgosłupa... Zapomniał o deszczu, przeziębieniu i owej mglistej, niesprecyzowanej tęsknocie, która ostatnio nękała go coraz bardziej, i działał sprawnie, obserwując stan pacjentki. Miała głęboką ranę na ramieniu, podejrzewał też, że złamane żebra mogły uszkodzić płuca. Kiedy założył opaskę uciskającą i poprawił pozycję dziewczyny, by ułatwić jej oddychanie, posłał jednego z gapiów, by sprawdził stan kierowcy furgonetki. Wykrzykując pytania na drugą stronę ulicy, uświadomił sobie, że przypomina mu się napięcie i niebezpieczeństwo z czasów wojny: był nieustannie wyczerpany, to prawda, ale, dzięki Bogu, czuł, że uczestniczy w czymś ważnym. Czuł, że naprawdę żyje.

Potem z donośnym wyciem syreny i jaskrawym światłem reflektorów przyjechała karetka i oboje - dziewczyna oraz kierowca furgonetki - zostali ułożeni na noszach. Jeden z sanita-

riuszy zapytał Guya, czy i jemu nie potrzeba pomocy, gdyż miał rozcięte czoło, więc dotknął ręką brwi i poczuł krew sączącą się z rany powstałej przy uderzeniu głową w deskę. Aż do tej chwili nie zauważył tego urazu.

- Poradzę sobie - powiedział i wrócił do samochodu.

Gdy karetka odjechała i ulica zrobiła się pusta, Guy siedział jeszcze przez chwilę za kierownicą rovera. Na skutek owego wypadku czuł się wyczerpany i zmęczony, a nawet osłabiony w wyniku własnej reakcji i kresu działania adrenaliny, ból głowy powrócił zaś ze zdwojoną siłą. Jednak wspomnienie tego, co czuł, klęcząc w deszczu obok rannej, pozostało. Zapomniał już, że umysł może być tak całkowicie pochłonięty tym, co się działo; zapomniał, jaką oszałamiającą przyjemnością jest wykorzystanie wszystkich umiejętności i całej sztuki lekarskiej. To ożywienie trwało i minął jakiś czas, zanim Guy włożył kluczyk do stacyjki i wrócił na Holland Square.

Wkradający się do domu bałagan, który Oliver zauważył pierwszego dnia wiosennych ferii, trwał nadal. Dom nie był brudny, ale stał się nieco zaniedbany. Na balustradach schodów leżały drobiny kurzu i czasami brakowało różnych rzeczy; tak ważnych, jak papier toaletowy, pasta do zębów czy herbata. Koszula włożona do kosza na bieliznę nie pojawiła się czysta przez cały tydzień. Oliverowi wydało się to wszystko dziwnie niepokojące. Atmosfera domu mogła dusić czy też kępować, ale zwykle była ona niezawodna.

Kolejne dni zlewały się w bezkształtną masę, nie układając się w żaden wzór. Oliver wstawał późno, zapominał o jedzeniu i źle sypiał. Nikt tego nie zauważał. Ojciec pracował wiele godzin, a matka wydawała się zaabsorbowana swoją działalnością charytatywną. Po jakimś czasie, ujrzawszy w lustrze własną nieogoloną twarz i szarawe cienie pod oczami, Oliver postanowił się pozbierać. Próbował odrobić zaległości w nauce, ale zapadł nad tym w sen i ocknął się znudzony, z twarzą na rysunku śledziony. Zaproponował matce pomoc w pracach charytatywnych, ale ku jego zdumieniu, nie przyjęła propozycji, więc doszło do tego, że od czasu do czasu chodził z ojcem do jego gabinetu, by pomagać w papierkowej robocie. Guy był szczęśliwy, a Oliver zrozpaczony, ale nawet to zajęcie wydawało się lepsze niż ogłupiający chaos, który coraz bardziej opanowywał jego umysł.

W poniedziałek wielkanocny przebrnęli przez obfity obiad: zupę, pieczone kurczęta, lukrowane ciasto, ser i biszkopty. Potem Guy udał się do klubu, a Eleanor powiedziała, że idzie na jakieś spotkanie. Oliver, czując się przejezdony, ruszył na bezcelową wędrówkę ulicami Londynu, po której wrócił do domu. Gdy otworzył tylne drzwi, usłyszał głos swojej matki.

- ...wydaje się, że to tyle trwa. Jak długo będziemy musieli nadal udawać?

Już prawie ku niej zawołał, ale coś go powstrzymało i przystanąwszy w połowie schodów, słuchał.

- ...nieładnie z twojej strony, kochanie. Wiesz przecież, że to całkiem niemożliwe.

Ton jej głosu nie odpowiadał słowom. Była przymilna, uwodzicielska i tkliwa. Czasami, pomyślał Oliver, mówiła tak do niego; w owe wieczory, kiedy wychodzili gdzieś razem i kiedy nie było obok ojca.

- ...kochanie, to niegodziwe. Nie wolno ci mówić takich rzeczy! - Eleanor wybuchnęła srebrzystym śmiechem.

Oliver usiadł, gdyż serce biło mu o wiele za szybko. Przycisnął dłoń do klatki piersiowej i próbował sobie przypomnieć, czy można umrzeć na zawał, mając dziewiętnaście lat. Rozległ się dźwięk odkładanej słuchawki i wtedy, na poły zbiegając, na poły zsuwając się ze schodów, wypadł przez kuchnię na ulicę.

Idąc szybko, minął British Museum, przeciął Oxford Street i zmierzał ku Shaftesbury Avenue wzdłuż Charing Cross Road.

Kochanie, mówiła do niego: „kochanie”, myślał przez cały czas. Nie miał wątpliwości, z kim rozmawiała.

Ma kochanka, pomyślał, gdy skręcając w St Martin's Lane, został porwany przez tłumy zmierzające ku Trafalgar Square. Matka ma kochanka. Ta myśl, powtarzana kilkakrotnie i krążąca po głowie Olivera, nie stała się ani trochę przyjemniejsza. Wiedział, że nie rozmawiała z ojcem. Nigdy nie słyszał, żeby nazwała ojca „kochaniem”.

Początkowo nie mógł zrozumieć, dlaczego na Trafalgar Square zgromadziło się tak dużo ludzi - prawdziwy tłum kłębił się wokół lwów strzegących National Gallery i na wiodących do niej schodach - ale potem przypomniał sobie o manifestacji. Zobaczył transparenty i plakaty ze znanym okrągłym symbolem ruchu pacyfistycznego i przypomniał sobie, jak klęcząc na kamiennym dziedzińcu rezydencji Compton Deverall malował taki sam znak.

Dał się porwać tej wielkiej masie ludzkiej. Nie musiał myśleć, kształtować sobie poglądów ani udawać. W tę stronę czy też w inną sterowała nim siła tłumu. Rozlegające się po przemówieniach donośne okrzyki aplauzu wypełniły mu głowę, chwilowo wyrzucając z niej wszystkie inne refleksje. Zaczął się rozglądać za Elizabeth. Wiedział, że poszukiwanie jej w tym tłoku jest niedorzeczne i daremne, ale dawało mu to przynajmniej jakieś zajęcie, zajmowało umysł i nie dopuszczało innych, okropnych myśli. Szukał jej systematycznie, dzieląc w myślach cały Trafalgar Square na sektory. Każdy z nich przepatrywał oddzielnie. Na skwerze było dość dużo ciemnowłosych, niedbale ubranych uczennic, więc przypominając sobie Elizabeth w Compton Deverall, Oliver skupił się na tych, które trzymały transparenty. Wiedział, że miała nieść jakiś napis. Miała trzymać to paskudztwo przez całą drogę z Aldermaston do Londynu - ponad sześćdziesiąt męczących kilometrów - z czystej wytrwałości i siły woli. Oto cechy, pomyślał ubawiony przez chwilę, których jemu tak bardzo brakowało.

Po upływie pół godziny, przejrawszy dwukrotnie cały plac, doszedł do przekonania, że to beznadziejne. Zamiast tego postawił sobie drinka, pomyślał, przyjmując ojcowską metodę stawiania czoła problemom, którym sprostać się nie da. Było jeszcze zbyt wcześnie, by pójść do pubu, ale mógł znaleźć jakiś lokal, gdzie sprzedawano alkohol. Przeciskając się przez tłum i nie przejmując się szczególnie tym, że depta komuś po nogach, zmierzał ku obrzeżom placu. Wtedy zobaczył Elizabeth.

Siedziała na chodniku, sama. Nie miała transparentu; obok niej leżał plecak. Bezmyślnie bawiła się jednym butem. Podchodząc, zwrócił się do niej po imieniu.

Podniosła wzrok.

- Oliver - powiedziała bez uśmiechu - zdawało mi się, że mówiłeś, iż nie przyjdiesz.

Przez chwilę zastanawiał się nad jakimś kłamstwem, ale doszedł do wniosku, że nie będzie sobie zawracał tym głowy.

- Prawdę mówiąc, zapomniałem o manifestacji, a znalazłem się tutaj przez przypadek i próbowałem cię odnaleźć. - Przyjrzał się jej uważnie. - Wyglądasz trochę...

- Wyglądam okropnie - odrzekła ostro, przesuając palcami po włosach. - Wiem, że wyglądam okropnie.

- Zamierzałem powiedzieć, że wydajesz się trochę zmęczona.

- Przez kilka ostatnich nocy spałam w jakimś kościele. Boli mnie żołądek i od wieków nic nie jadłam...

Oliver usłyszał w jej głosie przygnębienie, które przedtem wyczuł.

- Jestem ci winien poczęstunek, a może nawet kilka. Chodź, znajdziemy jakieś miejsce - powiedział nagle, a kiedy się zawahała, dodał: - Posłuchaj, to wszystko, co wtedy wygadywałem...

Na jej zapadnięte oczy opadała grzywka.

- To nie ma znaczenia - oświadczyła.

- Ależ ma. To był wspaniały dzień i ja go popsułem. Musisz mi pozwolić to naprawić. - Potrzebował towarzystwa, potrzebował kogoś, kogokolwiek, kto oderwałby jego myśli od rozmowy, którą podsłuchał. Wyciągnął rękę. - Chodź!

Czyste, brązowe oczy dziewczyny spoglądały na niego ostrożnie, ale pozwoliła, by pomógł jej wstać.

- Może... filiżankę herbaty...

Poszli na St Martin's Lane. Już po kilku krokach Elizabeth zaczęła pozostawać w tyle.

- Czy coś cię boli?

Była bardzo blada i mocno przygryzała wargę. Próbowwała się uśmiechać.

- Pęcherze. Jeden na drugim. Miałam gwóźdź w bucie.

- Tędy. Oprzyj się na mnie. - Wyciągnął rękę i wyprowadził Elizabeth z placu. Cieszył się z jej obecności u swego boku. Poczł się bardziej samodzielny i wiarygodny. Ponieważ utykała, podtrzymywał ją, obejmując ramieniem. Pomyślał szybko i przypomniał sobie, że w kieszeni nadal ma klucz do gabinetu ojca. Przywołał taksówkę.

W dniu świątecznym gabinet był oczywiście pusty. Zapach tego miejsca, łączący w sobie woń środków dezynfekcyjnych i pasty do podłóg, jak zwykle przyprawił Olivera o lekkie mdłości. Zamknięte okna sprawiały, że wewnątrz zrobiło się duszno. Młodzieniec podniósł haczyk okiennic i pyłki kurzu zatańczyły w świetle słońca.

- Najpierw herbata czy stopa? Elizabeth usiadła ciężko na krześle.

- Wybór należy do ciebie.

Otworzył biurko ojca i wyjął z dna szuflady butelkę brandy.

- To lepsze niż herbata - stwierdził, nalewając duże porcje do dwóch kubków i podając jeden z nich Elizabeth, a potem uklęknął i rozsznurował jej buty; brązowe buciki uczennicy. Usłyszał, jak wciągnęła powietrze, gdy zaczął zdejmować jej skarpetki. Podniósł wzrok. - Przepraszam.

- To... nie... twoja wina - powiedziała z pobladłą twarzą. - Mówiłam ci, że są w strasznym stanie.

Stopy dziewczyny były zakrwawione i otarte. Nie czuł jednak obrzydzenia - choć zdarzało mu się to zazwyczaj, gdy stawał twarzą w twarz z ludzką słabością - a tylko zwykłe współczucie.

- Wypij swoją brandy, Lizzie - polecił. - Postaram się nie sprawić ci bólu.

- Nie sprawiasz mi bólu - przy każdym słowie chwytala gwałtownie powietrze. - Jesteś bardzo dobry. Przypuszczam, że to na akademii medycznej nauczyłeś się udzielać pierwszej pomocy.

Parsknął śmiechem, rozrywając opakowanie gazy.

- Ani trochę. Tam nie uczą niczego pożytecznego. Zapadła cisza. Część skarpetki Elizabeth przywarła do największych pęcherzy. Po chwili usłyszał pytanie dziewczyny.

- Nie lubisz tego, prawda? Spojrzał na nią zaskoczony.

- Nie lubię czego?

- Studiów medycznych.

- Tak, nie lubię. - Pierwszy raz przyznał się komuś do tego. - Nie cierpię.

Zaniósł do umywalki miednicę, opróżnił ją i napełnił czystą wodą.

- Więc dlaczego studiujesz medycynę?

- Wszyscy mężczyźni z mojej rodziny byli lekarzami - powiedział, klękając przed Lizzie. - Mój ojciec... obydwaj dziadkowie...

- To przecież nie znaczy, że ty też musisz zostać lekarzem. Powiedziałeś rodzicom o swoich odczuciach?

- Oczywiście, że nie. - Oliver chciał, by zostawili ten temat.

- Dlaczego?

- Ponieważ... - W głowie dźwięczało mu echo głosu matki: „Kochanie, to niegodziwe”. Oliver zdawał sobie sprawę ze swego słabego, niezwyklego współczucia dla ojca. - Ponieważ byliby ze mnie niezadowoleni - odrzekł niepewnie i wstał.



- Jestem pewna, że zrozumieliby cię. Jestem pewna, że chcą, abys był szczęśliwy.

Zirytowały go upór i naiwność Lizzie. Zamilkł i zamknął oczy, wbijając sobie paznokcie w dłonie.

- Oliverze? - W głosie dziewczyny słychać było wahanie i przerażenie.

- Sądzisz, że chcą, abym był szczęśliwy? - Głos Olivera drżał. - A ja jestem przekonany, że studiuje na akademii medycznej, ponieważ to ja chciałbym ich uszczęśliwić. - Odwrócił się, żeby nie widziała jego twarzy, i wrzuciwszy poplamioną krwią gazę do kosza, mówił dalej: - Zrozum, mając tylko ojca, zupełnie nie wiesz, jak to jest, gdy trzeba mieszkać z dwojgiem ludzi, którzy się nienawidzą. Oczywiście najrozsądniej trzymać się od tego wszystkiego z dala i pozwolić, by się wzajemnie podusili, jeśli mają na to ochotę, ale człowiek przywiązuje się do określonego standardu, do pewnego stylu życia, i przez długi czas rzecz wydaje się warta zachowania spokoju. Kiedy natomiast mama i tata mieszkają na osobnych kontynentach, nie ma się pojęcia, o jaki ból głowy przyprawia czasami konieczność wysłuchiwania awantur, jakie urządzają. W istocie jesteś bardzo szczęśliwą dziewczyną, Elizabeth. Masz rodziców, którzy w ogóle rzadko się pojawiają; wspaniały dom, do którego wracasz, gdy już dłużej nie możesz znieść niewygód i prymitywnego trybu życia; oraz mnóstwo pieniędzy, abys nie musiała... -Przerwał, słysząc jakieś szczególne odgłosy i kiedy się odwrócił, zobaczył, że Elizabeth płacze. - Och, na miłość boską - powiedział znużonym głosem. Próbowwała wciągnąć skarpetki. -Nie... nie nałożyłem jeszcze opatrunku. - Przeciął pokój i chwycił ją za rękę. Dziewczyna miała zaczerwienioną twarz i ciekło jej z nosa. - Przepraszam - mruknął. - Zrozum, Lizzie... Chryste... nie chciałem... to był okropny dzień.

Pochlipywania zmieniły się w tłumiony płacz. Oliver pomyślał, że szlocha jak małe dziecko... niepowstrzymanie i nie przejmując się swoim wyglądem. Ponieważ nie mógł znieść ani owego nieutulonego żalu, ani borykania się skrwawionych palców Elizabeth z dziurawą skarpetką, przyciągnął dziewczynę do siebie i mrużąc, głaskał ją po plecach i włosach.

- Przepraszam. To świństwo z mojej strony. Nie chciałem. Jesteś wspaniałą, miłą dziewczyną, Lizzie, naprawdę. Nie zamierzałem sprawić ci przykrości. - Przycisnął wargi do jej czo-

ła. - No już, nie płacz. Nie zwracaj na mnie uwagi. Jestem w paskudnym nastroju. To nie ma nic wspólnego z tobą. Szloch milkł powoli. Po chwili podniosła ku niemu wzrok.

- Myślisz, że jestem głupia - mówiła, chwytając głośno powietrze. - Uważasz, że wszystko, co robię, jest naiwne...

- Nie, wcale tak nie myślę - odrzekł uspokajającym tonem. - Wcale nie, naprawdę - zapewnił, a zobaczywszy że z jej nozdrzy biegnie srebrna strużka, wyjął z kieszeni chusteczkę i przyłożył jej do nosa. - Dmuchaj.

Posłuchała go, a potem wykrzyknęła:

-1 myślisz, że jestem tylko głupią smarkulą, małą dziewczynką!

Przyciągnął ją do siebie, znowu głaszcząc po plecach. Piersi Elizabeth oparły się o jego tors. Wcale nie taką małą dziewczynką, pomyślał, nagle uświadamiając sobie pożądanie przenikające jego ciało. Ujrzał swoją matkę, nagą, w łóżku jakiegoś anonimowego, pozbawionego twarzy mężczyzny, i ruch jego ręki na plecach Elizabeth zmienił się niemal niepostrzeżenie, stając się nie czułością przyjaciela, lecz pieśczętą kochanka. Pragnął jej. Zachował wystarczający obiektywizm, by wiedzieć, że w tej chwili mógłby zapragnąć każdej kobiety i że seks zawsze działał na niego bardziej niż alkohol i tylko ostra, intensywna rozkosz pozwoliłaby mu uwolnić się od tych wszystkich myśli, którym nie chciał stawić czoła.

- Elizabeth... - wyszeptał. Podniosła ku niemu wzrok.

- Kocham cię, Oliverze - powiedziała. - Rzecz w tym, że cię kocham.

Tylko przez chwilę, patrząc w jej ciemne, ufne oczy, rozumiał, że powinien delikatnie się odsunąć i wyjść z tego pokoju, nie robiąc tego, czego tak bardzo pragnął.

Zaczął ją całować. Przez głowę przebiegła mu myśl, że nie ma znaczenia, co się teraz dzieje; że nie ma znaczenia, co on i Elizabeth Kemp robią razem, ponieważ za Elizabeth stały ten dom, ta ziemia i ta przyszłość.

## *Rozdział piętnasty*

Wakacje zaczęły się źle już od pierwszego dnia. Myśląc o tym, by oszczędzić Ralphowi zmęczenia podróżą pociągiem i promem, Faith zarezerwowała bilety na samolot do Paryża. Ojciec zaś zrzędził nieprzerwanie przez cały czas.

- Okropieństwo. Siedzenie niczym w puszcze sardynek. Ten przeklęty lot kończy się tak szybko, że człowiek nawet nie poczuje, że gdzieś się wybrał.

W Paryżu zarezerwowała im - co było wyjątkową i wyjątkowo kosztowną przyjemnością - pokoje w hotelu Crillon. Ralph go nie znosił. Po dwóch dniach, gdy nieustannie narzekał zarówno na personel („płaszczące się pacholki”), jak i na jedzenie („Strasznie długo to trwa, Faith. Nie znoszę jedzenia, które jest tak strasznie długo przygotowywane”), wręcz cieszyła się z wyjazdu.

Pomagała ojcu przewrócić do góry nogami cały pokój w poszukiwaniu brakującej rękawiczki.

- Kupię ci nową parę, tato - błagała, co i raz rzucając okiem na zegarek. - Spóźnimy się na pociąg.

- Całkiem nowe rękawiczki. Nie mogę tak po prostu wyrzucić całkiem nowych rękawiczek. Nie denerwuj się, Faith. Jeśli spóźnimy się na ten pociąg, to przecież będą inne, nieprawdaż?

- Ale mamy zarezerwowane miejsca! - jęknęła. - W wagonie pierwszej klasy!

- Pierwsza klasa? Po co, u licha, to zrobiłaś? Znacznie ciekawsze rozmowy toczą się w drugiej, zawsze ci to mówiłem. - Rzucił jej wściekle spojrzenie. - A zresztą, dokąd my właściwie jedziemy?

- Mówiłam ci, tato, że jedziemy do Bordeaux. A we wtorek udamy się do Nicei i spędzimy tam trzy dni, w następną środę

pojedziemy do Marsylii, później na cztery noce zatrzymamy się u Nicole, a potem...

- Nie chcę jechać do Bordeaux. Kiedyś okropnie nędznie wiodło mi się w Bordeaux... Poppy i ja prowadziliśmy tam bar, pamiętasz, Faith?... W latach dwudziestych... Wolę jechać do Bretanii - powiedział, wciskając się za oparcie fotela, po czym z triumfem wynurzył się stamtąd z rękawiczką w dłoni. - Nigdy nie widziałem tych olbrzymich kamieni w Carnac, a zawsze chciałem je zobaczyć.

- Papo... - odezwała się słabym głosem Faith, czując, że żołądek zaczyna jej się zaciskać w węzeł, co zdarzało się dość często, gdy rozmawiała z ojcem. - Papo, nie możemy pojechać do Bretanii. Zaplanowałam całą naszą podróż, hotele, wszystko...

- Nie można planować wszystkiego! - ryknął. - Jakąż ma się przyjemność z życia, gdy wszystko w nim jest zaplanowane?

- Tato...

- Najlepsze w życiu jest zawsze to, co zaskakujące! Nie wiesz tego, Faith?

Pojechali więc do Bretanii. Podróżowali zgnieceni w zatłoczonym wagonie drugiej klasy z jakimś proboszczem, zakonnica, robotnikami rolnymi i dziećmi ze szkoły. Z proboszczem i zakonnica Ralph dyskutował o religii, a robotnikom rolnym wyjaśniał tajniki systemu irygacyjnego, jaki miał w swoim warzywniku. W połowie podróży wyjął z kieszeni fotografię i pokazał ją wszystkim pasażerom.

- To mój syn, Jake. Chłopak jest teraz gdzieś w świecie... Zastanawiam się, czy może spotkaliście go kiedyś?

Okulary chwiały się na nosach towarzyszy podróży, a głowy pochylały z uwagą nad zdjęciem. Faith zagryzła wargi i spoglądała przez okno.

W Huelgoat spacerowali wokół jeziora i zjedli *tarte aux prunes* w jakiejś *patisserie* w miasteczku. W Roscoff wędrowali wzdłuż wybrzeża, przyglądając się rybackim kutrom na szarym wzburzonym morzu. W Carnac Ralph chodził między długimi rzędami ogromnych megalitów, zatrzymując się od czasu do czasu, by dotknąć dłonią któregoś kamienia, będącego w jego oczach cudem.

Nocowali w małych pensjonatach, podróżując autobusami i pociągami. Pewnego dnia, gdy pogoda była piękna, Ralph uparł się, żeby wypożyczyć rowery. Z bijącym sercem Faith pe-

dalowała wściekle, próbując dogonić ojca, który rzucił się nieustraszenie między samochody. Na zegarek spoglądała coraz rzadziej i nie wiedziała, jaki jest dzień tygodnia. W Quimper kupiła w antykwariacie koronki oraz fajanse malowane czerwienią, błękitem i złotem, a w jakimś składzie starzyzny znalazła kupon brokatu, kilka par pożółkłych jedwabnych pończoch i zwinięte, wytarte na brzegach, stare kawiarniane plakaty, reklamujące przedwojennych piosenkarzy i tancerzy.

Ktoś jej powiedział o średniowiecznym krytym targowisku w Vannes, więc spokojnym krokiem udali się tam wzdłuż wybrzeża i wędrowali wąskimi starymi uliczkami miasta. Stragany przypominały jaskinie pełne skarbów. Faith zapomniała o Ralphie i „Błękicie Nieba”, a nawet o swym tajemniczym prześladowcy, nękającym ją pogrozkami przez telefon. Szperając w dziurawych swetrach i staroświeckich wystrzępionych gorsetach, wydobyła na światło dzienne śliwkową wieczorową suknię na ramiączkach i wiktoriańską koronkową halkę, więc kiedy sięgnęła jeszcze głębiej w stos starych strojów, serce biło jej jak młotem. W końcu, wyciągnąwszy swoją zdobycz, w napięciu szukała metki. Potem zapłaciła sprzedawcy i osłaniając oczy przed blaskiem, wyszła na słońce. Ralph siedział przy wystawionym na ulicę stoliku jakiejś kawiarenki.

- Co za odkrycie, tato! - zawołała, a samochody zatrzymały się z piskiem opon, gdy przebiegała przez ulicę. - To projekt Paula Poireta... zainspirowany przez Léona Baksta... i jego balet... - Z podniecenia ledwie mogła mówić.

Ojciec zmrużył oczy.

- Widziałem jego „Szeherezadę” w Paryżu... w roku 1910... a może 1911...

Usiadła i starannie rozłożyła suknię.

- Spójrz, tato, jakie cudowne kolory. Och, wiem, że teraz ta suknia niezbyt dobrze się prezentuje, ale to dlatego, że pokrywają ją warstwy brudu. Kiedy ją wypiorę...

- Czyż nie mówiłem ci, Faith, że w Bretanii będziemy się dobrze bawić? - odezwał się z zadowoleniem Ralph. - A patron właśnie mi powiedział, że zdaje mu się, iż spotkał Jake'a... kilka lat temu, więc chłopak mógł mieć wtedy inne włosy, dłuższe... i wyglądał na starszego... i może nie był taki wysoki, ale to oczywiście niezbyt dobra fotografia. To bardzo nieaktualne zdjęcie. Ja mogę wyobrazić sobie Jake'a przejeź-

dającego tędy, a ty? Wspaniałe wieści - mówiąc to, z uśmiechem wsypał trzy łyżeczki cukru do maleńkiej filiżanki kawy - wspaniałe wieści..

Oliver pomyślał, że wytrzyma jeszcze do końca letniego semestru, a potem powie rodzicom, że rzuca medycynę. Nie zdecydował jeszcze, czy nie bacząc na własne uczucia, obleje egzaminy tak efektownie, aby nie było żadnych wątpliwości, że to Edynburg z niego rezygnuje, czy też zda je jak najlepiej i powie, że sam opuszcza akademię, oszczędzając sobie upokorzenia, jakie czułby wtedy, gdyby myśleli, że po prostu nie był dość dobry.

Zanim jeszcze wrócił do Edynburga, Elizabeth sugerowała, że po prostu powinien powiedzieć im prawdę. Łatwo jej radzić, myślał później, siedząc w pociągu i spoglądając przez okna na pozostawiony w dali Londyn. Nigdy nie wyjawiał rodzicom prawdy; zawsze mówił to, co - jak sądził - chcieli usłyszeć. Cokolwiek postanowiłby w głębi duszy, rozwiałyby się - myślał z lękiem - w zetknięciu z bólem matki i zakłopotaniem ojca. Dotychczasowe nastawienie Olivera - emocje zawsze skłaniały go do opowiadania się raczej po stronie matki niż ojca - zmieniło się od chwili, gdy zaczął się zastanawiać, czy jego matka ma romans. Jednak pewność, jaką czuł owego strasznego dnia w Londynie, teraz zniknęła i w końcu sam zadawał sobie pytanie, czy przypadkiem nie dokonał błędnej interpretacji jakiejś całkiem niewinnej rozmowy.

Przytłoczony podejrzeniami, wrócił na uczelnię wcześniej, twierdząc, że musi się uczyć, ale w Edynburgu jego problemy okazały się równie przygniatające. Cóż, u licha, myślał z rozpaczą, miałby robić porzuciwszy medycynę? Perspektywa mieszkania w domu rodzinnym zatrzażała go, a każda przyzwoita kariera życiowa zdawała się wymagać albo kapitału, albo wieloletnich studiów bądź też jednego i drugiego. Dostęp do spadku uzależniony był od tego, czy zostanie lekarzem, a żadnych innych własnych pieniędzy Oliver nie posiadał.

Ów brak perspektyw wprawiał go w irytację. Na miłość boską, Oliverze, masz dziewiętnaście lat, mówił do siebie, a wciąż się martwisz o tobie mamusia i tatuś. Pragnął, by wydarzyło coś dramatycznego, wręcz katastrofalnego; coś, co podjęłoby za niego decyzję. Chodząc z sali wykładowej do pen-

sjonatu, w którym mieszkał, a z pensjonatu do szpitala, wyobrażał sobie trzęsienie ziemi burzące eleganckie ulice Edynburga i trąbę powietrzną pędzącą przez przeładowane pokoje londyńskiego domu przy Holland Square.

Katastrofa, gdy naprawdę nadeszła, okazała się kataklizmem o zupełnie innym charakterze.

Oliver leżał na łóżku w swoim pokoju, czytając „W drodze” Kerouaca i marząc, by mieszkać w Ameryce (albo w Kanadzie lub w Australii; gdziekolwiek, byle nie w tym cholernym Edynburgu), gdy do drzwi zapukała gospodyni, wołając, że jest do niego telefon. Schował książkę pod poduszkę i zbiegł na dół.

Telefon stał w holu; była to najbardziej niewygodna część domu, gdzie zostawiano kalosze i mokre płaszcze i gdzie nieustannie ktoś przechodził.

Podniósł słuchawkę.

- Halo?

- Oliver? Mówi Elizabeth.

Od czasu gdy wrócił do Edynburga, napisała do niego kilka długich listów, których namiętna treść wydawała się sprzeczna z okrągłym, pensjonarskim charakterem pisma. Jego odpowiedzi były bardziej powściągliwe; pisząc, zawsze wyobrażał sobie czyjś spoglądający przez ramię wzrok, co prawdopodobnie było pozostałością ze szkoły z internatem.

- Lizzie? - odezwał się ze zdumieniem. - Nie wiedziałem że znasz numer mojego telefonu.

- Zapytałam w informacji - wyjaśniła i zawiesiła głos, a potem zaczęła mówić: - Chodzi o to, Oliverze, że...

Coś w jej tonie sprawiło, że poczuł się niespokojny. Właścicielka pensjonatu kręciła się po korytarzu i Oliver odwrócił się do niej plecami.

- Lizzie? Dobrze się czujesz? - Ściszył głos. - Gdzie jesteś?

- W domu. Tatuś wyszedł na spacer, a ja powiedziałam, że boli mnie głowa.

Znów zamilkła. Frontowe drzwi otworzyły się i do domu weszli dwaj koledzy, śmiejąc się i gawędząc. Oliver spojrzał na nich.

- Oliverze, jesteś tam jeszcze? - Głos Elizabeth wydawał się teraz bardzo daleki. - Chodzi o to... - zaczęła jeszcze raz. - Jest pewien problem...

Pani Phelps-Browne była tego dnia ostatnią pacjentką Guya. Pożegnawszy się, zamknął za nią drzwi i przejrzał plan wizyt. Miał wolny wieczór, mógł więc pójść do domu. Cieszył się na myśl o kanapce z serem zjedzonej przy kominku (Eleanor, zajęta działalnością charytatywną, ostatnio rzadko jadła z nim kolacje), dobrej książce i wczesnym śnie. Dobry Boże, pomyślał, zamykając drzwi gabinetu, zachowuję się jak mężczyzna w średnim wieku - po czym wyszedł na Cheviot Street, a przygnębienie unosiło się nad nim niczym mroczny ptak.

Gdy jednak dotarł na Holland Square, wszystkie nadzieje na spokój, ciszę i wczesne pójście spać się rozwiały. W salonie siedzieli razem Oliver i Eleanor.

- Oliver... - powiedział Guy, na co syn wstał, trzymając ręce w kieszeniach sportowej marynarki, zrobił kilka kroków w jego stronę, a potem się cofnął. - Oliverze, miło cię widzieć... ale jest czerwiec... powinieneś być w Edynburgu... egzaminy...

- Powiedz mu. - Głos Eleanor położył kres niepewności Guya. Spojrzał na żonę. Siedziała sztywno wyprostowana na krześle, z pobladłą twarzą i mocno zacisniętymi ustami. - Powiedz mu, Oliverze - powtórzyła.

- Co ma mi powiedzieć?

- Nie będę zdawać egzaminów, tato. Guy zamrugał oczami.

- Czyżbym pomylił terminy? W ostatnim liście pisałeś... - zaczął mówić, ale nie mógł sobie przypomnieć, co Oliver pisał w ostatnim liście. Minęły bowiem tygodnie, a może nawet miesiące, od czasu gdy syn napisał ostatni list do domu.

- Nie zamierzam wracać do Edynburga.

Widząc bladość na twarzy chłopca, Guy zaczął pojmować, co mówi syn. Musiał usiąść, gdyż serce waliło mu nieznośnie.

- Cóż za nedorzecznosc - oświadczyła z gniewem Eleanor. - Powiedz mu, Guy, że mówi głupstwa.

Oliver unikał wzroku matki.

- To nie jest nedorzecznosc. Nie zamierzam wracać na studia medyczne. Powiedziałem już o tym swojemu opiekunowi.

Guy usłyszał te słowa, choć nie dotarły do niego natychmiast. Brzmiały prawie tak, jak wiadomość o nagłej śmierci. Oto śmierć jego nadziei; zawsze sądził, że syn pójdzie w jego ślady. To, że Oliver zostanie lekarzem, jak obydwaj jego dziadkowie i sam Guy, nigdy nie budziło żadnych wątpliwości. Była



to jedyna rzecz, co do której on i Eleanor zawsze się zgadzali. Teraz, patrząc na syna, Guy czuł się tak, jakby chodził po linie: jedno niewłaściwe posunięcie, a wszystko zmieni się nie do poznania.

- Usiądź, proszę, Oliverze. Porozmawiajmy.

Chłopak usiadł, spoglądając na nich oboje upartym wzrokiem.

- Rzucam medycynę, to wszystko. Nienawidzę jej, zawsze jej nienawidziłem.

Pewna niedbałość w jego tonie była obliczona na zirytowanie rodziców, jak przypuszczał Guy.

- Czy ty to słyszysz? - zawołała Eleanor. - Czemu tak spokojnie siedzisz, Guy? Dlaczego mu nie powiesz, że jest śmieszny? - ciągnęła, po czym zwróciła się do syna: - Nie wolno ci mówić takich rzeczy, Oliverze. Zawsze chciałeś być lekarzem.

Niebieskie oczy chłopca rozszerzyły się nagle.

- To wy zawsze chcieliście, żebym był lekarzem. Powiedziałem wam, że tego nienawidzę. Tego brudu... zapachów... tego cierpienia...

Guy pomyślał, że go rozumie. Sam także miał kiedyś podobne odczucia. Przeszedł przez pokój i usiadł na sofie obok syna.

- Wszyscy studenci medycyny miewają czasami takie wątpliwości, Oliverze - zauważył łagodnie. - Ja także je miałem.

- W twoich ustach brzmi to niczym jakaś cholerna religia, tato. Oto chwilowa utrata wiary... - Głos chłopca ociekał sarkazmem.

- Pamiętam swoją pierwszą operację wycięcia migdałków... omal nie umarłem. - Guy lekko położył rękę na sztywnym ramieniu syna. - Co się zaś tyczy ludzkiego cierpienia... istotnie, to jest najgorsze ze wszystkiego. Jednak przecież chodzi właśnie o to, aby pomagać cierpiącym ludziom, czyż nie? To jest ów przywilej, który zdobędziesz, jeśli wytrzymasz. Możliwość spełnienia marzeń... by czynić dobro, by przynosić ulgę w cierpieniu...

- Tak jak ty, prawda? - Oliver, podnosząc wzrok, uśmiechnął się nieprzyjemnie, i ręka Guya ześlizgnęła się z jego ramienia. - „Czynić dobro... przynosić ulgę w cierpieniu"... cóż za moralizatorskie gadanie. I ty mówisz o ideałach, dobry Boże, jakie to bzdury! - Lekceważący uśmiech nie schodził z je-

go ust. - Spójrz na siebie, tato. Gdzie twoje ideały? Czymże innym jest dla ciebie medycyna niż tylko możliwością powiększania własnego konta bankowego?

Guy nigdy dotąd nie uderzył syna, ale stwierdził, że teraz ma ochotę to zrobić.

- Nie mów do mnie w ten sposób, Oliverze. Nie masz racji - powiedział, z trudem panując nad sobą, ale nawet jemu własny głos wydawał się pompatyczny i nieprzekonywający.

Starając się powściągnąć gniew, podszedł do okna i popatrzył przez szybę. Niebo wciąż było jeszcze jasne i tylko kłębiaste liliowe chmury plamiły horyzont. „Czymże innym jest dla ciebie medycyna niż tylko możliwością powiększania własnego konta bankowego?” Guy zacisnął pięści.

- A w jaki sposób poradzisz sobie z pieniędzmi? - zapytał, odwrócony plecami do syna. - Twoje dochody uzależnione są od tego, czy pozostaniesz na studiach medycznych. A może oczekujesz, że będę cię utrzymywał?

- Nie ma potrzeby, tato. Będzie mi dobrze - odrzekł Oliver, a w jego głosie zabrzmiał ton, który kazał Guyowi się odwrócić i spojrzeć na chłopaka. - Widzisz, zamierzam się ożenić - dodał z uśmiechem.

Guy usłyszał jęk zaszokowanej Eleanor. On sam mógł tylko powtórzyć słabym głosem ostatnie słowo syna.

- Ożenić?!

- Tak, tato.

- Nie możesz... to nie wchodzi w rachubę... nie możesz się ożenić. - Protesty Eleanor wystrzeliły niczym bezładna seria z karabinu maszynowego.

Guy znów był bliski wybuchu.

- Ach więc w istocie o to chodzi? Wmówiłeś sobie, że kochasz jakąś dziewczynę, i zamierzasz rzucić obiecującą karierę z tego powodu? Wielki Boże, Oliverze, myślałem, że masz trochę więcej rozumu. Zastanów się, człowieku! Bądź praktyczny! Mogą minąć lata, zanim staniesz się finansowo niezależny.

- Lizzie jest dziedziczką wielkiego majątku, więc nie będę musiał się martwić o pieniądze. Dobrze, nie? - Oczy Olivera zabłysły. - Nie będę cię już więcej potrzebował, tato. Nie będę musiał się płaszczyć przed tobą, gdy uznam, że potrzebny mi nowy garnitur, albo kiedy przyjdzie mi ochota wyjechać na tydzień lub dwa z tego domu. Stanę się wolny! - Podszedł do kre-

densu, wyjął butelkę sherry, napełnił trzy kieliszki i jeden postawił przed matką. - Nie jesteście zadowoleni? Nie zamierzacie mi pogratulować?

- Gratuluję! - Eleanor odsunęła kieliszek. - Skoro zamierzasz łamać sobie życie z powodu jakiejś dziwki...

Guy zobaczył nagły błysk gniewu w oczach syna.

- Chcesz powiedzieć, że zamierzasz się zaręczyć? - zapytał szybko, przyjmując kieliszek, który syn wyciągał w jego stronę, ponieważ inne zachowanie byłoby bezsensowne i dziecinne. - To całkiem inna sprawa. Nie mamy żadnych obiekcji przeciwko zaręczynom, prawda Eleanor? - Wczesne zaręczyny, pomyślał, i związana z tym odpowiedzialność, mogłyby skłonić Olivera do zmiany decyzji.

- Chcę się ożenić, tato - odpowiedział chłodno syn. - Żenię się.

Guy rozpoznał w wyrazie twarzy Olivera tę samą determinację i upór, którymi tak często pokonywała go żona.

- Jak długo znasz... jak ona się nazywa...?

- Lizzie - odrzekł. - Lizzie Kemp.

Oliver mówił dalej (naprawdę ma na imię Elizabeth; Elizabeth Anne Kemp... dość arystokratycznie, nie sądzisz, tato?), ale Guy ledwie go słyszał. Jakiś rytmiczny miarowy dźwięk wypełnił pokój i dopiero po paru chwilach doktor Neville zrozumiał, że wciąż ścisza w dłoni kieliszek i uderza nim o parapet okienny. Kiedy spojrział na żonę, zobaczył, że z jej twarzy zniknęła resztkę kolorów. Eleanor była wręcz biała, zamarła z na wpół otwartymi ustami, jakby oświadczenie syna dosłownie pozbawiło ją zdolności mówienia. We wszystkich trudnych latach ich małżeństwa ani razu nie zdarzyło jej się coś takiego, pomyślał ze zdumieniem Guy, on sam nigdy nie zmusił żony do takiego milczenia.

Oliver zająknął się w połowie monologu i spoglądał to na ojca, to na matkę.

- Co się stało? O co chodzi? Co ja takiego powiedziałem?

- Twoja... twoja narzeczona! Oliverze, ma na imię... nazywa się...

- Lizzie. - Wydawał się oszołomiony.

Eleanor wpatrywała się w Guya tak, jakby bezgłośnie błagała go, by upewnić ją, że ten najgorszy z koszmarów nie wydarzył się naprawdę.

- Lizzie... jak, Oliverze?

- Lizzie Kemp - powtórzył gniewnie. - Dlaczego, u licha, patrzycie na mnie w taki sposób?

- A jej ojciec...?

- Pracuje w Londynie. Absolutnie uczciwy i godny szacunku. - Oliver próbował odzyskać kontenans. - Bajeczna wiejska rezydencja, tato. Cholernie wielka. A Lizzie jest jedynaczką.

- To David Kemp?

Syn skinął głową. Jęk Eleanor niemal zagłuszył dalsze słowa syna.

- Znasz go, tato? Poznałeś go w klubie golfowym czy w jakimś innym miejscu? Ja jeszcze nie miałem tej przyjemności. Zdaje się, że rok czy dwa lata temu otrzymał tytuł szlachecki, więc teraz jest sir Davidem Kempem, ale...

Eleanor uniosła kieliszek, szybko przełknęła sherry i zaczęła mówić:

- On chce poślubić córkę Nicole Mulgrave - odezwała się najpierw cicho i dziwnie obojętnie, niemal niesłyszalnie, a potem jej głos nabrał wysokiego, ostrego brzmienia. - Nie możesz ożenić się z tą dziewczyną! Nie możesz właśnie jej poślubić!

- Ożenię się, z kim zechcę! - odpowiedział z furią zaszokowany Oliver.

Eleanor jak gdyby nieco się opanowała. Trochę niepewnie przeszła przez salon, kierując się w stronę syna.

- Oliverze, masz dziewiętnaście lat. A ta dziewczyna... ta dziewczyna ma...

- Siedemnaście.

Guy mógłby sam sobie z tym poradzić, lecz jego umysł był wprost sparaliżowany na skutek doznanego szoku. Oczy Eleanor zabłyśły triumfem.

- Dopóki nie ukończysz dwudziestu jeden lat, Oliverze, musisz mieć naszą zgodę na zawarcie małżeństwa. A my ci jej nie damy!

Twarz chłopca stężała.

- Dacie, mamó. Dacie. Wierz mi, że dacie. Dacie mi też swoje błogosławieństwo. Podobnie jak uczyni to ojciec Lizzie.

Guy, patrząc na swego syna, wyczuł w nim tłumioną z wysiłkiem gwałtowność i determinację.

- Nigdy - wyszeptwała Eleanor. - Nigdy!

- Ależ, udzielisz mi go, mamó, bo, zrozumię, ja muszę poślubić Lizzie. - Oliver uśmiechnął się lekko. - Widzisz... ona jest w ciąży.

Zapadła cisza, a potem Eleanor zwróciła się do Guya.

- Przypuszczam - powiedziała drżącym głosem - Przypuszczam, że wydaje ci się to zabawne?

- Ani trochę - odrzekł zbyt zaszokowany, by dodać: „Jestem równie przerażony jak ty”, czy kilka innych frazesów tej samej treści, ale zobaczył, że żona wcale go nie słucha.

- Przypuszczam, że sądzisz - mówiła dalej - iż zasługuję na to z powodu Freddiego...

Nie wiedział, o kim ona mówi; nie przypominał sobie teraz nikogo o imieniu Freddie. Jej oczy wydawały się niemal wychodzić z orbit.

- Usiądź, proszę, Eleanor - powiedział. - Przyniosę ci szklankę wody. Wiem, że to okropny szok... - tłumaczył łagodnie, ale żona chwyciła go za rękaw, zatrzymując w miejscu.

- To jakaś pomyłka, prawda, Guy? Powiedz mi, że to jakaś pomyłka.

Nie mógł mówić, potrząsnął tylko głową. Palce Eleanor wbiły się w rękaw jego marynarki.

- Nie - powiedziała głośno. - Nie, ja na to nie pozwolę. Nie pozwolę, by mój syn ożenił się z córką tej kobiety.

- Eleanor - odrzekł Guy znużonym głosem. - Elizabeth spodziewa się dziecka Olivera. Jest już za późno. Nic nie możemy zrobić.

Uderzyła go nienawiść w oczach żony.

- Zwyciężyli, nieprawdaż? - wysyczała mu w oszołomioną twarz. - Mulgrave'owie. Po tylu latach... oni zwyciężyli.

- Eleanor...

- Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam... po tym wszystkim, co zrobiłam dla Olivera... życie towarzyskie... ten dom... twoja kariera... zawsze wypełniałam swoje obowiązki... zawsze robiłam to, co należało. - Oczy jej płonęły, a głos wznosił się na najwyższe tony. - A jednak teraz będziemy musieli żyć w ich świecie. Te niechlujne stroje... ten brak manier... Dzisiaj musiałam stać w metrze... nikt nie ustąpił mi miejsca. A ci sprzedawcy... służące... - z trudem łapała powietrze - nieporządne i niestarsanne... żadnego „proszę” ani „dziękuję”... wszędzie plugawy język... - Słowa Eleanor zlewały się razem, ale z tej

plataniny dobiegł go jej krzyk. - Mój syn i jej córka! Suka... łatwa, przebiegła mała suka! Jak jej matka! Jak ta suka, Faith! Dziwki rozkładające nogi przed każdym mężczyzną, który im się spodobał! Dobry Boże! Żałuję, że kiedykolwiek je zobaczyliśmy! - zawołała, a wtedy Guy mocno, otwartą dłonią uderzył ją w twarz.

Usłyszał dźwięk otwieranych drzwi i odgłos szybkich kroków Olivera na schodach. Żona gapiała się na niego, a jej otwarte usta przypominały szerokie, ciemne zero. Potem, z białą twarzą splamioną czerwienią wokół warg, osunęła się na sofę i zaczęła płakać.

Guy zaś wybiegł z domu w poszukiwaniu syna.

Znalazł Olivera na ławce w zakurzonych wawrzynach naprzeciwko domu. Chłopak pochylił głowę, ściskając rękami czoło. Na dźwięk swego imienia podniósł oczy i wtedy Guy zobaczył, jaki jest blady.

- Mama już wkrótce dojdzie do siebie - powiedział z pewnością, której sam nie miał. - To tylko szok.

Syn pochylił ramiona, wsunął ręce do kieszeni marynarki i odwrócił wzrok. Guy usiadł obok niego na ławce.

- Musimy porozmawiać, Oliverze. Musimy naprawdę porozmawiać.

- Już dość rozmawialiśmy, czyż nie? Mama nie chce, żebym ożenił się z Lizzie, a ja jestem cholernie zadowolony, że to zrobię, i to wszystko.

- Muszę ci opowiedzieć o rodzinie państwa Mulgrave'ow - powiedział Guy. Zobaczył, że buntownicza przekora Olivera trochę opadła, i wiedział, że przyciągnął jego uwagę. - Widzisz, mama nie chce, byś ożenił się z Elizabeth Kemp, ponieważ wiele lat temu ja miałem romans z jej matką, Nicole Mulgrave.

Teraz wydawało się to nieprawdopodobne. Opowiadając Oliverowi o sobie z tamtych lat, Guy czuł się tak, jakby mówił o jakimś innym człowieku, mieszkającym gdzieś w dalekim kraju. Chociaż wyraźnie pamiętał szczegóły owego romansu - obraz Nicole i pomyłkę, gdy wziął ją za Faith, a nawet śnieg ukrywający wojenne zniszczenia Londynu - to stwierdził, iż ledwie pamięta, jak się wtedy czuł.

Zapadła długa cisza.

- Boże! To raczej drastyczne metody zapobiegawcze, tato -odezwał się w końcu Oliver; na jego wargach igrał lekko ironiczny uśmiech.

- To prawda. Jak już powiedziałem, było to dawno. Ty miałeś wtedy zaledwie dwa lata, a Elizabeth była niemowlęciem.

- Ach tak. Zatem przynajmniej nie jesteście rodzeństwem. Nie jest to więc kazirodztwo. - Chłopak zamrugał oczami. - To byłby jedyny sposób, aby odwieść mnie od tego zamiaru, nieprawdaż? Poniekąd częsty w literaturze, ale...

- Oliverze... - Guy chciał go dotknąć, ale wyczuł kruchość syna i jego ledwie hamowane emocje. - Jak ją poznałeś, Oliverze? Gdzie poznałeś Lizzie Kemp?

- W „Błękit Nieba” - odpowiedział po chwili milczenia. - Ciocia Lizzie ma w Soho sklep o tej nazwie. Właśnie tam ją poznałem.

- „Błękit Nieba”... - wyszeptał Guy.

Wielki Boże, „Błękit Nieba”... Pieczęć przeszłości została zerwana.

Oliver przyglądał mu się ze zmarszczonymi brwiami.

- Wizytówka tego sklepu... przed laty znalazłem ją w twoim portfelu... sądziłem, że coś tam kupiłeś. - Przerwał, a potem odezwał się nagle: - Faith. Co jeszcze mama mówiła... Mulgrave'owie... dziwki... żałuję... Znasz również Faith, prawda, tato?

Istniały pewne granice prawdy, jaką można było wyznaczyć w ciągu jednego popołudnia. Czy powinien mu odpowiedzieć: „W istocie, Oliverze, miałem również romans z Faith...”?

- Znałem wszystkich Mulgrave'ów. Ralpa i Poppy... Poppy zginęła w czasie wojny. Znałem też ich dzieci: Faith, Jake'a i Nicole. - Zrobił głęboki oddech. - Nicole Mulgrave... Nicole Kemp... Miałem z nią romans, który zaczął się w grudniu 1941 roku. Mógłbym podać ci powody, usprawiedliwienia, wymówki, ale nie sądzę, abyś był tym zainteresowany. Nicole porzuciła męża oraz córeczkę i zamieszkała ze mną. Ten romans nie trwał długo, a potem wróciłem do mamy, Nicole zaś wyjechała za granicę. Zdaje się, że od tamtej chwili kilkakrotnie wychodziła za mąż - wyjaśnił, a potem dodał, próbując być uczciwym: - Możesz więc zrozumieć, dlaczego mamie trudno zaakceptować twój związek.

- Tak, dobry Boże, tak! - W śmiechu syna nie było słychać wesołości.

Wspomnienie hysterii żony, słów gniewu i goryczy, które wyrwały się z jej ust, przyprawiało Guya o mdłości. Wciąż słyszał dźwięk, z jakim jego ręka uderzyła w jej pobladałą twarz; palce nadal go parzyły. Z bólem myślał o tym, że Oliver był świadkiem owego wydarzenia. \_

- Gdybyś nas o tym uprzedził, prawdopodobnie... - ciągnął z rozpaczą. - Gdybyśmy cokolwiek wiedzieli o tym, że kogoś poznałeś... że się w kimś zakochałeś - mówił, widząc teraz ze straszną wyrazistością przepaść, jaka przez kilka minionych lat wytworzyła się między nim a synem. Miał poczucie głębokiego wstydu i bólu.

- Nie chciałem, by tak się stało - wymamrotał Oliver - Nie zaplanowałem tego... .

- I studia medyczne. Dlaczego mi nie powiedziałeś, że nie jesteś zadowolony?

- Nie wiem - odmruknął, wzruszając ramionami. - Chyba nie wiedziałem, jak to zrobić.

- Nie potrafiłeś mi się zwierzyć? - Guy nie zdołał opanować bólu w głosie.

- Przypuszczam, że popadłem w pewnego rodzaju nawyk - wyjaśniał wolno z grymasem na twarzy Oliver. - Myślałem, że wszystko musi pozostać tak samo. Czasami zapomina się, że można coś zmienić czy też poprawić.

Ukrywał przed nimi większą część swego życia, pomyślał Guy. Ale on sam także zataił najważniejsze wspomnienia, lęki i rozczarowania przed synem.

Z trudem mógł zrozumieć nową sytuację.

- Tak więc jesteś... Znasz Faith?

Skinienie głowy. . .

- Jak on się miewa? Jak się miewa Faith? - musiał wiedzieć.

- Doskonale. Myślę, że bardzo dobrze. - A Jake?

Guy był spragniony wiadomości. Rodzina Mulgrave ow znaczyła dla niego tak wiele; zrozumiał to teraz, choć minęło przeszło pięć lat od chwili, gdy w tak dramatycznych okolicznościach pozbawił się części samego siebie.

- Jake był wujkiem Lizzie, prawda? On nie żyje. Powiedziała mi, że się utopił - powiedział Oliver. Widząc, jak zmienił się wyraz twarzy ojca, pierwszy raz współczuł Guyowi. - Przykro



mi, tato. Nie chciałem sprawić ci przykrości. Bardzo go lubiłeś?

- Bardzo. - Guy prawie nie mógł mówić.

- Muszę iść. Jestem spóźniony, Lizzie na mnie czeka -oznajmił syn, po czym ponownie spojrzął na ojca i nieśmiało położył rękę na jego zaciśniętych palcach.

- Dobrze się czujesz, tato?

Zmusił się do uśmiechu i skinął głową, ale w istocie czuł się pusty, wypalony i pozbawiony nadziei. Patrząc na odchodzącego Olivera, zrozumiał, że stracił syna, tak jak wcześniej Faith, Jake'a i Nicole. Jeśli nawet podczas rozmowy, która właśnie się skończyła, stworzyli początki pojednania, to i tak przyszło ono za późno. Niebawem Oliver będzie żonatym mężczyzną mającym własne dziecko, on i Eleanor zaś przestaną już być pierwszymi i najważniejszymi obiektami uczuć syna. Guy siedział na zakurzonej skwerku, dopóki słońce nie zaszło, a potem, nie mogąc wymyślić nic innego, wrócił do domu.

Oliver udał się, tak jak zamierzał, do kawiarni „Black Cat”. Jako że nie znosił metra (mrok i duchota), więc szedł z rękami w kieszeniach i opuszczoną głową, przedzierając się przez zatłoczone ulice.

Siedziała przy tym samym co zwykle stoliku w dolnej sali. Wiedział, że czekała już długo: rogalik z serem zamieniony w stertę okruszków piętrzył się przed nią na stoliku zastawionym filiżankami zimnej kawy pokrytej przyprawiającymi o mdłości kożuszkami mleka. Uniosła głowę, kiedy chłopak przechodził przez salę.

- Było okropnie? - zapytała, spoglądając na Olivera, gdy usiadł na stojącym naprzeciwko krześle.

- Dość paskudnie. - Próbował się uśmiechnąć, ale usta miał zeszywniałe.

Wyciągnęła rękę, by dotknąć jego dłoni, lecz się odsunął.

- Papierosa - powiedział. - Masz papierosa, Lizzie? Potrząsnęła przecząco głową. Jej oczy były ogromne i ciemne.

- Przyniosę ci kilka - zaproponowała.

Odeszła od stolika i po chwili wróciła z papierosami i pudełkiem zapalek. Oliver niezdarnie rozerwał celofan i papierosy wysypały się niczym szpilki. Jeden udało mu się umieścić w ustach, po czym nastąpiła upokarzająca walka, gdy próbował zapalić zapalną.

- Cholera - mruknął, łamiąc pierwszą. - Cholera. Niech to szlag! Cholera - powtarzał, gdy garść zapalek wypadła mu na kolana. Słyszał, że głos podnosi mu się wysoko. „Pozwól, Olive-rze”, powiedziała, ale on wstał, przewracając krzesło. Wiedział, że ludzie gapią się na niego. - Muszę stąd wyjść - mruknął i wbiegł na schody.

Na zewnątrz samochody trąbiły na niego, gdy przebiegał przez ulicę. Dotarłszy do nabrzeża, oparł się łokciami na murku, i położył głowę na rękach.

- Przepraszam - powiedział, czując, że Elizabeth głaszcze go po włosach. - Sądziłem, że czuję się już dobrze.

- To nieważne, co oni myślą - powiedziała łagodnie. - My mamy przecież siebie, prawda?

Podniósł głowę, odwrócił się i spojrzał na dziewczynę. Lizzie miała pod oczami głębokie cienie, a jej twarz wydawała się jeszcze drobniejsza.

- Mama nie zapalała zbytnim entuzjazmem do tego pomysłu - powiedział. - Rzecz w tym, iż jest pewna niespodziewana trudność.

Patrzyła na niego w milczeniu.

- Widzisz... twoja matka i mój ojciec...

- Moja matka i twój ojciec... co? No co, Oliverze?

- Mieli romans - oznajmił bezbarwnym głosem.

- Och!

Po chwili, gdy Lizzie nie powiedziała nic więcej, odwrócił się i spojrzał na nią.

- To wszystko? „Och”?

- Kiedy? Kiedy to było?

Umysł Olivera, pracując z obcą mu powolnością, początkowo nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Potem przypomniał sobie szczegóły przerażającej rozmowy z rodzicami.

- Gdy byłeś małym dzieckiem, w grudniu 1941 roku. Tak, przypuszczam, że to był kilkumiesięczny wojenny romans.

- Mama odeszła od tatusia w listopadzie 1941 roku.

- To ci nie przeszkadza? Zastanawiała się chwilę.

- Nie. Nie, niespecjalnie. - Jej jasnobrązowe oczy napotkały jego spojrzenie. - Widzisz, mama miała wielu mężów i kochanków. Tatuś nazywa ich „Usychającymi z miłości”. Poznałam kilku z nich. Wszyscy są oczywiście okropni i zawsze jest

jakiś nowy. Tatuś nigdy nie rozmawia ani o nich, ani o tym, co zaszło między nim a mamą, ale ciocia Faith opowiedziała mi trochę na ten temat. Mama chce znaleźć kogoś doskonałego.

- Doskonałego? - powtórzył Oliver bezdźwięcznie.

- Doskonałego dla niej. Bardzo przystojnego, oczywiście, i obdarzonego fantazją. Kogoś, kto lubi tę samą muzykę, komu podobają się te same książki i...

- Jakież to nedorzeczne - stwierdził chłodno Oliver. - Nikt nie jest doskonały. Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Naprawdę? A ja przypuszczam, że to zależy od punktu widzenia. Jeśli wystarczająco kogoś kochasz, to związane z tą osobą rzeczy i sprawy, na które nie masz wpływu, stają się interesujące i piękne właśnie dlatego, że dotyczą tego kogoś. A zresztą mama zawsze była taka, więc się do tego przyzwyczyłam, podczas gdy ty - Elizabeth spojrzała współczująco na Olivera - myślałeś o rodzicach w pewien szczególny sposób, a teraz musisz się przyzwyczyać do postrzegania ich całkiem inaczej.

Oliver nieoczekiwanie poczuł się raczej kilka lat od niej młodszy niż o półtora roku starszy.

- O Chryste! - powiedział nagle z desperacją w głosie i usiadł na ławce, spoglądając ku rzece. - Nie przeszkadza ci, że oni dwoje? Nie razi cię, że my... że oni...?

Stała za nim, łagodnie gładząc go po włosach.

- To było dawno, Oliverze.

Miała takie kojące dłonie. Zamknął oczy.

- To nie ma nic wspólnego z nami - mówiła dalej. - Jedyne, czym się przejmuję, to to, że tatusiowi będzie bardzo przykro.

- Nie jestem pewien, czy potrafię spojrzeć mu w oczy...

- Ja porozmawiam z nim pierwsza. Nie musisz się martwić.

- Prawdopodobnie mnie zabije.

Oparła się policzkiem o czubek jego głowy.

- Prawdopodobnie chciałby cię zabić, ale tego nie zrobi, ponieważ mu powiem, jak bardzo cię kocham. I jacy będziemy szczęśliwi...

- Zastanawiam się - wyznał nagle - czy właśnie dlatego się kłócili? Dlatego, że on...?

Lizzie obeszła ławkę, usiadła mu na kolanach i objęła go za szyję.

- Jeśli zakochasz się w kimś innym, znienawidzę ich, Oliverze. I będę na ciebie okropnie wściekła.

Za miękkim ciepłem brązowych oczu dziewczyny dostrzegął stalową determinację. Patrzył na Elizabeth i pocierając czoło, mówił powoli:

- Widzisz, to jak gdyby uwalnia mnie od odpowiedzialności, prawda? Zawsze sądziłem, że nienawidzą się tak przeze mnie. Myślałem, że to moja wina.

- Och, Oliverze, biedny Oliverze! - zawołała i zaczęła go całować. - Jakże mogła to być twoja wina? Czy mogła to być wina dziecka? - Ujęła jego rękę w dłonie. - Zrozum - wyszeptwała. - Dotknij. Cokolwiek się stanie z nami, to nie może być jej wina, prawda? - Mówiąc to, wsunęła rękę Olivera pod swoją bluzkę, podkoszulek i dżinsy, aż jego dłoń spoczęła na gładkiej skórze.

Brzuch Elizabeth był jeszcze płaski, choć rosło w nim już ich dziecko.

- Czytam teraz książkę na ten temat. Za kilka tygodni będę czuć jej ruchy - wyszeptwała, a Oliver, patrząc w jej oczy ujrzał głęboką, ogromną radość.

Nicole wynajmowała dom w Marais Poitevin. Otaczała go sieć drobnych rzeczulek pełnych szmaragdowozielonego rdestu i ocienionych wierzbami. W domu były dwa psy, niezliczone koty, kanarek w klatce, wyleniała małpka i Stefan.

Nicole spotkała go w Rzymie.

- Jest pół-Polakiem i pół-Włochem. Czyż to nie najwspanialszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziałaś?

Faith przyznała, że Stefan jest bardzo przystojny.

- ...I bosko gra na fortepianie, chociaż troszeczkę nadużywa pedału. Muszę śpiewać bardzo głośno, żeby usłyszeć samą siebie - mówiła dalej Nicole, po czym wyprostowała się i pokazała, jak w nocnym klubie pełnym głosem śpiewa „Je ne regrette rien”.

Przed wyjazdem do Francji Faith obiecała, że codziennie będzie telefonować do Annie, zastępującej ją w „Błękitnie Nieba”, ale w domu Nicole nie było telefonu, więc stwierdziła, że da sobie spokój na dzień lub dwa, nie mając ochoty na wyprawę do Niort, gdzie znajdowała się budka telefoniczna. Uświadomiła sobie, że nie pamięta, kiedy ostatni raz brała urlop. Dużo spała, dużo jadła i pływała po rzece z Nicole, drzemiąc,

gdy przystojny Stefan wiosłował. Jej ulubionym zajęciem było przetrząsanie okolicznych rynków i antykwariatów.

Kiedy pewnego dnia znalazła na dnie walizki plik dokumentów z „Błękitu Nieba”, które zamierzała przejrzeć w czasie urlopu, wpatrywała się w nie przez chwilę, a później schowała z powrotem, nie mogąc znieść ich widoku. Była zaskoczona, że w ogóle nie tęskni za sklepem. Zdawała sobie sprawę, że próżnuje, a jednak sama przyłapała się na myślach o tym, czy w Londynie dadzą sobie radę bez niej przez kolejny tydzień, a może nawet dwa. Odczuwała zdumiewająco silną potrzebę podróży, dalszej wędrówki na południe. Faith zastanawiała się, czy tej niechęci do powrotu do Londynu nie spowodował ów anonimowy telefoniczny rozmówca. W głębi duszy przyznawała, że incydent ze szcurem bardzo ją zdenerwował, i od tamtej chwili nie sypiała spokojnie. Zwymyślała samą siebie za tchórzostwo i postanowiła następnego dnia zarezerwować bilety powrotne. Powinna wrócić do domu, powiedziała sobie, i zająć się sklepem. Powinna wrócić i kupić jakiś przyjemny, niewielki dom w Londynie - w sensownym, praktycznym miejscu. Jednak ilekroć każdego ranka spoglądała na słońce i wiosenne kwiaty, jej postanowienie upadało.

A potem nadeszła depesza od Davida. Informował ich, że Elizabeth ma poślubić Olivera Neville'a.

David i Elizabeth przechadzali się po ogrodzie w Compton Deverall.

- W kościele, Lizzie - powiedział David. - Nalegam na to. Weźmiesz ślub w kościele.

- Ale my w to wszystko nie wierzymy, tatusiu - protestowała Elizabeth. - Oliver i ja jesteśmy ateistami.

- Nie obchodzi mnie to, w co wierzycie, Liz. Wszyscy Kem-powie od czasów reformacji brali śluby w miejscowym kościele, więc i ty również to zrobisz.

- To będzie wymagało kilku tygodni. Danie na zapowiedzi... i te wszystkie sprawy! Sądziliśmy, że specjalne zezwolenie...

- Nie. - Głos Davida brzmiał zdecydowanie. - Ślub mojej córki nie odbędzie się po cichu i w tajemnicy przed wszystkimi. Urządzimy go tak, jak należy, nawet jeśli to oznacza, że będziesz musiała poczekać kilka miesięcy.

- To takie okropne, tato! Rodzice Olivera... i mamusia... I będzie widać... - dodała zakłopotana.

- Powinnaś była o tym pomyśleć, zanim... - przerwał, widząc wyraz jej twarzy. - Przepraszam, kochanie. Nie powinienem tego mówić.

- To nieważne, tatusiu - westchnęła Lizzie, wsuwając mu rękę pod ramię. - A zatem ślub kościelny. Chociaż wiesz, jak nie znoszę falbaniastych sukien i tego całego zamieszania - powiedziała, a potem spytała nieśmiało: - Lubisz go, prawda, tatusiu?

David z rękami w kieszeniach zatrzymał się na granicy swojej posiadłości i spojrzął za siebie, na dom i swoją ziemię. Uśmiechnął się, próbując ukryć poczucie straty.

- Prawdę mówiąc, Lizzie, czuję do niego obrzydzenie. Uważam go za przystojnego, pozbawionego zasad moralnych łajdaka. Jednak skoro zdecydowałaś się poślubić łajdaka, to chyba będę musiał go znosić i być może, z czasem, jeśli okaże się, że jest dla ciebie dobry, nauczę się nawet go tolerować.

W domu przy Holland Square Eleanor oznajmiła Guyowi, że od niego odchodzi.

- Freddie i ja jesteśmy kochankami od blisko dwóch lat. Byłam z tobą przez wzgląd na Olivera, ale teraz mój syn jest dla mnie stracony, więc dalsze nasze wspólne życie nie ma sensu - mówiła, a widząc na jego twarzy zupełny brak zrozumienia, wyjaśniła zirytowana: - To Wilfred Clarke, Guy! Nie wiedziałeś?

Potrząsnął niemądrze głową.

- Wystąpisz o rozwód, Guy. Jako powód możesz podać moją niewierność małżeńską, nie dbam o to. Pobierzemy się z Freddiem zaraz po rozwodzie. Będziesz musiał znaleźć sobie jakieś inne mieszkanie, bo ten dom jest zapisany oczywiście na mnie. Na razie zamieszkamy w hotelu, ale gdybyś mógł, zorganizuj przeniesienie swoich rzeczy w ciągu dwóch tygodni. - Spojrzała na niego krytycznym wzrokiem. - Musisz się pozbierać, Guy, rozsypałeś się - zakończyła, zapinając płaszcz, po czym sięgnęła po torebkę i rękawiczki.

- A ślub...? - zapytał, gdy otworzyła drzwi. Nawet się nie zawahała.

- Jaki ślub? Nic mi nie wiadomo o żadnym ślubie.

Gdy drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem, Guy rzucił okiem na swe odbicie w lustrze nad kominiem. Wiedział, że Eleanor ma rację, że się rozsypał. Tego ranka, nie mogąc zna-

leżąc czystej koszuli, włożył wczorajszą, nieświeżą. Pocierając ręką podbródek, uświadomił sobie, że zapomniał się ogolić. Nie mógł też sobie przypomnieć, kiedy ostatnio coś jadł.

Drepczyła go ostatnia rozmowa z Oliverem. Poszczególne zdania bez przerwy dźwięczały mu w głowie upartym, ostrzegawczym sygnałem, towarzysząc wszystkiemu, co robił. „Bajeczna wiejska rezydencja, tato. Cholernie ogromna. A Lizzie jest jedynaczką”. Zadrzał, gdy przypomniał sobie ów jawny cynizm w głosie syna. Czy pragnąc dla niego tego, co najlepsze, nie zaakceptował zbyt łatwo wykreowanej przez Eleanor wersji jego dobra? Czy umowa, jaką zawarł z żoną po swym romansie z Nicole Mulgrave, nie była jedynie kontynuacją owego szaleństwa, grzechem większym niż ten, który sprowokował ów pakt?

Ujawniając kompromisy, na jakie Guy się zgodził, Oliver pokazał ojcu rozmiary jego winy. Ostatnie przemówienie Guya na temat ideałów, które niegdyś pielęgnował, było pozbawionym znaczenia, pustym gadaniem papugi. Pasja, zasady -wszak zagubił jedno i drugie. Guy postanowił nie uciekać od swego niepokojącego wizerunku w lustrze. Tylko dokonując wielkich starań, mógł jeszcze wyobrazić sobie rysy samego siebie sprzed lat. Nie potrafił już przypomnieć sobie tamtego młodzieńca, któremu, gdy pierwszy raz podróżował przez kontynent, ukradziono w Bordeaux pieniądze i paszport. Nie potrafił też przywołać w pamięci swego pierwszego spotkania z Ralphem ani owej chwili, gdy pierwszy raz zobaczył La Rouilly. Och tak, mógł je sobie wyobrazić; statyczne i zatrzymane w czasie niczym fotografie w albumie, ale nie mógł przywołać z pamięci tego, co wówczas czuł.

Przypomnij sobie, przypomnij, szeptał. Chciał rozbić lustro nad kominkiem i przyciskać odłamek do ciała tak długo aż coś poczuje, cokolwiek. Ale teatralne i przesadne gesty zawsze były mu obce. Mógł jedynie grzebać się w przeszłości, mając nadzieję, że jeśli będzie pocierał ranę wystarczająco długo, to w końcu zacznie ona boleć.

A jednak z rozmowy z Oliverem pozostało mu też przyjemniejsze wspomnienie. Przypomniał sobie ciepło jego ręki na swojej dłoni, gdy siedzieli razem na skwerku. Oliver powiedział wtedy: „Myślałem, że wszystko musi pozostać takie samo. Czasami zapomina się, że można coś zmienić czy też poprawić...”. Guy wiedział, że syn także został wciągnięty w owe

utarte koleiny, uwięziony w kieracie monotonnej pracy. Przypomnił sobie tego młodego człowieka, którego poznał na przyjęciu u Wilfreda Clarke'a, kochanka Eleanor. Tamtego wieczoru przyszło mu stanąć twarzą w twarz z młodszym, lepszym sobą, ale aż do tej chwili nie zdawał sobie z tego sprawy. „Zamierzam pracować w Afryce... Potrzeby, doktorze Neville! Potrzeby są tak wielkie”. Serce Guya zaczęło bić trochę szybciej. Usiadł przy stole, oparł brodę na pięściach i zastanawiał się czy można by jeszcze teraz, wprowadzie dość późno, otrzymać od życia drugą szansę.

To moja wina, to moja wina, że Lizzie ma poślubić Olivera Neville'a, myślała Faith przez całą drogę powrotną z Francji. Po tym, jak była świadkiem pierwszego spotkania Olivera i Elizabeth, powinna była wysłać dziewczynę na drugi koniec świata, powtarzała sobie. I nigdy, przenigdy nie należało pozwolić Oliverowi na wizyty w „Błękitie Nieba”.

W Londynie się rozdzielili. Ralph wracał do Norfolk, Nicole jechała do Compton Deverall, sama Faith zaś do domu, do „Błękitu Nieba”. A jednak w niczym nie przypominało to powrotu do domu. Zarówno sklep, jak i mieszkanie wydawały się chłodne, nieprzyjazne i niegościnnie. Chociaż natychmiast zaczęła wszystko porządkować i usuwać skutki kilku tygodni swej nieobecności, nie czuła szczególnego entuzjazmu dla tego przedsięwzięcia.

Po tygodniu od powrotu do domu w środku nocy obudził ją głośny trzask. Ostrożnie schodząc na palcach ze schodów, dostrzegła, że przez wystawowe okno wrzucono do sklepu cegłę. Kawałki szkła leżały wszędzie dookoła. Błyszczały w świetle ulicznej latarni, co sprawiało, że suknie wydawały się obsypane diamentami. Chłodne powietrze wpadało przez wybite okno. Faith zatelefonowała na policję, posprzątała najlepiej, jak mogła, a także sprawdziła zamki i zasuwy oddzielające sklep od mieszkania. Wróciła do łóżka, lecz nie mogła zasnąć. Gdy owinięta w kołdrę siedziała oparta na poduszkach, odniosła wrażenie, że ta uporządkowana, pewna egzystencja, jaką sobie stworzyła, teraz się rozpada, i - co wydawało się znacznie, znacznie gorsze - Faith nie była już pewna, czy w ogóle jej chciała.



W sierpniu Faith i Ralph mieli pojechać razem do Compton Deverall. Faith zaplanowała ich podróż ze wszystkimi szczegółami. Gdyby potrafiła zapanować nad owymi wszystkimi zdradzieckimi, wagabundowskimi uczuciami, które zawładnęły nią w godzinach przed świtem, z pewnością by to uczyniła. Jednak w ostatniej chwili jej plany uległy zmianie; choć był to początek sierpnia, wciąż padał deszcz, ojciec zgubił zarówno parasol, jak i swój ślubny prezent i dopiero po półgodzinnym poszukiwaniu znaleźli obie rzeczy schowane w szopie.

Z powodu owej zwłoki spóźnili się na pociąg z Holt, a potem na przesiadkę na stacji Waterloo. Kiedy pociąg zatrzymał się na dworcu w Reading, Ralph uparł się, by wyjść z wagonu i kupić herbatę oraz kanapki w bufecie („Nie jadłem śniadania, moja droga. Nie zniosę tej nedorzecznej podróży bez śniadania”), zostawiając ją w przedziale przerażoną, że kierownik pociągu zamacha zieloną chorągiewką, zanim ojciec wróci do wagonu. Dojechawszy do stacji Salisbury, Faith przekonała się, że weselny gość, który miał ich zabrać autem, nie czekał, a nie można znaleźć taksówki, tak więc zostali na lodzie, przemoczeni do suchej nitki w swych odświętnych strojach.

- Cholerny kraj - kłął Ralph. - Cholerna pogoda. Nie denerwuj się, Faith.

Pierwszą część drogi do Compton Deverall pokonali pieszo, potem zaś pomachali na jakiś autobus, który zawiózł ich na miejsce, a wreszcie zbiegli zieloną ścieżką do kościoła. Dziedziniec był pusty, ale ze starych murów Faith usłyszała śpiew. Ralph wchodził już do przedsionka. Ściśnięty w końcu nawy kościelnej, włączył się do hymnu, bardzo głośno i fałszując. „Miłość boska kocha ponad wszystko...”

Faith była bez tchu, gdy Oliver i Elizabeth wracali od ołtarza. Myślała, jak ślicznie wygląda Lizzie i jaki przystojny jest Oliver, szukała w kieszeniach ryżu, który z pewnością wcześniej tam włożyła i zastanawiała się, gdzie, u licha, podział się ojciec. Biegając przez łąkę, złamała obcas, więc teraz wsunęła obydwie zniszczone pantofle pod kościelną ławkę. Mokre włosy mysimi ogonkami przykleiły jej się do karku. Sukienka, ręcznie ufarbowana przez Con, nie była wodoodporna i nefrytowa zieleń przyozdobiła skórę Faith turkusowym tatuażem. Tłum elegancko ubranych weselnych gości w przedpołudniowych strojach zaczął kierować się ku wyjściu. Ktoś nadepnął

jej na palce, a czyjś łokieć wbił jej się w zebra. Dobrze znane twarze posyłały jej uśmiechy, a starzy znajomi wygłaszali słowa powitania. Kiedy zaś się odwróciła, dostrzegła, że stoi twarzą w twarz z Guyem Neville'em.

Guy pomyślał, że czuje się jak duch na tej uroczystości.

O wiele za dużo duchów - Mulgrave, Kemp i Neville - znalazło się w tym niewielkim kościółku. Właśnie dlatego był zadowolony, że zorganizował wszystko w taki sposób i nie będzie musiał zbyt długo wprawiać państwa Kempów w zakłopotanie swoją obecnością.

Za Oliverem widniały szeregi pustych ławek: jałowa, obojętna pustka, pomyślał Guy, której częścią byli niegdyś Eleanor i on. Zastanawiał się, czy była żona zmieni decyzję i gdy w połowie ceremonii otworzyły się drzwi przedsionka, wpuszczając do kruchty strugę deszczu, rozejrzał się wokół, na poły mając nadzieję, że to ona. Jednak zobaczył nie matkę Olivera, lecz wciskających się do tylnej ławki Ralpa i Faith.

A zatem wszystko się skończyło. W jednej, nagłej, nieoczekiwanej, zagłuszającej wszystko chwili przypomniał sobie, jak pierwszy raz wszedł do kuchni w La Rouilly. I nie była to już statyczna fotografia, ale wizja niczym kinowy film, zapamiętana dokładnie, z dźwiękiem, obrazem i zapachem. Bukiet polnych kwiatów, które wręczył Poppy. Jej piękna, delikatna, zmęczona twarz. Gdzieś w głębi grał fortepian i ktoś śpiewał, zdzierając z jego duszy pancerz. Pamiętał olbrzymią, zakurzoną kuchnię, pajęczyny zwieszające się między pustymi butelkami wina pod zlewem i kota zwiniętego w plamie słonecznego światła wpływającego przez okno.

Zrozumiał, że właśnie wtedy, przed wieloma laty zakochał się - ślepo, nieodwracalnie, na zawsze, pierwszy raz w życiu. Zrozumiał też, że na różne sposoby pokochał ich wszystkich: Ralpa, Poppy, Faith, Jake'a, Nicole. I samo La Rouilly, oczywiście. Chociaż przez lata owo uczucie podlegało zmianom, to jednak nigdy całkiem go nie opuściło. Dali mu coś, czego mu brakowało; coś, co dopiero teraz zaczął znowu dostrzegać.

Gdy ceremonia się skończyła, złożył gratulacje Oliverowi

i Elizabeth, a potem państwo młodzi zostali pochłonięci przez tłum krewnych i przyjaciół rodziny Kempów, Guy zaś zaczął się przepychać ku Mulgrave'om. Wszyscy goście zebrali się

w przedśionku i na chwilę stracił z oczu Faith oraz Ralpa. Z niepokojem spojrzął na zegarek i wtedy, podnosząc wzrok, znowu ujrzał jasne włosy i niebieskozielony rękaw. Prześlizgując się między popłakującymi ciotkami i niesfornymi dziećmi, dogonił Faith.

Gdy się do niej odezwał, potrząsnęła głową, nadstawiając uszu.

- Co mówiłeś, Guy?

- Powiedziałem, że cudownie wyglądasz!

Potrącali ich inni goście. Faith odpowiedziała coś, ale nie słyszał co mówi; jej usta otwierały się i zamykały niczym w niemym filmie.

- Może wyjdziemy na zewnątrz? - wykrzyczał, po czym pociągnął ją za łokieć i pomógł przedrzeć się przez tłum.

Na zewnątrz, w ciszy i ustroniu zadaszanej bramy cmentarnej, uświadomił sobie, że nie potrafi mówić. Było tysiąc spraw,

o których chciał jej opowiedzieć, a jednak wiedział, że każde z nich będzie zarówno wyniosłe, jak i chłodne. Jak mógł powiedzieć, że ją kocha, skoro wciąż ją opuszczał? Jak mógł powiedzieć, że sam jej widok dodaje mu ducha, skoro pamiętał, aż nazbyt dobrze, wyraz twarzy Faith, gdy rozstawali się ostatnim razem?

- Z wielką przykrością usłyszałem o Jake'u - odezwał się w końcu. - Oliver mi powiedział. Tak trudno uwierzyć, że odszedł.

Na dziedzińcu kościoła fotografowie ustawiali aparaty, a goście weselni szykowali się do zdjęć. Ktoś zawołał na nich, wskazując gestem, by przyłączyli się do grupy.

- Jake się utopił. Nigdy nie znaleziono jego ciała. - Słowa Faith były chłodne i lakoniczne. - Po prostu wszedł do morza na wybrzeżu kornwahjskim, niedaleko szkoły, w której uczył. - Na chwilę jej opanowanie jak gdyby nieco zelżało. - Swoje rzeczy zostawił starannie ułożone na skale. To niepodobne do Jake'a, prawda?

Chciał wziąć Faith w ramiona i spróbować ukoić ból, który dostrzegł w jej oczach, ale czyjś głos zawołał go po imieniu,

i odwróciwszy się, zobaczył zmierzającego ku nim Ralpa.

- Tata uparcie trwa w przekonaniu, że Jake żyje. Nie rozmawiajmy o tym więcej - powiedziała szybko Faith.

- Guy! Guy Neville! Jak wspaniale! - zawołał Ralph, a Guya otoczyły fałdy zmoczonej deszczem peleryny.

Słyszając, jak Ralph zaczyna mówić o kazaniu („Półśłówkowa, obłudna gadanina, nie znoszę tych cholernych księży”), Guy jeszcze raz spojrzął na zegarek i zobaczył, że wskazówki przesunęły się z nieprzyzwoitą szybkością.

- Musisz iść z nami do Compton Deverall, Guy, na przyjęcie

- oświadczył Ralph.

- Sądziłem, że uda mi się tego uniknąć.

- Myślałem, że my dwaj, skoro już uczestniczyliśmy w tym przerażającym i bezsensownym religijnym rytuale, moglibyśmy się teraz czegoś napić.

- Mówiąc szczerze, próbuję się ograniczać. A poza tym moja obecność na przyjęciu byłaby trochę niezręczna, nie sądzisz?

- Nie rozumiem, o czym ty, u licha, mówisz.

- O Nicole - wyjaśnił Guy.

- Ach, o to ci chodzi - odrzekł Ralph lekceważącym tonem.

- Wszyscy już dawno zapomnieli.

Guy odwrócił od niego wzrok, kierując spojrzenie ku Faith. Czuł, jakby coś rozdzierało go na dwie części.

- Rzecz w tym - wyjaśnił - że mam przed sobą długą podróż. Uśmiech Faith zgasł.

- I jeśli nie pojadę teraz - ciągnął z desperacją - to spóźnię się na samolot.

- Podróż? - powtórzył Ralph z zazdrością. - Dokąd jedziesz?

- Do Afryki - odrzekł Guy.

- Do Afryki, Nicole! Na dwa lata! Nie można już chyba wyjechać dalej, prawda? - Faith wyjrzała przez okno. Na trawnikach za rezydencją Compton Deverall białe stoły, krzesła i rozłożone perasole. Obie zniosły jakoś obiad i toasty w wielkiej sali rezydencji, a potem umknęły na okienny parapet i zaciągnawszy zasłony, odcięły się od weselnego towarzystwa. -Zresztą nie ma to znaczenia. Wszystko dawno się skończyło.

Nicole odstawiła kieliszek z szampanem.

- Ale co ty zrobisz?

- Co zrobię? Dlaczego powinnam cokolwiek robić?

- No, przecież... Guy. Zawsze pragnęłaś Guya.

- Przypuszczam, że zbyt długo. - Faith jeszcze raz cofnęła się myślą do rozmowy, jaką ona i Guy odbyli na kościelnym dziedzińcu, i marszcząc brwi, zapytała: - Pamiętasz tę restaura-

cję, do której chodziliśmy w Aix? Tata zwykł mawiać, że przyrządzają tam najlepszą *cassoulet* w całej Prowansji. Ilekroć tam poszliśmy, musieliśmy czekać całymi godzinami, ale ojciec nie miał nic przeciwko temu, bo się upijał, a mama również się nie sprzeciwiała, gdyż przynajmniej mogła posiedzieć w spokoju, bo ktoś inny gotował. Ale myśmy tego nie lubiły. Nicole skinęła głową.

- Jake'owi robiło się niedobrze z głodu...

- ...a gdy podano obiad, żadne z nas nie mogło jeść. Tata wpadał w furję, a mama zawsze się bała, że jesteśmy na coś chorzy. Jednak nie byliśmy chorzy, nie działo się nic złego, tylko po prostu czekaliśmy zbyt długo...

Faith pamiętała doskonale ostatnie spotkanie z Guyem w małej kawiarence z szafą grającą, młodzieńcami w skórzanych kurtkach i mężczyzną w czapce. Powiedziała wtedy Guy-owi, aby już nigdy z nią się nie kontaktował. A teraz, gdy miała tak wielką ochotę, by z nim porozmawiać, gdy każda cząstka jej istoty pragnęła podzielić się z nim sukcesami i niepowodzeniami owych lat, które minęły od ich rozstania, on nagle wyjeżdżał do Afryki.

Spojrzała na siostrę.

- Przypuszczam, że właśnie tak jest teraz z Guyem i mną. Po prostu czekaliśmy zbyt długo.

- Nonsens, Faith. To wcale nie jest to samo. Człowiek nie męczy się kochaniem kogoś. Miłość nie traci smaku niczym mleko pozostawione na słońcu.

- A ponadto podejrzewam, iż Guy sądzi, że to wszystko moja wina.

- Co jest twoją winą?

- To wszystko - odparła Faith, wskazując trawnik. Gdzieś z głębi domu dobiegł ich głos Ralpa śpiewającego „Panienkę z Armentières”. - Gdybym nie pozwoliła Oliverowi przychodzić do „Błękitu Nieba”...

- Och, doprawdy, przestań o tym myśleć, Faith. - Nicole zanurzyła w szampanie kawałek biszkopta i dalej mówiła z pełnymi ustami. - Oliver może być dla Lizzie najlepszym mężem na świecie. Elizabeth ma duszę naszej rodziny; ona należy do Mulgrave'ow. Mogła odziedziczyć po Davidzie jego wygląd, lecz w głębi serca jest taka jak my. Zrozumienie tego zajęło mi wiele lat, ale jestem przekonana, że mam rację. Jest żarliwą

buntowniczką i gdyby nie Oliver, prawdopodobnie skończyłaby w więzieniu po jakiejś strasznej manifestacji przeciwko broni atomowej. Przynajmniej z nim... i z dzieckiem... będzie miała coś, o co warto walczyć. Przede wszystkim zaś my obie kochałyśmy Guya, czyż nie? Nic więc dziwnego, że Elizabeth zakochała się w jego synu... Miała taką piękną suknię - Nicole promieniała. - Obawiałam się, że będzie się upierać przy tym swoim okropnym swetrze i džinsach.

- Con ją zaprojektowała, a ja uszyłam. Welon zaś należał do babci Davida.

Nicole zrobiła się sentymentalna.

- Ja też brałam ślub w tym welonie, pamiętasz? - Wyraz jej twarzy uległ zmianie. - Nie bądź taka smutna, Faith. To przecież wesele, powinnaś się dobrze bawić.

- Rzecz w tym - odrzekła Faith po chwili milczenia - że nie mogę sobie wyobrazić, iż będą szczęśliwi.

Nicole wcale natychmiast nie odrzuciła, czego Faith na poły się spodziewała, jej obaw.

- Są oczywiście bardzo młodzi - zauważyła, odgarniając z oczu jasny lok. - Przypuszczam, że Lizzie może stwierdzić, iż to wszystko jest nie do zniesienia, podobnie jak kiedyś ja. Chociaż ona ma bardziej stały charakter, nie sądzisz?

- Trudno byłoby wyobrazić sobie mniej stały charakter niż twój, Nicole - oświadczyła sucho Faith.

Siostra nie czuła się obrażona.

- Zastanawiające, czyż nie? Wcale nie zamierzałam być taka. Wręcz przeciwnie. - Zmarszczyła brwi. - To się może udać. Najlepiej być optymistą. Lizzie może się okazać kobietą wierną jednemu mężczyźnie, tak jak ty, Faith. Naprawdę nie można tu nic przewidzieć.

Faith spojrzała na nią z uwagą.

- Jak się miewa Stefan? Siostra westchnęła.

- Obawiam się, że się nie nadaje, kochanie.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Strasznie głośno je. Cóż, doprawdy trudno to znieść, nie sądzisz?

- Mogłabyś go nauczyć...

- Próbowałam, kochanie, wierz mi. Byłby idealny, gdyby nie to, że jest tak beznadziejny, gdy je zupeł. - Nicole zachi-

chotała. - Nie myślisz czasami, że to zabawne... ty i ja... ty jesteś taka praktyczna, Faith, a ja zawsze byłam tak beznadziejnie romantyczna... - Jej niebieskie oczy zabłysły wesołością, gdy spojrzała na Faith. - Ty przez wieki kochałaś tego samego mężczyznę, podczas gdy ja...

- ...w poszukiwaniu Tego Jedyne go kochałaś tuziny - Faith także zaczęła się śmiać.

- A niektórzy byli tacy okropni... Pamiętasz Miguela?

- Grał na gitarze... bardzo źle...

- A Simona? „Sonety”... - Nicole ze śmiechu trzymała się za boki. - Ruppert zaś... był bardzo przystojny, kochanie, ale nie sądzę, by naprawdę podobały mu się kobiety...

- Ten straszny Rosjanin... - Po policzkach Faith płynęły łzy. Z trudem łapały powietrze, nie mogąc opanować śmiechu.

- Tak czy inaczej, znalazłam Tego Jedyne go wiele lat temu, ale byłam zbyt głupia, aby to zrozumieć.

Faith otarła łzy.

- David?

- Oczywiście. Widzisz, ja kocham wędrowniki, tak jak Ralph. Zawsze tak było. Wszystko, czego w życiu pragnęłam - przystojnego kochanka, piękny dom i karierę sławnej piosenkarki - dostałam tak szybko, że naprawdę wcale tego nie doceniłam. Och, pragnęłam tego przez chwilę, ale potem się nudziłam. Śpiewam w najokropniejszych spelunkach, Faith. W paskudnych małych klubach, gdzie jedynym miejscem, w którym można się przebrać, jest damska toaleta. W podupadłych teatrzykach z rozpadającymi się scenami. Czasami goście są pijani, czasami grają w karty lub w bilard, a niekiedy w ogóle nie ma słuchaczy.

Przez chwilę siedziały w przyjaznej ciszy, a potem Nicole zapytała:

- Wiesz, że Guy i Eleanor się rozwodzą, prawda, Faith? Lizzie powiedziała jej to podczas przymiarki i Faith omal nie połknęła garści szpilek.

- Eleanor ma romans - szepnęła.

- Możesz to sobie wyobrazić? Jak zdejmuje te swoje tweedy, by rzucić się w ramiona kochanka... - Nicole znowu zaczęła chichotać, a gdy wreszcie obie przestały się śmiać, powiedziała nagle: - Och, jakże żałuję, że nie ma tutaj z nami Jake'a! Bez niego nic nie jest takie samo. Klóciłby się z ojcem,

tańczyłyby z Lizzie, rozkochałby w sobie te piegowate dziewczyny, a my wszyscy znacznie lepiej byśmy się bawili.

Faith poczuła piekące łzy pod powiekami. Za dużo szampana, pomyślała.

- Przypuszczasz, że...? - Spojrzała na siostrę. - Tata wciąż jest przekonany...

- Nie wiem. - W głosie Nicole słysząc było smutek. - Doprawdy nie wiem, Faith.

Elizabeth zdejmowała ślubną suknię. Matka miała jej pomóc, ale nigdzie nie można było jej znaleźć, więc zrobił to Oliver.

Rozpiął zamek i przesunął rękami wokół talii dziewczyny.

- Przeszkadza ci to? - zapytała z nagłym lękiem. - Co?

- To - odrzekła Elizabeth, gładząc brzuch. Musiała mieć dość duży bukiet.

Nie odpowiedział, tylko zsunął suknię z jej ramion i obnażył piersi, wzdychając z rozkoszy, gdy zanurzył w nie twarz.

- Oliverze, ktoś może tu wejść.

Uniósł głowę, tylko tyle, żeby odpowiedzieć:

- Czy to ważne? Teraz nam wolno.

Tak sądziła, ale musi minąć nieco czasu, zanim się przyzwyczai; ciągle jeszcze wydawało jej się to zakazane.

- Muszę się przebrać w ten okropny kostium - powiedziała niezdecydowanym tonem. - Jest taki gorący i opięty.

- W rzeczywistości - ciągnął dalej Oliver, jakby Elizabeth nic nie powiedziała - jestem zobowiązany to zrobić.

- Naprawdę?

Ślubna suknia zsunęła się na podłogę, otaczając jej stopy niczym duży, kremowej barwy omlet.

- Naprawdę. Nie jesteśmy naprawdę zaślubieni, dopóki nie będziemy w łóżku.

Gdy to powiedział, poczuła suchość w ustach. Przez ostatnie dwa miesiące pozostawała w Compton Deverall. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo będzie jej tego brakowało.

- Uważam, że twój ojciec jest wspaniały, decydując się pracować w szpitalu w Afryce. Musisz być z niego okropnie dumny.

Oliver zostawił na chwilę w spokoju halkę Elizabeth.

- Tak, chyba tak. - Wydawał się zaskoczony.



- Jak się dziś bawiłeś? - zapytała.  
- Na weselu? Okropnie. Było absolutnie okropne.  
- Prawda? - zgodziła się żarliwie. - To był najdłuższy i najbardziej nużący dzień w całym moim życiu.

Oliver pieścił językiem jej pępek.

- Czy sądzisz, że oni... twoja matka i mój ojciec... nadal się jeszcze pożądatają... w jakiś dojrzały sposób, oczywiście? - zapytał, podnosząc wzrok.

Elizabeth skrzywiła się, a potem zadrżała, gdy Oliver pocałował jej łagodnie zaokrąglony brzuch.

- Są o wiele za starzy na te rzeczy - stwierdziła zdecydowanie i zamknęła oczy. Złote włosy męża ocierały się o jej uda. -Och, Oliverze, chyba nie musimy czekać do nocy poślubnej w hotelu, prawda?

Pijany Ralph siedział na schodach, rozmawiając bardzo głośno z kilkoma przyjaciółmi Elizabeth. W wielkiej sali gramofon grał rock and rolla i niektórzy z gości tańczyli. Elizabeth i Oliver wyjechali na swój miodowy miesiąc do Kornwalii. Klekot metalowych puszek, pudełek i rozwijających się papierowych serpentyn zakłócił dostojną ciszę Compton Deverall. Deszcz przestał padać i na tarasie ktoś brzdąkał na gitarze. Inni goście wędrowali po ogrodzie, zostawiając kieliszki na rabatach i klombach. Kilku młodzieńców, o których Nicole sądziła, iż są kolegami Olivera, przyrządzało w kuchni koktajle z resztek sherry i szampana, ozdabiając szklaneczki wiśniami i kawałkami ananasa wyławianymi z cynowej miski. Wesele Elizabeth mimo najlepszych chęci i starań Davida, pomyślała Nicole, stało się przyjęciem w stylu Mulgrave'ow.

Wreszcie goście zaczęli się rozjeżdżać, a światła reflektorów samochodowych przygasły, gdy znikali w bukowej alei. Nicole przeszła przez dom. Dziwne, jak bardzo wydawał jej się teraz rodzinnym domem. Dziwne, jak czasami, leżąc na jakiejś śródziemnomorskiej plaży lub robiąc sobie makijaż w obskurnej garderobie w którymś z klubów Los Angeles, tęskniła do owych nawiedzanych przez duchy i dźwięczących echem korytarzy oraz zapachu bukowych orzeszków.

Znalazła Davida w galerii, gdzie badawczo przyglądał się obrazom.

- Zawsze myślałam - odezwała się, zmierzając ku niemu - że mnie potępiają.  
- Moi przodkowie? - Odwrócił się do niej z uśmiechem. - Uwielbialiby cię, a mnie uważaliby za nieznośnie nudnego.

Zatrzymał się obok jakiegoś Kempa żyjącego w czasach Jakuba I.

- Nie potrafię sobie wyobrazić ciebie z kolczykiem i zalotnym loczkiem - stwierdziła Nicole, przyglądając się portretowi.

- Właśnie to miałem na myśli - powiedział, gdy wsunęła mu rękę pod ramię. Spojrzał na nią z uwagą. - Ja mam tutaj swój azyl, a ty, dlaczego tu jesteś, Nicole?

- Szukałam ciebie, oczywiście - odrzekła, kładąc mu dłoń na policzku. - Biedny David. Nie podobało ci się to, prawda?

- Siedem godzin! - jęknął. - Ta straszna ceremonia trwała niemal siedem godzin!

- Nie wolno ci się denerwować - tłumaczyła łagodnie. - Elizabeth będzie szczęśliwa. Wiem, że będzie.

- Ona jest taka młoda! To jeszcze dziecko! - mówił, potrząsając głową. - A ten chłopak...

- Faith bardzo lubi Olivera, a ona zna się na ludziach. Znacznie lepiej niż ja - powiedziała Nicole, spoglądając na Davida z czułością. - Nigdy nie umiałam właściwie rozpoznać tych, których należy zatrzymać i tych, których powinnam była odprawić.

Pochylił się i pocałował ją czule.

- Proszę, spróbuj nie martwić się za bardzo, Davidzie. Przez wzgląd na Lizzie. I może również na mnie. Niewielu rzeczy żałuję, ale tego, co zrobiliśmy Guy i ja, naprawdę trochę żałuję.

## *Rozdział szesnasty*

Kola land-rovera podskakiwały na twardej, suchej drodze. Był styczeń i słońce zmieniło czerwony, gliniasty trakt w bruzdę przypominającą gigantyczną wstęgę lub karbowaną tekturę. Dziesięć minut po wyjeździe z misyjnego szpitala Guy pokryty był od góry do dołu rdzawym pyłem.

- Naciskaj gaz do dechy, stary - radzono mu w klubie podczas poprzedniej wizyty w Dar es-Salaam - wtedy nie będziesz czuł wybojów.

Guy nacisnął więc pedał gazu i pomyślał: Gdyby moi pacjenci z Cheviot Street mogli mnie teraz zobaczyć...

Ta sama myśl przychodziła mu zresztą do głowy niezliczoną ilość razy podczas pięciu miesięcy pobytu w Tanganice.

Nie mógł się przyzwyczać do rozległych obszarów i specyfiki tego miejsca. Nie mógł się też przyzwyczać do gwałtownych powodzi w porze deszczowej, które zamieniały drogi w rzeki, a rzeki w rwące kaskady, ani do gorąca, które w porze suchej wydawało się wręcz czymś materialnym, z czym walczyło się fizycznie.

Raz w miesiącu jeździł do Dar es-Salaam, by przywieźć wszystkie potrzebne rzeczy i pocztę. Było to, jak uważał Guy, konieczne wytchnienie. Kiedy pierwszy raz zgłosił się do pracy w szpitalu misji anglikańskiej, stanął w obliczu nieubłagania ascetycznego życia. Wybierając ową działalność i ubóstwo, potrząsnął swym duchem, dotąd uspionym przez wiek i doświadczenie, aby się przekonać, czy zostało jeszcze cokolwiek prawdziwego i dobrego pod konwencjonalną skorupą. Tanganika istotnie zdzierała owe zewnętrzne warstwy; i podobnie jak tropikalne słońce spalało mu skórę, a ataki gorączki usuwały nadmiar tłuszczu, tak pobyt w Afryce pozbawił Guya także złudzeń. Znaczna część umiejętności zdobytych w ciągu mi-

nionych trzydziestu lat okazała się tutaj bezużyteczna, natknął się bowiem na nowych przeciwników: malarię i śpiączkę afrykańską. Symptomy tych chorób stały mu się tak znane, jak niegdyś bliskie mu były objawy owrzodzenia żołądka czy zawału serca. Znowu stał się studentem. Późno w nocy, gdy jego ciało było wręcz obolałe, ślęczał nad podręcznikami: „Malaria jest wywoływana przez pojedyncze zarodźce z gatunku *Plasmodium*, przenoszone przez komara z gatunku *Anopheles*. Istnieją różne odmiany malarii. Najpoważniejszą z nich jest *malaria falciparum* powodująca gorączkę mózgową...”.

Codziennie przeciwstawiał się własnym ograniczeniom. Jego umiejętności wydawały się nikłe i niedostateczne. Nigdy nie było wystarczającej ilości łóżek, lekarstw ani czasu. W pierwszych tygodniach swego pobytu w Tanganice Guy czuł się tak, jakby przytrzymywał śluzy, na które napierał ogromny ciężar bólu i nieszczęścia. Dopiero po jakimś czasie uświadomił sobie własne zadufanie; jak mógł w ogóle żywić nadzieję, że powstrzyma tę ogromną nędzę, potrzeby i siłę, jaką była Afryka?

Gdy dojechał do pokrytych czerwonymi dachami przedmieść Dar es-Salaam, zdał sobie sprawę, że jeszcze mniej czasu zabrało mu odkrycie, iż w wieku czterdziestu sześciu lat nie ma się takiej samej odporności, jaką posiadało się dwadzieścia lat wcześniej. Żelazne łóżko z twardym materacem sprawiało, iż każdego dnia był sztywny i obolały. Nie mógł też, tak jak potrafił to dawniej, jeść wszystkiego, co przed nim postawiono. Teraz łomotało mu w głowie, co jak sądził, było rezultatem niekończącego telepania się po nierównej drodze w takim upale.

W klubie jeden ubrany na białą służący wziął jego torbę, a drugi przyniósł pocztę. Guy wziął paczki i stertę listów do swojego pokoju. Gdy siadał na łóżku, ręce drżały mu lekko z powodu owej mieszaniny nadziei, przewidywania i lęku, którą czuł w żołądku. Depesza znajdowała się w połowie stosu listów. Guy rozerwał kopertę. „Christabel Laura Poppy urodziła się 18 grudnia stop obie czują się dobrze stop szczęśliwego nowego roku stop pozdrowienia Oliver”.

Po kąpieli Guy poszedł nad morze. Palmy i mangrowce stały sztywno w nieruchomym powietrzu. Arabskie łodzie jedno-masztowe z trójkątnymi żaglami, każda z wymalowanym okiem na burcie, kołysały się w porcie, czekając na bardziej sprzyjający wiatr, by ruszyć w drogę do Zanzibaru. Depesza zaciśnie-

ta w dłoni Guya drżała niczym łacińskie żagle jednomasztowców. Christabel Laura Poppy, pomyślał i łzy popłynęły mu po twarzy. Moja wnuczka...

- Nie wiedziałeś? - Peggy Macdonald zaciągnęła się dymem z papierosa. - Usłyszałam to od Dicka Farnborougha, a on od Millie Peckham, która dowiedziała się od Jednookiego Jacka.

Był wieczór. Siedzieli w barze Gymkhana Club. W sąsiedniej sali jakiś hinduski zespół grał europejskie melodie taneczne i kilka par poruszało się powoli na parkiecie.

- Od Jednookiego Jacka? - zapytał Guy, udając zainteresowanie. Zapomniał już o plotce, którą wcześniej opowiedziała mu pani Macdonald.

- Nie znasz go? - zamrużyła powiekami. - Myślałam, że wszyscy w Dar es-Salaam znają Jednookiego Jacka. Wpada tu od czasu do czasu, ale - szybko rozejrzała się po sali - dzisiaj go nie widzę. Zdaje się, że uczy w jakiejś szkółce dla miejscowych dzieci, nie w szkole międzynarodowej. Millie wspomaga go osobliwą działalnością dobroczynną, przywożąc z kraju używane podręczniki - wydała z siebie krótki śmiech - Trudno się nie zastanawiać, co te biedne małe istoty robią z tymi książkami.

Guy uśmiechnął się uprzejmie, myśląc, czy nie jest zbyt wcześnie, żeby wyjść. Żar wydawał się dziś szczególnie nieznośny. Koszula przykleiła mu się do pleców, i wysiłkiem było zarówno podniesienie kieliszka do ust, jak i prowadzenie konwersacji. Wysilek stanowiło też, uświadomił sobie ponuro, myślenie.

Usłyszał, że Peggy Macdonald wciąż mówi coś do niego i uśmiechnął się przepraszająco.

- Przepraszam, myślami byłem daleko stąd.

- Powiedziałaś, że musisz przyjść jutro na lunch.

- Obawiam się, że nie będę mógł.

- Robert wyjechał. - Ręka Peggy oparła się na jego ramieniu. - Moglibyśmy mieć dla siebie cały dzień.

Zaproszenie było niedwuznaczne, ale chociaż Peggy była atrakcyjną, dobrze ubraną trzydziestokilkuletnią ładną kobietą, nie poczuł błysku emocji, a jedynie połączenie zakłopotania i zniecierpliwienia.

- Muszę iść na zakupy - wyjaśnił.

- Na zakupy?!

- Muszę kupić prezent na chrzest dla mojej wnuczki.  
- Dla twojej wnuczki? - zapytała, unosząc brwi ze zdziwienia. - No cóż, a co zamierzasz jej kupić?

Potrząsnął głową.

- Nia mam żadnego pomysłu.

- Zazwyczaj kupuje się pamiątkowy kubeczek albo srebrną łyżeczkę - wyjaśniła pani Macdonald.

- Dostanie tuziny takich prezentów. Ja chciałbym jej kupić coś innego, wyjątkowego. Coś afrykańskiego.

- A zatem pójdziemy na zakupy. Spotkamy się w klubie o... niech pomyślę, powiedzmy o dziewiątej rano - powiedziała i spojrzała na niego łagodnie. - Powinieneś iść spać, Guy. Nie wyglądasz zbyt dobrze.

Czuł, że przewracają się w nim wnętrzności.

- Chyba dość długo będę się aklimatyzował - stwierdził posepnie.

- Niektórym ludziom w ogóle się to nie udaje, kochanie - zauważyła uprzejmie i znów pogłaskała dłoń Guya, ale tym razem gestem raczej matczynym niż uwodzicielskim. - Niektórzy nigdy się tu nie aklimatyzują.

Rano Guy spotkał się z Peggy Macdonald w hotelowym westybulu.

Pocałowała go w policzek.

- Wyglądasz paskudnie, kochanie. Jesteś pewien, że możesz iść?

- Najzupełniej - odparł z całkowitą pewnością, że jest akurat odwrotnie. Zaopatrzył się w chininę oraz tabletki aspiryny i wyszli na zewnątrz w słoneczny żar.

Prowadziła go przez uliczne kramy Samora Avenue i tętniący krzątaniną labirynt targowiska Kariakoo. Zewsząd atakowały ich zapachy, widoki i odgłosy Dar es-Salaam; klaksony autobusów i taksówek, złociste i brunatne worki przypraw na straganach oraz uderzająca do głowy, słona woń niedalekiego Oceanu Indyjskiego. Peggy Macdonald uważnie oglądała dywany, wyroby z brązu i afrykańskie rzeźby.

W żarze południa umknęli do Gymkhana Club na lunch. Mimo rolet i wentylatorów Guy nie czuł, by było mu chłodniej. W zaciszu klubowej łazienki przyłożył gorącą dłoń do równie gorącego czoła i próbował zgadnąć, jak wysoką ma temperaturę.

- Powiem ci, co zrobię - oświadczyła, gdy wrócił do stolika. - Poproszę Jacka.

- Jacka?

- Przypomnij sobie, opowiadałam ci o nim wczoraj wieczorem. Poproszę, żeby znalazł dla ciebie jakąś ładną makondę. Podobały ci się, prawda?

Makondy były tradycyjnymi rzeźbami z hebanu i Guy podziwiał na rynku ich ciemne, pokręcone kształty. Peggy jednak uważała, że były kiepskiej jakości.

- To chyba bezczelność - zawahał się lekko.

- Jack nie będzie mieć nic przeciwko temu. W zeszłym roku wyszukał piękną makondę dla mojej bratowej. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Kiedyś uczył moich synów w gimnazjum w Anglii. Czyż to nie zbieg okoliczności?

- Dziwna zamiana... z gimnazjum w Anglii do Dar es-Salaam.

- Och, Jack robił wszystko! - Peggy uniosła szklaneczkę rumu z coca-colą. - Wędrował po całym świecie i handlował... legalnie i nielegalnie... wszystkim, co tylko można sobie wyobrazić. Twierdzi nawet, że był członkiem załogi jakiegoś statku pirackiego na Morzu Chińskim, chociaż co do tego mam pewne wątpliwości. Ta przepaska na oku... to byłoby zbyt oczywiste. Bobby Hope-Johnstone mówi, że pamięta go z Francji, z czasów wojny. Wydział Operacji Specjalnych, kochanie - dodała, ściszejac nieco głos - ale Jack nie chce o tym rozmawiać.

Podano zamówione dania. Curry z ryżem wyglądało nieciekawie - sos stęzał w galaretowatą plamę. Guy odwrócił wzrok.

- Znajdzie dla ciebie coś ładnego, zanim przyjedziesz tu następnym razem - powiedziała Peggy. - Przyjeżdżasz do Dar es-Salaam raz na miesiąc, prawda? - Spojrzała na niego. - I nie czuj się zobowiązany do pozostania tutaj przez wzgląd na mnie, Guy. Jesteś całkiem zielony. Odbierasz mi apetyt na lunch.

Miała ciemne oczy Elizabeth i jego jasne włosy. Kiedy skończyła dwa tygodnie, Oliver owinął córkę w kilka warstw szali i kocyków i pokazał jej dom oraz posiadłość.

- To jest galeria - mówił - a to portrety twoich pra-pra-pra-dziadków. W twoich żyłach płynie ich krew. To jest Wielka Sala, na której sklepieniu wymalowano godła i tarcze herbowe twojego rodu. To zaś są twoje ziemie, do strumienia na południu i do obrzeży bukowego lasu na północy. Sprzedam tę łą-

kę i tamten zagajnik, a dzięki temu zabezpieczę twoje dziedzictwo.

Zaczął padać śnieg, którego płatki szybowwały niczym piórka w bezwietrznym powietrzu, więc zaniósł ją z powrotem do najcieplejszej części domu. Cichutko otworzył drzwi sypialni. Elizabeth spała, zwinięta w gnieździe z pledów i kołder. W pokoju zarzuconym niemowlęcymi ubrankami stało też dziecinne łóżeczko. Zasypany talkiem wypolerowany parkiet odbijał zbielałe niebo na zewnątrz. Na komodzie piętrzyły się gazety i ulotki. Nagłówek leżącej na wierzchu pytał: „Lata sześćdziesiąte: dekada rozbrojenia czy katastrofy nuklearnej?”.

Oliver zadrżał i spojrzął na swoją śpiącą córeczkę, którą wciąż kołysał wramionach. Inne niechciane obrazy nałożyły się na jej tak ukochane rysy. Straszny chmura w kształcie grzyba, fotografie japońskich dzieci ze skórą odpadającą z pleców. Lęk, który zawsze zdawał się towarzyszyć jego bezgranicznej miłości do córeczki, wręcz go przygniatał. Bezradny i bezbronny, przytulił dziecko do siebie, jak gdyby w ciepłej osłonie jego ramion mogła znaleźć schronienie przed wszystkimi potwornościami tego świata.

Gdy wyjechali z tonących w deszczu uliczek Holt, agent nieruchomości gderał.

- Powinniśmy wystawić ten dom na licytację wiele lat temu. Powiedziałem im, że nie dostaną dobrej ceny. Ludzie chcą nowoczesnych wygod, prawda? Łazienki, centralnego ogrzewania...

Faith niemal go nie słuchała. Wyjechali z miasteczka i teraz zmierzali przez otwartą przestrzeń, gdzie woda kapiała z czarnych nagich gałęzi, a kałuże zajmowały połowę szerokości drogi. Kępy drzew, wysokie żywopłoty i wąskie ścieżki stały się znajome. Czowała nieoczekiwane zdenerwowanie i suchość w ustach. Gdy agent zwolnił, mrużąc, że chce rzucić okiem na mapę, musiała odchrząknąć, zanim zaczęła mówić.

- Proszę jechać prosto, panie Bolsover, a potem skrócić w lewo, w tę aleję drzew, i dalej przed siebie.

Spojrzał na nią zdumiony.

- Sądziłem, że jeszcze nie widziała pani tego domu.

- Nie widziałam go od lat - odpowiedziała z uśmiechem. - Od wielu, wielu lat...



Gdy wjechali na ścieżkę, samochód przechylił się i podskoczył na zrytej koleinami ziemi.

- Moje zawieszenie - jęknął pan Bolsover.

Faith wysiadła i popatrzyła na dom. Zaszokował ją ogrom zniszczeń. Jedną z okiennic kołysała się zawadiacko na jedynym zawiasie, a w dachu brakowało dachówek. Zdecydowanie Faith na chwilę osłabło. Gdy przed miesiącem robiła z Ralphem zakupy w Holt, ujrzała w oknie agencji nieruchomości ogłoszenie dotyczące tego domu, kolejny raz wystawionego na sprzedaż. Później jakiś impuls kazał jej zatelefonować do agenta i umówić się na obejrzenie nieruchomości. Zachowywała się w typowo Mulgrave'owski sposób. Zamierzała zerwać z obecną egzystencją, która była bezpieczna oraz pewna... i dla czego? Dla jakiegoś marzenia? Fantazji?

Gdy szła ścieżką, usłyszała za sobą głos pana Bolsovera.

- Pani parasolka, panno Mulgrave!

Krople deszczu niczym perły spadały kaskadą z długich gałęzi dzikich róż, a cienkie jak papier nasiona miesięcznicy drżały.

- Jestem przekonany, że ktoś przychodzi tu dwa razy w roku i sprząta - odezwał się niepewnie pan Bolsover, doganiając ją.

- Byłoby miło... - Kiedy otworzył drzwi frontowe, chmura zeschniętych liści rozłożyła się wachlarzem na werandzie. Rzucił okiem na ulotkę. - To hol. - Sięgnął do kontaktu, ale naga żarówka się nie zapaliła. - Prosiłem, żeby włączyli elektryczność - powiedział z irytacją. - Prąd dochodzi tu z posiadłości w Dean-ridge, gdyż początkowo ten dom do niej należał. Na szczęście - dodał zadowolony z siebie - przywiozłem latarkę.

Mała żaróweczka oświetliła wąski korytarz. Faith otworzyła jakieś drzwi.

- Oto salon. Mnóstwo oryginalnych szczegółów. Ma pani szczęście, panno Mulgrave, że poprzedni właściciele nie dokonali zbyt wielu zmian - mówił dalej agent. - Moda się zmienia, czyż nie? Te intarsjowane drzwi i kominek - zapewniał gorąco

- rekompensują inne braki, zgodzi się pani ze mną, prawda?

Z komina spadło wcześniej jakieś ptasie gniazdo, zasypując palenisko kominka gałązkami i żdźbłami trawy. Tapety wybrzuszyły się i odpadały ze ścian.

- Może obejrzymy sypialnię, zanim spróbujemy rzucić okiem na kuchnię? - zapytał pan Bolsover, więc weszli na górę.

- Mogłaby pani, oczywiście, przerobić jedną z sypialni na ła-

zienne, panno Mulgrave. Jeśli zamierza pani mieszkać w tym domu sama... - Jego głos ucichł, jak gdyby agent poczuł się zakłopotany jej bezdzietnością i staropaniństwem.

- Będzie tu ze mną mieszkał mój ojciec, panie Bolsover -wyjaśniła.

Wędrowali z pokoju do pokoju. Ciemne plamy na ścianach pokazywały, gdzie wkradła się wilgoć. W najmniejszej sypialni odpadał tynk. Otwierając drzwi prowadzące do kuchni, Faith przypomniała sobie z nagłą wyrazistością Guya wodzącego czubkiem palca po zakurzonej kuchennej półce.

„Co piszesz?”

„Guy kocha Faith. A cóż by innego?”

Przeszła przez kuchnię i spojrzała na tę półkę. Nie było już nic widać, oczywiście, oprócz grubej warstwy kurzu. Od kiedy Guy opuścił Anglię, Faith łapała się na tym, że zastanawia się, czy wyjeżdżając do Afryki, zamierzał nie zostawić niczego za sobą, ale ponownie coś odkryć.

- ...muszę panią przeprosić za stan tego domu, panno Mulgrave - mówił dalej agent. - Może pozwoli mi pani pokazać sobie kilka innych nieruchomości? Mam do zaoferowania jednorodzinny dom w Norwich.

Faith pomyślała o Poppy uciekającej z Ralphem i Jake'u, który uciekł, by walczyć w hiszpańskiej wojnie domowej. Do diabła z konsekwencjami, pomyślała. Do diabła z rozsądkiem!

- To bardzo uprzejme z pańskiej strony, panie Bolsover, ale zamierzam złożyć ofertę na ten dom - powiedziała i ruszyła z powrotem do samochodu.

Guy przyznawał, że nie w pełni odzyskał siły po ataku malarii, któremu uległ w Dar es-Salaam. „Żaden środek przeciw malarii nie jest stuprocentowo skuteczny...” - on sam był żywym dowodem tej podręcznikowej informacji. W szpitalu żołądek kurczył mu się i skręcał, zapowiadając kolejną złą noc. Siedząc na werandzie swojej chaty i obserwując pełnych godności, odzianych na czerwono Masajów i ich chude bydło na tle zachodzącego tropikalnego słońca, Guy czuł pot gromadzący mu się na brwiach. Nocą leżał w łóżku, słuchając monotonnego brzęczenia moskitów i obserwując zdumiewający taniec gekonów na suficie, a sen, który powinien przynieść mu ulgę, był wyczerpujący i pełen koszmarów. Pewnego razu Guy

krzyknął i anglikańska zakonnica, wracająca do swej kwatery z nocnego dyżuru w szpitalu, zapukała do jego drzwi z pytaniem, czy wszystko w porządku. Kiedy indziej zaś poszedł do kaplicy o ścianach z gliny i dachu, jak w większości pozostałych budynków, pokrytym falistą blachą i siedział tam, mając nadzieję na... nie był pewien na co. Żar gromadził się i wzmagał w tej ciasnej lepiance, ale po chwili Guy poczuł się lepiej.

Pewnej nocy śniło mu się, że chodzi po Blakeney Point. Pod stopami czuł przesuwające się kamyki, a znad Morza Północnego wiał lodowaty wiatr. Szukał Faith i nie mógł jej znaleźć. Wiedział, że tam jest... gdzieś za cyplem albo w cieniu wydmy, ale bez względu na to, jak usilnie zmuszał swoje obolałe nogi do wytrwałości, jedynie w przelocie widział jej jasne włosy albo mignięcie błękitno-purpurowej sukienki. Z morza obserwowały go oczy wymalowane na drewnianych dziobach łodzi. Unoszące się fale splukiwały plażę, zalewając i jego. Niebo było ołowiano-szare, a w miejscu, gdzie woda obmywała kamienisty cypel, tworzył się lód, łącząc morze z lądem. Gdy Guy spojrzął na siebie, zobaczył, że mróz otoczył go połyskliwą, niedającą się przebić powłoką. Drewniane, szeroko otwarte oczy wpatrywały się weń z uwagą. Choć dreszcze się nasiliły, lodowa powłoka nie pękła, a każda kolejna fala morskiej wody ją umacniała.

Obudził się nagle. Zimny pot spływał z niego strumykami, a dreszcze sprawiały, że kości uderzały o siebie. Przetarł oczy zaciśniętymi w pięści dłońmi, ale sen, szczególnie wyrazisty, trwał nadal. Uparte przypuszczenie, że za narożnikiem cypla czeka coś ważnego, nie mijało. Gdy zacisnął oczy, jakrawe, kolorowe obrazy przebiegały mu przez głowę jak niepowiązane z sobą sceny z nieustannie obracającej się latarni magicznej.

Wtedy, jakby stała tuż obok niego, usłyszał panią Macdonald: „Jack uczył w gimnazjum moich synów... Hope-Johnstone pamięta go z Francji, z czasów wojny... Wydział Operacji Specjalnych, kochanie”. Oczy rozszerzyły mu się nagle ze zdumienia. Jake, pomyślał Guy.

Usiadł i drżącymi dłońmi napełnił szklankę wodą z butelki stojącej obok łóżka. Pijąc, powtarzał sobie: Nie bądź śmieszny! Właśnie to sprawiają ataki gorączki: mieszają fantazję i wspomnienia z rzeczywistością. A jednak owego przypuszczenia nie dawało się odrzucić. Jake uczył w chłopięcym gimnazjum; Jake działał we francuskim podziemiu w czasie wojny.

Opadając z powrotem na prześcieradła, Guy próbował odgadnąć, czy Jake Mulgrave, który przed sześcioma laty wszedł do morza na kornwalijskiej plaży, mógł zostać wyrzucony na wybrzeże Oceanu Indyjskiego.

Po tygodniu pojechał ponownie do Dar es-Salaam. W sali restauracyjnej Gymkhana Club rozejrzył się za Peggy Macdonald i ujrzał ją z kieliszkiem w ręku obok otwartego okna. Obok niej stał jakiś młody, jasnowłosy i krępy mężczyzna. Gdy Guy podszedł, kobieta odwróciła się i pomachała ku niemu ręką.

- Guy - uśmiechnęła się i musnęła go ustami w policzek. -Pozwól, że ci przedstawię Larry'ego Ravena. Larry jest moim nowym znajomym.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Peggy - odezwał się niecierpliwie Guy - muszę z tobą porozmawiać o tym facecie, o którym wspomniałaś, kiedy widzieliśmy się ostatnio. Nazwałaś go Jednookim Jackiem...?

Uniosła rękę do ust i wyglądała na lekko speszoną.

- Obiecałam, że poproszę Jacka, by znalazł dla ciebie jakąś makondę, prawda, kochanie? Strasznie cię przepraszam, ale to się po prostu nie udało. Jacka nie było w klubie. Czasami tu przychodzi, czasami nie. To miał być prezent dla twojej wnuczki? Wpakowałam cię w jakiś okropny kłopot?

- To nie ma znaczenia. Czy możesz mi powiedzieć, jak brzmi jego nazwisko?

- Nazwisko? Czyje nazwisko? Jacka? - Spojrzała na Guya z zakłopotaniem. - Nie mam pojęcia, kochanie. Dla nas jest po prostu Jednookim Jackiem.

- Jak on wygląda?

- Och... - Kąciki jej ust opadły. - Jasnowłosy... opaska na oku, oczywiście... straszliwie przystojny, choć może to niezbyt ważne. Myślę - uśmiechnęła się - że jest w nim coś ognistego.

- Niebieskie oczy?

- Najwspanialsze niebieskie oczy... niebieskie oko, chciałam powiedzieć. Zawsze - dodała, spoglądając na towarzyszącego jej młodzieńca - pociągali mnie niebieskoocy mężczyźni.

- Ile ma lat?

- Jack? - Peggy potrząsnęła głową. - Przypuszczam, że jest mniej więcej w moim wieku. Ale teraz naprawdę musisz mi wybaczyć, Guy. Nogi wprost rwą mi się do tańca!

- Powiedz, gdzie go znaleźć! - zawołał za nią, gdy przeciskała się przez tłum. Odwróciła się i przystanęła na chwilę.

- Przypuszczam, że w jakimś podrzędny barze, chociaż mógł także wyjechać z Dar es-Salaam. Mówiłam ci, że lubi podróżować.

Guy zrozumiał, dlaczego ściga to, co łatwo mogło się okazać daremną i bezsensowną mrzonką; dlatego że pamiętał wyraz oczu Faith, gdy powiedziała: „Jake się utopił”. Pamiętał, że dodała też: „Nigdy nie znaleziono ciała”. To wspomnienie dawało mu nadzieję. Robi to dla Faith. To jego prezent dla niej. Czy znalazłby dla niej lepszy podarunek niż przywróconego do życia brata?

A jednak, gdy zaczął przeszukiwać miasto, jego pewność osłabła. Każde pytanie spotykało się z przeczącym potrząśnięciem głową lub wzruszeniem ramion. Nie mógł się dowiedzieć, czy Jednooki Jack był rzeczywiście Jakiem Mulgra-ve'em, bo nigdzie nie zdołał odnaleźć tego człowieka.

Guy skoncentrował się na afrykańskiej dzielnicy miasta. Gdy wchodził do małych barów oświetlonych jedną żarówką, cichły śmiechy i rozmowy. Nie było tutaj żadnych kobiet ani żadnych białych twarzy oprócz jego własnej, powietrze zaś wydawało się gęste od słodkiego zapachu haszyszu. Po północy, z powiekami ciężkimi z niewyspania, Guy znalazł się w ciemnym wąskim zaułku. Koralikowa zasłona zagrzechotała, gdy schylając głowę, wszedł do kolejnej źle oświetlonej spelunki. W słabo opanowanym języku suahili zadał pytanie, które tego wieczoru zadawał już dwadzieścia razy. Barman wskazał mu kciukiem najdalszy kąt pomieszczenia.

Wśród czarnych twarzy jedna była biała. Patrząc na mężczyznę siedzącego przy stole, Guy poczuł tępe rozczarowanie. Potem spojrzął znowu. Opaska na oku była myląca, podobnie jak cienka blizna obok niej. Tylko jasne włosy i pełna wdzięku sylwetka przypominały mu Jake'a Mulgrave'a. Jednak gdyby zmrużył oczy, gdyby pozwolił temu widokowi rozplynać się tak, aby zniknęły minione lata, wtedy było to możliwe, tylko możliwe...

- Dziwisz się, Guy, jak cholernie okropnie wyglądam. Muszę ci jednak powiedzieć, że to samo pomyślałem o tobie.

Jake uśmiechnął się i wstał. Guy wyciągnął rękę, lecz tamten objął go ramionami, gniotąc mu obolałe kości w silnym uścisku.

- Muszę przyznać - powiedział później Jake - że naprawdę myślałem o tym, aby się utopić. To raczej głupie, nie sądzisz? W rzeczywistości nie potrafię dokładnie sobie przypomnieć, co się stało. Myślę, że miałem ochotę na kąpiel i nie zdawałem sobie sprawy z głębokości, a potem uświadomiłem sobie, że prąd jest silniejszy, niż się spodziewałem. I wtedy pomyślałem... no cóż, u licha, dlaczego nie? Tak idiotycznie wszystko zaprzepaściłem... kobiety, rodzinę, pracę... Wydawało się, że nie warto ciągnąć tego dalej, ale rzecz w tym, Guy - uśmiechnął się z zakłopotaniem - że najwyraźniej nie mogłem utonąć. Skakałem w górę i w dół niczym korek. To była prawdziwa farsa.

Rozmawiali w mieszkaniu Jake'a. Były to dwa małe, puste pokoiki, z jakimś krzesłem i stosem poduszek, na których siedział po turecku gospodarz. Zniszczona walizka w jednym rogu izdebki i sterta książek w drugim dopełniały obrazu. Guy-owi wydawało się, że Jake żyje dosłownie na walizkach.

- A zatem wypłynąłeś z głębiny...

- Powiedziałbym, że dryfowałem. Tak, to właściwe słowo - roześmiał się tamten. - Tak czy inaczej wypłynąłem gdzieś dalej, na wybrzeżu kornwalijskim. Nie jestem pewny, gdzie to było; nigdy nie poznałem nazwy tego miejsca. Byłem całkiem nagi i niewiarygodnie przemarznięty. Nie miałem pewności, czy najpierw zostanę aresztowany, czy też nabawię się zapalenia płuc.

- Co zrobiłeś?

Jake ponownie napełnił szklanki.

- Ukradłem trochę ciuchów z czyjegoś sznura i poszedłem do sąsiedniej wioski. Cumował tam rybacki kuter płynący na wyspy Scilly. Brakowało im siły roboczej, więc poprosiłem o jakąś pracę. Kilka tygodni spędziłem w Tresco... ładnie tam, ale nudno jak diabli... a potem zaciągnąłem się na następną łajbę, do Brestu. Sprzedawali cebulę czy coś takiego... - Wzruszył ramionami. - A potem przeszedłem przez różne miejsca. - Jego jedyne oko zwęziło się na chwilę. - O niektórych z nich najlepiej zapomnieć.

- A twoje oko...? - zapytał ciekawie Guy. - Co się stało z twoim okiem?

- Mężczyznom mówię zwykle, że wydrapał mi je pazurami lampart, kobietom zaś opowiadam, że wylupila je nożem pewna dziwka w Makao. Ale tobie, Guy, wyznam prawdę. Musiałem wtedy za dużo wypić, a poza tym paliłem Bóg wie co i straciłem przytomność, a kiedy się ocknąłem, ktoś kradł mój portfel. Wdałem się w bójkę, lecz tamten miał nóż, a ja nie, a ponadto byłem pijany, więc okazał się lepszy. - Palce Jake'a powędrowały ku opasce na oku, dotknęły jej i opadły. - Miałem szklane oko, ale to paskudztwo ciągle mi wypadalo, a opaska jest wygodniejsza.

- O Jezu... - szepnął Guy.

- Wylądowałem w przeklętej szpitalnej norze, gdzie spędziłem dwa miesiące... w Tangerze... więc musiałem wytrzeźwieć. To kazało mi popatrzeć uważniej na siebie. Nie obchodziło mnie zbytnio, co zobaczyłem, ale ponowna próba samobójstwa byłaby absurdem, prawda? - Jake spojrzał na przyjaciela. - A ty, Guy? Co, u licha, tutaj robisz?

- Rzekomo mam leczyć - odparł, krzywiąc się, Neville. - Pracuję w szpitalu misyjnym w buszu. Tylko że udało mi się nabawić zarówno malarii, jak i dyzenterii, więc zamierzają odesłać mnie do domu. Wcześniejsze zwolnienie ze względu na zły stan zdrowia.

- Dlaczego tutaj przyjechałeś? - zapytał Jake. - Kiedy widzieliśmy się ostatnio, sprawiałeś wrażenie bardzo dobrze urządzonego w Londynie.

Guy wzruszył ramionami.

- To okazało się jednak niewystarczające. Czułem coraz większy niepokój. Byłem w jakimś kieracie i nienawidziłem tego, ale nie wiedziałem co robić, a potem, kiedy Oliver powiedział mi, że się żeni z Elizabeth...

- Oliver?! Twój Oliver?! Guy pokiwał głową.

- W sierpniu zeszłego roku ożenił się z Elizabeth Kemp.

Przyjaciel najpierw spojrzał na niego z zaskoczeniem, które zaraz zmieniło się w wesołość; ramiona zaczęły mu się trząść ze śmiechu i aż zagwizdał.

- Oliver i Elizabeth! Twój syn... i córka Nicole? Guy poczuł irytację.

- Nie rozumiem, co w tym śmiesznego. Żadne z nas tego nie chciało.

- To dość wyjątkowe, prawda? - Tamten próbował opanować śmiech.

- Widzisz, Elizabeth była w ciąży.

Oko Jake'a otworzyło się szeroko ze zdumienia.

- Mam wnuczkę - powiedział z dumą Guy. - Nosi imię Christabel.

- Gratuluję - odrzekł tamten już tylko lekko niepewnym głosem. - A Eleanor?

Nie jest zaślepioną babcią, jak sądzę?

- Nie mam pojęcia. Nie korespondujemy ze sobą.

- Prawie... prawie, zauważ, jej współczuję - powiedział z namysłem i popatrzył uważnie na Guya. - Nie korespondujecie? A zatem nie ma jej w Afryce?

- Wielki Boże, nigdy tutaj nie była. Rozwodzimy się. - Guy znowu spochmurniał. - Nie tylko z powodu Olivera i Elizabeth. To stało się tylko kroplą, która przepełniła czarę... - Nagle poczuł się przygnębiony i zdeprimowany. - Ta cała przekłeta sprawa... Eleanor i ja... okazała się pomyłką. Potrafisz sobie wyobrazić, Jake, jak to jest, gdy uświadomisz sobie, że dwadzieścia lat twego życia było błędem? - W jego głosie brzmiała wściekłość.

- Oczywiście, że potrafię - skrzywił się Mulgrave. - Moje życie nie jest niczym innym niż serią błędów. Wiele z nich sam popełniłem, ale często tak właśnie bywa z pomyłkami, nieprawdaż?

Zapadła cisza zakłócana jedynie dobiegającymi z ulicy odgłosami kroków i wirowaniem małej, białej, cienkiej jak papier ómy, której skrzydła trzepotały na tle lampy oliwnej.

- A teraz przychodzi mi do głowy myśl - mówił powoli Guy -jakie to zadufanie, sądzić, że mogłem postąpić inaczej. Że byłbym w stanie ocalić świat albo siebie. Moja podróż w głąb siebie przywiodła mnie do dwóch wniosków... że mam słabą wątrobę i że w wieku czterdziestu sześciu lat wciąż jestem naiwny.

- Jesteś idealistą - odrzekł łagodnie Jake. - Zawsze byłeś.

Wielkoduszna interpretacja przeszłości, pomyślał Guy. Granica między idealizmem a uleganiem złudzeniom wydawała mu się bardzo, bardzo subtelna.

- Zatem ty i Eleanor rozstaliście się w końcu. A Faith... Co u niej?

- Była na ślubie. Wyglądała dobrze.

- Nie o to mi chodziło - powiedział Jake, spoglądając surowo na niego.



- Wyjechałem wcześniej. Cóż, chyba nie mogłem iść na weselne przyjęcie, prawda?

Tamten wyglądał tak, jakby próbował nie roześmiać się ponownie.

- Prawie żałuję tego, że mnie tam nie było. Przypuszczam, że mogłeś się czuć dość głupio.

- Oczywiście! - przyznał szczerze Guy.

- Więc po prostu... odszedłeś?

- Musiałem zdążyć na samolot - wyjaśnił, broniąc się, Neville.

- Zobaczyłeś Faith, powiedziałaś jej, że zwiewasz do Afryki, i jeszcze raz zniknąłeś z jej życia?

- To nie było tak, lub jeśli nawet tak było, to ja tego nie chciałem. - A jednak pamiętał, jak zmienił się wyraz twarzy Faith, gdy oświadczył Ralphowi, że wyjeżdża do Afryki; pamiętał to powolne zamieranie blasku w jej oczach.

- Faith cię kocha, Guy - powiedział Jake. - Zawsze cię kochała i zawsze będzie cię kochać.

Patrząc na niego, Guy po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuł iskierkę nadziei.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Ja to wiem - odparł tamten zirytowany. - Och, na miłość boską, Guy, nie chcesz chyba powiedzieć, że nie wyjawiałeś Faith, co do niej czujesz? Jeśli wciąż ją kochasz.

- Oczywiście, że ją kocham - odrzekł cicho i próbował to wyjaśnić. - Byłoby niedorzeczne i aroganckie z mojej strony, nie sądzisz, przypuszczać, że po tym wszystkim, co się stało, Faith nadal będzie mnie chciała. Nawet ja nie jestem aż tak próżny.

- Musisz postawić sprawę otwarcie. - Pięść Jake'a uderzyła w jego dłoń. - Musisz z nią porozmawiać.

- Tak jak ty, Jake, powiedziałaś jej, że żyjesz i miewasz się dobrze?

- Trafiony! - mruknął tamten i wstał, by otworzyć szeroko okiennice. Do wnętrza wpadła chmara owadów.

- Dlaczego do niej nie napisałeś? Choćby jednego listu... pocztówki...? Boże, człowieku... musiałeś przecież wiedzieć, co ona przechodzi!

Teraz Jake poczuł się winny.

- Początkowo naprawdę wcale się nad tym nie zastanawiałem. Byłem zbyt zajęty włóczęństwem po świecie i wścieka-

niem na wszystkich. A potem, gdy leżałem w szpitalu, pomyślałem... sterta ciuchów moknących na plaży... list pozostawiony w plecaku... tak, wiedziałem, co będą przypuszczać. Chociaż miałem nadzieję, że mężczyzna, którego ubranie zabrałem, albo ci rybacy coś powiedzą...

- Nie. Najwyraźniej nie.

- Zresztą nawet chciałem napisać, ale później pomyślałem... po co ich niepokoić? Beze mnie było im lepiej. Faith miała rację, po śmierci mamy wszystko zrzuciliśmy na nią.

- Ralph jest przekonany, że wciąż żyjesz. Jake się uśmiechnął.

- On zawsze miał zdumiewającą zdolność wierzenia w to, w co chciał wierzyć. - W głosie Jake'a brzmiała czułość. Spojrzał na Guya. - Czy przychodzi ci do głowy, że musimy być wystarczająco dobrzy, skoro mimo wszystko udało nam się przetrwać? Przypomnij sobie, przez co przeszliśmy. I przypomnij sobie, co utraciliśmy. Hiszpania, Francja...

- La Rouilly - dodał Guy.

-1 ludzie... ta dziewczyna, która jeździła z Faith... przyjaciel Nicole, ten pilot RAF-u... Genya i Sara...

- Pięć lat życia Olivera - mruknął Guy.

-1 mama - powiedział Jake i odwracając się plecami do Guya, dodał: - Pamiętam, jak ktoś mi powiedział, że wojna potasowała nas jak talię kart. To racja, prawda? Tylko że nigdy nie zdołaliśmy ponownie się ułożyć we właściwym porządku. I pomyśl, tylko pomyśl, co widzieliśmy. Co wiemy. Nasze pokolenie... Byliśmy świadkami rzeczy niedających się opisać... Auschwitz... Hiroszima. Jak ty z tym żyjesz? - Dotknął opaski na swoim oku. - Niektórym ludziom udaje się, oczywiście, trwać w ślepcie, ale nie sądzę, aby któryś z nas był do tego zdolny.

Fala nocnego powietrza ochłodziła nieco pokój.

Guy zaczął mówić lekkim tonem:

- Gdyby odesłano mnie do Anglii i gdybyś napisał list, Jake, mógłbym go wysłać. Mógłbym się upewnić, że Faith wie, iż jesteś zdrowy i bezpieczny.

- Nie - odparł Jake.

- Na litość boską...

- Nie list. - Przyjaciel spojrział na niego surowo. - Masz do niej pójść. Masz pójść i spotkać się z Faith, osobiście, Guy,

a nie za pośrednictwem listu czy telefonu. Musisz mi to obiecać. - Wpatrywał się w niego żarliwie. - Obiecay, Guy.

Zapadła cisza. Guy pomyślał o ponownym spotkaniu z Faith i serce ścisnęło mu się z tęsknoty. Wstał.

- A jeśli pójdę do Faith - zapytał - co mam jej powiedzieć? Jake się uśmiechnął.

- Powiedz jej, że jestem szczęśliwy. Powiedz, że mam wszystko, czego pragnę.

Guy spojrział na mały, pusty pokój z krzesłem, poduszkami i zniszczoną walizką. Potem uścisnął Jake'a i poszedł przez noc do swego klubu.

Ralph zaczął pisać sobie wszystko na karteczkach, bo inaczej zapominał o tak ważnych sprawach jak jedzenie czy wyrzucanie śmieci lub spotkanie z Harrym i Tedem w Woolpack. Miał jednak skłonność do gubienia tych notatek. Słaba pamięć wydawała się irytującą i kłopotliwą towarzyszką podeszłego wieku. Pewnego ranka, stojąc na przystanku autobusowym, spojrział na siebie i spostrzegł, że pod płaszczem wciąż ma piżamę; wrócił więc do Heronsmead, wdzięczny losowi, że nikt go nie widział.

Faith, telefonując wieczorami, przypominała mu o różnych sprawach. Ponieważ zaś miała skłonność do denerwowania się drobiazgami, Ralph udawał, że pamiętał o wszystkim, o czym mówiła. Zapewniał na przykład, że zjadł szynkę, którą mu upiekła podczas weekendu, nie przyznając się, że jedzenie zieleńiało gdzieś w spiżarni. Córka zostawiała mu różne listy i spisy; numery telefonów lekarzy i właścicieli sklepów; wykaz wypranych i wyprasowanych rzeczy, które ułożyła w szafie, listę ciast, pasztecików i konserw w spiżarni. Ralph wyrzucił numery telefonów (miał wielu przyjaciół, gdyby ich potrzebował, a lekarzy nie znosił), wszystkie zaś pozostałe listy zgubił, by z pewnym zdumieniem odnaleźć je ponownie w kurniku, ubrudzone kurzymi odchodami.

Kiedy przeziębienie, którego się nabawił, nieco zelżało, postanowił wybrać się na przechadzkę. Poszedłby do Cromer, pomyślał. Choć nie robił już tak dalekich wędrówek, jak niegdyś, jednak wciąż kochał przygody i podróże. Poza tym musiał kupić prezent dla prawnuczki. Faith powiedziała mu, że za kilka tygodni odbędzie się w Compton Deverall przyjęcie z okazji chrztu malej, więc wielkimi literami nabazgrał na kawałku pa-

pieru hasło: „Prezent dla dziecka”, i przypiął je na wewnętrznej stronie drzwi, by o tym nie zapomnieć.

Włożył swój ulubiony czarny płaszcz (Faith kupiła mu nowy, ale stary był niczym bliski przyjaciel), szyję owinał czerwonym szalem, a głowę nakrył czarnym kapeluszem. Potem poszedł traktem, który wiódł obok słonych bagien do szosy. Było chłodno, ale przyjemnie i tylko łagodna bryza poruszała źdźbłami trzciny. Jak zwykle, gdy patrzył na bagna, pomyślał o Poppy. Słaba pamięć dotyczyła jedynie teraźniejszości, nie przeszłości. Pamiętał warkot niemieckiego samolotu, trzask serii z karabinu i wiadomość. Pamiętał, jak niósł Poppy do domu, kołysząc ją w ramionach. Pamiętał też, że następnego dnia poszedł na słone bagna i próbował odnaleźć ślady żony na ścieżce. Musiał się dowiedzieć, czy wtedy, gdy zastrzelił ją ten pilot messerschmitta, wracała do domu. Pragnął wiedzieć, czy przed śmiercią mu wybaczyła. Ale ziemia była zamrznięta tak jak dzisiaj i nie zachowała kształtu jej stóp, a po chwili łyzy nie pozwoliły mu widzieć wyraźnie.

W Cromer Ralph kupił herbatę, śledzie i słoik dżemu. Zapomniał o swojej liście, ale na herbacie, śledziach i dżemie mógł spokojnie przeżyć do końca tygodnia. Przypomniawszy sobie, że musi kupić prezent dla dziecka (Christabel Laura Poppy - całkiem ładne imiona), więc spędził radosne pół godziny na oglądaniu wystaw. W głębi jakiegoś starego sklepu z rupieciami znalazł białoróżową, idealnie zwiniętą konchę. Gdy przyłożył ją do ucha, usłyszał szum morza. Sprzedawca zawinął muszlę w bibułkę, po czym Ralph poszedł na brzeg. Na falach kołysało się kilka rybackich łodzi, ale plażowe domki, stragany z owocami morza i lokale rozrywkowe zimą były zamknięte. Kiedy po półgodzinnym orzeźwiająjącym spacerze stwierdził, iż pora na filiżankę herbaty, zobaczył, że nadmorskie kawiarenki także są zamknięte. Zaczęło mu dokuczać zimno; błękit morza i nieba był zwodniczy. Ralph przyśpieszył kroku. Zafunduje sobie rybę i frytki, postanowił. Ryba z frytkami była jednym z niewielu przywoitych wynalazków kulinarnych tego kraju. Jednak bary rybne też okazały się zamknięte.

Po drugiej stronie promenady ujrzał grupę młodych ludzi, podszedł więc, by z nimi porozmawiać.

- Przepraszam - zaczął uprzejmie, uchylając kapelusza - czy moglibyście mi wskazać jakąś kawiarnię? Te wszystkie lokale najwyraźniej są zamknięte.

Wszyscy nosili sfatygowane skórzane kurtki i i obcisłe dżinsy. Dziwnie przypominali mu szeregi owych rekrutów, których w 1914 roku widział przed Gare du Nord w Paryżu. Mieli gładko zaczesane do tyłu, błyszczące włosy; twarze chłopaków były ściągnięte z zimna.

- Rzeczywiście, dziadku - odpowiedział jeden, ale inny zaczął wyjątkowo arogancko przedrzeźniać Ralpa („przeprrrra-szam... jakież przerrrażające miejsce... i ta strrraszna służba...”), a potem, odwracając się do niego, krzyknął:

- Fajny kapelusz, staruszkule! - i nagłym, błyskawicznym ruchem zrzucił mu z głowy owo nakrycie.

- Posłuchajcie... - odezwał się Ralph i chociaż próbował odzyskać swoją własność, był zbyt powolny, a oni kopnęli jego nakrycie głowy na drugą stronę drogi niczym piłkę. - Posłuchajcie, chłopcy - zaczął ponownie, starając się z uśmiechem ich przekonać - wiem, że się tylko bawicie, ale naprawdę jest cholernie zimno.

Najwyraźniej go nie słuchali. Ryczeli ze śmiechu i krzyczeli („No dalej, Jonesy... gol!”), a czarny kapelusz wznosił się w powietrze i opadał na brzeg. Ruszając przez drogę, Ralph pomyślał, że mógłby im opowiedzieć o meczu futbolowym, w którym grał kiedyś na meksykańskiej pustyni, z wyschniętą tykwą zamiast piłki, a czaszki dzikich psów zastępowały słupki bramek, ale wtedy jeden z łobuziaków, cofając się chwiejnie i wyjąc ze śmiechu, wpadł prosto na niego. Ralph znalazł się w rynsztoku, a zawartość siatki rozsypała się na chodniku.

Jakiś przechodzień krzyknął i chłopcy rozbiegli się po promenadzie. Przechodząca obok kobieta pomogła Ralphowi wstać i pozbierała pozostałości po jego zakupach. Pudełko z herbatą pękło, zasypując swą zawartością płyty chodnika niczym popiołem, dżem zaś wyciekł do rynsztoka. Muszla, która przewędrowała całą drogę z Oceanu Indyjskiego na to chłodne wybrzeże, pozostała jednak nienaruszona. Kobieta spojrzała na Ralpa z niepokojem i zapytała, czy nic mu nie jest, proponując filiżankę herbaty, żeby się rozgrzał, ale chciał jak najszybciej wrócić do domu i zapewnił ją, że czuje się świetnie.

Poszedł na plażę po swój kapelusz, po czym otrzepał go z piasku, włożył i udał się na przystanek autobusowy. Nogi mu drżały, a autobus się spóźnił. Ralph, czekając, zmarł. Potem, jadąc, czuł się zmęczony i wyczerpany. Autobus trząsał się i pod-

skakiwał, a on kołysał na kolanach muszlę. Dojedzie do domu, myślał, rozpali ogień w kominku i posłucha radia. I długo nie pójdzie na żadną wycieczkę.

Wysiadłszy z autobusu, ruszył wąską drogą, która wiodła do Heronsmead. Musiał iść powoli, bo nogi wciąż mu drżały. Dzień był mroźny, błękitne niebo poranka zmieniło się w perłowobiałe, słońce zaś przypominało mały, błyszczący krążek szkła. Nie było wiatru, a cierniste janowce, trzciny i nawet małe ptaki, które w nich zamieszkiwały, trwały w takim bezruchu, jakby zastygły na fotografii.

W połowie drogi do domu Ralph przystanął, by zaczerpnąć powietrza. Właściwie nie czuł się źle, doznawał jednak dziwnego wrażenia. Było to jakieś nieznanne napięcie w piersiach, jakby coś miało w nich pęknąć. Dłonie i stopy miał strasznie zimne. Chętnie odstawiłby torbę z zakupami, która zaczęła mu bardzo ciążyć, ale zwinięte wokół rączki palce nie chciały się otworzyć. Kiedy próbował iść dalej, ucisk w piersiach się wzmógł. Ból owinał mu ciasno żebra i sięgnął do lewego ramienia. Ralph usiadł na poboczu, ciężko oddychając.

Podniósł wzrok. Widział dom stojący na skraju bagna. Słońce stało się tak jasne, jak w La Rouilly. Ralph zapatrzył się w niebo. Niania besztła go: „Nie patrz w słońce, Ralphie. To szkodzi oczom”. Przeklęta baba, mruknął. Cholernie apodyktyczna, przeklęta baba, powiedział głośno, a potem zamknął oczy.

Faith zaczęła od kuchni, zmiatając grube szare sznury pajęczych sieci i wyrzucając przegniłe szafki oraz zardzewiałe garnki, rondle i patelnie. Pod brudnym linoleum znalazła idealnie kwadratowe płytki terakoty w kolorze kremowym i czarnym. Kiedy wewnątrz było czyste i puste, pomalowała sufit na białe, a ściany na turkusowo. Chociaż niektóre z pozostałych pomieszczeń nie nadawały się jeszcze do zamieszkania, a woda przeciekała przez pstrokaty dach, przywiozła kilka swoich skarbów: parę seledynowozielonych wazonów i kwiecisty porcelanowy serwis do herbaty. Doskonale pasowały do zieleni i brązu tego domu. Przywołała w myślach rzeczy, które cieszyły ją przed laty: bransoletkę kupioną w Marrakeszu, hiszpański szal podarowany jej przez Poppy. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy i gdzie straciła to wszystko. Ruchomości Mulgrave'ów, rozrzuco-

ne po całym kontynencie, zachowały się w jej pamięci równie niewyraźnie jak drgające ślady, które na piasku zostawia wąż.

Po lunchu rozpalila w ogrodzie ognisko i patrzyła na iskry strzelające pomarańczowymi drobinami na tle zimowego nieba. Postanowiła, że wieczorem powie Ralphowi o swym nabytku. Ojciec najpierw odniesie się do projektu przeprowadzki bez entuzjazmu, mówiła sobie w duchu, a potem, kiedy zobaczy dom, z pewnością mu się sposoba. Położony był wystarczająco blisko Heronsmead, by papa w każdy weekend mógł odwiedzać zarówno przykościelny cmentarz, jak i plażę. Ralph może zająć tę dużą tylną sypialnię, której okna wychodziły na ogród, ona zaś, wysprzątawszy mały pokój frontowy, będzie przechowywać w nim swe suknie. Te od Vionneta, Schiaparel-li i Paula Poireta, które znalazła we Francji...

O piątej po południu umyła ręce i twarz w wiadrze wody, zamknęła dom i odjechała. Czowała się przyjemnie zmęczona. Podążając zrytą koleinami drogą, układała sobie w głowie listę spraw do załatwienia. Musi znaleźć tynkarzy i kominiarza oraz kogoś, kto uzupełniłby brakujące dachówki. Musi też poszukać miejscowych dostawców. Będzie potrzebowała węgla i warzyw. Trzeba wziąć również stolarza, żeby zrobił półki na książki, i przekopać sklepy ze starymi meblami, szukając czegoś odpowiedniego.

Zaparkowała furgonetkę na poboczu drogi i dalej poszła trawiastą ścieżką, która wiodła do Heronsmead.

Muszę też znaleźć kogoś, kto zająłby się kanalizacją, pomyślała, i zapytać Paddy'ego, czy mam w banku dość pieniędzy, by urządzić sobie przyzwoitą łazienkę. Trzeba również...

Otwierając furtkę, natychmiast zrozumiała, że stało się coś złego. O ścianę domu opierał się czyjś rower, a drzwi frontowe, których Ralph nigdy nie używał, były szeroko otwarte. Zaczęła biec.

Kiedy poinformowano ją, że Ralph nie żyje, że upadł i zmarł na zawał serca na drodze obok słonych bagien, powiedziała na głos:

- Więc teraz jestem już tylko ja, prawda? Wszyscy odeszli.

Miejscowy policjant, który czekał na Faith w Heronsmead, wsunął szklaneczkę brandy w jej zimne dłonie i kazał usiąść przy kominku. Uświadomiła sobie, że cała drży, więc próbo-

wała się uspokoić, zsuwając mocno kolana i przyciskając stopy do podłogi.

Następnego dnia udała się do pastora, właściciela zakładu pogrzebowego i lekarza. Przeprowadzała długie rozmowy telefoniczne, napisała listy i ciągle krążyła między wioską a Holt i Norwich, gdzie zgłosiła śmierć ojca. Zastanawiała się, jakie to śmieszne, że na zorganizowanie tak przyjemnej rzeczy, jaką jest ślub, ma się kilka miesięcy, a na pogrzeb - zaledwie tydzień lub dwa, i że trzeba myśleć o aprowizacji, psalmach i dopełnieniu tych wszystkich okropnych formalności, kiedy w mózgu kłębią się człowiekowi nieskładne myśli, a o różnych sprawach zapomina się natychmiast, gdy tylko ludzie nam o nich powiedzą.

Dom w Heronsmead ją pokonał. Kiedy otworzyła szuflady, ich zawartość pokryła podłogę, a gdy przeszukiwała szafy, z wieszaków spadały na nią zatechłe i zjedzone przez mole ubrania. Próbowwała sporządzić listę osób, które chciała zawiadomić. Nie mogła sobie przypomnieć nazwisk wszystkich przyjaciół Ralpa; nie pamiętała też, którzy żyją, a którzy zmarli. Telefon dzwonił nieprzerwanie.

- Faith, kochanie - mówił drżącym głosem jakiś leciwy „lokator” - w książce Gurdżijewa jest śliczny fragment, który z pewnością wyda ci się odpowiedni na nabożeństwo pogrzebowe. Wiem, że Ralph nie był zwolennikiem tego autora, ale zawsze czułem, że miał dlań wiele zrozumienia.

Odłożywszy słuchawkę, Faith poszukała spisu. Myślała, że zostawiła listę na stole, ale tam jej nie było. Próbowwała sobie przypomnieć, co robiła, zanim odebrała telefon. Szukała chyba notesu Ralpa... jeśli w ogóle miał taką rzecz, co wydawało się, Faith była tego niemal pewna, dość nieprawdopodobne. Lub też, być może, robiła sobie herbatę. W ciągu tych czterech dni, jakie minęły od śmierci ojca, przygotowała sobie wiele filiżanek herbaty i zapomniała wypić większość z nich.

Poszła do kuchni, pełnej brudnych naczyń i pokruszonych biszkopów z paczki, której szukała tego popołudnia, by poczęstować herbatą i ułagodzić pastora. Listy nie było ani w koszu na bieliznę, ani w spiżarni. Telefon zadzwonił ponownie. Annie z „Błękitu Nieba” z przerażeniem w głosie donosiła, że towar, który zamówiły, jeszcze nie nadszedł.

- Zamknij sklep - odpowiedziała Faith i rozkoszowała się krótkotrwałą ciszą.



Odłożyła słuchawkę i padła na sofę. Niewielki salonik zarzucony był papierami, kartonowymi pudełkami, płaszczami przeciwdeszczowymi i kaloszami. Przecież kiedyś była tak zorganizowana, pomyślała Faith z desperacją. Kiedy zaś zasłoniła twarz dłońmi, nie wiedziała, czy płacze z powodu tego bałaganu czy z powodu Ralpa. Wszystko, co znajdowało się w tym pokoju i co niegdyś stanowiło część jego życia, teraz wprawiało ją w trwogę.

Ktoś zapukał do drzwi. Była zbyt zmęczona, żeby się ruszyć, i pozostała w fotelu, z podkurczonymi nogami, owinięta starym swetrem ojca. Jeśli nie odpowiem, pomyślała, wtedy, ktokolwiek by to był, odejdzie od drzwi. Zamknęła oczy. Zdrzemnie się, pomyślała, a kiedy się obudzi, znajdzie tę listę lub zacznie pisać nową.

Pukanie ustało. Właśnie zasypiała, gdy usłyszała kroki skrzypiące na zwirowej ścieżce obok domu. Papa, pomyślała, budząc się gwałtownie, i znów zaczęła płakać.

- Faith! Jesteś tam? To ja! - zawołała zza tylnych drzwi Nicole.

Pogrzeb Ralpa odbył się pod koniec następnego tygodnia. Nicole zorganizowała wszystko. Przekonała pastora, że ojciec, choć nie był konwencjonalnym chrześcijaninem, może zostać pochowany obok swej żony na wiejskim cmentarzu. Wybierała psalmy i odbyła rozmowę z właścicielem zakładu pogrzebowego. Jeśli Ralph kiedykolwiek zanotował adres jakiegoś przyjaciela na odwrocie papierka od cukierka lub nabazgrał jakiś numer telefonu na skrzydełku książki, to Nicole go odnalazła i napisała albo zatelefonowała. Żałobnicy wypełnili niewielki wiejski kościół. Potem zaś Nicole zaprowadziła wszystkich do Heronsmead, gdzie Elizabeth doglądała ostatnich przygotowań do bufetowego lunchu.

Dawni „lokatorzy” konsumowali właśnie ogromne ilości kanapek, pasztecików i piwa, gdy Lizzie pochyliła się nad Faith.

- Właśnie się obudziła, ciociu - szepnęła. - Przywitaj się z nią.

Faith poszła za nią na górę, gdzie w sypialni Ralpa, w niemowlęcym przenośnym łóżeczku, leżała z szeroko otwartymi oczami Christabel wręcz zahipnotyzowana tapetą ze wzorem w gałązki. Elizabeth pochyliła się i podniosła córeczkę.

- Pozwól, że ci przedstawię ciocię, kochanie - powiedziała, ostrożnie kładąc dziecko w ramiona Faith. - Zejdę na chwilę na dół, jeśli nie będziesz miała nic przeciwko temu, by jej trochę popilnować, ciociu Faith. Kiedy ostatni raz widziałam swego biednego tatę, jakiś przerażający włoski hrabia zanudzał go rozmową o subsydiowaniu rolnictwa.

Faith usiadła na fotelu z dzieckiem w ramionach. Słyszała odgłos drzwi zamykających się za Elizabeth. Przypuszczała, że Lizzie starała się być taktowna i wyszła, gdyż zobaczyła łśniące w oczach Faith łzy. Nie wiedziała, dlaczego płacze - z powodu utraty Ralpha czy z powodu niemal już zapomnianej przyjemności trzymania w ramionach niemowlęcia - ale wiedziała, że cieszy się z tej małej oazy spokoju po owych dniach, które były zarówno pełne udręki, jak i wyczerpujące.

Otarła łzy rękawem i wpatrywała się w Christabel, obserwując ze zdumieniem zwinięte paluszki z ich cudownie małymi paznokciami niczym muszelki. Mała, miniaturowa doskonałość. Ciemnoniebieskie tęczęwki spotkały się z jej oczami, zatrzymały na chwilę i powędrowały dalej. Wciąż jeszcze czasami marzyła o własnym dziecku. To pragnienie tkwiło w niej głęboko i od czasu do czasu wydostawało się na zewnątrz, aczkolwiek bezwzględnie je zwalczała.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Oliver.

- Przyniosłem jeszcze jeden szal. Pomyślałem, że może jest jej zimno.

Faith dotknęła wierzchem dłoni policzka Christabel.

- Myślę, że jest jej dobrze, Oliverze.

- A jednak - uklęknął obok córki - Lizzie powiedziała, że mała kichnęła. Może nabawić się przeziębienia - wydawał się zaniepokojony - albo gorączki. - Wziął Christabel na rękę i podszedł z nią do okna. - Jest zaróżowiona, nie sądzisz, Faith?

- Miewa się doskonale, zapewniam cię, Oliverze - odrzekła, a potem, by oderwać jego myśli od ojcowskich trosk, zapytała: - Zastanowiłeś się trochę głębiej nad tym, co ci powiedziałam?

Uśmiechnął się przelotnie.

- Zacząłem już nawet rozmowy na ten temat, więc mam nadzieję, że nie zamierzasz mi powiedzieć, iż zmieniłaś zdanie.

Był dziwnym połączeniem człowieka z jednej strony podatnego na ciosy, z drugiej zaś obdarzonego zmysłem praktycz-

nym; mieszaniną szczodrości i zachłanności, pomyślała Faith. Choć właściwie nie ma w tym nic dziwnego, stwierdziła, jeśli znało się Guya i Eleanor. Udane pożycie Olivera i Elizabeth rozwiało wcześniejsze obawy Faith. Już wcześniej, przypomniawszy sobie teraz, wydawało się, że jego ambicje i idealizm Lizzie - cechy, które tak łatwo mogłyby walczyć ze sobą, znalazły wspólny cel w ochronie posiadłości Compton Deverall, a także w ich wspólnej trosce o córkę i wyraźnym wzajemnym pożądaniu.

- Zaangażowałem prawnika. Twierdzi, że załatwi wszystko bardzo szybko - mówił dalej Oliver. - Jesteś pewna, że tego chcesz, prawda? - zapytał. - Chcę powiedzieć, że... to musi być dla ciebie bolesne...

- Jestem całkowicie pewna, Oliverze - odrzekła zdecydowanie. - Człowiek powinien od czasu do czasu wstrząsnąć swoim życiem, nie sądzisz?

- Tak - przyznał żarliwie i złożywszy pocałunek na czole Christabel, dodał: - Och, niemal zapomniałem. Dostałem list od taty. Cóż, właściwie nie list, a telegram. Przyszedł tuż przed naszym wyjazdem z Compton Deverall. - Kołysząc dziecko w zgięciu ramienia, sięgnął drugą ręką do kieszeni. - Jest tu wiadomość dla ciebie.

Serce jej zabiło nieco szybciej.

- Dla mnie? Naprawdę?

Wyciągnął z kieszeni chusteczkę, smoczek, pióro i różową szydełkową czapeczkę. Niczym sztukmistrz, pomyślała niecierpliwie Faith.

- Doprawdy, trochę bałaganu. Chcieliśmy zawiadomić tatę o Ralphie, znali się kiedyś dość dobrze, prawda? Ale jest teraz w jakimś szpitalu i wygląda na to, że nasze listy się minęły albo zaginęły. Zresztą tamtejsza poczta bywa opieszala.

- Twój ojciec jest chory? - zapytała, myśląc, że tym razem ton głosu musiał ją zdradzić.

Jednak Oliver najwyraźniej nic nie zauważył. Kiedy człowiek jest młody, przypomniawszy sobie Faith, cały świat kręci się tylko wokół jego własnych spraw.

- Wydaje się, że to nic poważnego - powiedział, a potem, wymachując kawałkiem papieru, niemal wykrzyknął triumfalnie: - Znalazłem! Proszę, jest tylko trochę pognieciony. Przeczytać ci to, Faith?

- Taksówki, Davidzie - szepnęła Nicole. - Czy mógłbyś zatelefonować po taksówki?

Była czwarta po południu. Bolały ją nogi.

- Mógłbym odwieźć ich kolejno na stację, jeśli chcesz. Potrząsnęła głową.

- Potrzebuję cię tutaj. Przyjrzał jej się zatroskany.

- Wydajesz się zmęczona. Co mogę zrobić? Zmusiła się do uśmiechu.

- Po prostu ich zorganizuj, proszę cię, kochany Davidzie. Zapomniałam, jacy są wyczerpujący.

W niespełna pół godziny wszyscy goście zostali wyekspediowani z Heronsmead. Elizabeth i Oliver zniknęli razem na górze (żeby odpocząć, powiedział Oliver, ale Nicole w to wątpiła). Faith zaś zasnęła na sofie we frontowym pokoju, co ucieszyło Nicole, bo wydawało jej się, że przez ostatnie dziesięć dni siostra prawie nie spała.

Tak więc Davidowi i Nicole pozostawiono uporządkowanie pobojuwiska w kuchni.

- Ja pozmywam, a ty ze mną porozmawiaj - zarządził, przerzucając swoją czarną marynarkę przez oparcie krzesła i wskazał Nicole miękkie krzesło koło kuchenki.

- Kochany David - powiedziała, siadając - zawsze taki stanowczy i władczy. Prychnął i zaczął napełniać zlewozmywak wodą.

- Jakie masz plany, Nicole?

- Plany? Masz na myśli pojutrze? - Potrząsnęła głową. - Nie mam pojęcia. Wiesz, że ja nigdy nie planuję.

Zapadła cisza, a potem Nicole odpowiedziała powoli:

- Prawdę mówiąc, Davidzie, nie mam pojęcia, co zrobię. Faith i ja musimy oczywiście uporządkować ten dom, zrobiłyśmy już bardzo dużo.

- Co się z nim stanie?

- Ciocia Iris zamierza go sprzedać. Dziwnie będzie pomyśleć, że Heronsmead należy już do kogoś innego, nieprawdaż? Do jakichś obcych ludzi. - Spojrzała na byłego męża, którego postać rysowała się na tle okna. - Rzecz w tym, Davidzie, że nie sięgam wyobraźnią poza dzień dzisiejszy. Poza ten pogrzeb. Wydaje mi się pewnym zakończeniem. Takim ogromnym, całkowitym kresem.

Postawił ostatni talerz na suszarce i wytarł ręce w kuchenną ścierekę, a potem usiadł na fotelu obok Nicole. Rozpłakała się, wtulona w jego koszulę. Właśnie teraz płakała pierwszy raz od chwili, gdy otrzymała od Faith list z wiadomością, że ojciec nie żyje. Po chwili usłyszała głos Davida.

- Obawiam się, że będę stanowczy i władczy po raz drugi. Chciałbym powiedzieć, że powinnaś wrócić ze mną do Compton Deverall, Nicole.

Wytarła nos i spojrzała na niego.

- Masz na myśli wakacje?

- Jeśli tego właśnie chcesz. Lub też... - Na chwilę zamknął oczy. - Nicole, nigdy przez te wszystkie lata, odkąd mnie porzuciłaś, nie prosiłem, abys do mnie wróciła. Kiedy odeszłaś pierwszy raz, w czasie wojny... Kiedy przeprowadziłaś się do Ameryki ani później, gdy zamieszkałaś we Francji... Nigdy cię o to nie prosiłem, prawda?

Potrząsnęła głową.

- Ale teraz cię proszę - mówił dalej łagodnie. - Niebawem zabiorę Elizabeth, Olivera i dziecko z powrotem do hotelu, abyście ty i Faith mogły mieć trochę spokoju. Ale chciałbym, żebyś jutro wróciła ze mną do Compton Deverall. I żebyś tam została, Nicole; żebyś zamieszkała ze mną jeszcze raz.

Nicole wyciągnęła rękę.

- Zobacz co znalazłam.

Faith, siadając i przecierając oczy, spojrzała na fotografię. Trzy panny Vanburgh, każda o uroczym wiktoriańskim imieniu, wpatrywały się poważnie w obiektyw aparatu fotograficznego.

- Mama - powiedziała Faith z uśmiechem. Wciąż czuła się przyjemnie senna.  
- Mama, ciocia Iris i ciocia Rose.

- Wyglądają... tak ufnie.

- Mama wygląda bardzo młodo. To fotografia musiała być zrobiona przed wojną. Mam na myśli pierwszą wojnę. Zastanawiam się... czy wiedziały, co się z nimi stanie, i co wtedy myślały.

- Biedna stara ciocia Rose popadła w obłęd, Iris mi powiedziała. Najwyraźniej to jakaś okropna rodzinna tajemnica. A jeśli chodzi o mamę... - Nicole się zamyśliła - nie potrafię sobie wyobrazić jej myśli. Miała tatę i wędrowała po świecie. A poza tym urodziła troje dzieci...

- Czwooro - poprawiła ją Faith. - Nie pamiętasz tego najmłodszego, w Hiszpanii?

- Oczywiście, czwooro.

David oraz Elizabeth i Oliver z dzieckiem pojechali już do hotelu w Holt, zostawiając obie siostry w domu Ralpha. Faith spojrzała na zegarek. Spała, uświadomiła sobie, prawie cztery godziny.

Nicole włożyła fotografię do tekturowego pudełka.

- David poprosił, żebym pojechała z nim do domu.

- Pojedziesz?

- Mogłabym to zrobić. Mogłabym spróbować. Nie wiem, czy mi się uda. To doprawdy dość przerażające. - Spojrzała na Faith. - A co z tobą?

- Ze mną będzie dobrze. Gdy tylko tu skończymy, pojedę do swojego domu.

Nicole spojrzała na nią niezdecydowana.

- Nie lubię myśleć, że jesteś sama.

Dziwne, jak trudno powiedzieć nawet własnej siostrze o nowo odkrytych nadziejach. Dziwne, jak trudno było uwierzyć, że w samym środku rozpaczki można znaleźć radość.

Nicole wciąż na nią patrzyła.

- O co chodzi? Co się stało, Faith? Wyglądasz...

- Muszę ci coś powiedzieć, Nicole. - Pierwszy krok był łatwy. - Sprzedaję „Błękit Nieba”. Sprzedaję go Oliverowi.

Oczy siostry zrobiły się okrągłe ze zdumienia. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale Faith szybko mówiła dalej:

- Rzecz w tym, że już od dawna prowadzenie tego sklepu nie sprawiało mi przyjemności. Wydawało mi się, że był tym, czego chciałam, ale to nieprawda. A ten szczer... to wybite okno... Nie chciałam, by mnie stamtąd wypłoszono, ale potem zrozumiałam w końcu, że mam dosyć i pomyślałam o Oliverze.

- Ale sklep... Nie wyobrażam sobie Olivera prowadzącego sklep!

Faith się roześmiała.

- On nie będzie go prowadził. Chce sprzedać prawo dzierżawy i zbić fortunę, budując coś okropnego na tej działce. Teraz Soho pełne jest różnych okropnych gmachów. Bardzo się zmieniło od czasów, gdy Con i ja tam zaczynałyśmy. David zaś powiedział mi, że Oliver jest w tym cholernie dobry, potrafi robić pieniądze na handlu ziemią.

- Ale co ty będziesz robić, Faith?

- Będę robić to, co lubię - odrzekła spokojnie. - To, do czego już dawno powinnam wrócić. Będę kupować i sprzedawać używane ubrania. Tylko że dzisiaj nazywa się je strojami antykwarycznymi. Nie będę jednak mieć sklepu i nie chcę kolejnej pracowni krawieckiej. Przez część roku będę podróżować. Jakie cudowne rzeczy można znaleźć na przykład w Afryce Północnej... galabije, kaftany, wspaniałą biżuterię... -Uśmiechnęła się promiennie. - Podejmuję ryzyko. Nie wiem, czy mi się uda, ale będzie to przygoda, czyż nie?

- Wszyscy pragną przygód. - Nicole pogładziła ją po kolanie. - Czy właśnie dlatego znów wydajesz się szczęśliwa? Dlatego, że nie jesteś już przywiązana do tego sklepu?

Faith wstała i podeszła do okna. Na parapecie leżało puzderko ze starą biżuterią. Pozwoliła, by sznur weneckich szklanych koralików, który jak pamiętała, oplatał niegdyś szyję Poppy, przewinął się przez jej palce.

- Nie dlatego. Widzisz, Oliver dostał depeszę od Guya. On wraca.

- Kiedy?

- Nie napisał dokładnie. Niebawem. Nie zamierza wracać do Afryki, bo nie jest zdrow. Wraca, żeby tu pozostać, Nicole.

- I...? - szepnęła siostra.

- I żeby spotkać się ze mną - Faith tak rzadko się ostatnio uśmiechała. - Prosił Olivera, żeby mi to przekazał. Mówi, że ma dla mnie prezent.

- Jaki prezent?

- Nie wiem. Nie mam pojęcia - odrzekła, myśląc, że dla niej wystarczającym podarkiem będzie to, iż znowu go zobaczy, i oplótłszy się rękami, wyjrzała przez okno, na zachodzące słońce, które kładło tęcze barwy na moką trawę.

- Czy będzie wiedział, gdzie jesteś?

- Och, myślę, że tak. - Faith pomyślała o pokoju, w którym niegdyś się kochali, mając ciała poznaczone kurzem i promieniami słońca. - Tak, tak sądzę. Guy zawsze potrafił odnaleźć drogę, prawda, Nicole?

Wieczorem rozpały ognisko. Najpierw zamierzały zrobić to w ogrodzie za domem, ale potem Nicole wpadła na inny pomysł.

- Na plaży, Faith, na plaży. Wiem, że to nie urodziny taty, ale musimy pójść na plażę.

Z wyrzuconego przez fale drewna ułożyły palenisko na kamieniach i wrzucały tam stare listy, ubrania, kawałki połamanych mebli i przetarte koce. Faith wydawało się, że każda tanecznie unosząca się w niebo iskra zawiera jakieś wspomnienie. Na tym krześle z rozklekotaną nogą siadywała w kuchni Poppy, obierając jarzyny; ten wystrzępiony na obydwu końcach krawat Faith sama kupiła Ralphowi w Bordeaux. Ogień strawił wspomnienia i gorejącymi klejnotami wzbiał się ku atramentowemu niebu. Nicole w swych przeżartych przez mole norkach stała obok, a morskie fale lizały brzeg. Gdy ręka siostry wsunęła się pod jej ramię, Faith pomyślała: Zasady rodziny Mulgrave'ów: Trzymać się razem bez względu na

wszystko". . .

Łzy, które popłynęły im po twarzach, błyszczały niczym złoto.

Wysiadając z samolotu, a potem przechodząc przez zatłoczone londyńskie lotnisko, Guy mimo chłodu angielskiej wiosny czuł absolutny zachwyt. Wczesna poranna mgła obmyła dachy domów, malując je srebrem, a wiszący nad nimi błądy krąg słońca przysłaniały chmury. Guy wsunął ręce do kieszeni płaszcza, nabrał w płuca rześkiego powietrza i poczuł się niemal upojony powrotem do rodzinnego kraju.

Kiedy taksówka zawiozła go do centrum Londynu, Guy zameldował się w hotelu, zostawił bagaż i złapał metro do Soho. Skręciwszy w Tate Street, poczuł, jak serce podskoczyło mu do gardła gdy mijał kolekturę totalizatora, podejrzaną księgarnię i klub jazzowy. Kiedy zaś dotarł do „Błękitu Nieba”, samochody mijały go z rykiem, a przechodnie potrącali. Jednak dla Guya historia zdawała się obracać wokół własnej osi i niczym niepokojący wir czasu przeniosła go z powrotem do roku 1940 i wojny, na wyspach nazywanej *Blitz*. Dach domu, w którym kiedyś mieszkała Faith, zniknął. Budynek był nagi, pusty i wystawiony na wszelkie żywioły. W oknach brakowało szyb, a poszarzałe firanki łopotały na wietrze. Dachówki i cegły ułożono na pustym kawałku ziemi obok budynku. Guy niemal wyobrażał sobie huk bombowców nad głową.

Udał się na zaplecze sklepu. Hałas był ogłuszający. Młoty dudniły na belkach, a dachówki spadały z wysokości dwóch



pięter na ziemię. Musiał wykrzykiwać pytania do robotnika, który usadowił się na wyszczerbionej krawędzi muru.

- Nie mam pojęcia, bracie! - odpowiedział mu donośnym głosem tamten. - Zaczęliśmy rozbiórkę tego domu tydzień temu.

Kierując się z powrotem na ulicę, czuł osobliwą pustkę. Od chwili, gdy w Dar es-Salaam odnalazł Jake'a Mulgrave'a, wyobrażał sobie ów moment: powrót do Londynu, drogę do sklepu i spotkanie ich obojga. Zamierzał powiedzieć Faith, że jej brat żyje... to miał być jego prezent dla niej... a potem jakoś, cudownym sposobem, wszystko by się ułożyło i byłoby już dobrze. Nie udało się jednak. „Błękit Nieba” już nie istniał, Faith nie mieszkała nad sklepem, a Guy nie wiedział, gdzie jej szukać.

Mimo chłodu nagle zrobiło mu się gorąco. Drżały mu ręce, a na czole pojawił się pot. Nie teraz, powiedział gniewnie sam do siebie i wszedł do pierwszej napotkanej kawiarni, jaką zdołał znaleźć. Zamówił herbatę i coś do jedzenia, a potem połknął pół tuzina pigułek. Nie był pewien, czy to jedzenie czy też lekarstwo dokonało cudu, ale po pewnej chwili zdecydowanie i pewność, które podtrzymywały go w ciągu długich tygodni choroby i podczas wyczerpującej podróży z Afryki, zaczęły powracać. Pomyślał o Ralphie. Ralph będzie wiedział, co się stało i gdzie jest Faith. Po wyjściu z kawiarni poszedł więc na stację przy Liverpool Street. W pociągu się zdrzemnął i obudził dopiero w Norwich, w sam czas, by zdążyć na przesiadkę do Holt. Zaczął mżyć cudownie jedwabisty deszcz. Wsiadłszy w Holt, Guy rozglądał się za taksówką, ale żadnej nie znalazł. Zobaczył autobus i przebiegł przez drogę, wołając na konduktora.

Autobus toczył się i podskakiwał przez pół godziny, a potem Guy wysiadł przy trójkacie trawy, gdzie kiedyś, wiele lat temu, spotkał się z Faith. Idąc wąską ścieżką obok słonego bagna, zgoła bezsensownie przypomniał sobie Afrykę. Szelest trzciny przywiódł mu na myśl szum wysokich traw, a gdy w oddali zaskrzecztał jakiś morski ptak, z jeżyły mu się włosy na karku.

Nigdy przedtem nie był w domu Ralpha i niemal zgubił ścieżkę, która wiodła z drogi przez wąską przecinkę w gęstwinie wierzb. Drapały go jeżyny, a buty ślizgały się w mule, mokra trawa zaś owijała się wokół kostek. Dotarłszy do bramy, Guy zobaczył nazwę „Heronsmead” na najwyższej belce, ale już zanim otworzył furtkę, podejrzewał, że również i ta podróż

zawiodła go w ślepy zaułek. Zaniedbany ogród, puste sznury do bielizny i brak dymu z komina... wszystko to kazało mu się zastanawiać, czy również i ten dom nie był opuszczony.

Zapukał pięścią we frontowe drzwi, nasłuchując odgłosu kroków. Ralph może już mieć gorszy słuch, pomyślał, albo ar-tretyzm. Próbował obliczyć, ile tamten ma lat, i ocenił, z uczuciem zdumienia, że musi być już po siedemdziesiątce. Po jakimś czasie obszedł dom dookoła. Jakieś przerywane stukanie powiedziało mu, że drzwi nie są zamknięte i uderzają o futrynę. Pchnął je mocno. Piec kuchenny był zimny, a na półkach i na suszarce nie stały żadne dzbanki ani talerze. W pokojach nie było mebli, a chłodna wilgoć tego małego wnętrza sugerowała, że od jakiegoś czasu dom pozostawał niezamieszkały.

Jeszcze raz pomyślał o „Błękitnie Nieba”. Zdejmowanie kolejnych warstw... dachu, ścian, okien... jakby ktoś próbował oczyścić albo zmienić jakiś rozdział życia. „Błękit Nieba” i Heronsmead... jednakowo puste i jednakowo bezludne. Co skłoniło Faith do takiej zmiany? Podniecenie towarzyszące jego powrotowi do Anglii zniknęło i pomyślał, z nagłym dreszczem strachu, że prawdopodobnie znów wyjechali za granicę; że oboje - ojciec i córka - postanowili wrócić do cygańskiego życia z dzieciństwa Faith. Jake był w błędzie, pomyślał Guy. Wyruszyłem za późno. Spodziewałem się, że w czasie mojej nieobecności wszystko pozostanie takie samo, ale oczywiście nie pozostało, wszystko się zmieniło, a ja przybyłem za późno.

Jednak gdy odchodził z opuszczonego domu, przyszło też mu do głowy inne wyjaśnienie. Wychodząc z wąskiego traktu na szosę, rozejrzał się wokół, próbując określić swoje położenie i zobaczywszy cienką iglicę strzelistej wieży, skierował się do kościoła.

Znalazł ich na kościelnym cmentarzu, Ralpa i Poppy, znowu razem. Usiadł na ławce, a gdy przycisnął dłonie do twarzy, przez palce popłynęły mu łzy. Przypomniawszy sobie, jak z wyciągniętym kciukiem stał na poboczu drogi nieopodal Bordeaux, pełen trwogi, gdyż był bez grosza i paszportu w obcym kraju. Przypomniawszy sobie Ralpa, w starym rozklekotanym Citroënie, zatrzymującego się obok z propozycją, że go podwiezie. Ralph w mig wyciągnął z Guya zarówno przyczynę ówczesnego trudnego położenia, jak i znaczną część życiorysu. Nalegał też, by pojechał z nim do La Rouilly, a w La Rouilly Guy poznał Poppy i Faith.

Pamiętał również utratę własnego ojca i swoje poczucie samotności, gdy wydawał się sobie małą łódką zagubioną na bezkresnym oceanie; „człowiekiem zdanym na łaskę fal”, jak powiedział Ralph. Dopiero teraz zaczynał sobie wyobrażać, co śmierć ojca musiała oznaczać dla Faith. Gdy szok owego odkrycia zaczął powoli słabnąć, przywracając mu zdolność myślenia, zdecydowanie, z jakim Guy postanowił odnaleźć Faith, znacznie się wzmogło. Nie powinna znosić tego ciężaru sama. I nawet jeśli nie mógł zwrócić jej do Ralph, to wieść o ocaleniu Jake'a musi rozjaśnić mrok. Jakikolwiek ukojenie Faith zechce przyjąć, on jej tę pociechę zaoferuje. Ale, dobry Boże, gdzież ona jest? Guyowi przyszło teraz do głowy, by zrobić to, co prawdopodobnie powinien był uczynić przed wyjazdem z Londynu; zatelefonować do Olivera i dowiedzieć się, gdzie mieszka ciocia Faith.

Jednak wydawało mu się, że słyszy jej głos szepczący z oddali lat. „To jest pogoń... za czymś, co muszę zrobić sama dla spokoju własnego ducha”. I wtedy przypomniał sobie tamten dom w lesie.

Wrócił do szosy. Nie pojawił się żaden autobus, więc wystawił kciuk i zatrzymał jakąś ciężarówkę wracającą do Holt, gdzie wypożyczył samochód. Najpierw jechał na południe wzdłuż wybrzeża, mając z boku połyskujące morze, potem zaś skierował się w głąb lądu wąskimi drogami wysadzonymi wysokimi żywopłotami. Dziękował opatrności, że zawsze miał dobrą orientację w terenie i dobrą pamięć.

Był już zmierzch, gdy dotarł do alei bukowej, która wiodła do domu. Zaparkował samochód na początku podjazdu i resztę drogi pokonał pieszo. Wydawało mu się to bardziej właściwe. Taką wędrowkę powinno się podejmować pieszo. Gdyby był młodszy i zdrowszy, prawdopodobnie ostatnie kilka kroków swej pielgrzymki odbyłby na kolanach. Tylko przez jedną chwilę, gdy niewyraźny kształt budynku przeniknął przez jasną zielen gęstych liści, jego odwaga się zachwiała. Ale potem, gdy wyszedł z cienia drzew i zobaczył to okno w górze i kobietę poruszającą się za szybą, wiedział, że w końcu odnalazł właściwą drogę, że wrócił do domu.

Mały, pomalowany na biało pokój pełen był sukien. Otaczały ją ich barwy: głębokie szmaragdy, połyskliwe szafiry i wspa-

niale szkarłaty... Wyciągnęła rękę i dotknęła aksamitnego rękawa, fałdy jedwabiu... A kiedy wyjrzała przez okno, zobaczyła jego. Niewielka ciemna postać zmierzała bukową aleją ku domowi. Dawno temu czekała na niego; tym razem zaś, pomyślała Faith, nie czekała, tylko po prostu żyła dalej swoim życiem, a jednak przyszedł. Ona i Guy... bezustannie poruszali się po bezkresnych oceanach, szlaki ich wędrówek czasami się zbiegały i przecinały, a potem rozchodziły. Rozdzielały ich sztormy, a burze spychały nieraz z kursu. A jednak przez te wszystkie lata Faith kierowała się kompasem własnego serca, trzymając się drogi, którą wskazywały gwiazdy.

Była pewna, że w końcu znaleźli przyjazny wiatr. Otwierając szeroko okno, wychyliła się i wykrzyknęła jego imię.